Joanna Jax

Zemsta i przebaczenie

Tom V

Bezkres nadziei

VIDEOGRAF

Joanna Jax

Zemsta i przebaczenie

Tom V

Bezkres nadziei

VIDEOGRAF

Redakcja
Anna Seweryn

Projekt okładki
Joanna Jax

Layout okładki
Marek J. Piwko {mjp}

Ilustracja na okładce
© *Kobkob / Shutterstock*

Redakcja techniczna, skład i łamanie
Damian Walasek

Opracowanie wersji elektronicznej
Grzegorz Bociek

Korekta
Urszula Bańcerek

Wydanie I, Chorzów 2017

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3 C
tel. 600 472 609
office@videograf.pl
www.videograf.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.
01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12
dystrybucja@dictum.pl
www.dictum.pl

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2016
Tekst © Joanna Jakubczak

ISBN 978-83-7835-636-3

I jaśniejsze niż południe wzejdzie ci życie, a choćby ciemność zapadła, będzie ona jak poranek. Możesz ufać, bo jeszcze jest nadzieja…

Księga Hioba 11, 17

Ukochanemu Tacie i Siostrom Ewie i Dorocie

1. Warszawa, 1945

Alicja Rosińska nigdy nie pomyślała, że istnieją pomieszczenia podobne do tego, w którym leżała skulona w kłębek. Właściwie to była betonowa trumna, a dłuższy pobyt w niej groził popadnięciem w obłęd. Miejsce przypominało psią budę i nawet w ten sposób o nim mówiono.

„Oto dokąd zaprowadziło mnie serce” – pomyślała z goryczą i wróciła do żmudnego i bezsensownego liczenia. Jeden, dwa… tysiąc trzydzieści dwa. Tak, jedynie na tym mogła się skupić. Nie potrafiła nawet powiedzieć, jak długo leżała w tym karcerze, ale zdawało się jej, że całe wieki.

W pewnej chwili zaskrzypiały metalowe drzwiczki i usłyszała ostry głos:

– Wyłaź!

Wygramoliła się z pomieszczenia i z trudem wstała z wilgotnej betonowej podłogi. Powłócząc nogami, podążyła do swojej samotnej celi, która po psiej budzie jawiła się jej jako niemal królewska komnata.

Wbrew pozorom nie była załamana, ale wściekła. Po prostu zdała sobie sprawę, że „Kary” miał rację od samego początku, a ich ślepa wiara w zawarte sojusze sprawiła, iż to, co wydarzyło się w Warszawie, nie miało żadnego racjonalnego uzasadnienia. Przypominała sobie momenty z ostatnich dni i w końcu ten najstraszniejszy ze wszystkich, gdy dotarła do nich wiadomość: „powstanie upadło”. Liczyła się z tym, nawet po cichu życzyła sobie takiego obrotu spraw, ale gdy stało się pewne, że to już koniec, coś w niej pękło i ta informacja wcale nie przyniosła jej spodziewanej ulgi.

***

Wyszła wtedy z jednej ze zrujnowanych kamienic, ściągnęła brudną i sponiewieraną opaskę z ramienia, po czym rozejrzała się po okolicy. Wszędzie unosił się kurz, a jej Warszawa była kupą gruzu. Miasto sprawiało wrażenie grobowca, nie mogła dostrzec żadnego żywego człowieka, jedynie gdzieniegdzie leżały zwłoki i jakby krzyczały do niej z zaświatów: „No i co żeście narobili?!”.

Wciąż czuła ból w ramieniu, ale mogła chociaż poruszać ręką. Tak, miała możliwość, by wyjść z budynku, popatrzeć na ruiny i poczuć ból na widok miasta. Weronika miała mniej szczęścia. Co prawda wyjęto jej kulę i zdezynfekowano ranę, ale ciągle się paprała i najpewniej Sarnowska ogromnie

cierpiała, bo każdy krok w jej wykonaniu przypominał pierwsze nieporadne stąpnięcia niemowlęcia. Alicja wciąż nie potrafiła o niej myśleć jak o Weronice Chełmickiej, tak jakby ten cały ślub był czymś nieprawdziwym i złudnym. Nie czuła już nic do Juliana, oprócz braterskiej sympatii, jednak tęskniła za tym, co kiedyś ich łączyło. On także przeżył, chociaż odkąd został ranny, był raczej biernym uczestnikiem walk.

Wróciła do swoich kompanów i do Weroniki, która siedziała na brudnym, zakurzonym materacu i płakała. Alicja nie wiedziała, czy to z powodu kapitulacji, czy z bólu, ale nie zamierzała się tym zajmować. Musiała coś powiedzieć swoim ludziom.

– To naprawdę koniec? – jęknął jeden z chłopców i przetarł rękawem brudnej koszuli załzawione oczy.

– Tak… Poddajemy się – odpowiedziała z westchnieniem i dodała: – Od teraz nie macie już dowódcy, musicie sami podjąć decyzję, co dalej. Możecie uciekać, jeśli macie dokąd, złożyć broń jak żołnierze i iść do stalagów albo przyłączyć się do cywili.

– Ja żadnej broni nie zamierzam oddać. Spieprzam do lasu. Wojna jeszcze się nie skończyła, a po drugiej stronie są Rosjanie – oznajmił stanowczo kolejny członek oddziału.

– Ja muszę zaopiekować się Weroniką, dołączę z nią do cywili – zrezygnowanym głosem odpowiedziała Alicja.

– Znowu masz ze mną problem – jęknęła Weronika.

– Na rany Boga! Niech Julian w końcu wstanie z łóżka i cię zabierze, bo już nie mogę słuchać tego twojego ciągłego utyskiwania – burknęła Alicja.

Weronika niemal natychmiast zamilkła i powróciła do patrzenia w okienny otwór budynku.

Kilka godzin później dołączyły do wynędzniałych ludzi maszerujących w kierunku dworca. Alicja miała świadomość, że bez względu na decyzję, jaką podjęła, i tak idzie na śmierć.

Była o tym przekonana do tego stopnia, że nawet nie zamartwiała się o Sergiusza. Od niemal dwóch tygodni nie miała o nim żadnych wieści i od tego czasu w każdej godzinie myślała o nim i modliła się o jego przeżycie. Jednak teraz, gdy miała świadomość nadchodzącej śmierci, po prostu było jej wszystko jedno. I tak już nigdy nie zobaczy ani jego, ani swojego synka. Za kilka dni będzie kupką popiołu albo bezużyteczną stertą kości, rzuconą

gdzieś w zbiorowej mogile. Nie miała złudzeń, że Niemcy kogokolwiek oszczędzą. To była jedynie kwestia czasu i mocy przerobowych.

Dodatkowy balast stanowiła Weronika, która poruszała się z trudem i niemal wisiała na ramieniu Alicji. Wycieńczone dotarły na dworzec, wraz z podobnymi do nich straceńcami. A tam kolejne godziny oczekiwania, beznamiętne rejestrowanie rzeczywistości i rozglądanie się za miską cienkiej zupy, którą rozdawano przybyłym. „Cóż za miłosierdzie” – myślała z przekąsem Alicja, ale nie pogardziła jedzeniem, bo nie pamiętała, kiedy ostatni raz miała coś w ustach.

Jedna z kobiet bezustannie zerkała w stronę Weroniki i w końcu powiedziała:

– Pani to lepiej niech gdzie ucieka, bo z tą nogą na roboty pani nie wezmą, tylko od razu do Auschwitz, a tam, pani kochana, to podobnież ludzi żywcem palą.

– Ciekawe, gdzie miałabym z tym kulasem uciec? – mruknęła nieco poirytowana. – Chyba tylko przed pluton egzekucyjny.

– O, pani, ja tam wcale nie wiem, czy to nie byłoby lepiej. – Machnęła ręką i poprawiła na głowie sfatygowaną chustkę.

Alicja zamyśliła się. Jeśli w istocie ta kobieta miała rację, to już lepiej byłoby im zgnić w tych śmierdzących kanałach. O Auschwitz mówiono straszne rzeczy, a przede wszystkim to, że stamtąd wychodzi się jedynie przez komin krematorium. Co prawda Rosjanie byli blisko, ale jeśli będą się tak zabierali za wyzwolenie obozu, jak w Warszawie za pomoc powstańcom, to zdążą obie przejść przez piekło, bo nieco jeszcze zesztywniała ręka Alicji także dyskwalifikowała ją jako darmową siłę roboczą. Nie była jednak w stanie myśleć racjonalnie, a szanse na ucieczkę uznała za zerowe. Zewsząd otaczały ich kordony żołnierzy, jak gdyby byli groźnymi przestępcami, a nie wycieńczonymi cywilami.

Po kilku godzinach zapakowano ich do bydlęcych wagonów i pociąg ruszył w kierunku obozu przejściowego w Pruszkowie. Alicja stała tuż przy niewielkim świetliku i żegnała się ze swoim miastem, Mateuszkiem, Sergiuszem i wszystkimi, którzy byli jej bliscy. Nagle poczuła szarpnięcie i pociąg ze zgrzytem zatrzymał się niemal w środku lasu.

– Udało się! – krzyknął ktoś, przesuwając drzwi wagonu. – Chodu, mili państwo, kto żyw i ma siły.

Po chwili wyskoczył z wagonu i pobiegł w stronę leśnej gęstwiny. Alicja nie usłyszała ani niemieckich nawoływań, ani strzałów czy odgłosów pościgu. Tak, to była okazja. Kilka minut nieuwagi szwabów, zapewne niespodziewających się, że ci wykończeni fizycznie ludzie byliby w stanie sforsować zaryglowane od zewnątrz ciężkie drzwi wagonu, stanowiło nie lada okazję. Kolejne osoby zaczęły pojedynczo opuszczać pociąg i znikać w gęstych zaroślach.

– Teraz my, moja droga – westchnęła Alicja, pomagając wstać Weronice.

– Oszalałaś? – zapytała. – Uciekaj sama, ja nie dam rady.

– To ty oszalałaś, wstawaj!

Weronika spojrzała na Alicję i powiedziała stanowczo:

– Jadę do Pruszkowa, tam może jest Julian… Na pewno gdzieś tam jest. Proszę, zostaw mnie w spokoju.

Alicja Rosińska należała do osób, które nie lubiły nikomu pomagać na siłę, a po słowach Weroniki poczuła się wręcz jak intruz, który próbuje rozdzielić zakochaną parę. Nie powiedziała już ani słowa, tylko wyskoczyła z pociągu i pobiegła w pobliski las, podobnie jak inni. Nie chciała już więcej się narażać, miała syna i Sergiusza. Musiała ich odnaleźć. A ta sytuacja była znakiem z niebios, że jeszcze nie wszystko stracone.

Po kilku godzinach powolnego marszu, gdy poczuła się zziębnięta i kompletnie wycieńczona, postanowiła poszukać pomocy. Przez cały czas swojej wędrówki starała się unikać siedzib ludzkich. Wiedziała, że kiedy Niemcy zorientują się w sytuacji, właśnie tam zaczną szukać uciekinierów. Jednak teraz uznała, że musi zaryzykować, bo inaczej zdechnie w leśnej głuszy i nikt nie wykopie jej grobu ani nie postawi krzyża. Nawet gdy wojna dobiegnie końca.

O tej porze roku las był mało przyjaznym miejscem. Nie chronił, nie dawał pożywienia i nawet rozpalenie ogniska zdawało się wyczynem wręcz karkołomnym. Doczłapała na skraj zagajnika i ujrzała przed sobą niemal bezkresne pola, a w oddali niewielkie zabudowania gospodarskie. Gdyby było lato, a przed nią rozpościerałyby się łany zbóż, mogłaby spróbować przedrzeć się do domostwa, ale teraz byłaby wystawiona jak na patelni. Po prostu stałaby się łatwym celem. Postanowiła poczekać, aż się ściemni. Chciała okryć się listowiem, które pokrywało runo, ale okazało się tak wilgotne, że zrezygnowała z pomysłu. Na szczęście zmierzch nastał dość szybko i ruszyła w stronę zabudowań. Stawiając z trudem kolejne kroki, przypo-

minała sobie czas, gdy z Julianem przedzierali się przez zaspy. Była wtedy w zdecydowanie lepszej kondycji, bo nie miała za sobą dwumiesięcznej walki, głodowania i nie borykała się z bólem, jaki wywoływało obecnie postrzelone ramię.

Chata sprawiała wrażenie ubogiej. Połączona z niewielką obórką i pokryta strzechą, miała odrapane niebieskie drzwi i małe okienka. Zanim Alicja dotarła do ganku, usłyszała szczekanie psa i odwróciła się nerwowo. Po chwili się uspokoiła, bo zajadły stróż gospodarstwa był uwiązany do drewnianej budy i nic nie wskazywało na to, że zerwanie łańcucha stanowiło dla niego łatwe zadanie. Hałas spowodował, że niebieskie drzwi zaskrzypiały, a w progu stanęła kobieta w nieodgadnionym wieku, o filigranowej figurze i twarzy pooranej zmarszczkami. Popatrzyła beznamiętnym wzrokiem na potarganą, brudną Alicję i powiedziała gromko, nie zadając żadnych pytań:

– Wchodzi szybko, bo jeszcze kto zobaczy.

Izba była mała, ale przytulna, a najważniejsze, że niemal od progu Alicja poczuła kojące ciepło. Stała przez chwilę na środku pomieszczenia, jakby nie wiedząc, co dalej robić. Kobieta popchnęła ją delikatnie w stronę drewnianej ławy stojącej nieopodal bielonego pieca.

– A siadajże. Mam trochę kartoflanki, zaraz przygrzeję.

– O nic pani nie zapyta? – zdziwiła się Alicja.

– A o co to pytać? – westchnęła i machnęła ręką.

– Pani tak sama mieszka?

– Teraz już tak. Mąż umarł mi jeszcze przed wojną, a dwóch synów do lasu poniosło – odpowiedziała i kilka minut później postawiła przed Alicją miskę parującej kartoflanki.

Dziewczyna nie pamiętała, kiedy ostatni raz tak bardzo smakowała jej zupa. Nie czekała, aż nieco przestygnie, tylko siorbała małe łyczki, czując rozpływające się po przełyku ciepło. Zrozumiała także, dlaczego gospodyni o nic nie wypytuje. Zapewne, mając dwóch synów w partyzantce, nauczyła się, że lepiej za dużo nie wiedzieć, a pomóc należy, jeśli w progu staje wymizerowany Polak.

Kiedy Alicja doszła do równowagi po posiłku i poczuła, że temperatura jej ciała wraca do normalnej, pomyślała o Weronice. Miała wyrzuty sumienia, że tak po prostu ją zostawiła, ale nie chciała jeszcze umierać. Wierzyła, iż czeka ją jeszcze coś dobrego. Miłość, którą nie zdążyła się nacieszyć, i radość, gdy człowiek nie musi się martwić o każdy dzień swojej egzysten-

cji. Jeśli Weronika się poddała, trudno. Ona nie mogła. Nie chciała tak po prostu odpuścić, gdy istniał gdzieś świat piękna i spokoju. To była siła, która pchała ją do przodu.

Dotarcie do leśniczówki wuja Makarego zajęło jej dwa dni. Co prawda Niemcy skupili się na własnych klęskach i niespecjalnie palili się, by szukać wywrotowców, ale byli zawiedzeni porażkami i bardzo zajadli. Gdyby zatrzymali ją bez dokumentów i zwrócili uwagę na jej niesprawną rękę, zastrzeliliby ją bez mrugnięcia okiem. Dlatego odpadała podróż koleją i nie wchodziły w grę jakiekolwiek inne skupiska ludzkie, gdzie mogli się jeszcze kręcić. Rosjanom, którzy tak bardzo odwrócili się od nich, też już nie wierzyła i musiała przyznać słuszność Sergiuszowi, że są takimi samymi wrogami jak Niemcy.

Przywitanie z rodziną, a przede wszystkim z Mateuszkiem, sprawiło, że nagle napięcie ostatniego czasu opuściło ją i jedyne, co robiła przez następne kilka dni, to łkanie w poduszkę. Po prostu wszystkie skrywane emocje niespodziewanie wydobyły się na zewnątrz. Te dobre i te złe.

Bawiąc się z synem, tuląc go niemal bez przerwy i spędzając z nim prawie każdą chwilę, zastanawiała się, skąd u niej tyle pokładów tkliwości i czułości. Wcześniej nie podejrzewała nawet, że macierzyństwo może ją tak zmiękczyć. Być może sprawiła to rozłąka z synem i ciągła obawa, iż nigdy więcej go nie zobaczy. A może po prostu dojrzała do takiego życia, gdzie rodzina i możliwość przebywania z bliskimi znajdowała się na pierwszym miejscu. Leniwie płynący człowieczy los, bez fajerwerków i bez specjalnych wstrząsów. Alicja już nie chciała balansować na krawędzi ani czuć adrenaliny, którą dawało ryzyko. Wolała spokój.

Mateuszek na szczęście nie oddalił się od niej emocjonalnie. Wciąż była dla niego najważniejszą osobą na świecie i jego bohaterką, bo walczyła na wojnie. Niemal każdego dnia pytał, czy teraz, gdy koniec wojny jest bliski, zostanie z nim na zawsze. Obiecywała i przysięgała, iż tak właśnie będzie i jeśli wyjedzie, to na bardzo krótko.

Cieszyła się z obecności syna, ale jednocześnie wypłakiwała sobie oczy, bo nie było przy niej Sergiusza i nie miała pojęcia, co się z nim dzieje. Gdyby go posłuchała, miałaby go teraz obok siebie i cieszyłaby się każdym dniem, bez konieczności ukrywania się i ciągłego lęku. Nie posłuchała, a i tak wszystko szlag trafił. Nie wyszło, nie udało się. Tak bardzo nie wyszło, że nawet ona była zdziwiona podobnym obrotem spraw. W najśmiel-

szych przypuszczeniach nie myślała, jak bardzo długa i wycieńczająca będzie to walka i że zakończy się w tak dramatyczny sposób.

Z radia płynęły codziennie dobre wieści. Głos spikera informował o kolejnych zdobytych terenach, a w końcu Alicja usłyszała to, na co tak długo czekała: *Warszawa jest wolna*. W pierwszej chwili pomyślała, że to bzdura, bo jej ukochane miasto już nie istniało i nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle w miejscu tych ruin powstanie nowe. Jednak dotarło do niej, że jeśli Niemcy wynieśli się ze stolicy, to znaczy, że będą tworzyły się jakieś urzędy, punkty poszukiwań zaginionych, wejdą organizacje pomocowe i społeczne, Czerwony Krzyż… A jeśli tak, możliwe, że ktoś będzie wiedział, gdzie wywieziono powstańców. Przynajmniej tych, którzy do samego końca nie zdjęli opasek i nie dołączyli do cywilów. Przecież, do diabła, były jakieś konwencje, przepisy, a powstańców uznano za jeńców wojennych. Zatem ktoś powinien coś wiedzieć. Tego wieczoru przestała łkać i się mazać, zamiast tego zeszła do kuchni, do babki Alutki, która z dnia na dzień stawała się coraz słabsza, tak jakby miała niebawem pożegnać się ze światem i jedynie czekała, aż wojna się skończy, żeby mogła wrócić do swoich Chełmic.

– Babciu… – powiedziała cicho Alicja. – Muszę odnaleźć Sergiusza.

– A gdzie chcesz go szukać? – bąknęła babka. – W gruzach?

– Gruzy, gruzy… Ale coś się tam dzieje. Jest wojsko, nasze, polskie. Tworzą się urzędy… Pewnie czegoś się dowiem, tam na miejscu – perorowała Alicja.

– No co mam ci powiedzieć… Nie sądzę, że w taki sposób go znajdziesz, ale w końcu mamy prawie koniec wojny. A w Warszawie już na pewno nie ma szwabów. Więc jedź, najwyżej wrócisz z niczym za parę dni – powiedziała cicho i zakasłała.

– Dobrze się czujesz, babciu? – zatrwożyła się Alicja.

– Jak to stara baba… Niedługo ósmy krzyżyk mi stuknie i już grabarz w Chełmicach się o mnie dopytuje – bąknęła.

– Przestań, babciu. Dożyjesz setki, więc przed nami jeszcze mnóstwo wspaniałych chwil. – Pogłaskała babkę po pomarszczonej dłoni.

– No ciekawe, jak cię wiecznie dupa swędzi i ciągle cię gdzieś nosi. A ja tak sobie obiecałam, że nie pójdę do sztywniaków, póki cała rodzina nie będzie w komplecie.

– Sergiusz to też nasza rodzina – westchnęła Alicja i dodała ze śmiechem: – W takim razie chyba muszę zniknąć na kilka lat, żebyś jeszcze trochę pożyła.

– Nie gadaj takich rzeczy, bo jeszcze w złą godzinę wypowiesz… – Babka Alutka spoważniała. – Tak, ten cały „Kary” to jak nasza rodzina, chciałabym, żebyś za niego wyszła. Będzie dobry dla ciebie i małego. I mam nadzieję, że jeśli znowu Chełmicki zjawi się obok, przegoni go na cztery wiatry.

***

Alicja dotarła do Warszawy około południa. Zima powoli odpuszczała, zamieniając skute lodem drogi w bagniste bajora. Miasto, które było jej tak bliskie i za które była gotowa oddać życie, wyglądało przedziwnie. Wciąż zrujnowane, pełne gruzów i pozbawione mostów, ale jakby żywe. Przeprawiała się właśnie na drugi brzeg Wisły jedną ze zdezelowanych łodzi przypominających tratwę i wsłuchiwała się w opowieść przewoźnika.

– Pani kochana, jak tylko nadali przez radio, że Warszawa jest wolna, to pani… od następnego dnia całe chmary ludzi wracały. Furmankami, pieszo, pociągami, jak bądź. Po lodzie na Wiśle też leźli, bo to przecie ani jeden mosteczek się nie ostał. Na drogach zrobiła się granda, bo ludzie napierali tak, że wojsko nie mogło przejechać. A niektórzy, jak zobaczyli, że tu jedynie gówna i kapcie zostały, to się nazad wracali. I tak, pani, krążyli w tę i we w tę. Bo to przecie ani prądu, ani wody, miny wszędzie i jakie niewybuchy, niejednemu urwało co nieco, jak miał trochę szczęścia, bo jak nie, to tak pewno leży do tej pory. A ile tu szabrowników ściągnęło, pani kochana, cała gangsterka się zjechała…

Alicja w pewnej chwili przestała słuchać. Przyglądała się jedynie miastu, które jeszcze kilka miesięcy wcześniej zażarcie walczyło o wolność, o godność, o Bóg raczy wiedzieć co. Wysiadła z łodzi i ruszyła w kierunku Śródmieścia. Na ulicach nie leżały już zwłoki. Zapewne te, które znajdowały się na widoku, uprzątnięto. Dlatego teraz mijała jedynie żywych ludzi i to było pocieszające. Pytała sama siebie w duchu, gdzież oni mieszkają, co jedzą, gdzie się myją. I gdzie ona przenocuje, jeśli przyjdzie jej zostać w mieście kilka dni. Wszędzie ruiny i tylko od czasu do czasu mijała domy, które nadawały się do zamieszkania. Na niektórych widniały namalowane farbą

napisy, że można doń wchodzić, bo wojsko sprawdziło, czy wnętrza nie kryją żadnych niespodzianek w postaci min czy niewybuchów. Grupki ludzi przerzucały gruz na jedną stertę, zaś całe cegły układały w sześciany, by mogły być jeszcze wykorzystane. Jakiś przepołowiony budynek miał przy ścianie podstawioną drabinę i Alicja spostrzegła ze zdziwieniem, że ktoś wchodził po niej z wiadrem wody, otwierał drzwi, a w środku stał ktoś inny i pomagał wchodzącemu. Brak klatki schodowej najwidoczniej nie przeszkodził mieszkańcom i postanowili dostawać się do domu niczym do chatki na kurzej łapce. Gdzieniegdzie zostały fragmenty mieszkań, przykryte plandeką, albo kompletnie pozbawione ścian pokoje, gdzie można było dostrzec nienaruszone kredens czy kanapę. Po zagruzowanych ulicach próbowały jeździć furmanki i ciężarówki, a od czasu do czasu mijali ją obładowani dobrami rowerzyści. Na skwerach niekiedy dostrzegała krzyże albo prowizoryczną mogiłę przypominającą, że masowo ginęli tutaj ludzie. Na każdej ulicy i niemal w każdym domu. Pewnie jeszcze minie wiele czasu, zanim pogrzebią ich wszystkich, a być może niektórzy pozostaną tutaj na zawsze, nigdy nieodnalezieni, bo ich ciała zamienią się w proch, a zachowają się jedynie kości, na których powstanie nowy budynek czy ulica. A jednak tętniło życie, zwłaszcza wokół domów, z których jeszcze coś zostało. Można było nawet dostrzec ludzi w intymnych sytuacjach, gdy po prostu kucali za pokruszonymi murami, by załatwić swoje potrzeby fizjologiczne, bo inny sposób nie istniał. A tuż obok, wzdłuż ulic, ludzie handlowali czym się dało. Do Warszawy dotarły już nowe pieniądze. Co prawda władze zapowiadały wymianę tych przedwojennych po kursie jeden do jednego, jednak górną granicą wymiany było pięćset złotych, więc radzono sobie inaczej. Walutą były rzeczy. Futra zamieniano na worek mąki, meble na piernaty, a naczynia oddawano za miskę zupy. Powstały nawet pierwsze sklepy umiejscowione w bramach na wpół zrujnowanych domów, w zniszczonych wagonach tramwajowych czy też w spalonych samochodach.

„Jak bardzo ci ludzie musieli kochać swoją Warszawę, jeśli zdecydowali się wrócić do tych ruin, na to cmentarzysko, gdzie zginęły dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy ludzi?” – myślała, rozglądając się dookoła.

Czasami mijały ją samochody z polskimi żołnierzami, od czasu do czasu słyszała rosyjski, a wszystko sprawiało wrażenie jednego wielkiego chaosu.

Zapytała jakiegoś żołnierza o Polski Czerwony Krzyż, bo postanowiła rozpocząć poszukiwania od tego miejsca.

– A pani na ekshumację? To zależy na jaki rewir, bo jak… – zaczął tłumaczyć jeden z żołnierzy, ale Alicja mu przerwała.

– Nie, nie na ekshumację. Szukam kogoś… To pewnie będzie Biuro Informacji i Poszukiwań.

– A to nie wiem, ale idzie pani na Piusa, do zarządu, może tam… Ale wie pani, lepiej to zacząć od ekshumacji, bo więcej takich, co nie żyją, niż tych, co uciekli… – Machnął ręką.

– Nie, nie… – Pokręciła głową, jakby nawet nie dopuszczała do siebie myśli, że Sergiusz mógłby gdzieś tu leżeć, nieżywy i przysypany gruzami. – On przeżył, tylko Niemcy go wywieźli do Rzeszy.

– No idzie pani tam… – bąknął żołnierz i ruszył przed siebie.

Tuż przed budynkiem kłębiły się tłumy. Jedni chcieli wiedzieć, gdzie jeszcze będą ekshumacje, inni zgłaszali, że natknęli się na ofiary, a pozostali czekali, by przekazać dane osób zaginionych. Alicja ustawiła się wraz z innymi, chociaż nie zauważyła, żeby tłum próbował uformować coś w rodzaju kolejki. Usłyszała za sobą głos:

– Aldona… Boże, Aldona, ty żyjesz.

Alicja odwróciła się i stanęła twarzą w twarz ze swoim dawnym kompanem z SOE, który okazał się zdrajcą ich idei i próbował ograbić organizację z pieniędzy, by wesprzeć nimi komunistyczne bojówki.

– Wiktor… – jęknęła.

– Och, Alicjo, wiem, że jesteś trochę na mnie zła za te pieniądze, ale teraz… Wszyscy jesteśmy Polakami, walczyliśmy w jednym powstaniu i będziemy żyli w jednej ojczyźnie – powiedział z entuzjazmem.

– Dalej jesteś czerwony? – zapytała podejrzliwie.

– Dajże spokój. No jestem i cóż z tego? – Machnął dłonią.

– Słuchaj, Wiktor, nadal uważam cię za świnię, ale możesz się zrehabilitować i mi pomóc, bo będę stała tutaj do Wielkanocy, a nie mam nawet gdzie spać. Czy mógłbyś się dowiedzieć, gdzie wywieziono jeńców z powstania? No wiesz, jakie stalagi, oflagi, miejscowości i takie rzeczy. Zgodnie z konwencją genewską takie informacje powinny być dostępne.

– Myślę, że mógłbym pomóc. Podam ci adres. Urzęduję na Pradze, na Strzeleckiej. Przyjdź za dwie, trzy godziny, muszę jeszcze coś załatwić na mieście. Przez Wisłę przeprawisz się łodzią – powiedział i szybko się pożegnawszy, zaczął przeciskać się przez zbity tłum.

W Alicję wstąpił nowy duch. Była tak podekscytowana faktem, że zdobędzie jakieś konkretne informacje, że nawet nie zastanowiła się nad uczynnością Wiktora. W tym momencie zachowała się jak kompletna idiotka, bo zamiast do przyjaciela, trafiła wprost w paszczę lwa.

2. Lamsdorf / Łambinowice, Stalag VIII B, 1945

Szymek Wielopolski nie mógł uwierzyć w to, że był wolny. Tak samo, jak w to, że Niemcy osadzili go tutaj jako młodocianego powstańca. Nawet chłopcy, z którymi dzielił barak, uważali, że wszystko, co mówił, jest zmyślone i nakierowane na to, by dostać się do Częstochowy, pod skrzydła Rady Głównej Opiekuńczej, będącej oficjalną komórką społeczną, niosącą pomoc Polakom z terenu Głównego Gubernatorstwa. W pewnym momencie nawet przestał zaprzeczać, zwłaszcza że ów wyjazd do Częstochowy okazał się jedynie czczą obietnicą władz niemieckiego obozu. Ale teraz nadeszła Armia Czerwona i Szymek był wolny. Jechał z dwiema zakonnicami i innymi dzieciakami do sierocińca pod Łowiczem. Nie miał jednak zamiaru długo tam zostawać. Chciał odnaleźć Zosię, Ziutka i pana Emila.

Wierzył głęboko, że Zosia i Ziutek ocaleli. Po tym, co przeszli we trójkę, byłoby to czystym draństwem, gdyby się nie uratowali. Wspominał ich gehennę i uśmiechał się na samo wspomnienie Zosi, która, chociaż oszpecona przez okrutnego esesmana, jawiła mu się jako najładniejsza dziewczynka pod słońcem. Zaraz po Noemi.

***

Kiedy spłoszeni odgłosem pocisków artyleryjskich opuścili mieszkanie na Woli, a właściwie ciemną piwnicę, Szymek poczuł lęk, jakiego nigdy wcześniej nie doznał. Była już noc, nad miastem unosiła się łuna i słychać było odgłosy bomb. A wokół straszyły złowrogie puste budynki bez szyb w oknach, niekiedy spalone albo stanowiące rumowisko.

– Boję się – powiedziała Zosia.

Szymek także się bał, ale nie mógł tego pokazać swojej nowej koleżance. Nie chciał, żeby panikowała, bo to była najprostsza droga, by wpaść w ręce Niemców. Poza tym czuł, że jako mężczyzna, chociaż nie całkiem dorosły, musiał zapanować nad sytuacją.

– Nie bój się – mruknął pod nosem, jakby od niechcenia.

– I co teraz? Dokąd pójdziemy? – dopytywała Zosia.

– Na Stare Miasto – odpowiedział bez wahania Szymek. – Tam są nasi i na pewno biją szwabów.

Nie miał wątpliwości, gdzie powinni się udać, ponieważ przez ostatnie dni nie myślał o niczym innym. Nie miał pojęcia, dlaczego wbił sobie do głowy, że powstańcy nie oddadzą placu Zamkowego i Rynku Starego Miasta, które dla Szymka było sercem nie tylko Warszawy, ale całej Polski. Nawet nie dopuścił do siebie myśli, że ta część miasta, podobnie jak wiele innych, podzieliła los Woli czy Żoliborza.

Mieli ze sobą plecak z jedzeniem wyjętym ze spiżarni i to dodawało im otuchy. Wola była już właściwie wymarłą dzielnicą. Jeśli chcieliby natknąć się na siły powstańcze, musieli iść na północ, w kierunku Starego Miasta. Szymek trwał w jakimś dzikim uporze, przekonany, że tego miejsca powstańcy będą bronić do ostatniej kropli krwi.

Szli powoli i bardzo cicho, chowając się w rumowiskach i zaułkach zniszczonych ulic. Pewnie rychło wpadliby na jakiś patrol, gdyby nie Ziutek, który biegł przodem i jeśli tylko zauważał coś niepokojącego, wracał i stawał w miejscu. Robił to również wtedy, gdy na swojej drodze natykał się na martwe ciała. Jednak nie wył jak wcześniej, jakby zrozumiał, że musiałby to robić niemal cały czas. Ziutek okazał się świetnym zwiadowcą i Szymek Wielopolski nieraz dziękował Bogu i pannie Aldonie, że obdarowali go tym mądrym zwierzęciem.

Po kilku godzinach marszu natknęli się w końcu na cywila. Biegł z wiadrem w dłoni, od czasu do czasu chowając się za załomami budynków.

– Proszę pana… – Szymek podbiegł zdyszany do ciemnej postaci, zostawiając Zosię w jednej z bram. – Jak można się stąd dostać na Starówkę? Straciłem zupełnie orientację w tej ciemnicy.

– Po co się tam pchasz, chłopcze? – zapytał mężczyzna słabym głosem. – Przecież tam już są Niemcy. Wszędzie są Niemcy… My siedzimy w piwnicy i tylko czekamy, aż po nas przyjdą.

– Jak to, Niemcy? – Szymek prawie się rozpłakał.

– No a kto? Przecie nie Ruskie… Tylko Śródmieście się broni, a niech ich cholera. My tu z głodu zdychamy, po wodę muszę chodzić kilometr, a oni wciąż się biją. – Machnął ręką.

– Bo to przecie nasza ojczyzna – powiedział Szymek.

– Widać, dziecko, żeś za mało w kość dostał. Dzieciaka mi, skurwysyny, zabili. Jedynego syna. A żona ledwie żyje… I ja mam myśleć o ojczyźnie,

której i tak już nie mamy i mieć nie będziemy, bo nas szwaby w pień wybiją i pies z kulawą nogą nam nie pomoże? – Prychnął i bez słowa oddalił się, znikając w ciemnych zaułkach opustoszałej ulicy.

Szymek nawet nie zdążył zapytać, gdzie mają iść i kogo prosić o pomoc. Poczuł, że umarła ostatnia nadzieja. Jednak po chwili pomyślał o Śródmieściu. Tam wciąż byli powstańcy. Wrócił do czekającej Zosi i nie mówiąc ani słowa, ruszył przed siebie. Dziewczynka próbowała pytać o cel wyprawy, ale Szymek jedynie coś odburknął, starając się rozpoznawać ulice i kierunek ich marszu, który co kilkanaście minut musieli zmieniać, by ominąć patrol.

Gdy zaczęło świtać, schronili się w jakimś gruzowisku i tam zasnęli na zdezelowanej kanapie, która niegdyś stanowiła część barykady ustawionej przez mieszkańców. Było chłodno, więc tulili się do siebie i do wielkiego futrzanego zwierzaka, który nie tylko dawał im poczucie bezpieczeństwa, ale także ciepło.

Obudzili się około południa, ale wciąż siedzieli w rumowisku, by doczekać nocy, która wydawała im się najbezpieczniejszą porą, by móc przedzierać się dalej. Chłopak otworzył plecak i wydzielił im po kawałku czerstwego chleba. Zosia z trudem żuła kęsy, wciąż cierpiąc z powodu rany na policzku. Szymkowi zdawało się, że dopiero co poczuł smak jedzenia, a już musiał zakończyć posiłek, żeby prowiantu wystarczyło na kolejne dni.

Późnym popołudniem, które spędzili głównie na snuciu marzeń o tym, co zjedzą, gdy już wojna się skończy, Szymek wyruszył z Ziutkiem na zwiady, by rozpoznać topografię terenu. Była to nieznana mu okolica, nigdy wcześniej tutaj nie był i wyrzucał sobie, że nie zabrał z domu planu miasta. Gdyby go miał, bez trudu znalazłby ulicę, której nazwę udało mu się odczytać na tabliczce leżącej przed kamienicą. Niestety, teraz było już za późno i nie widział szans, by wrócić do domu.

Podbiegł do miejsca, gdzie czekała na niego Zosia i szepnął:

– Jesteśmy na jakiejś Słupeckiej… Bóg raczy wiedzieć, gdzie to jest.

– No jak to gdzie? – Wzruszyła ramionami. – Jesteśmy na Ochocie.

– A niby skąd ty taka obeznana? – Prychnął Szymek.

– Czasami siostry zabierały niektóre dziewczynki do kościoła na Ochocie, powinien stać gdzieś tu, niedaleko – mruknęła.

Szymek przymknął powieki i zaczął intensywnie myśleć, próbując zlokalizować to miejsce na planie Warszawy i określić strony świata. Bywał na

Ochocie z towarem, najczęściej na Grójeckiej i Filtrowej. Nie wiedział jednak, w którą stronę powinien pójść, by znaleźć się w Śródmieściu. Postanowił, że gdy zapadanie zmierzch, wyjdą z ukrycia, tak jak wychodzili ci, którzy siedzieli w piwnicach, by pod osłoną nocy wydostać się na zewnątrz. Jak ćmy albo duchy wychodzące z grobów, snuli się, by zdobyć wodę lub coś do zjedzenia.

Gdy nastał zmierzch, Szymek wyszedł z ukrycia i zaczął obserwować okolicę. Pies pobiegł w stronę jednej z kamienic i chłopcu zdawało się, że nie ma go bardzo długo. Zaraz potem usłyszał skowyt. Nie zastanawiał się w ogóle nad zagrożeniem, zrezygnował z jakiejkolwiek czujności. Ile sił w nogach pobiegł w kierunku kamienicy, z podwórka której dobiegał hałas. Po drodze wyjął swój pistolet, którym niegdyś zranił „Szmatę” z getta, i odbezpieczył go. Ujrzał cień człowieka z ogromnym pałąkiem w dłoni, który usiłował uderzyć Ziutka, najpewniej kolejny raz.

– Chodź tu, skurkowańcu, No, podejdź bliżej… – Usłyszał, jak mężczyzna mówi po polsku do psa.

– Co pan robi? – jęknął z rozpaczą w głosie Szymek.

– Wynoś się, gówniarzu!

– Niech pan go zostawi, to dobry pies.

– Mam to gdzieś, czy on dobry, czy niedobry. Od tygodnia nie mieliśmy nic w pysku, moja żona już nawet pokarm w piersiach straciła, bo sama nic nie je, to niby skąd ma mieć, żeby dzieciaka wykarmić. A ten z pięćdziesiąt kilogramów waży.

Szymek mógł pożałować głodujących i koczujących w piwnicach ludzi, ale Ziutek był dla niego jak człowiek, niczym najlepszy przyjaciel.

– Uciekaj, Ziutek! – krzyknął Szymek i popchnął z całej siły mężczyznę.

Ten stracił na chwilę równowagę, a pies, jak na komendę, podwinął ogon i zniknął w czeluści bramy.

– Ty szczeniaku! – zdenerwował się. – Moja rodzina ma zdechnąć z głodu, bo tobie zwierzęcia szkoda?

– To nie jest taki sobie zwykły pies, proszę pana – próbował tłumaczyć Szymek.

– A co? Gada w Wigilię? – zapytał ze złością.

– Nie… Ale on jest mądry i uratował mi życie… – Szymek wciąż się usprawiedliwiał. Nie tylko przed tym nieznajomym, ale także przed sobą samym, że wybrał życie psa, a nie drugiego człowieka.

Mężczyzna najwyraźniej był jednak zbyt zrozpaczony utratą takiej góry jedzenia, bo zamachnął się, by uderzyć chłopca. Szymek był tak oszołomiony zachowaniem tego człowieka, w końcu także Polaka, że stał jak słup soli, jakby czekając, aż ogromny drąg rozbije mu głowę. Jednak Ziutek po raz kolejny pojawił się nie wiadomo skąd i rzucił się na mężczyznę, który wypuścił z dłoni pałąk i upadł na ziemię. Szymek nie chciał jednak, by pies zrobił mu krzywdę, dlatego krzyknął na niego i obaj uciekli na pustą i złowrogą ulicę. Nieopodal znajdowała się ich kryjówka. Szymek postanowił, że muszą ją opuścić, bo najpewniej wygłodniali mieszkańcy tak łatwo nie zrezygnują z mięsa, jakie mogliby mieć z martwego psa.

Przemierzali ponownie ulice, kryjąc się w ciemnościach nocy, i próbowali odgadnąć, gdzie się znajdują. W pewnym momencie dostrzegli szeroką arterię i Szymek rozpoznał w niej ulicę Grójecką. Odetchnął z ulgą, że idą we właściwym kierunku. Zauważył jednak, że pomimo nocnej pory na ulicy stały samochody niemieckie, a wokół nich żołnierze, którzy popijali wódkę i głośno się śmiali. Ulica była szeroka, przemknięcie przez nią w sposób niezauważony było wręcz niemożliwe. Musieli przeczekać, licząc, że żołnierze zasną, zmorzeni wódką, albo odjadą gdzieś dalej. Wbrew oczekiwaniom Szymkowi zdawało się, że z minuty na minutę wszędzie kręciło się ich coraz więcej. A może to było jedynie złudzenie wystraszonego dziecka?

Kombinował właśnie, jak by się przedostać na drugą stronę ulicy, kiedy usłyszał strzały i krzyk nawołujący do zatrzymania się. Wyjrzał z bramy i zobaczył dzieciaka biegnącego w ich stronę. Po chwili złapał się za pośladek, ale nie przestawał biec i wreszcie udało mu się skryć w jakiejś bramie. Na szczęście żadnemu z pijanych żołnierzy nie chciało się ruszyć w ślad za nim; uznali pewnie, że ten i tak wykrwawi się na śmierć. Szymek nakazał Zosi pozostać w ukryciu, a sam, przemykając przy ścianach budynków, udał się do miejsca, gdzie pobiegł ranny uciekinier. Dzieciak leżał oparty o mur i głośno płakał. Szymek poświecił latarką i zobaczył wokół chłopca kałużę krwi, a potem brudną biało-czerwoną opaskę na przedramieniu. Nawet gdyby chciał mu pomóc, nie miał jak. Nie wiedział, gdzie szukać pomocy ani jak opatrzyć ranę. Jedyne, co mógł, to być przy nim, póki ten nie straci przytomności i nie odejdzie z tego świata.

– Mam meldunki dla dowództwa w Śródmieściu – wyjęczał chłopak.

– A jak chciałeś się tam dostać? – zapytał rzeczowo Szymek.

– Na Wawelskiej jest właz do kanałów. Można nimi dojść do Prokuratorskiej. To wąski i niski kanał, dlatego tylko najmłodsi się nim przedostawali – wycharczał.

– Zaniosę te meldunki – hardo obiecał Szymek.

– W kieszeni mam plan kanałów… Mam na imię Romek… Pseudonim „Szczeniak” – ostatkiem sił powiedział chłopak i stracił przytomność.

Szymek wygrzebał z kieszeni Romka dokumenty oraz plany kanałów, a potem ściągnął mu brudną opaskę z przedramienia, ucałował ją i z dumą naciągnął na rękę. Tak, w końcu miał okazję zrobić coś, o czym od dawna marzył i tylko upór panny Aldony i Ziutek odwiodły go od tego. Przeżegnał się i krótko pomodlił za chłopca, który na oko wyglądał na jego rówieśnika.

– Wiem, gdzie jest zejście do kanałów. Tamtędy pójdziemy do Śródmieścia – zakomunikował po chwili Zosi.

– A co ty tu masz? – zapytała, dotykając brudnej przepaski.

– Teraz jestem prawdziwym powstańcem – powiedział z dumą Szymek, bo czuł się namaszczony przez umierającego chłopaka, który powierzył mu misję przekazania meldunków.

Droga do włazu przy Wawelskiej okazała się niezwykle żmudna. Przemierzali metr po metrze, przeczekując krążące patrole. Wkrótce okazało się jednak, że dopiero brnięcie przez wąski i niski kanał było jak podróż po piekle. Ich latarka świeciła coraz słabiej, dlatego przemierzali błotnisty szlak przeważnie w kompletnych ciemnościach. Przed nimi szedł Ziutek, bo jemu wystarczał nos, by podążać przed siebie. Według planu powinni przebyć zaledwie kilometr, ale szli bardzo wolno, by nie natknąć się na coś nieprzewidzianego. Nagle Szymek poczuł ogromne cielsko Ziutka. Pies zatrzymał się i nawet lekkie szturchnięcie chłopca nie sprawiło, żeby się przesunął chociaż o centymetr.

– No, co jest, piesku? – zapytał Szymek.

– Myślisz, że ci odpowie? – prychnęła Zosia. – Boże, jak tu jest strasznie. Szymek, ja się tak bardzo boję… Tutaj jest jak w grobowcu.

– Nie bój się, Zosiu. Niebawem powinniśmy być w Śródmieściu – szepnął Szymek i zaczął popędzać psa.

– Jak nie chce iść, to znaczy, że coś mu jest – mruknęła. – Lepiej poświeć.

– Bateria już ledwie zipie, a musimy mieć światło, żeby znaleźć właściwy właz na Prokuratorską – bąknął Szymek, ale wyciągnął z kieszeni latarkę i poświecił w przestrzeń. Po chwili ją zgasił i jęknął: – Boże…

– Co się stało? – dopytywała się dziewczynka.

– Posłuchaj, zatkaj nos, zamknij oczy i nie myśl o tym, po czym idziesz. Dobrze?

– Ale ty głupi jesteś! Przecież i tak nic nie widzę, a śmierdzi przez cały czas tak strasznie, że aż mnie w nosie kręci. I co tam jest? Mów mi szybko! – zirytowała się.

Szymek też się zdenerwował, że nazwała go głupim, wypalił więc bezlitośnie:

– Trup. Tam leży trup i będziemy musieli po nim przejść.

– Nigdy w życiu nie przejdę po trupie. Ja wracam! – Rozpłakała się.

Szymek od razu pożałował swojego nieco obcesowego zachowania. Dziewczęce łzy zawsze tak na niego działały. Jak na każdego normalnego chłopca. Odwrócił się w jej stronę i mocno złapał za rękę.

– Przeniósłbym cię, ale z tobą na grzbiecie nie przeciśniemy się. Jeszcze łeb rozbijesz. Będę cały czas trzymał cię za rękę i postaram się przejść tak, żebyś na niego nie nadepnęła, dobrze? – powiedział łagodnie.

– A na co on tu umarł? – zapytała naiwnie Zosia.

– Rozmaicie mogło być. Albo gaz szwaby zapuścili i się zadusił, albo ranny był i bez sił, więc nie doszedł, gdzie powinien.

– No dobrze, to chodźmy, tylko cały czas trzymaj mnie za rękę – hardo powiedziała Zosia i otarła łzy z policzków.

Jednak zanim przeszli dalej, kilkanaście minut musieli walczyć z Ziutkiem, żeby poszedł z nimi, bo stał jak wryty i za nic nie chciał się ruszyć. Ani nakazy Szymka i Zosi, ani próby przesunięcia siłą psa nic nie dały.

– Ziutek, za mną! – zdenerwował się Szymek i ominął z trudem ogromne cielsko psa.

Po chwili Zosia zrobiła to samo i dopiero wtedy pies ruszył za nimi.

Dotarcie do właściwego włazu zajęło im kilka godzin, ale gdy wreszcie go znaleźli, poczuli ulgę, że w końcu wydostaną się na powierzchnię. Oboje z Zosią stwierdzili, że wolą uciekać przed ostrzałem i patrolami, niż spędzić chociaż minutę dłużej w kanale.

Na dworze świtało, a do ich uszu dobiegały jedynie pojedyncze strzały. Po chwili dotarli do posterunku, gdzie stali partyzanci.

– A wy co tutaj robicie? – surowo zapytał jeden z nich.

Szymek wskazał na opaskę i odpowiedział dumnie:

– Mam meldunki dla oddziału „Siekiery”.

– A oni? – zdziwił się żołnierz i Szymkowi się zdawało, że oblizał się, patrząc na Ziutka jak na sztukę mięsa.

– To też powstańcy – bąknął przerażony chłopiec i szybkim krokiem ruszył we wskazane przez żołnierza miejsce.

Tak oto Szymek Wielopolski w ostatnich dniach walk został powstańcem. Przypadkowym, ale dumnym, że chociaż przez jakiś czas mógł nosić na przedramieniu opaskę i przekazał meldunek jednemu z dowódców. Zadeklarował co prawda, że może się jeszcze przydać i przenosić inne wiadomości, ale dowódcy jedynie machali rękami z rezygnacją. Szymek nie miał świadomości, że miasto dogorywa, a walki powstańcze zaraz się zakończą, co wkrótce nastąpiło, a on został rozdzielony z Zosią i psem. Oni poszli razem z cywilami, a on – jak prawdziwy żołnierz, z powstańcami. Kiedy zorientował się, że z racji wieku mógł wmieszać się w tłum cywili i zrzucić niepostrzeżenie opaskę, już popędzano go wraz z innymi młodymi chłopcami biorącymi udział w walkach. Trafili do stalagu w Lamsdorf.

3. Murnau, Garmisch-Partenkirchen, Oflag VII A, 1945

– A temu co? – warknął strażnik, pochylając się nad pryczą Juliana Chełmickiego, który nie stanął do raportu, jak wszyscy pozostali mieszkańcy baraku.

– Ma gorączkę. Potrzebuje lekarza, meldowałem… – zaczął Sergiusz Dargiewicz, ale strażnik przerwał mu.

– Zaraz zobaczymy – mruknął.

Nie musiał być lekarzem, żeby dostrzec spierzchnięte usta i rozpaloną twarz żołnierza. Nie dotykał go jednak z obawy przed zarażeniem się jakimś paskudztwem.

– Do szpitala z nim! – krzyknął.

– Wybyczy się chłopina, a Amerykanie i tak zaraz przyjdą i zrobią rozpierduchę jakich mało – roześmiał się jeden z żołnierzy.

Sergiusz uśmiechnął się również. Wszyscy z utęsknieniem czekali na wyzwolenie. Sądzili, że to będzie za kilka dni, ale te zamieniły się w długie tygodnie tułaczki, od Ożarowa, przez Lamsdorf, aż do tego miejsca w okolicach Monachium. Wielu powstańców, wycieńczonych walką, po prostu umierało podczas transportów, nie mogąc doczekać się żadnej konkretnej pomocy. Jednak ci, którzy jeszcze dawali radę, dostawali chociaż miskę cienkiej zupy, która po wielu dniach głodu okazywała się zbawienna.

„Kary” pomyślał, że los z niego zakpił, skoro znalazł się tutaj razem z Chełmickim. Nie widzieli się w Warszawie, ani podczas drogi do obozu, Sergiusz nawet sądził, że Julian po prostu podzielił los wielu innych żołnierzy, czyli zginął w walce lub pod gruzami, a tymczasem spotkali się ponad tysiąc kilometrów od zrujnowanej stolicy. Jedyną pozytywną stroną tego spotkania był fakt, że Sergiusz w końcu dowiedział się, że Alicja, chociaż ranna, przeżyła powstanie i podobnie jak oni tułała się gdzieś po niemieckich stalagach. Dawało to jednak nadzieję, że już nic złego jej nie spotka. Łudził się, że rana Alicji nie była tak paskudna, jak Chełmickiego, ale Julian uspokoił go, że dostała jedynie w ramię, które już się prawie zagoiło dzięki szybkiej interwencji Weroniki.

Tak, los lubił sobie żartować, nawet w obliczu takiego dramatu, jakim było powstanie warszawskie. Alicję skazał na łaskę Weroniki, swojej największej rywalki, a jego umieścił w jednym baraku z tym mydłkiem, Julianem.

***

Sergiusz Dargiewicz w istocie miał wiele szczęścia, że niemal bez szwanku przetrwał powstanie, ale on dobrze wiedział, dlaczego los okazał się tak łaskawy. Od pierwszego dnia przerażała go brawura powstańców. Szli jak prosięta na rzeź, z pieśnią na ustach i szczytnymi hasłami. A chwilę potem leżeli martwi, zbroczeni krwią i sponiewierani przez wroga. Tyle im przyszło z tej męskiej odwagi. Dlatego „Kary” strzelał jedynie z ukrycia i starał się ograniczać ryzyko utraty życia do minimum. Krył się w załomach budynków i rozpadlinach, nie biegnąc na złamanie karku jak kosynierzy na rosyjskie armaty. Na szczęście dowódcy Narodowych Sił Zbrojnych nie byli desperatami i za wszelką cenę próbowali chronić swoich żołnierzy. Dopóki powstańcy zdobywali kolejne ulice i budynki, a powstańcza poczta roznoszona przez harcerzy funkcjonowała całkiem znośnie, miał też informacje o Alicji. Od niej samej na początku przyszedł lakoniczny liścik, a potem były to jedynie wiadomości z drugiej ręki. Starał się nie myśleć, że gdzieś tam, kilka kilometrów od jego posterunku, Alicja jest blisko Chełmickiego. Wolał nie wiedzieć, czy w chwilach zwątpienia i grozy, oplatającej miasto swoim kokonem, nie tuli się w jego ramionach. Pragnął zapomnieć, że ci dwoje byli sobie kiedyś bardzo bliscy, a Alicja wręcz szalała za tym durniem, który chwilami zachowywał się jak Don Juan, przewracając w głowie nawet młodej, słodkiej Esperanzie. Uśmiechnął się na myśl o niej. Była naprawdę piękna i pociągająca. Jak marzenie senne, w którym spotyka się kobietę idealną. O jej charakterze niewiele umiał powiedzieć, bo znali się zbyt krótko, ale był przekonany, że należała do tego samego gatunku kobiet, co Alicja. Gładka skóra i ostry charakterek. Zapewne niejednemu przewróciła w głowie, doprowadzając go do rozpaczy uporem i dumą. A on był gotów spuścić jej lanie, by ocalić dupę temu typkowi, który poniewierał kobietami według własnego uznania.

Ich bastion padł w połowie września. A Sergiusz, jak wielu innych mu podobnych, złożył broń i trafił do obozu przejściowego w Ożarowie. Patrzył

na niektórych żołnierzy, którzy płakali jak dzieci, widział i takich, dla których świat się skończył i strzelali sobie w skroń, byle się nie poddać. „Kary” ani nie płakał, ani nie myślał o palnięciu sobie w łeb. Chciał żyć. Posmakować wolności, świata, gdzie mógłby w spokoju sączyć prawdziwą kawę i patrzyć na swoją ukochaną Alicję i małego Mateuszka. Nie chciał zapamiętać w chwili śmierci jedynie zniewolenia, strachu i nienawiści do tych, którzy zniszczyli mu rodzinę. Nie zależało mu na byciu bohaterem. To nie było jego życie.

Po Ożarowie był Lamsdorf, a potem przewieziono ich tutaj. Wszędzie podle i beznadziejnie. Jedyne, co tliło się w nim, to myśl, że ten koszmar zaraz się skończy i lepiej, żeby w chwili upadku Rzeszy znalazł się po właściwej stronie.

***

Z zamyślenia o przeszłości wyrwał go głos wyczytujący jego nazwisko po odbiór korespondencji. Rzucił się na list jak wygłodniałe zwierzę, lecz chwilę później, załamany, opadł na pryczę. Napisał do leśniczówki, do wuja Alicji. Wiedział, że to jedyne miejsce, gdzie mogła powrócić. Odpisała mu babka Alutka. Bez używania swojego zwyczajowego ostrego języka poinformowała go, że Alicja ocalała i powróciła do leśniczówki po powstaniu. A potem pojechała do Warszawy, żeby go odszukać, i od tej pory ślad po niej zaginął.

Sergiusz nie miał pojęcia, co mogło jej się przytrafić. Wojsko radzieckie już wkroczyło na dobre do Polski i zadomowiło się w stolicy. Niemcy uciekali w popłochu na zachód, a armie radzieckie parły na Berlin. Gdzie, u licha, mogła się podziać? Z jednej strony powinien się cieszyć, że jednak go kocha, jeśli pojechała go szukać, z drugiej – wściekał się, że jak zwykle była zbyt niecierpliwa, by poczekać na wieści. Cała Alicja. Miał nadzieję, że nie wpakowała się w żadne kłopoty, tylko włóczy się po jakichś urzędach, żeby dowiedzieć się, czy została z niego kupka popiołu czy też ocalał. Jednak było w tym coś niepokojącego. Jeśli obiecała synkowi, że zjawi się za kilka dni, dotrzymałaby słowa, bo swoje adoptowane dziecko kochała nieprzytomnie. Skoro więc złamała daną obietnicę, musiało wydarzyć się coś naprawdę złego…

***

Sergiusz Dargiewicz nie miał pojęcia, że w chwili, gdy rozmyślał o swojej ukochanej, kilka kilometrów dalej Julian Chełmicki robi dokładnie to samo. Ordynator szpitala przyjmującego chorych jeńców z oflagu podał mu kolejną dawkę cudem zdobytego antybiotyku i jego podopieczny powracał powoli do świata żywych. Wciąż gorączkował, ale nie tak bardzo, jak jeszcze kilka dni temu. Miał jasny umysł i zamiast majaków, które mąciły mu w głowie, powróciły wspomnienia z ostatnich tygodni powstania.

***

Julian wciąż wyrzucał sobie, że dał się zranić i właściwie od tego momentu został jedynie obserwatorem toczących się walk. Rana była paskudna i nie pozwalała mu nawet normalnie siedzieć, nie mówiąc o tym, że miałby chwycić karabin i ostrzeliwać pozycje wroga. Leżał więc w jakimś zaimprowizowanym szpitalu polowym, na brudnej pryczy i przeżywał każdą informację z placu boju, która do niego docierała. Był tak sfrustrowany całą sytuacją, że zrobił się nieprzyjemny dla otoczenia. A że najczęściej widywał sanitariuszki, tym obrywało się najczęściej.

– Do cholery jasnej! Nie mogłabyś robić tego delikatniej?! Przecież to boli jak diabli! – ryknął na młodą, niespełna osiemnastoletnią dziewczynę o pseudonimie „Alina”.

– Przepraszam, kapitanie – wybąkała, przerażona obcesowym zachowaniem pacjenta. – Nie mamy już żadnych środków przeciwbólowych.

– To nie znaczy, że masz mnie traktować jak kawał mięsa! – Chełmicki wciąż nie zmieniał tonu.

– Nie jestem wykwalifikowaną pielęgniarką, kapitanie. Przeszłam jedynie kurs… – usprawiedliwiała się dziewczyna i zaczęła przemywać ranę Juliana z delikatnością zegarmistrza.

– No, przepraszam – mruknął Chełmicki i chcąc nieco załagodzić sytuację, zapytał: – A co robiłaś przedtem?

– Zdałam maturę na tajnych kompletach i to właściwie byłoby wszystko. – Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– A jak wojna się skończy, co będziesz robiła?

– Odszukam swojego chłopca i pobierzemy się. – Ponownie posłała w kierunku Juliana uśmiech.

– I będziesz mu opowiadała o takim jednym wrednym kapitanie… – powiedział z udawaną powagą.

– Jeśli przeżył i zdołam go odnaleźć, nigdy więcej nie wypowiem ani słowa na temat wojny i powstania. – Dziewczyna spuściła głowę.

– Wiem, że to straszne, co się dzieje wokół nas, ale będziesz świadkiem historii, która pisze się na naszych oczach. Musisz mówić przyszłym pokoleniom o tym, co się tutaj stało. Jesteś bohaterką i każdy powinien o tym wiedzieć. – Julian górnolotnymi frazesami próbował zatrzeć złe wrażenie, jakie zrobił na dziewczynie.

– Wie pan co, kapitanie… to wszystko przestało być dla mnie ważne. Ja chcę przeżyć i chcę, żeby przeżył mój Antek. Niczego więcej nie pragnę. Straciłam całą swoją rodzinę… Zaraz po wybuchu powstania brutalnie wywlekli ich z domu i rozstrzelali przed kościołem. Ja byłam wtedy na punkcie i… Nieważne. Zginęli moi rodzice, siostra, brat i babcia. Wszyscy. Więc nie potrafię zachłystywać się tym, co się wydarzyło. Nie tak to miało wyglądać, nie tak miała wyglądać Warszawa. Miało być zupełnie inaczej i jest we mnie złość, jest we mnie gniew. Mnóstwo gniewu, że zginęło tylu niewinnych ludzi, a całe miasto tonie we krwi spływającej z ruin. W tej sytuacji jedyne, na co mnie stać, to milczenie – powiedziała stanowczo, a jej łagodny dotychczas wzrok zrobił się zimny i pełen wściekłości.

Tak, to było właściwe określenie. Ta młoda sanitariuszka nie miała w oczach żalu i bólu, ale złość. Zapewne gdyby kilka minut wcześniej popatrzyła na Chełmickiego w podobny sposób, ten nawet nie odważyłby się jęknąć, a co dopiero rugać tę młodą dziewczynę.

Zastanawiał się nad jej słowami. Była głosem nie tylko swoim własnym, ale setek innych młodych osób, które poczuły się oszukane. Przez kogo? Przez Rosjan, swoich dowódców, aliantów? Nie pytał, to nie miało znaczenia. Jednak poczuł, że nie każdy czuł potrzebę heroicznej walki. Skazanej na porażkę, wcześniej czy później. Do niego także zaczęło docierać, że w końcu się poddadzą. Mimo wielkiego zapału, ogromnej chęci i – jak to powiedział niegdyś „Kary” – pobożnych życzeń, to powstanie niemal od pierwszego dnia skazane było na klęskę. A jednak i on, i Sergiusz chwycili za broń, by walczyć dla tej przegranej sprawy. Julian gdzieś na dnie duszy wierzył, że stanie się cud, ale z każdym dniem owa wiara ulatniała się w chmurach dymu, w zgliszczach budynków i w duszach poległych. Mimo

to jednak dręczył go fakt, że wyleguje się na pryczy, zamiast zastrzelić kolejnego Niemca.

Gdy powoli godził się z faktem, że jest jedynie ciężarem, myślał o swojej żonie i Alicji. Obie były bardzo dzielne i miał nadzieję, że obie ocalały. Gdy więc przyszedł do niego obszarpany chłopak z wiadomością, iż i jedna, i druga żyje – odetchnął z ulgą. Weronika była ranna w nogę i podobnie jak on leżała gdzieś w lazarecie, a Alicja wciąż walczyła. Jego dzielna Alicja, która sarkała, że idą na rzeź jak prosięta, i złorzeczyła pomysłodawcom tego przedsięwzięcia, nie poddawała się. Przypominał sobie, jaką osobą niegdyś była Alicja Rosińska, tancerka i uwodzicielka. Mała, przebiegła egoistka, gotowa iść po trupach, byle osiągnąć swój cel. Nie zważała na innych, z głową pełną szaleństwa, nagle zmieniła się w kobietę, której postawa była godna najwyższego uznania i mogła stanowić dla innych wzór. Był ciekaw, czy gdyby zamiast tej młodej sanitariuszki stanęła przed nim Alicja, czy powiedziałaby to samo, co usłyszał od „Aliny". Pewnie tak, z tą różnicą, że Alicja dorzuciłaby jeszcze kilka przekleństw, które niegdyś tak bardzo go złościły, bo nie licowały z postawą prawdziwej damy. A jednak właśnie ją kochał, chociaż to Weronika prezentowała wszystko, co było dla niego kwintesencją kobiecości.

Wiadomość o kapitulacji powstania dotarła do niego pewnego ponurego dnia, który miał różnić się od innych jedynie datą. Od tygodnia mógł się już poruszać, podpierając się prowizorycznymi kulami, i łudził się, że niebawem będzie mógł dołączyć do walczących kompanów.

Pierwsze, co go zdumiało, to cisza. Niekiedy miał dosyć odgłosów wystrzałów, spadających bomb i serii z karabinów. Marzył o głuszy, jaka niekiedy panowała w Chełmicach, gdy akurat nie przebywali w ich domu żadni goście. Siadał wtedy na tarasie, obok matki i ojca, i wsłuchiwał się w błogą ciszę, przerywaną od czasu do czasu jakimś świergotem ptactwa albo szumem drzew. Ale ta cisza, z którą teraz miał do czynienia, nie wróżyła niczego dobrego. Poczuł, że serce wali mu jak oszalałe. Nie miał pojęcia dlaczego, ale dopadł go irracjonalny lęk. Tak jakby ów spokój był zwiastunem śmierci, a huk bomb i strzałów stanowił świadectwo życia.

Wkrótce do pomieszczenia wszedł jeden z jego kompanów.

– To koniec, kapitanie. Dowództwo podpisało akt kapitulacji. Musimy złożyć broń i oddać się w ręce Niemców – cicho powiedział chłopak i za-

czął zsuwać z rękawa biało-czerwoną opaskę, która po tylu dniach walk była już prawie czarna.

– Możesz zostawić mnie samego? – wyszeptał Julian.

– Tak jest, kapitanie. Tylko… proszono mnie, żebym przekazał, iż musi się pan kapitan stawić w punkcie dowodzenia. Miałem panu kapitanowi pomóc się tam dostać.

– Przyjdę zaraz. Dam sobie radę. Idź już – mruknął Chełmicki.

– Tylko niech pan kapitan nie zrobi żadnego głupstwa… – zaczął jąkać się chłopak.

– Idź już! – stanowczo i niezbyt przyjemnym tonem odpowiedział Julian.

Gdy pozostał sam, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Wśród zrujnowanych budynków ze spuszczonymi głowami szli młodzi mężczyźni, przybici przegraną. Julian poczuł ból tak silny, że gdyby w istocie miał przy sobie broń, w tym momencie przystawiłby ją sobie do skroni. Jednak oddał ją tym, którzy jej potrzebowali. On, leżąc na pryczy, mógł sobie jedynie na nią popatrzyć, dlatego postanowił, że przekaże ją walczącym chłopcom. Gorące łzy zaczęły spływać mu po policzkach. Chociaż spodziewał się podobnego końca, nie sądził, że gdy ten nastąpi, kompletnie go rozklei. Powoli wyszedł z budynku, nie bacząc na to, iż płacze. Co z tego, że to było takie niemęskie i wstydliwe, płakało wielu. Twardziele, którzy przez wiele tygodni spali na gołej ziemi, nie jadali niemal nic i tłukli Niemców jak wszy na kołnierzu, teraz szli, szlochając jak dzieci.

W punkcie dowodzenia jedynie potwierdzono mu hiobowe wieści i dano wybór, jak może się poddać. Niektórzy nie odpuszczali i postanowili się ukryć, by wciąż walczyć, ale on nie nadawał się ani do ucieczki, ani tym bardziej do dalszej walki. Trafił do Ożarowa, a stamtąd do stalagu na terenie Rzeszy, gdzie stanął oko w oko ze swoim rywalem i poniekąd przyjacielem, „Karym”. Pomyślał wtedy, że gdyby nie Alicja, ich relacje mogłyby być dużo mniej skomplikowane. Mieli odmienne poglądy i różne charaktery, ale obaj wiedzieli doskonale, gdzie znajduje się granica pomiędzy dobrem i złem, a to łączyło bardziej niż jakiekolwiek przekonania.

4. Monachium, 1945

Renate Zoll powoli dochodziła do siebie po ataku ogromnego psa, który rzucił się na nią w bramie kamienicy na Woli. Zwłaszcza że po ewakuacji szpitala niemieckich pacjentów przeniesiono do Breslau i tam nie musiała już martwić się, że zostanie zgwałcona albo zamordowana. Lekarze zajęli się nią należycie, ale orzekli, iż z jej paskudnymi bliznami na twarzy może poradzić sobie jedynie profesor Gottman, który opracował nowatorskie metody w dziedzinie chirurgii plastycznej. Na szczęście jeszcze w Warszawie zajęto się jej uszkodzonymi strunami głosowymi i chociaż wciąż jej mowa przypominała skrzypienie nienaoliwionych drzwi, mogła wydobywać z siebie głos.

Profesor Gottman był przysadzistym mężczyzną z nosem przypominającym kartofel, co nie najlepiej świadczyło o jego profesji, bo według Renate jego zespół powinien najpierw doprowadzić do porządku twarz swojego guru. Nie miała jednakże wyjścia i musiała zaufać chirurgom z Monachium. Jej twarz stanowiła, zaraz po długich nogach, największy jej atut, a w tym momencie wyglądała po prostu okropnie. Wzdłuż policzka biegła głęboka blizna, zniekształcająca także oko i usta, gdzie naciągnięta skóra tworzyła brzydką asymetrię.

Doktor Gottman przyglądał się Renate bardzo długo, co było tak samo irytujące, jak jego mlaskanie, kręcenie głową i mruczenie. Chciała konkretów i natychmiastowych działań, a nie krótkich „hm”, przeplatanych od czasu do czasu równie krótkim „ojoj”.

– I co, panie profesorze? – zapytała z westchnieniem Renate.

– To będzie trudny zabieg. Ta blizna jest bardzo głęboka i paskudna. Poza tym nie ma pani fragmentu kości policzkowej. To niewielki ubytek, ale jednak… Myślę, że nie skończy się na jednej operacji i będziemy musieli wykonać ich całą serię – odpowiedział lekarz.

– Kiedy możemy zacząć? – niecierpliwiła się Renate.

– Proszę uzbroić się w cierpliwość, panno Zoll. Musimy zrobić niezbędne badania, ale myślę, że pierwszy zabieg powinniśmy zaplanować już na przyszły tydzień – spokojnie odpowiedział Gottman.

– Dopiero? – jęknęła, po czym zapytała cicho: – Panie profesorze, czy ja jeszcze kiedyś będę piękna?

Gottman uśmiechnął się.

– Będzie pani równie piękna, co gwiazdy Hollywood, ale nie gwarantuję, że podobna do tej kobiety, jaką pani była przedtem, zwłaszcza że dysponuje pani jedynie sfatygowanym zdjęciem paszportowym. Zresztą tego typu zabiegi zawsze nieco zmieniają wygląd.

– Panie doktorze, mogę nie być do siebie podobna ani trochę, ja jedynie chcę być tak piękna, jak kiedyś – westchnęła Renate.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, panno Zoll – zapewnił Gottman i nakazał swojej pacjentce powrót do sali.

Renate wyszła z gabinetu profesora, ale zamiast do sali udała się do parku okalającego szpital. Nie myślała o tym, co było, ani o tym, co dzieje się teraz, ale o swojej oszpeconej twarzy. Do kogo mogła kierować pretensje, na kim się zemścić? Pragnienie odwetu, sącząca się nienawiść i otaczająca jej duszę złość pozwalały Renate Zoll przejść najgorsze chwile w życiu. Oczami wyobraźni widziała porażkę osób, które ją skrzywdziły. Tym razem nie mogła nic zobaczyć, bo nawet jeśli miałaby tego psa pod ręką, mogłaby go jedynie zastrzelić i skrócić jego żywot. Z ludźmi było inaczej, oni cierpieli w inny sposób. A przynajmniej tak wydawało się Renate. Przez chwilę pomyślała o Weronice Sarnowskiej, kompletnie nieświadomej lekarce, która uchroniła ją przed barbarzyńskim gwałtem i nie wykazywała w stosunku do niej żadnej wrogości. Stanowiła jedynie zagrożenie w głowie panny Zoll, gdy tymczasem to największe przyszło z najmniej oczekiwanej strony. Teraz, gdyby spotkała na swojej drodze Sarnowską, jedynie podziękowałaby jej i nie zrobiła nic, co mogłoby jej zaszkodzić.

Kolejne minuty spędzone w parku, gdy aura wcale nie sprzyjała spacerom, Renate poświęciła marzeniom. O nowym życiu i nowej twarzy, którą stworzy dla niej profesor Gottman. Co wówczas zrobi? Zapewne człowiek, z którym wiązała największe swoje nadzieje, czyli Erich Vader, był skończony. Rosjanie i wojska sprzymierzone lada moment wygrają wojnę, a takich jak on będą wieszać na latarniach. Emil Lewin? Tak, ten szybciej dogada się z Rosjanami, bo potrafił wpasować się w każdy układ. Był jak chwast, który szybko wyrastał w każdym nowym otoczeniu. Był dokładnie taki jak ona. Nie zamierzała jednak szukać go, zanim jej twarz nie będzie przypominała ludzkiej. A może otworzą się przed nią nowe możliwości? Była folksdojczką, ale przecież nikt nie musiał o tym wiedzieć, gdyby powróciła do Polski. A jeżeli stanie się cud i wielka Rzesza na nowo powstanie z kolan, na powrót może im służyć, a oni jej. Tak jak teraz, gdy zapew-

nili jej pomoc najlepszego specjalisty w tym kraju. Profesor Gottman pierwsze operacje wykonywał już po I wojnie światowej, kiedy okaleczeni żołnierze powracali z frontu. Dokonywał niemalże cudów, by ich twarzom przywrócić normalny wygląd. Miała nadzieję, że jej także zwróci dawne życie, gdy była piękna i stanowiła obiekt pożądania. Właściwie jedynie Walter von Lossow nie szalał za nią. I cóż z tego, skoro los sam wymierzył mu sprawiedliwość za to, jak ją potraktował. Gryzł ziemię i nawet nie miał mu kto postawić nagrobka, bo nie sądziła, aby Rosjanie byli tak szlachetni i budowali dla niemieckich żołnierzy cmentarze. Z jednej strony żałowała, że Lossowa nie ma wśród żywych, bo mogłaby karmić się chęcią zemsty i ukarania go w bardziej wyrafinowany, aczkolwiek okrutny sposób. Teraz jednak było już za późno. Musiała rozpocząć nowe życie bez tej kojącej myśli, że kiedyś Lossow na powrót oszaleje na jej punkcie, a ona potraktuje go tak samo, jak on niegdyś ją.

5. Dworek w Lennicy, 1945

Walter von Lossow siedział w głębokim skórzanym fotelu i czytał książkę, jedną z wielu, jakie znajdowały się w bibliotece ojca. W kominku skwierczał niewielki płomień, nie tylko ogrzewając pokój, ale także dodając pomieszczeniu przytulności, podobnie jak fikuśny abażur znajdujący się na mosiężnej lampie. Jedną ze ścian zajmował szeroki regał wypełniony książkami, na drugiej wisiały trofea myśliwskie starego Lossowa, Martina. Wysokie, wąskie okna wychodziły na gęsty bukowy las, o tej porze roku jednak zniechęcający raczej do wypraw i spacerów aniżeli kuszący swoją dziczą. Walterowi było dobrze w tym miejscu, w którym był. W swoim rodzinnym domu, w bibliotece ojca. W pokoju obok odpoczywała po obiedzie Lilly, a rodzice siedzieli w salonie. Siostrę, Leni, gdzieś poniosło, najpewniej do Poznania, bo niezbyt lubiła zacisze ich majątku i wciąż marudziła, że wolałaby mieszkać w mieście.

Tak, wszystko mogłoby być idealne, gdyby nie powracające obrazy z frontu wschodniego i z Kleine Seedorf. One mąciły ten błogi spokój, którym Walter starał się cieszyć jak najdłużej. Jego rodzice mieli swoje problemy, które jemu wydawały się tak błahe, że nawet nie zaprzątał sobie nimi głowy. Byli dużo ubożsi niż przed wojną, zanim Hitler doszedł do władzy, a ojciec musiał sprzedać kilkadziesiąt hektarów pól i lasów, żeby mieli z czego żyć. Teraz dla odmiany martwili się, że Niemcy przegrywają wojnę, a ich ojczyzna popada w ruinę, podobnie jak to było po pierwszej wojnie. Ojciec co prawda odziedziczył po swoich rodzicach dość dużą posiadłość pod Berlinem, ale i tak to wszystko wydawało się niczym w porównaniu z tym, czym dysponowali przed wojną. Lukratywne interesy, jakie prowadził Martin von Lossow, skończyły się, gdy tylko NSDAP postanowiła wypowiedzieć wojnę Żydom, a to właśnie z nimi ojciec dobijał najlepszych targów.

Jednak Walter nie potrafił się przejmować takimi głupstwami, bo to wszystko, co spotkało jego rodzinę, było niczym w porównaniu z tym, co przeżył on. Chwilami nawet myślał, że lepiej byłoby, gdyby pewnego dnia dostał kulkę i odpłynął w nicość czy gdziekolwiek, co istniało po śmierci. Jeśli w ogóle istniało. Jego przyjaciel, Julian Chełmicki, uważał, że tamten świat to rajska kraina, o ile za życia nie popełni się żadnych niegodziwości. Igor Łyszkin zaś wyśmiewał go i mówił, że jak na inteligentnego i wy-

kształconego człowieka Julian mówi straszne głupoty. Walter był gdzieś pośrodku. Nie wykluczał życia po śmierci, bo nie wyobrażał sobie, że przestaje istnieć, czuć, myśleć, ale pojęcia raju i piekła wydawały mu się zbyt infantylne i według niego zostały wymyślone przez człowieka, by mógł tymi pojęciami straszyć innych ludzi.

Teraz jednak Walter żył i pragnął, aby owo życie wyglądało jak niegdyś, gdy kolejny dzień zapowiadał niespodziankę, a z każdego zdarzenia czerpało się albo przyjemność, albo naukę. A on nie potrafił już cieszyć się tak jak kiedyś. Prześladowała go wizja trupów na leningradzkich ulicach, widok stłamszonej i zbrukanej Olgi, martwej Holly Evans, a potem puste spojrzenie Hansa Gąski – jego ofiary. Nawet uczucie do Lilly zdawało się jedynie złudzeniem i pragnieniem akceptacji. On czuł, jakby wypalił się w środku, bo przestał kochać samego siebie. Cieszył się jednak, że udało mu się dotrzeć do rodzinnego domu i zobaczyć wszystkich całych i zdrowych. Jednak gdy nachodziła go refleksja, myślał z goryczą, że jakkolwiek zdołał utopić w jeziorze ciało Hansa, tak własnych demonów nie zdołał i przywędrowały wraz z nim do podpoznańskiego dworku.

***

Długa to była droga do domu, zwłaszcza że Lilly była uparta i gdy Niemcy ewakuowali ludność z terenów Prus Wschodnich, ona postanowiła zostać. Do tej pory nie miał pojęcia, dlaczego tak bardzo jej ulegał. Chyba dławiły go wyrzuty sumienia, chociaż wskutek jego zbrodni Lilly Berg mogła znowu poczuć się wolna. W końcu jednak zdecydowała się opuścić Kleine Seedorf i pojechać wraz z nim do Rzeszy. Zapewne tę decyzję zawdzięczał bardziej matce Lilly niż jej samej, nie to jednak było najważniejsze, ale fakt, że w końcu mogli ruszyć przed siebie.

Peron stacji w Neidenburgu wypełniony był setkami ludzi i stertami tobołków. Rosjanie byli już w Prusach Wschodnich, a o ich okrucieństwie krążyły legendy. Przerażeni ludzie uciekali do Rzeszy czym się dało – często furmankami, a co bogatsi samochodami albo pociągami, tak jak ci, którzy byli zgromadzeni na dworcu w Neidenburgu. Gdyby Walter miał określić ten exodus jednym słowem, użyłby stwierdzenia „panika”. Niemieckie wojsko jakby zapadło się pod ziemię, pociągi zdawały się marzeniem sennym, a kolejarze i zawiadowcy wzruszali jedynie ramionami. W pewnej

chwili nastąpiło wśród stojących jakieś poruszenie, ludzie zaczęli gdzieś uciekać, każdy w inną stronę, tratując po drodze bagaże, a niekiedy i osoby stojące im na drodze. Lossow był kompletnie zdezorientowany i nie miał pojęcia, co się dzieje.

– Co wy robicie?! – wrzasnął, starając się przekrzyczeć spanikowany tłum.

– Rosjanie. Nie nasi, tylko Rosjanie – odpowiedział mu zdyszany mężczyzna i zaczął przepychać się do wyjściowej bramki.

– I co teraz? – zapytała pobladła Lilly. – Boże, wywiozą nas na roboty do Związku Radzieckiego, jak innych.

– Nie wywiozą – powiedział bez przekonania Walter.

To byłaby najgorsza rzecz, jaka mogłaby go spotkać. Powrót do miejsca, z którego tak bardzo chciał uciec i w końcu dzięki Igorowi to mu się udało.

Z oddali usłyszeli krzyki w języku rosyjskim i łamanym niemieckim, nawołujące do zatrzymania się i zachowania spokoju. Gdy jednak tłum nie reagował, rozległy się strzały. Nagle, w jednej chwili wszyscy zatrzymali się i oczekiwali na najgorsze. Nadjechał pociąg towarowy, ale nikt nie ośmielił się ruszyć. Radzieccy żołnierze ustawili się wzdłuż torów i nakazywali wsiadać po czterdzieści osób do każdego z wagonów. Przerażeni ludzie patrzyli na siebie i wciąż stali w miejscu, jakby nie mogli uwierzyć, że wojsko każe im wsiadać do bydlęcych boksów.

– Gdzie jedziemy? – zapytał odważnie jeden z mężczyzn.

– *Kuda*? *Na wostok* – zarechotał żołnierz i krzyknął: – *Bystrieje, sobaki!*

Walterowi serce zaczęło bić jak oszalałe. Mógł jechać w każdą inną stronę świata, byle nie na wschód. Wziął Lilly za rękę i zaczął przepychać się między stojącymi ludźmi, w stronę jednego z funkcjonariuszy.

– *Sołdat…* – zaczął niepewnie łamanym rosyjskim. – Ja nie jestem stąd. Byłem tutaj na robotach. Jestem Polakiem i mieszkam w Bydgoszczy, to moje papiery.

Żołnierz wziął od Waltera dokumenty Janka Solskiego, popatrzył na nie, a potem na Lilly.

– A ta *krasawica*? – zapytał podejrzliwie.

– To moja żona, Lidka Solska – pewnym głosem odpowiedział po polsku Lossow.

– Dokumenty!

– Chwileczkę – grzecznie odpowiedział Walter.

Oczywiście Lilly Berg nie miała polskich dokumentów i Lossow nie miał pojęcia, jak z tego wybrnąć. Postawił swój plecak oraz tobołek Lilly i zaczął powolutku wszystko z nich wyciągać. Zniecierpliwiony żołnierz popatrzył na niego, potem na słodką twarz Lilly i warknął:

– *Ubiratsja*. – Po chwili krzyknął do swoich kolegów: – *To Polaki!*

Żołnierze nie protestowali, a stojący ludzie patrzyli na nich z zazdrością, gdy opuszczali teren dworca w Neidenburgu.

– I co teraz? – jęknęła Lilly. – Na pewno następnym razem mi nie popuszczą. I ciebie zwolnią, a mnie wywiozą na wschód. Mówiłam, że lepiej nam będzie w Kleine Seedorf. Po co się pchaliśmy na poniewierkę?

Walter nie mógł już dłużej słuchać tych utyskiwań, wystarczająco mocno sam był zdenerwowany całą sytuacją. Nie miał już siły uspokajać Lilly, której przywiązanie do rodzinnej wsi sprawiło, że nie zdążyli się ewakuować wraz z innymi, gdy była ku temu sprzyjająca okazja. Zatrzymał się i puścił dłoń Lilly.

– To wracaj, do cholery. Do tej swojej dziury zabitej dechami, gdzie cywilizacja zdaje się nie dociera – ryknął.

Zrobił to pierwszy raz. Nigdy wcześniej nie podniósł głosu na Lilly. Przeraziło ją to tak bardzo, że zaczęła głośno płakać. Naprawdę była niczym małe dziecko. Nie miał pojęcia, jak zdoła z nią dotrzeć do miejsca, gdzie mogliby poczuć się bezpiecznie.

– No masz ci los, teraz będziesz płakać – westchnął i dodał: – Przepraszam, Lilly. Byłem tak samo przerażony, jak i ty, ale uwierz, tam, na wschodzie, jest strasznie.

Po chwili wpadł na pewien pomysł. Wyciągnął z plecaka swoją koszulę, potem drugą i zwinął je w kulkę. Podwinął płaszcz Lilly, potem bluzkę i upchnął ubrania w taki sposób, aby dziewczyna wyglądała na ciężarną. Miał nadzieję, że dzięki temu łatwiej im będzie uzyskać pomoc. W istocie, już niebawem widok kruchej, drobnej kobiety idącej z ogromnym brzuchem sprawił, że nie mieli problemu, by jakiś uczynny wieśniak podwiózł ich furmanką kilka kilometrów. Lossow chciał dotrzeć jak najdalej na zachód, by w końcu znaleźć się na terenach kontrolowanych przez Niemców. W okolicach Mławy nawet kursowały pociągi i po trzech dniach dotarli do posiadłości w Lennicy.

Każdy odcinek podróży był męką. Jechali w ogromnym ścisku, bo Niemcy i folksdojcze masowo opuszczali Polskę, by uciec jak najdalej od Ro-

sjan, którzy cieszyli się bardzo złą sławą. Nie bez powodu zresztą. Tłoczyli się na dworcach, w przedziałach pociągów, gdzie zamiast wygodnych siedzeń znajdowały się trzy piętra twardych desek, by więcej ludzi można było upchnąć w przedziale. Na tych wyższych zazwyczaj sadzano dzieci, a nad nimi walizki i tobołki z rzeczami osobistymi. Najczęściej uciekinierami byli ci, których przynależność narodowa była jedynie formalna, znajdowali się wśród nich głównie ludzie z pogranicza. Niekiedy bywali Polakami, niekiedy Niemcami, ale o sobie dumnie mówili Mazurzy czy Ślązacy. Szykanowani przez wkraczających Rosjan, zostawiali swoje większe i mniejsze majątki, porzucali swoje dotychczasowe życie, by udać się do miejsc im obcych i kompletnie nieznanych. Tak samo, jak Walter i Lilly, czekający do ostatniej chwili z ucieczką w nadziei, że Rosjanie zostawią ich w spokoju albo Niemcy staną na nogi, a oni będą mogli nadal żyć normalnie, we własnych domach.

Byli i tacy, dla których nie wystarczyło miejsca, gdy ewakuowano Prusy Wschodnie. Jeden człowiek opowiadał o statkach, kutrach i zwykłych łodziach odpływających z portów Wybrzeża Gdańskiego. W porcie działy się dantejskie sceny, a małe dzieci podawano sobie z rąk do rąk, bo rodziny z niemowlętami miały pierwszeństwo przy wejściu na pokład. Głowa przy głowie, ramię przy ramieniu i w końcu padł rozkaz, by wszystkie bagaże wyrzucić do morza, bo pokłady były zbyt obciążone uciekinierami. Po wodach zatoki unosiły się walizki i tobołki, czyjeś życie spakowane w niewielkie pakunki, które po pewnym czasie tonęły, niczym niemi świadkowie historii. Ci, dla których zabrakło miejsca, szukali innych sposobów, by wydostać się z Polski, zakleszczeni pomiędzy nadciągającymi Rosjanami i wycofującymi się Niemcami. Wielu z nich wciąż nie rozumiało, co się dzieje, na ich twarzach malowało się zdziwienie, że płacą za coś, czemu nie byli winni. Pozostali złorzeczyli i wyklinali barbarzyńskie praktyki Rosjan, jakby nie chcieli wiedzieć, że Polacy przez pięć lat byli traktowani w podobny sposób przez naród, do którego uciekinierzy mentalnie i formalnie należeli. W chwilach zwątpienia, gdy zmęczeni gotowi byli wrócić do swoich domów, zawrócić z tej niepewnej tułaczki, ktoś zaczynał opowieść o wywózkach na Wschód i praktykach Rosjan. A im więcej czasu mijało, owe opowieści robiły się mroczniejsze i coraz bardziej fantastyczne.

W takich chwilach Walter von Lossow milczał. Był na Wschodzie i widział niejedno, ale miał świadomość, że to wszystko rozpętali Niemcy, nie

bacząc na to, iż najwięcej ucierpią ci najbardziej bezbronni, zwykli ludzie, którzy niewiele mieli wspólnego z wielką polityką, a nawet z samą wojną. Nachodziła go refleksja, nie po raz pierwszy zresztą, nad tym, co ludzie sobie robią. To nie był żywioł natury, nad którą człowiek nie panował, ani atak dzikich, bezrozumnych zwierząt, ale istot myślących i czujących. Zastanawiał się, jak można rezygnować ze szczęścia i pięknego, spokojnego życia w imię idei i chęci zdobycia władzy. Gdzież był sens i co siedziało w głowach ludzi, którzy poświęcali życie milionów maluczkich? Mógł się zastanawiać, rozważać i mieć swój osąd, ale zawsze na końcu pojawiał się on, pojedynczy człowiek, za którego decydowano o wszystkim. Nawet o tym, kiedy powinien umrzeć. Wiedział także, że nie tylko on pozostanie z bagażem przykrych doświadczeń i czarnych myśli, dopóki będzie w stanie czuć cokolwiek. Każdy człowiek będzie nosił w sobie bliznę do końca swojego żywota, i nawet jeśli świat się kiedyś opamięta, te blizny pozostaną w ludzkich duszach na zawsze.

Lilly siedziała obok niego, czasami drzemała, opierając głowę o jego ramię, by budzić się z przerażeniem w oczach i zerkać niepewnie w okno, chcąc dostrzec nazwę miejscowości, chociaż i tak nic by jej to nie powiedziało. Pytała więc wciąż i wciąż, gdzie się znajdują i czy mogą czuć się bezpieczni. Zapewne myślała o przyziemnych sprawach i tęskniła za spokojem, który miała jeszcze tak niedawno, patrząc na taflę jeziora i gęsty las. Teraz jechała w nieznane, chyba po raz pierwszy znajdowała się tak daleko od domu, a jednak ta prostota jej obaw zaczynała irytować Waltera. Był dumny z siebie, że może się nią zaopiekować, i cieszył go fakt, że go uwielbiała, ale zaczynało mu czegoś w ich związku brakować. Nie potrafił określić czego dokładnie, jednak był zdumiony, że o pewnych sprawach może porozmawiać jedynie sam ze sobą. Nawet jeśli opowiadał jej o czymś, co kołatało w jego umyśle i duszy, ona jedynie kiwała głową, uśmiechając się promiennie. A on chciał, żeby coś powiedziała, posprzeczała się z nim, zażarcie dyskutowała. Tak jak niegdyś Holly Evans albo Olga Iwanowna. Przerażało go, że mając u boku zakochaną Lilly Berg, czuł się tak bardzo samotny.

Lilly poczuła się onieśmielona, widząc ogromny, chociaż nieco zaniedbany dom rodziny von Lossow i zaparkowany przed wejściem samochód.

– Boże, jaki pałac. I samochód – westchnęła. – Musicie być bardzo bogaci.

– Daj spokój, Lilly. Już od dawna nie jesteśmy bogaci – mruknął Walter i uśmiechnął się do siebie.

W końcu dotarł do domu. Patrzył na szare ściany budynku, spowite gałązkami bluszczu, gdzieniegdzie pokryte zielonkawymi plamami. Na półkoliste schody, w niektórych miejscach obłupane, i wysokie, wąskie okna, ciągnące się na obu skrzydłach dworku. Z czułością spoglądał na las okalający posesję, nietknięty ingerencją człowieka. Był to zabieg celowy, jego ojciec nie chciał wypielęgnowanego parku i ogrodu z równo przyciętym żywopłotem. Marzyła mu się egzystencja w otoczeniu dzikiej przyrody i dlatego wybrał ten dom, a nie willę rodziców na obrzeżach Berlina. Swobodnie puszczona zieleń mogłaby w tamtym miejscu jawić się jako niechlujstwo lub wywołać plotki o złym stanie finansów rodziny von Lossow.

– Chodź, przedstawię cię rodzicom i Leni – powiedział Walter i dodał: – Tylko wyjmiemy ci te szmaty spod płaszcza, bo rodzice gotowi pomyśleć, że lada moment powijesz potomka.

Drzwi otworzył im Manuel, jedyna osoba ze służby, która pozostała przy rodzinie. Pozostali poszukali innej pracy, ponieważ Martin von Lossow musiał ograniczać wydatki. Do sprzątania zaś zatrudniał miejscowych, którym płacił grosze. Stary Manuel Reis pozostał, bo nie miałby się gdzie podziać, a wystarczał mu jedynie dach nad głową i strawa trzy razy dziennie.

– Pan Walter – wyjąkał kamerdyner. – Pan żyje?

– Żyję, żyję, Manuelu – uśmiechnął się Lossow.

– Pan Martin to pana przecież już będzie z rok, jak opłakuje. Nawet nagrobek panu postawił, bo mówił, że tam, na Wschodzie, to na pewno żadnego pan nie ma… – Manuel Reis był blady, mamrotał pod nosem i w istocie patrzył na Waltera jak na ducha.

– To była pomyłka, Manuelu. Zwykły bałagan w dokumentach. Zostałem co prawda ranny, ale to nie było nic groźnego – bagatelizował Lossow.

– Ale nam napisali, że pan był w obozie jenieckim i tam pana zakatowali ci dranie – bełkotał Manuel, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że Walter jest cały i zdrów.

– To wpuścisz nas do środka? – lekko zirytowanym głosem zapytał Lossow. – A to panna Berg, moja narzeczona.

Manuel Reis pokłonił się nisko i w końcu otworzył drzwi domu na tyle szeroko, by mogli do niego wejść. Walter wciągnął powietrze. Pachniało tu-

taj tak samo, jak dawniej. Chyba każdy dom miał swój charakterystyczny zapach, jedyny w swoim rodzaju. Ten również.

Walter stanął w drzwiach salonu, gdzie wokół kominka siedziała jego rodzina. Popatrzyli na Waltera i jak na komendę zerwali się, by przywitać się z nim, jednocześnie zadając pytania, płacząc i śmiejąc się na zmianę. Nie zważali na Lilly, która stała pod ścianą, onieśmielona, tylko dotykali Waltera, przytulali go i sprawdzali, czy nie jest jedynie ułudą albo zbiorową halucynacją.

– Przestańcie – powiedział ze śmiechem. – Chciałem wam przedstawić Lilly Berg, moją narzeczoną.

Lilly wydawało się, że rodzina von Lossow potraktuje ją chłodno, w końcu była jedynie córką ubogiego chłopa, ale oni nawet się nad tym nie zastanawiali, tylko przywitali ją równie ciepło, co kilka chwil wcześniej Waltera.

Kiedy Lilly i Walter zmyli z siebie ślady kilkudniowej podróży w mało komfortowych warunkach i zasiedli do posiłku, osoba panny Berg zeszła na dalszy plan. Rodzina wciąż próbowała zgadnąć, jak to się stało, że Walter został uznany za poległego, a potem nikt nie sprostował tej pomyłki. Gdyby nie obecność Lilly, zapewne wyznałby prawdę, ale jej czujne spojrzenie sprawiło, że kluczył i opowiadał zmyśloną wcześniej historię o tym, jak uciekł z jenieckiego obozu. Problem jednak polegał na tym, że jego ojciec nie był tak łatwowierny, jak matka czy siostra. Jego wzrok mówił Walterowi, że Martin nie wierzy w ani jedno jego słowo. Nie ciągnął go jednak za język, ponieważ uznał, że jeśli Walter kłamie, to ma ku temu ważny powód. Kiedy więc skończono posiłek, a Lilly została zakwaterowana w pokoju gościnnym, Martin poprosił syna o chwilę rozmowy w cztery oczy.

– Nawet nie wiesz, jaki jestem szczęśliwy, że żyjesz. Nie było dnia, żebym o tobie nie myślał i nie karmił się irracjonalną nadzieją. Bo wiesz, synu, tak to w życiu już jest, że dopóki nie zobaczy się martwego człowieka, w naszej głowie on wciąż żyje. Nawet jeśli fakty temu przeczą, człowiek ma nadzieję – zaczął Martin.

– Nie mogłem, tato, dać wam żadnego znaku, że żyję… – bąknął Walter.

– Dlaczego? Synu… przecież to jakiś koszmar. Matka bez przerwy płakała, Leni tak samo, a ja musiałem udawać, że jestem silny – z wyrzutem powiedział Martin.

– Tato… Przepraszam. Tato, ja nie byłem ranny i nie byłem w żadnym obozie jenieckim. Uciekłem stamtąd. Z frontu. Bez względu na to, jak bar-

dzo jest to godne potępienia, po prostu musiałem, bo inaczej zwariowałbym. Tylko trupy i śmierć. Ciągle i wszędzie oglądałem martwe ciała, powyginane od kul, z zamglonym wzrokiem. One wciąż na mnie patrzą… Pomógł mi Igor Łyszkin, bo mimo że staliśmy po dwóch stronach barykady, nie przestaliśmy być przyjaciółmi. To on sprawił, że uznano mnie za poległego, a nie za dezertera. Trafiłem do Kleine Seedorf, nająłem się do pracy i poznałem Lilly – tłumaczył Walter.

– Myślisz, że cię potępię? Nie, synu, jestem jedynie zły na ciebie, że nie przekazałeś nam żadnych wieści… Ale to już bez znaczenia. Igor? A co u Łyszkinów? – dopytywał Martin.

– Fiodor i Maria wyjechali z Polski, najpewniej do którejś z Ameryk. Tyle wiem. A Igor jak to Igor – nadal jest zagorzałym komunistą i wierzy w dobre intencje Stalina. Wciąż jest taki sam, ale ratował mi życie. Raz, kiedy wyciągnął mnie z sowieckiej niewoli, i drugi, gdy pomógł mi wyjechać ze Związku Radzieckiego. Nigdy bym go nie skrzywdził ani nawet nie potępił za jego poglądy. Tam, na dole, wszystko wygląda inaczej niż na górze – gorzko powiedział Walter.

– Zawsze lubiłem Fiodora, Igora zresztą też. I nie mogę zrozumieć, że ktoś, jak ty to nazwałeś, „na górze” chciał zadecydować, że Łyszkinowie, Chełmiccy i my nie powinniśmy pozostać przyjaciółmi. Tyle nas dzieliło… Spojrzenie na politykę, na interesy, nawet na to, co lepiej posiać na polu, a jednak od tylu lat się spotykaliśmy i teraz wszystko szlag trafił. – Martin machnął ręką.

– Ja, będąc w Warszawie, też pomogłem Julianowi, bo wpakował się w kłopoty. Nawet nie pomyślałem, że mógłbym postąpić inaczej. – Wzruszył ramionami.

– To dobrze, to dobrze – cicho powiedział ojciec Waltera i pokiwał głową. Po chwili zagadnął: – Ta twoja narzeczona, Lilly… Powiesz mi o niej coś więcej?

– Poznałem ją w Kleine Seedorf. Jest córką rolników, niezbyt zamożnych. Zakochałem się i kiedy ewakuowano Prusy Wschodnie, po prostu zabrałem ją ze sobą. Jak to wszystko się skończy, pobierzemy się – powiedział Walter spokojnie.

Martin von Lossow milczał przez chwilę, udając, że kontempluje płomień w kominku. Nigdy wcześniej nie rozmawiał z synem na podobne tematy, dlatego był nieco onieśmielony, pytając niepewnie:

– Kochasz ją?

– Tak – odpowiedział cicho Walter, jakby sam nie był o tym przekonany.

– Synu, dzieli was przepaść. Tak mi się wydaje. Zdominowałeś ją pod każdym względem. Czy jesteś pewny, że będziecie razem szczęśliwi? Wiem, zaraz powiesz, że widziałem ją przez kilka godzin i zamieniłem zaledwie kilka zdań, ale czasami to pierwsze wrażenie bywa najbardziej trafione… – Martin wciąż był delikatny w słowach.

– Bo nie jest bogata i nie ma „von” przed nazwiskiem? – zirytował się Walter. Najbardziej tym, że ojciec tak szybko odkrył to, do czego on nie chciał się przyznać, nawet przed sobą samym.

To, co kołatało mu w głowie, było podłe, dlatego starał się oszukiwać, że Lilly poradzi sobie w innym świecie niż mała wioska, a on wciąż będzie nią zafascynowany. Jednak im bardziej oddalali się od Kleine Seedorf, im bardziej otwierał się przed nimi świat, do Waltera docierało, że Lilly była idealna na tamten czas i tamto miejsce. Poza nim nie było już tak pięknie i romantycznie. Walter po kilkunastu miesiącach prostego życia zaczął łaknąć czegoś innego i chciał się dzielić tym z ukochaną osobą. A Lilly Berg zdawała się kompletnie nie rozumieć jego pragnień i tego innego świata, do którego tak tęsknił.

– Dajże spokój, Walterze. Opowiadasz bzdury. To nasze „von” teraz niewiele znaczy… Jesteś wykształconym, inteligentnym człowiekiem. Na jak długo wystarczy ci spojrzenie pełne uwielbienia i psie oddanie? Kiedyś wojna się skończy, myślę nawet, że niebawem, a ty powrócisz do swojego starego życia, przyzwyczajeń, zainteresowań. A ona? Co z nią będzie? Pomyślałeś o tym? – Głos Martina robił się coraz bardziej stanowczy.

I wtedy dotarło do Waltera, że ojciec nie jest uprzedzony do Lilly Berg z powodu jej pochodzenia i wykształcenia, ale najnormalniej w świecie martwi się o tę dziewczynę, bo nazbyt dobrze zna swojego pierworodnego.

– Tato, stałem się odpowiedzialny. A może po prostu dorosłem. Zaopiekuję się Lilly i ożenię się z nią. Przyrzekłem, że to zrobię, i dotrzymam słowa – z naciskiem odrzekł Walter.

– Wierzę. Tylko obawiam się, że ona nie przyjęłaby od ciebie takiej jałmużny – mruknął Martin. – Idź, odpocznij, synu. I wiedz, że to drugi najpiękniejszy dzień w moim życiu. Pierwszy był wówczas, gdy przyszedłeś na świat, a drugi, kiedy zmartwychwstałeś.

Walter podniósł się z fotela, ucałował ojca i poszedł do siebie, nie zachodząc nawet do pokoju Lilly. Chciał zostać sam. On nie tylko urodził się po raz drugi dla swoich bliskich, ale sam czuł, że rozpoczyna nowe życie, i wcale nie był pewien, czy będzie ono szczęśliwsze od poprzedniego. Inni radowali się z faktu, że przeżyli, że ocalała najbliższa rodzina albo z kawałka powszedniego chleba. A on jakoś nie potrafił.

6. Londyn, 1945

– Muszę pani mocno przyciąć te włosy. Są bardzo zniszczone. Matowe, cienkie, pokruszone na końcach. – Fryzjerka oparła dłonie na biodrach i niemal oskarżycielsko patrzyła na Hankę Lewin.

– Jest wojna. I dotychczas miałam inne zmartwienia aniżeli fryzura – mruknęła.

Nie była jednak oburzona ani zła. Podobne drobiazgi nie miały dla niej znaczenia. Tak bardzo zachłystywała się wolnością i faktem, że nie głodowała, iż podobne komentarze wcale jej nie obchodziły.

– To co? Tniemy? – zapytała fryzjerka.

– Tak. Proszę ciąć. Kiedyś nosiłam krótsze włosy. Przed wojną – powiedziała ugodowo Hanka.

– Teraz wróciły długie fryzury i fantazyjne upięcia. – Fryzjerka wciąż się wahała.

– Jeśli mam paskudne włosy, to żadna fantazyjna fryzura nie pomoże. – Uśmiechnęła się. – Proszę ciąć. Za dwie godziny mam zamówioną manikiurzystkę.

Fryzjerka wzięła do ręki nożyczki i rozpoczęła cięcie. Długie pasma włosów spadały na posadzkę salonu, ale Hance nie było ich ani trochę żal. Były symbolem zaniedbania, głodu i wielu miesięcy gehenny. Po półtorej godziny Hanka Lewin miała nową fryzurę, blond kolor na włosach i kilka loków wijących się tuż przy szyi. Patrzyła na siebie w dużym lustrze salonu i doszła do wniosku, że powoli zaczyna odzyskiwać siebie samą. Była tak pochłonięta swoim nowym życiem, że nawet chwilami zapominała o Igorze. Tak, Hanka Lewin pragnęła nade wszystko odzyskać samą siebie.

***

Kiedy dotarła do Londynu, tuż po wybuchu powstania w Warszawie, była wyczerpana zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. Podróż trwała ponad trzy dni, a ona nawet nie mogła zmrużyć oka, ponieważ były dzieci, wścibscy współpasażerowie, a wreszcie liczne kontrole, które doprowadzały ją do rozstroju nerwowego. Aż do Bretanii, gdzie wsiadła na prom płynący do Londynu, nawet nie myślała o dramatycznym spotkaniu z Igorem. A raczej ich rozstaniu. Dopiero gdy na pokładzie promu chłodna bryza smagała jej

policzki, przeanalizowała całą sytuację. I doszła do smutnego wniosku, że straciła tego mężczyznę na zawsze. On nie mógł dać jej tego najważniejszego – poczucia bezpieczeństwa. A ostatnie miesiące sprawiły, że nie myślała o niczym innym, tylko o tym, żeby wojna się skończyła. Przynajmniej dla niej. Gotowa była poświęcić nawet najpiękniejsze uczucie, jakiego doznała i którego nie mogła nawet porównywać do młodzieńczej fascynacji Jakubem Moselem. Nie była w stanie znieść niepewności ani chwili dłużej i gdyby nie pomocna dłoń Alicji, pewnie zwariowałaby albo zakończyła swój żywot. Nadszedł taki moment w jej życiu, zwłaszcza gdy straciła Irenę „Wariatkę", że nawet dzieci nie stanowiły przeszkody ku temu, by poważnie rozważyć popełnienie samobójstwa. Miała świadomość, że inni walczyli o życie do końca, nawet jeśli siedzieli w więzieniach, byli torturowani czy głodzeni w obozach i zmuszani do katorżniczej pracy. Ona nie była taka silna i była wdzięczna, że ktoś wysoko czuwał nad nią, by w tych najgorszych momentach zsyłać jej ludzkie anioły, które sprawiały, że rodziła się na nowo i podejmowała walkę o lepszy los. I kolejny raz, gdy doszła do ściany i nie widziała żadnego światełka w tunelu, jej kochana Alicja wyciągnęła do niej pomocną dłoń. Zrobiła to niemal w ostatniej chwili i dlatego, mimo że kochała Igora, nie była w stanie zdobyć się na to, by pozostać w miejscu, gdzie szalała wojna.

Pierwsze tygodnie pobytu w Londynie były dla Hanki niezwykle trudne. Język znała kiepsko, jedynie z piosenek, które niekiedy wykonywała po angielsku, nie miała tutaj przyjaciół i była zdana na społeczną organizację wspierającą uciekinierów z Polski. Na szczęście prowadziły ją Polki, więc porozumiała się z nimi bez trudu. Nie mogły jednak zapewnić jej i dzieciom luksusu, a pieniądze przekazane przez Alicję Lewinówna musiała wydawać bardzo rozważnie. Zamieszkali w pokoju jednego z londyńskich domków, u zaprzyjaźnionych rodaków. Owo pomieszczenie nawet trudno było nazwać pokojem, ponieważ po rozłożeniu wersalki, na której Hanka spała z dziećmi, nie pozostawało już prawie miejsca. Nadia i Grześ, co zrozumiałe, zasypiali wcześniej, a jej pozostawało siedzenie na krześle i patrzenie za okno, gdzie ponura jesień ogołacała drzewa z liści, a szalejący wiatr unosił je w powietrzu. W takich warunkach również powinna popaść w przygnębienie, ale bez względu na obecną ciasnotę i samotność posiadała coś, o czym marzyła – poczucie bezpieczeństwa.

Przez pierwsze kilka dni, gdy wychodziła na ulice londyńskiego przedmieścia, truchlała, słysząc nadjeżdżający samochód, i nerwowo się rozglądała, jakby za chwilę zza rogu miał wyłonić się niemiecki patrol. Gdy gospodyni pukała do drzwi, by zaprosić ją i dzieci na kolację, o mały włos nie mdlała ze strachu. Jednak dość szybko dotarło do niej, że tutaj samochody nie oznaczają łapanki czy ataku gestapo, a pukanie do drzwi nie jest zwiastunem nadejścia nieproszonych gości. I wtedy dopiero wstąpił w nią nowy duch. Tęskniła za Igorem, Alicją i Ireną, ale była w niej wiara, że jeszcze nie wszystko stracone, a ona może normalnie żyć, chociaż być może nie tak dostatnio, jak przed wojną. Zaopatrzenie w Londynie pozostawiało wiele do życzenia i wciąż słychać było głosy, jak ciężkie jest życie, a długie kolejki po podstawowe produkty – wyczerpujące. Po tym, co przeszła Hanka, mieszkając pod Studziankami, nie stanowiło to dla niej takiego problemu, jak dla Brytyjczyków. Nie głodowała, jej dzieci również, a to oznaczało już dla niej kwintesencję dobrobytu.

Nakreśliła sobie plan działania – odnajdzie męża, żeby pomógł jej stanąć na nogi w Wielkiej Brytanii, chociażby z uwagi na Nadię, a potem znajdzie pracę. W najgorszym razie na jakiejś farmie kilkadziesiąt kilometrów od Londynu, w najlepszym – otrzyma angaż w którymś z londyńskich lokali. O wodewilu, kabarecie czy wielkiej scenie nawet nie marzyła. W takim miejscu jak Londyn osób o takim talencie wokalnym jak Hanka musiało być tysiące, a ona nie miała koneksji ani nawet takiej urody jak niegdyś, by zaczarować jakiegoś impresaria. Poza tym ludzie żyli wojną i podobne atrakcje były zapewne dawkowane w ilościach minimalnych. Nie narzekała jednak. Najważniejszy był fakt, że dla niej wojna była jedynie strasznym wspomnieniem.

Kobiety z organizacji odnalazły Tomasza Niechowskiego bardzo szybko. Jego rodzina mocno wspierała polskich lotników, którzy walczyli w bitwie o Anglię, w szeregach RAF-u. Hanka postanowiła, że najpierw spotka się z mężem sama i przygotuje go na to, że ma drugie dziecko. Z innym mężczyzną. Nie przejmowała się zanadto, że po jej urodzie i powabie nie pozostał już nawet ślad. Nie zależało jej na Tomaszu ani na tym, w jaki sposób zareaguje na jej widok. Miała jednak nadzieję, że w miarę normalne odżywianie i chociaż minimalne możliwości, by o siebie zadbać, sprawią, że po pewnym czasie jej urok powróci.

Pewnego chłodnego popołudnia wysiadła z podmiejskiego pociągu w podlondyńskim Guildford, postawiła kołnierz płaszcza otrzymanego z Armii Zbawienia i ruszyła w kierunku osiedla, gdzie stały rezydencje ukryte za wysokimi parkanami. Oprócz znoszonego płaszcza miała na sobie zbyt obszerną sukienkę, która smutno zwisała na jej wychudzonej sylwetce, i fidelkosowe pończochy. Nie chciała jednak wyglądać niechlujnie, dlatego poprosiła gospodynię domu, w którym mieszkała, aby ta upięła jej elegancki kok i pozwoliła użyć szminki. Po drodze jednak po szmince na ustach pozostało mgliste wspomnienie, zaś porywisty wiatr sprawił, że idealnie upięty kok przestał być idealny, a kilka kosmyków opadało jej na twarz, co nie wyglądało zbyt estetycznie.

Nawet nie miała pojęcia, w którą stronę ma się udać po wyjściu z niewielkiego dworca, dlatego zaczepiła jakiegoś starszego mężczyznę w prochowcu i pokazała kartkę z zapisanym na niej adresem. Mężczyzna na migi wskazał jej drogę i po kilkunastu minutach Hanka dotarła pod kutą bramę willi Niechowskich. Popatrzyła przez ażur prętów. Dom był okazały, piętrowy, zbudowany w stylu Tudorów, z kamienną elewacją i białą stolarką okienną. Na wysypanym jasnym grysem podjeździe stały zaparkowane luksusowe samochody, których marek Hanka nawet nie starała się odgadnąć. Przy furtce znajdował się fikuśny przycisk do domofonu. Przez chwilę stała onieśmielona, jakby krępowała się swoim wyglądem, ale potem pomyślała, że ten cholerny drań całą wojnę przesiedział w luksusie i błogim spokoju, gdy tymczasem jego żona i córka zdychały z głodu i musiały mieszkać w walących się chałupach. Ta refleksja sprawiła, że wcisnęła guzik domofonu z takim impetem, że aż zabolał ją palec, i przytrzymała zdecydowanie dłużej, niż nakazywała etykieta w tym zakresie.

– Mam to gdzieś – mruknęła do siebie.

– Rezydencja hrabiny Niechowskiej – odezwał się męski głos w domofonie.

Tyle Hanka potrafiła zrozumieć. Odezwała się po polsku:

– Szukam swojego męża, Tomasza Niechowskiego. Nazywam się Hanna Lewin-Niechowska.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Hanka jeszcze chwilę poczekała, po czym kolejny raz wcisnęła guzik domofonu. Tym razem nikt się nie odezwał, ale usłyszała brzęczyk przy furtce, co oznaczało, że hrabina i jej syn postanowili wpuścić ją do środka.

Zanim doszła do ganku, w drzwiach stał już Tomasz, a obok jego matka, Stefania Niechowska, która wciąż miała wygląd modliszki. Nie zmieniła się ani trochę, w przeciwieństwie do jej syna. Mąż Hanki nie był już smukłym, przystojnym mężczyzną, ale przysadzistym panem z pokaźnym brzuchem i ogorzałą twarzą. Mimo że minęło zaledwie pięć lat, Lewinówna doszła do wniosku, iż jej małżonek postarzał się o co najmniej piętnaście.

– Haniu… – jęknął z udawaną radością.

– Dzień dobry – chłodno przywitała się Hanka, zwłaszcza gdy zobaczyła minę swojej teściowej, która wyrażała wszystko oprócz radości.

„Sądziłaś, że zdechłam, stara prukwo” – pomyślała nieżyczliwie Hanka i cmoknęła Tomasza w policzek.

– A nasze dziecko? Byłaś w ciąży… – zapytał Tomasz, wciąż odgrywając rolę zatroskanego małżonka.

– To dziewczynka. Ma na imię Nadia. Została w Londynie. Może zaprosisz mnie do środka? Jest zimno, a ja przyjechałam pociągiem… – Głos Hanki był niemal lodowaty.

Wnętrze domu prezentowało się równie okazale i luksusowo, co jego fasada. Z sufitów zwisały fikuśne żyrandole ozdobione kryształami, a na połyskliwym parkiecie leżały grube, miękkie dywany. Stąpając w swoich zniszczonych trzewikach, Lewinówna miała wrażenie, że nie tylko jej buty nie pasują do tego wnętrza, ale ona sama również. Jeszcze pięć lat temu czułaby się w takim miejscu jak ryba w wodzie, a kamerdyner zdejmowałby z niej futro, a przynajmniej etolę z lisa, a nie wyświechtane palto.

Przeszli do salonu, gdzie skwierczał kominek, a z radia płynęła cicha muzyka. Hrabina nakazała stojącej w drzwiach pokojówce, ubranej w czarny uniform i śnieżnobiały fartuszek, przygotowanie herbaty i kilku kanapek.

– Mogłabym porozmawiać z mężem? Nie widzieliśmy się ponad pięć lat – zwróciła się do hrabiny dość życzliwym tonem. Chyba tylko z wdzięczności, że pomyślała chociaż o ciepłej herbacie i drobnej przekąsce.

– Naturalnie – odpowiedziała teściowa, po czym wymownie spojrzała na swojego syna i zamknęła dwuskrzydłowe drzwi salonu. Na szczęście uczyniła to po właściwej stronie.

– Dlaczego nas zostawiłeś na pastwę losu? Dlaczego nie wróciłeś po mnie? – zapytała z wyrzutem Hanka, gdy tylko zostali sami.

– Ależ, Haniu, nie miałem takiej możliwości. Wojna wisiała na włosku, przecież błagałem cię przez telefon, żebyś przypłynęła do Anglii… Sama zdecydowałaś się pozostać w Polsce i narażać nasze dziecko – próbował tłumaczyć się Tomasz.

Miał słodki, kojący głos. Taki sam, jak zawsze, gdy dopadały go wyrzuty sumienia, że zachował się jak świnia, czyli wówczas, gdy pojawiała się w jego życiu kolejna kochanka.

– Nie mogłam, nie rozumiesz? Przecież mówiłam ci, że czuję się bardzo źle, a lekarz zakazał mi nawet spacerów. Do licha, Tomaszu, jaki mężczyzna zostawia ciężarną kobietę samą? Wojna była tuż-tuż… Przeszłyśmy przez piekło i ledwie uszłyśmy z życiem… – wybuchła, ale potem zmieniła ton. Przecież nie zamierzała dalej ciągnąć tej farsy, a poza tym sama nie była święta. Zdradziła go i w dodatku powiła syna, który był owocem miłości z innym. – Nieważne, Tomaszu. To już przeszłość. Tak samo, jak nasze małżeństwo – niemal wyszeptała.

– Wiesz, Haniu… Minęło pięć lat, sądziłem, że nie żyjesz, zwłaszcza gdy dowiedziałem się, że z naszego domu w Konstancinie cię wypędzono, a potem zniknęłaś z mieszkania na Nowym Świecie.

– Miałeś kontakt z Polską i nie potrafiłeś nas odnaleźć…? – Hanka nie mogła zrozumieć, że jej mąż po prostu ją skreślił ze swojego życia. I swoje dziecko również. Po chwili dodała, zaciskając zęby: – Ludzie to nie duchy, nie znikają…

– Haniu… Po co do tego wracać? Ogromnie się cieszę, że żyjecie. Jeśli jednak nasz rozwód jest przesądzony, to po co te wyrzuty? – powiedział łagodnie.

– Łatwo się zgodziłeś… – burknęła.

– Haniu… Przecież oddaliliśmy się od siebie – próbował tłumaczyć się Tomasz, ale przerwała mu.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo. Jak widzisz, zostałam z niczym. Mam nadzieję, że załatwisz to tak, aby twoja córka miała zapewniony byt. Ja od ciebie niczego nie chcę – powiedziała stanowczo.

– A będę mógł się z nią zobaczyć? – równie stanowczo zapytał Tomasz.

– Oczywiście, to twoja córka. Pojutrze przywiozę ją tutaj. Chyba że chciałbyś nas odwiedzić w Londynie, ale uwierz, mój pokój wielkością przypomina wychodek – powiedziała Hanka i nawet zdobyła się na delikatny uśmiech.

– Jak najbardziej, Haniu. Przywieź ją jak najszybciej. Przecież to już duża panna. A skąd takie dziwne imię?

– Rosyjskie – warknęła, bo mimo najszczerszych chęci czuła wciąż złość na swojego męża, o którym niedługo będzie mogła mówić „były mąż”.

– Opowiesz, jak tam było…? Wiesz, w Polsce? – zapytał cicho Tomasz.

– Jak było? Nie wiem, od czego zacząć… Ach, może od tego, jak dostałam kolbą karabinu od niemieckiego żołnierza, a może jak bombardowano Warszawę i zamiast szyb miałam w oknach deski. Och, mam jeszcze inną fascynującą historię. Więzienie na Pawiej. Potem głucha wieś, a potem głód… Tomaszu, nie mam nawet siły, żeby o tym opowiadać. Ja nawet nie chcę myślami wracać do tego, więc wybacz. Wystarczy, że na mnie popatrzysz. Mój wygląd mówi sam za siebie. – Hanka miała drżący głos, bo w istocie nawet samo wspomnienie tego, co przeszła, doprowadzało ją do rozpaczy.

– Przykro mi – westchnął. – Sądziłem, że ze swoim talentem ułożysz sobie życie nawet w czasie okupacji niemieckiej. Poza tym tutaj też były naloty, zniszczonych zostało wiele domów, a angielscy i polscy piloci tracili życie w bitwie o Anglię. Nawet mój brat latał na spitfire’ach, a matka odchodziła od zmysłów, gdy słuchała w radiu wiadomości o kolejnym zestrzelonym samolocie.

– I powinno być ci przykro – mruknęła. – Herbata była wyśmienita, Tomaszu. A teraz wybacz, że cię opuszczę i nie będę zmuszała twojej matki do przebywania w swoim towarzystwie.

Otworzyła drzwi salonu, pożegnała się chłodno z teściową i opuściła luksusową willę Niechowskich. Nie miała jednak poczucia, że przez rozwód z Tomaszem ominie ją coś pięknego i ważnego. Naprawdę dobra materialne Niechowskich kompletnie jej nie interesowały i nie miała zamiaru o nie walczyć, chociaż pewnie mogłaby nieco uszczknąć z tych dobrodziejstw, ale nie chciała. Jej majątek, który zdobyła swoim śpiewem, przepadł w Warszawie, najpewniej bezpowrotnie, a swoją biżuterię i suknie sprzedała za bezcen, żeby nie zdechnąć z głodu.

Chciała jednak lepszego losu dla swoich dzieci, a Tomasz mógł zapewnić Nadii dobrą szkołę i zabawki, jakich nigdy nie posiadała, bo miała nieszczęście przyjść na świat, gdy wybuchła wojna. I bez względu na to, czy w Tomaszu obudzą się ojcowskie instynkty do dziecka, które niebawem zobaczy pierwszy raz w życiu, postanowiła, że będzie walczyła do upadłego,

aby Nadia dostała od swojego ojca wszystko, na co zasługuje dziecko urodzone w tak znakomitej rodzinie. W przeciwnym razie wykopie topór wojenny i nie będzie miała skrupułów, by domagać się od małżonka części majątku.

***

Kilka dni później Hanka kolejny raz przekraczała próg rezydencji Niechowskich. Nie była jednak sama, trzymała za rękę Nadię. Przez całą drogę upominała córkę, jak ma się zachowywać w tak eleganckim domu i że ma być miła dla swojego taty, którego co prawda nigdy nie widziała na oczy, ale przecież słyszała o nim wystarczająco dużo, by potraktować go z sympatią i szacunkiem. Bardzo jej zależało, żeby córeczka zrobiła wrażenie dziewczynki dobrze wychowanej, jednak Nadia to było dziecko, dla której największe szczęście stanowiło taplanie się w błocie albo bieganie po lesie w towarzystwie ogromnego psa. Gdyby Niechowscy posiadali jakieś zwierzę domowe, z pewnością Nadia od razu złapałaby z nim dobry kontakt. Być może Hanka gdzieś w głębi swojej duszy pragnęła pokazać tej napuszonej rodzince snobów, że mimo wojny, biedy i głodu zdołała wychować córkę na prawdziwą damę.

Gdy już wysiadły z pociągu i szły w kierunku willi, Lewinówna uśmiechnęła się do siebie, naigrawając się w myślach z samej siebie. Nadia była słodkim dzieckiem. Kochanym i do bólu szczerym, ale do małej damy było jej równie daleko, co Hance do uwodzicielskiej seksbomby. Nawet jeśli przez kilka minut Nadia wytrzyma i będzie zachowywać się, jakby posiadała dobre maniery, tak później nie było na to szans.

Przywitanie, jakie zgotował Tomasz małej Nadii, w znacznym stopniu różniło się od tego, jakie było udziałem Hanki. Niechowski przytulał dziewczynę, łkał niemal histerycznie i powtarzał jak nakręcony: „Moja córeczka, moja kochana córeczka”. Nadia pozwalała się ściskać i głaskać, ale z przerażeniem zerkała na matkę, bowiem Tomasz był dla niej obcym człowiekiem, którego spotkała po raz pierwszy w życiu.

Weszli do domu. Nadia rozglądała się zaciekawiona, zadzierała głowę, by podziwiać kryształowe ozdoby żyrandoli i przez cały czas miała otwartą buzię. Pewnie dlatego, że nigdy w podobnych wnętrzach nie gościła i pamiętała jedynie obskurną chatkę koło Studzianek. Kilka dni spędzonych

u „Karego” pozwoliło jej jedynie zapoznać się z luksusem, jakim była łazienka, bo zarówno w Magnuszewie, jak i w Studziankach korzystała z metalowego nocnika do załatwiania potrzeb fizjologicznych i z cynowej miednicy do mycia. Gdy zaś nadchodziło lato, jej toaletą były pobliskie krzewy, a wanną rozlewisko rzeczne.

Tomasz podał Nadii ogromne pudło przewiązane czerwoną kokardą.

– Otwórz – powiedział. – To dla ciebie.

Już samo pudełko było tak piękne, że dziewczynka zamiast je otworzyć, patrzyła na nie jak zaczarowana i dotykała drobnymi rączkami gładkiej wstążki.

Stefania Niechowska stanęła w drzwiach salonu i powiedziała ciepło:

– No, otwórz, bo w jadalni czekają na ciebie kakao z pianką i maślane ciasteczka.

Kakao z pianką i ciastka, o których opowiadała jej kiedyś Hanka, gdy siedziały pod pierzyną w wychłodzonej chałupie i ze ściśniętymi z głodu żołądkami, zrobiły swoje. Dziewczynka odwiązała kokardę pudełka, delikatnie odwinęła elegancki papier, uważając, by go nie podrzeć, i otworzyła pakunek. W środku znajdowała się lalka. Duża, z długimi jasnymi włosami, ubrana w strojną sukienkę ozdobioną perełkami. Nawet buciki miała strojne, z aksamitną kokardką w kolorze czerwonego wina. Nadia ponownie otworzyła buzię, zapewne z zachwytu i zdziwienia, po czym wyciągnęła lalkę z pudła, pocałowała ją w usta i przytuliła mocno do siebie. Pod wpływem uścisku lalka wydała z siebie dźwięk, który przypominał słowo „mum”.

– Będzie miała na imię Irena – zawyrokowała Nadia.

– Dobrze, niech będzie Irena – powiedział wzruszony Tomasz i zaprowadził dziewczynkę do jadalni.

Usiedli przy długim stole, gdzie w porcelanowych kubkach zaserwowano kakao, a na paterze leżały pachnące ciasteczka. Stefania Niechowska ze zgrozą patrzyła na dziewczynkę, która głośno siorbała napój, a ciastka upychała do buzi palcami, byle więcej zmieściło się w ustach tego wspaniałego specjału.

– Później pokażę ci kucyka – obiecał Tomasz.

– Co to kucyk? – zapytała Nadia z pełną buzią.

– Taki mały konik – odpowiedział jej ojciec.

– Irena miała konika. Robił takie wielkie kupy – beztrosko poinformowało dziecko.

Stefania spojrzała potępiająco na Hankę, ale ta odwróciła wzrok i udawała, że przygląda się stojącym na komodzie fotografiom w ramkach. Swojego zdjęcia nie dostrzegła. Kiedy przestała być wielką gwiazdą estrady, najwyraźniej przestała należeć do rodziny. Usłyszała za plecami głos:

– Słyszałem, że mamy jakichś znamienitych gości.

Hanka odwróciła głowę i zobaczyła w drzwiach jadalni starszego brata Tomasza, Piotra Niechowskiego. Przed wojną, gdy wyszła za mąż, rzadko widywała tego człowieka. Jednak gdy dochodziło do spotkań, przy okazji rozmaitych uroczystości rodzinnych, nie okazywał jej ani sympatii, ani też przesadnej wrogości. W przeciwieństwie do swojego młodszego brata Piotr niewiele się zmienił. Wciąż był przystojny, elegancki i miał zniewalający uśmiech.

Piotr przywitał się z Hanką, starając się, aby nie było widać na jego twarzy trwogi, gdy ujrzał zaniedbaną i wymizerowaną bratową, po czym podszedł do Nadii, pocałował ją w czoło i powiedział z uśmiechem:

– Słyszałem, że dostałaś piękną lalkę. Jak skończysz jeść ciasteczka, to pokażę ci, jaki piękny wózek dla niej kupiłem. Będziesz teraz mogła chodzić z nią na spacery. Może razem z babcią?

Hrabina na dźwięk słowa „babcia” jakby drgnęła i popatrzyła złowrogo na swojego starszego syna. Wciąż była elegancka, dbała o linię i korzystała, mimo szalejącej wojny, ze wszystkich zdobyczy przemysłu kosmetycznego, a teraz ktoś nazwał ją tak po prostu „babcią”. Uśmiechnęła się półgębkiem, ale nie powiedziała ani słowa.

Po posiłku Nadia zapakowała swoją lalkę do wózeczka, przykryła kocykiem i wszyscy udali się na spacer po posiadłości Niechowskich. Kilkadziesiąt metrów od domu, w niewielkiej, ale eleganckiej stajni, znajdowały się dwa rasowe i wypieszczone konie, podobne do tych, które Hanka widywała kiedyś w dworku Chełmickich, a w ostatnim boksie stał niewielki kuc o siwym umaszczeniu. Przed stajniami, na ogrodzonym klepisku, biegały dwa charty, a obok stały równie eleganckie, co stajnia psie budy. Hanka przypomniała sobie, że teraz także była na wsi, ale jakże innej od tej, w której spędziła ostatnie lata. Tutaj nawet nie pachniało wsią. Z zabudowań gospodarskich nie dolatywał smród obornika, nie roiło się od paskudnych much,

a ona nie musiała kręcić piruetów na podwórku, by nie wdepnąć w kurze odchody.

Nadia momentalnie porzuciła wytworny wózek z równie wytworną lalką i zaczęła biegać między wybiegiem dla psów a boksem kucyka. Przyzwyczajona do tego, że na wsi rozmawiała głównie ze zwierzętami, opowiadała kucykowi i chartom o swojej nowej lalce, kakao z pianką i pysznych ciasteczkach, a także o swoim młodszym braciszku Grzesiu i wielkiej Irenie, która nie przyjechała wraz z nimi do Londynu, bo umarła w drodze do Warszawy.

– Mogłem kupić jej psa – roześmiał się Piotr.

– Nie mamy warunków, żeby Nadia mogła mieć jakiekolwiek zwierzątko – z westchnieniem powiedziała Hanka.

Stali więc i przyglądali się dziewczynce, która przestała czuć się onieśmielona przepychem willi Niechowskich i po prostu radowała się obecnością zwierząt.

– Mówili w radiu, że Rosjanie są coraz bliżej Berlina. Koniec wojny to kwestia być może nawet tygodni. Alianci przejmują niemieckie landy i wyzwalają obozy jenieckie, a Japonia ledwie zipie – powiedział Piotr.

– Po naszym majątku w Polsce pewnie nic nie zostało. Przecież ci dranie zrównali Warszawę z ziemią. No, może dworek w Niechowie ocalał – westchnął Tomasz. – Dobrze, że pozbyliśmy się kilku kamienic w stolicy. Jednak miałeś nosa.

– Dajże spokój, Tomasz. Podobno po konferencji w Jałcie ustalono strefę wpływów i jestem przekonany, że Polska znajdzie się we władaniu Stalina, a to komunista. Zrobi więc to, co w Związku Radzieckim – znacjonalizuje wszystko, co się da, zatem o naszym majątku w Polsce możemy zapomnieć. Na szczęście nie pozostawiliśmy tam wszystkiego i to inni mają ból głowy, a nie my.

Hanka i Stefania nie wtrącały się do rozmowy. Hanka nie znała się na polityce, ale wiedziała jedno, że każdy będzie lepszy od Hitlera. Jednak Rosjan bała się równie mocno, mimo że zapałała gorącym uczuciem do jednego z nich.

Nagle mężczyźni zamilkli, bo zapewne zabrakło im głosu, gdy Nadia w pewnej chwili podciągnęła płaszczyk, a potem sukienkę, ściągnęła do kostek rajstopki, a potem kucnęła koło krzewu jaśminu i najnormalniej w świecie zrobiła siusiu, po czym kompletnie nie przejmując się otocze-

niem, podciągnęła rajstopy z powrotem i pobiegła dalej gadać ze swoim nowym przyjacielem – kucykiem. Lewinówna przymknęła powieki, a reszta wciąż stała, milcząc. Dla Hanki podobny widok nie był niczym szczególnym, a załatwianie potrzeb pod krzaczkiem było sprawą zupełnie naturalną wśród dzieci, bo ona sama, będąc małą dziewczynką, robiła w ten sposób, ale zapewne taki czyn nie mieścił się hrabiowskich głowach Niechowskich.

Tę niezręczną ciszę przerwał Piotr, proponując, żeby Nadia dosiadła kucyka i odbyła przejażdżkę po posesji. Do wieczora dziewczynka zdążyła popełnić jeszcze kilka razy faux pas, wprowadzając w stan nerwowości Stefanię i wzbudzając śmiech Piotra. Hanka w pewnym momencie przestała się przejmować nietaktami córki, uznając, że Nadia powinna być szczęśliwym dzieckiem, a nie zadowalać swoim zachowaniem otoczenie.

Wracając pociągiem do Londynu i odmawiając stanowczo propozycji Piotra, że zawiezie je pod sam dom, zastanawiała się nad tym, czy jej córka będzie miała możliwość, aby zaznać podobnego życia, jakie wiedli Niechowscy i jakiego ona doświadczała przed wojną. Zapewne Niechowskich stać byłoby na luksusowe zabawki, a przede wszystkim na porządną szkołę dla Nadii, aby wyzbyła się swoich wiejskich nawyków i stała się prawdziwą damą.

Po kilku wizytach, po których wracały z Nadią objuczone zabawkami, z ust rodziny Niechowskich padła ta okropna propozycja, by dziewczynka zamieszkała z nimi. Gdyby była w sytuacji takiej jak we wsi pod Studziankami, zapewne zdecydowałaby się na ten krok, ale uznała, że obecnie nie ma dla dziewczynki żadnego zagrożenia. Ani głodem, ani agresją wroga. Nawet jej fascynacja drogimi zabawkami mijała bardzo szybko i luksusowa lalka nagle „zachorowała na tyfus”, w związku z czym straciła swoje bujne loki i leżała w kącie kompletnie łysa. Pluszowego misia wspaniałomyślnie oddała bratu, a nawet posadziła Grzesia do wózka swojej lalki, niszcząc go bezpowrotnie. Będąc zaś w Guildford, bawiła się głównie ze zwierzakami.

Piotr Niechowski mieszkał w sercu Londynu, przy Regent Street, i nawet naloty bombowe nie zniechęciły go do mieszkania w tym miejscu. Zamiast wyprowadzić się do cichego Guildford, dzielił los innych londyńczyków i modlił się, by spadająca bomba nie uderzyła w kamienicę, gdzie miał mieszkanie. Rozumiała go. Stefania Niechowska była bowiem okropną kobietą. I mimo że Tomasz wciąż wiódł życie lekkoducha przy jej cichym

przyzwoleniu, a może raczej akceptacji, ani na chwilę nie przestawała udzielać mu rad i wygłaszać swoich mądrości.

Pewnego dnia Hanka umówiła się ze starszym z braci, by omówić swoją przyszłość w Londynie. Kolejny raz pozostawiła dzieci pod opieką gospodyni i ruszyła, by spotkać się z kimś, kto jako jedyny z rodziny Niechowskich okazał jej życzliwość i pragnął pomóc w obcym kraju.

Przycupnęła niepewnie na krześle w stylu Ludwika XVI i wzięła w dłonie filiżankę z delikatnej porcelany. Piotr śmiał się, iż po nalotach ocalały tylko dwie, ale oznajmił, że dopóki Niemcy nie skapitulują, nie zamierza dokupować nowych.

– Jesteś strasznie spięta, Hanka. Nie taką cię zapamiętałem – próbował rozluźnić atmosferę Piotr.

– Wiele się zmieniło, Piotrze, przez te kilka lat. Przed wojną byłam spokojna o swój byt, bo miałam coś, co sprawiało, że mogłam czuć się bezpiecznie. Talent. Dzisiaj nie mam nic, nawet nie znam języka na tyle dobrze, by próbować zostać kelnerką. Pieniądze z Polski właściwie mi się skończyły, więc w opiece społecznej występuję w charakterze żebraczki, a twoja matka i brat traktują mnie jak szmatę. Więc nie dziw się, że straciłam nieco rezon – powiedziała ze smutkiem.

– Talent wciąż masz… A to i tak więcej, niż mają inni. I to taki talent, który możesz wykorzystywać pod każdą szerokością geograficzną.

– Piotrze… – westchnęła. – Dobrze wiesz, że ludzie nie tylko chcą słuchać pięknych pieśni, ale także patrzyć na swoje gwiazdy, podziwiać je i zazdrościć im szyku i urody. Mija wiele czasu, zanim taka osoba może sobie pozwolić jedynie na to, by śpiewać. Myślę, że Londyn pod tym względem niewiele różni się od przedwojennej Warszawy.

– W rzeczy samej. Wszędzie jest podobnie. W teatrach, wodewilach czy w salach koncertowych ludzie chcą zapomnieć o trudach wojennego życia i odpłynąć w świat marzeń, do którego nigdy nie będą należeć, nawet jeśli ów świat jest jedynie fikcją. Nikt nie myśli, że w wielu przypadkach błyszczące suknie są tandetne, a w garderobach panuje zaduch albo wilgoć, a niekiedy można nawet spotkać szczura. Teraz Europa walczy o przetrwanie, o zaspokojenie podstawowych potrzeb, ale im bliżej Berlina jest front, tym bardziej ludzie żyją nadzieją, że to już koniec. A wówczas zechcą się bawić… Uważam, że jesteś w stanie wrócić do formy. Wiem, to kosztuje, dlatego dostaniesz pieniądze ode mnie. To nie jałmużna, Hanka, tylko po-

życzka. Doprowadzisz się do porządku, nabędziesz sobie nowe, eleganckie ubrania i pójdziesz do szkoły, żeby nauczyć się języka. Wyniesiesz się z Harrow gdzieś bliżej centrum Londynu, znajdę ci niedrogie mieszkanie i otrzymasz ode mnie niewielką pensję. Na chwilę, dopóki nie znajdziemy ci angażu.

– Ponowię swoje pytanie. Dlaczego to robisz, Piotrze?

– To oczywiste. Uważam, że masz talent i jestem w stanie zrobić z ciebie gwiazdę. A potem… Hm… Zarobić nawet na tobie. – Uśmiechnął się i dodał: – Zabrzmiało to, jakbym chciał być twoim stręczycielem. Więc ujmę to tak: na twoim talencie. Na razie ludzie myślą tylko o zakończeniu wojny i posprzątaniu tego całego bałaganu, chociaż i teraz lubią oderwać się od rzeczywistości i posłuchać dobrej muzyki. Przewiduję jednak, że w ciągu kilku lat przemysł rozrywkowy będzie przeżywał swój rozkwit, bo nareszcie ludzie będą mogli się bawić i nie będą musieli czuć się z tego powodu winni. A my będziemy już do tego przygotowani. Więc sama widzisz, widzę w tym interes. Doszedłem do wniosku, że inwestowanie w nieruchomości póki co jest obarczone zbyt dużym ryzykiem. Popatrz na Warszawę. Po naszych pięknych kamienicach pozostały jedynie gruzy, dlatego tutaj lokuję nasze pieniądze we wszystko, byle nie w mury. A ty będziesz jedną z moich inwestycji. Dobrze nam się wiedzie, jak widzisz, zatem możesz mi zaufać. Mam nosa do intratnych interesów. Pilotem przestałem być z powodu ręki, którą mi nieco pogruchotały szwaby. Funkcjonuję normalnie, ale dla pilota to oznacza zazwyczaj koniec latania, więc już na dobre wsiąkłem w prowadzenie interesów i nie zajmuję się niczym innym – perorował Piotr, popijając małymi łyczkami kawę.

Kiedy tak snuł opowieści, Hanka patrzyła na niego z podziwem i zastanawiała się, dlaczego tak przystojny i inteligentny mężczyzna nie ożenił się jeszcze z jakąś angielską lady, by powiększyć swój majątek i przekazać znakomitą arystokratyczną krew. Po chwili uznała jednak, że to nie jest jej sprawa i też nie bardzo interesuje ją życie uczuciowe starszego z braci Niechowskich. Była mu jednak wdzięczna, że tak właśnie stawiał sprawę związaną z udzieleniem jej pomocy. Nie musiała zastanawiać się nad intencjami Piotra ani miarkować, czy lituje się nad nią, czy też chce zaciągnąć ją do łóżka. Jej serce było zajęte, chociaż miała świadomość, że być może nigdy więcej nie zobaczy Igora. Dlatego postanowiła, iż skupi się na tym, by za-

pewnić dzieciom godziwe życie. A Piotr ze swą ofertą po prostu spadł jej z nieba.

***

Wyszła z salonu fryzjerskiego i rozejrzała się za taksówką. Niestety, po kilku minutach zrezygnowała z czekania i postanowiła pójść piechotą do manikiurzystki, gdzie miała zamówioną wizytę. Zauważyła, że w porządnych ubraniach i z nową koafiurą budziła zainteresowanie. Jakiś mężczyzna ukłonił się jej, uchylając rondo kapelusza, chociaż widziała go pierwszy raz na oczy, jakieś dwie młody kobiety coś szeptały, zerkając na jej fryzurę, a w salonie piękności przywitano ją niczym wielką damę. Przybrała także na wadze, dzięki czemu przestała straszyć wystającymi obojczykami i kośćmi bioder, ziemista cera nabrała kolorytu, a ogromne sińce wokół oczu zniknęły, i to nie tylko dlatego, że skrupulatnie je przykrywała pudrem. Dzieci zostawiała pod opieką piastunki, za którą płacił Piotr, i pozwalała sobie na ten kobiecy egoizm i próżność, o których to cechach zapomniała kompletnie w czasie wojennych trudów. Tak, pozwalała sobie, by zająć się jedynie sobą. Z radością chodziła do szkoły, żeby poznawać angielski, i z jeszcze większą, gdy uczęszczała do lady Brighton na ćwiczenia z emisji głosu. Wieczorami zasypiała podekscytowana, bo Piotr obiecał jej, że niebawem zabierze ją na spotkanie z dyrektorem samego londyńskiego Palladium. Oczywiście, nie w charakterze diwy, bo do tego była jeszcze daleka droga, ale chciał załatwić jej pracę w chórkach towarzyszących wielkim gwiazdom. Przed wojną taka propozycja byłaby niemal obrazą dla niej, ale teraz wydawała jej się szczytem marzeń.

Mimo że wojna jeszcze się nie skończyła, Hanka Lewin zdawała się tym w ogóle nie interesować. Rosjanie parli na zachód, trzebiąc niemieckiego wroga, co dawało dużą szansę Łyszkinowi, Emilowi i Alicji na przeżycie. Inne sprawy, szeroko dyskutowane podczas spotkań towarzyskich, nie wzbudzały w niej żadnego zainteresowania. Swoje ponure przeżycia zakopała głęboko na dnie duszy, razem z żałobą, jaką nosiła w sercu po śmierci Ireny i po największej swojej miłości, do Igora Łyszkina.

7. Moskwa, 1945

Igor Łyszkin przemierzał długi korytarz pałacu Łubiańskiego i zachodził w głowę, dlaczego postanowiono poddać go weryfikacji. Tego typu komisje składały się z samych biurokratów i dlatego często weryfikowano negatywnie osoby, które nie tylko nie działały na szkodę Związku Radzieckiego, ale bohatersko przyczyniały się do jego zwycięstwa z wrogiem. Te gryzipiórki nie miały pojęcia, że zmiana planów czy niekonwencjonalne działania nie były żadną niesubordynacją, ale potrzebą chwili, bo plany zazwyczaj najlepiej wyglądają na papierze. Nie spodziewał się, że pewna historia, jaką usłyszał niedawno od swojego przyjaciela, mogła być powodem, dla którego go tutaj wezwano.

Łyszkin nie mógł sobie nawet przypomnieć, co narozrabiał. Od czasu niefortunnego zamachu w Zamościu robił to, czego oczekiwali dowódcy. Wszystko, cokolwiek czynił, począwszy od sprawdzenia tej napalonej zdziry – Dregerowej, aż po jego misję w Warszawie, a skończywszy na studiowaniu życiorysów jeńców wojennych, by trafić na takich, którzy mogli mieć jakikolwiek związek z badaniami Niemców nad nowoczesnymi rodzajami broni. Wkrótce zaś Sudopłatow miał go oddelegować do Londynu, by tam rozejrzał się, czy Brytyjczycy nie posiedli tajemnej wiedzy na temat bomby atomowej, którą na pewno mieli Amerykanie. Bardzo zależało mu na tym wyjeździe z uwagi na Hankę i syna, dlatego starał się wykonywać swoje zadania jak najlepiej. Tymczasem zamiast do Londynu wezwano go na Łubiankę.

***

Kiedy po powstaniu w Warszawie dotarł do Moskwy, nie krył oburzenia. Uważał, że nieudzielenie pomocy Polsce było w tym przypadku skurwysyństwem. Nie tylko on tak myślał, nawet prominentni funkcjonariusze z jego resortu sądzili podobnie, zwłaszcza gdy Niemcy w akcie totalnej wściekłości zrównali Warszawę z ziemią. Oczywiście, podobne komentarze były bardzo źle widziane i uciszano tych, którzy wypowiadali się w ten sposób publicznie, ale kiedy Igora wezwał Sudopłatow i ostro nakazał mu zamknąć gębę, bo inaczej narazi się na poważne problemy, wtedy Łyszkin przestał komentować całą sprawę. Generał przekonał go, iż żadne słowa nie

zmienią istniejącej sytuacji ani nie cofną czasu i decyzji Józefa Stalina, więc nie ma co się narażać dla przegranej sprawy. Igor przekalkulował to na chłodno i doszedł do wniosku, że w istocie Sudopłatow ma rację i nie ma sensu dywagować w temacie, który już został zamknięty. Poza tym generał odesłał go do pracy, która skutecznie izolowała go od dowódców i prominentów, zapewne w obawie, że taka rogata dusza na pewno nie zechce go posłuchać. Nie miał pojęcia, iż dla Łyszkina służba przestała stanowić sens życia, a wiara w ideały równości i braterstwa rozpłynęła się we mgle.

Po kilku tygodniach miał pokaźny stosik akt osób, które bezpośrednio pracowały nad rakietami dalekiego zasięgu, zarówno na wyspie Uznam, jak i na Dolnym Śląsku. Niestety, na temat bomby atomowej nadal niewiele było wiadomo. Miał jednak nadzieję, że w bezpośredniej rozmowie dowie się na ten temat nieco więcej. Jedna osoba przykuła jego uwagę. Metryczka zamieszczona na pierwszej stronie akt była naprawdę imponująca i Łyszkin rozpoczął studiowanie życiorysu doktora Geralda Kleina, bliskiego współpracownika profesora Brauna, który na wyspie Uznam testował rakiety dalekiego zasięgu V2. Naukowca zgarnięto już na terenie Polski, był zupełnie zaskoczony, gdy go pojmano i tak bardzo przerażony, że od razu wyjawił, czym naprawdę się zajmuje. Taka postawa dawała dobre rokowania na dalszą współpracę. Czy było to etyczne? Korzystać z osiągnięć naukowych wroga, wykorzystując do tego celu jego własnych ludzi? Uśmiechnął się pod nosem. W końcu cel uświęcał środki, a etyką nie powinien zaprzątać sobie głowy.

Rozmowa z doktorem Kleinem przebiegała niemal w familijnej atmosferze, człowiek ten nawet próbował dowcipkować i oznajmił, że w zasadzie jest mu wszystko jedno, dla kogo będzie pracował, byle miał godziwe warunki zarówno do życia, jak i prowadzenia swoich badań. Jak to zwykle bywało w takich przypadkach, Igor Łyszkin był gotowy obiecać mu nawet gwiazdkę z nieba, pod warunkiem, że w istocie będzie człowiekiem użytecznym.

Po dwóch miesiącach gmerania w dokumentacji i przeprowadzania rozmów z potencjalnymi współpracownikami do jego pokoju wszedł dawny przyjaciel, Jurij Sacharow, z którym niegdyś współpracował przy tworzeniu fikcyjnej organizacji „Tron”. Przywitali się wylewnie, Igor odłożył szare teczki na bok i wyciągnął z szafki butelkę wódki oraz dwie szklanki.

– To co, *drugu?* Napijemy się po jednym? – zapytał Jurija.

– Łyszkin, stary draniu, też mi pytanie! – zaśmiał się Sacharow.

– Tylko zakąska by się przydała – mruknął Igor. – Poczekaj kilka minut, zapytam którąś z sekretarek, czy nie ma czegoś na ząb.

Wyszedł z pokoju i w istocie dość szybko zorganizował kawałek chleba i pętko pachnącej kiełbasy, którą podarowała mu kierowniczka sekretariatu. Zapewne z litości, bo wciąż użalała się nad nim, że od rana do nocy siedzi w pokoju i gmera w papierach.

– Co ty tutaj robisz, Jurij, w naszym departamencie?

– Byłem w Warszawie i przywiozłem trochę akt polskich dywersantów, wyciągniętych z alei Szucha. Niektóre mogłyby cię zainteresować. Być może po zdobyciu Berlina niektórzy z nich cudem się odnajdą. Dlatego kazali mi przekazać ich akta do Sudopłatowa, a on skierował mnie do ciebie – powiedział Sacharow i wyciągnął z teczki nieco zakurzone i podniszczone akta.

– I jak jest teraz w Warszawie? – zapytał Łyszkin. – Ja się stamtąd ewakuowałem pod koniec września.

– Chłopie… No jak jest? Kupa gruzu, trupów i tyle. Wymarłe miasto. Aż mnie do tej pory ciarki po plecach przechodzą, jak sobie przypomnę. – Jurij wzdrygnął się.

– Szaleństwo… – mruknął Igor, ale nie powiedział nic więcej.

W tym resorcie panowała zasada ograniczonego zaufania i Igor nauczył się ostatnio, że o pewnych sprawach nie rozmawia się nawet z osobą, która uchodzi za przyjaciela. Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz widział Sacharowa i nie miał pojęcia, czy ta wojna go nie zmieniła, jak wielu innych jego towarzyszy.

– Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Teraz trzeba patrzyć na Berlin. Za kilka tygodni wyruszam tam, by sprawdzić, jak się sprawy mają. Podobno Amerykanie i Brytyjczycy bardzo chcieliby być pierwsi. No i należy zobaczyć, czy ta niemiecka swołocz niczego nie kombinuje. Co prawda sukces ma wielu ojców, a porażka z reguły jest sierotą, ale kazano mi sprawdzić, ile prawdy jest w tym, że nastąpił pewien rozłam i nawet najzagorzalsi wielbiciele Hitlera zaczynają się od niego odwracać. Ale co tam robota… Powiedz, jak tam ta twoja rodzina? Zdążyli uciec? Dałeś radę ich ostrzec? – zapytał Jurij.

– Tak, zdążyłem. Zrobiłem to dosłownie w ostatniej chwili. Nie mam pojęcia, co się teraz z nimi dzieje, nie miałem od nich wieści od tamtego cza-

su – westchnął Łyszkin.

– Może jak wojna się skończy… A chociaż wiesz, gdzie prysnęli? – Sacharow zdawał się wyjątkowo dociekliwy.

– Do Ameryki. – Igor machnął ręką. – Ale nawet nie wiem do której i czy w ogóle im się to udało. Liczę, że gdy wojna się skończy, dadzą mi jakoś znać. Może napiszą do mojej ciotki…

– Życzę… – powiedział Jurij i dodał: – Słuchaj, Łyszkin, właściwie to muszę ci coś powiedzieć.

– Śmiało – zachęcił Łyszkin.

– Wiesz, te akta, które znalazłem… Tam jest też o tobie. Kazali mi cię wybadać. No, wiesz, co ci wiadomo o tych ludziach, jakie miałeś z nimi powiązania i co wiedział twój ojciec. Ale trochę się znamy, razem pracowaliśmy i wzajemnie kryliśmy sobie tyłki, więc tylko ci mówię, że się tobą interesują. Zrobili fotokopie i zastanawiają się, co dalej z tobą zrobić. Więc ostrzegam cię jedynie, przyjacielu, żebyś na siebie uważał – jąkając się, powiedział Sacharow i spuścił głowę, jakby było mu trochę wstyd, że musi brać udział w podobnych historiach.

Był przekonany, że jego kompan, Igor Łyszkin, jest lojalnym funkcjonariuszem, a że miał kontakty w kraju, gdzie się wychował i gdzie był na misji, nie było niczym szczególnym. Nie rozumiał także, dlaczego wzbudziło to podejrzenie u władz.

– *Job twoju mać!* – zdenerwował się Igor. – I niby co tam takiego jest, że władze uznały mnie za osobę, którą należy sprawdzać?

Sięgnął po teczki przyniesione przez Sacharowa i zaczął przekładać kolejne stronice. Protokoły gestapo z jego przesłuchania, gdzie bredził Schwartzowi nieprawdopodobne historie o spotkaniach z nieistniejącym kretem z Ministerstwa Wojny. Zdjęcia niejakiej Alicji Rosińskiej i protokoły z przesłuchań Juliana Chełmickiego, których wypytywano o kontakty z nim. Ale i tutaj nie było niczego godnego uwagi. Żadne z nich go nie obciążyło, bo w gruncie rzeczy nie mieli ku temu powodów.

– Wielkie mi co! Tej całej Alicji chyba nigdy na oczy nie widziałem, a Chełmickiego znam jeszcze sprzed wojny. Chociaż wcale nie jestem pewien, czy nie powinienem powiedzieć, że znałem, bo nawet nie wiem, czy żyje – prychnął Igor i ze złością rzucił teczkę na podłogę.

– Tak, tutaj nic nie ma. Przyniosłem ci te akta, bo zarówno ten Chełmicki, jak i ta Rosińska byli na wyspie Uznam, w Peenemünde, a ty, zdaje się, in-

teresujesz się tym tematem – spokojnie powiedział Sacharow.

– Więc o co chodzi?! – ryknął coraz bardziej wzburzony Igor.

– O to, czego akurat tutaj nie ma. Za to oni mają zeznania pewnej sławnej śpiewaczki i jej brata, a oni mieli bardzo dużo do powiedzenia w twojej sprawie. Bo i też dużo wiedzieli. Pytanie tylko skąd? – Sacharow ściszył głos, nieco przestraszony wybuchem Łyszkina. Po chwili dodał, jakby usprawiedliwiając się: – Ja ci wierzę, ale oni węszą. Mam nadzieję, że nikt się nie dowie o tej rozmowie, bo… Stary, co ja ci będę gadał. A teraz napijmy się, po prostu, wódki…

Po godzinie, kiedy butelka była opróżniona i mężczyźni zabierali się za kolejną, Jurij zapytał:

– Słuchaj, Łyszkin, a nie myślałeś ty kiedy, żeby zmienić profesję?

Igor wybuchnął śmiechem.

– Chyba na eksponat anatomiczny dla studentów medycyny.

– No, wiesz, kiedyś i tak pójdziemy w odstawkę. Ja na ten przykład myślałem o tym, żeby nauczycielem być. Normalnie z dzieciakami w klasie siedzieć, klasówki sprawdzać i pisać kredą po tablicy. Ty wiesz, ja naprawdę marzyłem w dzieciństwie, żeby zostać nauczycielem po to, żeby pisać kredą po tablicy. Tak mi się to zajęcie podobało. – Uśmiechnął się. – A teraz, gdy już jestem starym koniem, myślę sobie, że nie byłby to wcale taki głupi pomysł. Lubię dzieci, ale jakoś własnych się nie dorobiłem, bo w naszym fachu posiadanie żony to sprawa niemal niemożliwa do zrealizowania. Co kilka miesięcy przerzucają cię jak worek kartofli. To Paryż, to Warszawa. Ech, do dupy takie życie. Kiedyś to mi się nawet podobało. I wiesz, być agentem to brzmi dumnie, ale teraz już mi to obrzydło, ale okazuje się, że nikogo nie interesują moje marzenia czy plany. Gdybym wiedział, iż tak to wygląda, broniłbym się rękami i nogami przed służbą w wywiadzie. Teraz już, niestety, jest za późno, by to zmienić.

– Gdyby człowiek wiedział, że się przewróci, to by się położył. Więc ja przestałem o tym myśleć. Wstaję rano i do roboty – powiedział Igor, bo nie chciał być tak wylewny, jak jego kompan.

– A swoją drogą, Igor, niezła suka była z tej twojej kobiety – wybełkotał.

Łyszkin zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział. Sacharow nie miał pojęcia, jak wyglądały przesłuchania gestapo, tego w protokołach nie było. On na początku też miał żal do Hanki. Nie tylko o to, że powiedziała wszystko, co o nim wiedziała, ale iż pewnego dnia, w bocianowskich la-

sach, wydała go na pewną śmierć i tylko ogromnemu szczęściu i splotowi okoliczności zawdzięczał fakt, że wciąż żył. Może i dobrze, że Jurij nie przyniósł mu teczki Hanki i jej brata. Gdyby jeszcze raz powrócił do tej historii, pękłoby mu serce, a tego bydlaka, Emila Lewina, po prostu pojechałby zabić i nawet nie pomógłby mu fakt, że jest bratem Hanki.

– Ten Chełmicki to nie wiadomo, co z nim jest, ale podobno na tę tancerkę to mają oko. Mieliśmy swojego człowieka w Armii Krajowej i spotkał ją w Warszawie, jak szukała narzeczonego. Na razie próbują ją w Polsce przekonać, żeby zgodziła się na współpracę z nami. Jeśli się im nie uda, przewieziemy ją do Moskwy, żebyś mógł z nią osobiście porozmawiać. – Sacharow czknął, po czym pożegnał się z Łyszkinem i chwiejnym krokiem opuścił biuro.

Igor zamyślił się. Doszedł do wniosku, że ta wojna zmieniła go bardziej, niż sądził. Sacharow zawsze był lojalny wobec niego, nawet wówczas, gdy samowolnie opuścił Związek Radziecki i wbrew zakazowi pojechał do Warszawy. Tego dnia także zagrał z nim w otwarte karty i ostrzegł go, a jednak Igor nie był w stanie powiedzieć mu pewnych rzeczy, jak chociażby tego, że miałby ochotę rzucić wszystko i wyjechać do Londynu, odnaleźć Hankę i Grzesia i pozostać tam na zawsze. Nawet nie powiedział mu, że ma syna. Tak, w sercu Igora Łyszkina bardzo wiele się zmieniło. Kolejne jego myśli popłynęły w kierunku Hanki i tego, co zrobiła, gdy zeznawała na gestapo. Już od dawna nie zaprzątał sobie tym głowy, tak samo, jak starał się nie myśleć o Hermannie Ritzu, ale może naprawdę Hanka nie była warta jego miłości i lojalności. Być może w istocie była zwykłą suką, która układała sobie życie, byle było wygodnie i spokojnie. Jednak łączył ich syn i coś, co na zawsze pozostaje w duszy, nawet jeśli tak bardzo nie chce się, żeby w niej tkwiło.

8. Okolice Nadarzyna, 1945

Emil Lewin wszedł do kuchni, w śnieżnobiałej koszuli i eleganckiej marynarce. Stojąca przy kredensie Adela Kociołek spojrzała na niego powłóczystym wzrokiem. Jej mąż, Józef, siedział już przy stole i pałaszował mleczną zupę z ziemniaczanymi zacierkami, przygotowaną przez małżonkę. Za oknem wciąż było ciemno, ponieważ dopiero dochodziła szósta rano. Emil usiadł przy stole i poczekał, aż Kociołkowa i jemu poda posiłek. Dla domowników było jasne, że jeżeli Emil wygląda tak elegancko, to zapewne wybiera się do Warszawy. Nieważne było, że to miasto praktycznie nie istniało, wszędzie walały się ludzkie zwłoki, a zamiast pięknych budynków leżały kupy gruzu. Emil jednak uważał, że jeśli wybiera się do stolicy, to bez względu na to, jak ona teraz wygląda, powinien prezentować się szykownie.

– Ale wiesz co, Emil – powiedział Józef Kociołek – ty to jednak jesteś chłop na schwał… Żeby tak obcego dzieciaka szukać…

Emil popatrzył na niego i machnął ręką.

– Obcy nieobcy, ale jak syn był dla mnie. Do tej pory sobie wyrzucam, że pozwoliłem mu na to całe wariactwo, a teraz na ekshumacje chodzę i przyglądam się, czy tam aby mojego dzieciaka nie ma. Nadałem też do Czerwonego Krzyża, bo to może miał chłopak szczęście i gdzieś się uchował, ale patrząc na to, co się dzieje, mam coraz mniej nadziei.

– Jednak obcy, nie twoja krew, ale przyjąłeś pod swój dach znajdę, a teraz martwisz się o niego bardziej niż o własną rodzinę.

– No nie bardziej, bo Karolek jest przy mnie. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby jemu się coś stało. Pewnie bym zwariował.

Porozmawiali jeszcze chwilę, zjedli śniadanie i Kociołek wstał od stołu. Był listonoszem i musiał dojeżdżać do pracy aż do Warszawy. Wojna nie wojna, ale listy wciąż chodziły. A teraz, po powstaniu, było ich coraz więcej, bo ludzie szukali swoich bliskich.

– A ty, Lewin, następnym jedziesz? – zapytał Józef.

– Tak, ten poranny o szóstej trzydzieści to zawsze taki napakowany, że igły by nie wcisnął – odpowiedział Emil.

Józef zdjął czapkę z gwoździa w przedpokoju, pożegnał się i opuścił dom. Emil Lewin skończył jeść zupę, gdy Kociołkowa postawiła przed nim szklankę herbaty, usiadła obok na krześle i dotknęła jego dłoni.

– A ja i tak myślę, że ty jesteś bardzo odważny. Jesteś moim bohaterem…

Emil jęknął.

– Byłbym bohaterem, gdybym tam leżał, pod gruzami, tak jak inni, a nie uciekał w popłochu.

– No i co im z tego przyszło? – westchnęła Adela – Tylko tyle, że są trupami i nawet porządnych grobów mieć nie będą, bo pewnie to wszystkich nawet nie odnajdą.

– Tak czy siak, ale bohaterem to ja się wcale nie czuję. I nie martw się, Adelcia, już niedługo opuszczę was i na stałe powrócę do Warszawy. – Uśmiechnął się.

– Chcesz tam wrócić? – zdziwiła się.

– Pewnie, że chcę tam wrócić. Miasto odbudują, a ja muszę powrócić do miejsca, gdzie było całe moje życie. Przecież nie będę wam wiecznie na karku siedział – mruknął Emil.

– Ja to bym chciała, żebyś został z nami na zawsze… – zaszczebiotała słodko Kociołkowa.

– No tak… – mruknął. – Bo nikt cię dawno tak ostro nie wychędożył.

Adela zamrugała powiekami i zarumieniła się.

– Dlaczego tak brzydko to nazywasz?

– Dajże spokój, Adela. Przecież dobrze wiesz, że to musi się kiedyś skończyć. Nie ma mowy o żadnych uczuciach, nie wspominając o tym, że ty masz męża, którego nawet dosyć lubię. Za godzinę mam pociąg, więc jeżeli mamy się trochę zabawić, musimy się pośpieszyć.

Adela przeszła do pokoju, w którym sypiała ze swoim mężem, zdjęła fartuch i sukienkę, którą pod nim miała, po czym położyła się na łóżku. Emil nie był zadowolony, że musi się rozbierać, gdy był już wyszykowany do wyjazdu, ale postanowił, że będzie miły dla Adeli, bo ona była miła dla niego i zajmowała się Karolkiem, kiedy on błąkał się po Warszawie w poszukiwaniu Szymka.

Tego dnia uczestniczył w ekshumacji na placu Krasińskich, jednak i tym razem nie znalazł tam niczego, co mogłoby świadczyć, że Szymek znajduje się wśród ofiar. Z jednej strony to dawało mu nadzieję, z drugiej – chciał zdobyć pewność, że albo dzieciakowi nic nie jest, albo zginął. Dobijało go, że nie miał pojęcia, co się stało z małym Szymkiem.

Po ekshumacji na placu Krasińskich udał się na niewielkie targowisko, gdzie warszawiacy handlowali czym się dało. Rozglądał się w poszukiwa-

niu starych znajomych, miał bowiem nadzieję, że jeśli spotka któregoś z nich, pomogą mu znaleźć miejsce do zamieszkania w Warszawie, bo jego kamienica została praktycznie zrównana z ziemią. Przeciskając się przez tłum ludzi, usłyszał znajomy głos nawołujący do zakupu koców, prześcieradeł i poduszek. Obejrzał się i ujrzał „Diamentową Rączkę".

– Franek! – krzyknął z entuzjazmem.

– A niech cię, Lewin! Spod jakiegoś ty kamienia się wyczołgał?!

– Chłopie, wyjechałem przed powstaniem na wieś, pod Nadarzyn, a teraz wróciłem zobaczyć, czy moja chałupa stoi, ale niestety pozostała po niej jedynie kupa gruzu. Chciałbym wrócić do Warszawy, ale co tu dużo gadać, nie mam gdzie mieszkać – ze smutkiem powiedział Emil.

– A jak tam Szymek i Karolek? – zapytał Franek z życzliwością w głosie.

– Karolek w porządku, rośnie, skubaniec, jak na drożdżach, a Szymek… Zachciało mu się walczyć w powstaniu i zaginął bez wieści. Wciąż mam nadzieję, że jakoś się zdołał uratować. Ale sam widzisz, co tu się dzieje… – westchnął Lewin.

– Żeś pozwolił gówniarzowi, żeby z kopytem latał? – zapytał zdziwiony Franek. – Nic cię getto nie nauczyło?

– No co mogłem zrobić, kiedy on się upierał. Gdybym mu zakazał, uciekłby i tyle bym z tego miał. A poza tym kto to wiedział, że to taka rzeź będzie. Miałem nadzieję, że jak dzieciak pójdzie do powstańców, to któryś pasa zdejmie i pogoni do domu…

– Co racja, to racja, ja nieraz ci mówiłem, że ten twój antek to swoimi drogami lubi chodzić i w końcu wpakuje się w jakąś grandę. Ja mieszkam na Pradze, bo tam nawet sporo kamienic się uchowało, ale niestety w mieszkaniu, w którym teraz przebywam, gnieździ się jeszcze dziewięć osób. Może pogadam z gospodynią, to znajdzie jakiś kąt dla ciebie, ale nie będzie to nic komfortowego, a ty, zdaje się, Lewin, to lubisz jak panisko mieszkać – zarechotał „Diamentowa Rączka".

– Nie gadaj głupot, Franek, ja już od dawna panisko nie jestem – burknął. – Odkąd zamieszkałem na Woli, moje warunki lokalowe dalekie były od ideału.

– Stary, ty nie masz pojęcia, co to znaczy „warunki dalekie od ideału". Jak nie wierzysz, to chodź ze mną, a zobaczysz, co tam się dzieje – zaśmiał się Franek.

Emil poczekał, aż „Diamentowa Rączka” sprzeda cały towar, po czym ruszyli w kierunku przeprawy na Wiśle.

***

Emil Lewin wracał wspomnieniami do dnia, w którym opuścił Warszawę. Wielokrotnie wyrzucał sobie, że pozwolił Szymkowi pozostać w mieście i bawić się w wojnę, jednak atmosfera panująca dookoła sprawiała, że niemal każdy mieszkaniec stolicy pragnął chwycić za broń i dokonać zemsty na znienawidzonym wrogu. Podobnie było z małym Szymkiem Wielopolskim.

Kwaterę do zamieszkania Emil wybrał kilka tygodni wcześniej. Wbrew pozorom nie było to takie proste, jak by się mogło wydawać, nawet wówczas, gdy Emil proponował przyzwoite pieniądze za wynajem. Być może wielu warszawiaków, czując, co się święci, postanowiło opuścić miasto, dlatego znalezienie samodzielnego domu graniczyło z cudem. U państwa Kociołków zaproponowano mu duży pokój, gdzie pomieściły się trzy łóżka, szafa i duży stół. Na jednym miał spać on, na drugim mały Karolek, a trzecie przeznaczone było dla Szymka. Gospodyni domu, Adela Kociołkowa, kobieta o rozłożystych biodrach i ciemnych włosach sięgających ramion, miała koło pięćdziesiątki, podobnie jak jej mąż, i zgodziła się na wynajęcie pokoju, ponieważ od pierwszej chwili Emil wpadł jej w oko. Sprawy łóżkowe wciąż były dla niej bardzo ważne, a jej mąż zdawał się o tym nie pamiętać. Oprócz tego była doskonałą gospodynią i przygotowywała, zarówno Emilowi, jak i małemu Karolkowi, wyśmienite posiłki. Zapewne wpływ miało również sowite wynagrodzenie, jakie zaproponował Lewin. Poza tym mały domek otoczony był wiekowym sadem, gdzie Karolek miał nie tylko świeże powietrze, ale również mógł posilić się owocami prosto z drzewa. Emilowi Lewinowi naprawdę było u Kociołków dobrze, a i dla jego syna warunki były wręcz wymarzone.

Do pierwszego zbliżenia między nim a Adelą doszło już dwa tygodnie po tym, jak się do nich wprowadził. Emil nie był idiotą i niemal od razu wyczuł, że starannie upięta fryzura, delikatny makijaż oraz nieco głębsze niż zazwyczaj dekolty mają na celu uwiedzenie mężczyzny. Jemu także brakowało kobiety, ponieważ Renate od jakiegoś czasu leżała w szpitalu i nie było mowy o tego typu kwestiach. Niekiedy nachodziły go wyrzuty sumie-

nia, ponieważ Józef Kociołek był bardzo życzliwy dla niego, a Renate także nie zrobiła mu żadnej krzywdy. Potem jednak pomyślał, że jemu też się coś od życia należy, i postanowił nie przejmować się zanadto takimi drobiazgami. Poza tym nie dość, że mógł sobie pouzywać między zwalistymi udami Adeli, ta zajmowała się ochoczo Karolkiem, kiedy jego tata wyruszał do Warszawy, by odnaleźć Szymka, a im bardziej dogadzał gospodyni w łóżku, tym chętniej oferowała mu swoją pomoc.

Kiedy docierały do niego informacje o toczących się walkach w stolicy, a potem o tym, że powstanie upadło, Lewin był pełen złych przeczuć. Jeszcze gorsze naszły go wówczas, gdy nadeszły wiadomości, iż Warszawa została zrównana z ziemią, a liczba ofiar jest wręcz niewyobrażalna.

Pierwszy raz Lewin udał się do Warszawy wraz z Karolkiem, jednak gdy zobaczył, że jego domu już nie ma, a miasto przypomina rumowisko, nigdy później nie wziął swojego syna ze sobą, tylko samotnie poszukiwał Szymka. Co ciekawe, kompletnie nie zainteresował się losem Renate Zoll, ponieważ założył, że ta z pewnością została ewakuowana, tak jak inni Niemcy. Doszedł do wniosku, że wobec tego na pewno nic jej nie grozi, chyba że kalectwo z powodu dotkliwego pogryzienia przez psa. Lewin kompletnie nie nadawał się na samarytanina i to, że stracił z oczu okaleczoną i wymagającą opieki kochankę, było mu bardzo na rękę. Zastanawiał się również, czy jego piekielny braciszek, Julian Chełmicki, podzielił los innych powstańców i zdechł pod gruzami Warszawy.

***

Gdy dopływali na drugą stronę Wisły, Emil Lewin wyrwał się z zamyślenia i zapytał Franka:

– A gdzie twój fantastyczny samochód?

– Mój samochód jest git, ale jeszcze nie umie jeździć po wodzie. – Roześmiał się.

– Kiedyś też sobie kupię, ale nie żadną furgonetkę, tylko taką elegancką limuzynę – westchnął Lewin.

– E tam, do takiej taksówki to by się moje fanty nie pomieściły, ale za to kobitki od razu by mnie za galanta wzięły i miałbym branie, panie, jak Amerykaniec.

Wkrótce wyszli z łodzi i ruszyli w stronę kamienicy znajdującej się przy ulicy Targowej. Budynek, do którego weszli, w istocie wyglądał na nienaruszony, kiedy jednak udali się na drugie piętro i Franek otworzył drzwi jednego z mieszkań – czar prysł. Cały korytarz zastawiony był rozmaitymi sprzętami i nawet trudno było przejść, by dostać się pod drzwi poszczególnych pomieszczeń. Stały tam dwa rowery, miednica, jakieś przedziwne kufry, stare szafki, wózek dziecięcy, a nawet klatka, w której siedział zabiedzony królik. Franek przecisnął się między gratami i dotarł do ostatnich drzwi po prawej stronie korytarza. Drzwi miały dwa zamki, w tym jeden na kłódkę. Emil nie rozumiał za bardzo, skąd takie zabezpieczenie, ale Franek szybko mu objaśnił, iż w swoim pokoju trzyma towar i obawia się, że jak ktoś zwącha, to po prostu go ukradnie.

Pomieszczenie, które zajmował „Diamentowa Rączka", nie było duże, ale z uwagi na piętrzące się piernaty wydawało się jeszcze mniejsze, niż było w rzeczywistości. Jedynym wolnym miejscem w pokoju, gdzie nie leżał towar przeznaczony na sprzedaż, było wąskie łóżko z brudną i pomiętą pościelą. Emil uśmiechnął się pod nosem i powiedział do Franka:

– Handlujesz piernatami, a twoje wyglądają jak obraz nędzy i rozpaczy.

Franek poklepał Emila po ramieniu i odrzekł:

– Ja po prostu nie mam czasu na pierdoły. To najlepszy moment, żeby zarobić szmal. Mam kapitalny pomysł na zbicie fortuny w tym grajdole, ale do tego potrzebny mi wspólas. Po powstaniu do Warszawy ściągnęły całe bandy szabrowników, które łupią co się tylko da, a potem wywożą na południe i sprzedają.

– A gdzie twój kręgosłup moralny, Franek? – zapytał Emil złośliwie, pamiętając, jak ten był zniesmaczony, gdy Emil szantażował ludzi ukrywających Żydów.

– Jak nie my, to inni się obłowią, więc nie ma co sobie dupy zawracać jakimiś mecyjami.

– I jak zamierzasz to zrobić? Przecież wszędzie jest polskie i ruskie wojsko, a z nimi to nie ma żartów. Jak cię dorwą, to palną ci kulkę w łeb i nie będą dyskutować.

– Ty, Emil, strasznie obesrany jesteś, widzę. A jak za Niemca robiłeś interesy, to się jakoś nie cykałeś – zadrwił Franek.

– Stary, bałem się jak cholera, ale Ruskich też się cykam, może nawet bardziej – uśmiechnął się Lewin.

– No przecież Ruskie przyjechali przywrócić nam pokój i dać demokrację – zarechotał Franek. Po chwili jednak spoważniał i powiedział do kompana: – Emil, a jak oni wyniuchają, żeś ty z Niemcem w komitywę wszedł, to nie dostaniesz przypadkiem krawata?

Lewin momentalnie zrobił się blady i zapytał Franka:

– Myślisz, że dojdą do tego, żem kombinował ze szwabami? Przecież ja tylko ratowałem życie i chciałem zapewnić dobrobyt swojej rodzinie.

– Ty to wiesz i ja to wiem, ale oni tego nie wiedzą – filozoficznie zakończył rozmowę Franek.

Lewin postanowił przemyśleć propozycję Franka od razu, zaś nad ewentualnymi konsekwencjami współpracy z gestapo postanowił zastanowić się później. Teraz jednak najważniejsze było znalezienie lokum w Warszawie. Jakiegokolwiek.

Gospodyni wynajmująca pokój Frankowi była drobną i chudą kobietą po sześćdziesiątce. Obecnie mieszkała w kuchni, ponieważ resztę pokoi i pomieszczeń udostępniła lokatorom. Przy okazji pilnowała także, żeby żaden z nich nie korzystał z kuchni dłużej, niż to było konieczne.

– Dzień dobry, pani Kozielska, całuję rączki – uprzejmie przywitał się Franek. – Kolega kwatery szuka, bo w jego kamienicę bomba pizgła.

Kobieta popatrzyła na Franka, potem na Lewina i powiedziała, wzdychając:

– Jak w większość w tym mieście…

– A nie znalazłoby się coś dla mojego kamrata?

– Panie Franku… – stanowczo odpowiedziała Kozielska. – Pan przecież wie, że ja pana lubię i ja dla pana wszystko, ale gdzież ja go teraz umieszczę? Przecież wszystkie pokoje pozajmowane.

– No wiem, pani Kozielska, przecie tu mieszkam. Ale może zna pani kogoś, kto by przyjął tego galanta? – nie dawał za wygraną Franek.

– Nie wiem… Popytam i odpowiem panu, ale teraz sam pan rozumiesz, że z kwaterami to bardzo ciężko.

– Wiem, wiem, pani Kozielska. – Franek nie przestawał się do niej uśmiechać. – Ale pani to taka sprytna kobitka i jestem pewien, że na pewno coś wymyśli.

Po kilku minutach opuścili kuchnię i mieszkanie Kozielskiej, a Emil powrócił do wsi pod Nadarzynem. Kociołek już wrócił z pracy i siedział na

kanapie, popijając herbatę, którą Adela przygotowywała z kory i suszonej marchwi.

– I jak poszło? – zapytał Kociołek wchodzącego do domu Lewina.

Emil machnął ręką i powiedział:

– Tak jak zawsze. Na ekshumacjach nie było nikogo, kto by przypominał małego Szymka, żadnych jego rzeczy też nie rozpoznałem, a i w Czerwonym Krzyżu niewiele wiedzą. Powiedzieli, że jeśli żyje, to zapewne znajduje się w jakimś obozie i ustalenie jego miejsca pobytu trochę potrwa, ponieważ bardzo wielu ludzi szuka swoich bliskich i zgłasza się do nich po pomoc.

Ludzie, którzy tłumnie przybywali do punktu Czerwonego Krzyża, próbowali pocieszać się wzajemnie, że niebawem nie tylko Warszawa będzie wolna, ale cała Polska, a alianci i Rosjanie zmiotą Trzecią Rzeszę z powierzchni ziemi. Wtedy wszyscy, którzy są w stalagach i obozach, powrócą do domu.

Kociołek pokiwał głową i powiedział to, co zwykło się mówić w takich sytuacjach:

– Zawsze trzeba mieć nadzieję, Lewin.

Ten pokiwał głową, wziął od Adeli małego Karolka i poszedł do swojego pokoju. Nie miał ochoty na dyskusje o polityce, układzie sił i trupach zalegających w stolicy. Wiedział jednak, że i tak się skończy na ponurych opowieściach, ponieważ tym, co stało się w Warszawie, interesowali się wszyscy.

Następnego dnia kolejny raz wyruszył do stolicy i spotkał się z Frankiem, a ten oznajmił mu, że ma dla niego pokój. Załatwiła go Kozielska i miał zamieszkać u jej siostry, po drugiej stronie ulicy.

Siostra Kozielskiej była jeszcze starsza od niej i jeszcze bardziej zasuszona, a pokój, w którym miał zamieszkać, przypominał wielkością schowek na szczotki, bowiem przedsiębiorcza właścicielka mieszkania przedzieliła pomieszczenie dyktą i dzięki temu zamiast jednego lokalu, miała cztery. Oprócz łóżka i małego stolika z krzesłem nie mieściło się tam już prawie nic. Emil pomyślał, że nie są to najlepsze warunki dla dziecka, i doszedł do wniosku, że dogada się z Adelą i dopóki nie stanie na nogi w Warszawie, pozostawi u niej Karolka. Nie za darmo, oczywiście. Był przekonany, że Kociołkowie zgodzą się na takie rozwiązanie, ponieważ Józek, jako listonosz, zarabiał grosze, a i dojazdy do Warszawy trochę kosztowały. Opieka

nad dzieckiem w zamian za sowite wynagrodzenie powinna zatem ich uradować.

Adela w istocie zgodziła się na taki układ, ale fakt, że jej kochanek wyprowadza się, doprowadził ją niemal do histerii i tylko obecność męża powstrzymała ją przed drastyczniejszymi reakcjami. Lewin zaś udawał, że nie widzi jej zawiedzionej miny, tylko spakował ogromną walizkę i pożegnał się zarówno z Karolkiem, jak i gospodarzami. Jechał na podbój Warszawy, zupełnie innej, niż ta, z której kilka miesięcy temu wyjeżdżał. I nie tylko dlatego, że była jednym wielkim gruzowiskiem, ale miał świadomość, iż teraz stolica będzie miała nowego pana, który zaprowadzi swoje porządki, zatem należało się jak najszybciej z nową władzą zaprzyjaźnić, a przy okazji zarobić. Tak, zrujnowana Warszawa i wkroczenie Armii Czerwonej rysowały przed Emilem Lewinem zupełnie nowe możliwości.

9. Kołyma, 1945

Olga Iwanowna przestała mieć już marzenia i jakiekolwiek plany na przyszłość. Gdy dostała z sądu decyzję odmowną dotyczącą jej wcześniejszego zwolnienia, coś w niej pękło. Po kilku dniach popadania to w czarną rozpacz, to w apatię, doszła do wniosku, że jej życie już nigdy nie ulegnie zmianie i jest skazana na ciągłe katusze. Przestała płakać i histeryzować, zaczęła normalnie rozmawiać z Ernstem i nie chciała już wracać, nawet w myślach, do dnia, gdy wszystko legło kolejny raz w gruzach, a jej świat znowu przewrócił się do góry nogami. Najwyraźniej Kołyma i ciężka praca były jej przeznaczeniem i jedyne, na co mogła liczyć, to na to, że Bóg czy los zlituje się nad nią i nie będzie musiała patrzyć na to wszystko do późnej starości. Wyrok, jaki dostała, wydawał jej się taką abstrakcją, że jawił jej się jako dożywocie. Postanowiła więc nie patrzyć w przyszłość, a żyć teraźniejszością, w przeciwnym razie nie wytrzymałaby ani jednego dnia dłużej w „Raju".

– Ile dzisiaj odwozicie? – zapytał rzeczowo Ernst.

– Ośmioro. Nie wiem, jak z tymi bliźniakami będzie, bo wydaje mi się, że mają już zaawansowaną anemię. Ale może jak ich dobrze podkarmią, kto wie?

Olga poprawiła chustkę na głowie i pomyślała, że o tej porze roku w Leningradzie byłyby już roztopy, a nawet można byłoby dostrzec listki na drzewach. Tutaj jednak wciąż trwała zima, chociaż ku uciesze wielu osadzonych mróz zelżał do minus dwudziestu w ciągu dnia, co w porównaniu z zimowymi chłodami było temperaturą dość przyzwoitą. Mogła także zorganizować transport obozowych dzieci do odległej o trzydzieści kilometrów od „Raju" farmy dziecięcej, jak ładnie nazywano niekiedy sierocińce dla dzieci urodzonych w obozach pracy.

Kiedy pierwszy raz powierzono jej to zadanie, sądziła, że matki będą histeryzować, lamentować i zmuszą ją do tego, by wyrywała im dzieci siłą, ale okazało się, że były to rzadkie przypadki. Większość matek z ulgą oddawała swoje maleństwa, ale wcale nie dlatego, że były nieczułymi opiekunkami, ale po prostu nie były w stanie ich wykarmić. Wolały więc bez protestu oddać je do sierocińca i mieć nadzieję, że po odsiadce odbiorą je żywe i zdrowe. Zapewne było im ciężko, bo przebywając z dzieckiem osiemnaście miesięcy po urodzeniu, przywiązywały się do niego bardziej niż w cza-

sie ciąży, która stanowiła dla nich dopust boży. Często się zdarzało, gdy potomstwo powite zostało poprzez gwałt i to niejednokrotnie zbiorowy, że kobiety nawet nie chciały oglądać swoich dzieci i konieczność zajęcia się takim maluchem była dla nich katorgą. Przeważał jednak pragmatyzm, bo żadna kobieta nie życzyła swojemu dziecku śmierci, bez względu na okoliczności.

– Ale, siostro, ona tam będzie miała dobrze? – pytała z trwogą bezzębna kobieta, najpewniej młoda, ale wyglądająca na babcię dziewczynki.

– Oczywiście – skłamała gładko Olga, bo uznała, że prawda mogłaby jedynie pogorszyć sytuację.

– Tam lepiej jadają niż my tutaj? I zabawki też są? I czyste łóżka? – dopytywała matka dziewczynki, małej Wiery, która była owocem pożycia z jednym z brygadzistów.

Jego ten temat, oczywiście, nie interesował, po prostu znalazł sobie świeży towar, licznie przybywający z Magadanu, gdy zaś ta odrzucona, brzemienna kobieta chciała prosić o łaskę i pomoc dla ich przyszłego potomka, po prostu wybił jej zęby i wyrzucił ze swojego baraku.

– Zabawek za dużo to tam nie mają, ale jedzą dobrze – jąkała się Olga.

I tak miała wyrzuty sumienia, że okłamywała te biedne kobiety w kwestii pożywienia i dobrej opieki, ale nie chciała jeszcze bardziej, opowiadając na przykład bajki o zabawkach, czystości i braku chorób w takich miejscach.

Posadziła małą Wierę do furgonetki i poszła po kolejne dzieci, wymizerowanych i bladych bliźniaków, dla których sierociniec zapewne okaże się gwoździem do trumny. Ich matka, równie mocno wychudzona, nie zapytała o nic, tylko odeszła do swojego baraku, nawet się nie obejrzawszy. Olga odhaczyła ołówkiem kolejne dzieci, wsiadła na pakę samochodu i puknęła pięścią w szybę, dając tym samym znak, że mogą jechać. Pojazd ruszył wolno, z głośnym rykiem i wypuszczając z siebie kłęby dymu. Drogi dojazdowe do zony pozostawiały wiele do życzenia, dlatego ciężarówka wciąż chybotała się i trzęsła, powodując płacz u niektórych dzieci. Dodatkowym utrapieniem był chłód wdzierający się przez nieszczelną plandekę i Olga przez całą drogę musiała pilnować, by wiezione dzieci były wystarczająco dobrze okryte. Kiedy zdarzało się, że przywoziła do sierocińca maluchy z katarem albo jakąś inną infekcją, rugano ją, że teraz wszystkie dzieciaki będę chore. Dla niektórych, szczególnie słabowitych, mogło to być niczym wyrok śmierci.

Dom, w którym mieszkało potomstwo więźniarek, był obskurny. Szare mury były popękane i obłupane w niektórych miejscach, jakby nie mogły sobie poradzić z brutalnymi siłami natury. Budynek ogrodzony był wysokim płotem z siatki, a brama zamknięta na ciężką kłódkę. Gdy tylko samochód podjechał, z budynku wyszła kobieta koło pięćdziesiątki z narzuconym na ramiona paltem. Otworzyła bramę i samochód wjechał na dziedziniec, gdzie jedyną ozdobą była zdezelowana huśtawka i kilka drewnianych, nieco sczerniałych ławek. Zapewne było to czymś w rodzaju placu zabaw dla dzieciaków, które mogły wychodzić na podwórko, gdy tylko pogoda na to pozwalała.

– Dzisiaj dwoje nam zmarło, to będę miała gdzie położyć ich wszystkich. Już miesiąc temu mieli mi dowieźć łóżka z Magadanu, ale ciągle im nie po drodze. A jak mam te maluchy poukładać? Już i tak jak chudziny, to ich po dwie sztuki do łóżek wkładam – narzekała kobieta.

– Co robić? – Olga wzruszyła ramionami i zaczęła przenosić dzieci do wnętrza, które prezentowało się równie parszywie, co fasada budynku.

Gdy już przekazała wszystkie w ręce opiekunek, udała się do biura sierocińca. W pomieszczeniu administracyjnym stała jedynie metalowa szafa i ciężkie biurko, zasłane rozmaitymi dokumentami.

– Łóżka miesiąc wiozą, ale to ja muszę się tłumaczyć z każdej kopiejki – burczała pod nosem kobieta, jakby do siebie.

– Podpiszcie, towarzyszko, pokwitowanie… – zaczęła niepewnie Olga.

– Pewnie, podpiszcie, włóżcie do teczki i pilnujcie jak oka w głowie, bo jeszcze przydziału nie dostaniecie. – Kobieta nie przestawała sarkać, gdy nagle stojący na biurku telefon zaterkotał. – Zaczekajcie na korytarzu – zarządziła. – To pewnie z centrali, z Magadanu.

Olga położyła na brzegu biurka swoją dokumentację i wyszła do holu. Zimne, szare ściany miały lamperie pomalowane olejną farbą w kolorze zieleni, co ani trochę nie dodawało przytulności wnętrzu. Zewsząd, przez otwarte na oścież drzwi, dobiegał płacz najmłodszych dzieci. Inne, nieco starsze, wyglądały zaciekawione z pokoi, bo przyjazd samochodu mógł oznaczać dostawę jedzenia. Zajrzała do jednej z sal, skąd docierał przeraźliwy szloch jakiegoś malucha. W środku niemal jedno przy drugim stały metalowe łóżeczka, w których niczym w więzieniu siedziały albo stały dzieci, przytrzymując się prętów, i wciskały pomiędzy pionowe szczebelki swoje zapłakane twarze. Nie dostrzegła żadnej opiekunki, jedynie wstrzymała od-

dech, bo odór niezmienianych pieluch był jeszcze bardziej porażający niż w holu. W kącie, na półkach wąskiego regału zbitego z surowych desek, leżały brudne, zniszczone zabawki, porozrzucane byle jak. Olga zauważyła, że w porównaniu z poprzednim razem, kiedy tutaj była, liczba dzieci przynajmniej się podwoiła, a zapewne opiekunek było wciąż tyle samo.

– Lubicie wdychać ten zapaszek? – Usłyszała za plecami głos kierowniczki, która kilka minut wcześniej wyprosiła ją z pokoju. – Tutaj macie podstemplowane listy. Karty dziecka przekazałam pielęgniarce, ale nie sądzę, żeby mogła coś pomóc tym bliźniakom. Przydziały mamy na pięćdziesiątkę dzieci, a teraz jest ich już ponad setka. Łatwo więc policzyć, że na każde dziecko przypada połowa racji żywnościowych, połowa personelu, wszystkiego połowa. Mamy dużo zgonów, ale co z tego, jeśli ciągle przybywa nowych dzieci.

– Podobno towarzysz Stalin bardzo kocha dzieci i chce, żeby wyrosły na silnych, zdrowych i pracowitych bolszewików – z sarkazmem powiedziała Olga i dodała: – Nie zmieniacie im pieluch, czy co?

– Pieluch też mamy połowę, czyli możemy przewijać dzieci raz dziennie, a nie dwa. A jak mi przywiozą jeszcze więcej dzieci, znowu będzie problem. – Kierowniczka wzruszyła ramionami.

Olga nie mogła zrozumieć tej bezduszności i obojętności kobiety, ale potem przyszło zrozumienie. W takim miejscu jak Kołyma każdemu tępiła się wrażliwość. Ona także na początku przeżywała każdą głodową śmierć, agonię ludzi w *aktirowce* albo cierpienie pacjentów, gdy musiała opatrywać rany bez środków uśmierzających ból. Podobnie było, gdy w obozie pojawiły się pierwsze dzieci. Udała się wówczas do komendanta Kaganowskiego, by zwiększył kobietom w połogu racje żywnościowe. Zarówno Ernst, jak i pozostały personel, który rozrósł się do czterech osób, byli przerażeni jej zuchwałością. Praca w *słabosilce* i ambulatorium była najlepsza ze wszystkich robót na terenie obozu, bo dawała największą gwarancję, że więzień nie wyląduje w kopalni czy przy wyrębie drzew. Dlatego nikt się nie skarżył, a nawet nie odważył się prosić o cokolwiek. Pierwotnie namawiała Ernsta, żeby wstawił się u komendanta za tymi dziećmi, bo ich matki z niedożywienia prawie nie miały pokarmu. Odmówił grzecznie, ale stanowczo, informując ją, że los tych dzieci jest i tak przesądzony.

Stiepan Kaganowski wysłuchał kwiecistej przemowy Olgi na temat nowego pokolenia radzieckich aktywistów, sympatii Stalina do dzieci i o tym, że

z powodu wojny demografia Związku Radzieckiego wygląda dramatycznie. Komendant nie okazał złości, gdy weszła do niego nawet nie z prośbą, ale prawie z żądaniem, tylko pokiwał głową i westchnął:

– Widzę, że resocjalizacja w waszym przypadku się sprawdza. Nie jesteście obojętni wobec sytuacji, w jakiej znalazł się nasz kraj. Napiszę do Magadanu…

Olga nie wiedziała, czy w istocie to uczynił, czy po prostu chciał ją zbyć byle czym, bo los kobiet nie uległ poprawie. Nigdy więcej do niego nie poszła.

A potem nadszedł czas, gdy musiała pierwsze dzieci, które ukończyły osiemnaście miesięcy, zabrać matkom i odwieźć do domu dziecka. Nie były jeszcze świadome, co je czeka, ale płakały, jak wszystkie maluchy, gdy nagle zostają wyrwane z bezpiecznych matczynych ramion. Nie wiedziały także, podobnie jak ich matki, że nigdy w te ramiona nie powrócą, bo bezduszni biurokraci mieli wobec nich własny plan. Po przekroczeniu pewnego wieku po prostu zmieniano im nazwiska i wywożono w różne strony Związku Radzieckiego, by nigdy nie były w stanie odnaleźć swoich rodziców. Płakała, gdy zabierała te dzieci do sierocińca i wówczas, gdy dowiedziała się, co je czeka. Po jakimś czasie jednak przestała czuć cokolwiek. Stanowiło to dla niej taki sam obowiązek, jak każdy inny i wykonywała go zupełnie bez emocji. Może dlatego, że w tym miejscu człowiek był bezsilny nie tylko wobec surowego klimatu, dziesiątkującego osadzonych, ale także wobec systemu, który zesłał ich w to miejsce. Tak zwana resocjalizacja polegała chyba tylko na tym, by człowiek przestał być człowiekiem.

10. Warszawa, 1945

Paradoksem całej sytuacji, w jakiej znalazła się Alicja, było to, że nie miała pojęcia, czego oni właściwie od niej chcą. Odnosiła chwilami wrażenie, że trzymają ją jedynie po to, aby zadać ból, czy to fizyczny, czy to psychiczny. Na Boga, gdyby wiedziała, o co chodzi, z pewnością przemyślałaby ich propozycje, ale one były co najmniej dziwaczne. Bo jaki związek miał jej romans z Martinem Grossem i jej obecną działalnością w polskim podziemiu? Było to niedorzeczne, ten romans zakończył się dawno temu. Wszelkie dokumenty, które miała, przekazała swoim kompanom, a o późniejszych badaniach, jakie miały miejsce w zakładach zbrojeniowych w Peenemünde, nie miała zielonego pojęcia.

Na kolejne przesłuchanie zabrano ją do biura majora NKWD, Bykowa. Był to pokój o szarych ścianach, miał zakratowane okna i betonową podłogę. Pod jedną ze ścian stało biurko, na którym Alicja ujrzała lampkę z zapaloną żarówką skierowaną na stojące naprzeciwko krzesło. Bykow jednak nie poprosił jej, żeby usiadła, ale kazał jej stanąć pod ścianą i ostrzegł, że jeśli rozmowa nie przebiegnie po jego myśli, będzie tam stała przez kolejne dwie doby. Alicja pokiwała głową na znak, że jest gotowa przeprowadzić taką rozmowę. Przestała być już hardą panienką, która napluła w twarz Wiktorowi. Samotnie siedzenie w celi, jak również spędzanie czasu w tak zwanej psiej budzie zmiękczyły ją i pomyślała sobie, że nie będzie już zgrywała bohaterki. Problem tylko polegał na tym, że nie była w stanie dać im tego, czego od niej oczekiwali. Bykow pytał o badania nad nowoczesną bronią, które prowadzone były na wyspie Uznam, ale jej wiedza w tym zakresie była bardzo uboga i pochodziła z 1942 roku.

– Niejaki Julian Chełmicki, wasz partner i kochanek, otrzymał od jednego z pracowników projekty rakiet V1 i V2. Co się z nimi stało? – zapytał Bykow.

– Nie wiem. – Alicja wzruszyła ramionami. – Byłam tylko dziwką Grossa, która jedynie dwie rzeczy musiała robić dobrze: pieprzyć się i robić zdjęcia. To były techniczne sprawy, o których zwykła tancerka nie ma zielonego pojęcia.

– A jednak wywiad brytyjski bardzo niechętnie przyjął informację, że nie będziecie dla nich pracować – mruknął Bykow.

– To zrozumiałe. Najwidoczniej fotografie, które im dostarczałam, zawierały informacje, które były dla nich cenne. Rzecz w tym, że obecnie kompletnie nieaktualne, a tym samym nieprzydatne – spokojnie odpowiedziała Alicja.

– Więc po co go zabiliście, zamiast nadal go szpiegować?

Alicja wyczuła nutę złośliwości w głosie Bykowa.

– Ratowałam komuś życie – odpowiedziała cicho.

– Temu całemu Chełmickiemu z kułackiej rodzinki… A my nawet wiemy, gdzie on teraz jest. I pewnie wy też chcielibyście wiedzieć… – bąknął Bykow.

Wolałaby wiedzieć, gdzie jest Sergiusz. To, że znali miejsce pobytu Juliana, oznaczało, iż przeżył. Nic więcej nie musiała wiedzieć, może tylko to, w których wrogich łapach się znajdował.

– To gdzie są te materiały z wyspy Uznam? – zapytał, gdy Alicja przez dłuższy czas milczała.

– Naprawdę nie wiem. – Ponownie wzruszyła ramionami.

– A może ten cały paniczyk wie?

Alicja wyczuła, że major traci cierpliwość. Jego głos zrobił się drżący, zaciskał usta, gdy cedził słowa, a twarz przybrała rumiany kolor, przez co wydała się Alicji jeszcze bardziej obrzydliwa.

– Nie wiem – odpowiedziała, jednak bez wzruszenia ramion, bo najzwyczajniej w świecie zaczęła się naprawdę bać tego gnoja.

I słusznie, bo jej ostatnie odpowiedzi rozwścieczyły Bykowa. Wstał zza biurka i zaczął ją bić otwartą dłonią po twarzy, głowie, właściwie nawet chyba nie patrzył, gdzie uderza, byle mocniej i więcej. Po kilku minutach, spocony i z jeszcze bardziej zaczerwienioną twarzą, usiadł z powrotem za biurkiem.

– To, co wiemy, pochodzi z akt warszawskiego gestapo. Powiecie, gdzie znajdują się akta Armii Krajowej okręgu Mazowsze? – zapytał cicho.

– Nie wiem… – wydukała.

– Wiecie co, Rosińska, jesteście *durak*. Bo uważacie nas za wrogów, a my wam wypędziliśmy Niemców… Nie, jednak nie jesteście *durak*, wy jesteście zwykli bandyci – wycedził.

Milczała. Doszła do wniosku, że jakakolwiek dyskusja z tym człowiekiem jest pozbawiona sensu. On chciał otrzymać informacje, których nie miała. Nie miała pojęcia, co się stało z archiwami ich organizacji i kto je ukrył, bo

to, że zostały wywiezione z Warszawy przed powstaniem, było niemal pewne. Ona jednak nie interesowała się tym wcale, kompletnie pochłonięta miłością i niepewnością swojej przyszłości. Nie sądziła także, aby Julian brał w tym udział, ponieważ powiedziałby jej o tym. A może nie, bo była to sprawa tak tajna, że nawet ona nie powinna o tym wiedzieć? Zastanawiała się przez chwilę, czy nie rzucić im jakichś fałszywych tropów, ale miała świadomość, że bez względu na to, co zrobi i powie, i tak ją w końcu zamordują.

– Zrobimy tak… Postoisz tu sobie trochę i przemyślisz całą sprawę – stanowczo powiedział major i opuścił biuro, a na jego miejscu zasiadł szeregowy funkcjonariusz, który miał jedynie pilnować, żeby stała nieruchomo.

Pomyślała, że stanie w miejscu nie będzie tak dotkliwe, co razy zadawane wielką jak bochen chleba dłonią. Jakże bardzo się myliła…

Po kilku godzinach, które wydawały się wiecznością, miała wrażenie, że wszystko inne jest lepsze niż to cholerne stanie w miejscu. Nawet „psia buda" wydawała jej się lepszym miejscem, a kara mniej dotkliwszą. Do następnego ranka jej nogi przypominały balony, mięśnie jej drętwiały, by w pewnym momencie zwiotczeć tak bardzo, że osunęła się na betonową podłogę. Poczuła chwilową ulgę, jakby pozbyła się stutonowych kul przy nogach, ale po chwili spłynął na nią strumień lodowatej wody i dobiegł do jej uszu krzyk żołnierza, że ma natychmiast wstawać, bo inaczej wyrwie jej wszystkie paznokcie. Dopiero gdy upadła kolejny raz i groźba nie zadziałała, zdecydowano odesłać ją do celi.

„Bracia Rosjanie" – jak to niektórzy mawiali – nie różnili się niczym od gestapowców. Paradoksem jednak było to, że przez całą okupację, gdy robiła naprawdę ryzykowne rzeczy, udawało jej się uciekać spod ręki Niemców, a gdy postanowiła, że definitywnie kończy z walką, i pogodziła się losem, myśląc jedynie o świętym spokoju, wpadła w łapy NKWD. Przypomniała sobie czas, gdy spotkała się z Hanką po jej wyjściu z Pawiaka. Jej przyjaciółka opowiadała o tym, jak bardzo chciała umrzeć, byle zakończyć swoją gehennę. Alicja kompletnie nie była w stanie tego zrozumieć. Życie było najważniejsze i należało o nie walczyć do końca. Teraz jednak przyszło zrozumienie, bo Alicja zaczęła dojrzewać do myśli, że w jej sytuacji śmierć byłaby najlepszym rozwiązaniem.

Po kilku dniach drzwi jej celi otworzyły się i stanął w nich major Bykow, a obok niego jakaś młoda kobieta. Rzuciła w jej stronę czyste ubrania i bez

słowa wyszła. Bykow zwrócił się do niej:

– Gdyby to ode mnie zależało, zawiślibyście na szubienicy, jak najgorszy męt, ale przyszło polecenie z góry. Polecicie do Moskwy. Do pałacu Łubiańskiego. Przebierzcie się – warknął i wyszedł z celi.

Jeśli major Bykow uważał, że Alicja uzna Łubiankę za coś, z czego powinna być zadowolona, to chyba nigdy tam nie był. Ale Rosińska spotkała wcześniej takich, co w niej siedzieli. Podobno nie było tam człowieka, którego nie zdołaliby złamać. Jeśli nie torturami, to szantażem. Od razu pomyślała o Mateuszku. Przecież jej rodzina była przekonana, że nie będą już musieli się ukrywać i planowali powrót do Chełmic. Jedynie wuj ich powstrzymywał, nie ufając Rosjanom za grosz. Niestety, nie mogła ich ostrzec, miała jedynie nadzieję, że miejsce ich pobytu, o którym wiedziała jedynie ona i „Kary", wciąż pozostanie tajemnicą. Gdyby zaszantażowali ją synem, zgodziłaby się na wszystko, tak jak kiedyś Hanka wydała w ręce gestapo Igora Łyszkina, by chronić swoje dziecko. Swoją drogą cieszyła się, że Lewinówna uciekła do Londynu i z pewnością już na zawsze pozbyła się tego czerwonego diabła. Jeśli chociaż trochę był podobny do tych bydlaków z ulicy Strzeleckiej, to lepiej, żeby się do niej nie zbliżał. Sergiusz wiedział, co mówi. Od samego początku. Nie rozumiała jednak, jak Churchill i Roosevelt dali się nabrać temu potworowi, Stalinowi, który niewiele różnił się od Hitlera. Nie pojmowała tego zapewne dlatego, że wielka polityka była jej zupełnie obca.

Przebrała się w czyste ubranie, które należało chyba kiedyś do kobiety o gabarytach Ireny „Wariatki", i pomyślała, że zanim znajdzie się na Łubiance, ma przed sobą kilka dni normalności, co w tym wypadku oznaczało dni bez bicia i dziwnych praktyk, jaką było stanie w miejscu przez dwie doby czy leżenie w betonowej dziurze wielkością przypominającej trumnę. Zastanawiała się także, ile lat będzie teraz trwała polityka terroru Rosjan i czy ktokolwiek w tym kraju odważy się im przeciwstawić. Ci najdzielniejsi bowiem leżeli teraz martwi pod gruzami Warszawy albo jak ona niedługo skończą w „psich budach". Obawiała się także, że po tym, co zgotowano mieszkańcom stolicy, ci nie zechcą już za nimi pójść ani narażać się dla nich, tylko zrobią wszystko, by zaznać odrobiny spokoju. Ona też straciła ducha walki i gdyby nie to zatrzymanie, zapewne nie angażowałaby się już w nic niebezpiecznego albo uciekłaby z Polski. Jednak ci, którzy ją teraz więzili i znęcali się nad nią, myśleli zupełnie inaczej, a ona nie była w sta-

nie ich przekonać, że skończyła z jakąkolwiek dywersją. I nie miało znaczenia, czy nadal rządziliby Niemcy, czy, tak jak teraz, Rosjanie. Tak, musiała nazwać sprawy po imieniu. W Polsce rządzili teraz synowie ojca Stalina i nie było już od tego odwrotu. Kiedy tylko poznała Sergiusza, ten powtarzał jej wciąż i wciąż, że tę wojnę Polska przegra bez względu na to, czy Hitler zostanie pokonany, czy też nie.

Była przekonana, że zapakują ją do jakiegoś bydlęcego wagonu wraz z innymi „polskimi bandytami", jak nazywano powstańców, ale nic takiego nie nastąpiło. Dwóch mężczyzn, ubranych w cywilną odzież, zaprosiło ją do stojącego przed budynkiem opla, najpewniej zdobyczy wojennej Rosjan. Samochód kluczył po ulicach warszawskiej Pragi, by w końcu opuścić miasto. Na drogach można było napotkać czołgi radzieckie, spalony sprzęt niemiecki i ciężarówki wypełnione żołnierzami, które kierowały się na Warszawę. Alicja nie miała pojęcia, ani jak długo jadą, ani dokąd. Siedziała wygodnie i nikt nie zadręczał jej pytaniami. Jak to kiedyś powtarzała jej babka, cieszyła się chwilą, która trwała, nie zaprzątając sobie głowy tymi, które nadejdą, bo one także miną.

Kiedy dotarli do Mińska Mazowieckiego, samochód zatrzymał się przed bramą lotniska. Pilnujący żołnierze, zobaczywszy twarz kierowcy, nie zażądali żadnych dokumentów, tylko machnęli ręką, że można jechać. Pojazd skierował się wprost na płytę lotniska i Alicja została przeprowadzona do niewielkiego samolotu wojskowego, którego nazwy nie zdążyła przeczytać i niespecjalnie ją to zainteresowało. Nawet nie skuto jej kajdankami, chyba słusznie zakładając, że nie ma najmniejszych szans na to, by uciec. Mieli rację, zginąć zawsze zdąży, a jeśli już to nastąpi, nie będzie mogła cofnąć czasu i ożyć na nowo. A ona, mimo dramatycznych chwil i czarnych myśli, które spowijały jej umysł, tak bardzo chciała jeszcze kiedyś ucałować swojego synka i wtulić się w szerokie ramiona Sergiusza.

11. Koźliki, 1945

Sierociniec, do którego trafił Szymek Wielopolski, był szarym budynkiem o grubych ścianach i wysokich sklepieniach. Elewacja odpadła w wielu miejscach, odkrywając mur z czerwonych cegieł. Szymek pomyślał w pierwszej chwili, że w tym budynku na pewno straszy. Wokół rosły stare buki i klony, a kawałek dalej znajdował się ogrodzony teren, po którym biegały kury i kaczki i skąd docierał nieprzyjemny odór. Zapewne dzieciaki, które wychowały się na wsi, przyzwyczajone były do podobnych zapaszków, ale Szymek nawet nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek był na wsi.

Po szerokich schodach wyszły z budynku dwie zakonnice w nieco ubrudzonych habitach i okryte grubymi chustami. Otworzyły burtę ciężarówki i zaczęły wyciągać ręce po siedzące na pace pojazdu dzieci. Co zrozumiałe, najpierw brały na ręce maluchy, potem pomagały wysiąść tym nieco starszym, a tacy jak on, a było ich zaledwie trzech, musieli radzić sobie sami.

Podróż z Lamsdorf nie byłaby może tak okropna, gdyby nie dokuczliwe zimno, bezlitośnie przenikające przez brezent plandeki, i ciągłe postoje, bo samochód po drodze zabierał także inne dzieci – ze szpitali, ochronek albo z przyklasztornych sierocińców. Jadące z nimi dwie siostry zakonne okrywały derkami najmłodszych, a nimi nikt się specjalnie nie przejmował. Jedyne, co pocieszało Szymka, to fakt, że Niemcy uciekali z Polski, aż się kurzyło i nie będzie robił za żarcie dla świń, czego od dzieciństwa bał się najbardziej.

Gdy już wszyscy wysiedli, on i jego koledzy, Antek i Tadek, zeskoczyli z samochodu i weszli do budynku. Szymkowi przez moment zdawało się, że w tych murach jest jeszcze zimniej niż na zewnątrz, ale siostry wskazały im pomieszczenie, gdzie było zdecydowanie przytulniej. Niemal pośrodku ustawiona była koza, skąd docierało przyjemne ciepło, a wokół zgromadziło się około dwadzieścioro dzieci w różnym wieku. Niedługo potem okazało się, że one wszystkie trafiły tutaj z Warszawy. W czasie powstania i krótko po nim. Te starsze opowiadały sobie mrożące krew w żyłach historie, tak jakby chciały odreagować ten okrutny czas.

Siostry pozwalały im mówić, nawet o największych okropnościach, chyba że któreś zaczynało zbyt mocno fantazjować. Szymek, wraz ze swoimi kumplami także opowiadali sobie o powstaniu, przy czym pozostali trakto-

wali Szymka jak bohatera. Jego wspomnienia były bowiem mocno podkoloryzowane, podobnie jak opowieści o ratowaniu z getta żydowskich dzieci i postrzeleniu „Szmaty”. Antek i Tadek nie brali udziału w walkach, ale obaj stracili swoje całe rodziny i to sprawiało, że Szymek mógł uważać się za szczęściarza, ponieważ jego opiekun, Emil Lewin, i mały Karolek zdołali uciec, zanim rozpętało się piekło. Jedynie losy Zosi i „Ziutka” pozostawały nieznane, ale liczył na to, że pewnego dnia odnajdzie i przyjaciółkę, i psa.

– Mnie to tylko brat młodszy pozostał, ale jego gdzieś pod Łódź wywieźli, a mnie powiedzieli, że pewnie jestem jednym z tych gówniarzy, co to rzucali butelki z benzyną na niemieckie czołgi. W życiu żem nie miał takiej flaszki w ręku i w ogóle rodzice się trzymali z daleka od takich spraw, a ojciec to mi od razu powiedział, że jak będę co kombinował, to kij od szczotki mi na dupie połamie – powiedział Tadek.

– A ja to pocztę powstańczą nosiłem. Kule to mi między nogami pizgały i czułem się, jakbym w zośkę grał – dumnie powiedział Antek i dodał ze smutkiem: – Ale jakem do domu wrócił, na Powiślu mieszkaliśmy, to po moim domu tylko kupka gruzu się została. Rodziców nie odnalazłem ani siostry, ani dziadka.

– Może to i lepiej, żeś na to nie patrzył. – Tadek poklepał go po ramieniu. – Ja widziałem, jak mi ojca szwaby rozstrzelały, a potem moja matka zwariowała. Wzięła mojego brata, Pawełka, za rękę i tak wylazła z piwnicy, nie patrząc, że krowy lecą z nieba, jak durne. Ludzie chcieli ją zatrzymać, ja też, ale popatrzyła tak na mnie, jakby jaki diabeł ją opętał. Nie mogłem wysiedzieć w tej piwnicy, bom się o matkę i Pawełka bał, i wylazłem, jak tylko przestali bombami pluć. I lezę ja tak po ulicy i patrzę, a matka leży nieżywa i cały czas trzyma Pawełka za rękę. Jakoś mi braciszek ocalał, ale darł się wniebogłosy i musiałem go wywlec stamtąd, póki żaden szwabski męt się nie napatoczy. Ale matkę musiałem zostawić na ulicy, bo co miałem zrobić. Odgiąłem jej palce z wielkim trudem, uwolniłem rękę brata i wziąłem smyka na ręce. Jak już w tej piwnicy byliśmy, to ryczeć przestał, ale tak się tylko w ścianę patrzał, jakby sam był bardziej nieżywy jak matka. I jak w Pruszkowie nas rozdzielali, to też tak nic nie gadał, tylko gapił się gdzie w niebo, jak obłąkany. Ale jak będę dorosły, to czy będzie wojna, czy nie, to kupię kopyto i tych wszarzy wybiję, ile się da. I niech mnie potem nawet do drewnianej jesionki wsadzą.

– Ja się też na tego „Szmatę” szykuję, bo za mało go dziabnąłem – zawtórował mu Szymek.

– Słuchajcie, chłopaki, zaprzysięgnijmy się tutaj, że nawet jak nas rozdzielą, to za pięć lat od tego dnia spotkamy się w Koźlikach i każdy jednego szwaba utłucze – rzucił pomysł Antek.

Chłopcy zamilkli i nie odpowiedzieli, ponieważ uznali, że tego typu tajne sojusze należy zawierać dyskretnie, przypieczętować co najmniej kroplą krwi, a nie dyskutować w otoczeniu sióstr zakonnych i małych dzieci, które, jak wiadomo, nie potrafią trzymać języka za zębami.

Tego dnia jednak nie omówili żadnych szczegółów, bo zawołano ich do salki jadalnej na kolację. Posiłek składał się z kubka mleka i kromki chleba z cebulą, bo i tutaj bieda nastała, aż piszczało. Siostry były zdane jedynie na łaskę mieszkańców i kilku kur, które obdarowywały je jajkami. Stanowiło to jednak ilości tak mizerne, że dawano je jedynie najmłodszym i najbardziej zabiedzonym dzieciom albo takim, które zapadały na jakąś zarazę.

Czternastoletni chłopcy spałaszowali kromkę chleba z cebulą w mgnieniu oka i równie szybko wypili kubek ciepłego mleka. Ten posiłek jednak zamiast nasycić, jedynie podrażnił ich żołądki i spisek, jaki uknuli, zszedł na dalszy plan. Teraz kombinowali, jak zdobyć więcej jedzenia, bo nie otaczały ich już zasieki i nie byli pilnowani przez uzbrojonych strażników. Ale i te rozważania musieli zakończyć, bo zostali zapędzeni do łaźni i nakazano im wyszorować się karbolowym mydłem, a potem zmyć mydliny prawie lodowatą wodą. Ich stare ubrania oddano do prania, a oni dostali przykrótkie portki i pocerowane koszule, które miały jedną, podstawową zaletę – były czyste. Po kąpieli siostry ogoliły dzieciom głowy niemal do zera i wszystkie wyglądały, jakby właśnie przechodziły tyfus. Zakonnice jednak nie zważały na protesty, tłumacząc, że lepiej być łysym niż zjedzonym przez wszy.

W sali sypialnej zdezelowane metalowe łóżka stały jedno przy drugim, co sprawiało, że między nimi trudno było przejść, i chociaż w budynku było więcej pomieszczeń, sióstr nie było stać na ich ogrzanie. Dlatego wszyscy tłoczyli się w jednej sali, by dzieci nie zamarzły na kość. Nikt jednak nie narzekał, a zwłaszcza Szymek, Tadek i Antek, którzy przeszli przez Lamsdorf i obecne warunki wydawały im się wręcz luksusowe w porównaniu z zagrzybionymi barakami, twardymi pryczami i kocami pełnymi wszy. Śmiano się niekiedy, że taki koc trzeba mocno w nocy trzymać, bo inaczej

wszy go wyniosą do lasu. Szymek i jego koledzy zasnęli więc niemal natychmiast, zapominając o knuciu zemsty i pomysłach, w jaki sposób zdobyć więcej jedzenia.

Jakkolwiek chęć wymordowania co najmniej tuzina Niemców zeszła na dalszy plan, tak burczenie w żołądku nie dawało o sobie zapomnieć. Śniadanie było równie mizerne, jak kolacja, a podana przez siostry na obiad kasza miała więcej wody niż ziarenek. I chociaż każdy z trzech chłopców był przyzwyczajony po Pruszkowie i Lamsdorfie do lichego jedzenia, wielki świat, pełny jedzenia, który istniał poza murami sierocińca, wciąż nie dawał im spokoju. Tym bardziej że siostry potrzebowały pomocy i niemal od samego rana goniły starszych chłopców do fizycznej pracy, co jeszcze bardziej potęgowało głód.

– A we wsi to ludzie dobrze na takie znajdy patrzą? – zapytał Szymek jednego z chłopców, który nieco dłużej przebywał w sierocińcu.

– A jak kto. Niektórzy to nas widłami przeganiają, jak po żarcie prosić przychodzimy albo skarżą się kierownikowi szkoły, a wtedy dostajemy linijką po łapach i musimy klasy zamiatać. A jak jest już po lekcjach, to ziąb jest tam straszny – odpowiedział chłopak i wytarł nos rękawem.

„Szkoła” – pomyślał ze zgrozą Szymek. Chociaż miał marzenie, że kiedyś się wykształci na cylindra, to odkąd wybuchła wojna, nawet nie zajrzał do takiego miejsca. Skończył dwie klasy powszechnej, gdy ojciec i matka jeszcze żyli, a potem wbił sobie do głowy, że kiedy tylko przekroczy próg takiego budynku, z miejsca ktoś zmiarkuje, iż on sierota i wywiezie go do pryjuta. A pan Emil mówił, że jak tylko wojna się skończy, to go weźmie oficjalnie na opiekę i wtedy nikt go do sierocińca nie zabierze. Czekali więc na ten moment, Lewin trochę uczył Szymka w domu, ale wiadomo było, że mężczyzna, który sam nie miał żadnego wykształcenia, niewiele wiedzy mógł przekazać swojemu podopiecznemu. I chociaż Szymek wiedział, że pewnego dnia ten moment nastąpi i będzie musiał pójść do szkoły, po prostu przestraszył się. Wydawało mu się, iż będzie musiał zacząć edukację od trzeciej powszechnej i posadzą go, takiego dryblasa, z dziewięciolatkami.

Szymek Wielopolski mylił się jednak, bo uczniów z sierocińca wcale nie podzielono na klasy, ale na dwa oddziały, gdzie w jednym siedziały maluchy, a w drugim nieco starsze dzieci. Siostry nawet nie ubolewały nad koedukacją w szkole, ponieważ i tak cudem udało im się wygospodarować dwie sale, które nadawały się do prowadzenia zajęć. Przy czym słowo

„nadawały” było mocno naciąganym stwierdzeniem. Klasy lekcyjne miały wysokie sklepienia, pokryte pleśnią i ciemnym grzybem, a ogromne okna, sięgające niemal podłogi, nie posiadały w dwóch miejscach szyb. Starsi chłopcy zabili otwory okienne drzwiami od szafy, ale i tak ciągnęło po nogach i plecach, a gdy na dworze panowała zadymka, podłoga usłana była drobinkami śniegu. Poza tym w szkole nie było ani wody, ani elektryczności, a za potrzebą należało chodzić do znajdującej się na podwórzu sławojki, przy której na każdej przerwie ustawiała się długa kolejka.

Najgorzej miały maluchy, bo masywne ławki i pulpity sprawiały, że dzieciaki niemal znikały, zasiadając do zajęć. Mimo tych surowych warunków, ściśniętego żołądka i zimna hulającego po szkole Szymek stwierdził, że nauka jest bardzo fascynującym zajęciem. Z zapałem godnym podziwu ćwiczył kaligrafię i chłonął wszystko, co było na lekcjach. Najmniejszy problem miał z rachunkami, bo handlując jedzeniem, opanował tę sztukę w stopniu doskonałym, chociaż niekiedy budzącym śmiech. Pewnego dnia surowy kierownik szkoły, który uczył ich matematyki, zapytał Szymka:

– Wielopolski, to powiedz mi, ile to będzie siedem dziesiątych plus osiem dziesiątych.

Szymek, nie zastanawiając się długo, odparł:

– Złoty pięćdziesiąt.

12. Murnau, Garmisch-Partenkirchen, Oflag VII A, 1945

– Jesteście wolni – powiedział amerykański żołnierz i z hukiem zamknął grubą księgę, w której zapisywał dane oficerów znajdujących się w oflagu.

– I mamy wracać do Polski, gdzie panoszą się Sowieci? – burknął niezbyt przyjemnym tonem Chełmicki.

– A chciałbyś jeszcze tutaj trochę posiedzieć? – drwiącym głosem zapytał żołnierz.

– Nie…

Julian spuścił głowę i wyszedł przed barak, w którym spisywano żołnierzy. W kolejce dostrzegł „Karego”. Podszedł do niego i wyciągnął w jego kierunku paczkę papierosów. Ten poczęstował się i stali kilka minut, nie mówiąc ani słowa. Julian niekiedy zastanawiał się nad zrządzeniem losu, które sprawiło, że obaj znaleźli się w tym miejscu, bo wiedząc, czym się parał Sergiusz Dargiewicz, trudno było go posądzać o posiadanie oficerskiego stopnia. Nie mógł wiedzieć, że pobyt Sergiusza w oflagu był czystym przypadkiem, ponieważ pod koniec walk przetrzebiono jego ludzi tak drastycznie, że powierzono Dargiewiczowi dowodzenie jednym z oddziałów, a potem automatycznie zakwalifikowano jako oficera. „Karemu” było wszystko jedno, gdzie umrze i nie dyskutował nad przydziałem do grupy skierowanej do oflagów. Być może gdyby wiedział, że los rzuci go w to samo miejsce, co Chełmickiego, zareagowałby jakoś, ale nawet nie brał takiej opcji pod uwagę.

– Nadal nie wiadomo, co się stało z Alicją? – zapytał w końcu.

Nie widzieli się od trzech tygodni, które Chełmicki spędził w szpitalu, a potem w izbie chorych na terenie obozu.

„Kary” pokręcił przecząco głową. I sam zadał pytanie:

– A Weronika? Co z nią?

– Niedawno dotarł list od niej. Jest wolna i czeka na mnie w Monachium. Postanowiliśmy, że nie wrócimy do Polski, dopóki siedzą tam Rosjanie. I tobie też nie radzę tam wracać, bo raczej prędko się nie wyniosą – posępnie stwierdził Chełmicki.

– O, proszę, jak ci się optyka zmieniła – nie bez złośliwości zauważył Sergiusz.

– Po tym, co stało się w Warszawie, każdemu zmieniłaby się optyka – mruknął Julian.

– I gdzie zamierzacie wieść to swoje nowe, wspaniałe życie? – zapytał „Kary”.

– Chcemy osiąść w Szwajcarii. Mój ojciec miał w ich bankach trochę oszczędności. Muszę znaleźć tylko adwokata ojca w Lozannie i załatwić sprawę… Martwię się jedynie o matkę. Jest w jakimś przytułku pod Lublinem. Opiekę ma dobrą, chociaż wciąż rozmawia z duchami, ale gdybym tylko mógł, ściągnąłbym ją do nas. Jak dostanę się do pieniędzy ojca, to znajdę kogoś, kto po nią pojedzie. Weronika natomiast wróci po naszą córkę. Ja wolę się nie pokazywać w Polsce. Byli tu tacy, co Wilno odbijali z rąk Niemców, ramię w ramię z Armią Czerwoną, i opowiadali, co zrobiono z oficerami AK. Nie łudzę się, że ich teraz wypuszczą, już prędzej urządzą im drugi Katyń. Weronika jest cywilem, lekarzem, jej nic nie zrobią.

Chełmicki kopał zniszczonym butem w kamyki usypane na ścieżce do baraku. Te trzewiki ledwo się trzymały, ale zawsze, gdy je zakładał, powracały wspomnienia, bo gdy je kupował, towarzyszyła mu Alicja. Pamiętał dobrze, jak śmiali się, kiedy Julian próbował targować się z handlarzem i nie za bardzo mu to wychodziło. Szukało ich całe gestapo, a jednak byli tacy szczęśliwi. Miał nadzieję, że gdy będzie daleko od niej, będzie mu łatwiej zapomnieć. Ona należała teraz do innego mężczyzny, którego kochała tak jak kiedyś jego, a on miał rodzinę i musiał się nią zaopiekować.

– Ja odmelduję się u jankesów i wracam do Polski. Nie mam pojęcia, ile mi to zajmie i czy przypadkiem ruskie ścierwa mnie nie odstrzelą, ale im szybciej znajdę się w kraju, tym lepiej – mruknął Sergiusz.

Zazdrościł Chełmickiemu, że on do swojej żony miał zaledwie kilkadziesiąt kilometrów, i tego, że urządzi się w Szwajcarii, a nie w kraju, gdzie władzę będzie miała czerwona zaraza, która wykończyła mu rodzinę i pozbawiła go majątku. Na szczęście miał dolary ukryte w miejscu, do którego raczej nikt nie powinien się dobrać, i żywił nadzieję, że jak tylko odnajdzie Alicję, to wezmą z leśniczówki Mateuszka i podobnie jak Chełmiccy wyjadą do miejsca, gdzie sięgała zachodnia strefa wpływów.

– A nie boisz się, że jak tam wrócisz, to już nigdy nie wyjedziesz?

To pytanie rozsierdziło Dargiewicza. Chełmicki jak zawsze myślał jedynie o własnej dupie. Nawet po dziecko wysyłał żonę, byle tylko nie nadstawiać karku. Wielki bohater, który większość powstania przeleżał na pryczy, ochraniany przez żołnierzy niczym cesarz.

– Tam jest Alicja. Nie mam pojęcia gdzie dokładnie, ale muszę ją odnaleźć, bo nikt inny tego za mnie nie zrobi. Pojechała do Warszawy, żeby dowiedzieć się, gdzie wywieziono wojskowych jeńców, a być może szuka mojego trupa gdzieś w ruinach… Nie mogę tak po prostu wyjechać sobie do Francji czy Szwajcarii i czekać, aż się odnajdzie i zechce do mnie dołączyć – ostro odpowiedział „Kary”.

– Ja zostawiłem w Polsce córkę – burknął Julian.

– To twoja sprawa, czy po nią pojedziesz, czy wyślesz żonę. Mnie rodzice nauczyli, że najpierw muszę narażać siebie, a dopiero potem swoją kobietę. – Sergiusz nie był dłużny.

– Sugerujesz, że jestem tchórzem?

– Sugeruję, żebyś swoje rady wsadził sobie w buty – mruknął „Kary”.

– Nie udzielam ci żadnych rad, jedynie ostrzegam, że wojna się jeszcze nie skończyła – próbował bronić się Chełmicki.

– A ty byś po nią nie wrócił, gdybyś wiedział, że będzie twoja? – zupełnie spokojnie zapytał Sergiusz.

Chełmicki uśmiechnął się pod nosem. Dobrze wiedział, o czym mówił Dargiewicz, tak samo, jak był pewien, że gdyby istniał chociaż cień nadziei, że odbudują swój związek, nie patrzyłby na nic, tylko ruszył do kraju.

– To trzymaj się i uważaj na siebie. – Wyciągnął do niego dłoń i mocno uścisnął.

Po chwili wyjął z kieszeni sponiewieraną kartkę i źle zaostrzony ołówek i coś zanotował. Zwinął karteczkę i podał Sergiuszowi.

– To jest adres i numer telefonu do tej kancelarii adwokackiej w Lozannie. Gdybyś czegoś potrzebował… no, nie wiem, na przykład pieniędzy, tam będą wiedzieć, jak mnie znaleźć.

– Albo dobrej rady. – „Kary” uśmiechnął się, po czym wcisnął świstek do kieszeni i powiedział: – Dziękuję, stary. I niech ci się tam w tej Szwajcarii dobrze wiedzie. Odezwę się na pewno i przekażę informacje o Alicji, bo zapewne chciałbyś wiedzieć, czy nie wydarzyło się coś złego.

– To byłoby naprawdę miłe z twojej strony, ale nie tylko dlatego zostawiłem ci ten numer… Zawsze będę pamiętał, że mi pomogłeś, sam się naraża-

jąc. I wtedy, gdy mnie wiozłeś do ojca, gdy umierał, i wówczas, gdy przejechałeś pół świata, żeby ratować mi dupę w Hiszpanii. Mam wobec ciebie ogromny dług wdzięczności, więc jeśli cokolwiek się stanie, po prostu daj znać, a ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

– Jeszcze raz dziękuję.

Chyba pierwszy raz, odkąd się znali, Sergiusz pożałował, że pewnie nigdy więcej się nie zobaczą. Bo nawet jeśli uda mu się wyjechać z Alicją i Mateuszkiem za granicę, na pewno będzie trzymał swoją ukochaną z dala od Juliana Chełmickiego. Nie chciał kolejny raz przeżywać, że ci dwoje być może wciąż coś do siebie czują i pewnego dnia zechcą odbudować swoje młodzieńcze uczucie. Wierzył Alicji, ale nie jej rogatej duszy. Ufał jej, jednak wolał dmuchać na zimne i nie ryzykować.

***

Wyruszył z obozu następnego dnia. Czuł się trochę jak samotny wędrowiec, bo mało który z jego kolegów z baraku zdecydował się na powrót do kraju. Nie dziwił się, on także uważał, że za chwilę w Polsce rozpocznie się kolejna okupacja, a tych najbardziej krnąbrnych będą wsadzać do więzień albo stawiać przed plutonem egzekucyjnym. Jednak on oprócz Alicji i Mateuszka właściwie nikogo nie miał. Jego siostra od początku wojny mieszkała w Wielkiej Brytanii i rzadko się kontaktowali. Nie dlatego, że ich relacje nie były najlepsze, ale z uwagi na wojnę przetaczającą się przez Europę. Nie miał pojęcia, dlaczego wówczas, gdy skończyła się kampania wrześniowa, został w Polsce, przeniósł się do Warszawy i robił ryzykowne interesy, zamiast przetrwać spokojnie wojenną zawieruchę w Londynie czy innym angielskim mieście. Było coś, co go tam trzymało, ale nie wiedział, co to takiego. Teraz, idąc przed siebie szeroką drogą, myślał, że po prostu czekał na Alicję i los nakazał mu kroczyć ścieżką, która przecinała się z tą, na której była pewna szalona kobieta.

Podróż do dawnych terenów Polski zajęła mu prawie trzy dni. Rzesza sypała się w gruzy, a wraz z nią słynny *ordnung* we wszystkich dziedzinach życia, również w komunikacji kolejowej. Podwożono go ciężarówkami aliantów albo furmankami, resztę drogi przebył zaś piechotą. Sypiał w stodołach lub mijanych po drodze obozach, gdzie już rządzili alianci. Nie czuł lęku. Nie dlatego, że strach przysłaniała radość z odzyskanej wolności, ale

po prostu był skupiony na czymś innym. Cały czas zachodził w głowę, gdzie mogła zniknąć Alicja.

Dopiero gdy ujrzał radzieckie ciężarówki i usłyszał śmiech żołnierzy, a gdzieniegdzie pojedyncze wystrzały z karabinu czy pistoletu, zrobił się czujny. Powróciły wspomnienia. Ponure i przygnębiające. Nienawidził Niemców, ale jeszcze bardziej Rosjan, bo to od nich zaznał największej krzywdy. Był coraz bardziej zmęczony tą wędrówką, a konieczność ciągłego czmychania, by zejść z drogi Rosjanom, męczyła go jeszcze bardziej.

Dotarł do niewielkiego gospodarstwa, które wydawało się opuszczone. Wierzeje stodoły były otwarte na oścież, podobnie jak drzwi do małego domu z czerwonej cegły. Zajrzał do stodoły w nadziei, że nie ujrzy w niej żadnych trupów i będzie mógł tam przenocować. Było pusto. Podobnie w domu, do którego zaglądnął w nadziei na znalezienie czegoś do jedzenia, ale jedyne, co udało mu się zdobyć, to kilka ziemniaków i cebulę. Gospodarstwo wyglądało na opuszczone w wielkim pośpiechu, bo zarówno w kuchni, jak i pozostałych izbach panował dość duży bałagan. Postanowił, że spędzi tam noc.

Za domkiem stała niewielka drewutnia, przyniósł więc nieco polan i rozpalił pod kuchnią, a potem ugotował znalezione wcześniej ziemniaki. Następnie rozejrzał się po podwórzu, znalazł jakiś żelazny łom i zabrał ze sobą do izby, na wypadek gdyby ktoś chciał zrobić mu krzywdę. Na nocleg wybrał mały pokoik na strychu, z dość dużym oknem i łóżkiem z lekko rozprutym siennikiem. Było tu znacznie chłodniej niż na dole, ale pomyślał, że jeśli ktoś przyjdzie do domu, on usłyszy rumor i zdąży zareagować. W najgorszym wypadku wyskoczy przez wykuszowe okno na poddaszu.

O świcie obudził go odgłos samochodu zatrzymującego się na podwórzu. Zerwał się na równe nogi i przykucnął przy oknie, by zorientować się w sytuacji. Z furgonetki wysiadła tylko jedna osoba, młoda dziewczyna z długim warkoczem i w mundurze radzieckiego wojska. Podeszła do studni i zaczęła kręcić korbą z przytwierdzonym wiadrem, by nabrać wody. Była drobna i szczupła i miała przewieszony przez ramię karabin. Sergiusz łudził się, że dziewczyna napije się, a potem odjedzie w siną dal, ta jednak wcale nie zamierzała tego robić. Zanurzyła dłonie w wodzie, napiła się, a potem udała się w kierunku domu. Najciszej jak mógł zszedł po stromych schodkach i czekał. Dziewczyna nawet nie zapukała, tylko otworzyła drzwi i rozejrzała się dookoła.

– Jest tu kto? – zawołała, ni to po rosyjsku, ni to po polsku.

– Tak – ostro odpowiedział „Kary”, wyłaniając swoją ogromną postać z cienia sieni.

– *Zdrawstwujtie* – powiedziała i dygnęła jak pensjonarka, po czym zapytała: – Wy Polak?

– Nie, Chińczyk – burknął „Kary”. – A ty?

– No przecież widzicie, że żołnierz Armii Czerwonej – obruszyła się.

– A czego tu szukasz?

Dziewczyna spuściła głowę, jakby nieco zawstydzona.

– Jadę do Częstochowy, ale zgubiłam drogę, towarzyszu.

Roześmiał się.

– Prawdziwy *gieroj*. I nie widzę tutaj żadnego towarzysza. A z geografią to kiepsko.

– Nie śmiejcie się, towarzyszu, nie znam tych terenów. Drogę pomyliłam i nie wiem, gdzie jestem. Ale w samochodzie mam mapę. – Naburmuszyła się. – Jak mi powiecie, gdzie jestem, to już sobie poradzę.

Sergiusz pomyślał, że dziewczyna nie jest groźna, więc zapytał:

– A zabierzesz mnie do Częstochowy?

Wzruszyła ramionami.

– Mogę was zabrać.

– Jak ci na imię? Ja mam na imię Sergiusz.

– Rosyjskie imię macie, towarzyszu. – Uśmiechnęła się. – Mnie na imię Walentina.

– To posłuchaj, Walentina. Nie mów na mnie „towarzysz”, bo wrzucę cię do studni. – Sergiusz zrobił poważną minę.

Dziewczyna błyskawicznie zdjęła z ramienia karabin i wycelowała w „Karego”.

– Uważaj, bo jeszcze wypali – burknął.

– To nie straszcie mnie – powiedziała stanowczo.

– Nie będziemy was straszyć. – Sergiusz wyszczerzył zęby.

– To wasz dom? – zapytała, wciąż trzymając w dłoni broń.

– Nie… Zatrzymałem się tutaj, bo wracam z obozu.

Opuściła broń i westchnęła:

– Niedawno wyzwoliliśmy obóz w Lamsdorfie. Fryce to swołocz.

– Święte słowa, Walentino. O przepraszam, nieświęte. – Uśmiechnął się.

Podzielił się z dziewczyną resztką kartofli, którą zostawił sobie na śniadanie, i wyruszyli furgonetką w kierunku Częstochowy. Sergiusz trzymał na kolanach mapę i pilotował dziewczynę, bo nie radziła sobie najlepiej za kółkiem. Gdyby miała jeszcze zerkać na mapę, zapewne wpakowałaby się do jakiegoś rowu. Przy okazji obejrzał sobie zaznaczone na mapie punkty, które postanowił od Częstochowy omijać szerokim łukiem.

Gdy żegnał się z Walentiną, która nie wykazywała w stosunku do niego żadnej wrogości, pomyślał, że nie wszyscy Rosjanie to bandziory i prostacy. Nie przekonał się jednak aż tak mocno do żołnierzy Armii Czerwonej, by próbować korzystać z podobnej pomocy.

Do leśniczówki dotarł pod wieczór. Sam się dziwił, że tak łatwo do niej trafił, bo z reguły przyjeżdżał tu samochodem, i to z zupełnie innej strony. Ledwo trzymał się na nogach, bo podróż do jego ojczyzny była wyjątkowo męcząca. Miał wielodniowy zarost, był wychudzony i brudny. Żywił nadzieję, że mieszkańcy leśniczówki nie zamkną przed nim drzwi, gdy zobaczą go w takim stanie.

Przywitał go wuj Makary z wycelowaną dubeltówką i Sergiusz musiał się przedstawić, zanim ją opuścił i uścisnął go. Zaprosił „Karego” do kuchni, gdzie wokół stołu siedzieli wszyscy i mieli ponure miny, kompletnie nielicujące z obliczami osób, które cieszą się z nadejścia pokoju. Brakowało jedynie małego Mateuszka, który zapewne o tej porze już smacznie spał.

– Dzięki Bogu, Sergiusz – powiedziała grobowym tonem Michalina, matka Alicji.

Babka wstała zza stołu, uścisnęła go, po czym podeszła do kuchenki i zaczęła stukać garnkami, zapewne po to, by przygotować kolację.

– Co się dzieje? – zapytał nieco zaniepokojony Sergiusz.

– Makary pojechał na milicję w Kielcach, żeby zgłosić zaginięcie Alicji. W końcu to teraz legalna władza. Po kilku dniach przyszło zawiadomienie, że Alicja została aresztowana przez NKWD. Napisali tylko jakieś paragrafy, co my w ogóle nie wiedzieliśmy, czego dotyczą, i Makary znowuż pojechał na milicję, żeby mu objaśnili co i jak. Następnego dnia wpadli tutaj jacyś cywile, po rusku gadali, przetrząsnęli cały dom, a nawet drewutnię i obórkę, i powiedzieli, że Alicja była niemieckim szpiegiem. Prawda to, Sergiusz? – powiedziała z westchnieniem Alutka.

– Alicja? Oczywiście, że nie i nie należy wierzyć w ani jedno ich słowo… Boże, pojechała do Warszawy mnie szukać i te bydlaki… Boże, co robić, co

robić? – Sergiusz zakrył twarz rękoma i ostatkiem sił powstrzymał się, żeby się nie rozpłakać.

Nie mógł tego zrobić, bo rodzina Alicji zapewne liczyła na niego i na to, że coś zrobi i pomoże odnaleźć ich córkę i wnuczkę. On jednak chwilowo nie miał żadnego genialnego rozwiązania. Wszyscy jej kompani, jego także, rozpierzchli się po świecie. Rosjanie przez wielu ludzi byli traktowani jak wybawiciele, więc nawet nie wiedział, do kogo mógłby się zwrócić, by uzyskać informację, gdzie jest osadzona.

– A czy wiadomo na pewno, że zamknęli ją w Warszawie? – zapytał bez większej nadziei na uzyskanie odpowiedzi.

– Zbyli mnie. Powiedzieli, że zapewne odbędzie się sprawa w sądzie i powiadomią nas o tym. Ale ponieważ na razie wszystko jest w rozsypce i wojna jeszcze się nie skończyła, to może potrwać nawet kilka miesięcy. Skurwysyny! – krzyknął wuj Makary.

– Sergiusz, na Boga, zrób coś… – jęknęła Michalina.

– Dajcie chłopu zjeść, dopiero co z oflagu wrócił. Co ma zrobić? Gadałem z chłopakami z lasu, co to Ruskich witają jak Niemców w trzydziestym dziewiątym, ale póki nie wiemy, gdzie jest, rozkładają ręce i mówią, że jak w Warszawie, to już koniec, bo tam ponoć więcej czerwonych niż warszawiaków – warknął wuj.

Sergiusz wiedział, że musi odnaleźć Alicję i doprowadzić do jej uwolnienia. I nie tylko dlatego, że jej rodzina tak bardzo na niego liczyła, ale dlatego, że ją kochał. Problem polegał jednak na tym, że nie miał pojęcia, jak to zrobić.

13. Londyn, 1945

– I co myślisz, Williamie? – zapytał Piotr Niechowski, kiedy Hanka Lewin skończyła śpiewać *Embraceable You* z repertuaru Judy Garland.

William Glenn, kierownik artystyczny Palladium, milczał. Pianista przestał grać, a Hanka wykonywać utwór i w ogromnej sali teatru zrobiło się kompletnie cicho.

– Czy zna coś jeszcze z repertuaru Judy Garland? – zapytał Glenn, nie wypowiadając się ani słowem o poprzednim wykonaniu.

Piotr skierował wzrok na Hankę.

– To, co każdy… *Over the rainbow* – wydukała. Bała się odzywać po angielsku, bo jakkolwiek jej akcent z dnia na dzień był coraz lepszy, tak zasób słów wciąż pozostawiał wiele do życzenia.

William Glenn machnął ręką na znak, żeby pianista zagrał, a Hanka zaśpiewała. Lewinówna uwielbiała ten utwór i uważała, że jest jednym z najlepszych z repertuaru Judy Garland, ale miała świadomość, że tamta wykonywała go, będąc młodziutką dziewczyną, a Hanka miała już trzydzieści pięć lat. Nie zaprotestowała jednak i zaczęła śpiewać. Jej lekko chrapliwy głos sprawił, że utwór zabrzmiał dojrzalej, ale równie pięknie, co w wykonaniu Garland. Kiedy skończyła, znowu zapadło milczenie, a Glenn patrzył gdzieś w przestrzeń, by potem zmierzyć Hankę od stóp do głów.

– Wiesz co, Peter, szkoda jej do chórków, a gwiazdy nie mogę z niej zrobić, ot tak. – Pstryknął palcami.

– Więc co proponujesz? – zapytał Piotr.

Nie był zawiedziony opinią Glenna, wręcz przeciwnie. Zdawał sobie sprawę, że w tym teatrze solowo występują gwiazdy światowego formatu, a do tego było Hance jeszcze daleko, jednakże fakt, że Lewinówna zasługiwała na coś więcej niż chórek, było pocieszające. William Glenn znał w branży wszystkie liczące się osoby, istniała więc nadzieja, że zarekomenduje Hankę gdzieś indziej.

– Jest taki lokal w Soho… – zaczął.

– Tylko proszę, Williamie, to przyzwoita dziewczyna. – Piotr uśmiechnął się pod nosem, chociaż nazwanie Hanki dziewczyną zabrzmiało dość zabawnie.

– Peter, Peter, strasznie zasadniczy jesteś. Zapewniam cię jednak, że to porządny lokal. Mój znajomy, trochę dziwak, Philip Bridgeman, wykupił

dwa sąsiednie lokale, powiększył parkiet i w końcu zrobił scenę z prawdziwego zdarzenia. Marzy mu się, żeby przyjeżdżało do niego, jak on to mówi, porządne towarzystwo, chociaż niezbyt sztywne, a nie hołota. Dlatego oprócz bandów w dni, kiedy odbywa się dansing, chciałby mieć solistkę, która uprzyjemniałaby romantyczne wieczory. Oczywiście, możesz się nie zgodzić i wtedy poszukam ci jakiegoś małego wodewilu, ale zapewniam cię, że lokal Bridgemana będzie przebojem sezonu, a Soho powoli zmieni swoje oblicze. Nie bez znaczenia jest fakt, że to blisko Piccadilly. Ale rób, jak uważasz. To twoja dziewczyna.

– To moja bratowa. – Piotr uśmiechnął się kwaśno. – Daj mi adres tego lokalu i jeśli możesz, powiedz temu Bridgemanowi, że przyjdziemy.

Glenn pokiwał głową i dodał, gdy Hanka i Piotr opuszczali teatr:

– Ma zadatki na gwiazdę…

– Ona była wielką gwiazdą i gdyby nie wojna, zapewne jej sława dotarłaby także do Londynu – westchnął Piotr.

– Gazety plotkarskie pokochają ją za to. – Glenn wyszczerzył zęby w uśmiechu, kompletnie nie interesując się, czy przypadkiem Hanki nie spotkało podczas wojny jakieś nieszczęście.

***

– No mów, co on ci powiedział? – dociekała Hanka, gdy wsiedli do sportowego jaguara Piotra.

– Boże, Hanka, kompletnie cię nie poznaję. Gdzie się podziała twoja pewność siebie? Przecież kilka lat temu byłaś w Polsce prawdziwą diwą i powoli zaczynałaś wypływać na szerokie wody i europejskie sceny, a teraz wypytujesz mnie jak debiutantka po występie w szkolnym przedstawieniu – zirytował się Niechowski.

– Moja pewność siebie? Może została mi wybita pałką na Pawiaku. Albo spłynęła w drewnianej sławojce, która stała na moim podwórzu… Piotrze, ja naprawdę muszę zacząć wszystko od początku… – westchnęła.

– A kto jest ojcem Grzesia? – zapytał znienacka.

Hanka odwróciła głowę i przyglądała się mijanym po drodze domom, sklepom i ludziom. Nie odpowiadała.

– Wiele złego słyszeliśmy o tym, co się dzieje w kraju. Czy jakaś niemiecka świnia cię skrzywdziła?

– Czemu nie zapytasz, czy nie radziecka? – westchnęła, wspominając szarmanckiego Hermanna i obrzydliwego radzieckiego żołdaka, który próbował ją zgwałcić.

– To był Rosjanin? – zdziwił się Piotr.

– Tak, Piotrze. Ojcem dziecka jest Rosjanin, ale nie martw się, nie zgwałcił mnie – niemal wyszeptała.

– To gdzież on teraz jest, jeśli Armia Czerwona święci triumfy? – zapytał nieco złośliwie.

– Wypędza Niemców z Polski… Posłuchaj, Piotrze, wiem, jak to może wyglądać, ale Tomasz, gdy nas porzucił, w moim sercu przestał być moim mężem. Nie czuję żadnych wyrzutów sumienia, że dopuściłam się zdrady, bo Tomasz nawet przed wojną miał więcej kochanek niż teraz włosów na swojej głowie. Jeśli jednak chcesz wiedzieć, to ja rzuciłam tego mężczyznę i proszę, nie pytaj mnie już o to więcej.

– Nie oceniam cię, po prostu chciałem wiedzieć, czy nie spotkało cię nic złego, ponad to co nam opowiadałaś – odpowiedział cicho i zaparkował samochód przed witryną lokalu Golden Gate.

Przy ścianach wciąż stały rusztowania, a robotnicy właśnie odnawiali napis na szyldzie. Hanka i Piotr weszli ostrożnie do środka. Od razu w drzwiach ukazał się dość młody człowiek w bardzo ekscentrycznym garniturze, z muszką w grochy pod szyją. Wyglądał przedziwnie, ponieważ spodnie były wąskie i odsłaniały kostki, a kraciasta marynarka sprawiała wrażenie przyciasnej. Skojarzyło się to Piotrowi nieco z konferansjerem w cyrku. Poza tym miał drobną, kobiecą sylwetkę, co jeszcze bardziej podkreślał zbyt obcisłym ubraniem. Piotr domyślił się, że właśnie o to zapewne chodziło Williamowi, gdy mówił o dziwactwie Philipa, a upewnił się w tym, gdy usłyszał nieco piskliwy głos mężczyzny i zobaczył jego ekspresyjną gestykulację.

– Moi kochani, to doprawdy cudownie, że zechcieliście odwiedzić nasz wspaniały lokal po remoncie, ale otwieramy dopiero za tydzień. No, chyba że znowu wybuchnie w Europie jakaś awantura – perorował właściciel.

– Przychodzimy od Williama Glenna – zaczął Piotr, ale Philip uderzył się w czoło i przewrócił oczami.

– A jakże… Lady Lewajn i sir Niechowski. Proszę, wejdźcie. Sala jest już prawie gotowa, ale dzisiaj nie mamy muzyków, bo przecież dla kogo mieliby grać. – Philip ukłonił się nisko.

– Pani Lewin może zaśpiewać a capella… – zaczął Piotr.

Philip Bridgeman ponownie machnął ręką.

– Ależ jeśli William mówi, że lady Lewajn jest dobrą artystką, to ja wierzę, że śpiewa jak sam anioł. Od jutra mogłaby przychodzić na próby, żeby poćwiczyć z naszym pianistą. Oczywiście zaraz możemy podpisać umowę… wobec tego chodźmy do biura – mówił szybko Bridgeman.

Piotr pomyślał, że w istocie hol lokalu nie jest najlepszym miejscem na prowadzenie rozmów o interesach, więc bez słowa przepuścił Hankę przodem i przeszli do niewielkiego biura, które, wyposażone w czarne biurko i czerwoną witrynę, wyglądało równie ekscentrycznie, co jego właściciel. Philip zaczął przetrząsać szuflady, by wyjąć z nich napisane na maszynie umowy i podał Hance, ale zanim ta zdążyła wyciągnąć rękę, Piotr chwycił je i odłożył na biurko.

– Sir Bridgeman, nie zatrudnia pan kelnerki, tylko przedwojenną gwiazdę. Porozmawiajmy najpierw o gaży – stanowczo upierał się Piotr.

– Czasy mamy trudne, przeciętne zarobki wynoszą niecałe dziewięć funtów na miesiąc, więc mogę zaproponować… no, powiedzmy, trzy funty za wieczór. Jeśli lady Lewajn wystąpi dziesięć razy w miesiącu, to sam pan przyzna, że zarobi trzy razy więcej niż na przykład kolejarz. Fantastyczna propozycja, nieprawdaż? – powiedział Bridgeman tonem, który świadczył o tym, że chyba nieco zaniżył zarobki solistki podobnego formatu.

Hanka zrozumiała jedynie „trzy funty za występ” i odwróciła się rozpromieniona w kierunku Piotra.

– Boże, to cudownie. Podpisujmy, na co czekamy?

Piotr Niechowski znał się trochę na prowadzeniu interesów, bez względu na to, czy handlował samochodami, obligacjami czy talentem, jak w tym przypadku. Wstał z krzesła, ukłonił się nisko przed Philipem i powiedział:

– Chyba nie zrozumieliśmy się z Glennem, pan wybaczy. – Po czym zwrócił się do Hanki: – Chodź, moja droga, nic tu po nas.

Lewinówna otworzyła usta ze zdziwienia, a potem zrobiła tak żałosną minę, że Piotr aż uśmiechnął się pod nosem.

– To ile? – jęknął Philip.

– Sześć funtów za występ – powiedział Piotr.

Właściciel Golden Gate nerwowo potarł czoło.

– Mogę dać cztery i ani pensa więcej – wysapał.

– Pięć i lady Lewajn jutro przychodzi na próbę. Niech mi pan wierzy, ludzie będą jej słuchali godzinami… I zamawiali drinki… – Uśmiechnął się.

– Zgoda, niech będzie. Mam nadzieję, że będzie tego warta – westchnął Philip i uścisnął rękę Piotra, a potem ucałował dłoń Hanki.

Lewinówna nie mogła uwierzyć, że szwagrowi tak łatwo poszło. Był lepszy niż profesjonalny impresario. Drżącą ręką podpisała umowę i gdy opuścili lokal, po prostu rzuciła mu się na szyję.

– Oczywiście, Piotrze, przynajmniej połowa należy do ciebie. I spłacę… – Nie dokończyła, bo Niechowski roześmiał się.

– Haniu, mieszkasz pod dobrym adresem i musisz wyglądać jak gwiazda, więc te pieniądze mogą nie okazać się aż tak duże, jak ci się wydaje – powiedział, wciąż nie przestając się śmiać.

– Ale przecież mówiłeś, że jestem twoją inwestycją, więc teraz… – upierała się.

– Lady Lewajn, my nie mówimy o drobnych. – Puścił do niej oko i dodał: – Pozwolisz, że przyjdę na pierwszy twój występ w Golden Gate?

– Będę zaszczycona… Boże, nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna. Znowu będę występowała, znowu będę śpiewała… Jakże mi tego brakowało. – Hanka cieszyła się jak mała dziewczynka.

– Znowu mnie zaskakujesz. Zawsze zdystansowana, chłodna i powściągliwa, a teraz… Tylko proszę, jeśli będę przychodzić z poważnymi gośćmi, nie zachowuj się w ten sposób. Anglicy są wyczuleni na punkcie form.

– Przepraszam – wyszeptała i spuściła głowę.

– Nie przepraszaj, to jest słodkie… Ale pozostaw to na chwile, gdy będziemy sami. – Uśmiechnął się i delikatnie pogłaskał ją po dłoni.

Popatrzyła na niego i zobaczyła w jego oczach to, czego nie chciała zobaczyć. Błysk pożądania, którego po prostu się bała. Jej serce ledwie zdążyło ostygnąć po rozstaniu z Igorem, nie chciała kolejny raz ani samej cierpieć, ani zadawać komuś cierpienia. A Piotr nie zasłużył sobie, by igrała z nim w jakikolwiek sposób.

Przed domem pożegnała się serdecznie, ale chciała, żeby sprawa była między nimi jasna.

– Dziękuję ci raz jeszcze, Piotrze. Jestem zdumiona twoją szczodrością i… i w ogóle – jąkała się. – Wiesz, ja tego Rosjanina wciąż kocham. Odeszłam, bo nie mogłam już znieść gehenny wiecznego uciekania, ukrywania się w jakichś strasznych miejscach, głodu, gdy masz ochotę nawet zjeść

własnego psa, i lęku o dzieci. On musiał zostać, więc ja musiałam go opuścić.

– Cieszę się, że mogłem ci pomóc – powiedział spokojnym tonem Piotr i ucałował dłoń Hanki.

Wysiadła z samochodu i pomyślała, że byłoby dużo prościej, gdyby miała takiego męża jak Piotr, a nie jego brat – utracjusz Tomasz. Jakże wygodnie byłoby kochać człowieka, który opiekowałby się nią bez względu na wszystko, a przede wszystkim zapewnił jej i dzieciom godziwy byt, za którym tak bardzo tęskniła.

Londyn także podnosił się z wojennej zawieruchy, a wszędzie czuć było nadchodzący pokój. A wtedy każdy będzie tęsknił za blichtrem i odrobiną luksusu. Tak jak ona. Weszła do swojego niewielkiego, ale gustownego mieszkanka, zdjęła rękawiczki i kapelusz, po czym rozejrzała się po wnętrzu. Jakby nie mogła uwierzyć, że kolejny raz wyszła z walącej się chałupy i biedy.

Po chwili drzwi pokoju obok otworzyły się i wybiegły dzieci, by się z nią przywitać.

– Nie śpicie jeszcze? – zapytała, udając złość.

– Chciały poczekać na mamusię. – Stojąca w progu dziewczyna uśmiechnęła się, po czym ziewnęła, zdjęła z wieszaka płaszcz i pożegnała się z Hanką i dziećmi.

Lewinówna wzięła na ręce Grzesia i weszła do pokoju. Ułożyła go do łóżeczka, a potem zrobiła to samo z Nadią. Potem zaczęła im czytać bajkę. Odkąd zamieszkała w tym ciepłym, przytulnym mieszkaniu, bardzo to lubiła. Nie musiała zapalać lampy naftowej ani zakładać rękawic, gdy przerzucała kolejne stronice. Nim skończyła pierwszą bajkę, dzieci już spały. Ucałowała je i poszła do siebie. Wtuliła się w poduszkę i pomyślała, że do szczęścia brakuje jej teraz tylko jednego – szerokich ramion Igora Łyszkina.

14. Moskwa, 1945

Komisja rewizyjna odbywała się w jednej z małych salek pałacu Łubiańskiego w Moskwie. Oprócz generała Sudopłatowa Igor nie znał nikogo z pięcioosobowej komisji.

– Kapitanie Łyszkin, opowiedzcie nam po kolei o tym, kim jest dla was Hanna Lewin-Niechowska i Emil Lewin – zaczął siwy mężczyzna w ciemnym garniturze i śnieżnobiałej koszuli.

Igor przełknął ślinę. Sam się czasami zastanawiał, kim była dla niego Hanka Lewinówna.

– Hanna Lewin-Niechowska jest matką mojego syna. Poznaliśmy się jeszcze przed wojną, w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym albo drugim. Mieliśmy romans, a teraz łączy nas jedynie nasz syn, Grzegorz. Emil Lewin jest bratem Hanny Lewin-Niechowskiej. Nie znam tego człowieka – powiedział drżącym głosem.

– Z akt znalezionych w archiwach gestapo wynika, że ten człowiek, Emil Lewin, doniósł na was i zdradził tajną kryjówkę komunistyczną. – Mówił wciąż ten sam mężczyzna, pozostali zaś przypatrywali się Igorowi, jakby czyhali na jakąś niespójność w wypowiedzi albo gest świadczący o tym, że nie mówi prawdy.

Igor wzruszył ramionami.

– Wysoce prawdopodobne, to konfident gestapo.

– Wiedzieliście o tym wcześniej?

– Nie – lakonicznie odpowiedział Igor.

– Więc jak to się stało, że się dowiedzieliście? – Mężczyzna w garniturze miał spokojny, niemal monotonny głos.

– Widziałem, jak się kręci po Zapiecku. To ulica, na której mieliśmy tajną komórkę… A potem wpadło gestapo. Nie trzeba być specjalnie bystrym, żeby domyślić się, iż to właśnie on ich wezwał.

– Ale was wtedy nie było… Dziwnym trafem – wtrącił się młody oficer o krzaczastych brwiach i ciemnych oczach.

– Poszedłem sprawdzić, czemu ten człowiek pęta się koło naszego mieszkania. Niestety, zgubiłem go w okolicach Traktu Królewskiego. Gdy wracałem na Zapiecek, zobaczyłem niemieckie samochody i uciekłem. – Na razie Igor był spokojny, bo wszystko zrobił jak należy. Wiedział jednak, że za chwilę padną trudniejsze pytania.

– A co robiliście w Warszawie później, skoro dostaliście wyraźny zakaz pokazywania się w tym mieście?

– Wiedziałem, że zaraz wybuchnie wojna, a wtedy… Chciałem ostrzec rodziców – powoli wycedził Łyszkin.

– Ty cholerny głupcze! Nie mogłeś zatelefonować albo wysłać kartki z pozdrowieniami? – nie wytrzymał Sudopłatow.

– Uspokójcie się, generale. – Starszy mężczyzna spojrzał groźnie na Sudopłatowa. Zapewne uznał, że takie zachowanie nie przystoi tak poważnej komisji, zwłaszcza w obecności przesłuchiwanego funkcjonariusza.

– A dokąd wyjechali, bo rozumiem, że zdążyliście na czas? – Ciągnął przesłuchanie mężczyzna o krzaczastych brwiach.

– Tak, wyjechali – bąknął Igor.

– Dokąd?

– Nie wiem, ale zamierzali udać się do Stanów Zjednoczonych, jednak nie mam pojęcia, czy to się im udało, bo już wtedy w Europie była wojna – odpowiedział Łyszkin.

– Ale przecież to nie wasi rodzice wydali was w ręce gestapo? – nieco zdenerwował się przesłuchujący. Według niego Łyszkin cedził informacje, zamiast wszystko dokładnie opowiedzieć.

– Nie… W ręce gestapo wydała mnie Hanna Lewin-Niechowska. Nie była wtyczką gestapo, po prostu chcieli zrobić krzywdę jej małej córeczce. Jeśli macie, towarzysze, moje akta, wiecie także, że uciekłem i szczęśliwie dotarłem do Moskwy.

– A wcześniej chyba pomogliście również uciec swojej kochance? – wtrącił się starszy mężczyzna takim tonem, jakby miał za chwilę krzyknąć „eureka”.

– Nie. – Łyszkin pokręcił przecząco głową. – Nie miałem czasu, musiałem jak najszybciej uciec z Polski. Czy mam opowiedzieć, jak się dostałem do Moskwy?

Igor był już nieco zirytowany tymi pytaniami, ponieważ dążyły do tego najważniejszego: „Czy gestapo was złamało i przeszliście na ich stronę?”. Było to tak samo niedorzeczne, jak to, że Hanka go wydała z pełną premedytacją.

– A gdzie jest teraz Hanna Lewin-Niechowska? Wiecie może? Widzieliście się z nią później? – zapytał Sudopłatow.

– Tak, spotkaliśmy się przypadkiem w Warszawie, na dworcu. Wyjeżdżała właśnie do Londynu. A następnego dnia wybuchło w mieście powstanie – jadowicie odpowiedział Łyszkin.

Przez chwilę przy stole zapanowała cisza, a potem, przez następne pięć godzin, zadawano mu kolejne pytania. Wszystkie dotyczyły jego polskich znajomości, począwszy od zamordowanego w getcie Jakuba Mosela, a na Julianie Chełmickim kończąc. To, co mógł – ukrył, temu, o czym wiedzieli, nie mógł zaprzeczyć, więc powiedział prawdę. Nie wydali werdyktu, tylko kazali udać się do swojej kwatery.

***

Następnego dnia, gdy wszedł do salki, w której poprzednio zeznawał przed komisją weryfikacyjną, przy stole siedział jedynie Sudopłatow. Łyszkinowi serce zaczęło walić jak oszalałe. Nie obawiał się, że wyrzucą go ze służby. Tego nie czynili nigdy. Kiedy ktoś stawał się niewiarygodny, po prostu go likwidowali, najczęściej po cichu, a ciało takiego delikwenta znikało na zawsze, by nikt nie zadawał zbędnych pytań.

Usiadł naprzeciwko Sudopłatowa i usiłował odgadnąć z wyrazu jego twarzy, jaka zapadła decyzja.

– Generale… – zaczął niepewnie Igor.

– Łyszkin, powtórzę to raz jeszcze, cholerny idioto, gdyby nie twoje akcje na terenie Ukrainy i Białorusi, dostałbyś czapę. Czy ty w końcu zrozumiesz, że ta służba to jest twoje życie i nie masz innego? Żadnych żon, długofalowych kochanek, przyjaciół ani szemranego towarzystwa, które mogłoby wiedzieć, kim jesteś i co robisz. Twoje kontakty się na pewno przydadzą, ale pamiętaj, że tylko do pracy operacyjnej. Nie ma nic innego niż służba. Jesteś jednym z najlepiej wyszkolonych agentów, jesteś inteligentny i niemożliwie silny fizycznie i psychicznie, więc zrozum to raz na zawsze: tamtego życia już nie ma i wobec tych ludzi nie możesz mieć żadnych skrupułów. Zanim powierzę ci placówkę w Londynie albo w Stanach Zjednoczonych, muszę być pewien, że żadna *krasawica* nie zawróci ci w głowie ani nie będziesz miał wyrzutów sumienia w stosunku do rodziców. Nasi ludzie i tak znajdą cię wszędzie, więc lepiej będzie dla nas obu, żeby nie musieli cię szukać. Póki co zostałeś oddelegowany do Warszawy. Znajdź tego całego Lewina i namów go na współpracę albo zmuś… Coś wymyślisz. Za-

pewne dużo wie o polskim podziemiu, jeśli donosił. Ten twój kumpel, Chełmicki, też by się przydał. A tą Rosińską, co ją przywieźli z Warszawy, sami się zajmiemy. Na razie zsyłka do Warszawy. To taka kara od kierownictwa, ja zaś dorzucę swoją… – Generał skończył mówić, po czym popatrzył w sufit i uśmiechnął się szelmowsko do Łyszkina: – Będziecie ściśle współpracować również z naszą charyzmatyczną towarzyszką Julią Dregerową.

– Będzie moją przełożoną? – zapytał przerażony Igor.

Głupkowaty uśmiech generała zamienił się w tubalny śmiech.

– A niech cię. Przez chwilę miałeś minę, jakbym chciał cię wysłać do Krasnojarska. Nie będzie, ale może się na ciebie poskarżyć. Jesteście na dzisiaj wolni, a jutro czekają was ruiny Warszawy.

Łyszkin opuścił gmach główny, ale pochodził jeszcze chwilę po rześkim powietrzu. Powinien poczuć ulgę, że jego życie jeszcze się nie zakończyło, ale wizja spotkania się z Hanką i Grzesiem w Londynie oddalała się coraz bardziej. Nie chciał pogodzić się z faktem, że Sudopłatow miał rację. Jego życiem nie była ani Hanka Lewin, ani jego syn. Jego życiem była już tylko służba w wywiadzie i nikogo nie obchodziło, że jego ideały stawały się coraz bardziej zniekształcone przez to, co dane mu było zobaczyć i przeżyć.

15. Warszawa, 1945

– A mówiłeś, że swoich to ty nie tykasz. I morały mi prawiłeś – złośliwie wytknął Emil, gdy „Diamentowa Rączka” zaproponował mu wspólne szabrowanie.

– Na Pradze nie juchcę, czego jojczysz? Poza tym jak nie my, to zaraz władza ludowa zwącha interes i tyle nam z tego przyjdzie. A po co nieboszczykowi fanty, jak on i tak ziemię gryzie? Nie chcesz, to twoja wola. – Franek wzruszył ramionami i dodał: – Co innego żywych na krawat narażać albo szwabkę… no, ten tego… a co innego bezpańskie przytulić. Nałaziło się tego, panie, z wioch, słoma im z butów wystaje i jedzie od nich oborą, ale warszawiaków udają i całe furmanki fantów wywożą z Warszawy. To co, mam się gapić jak sroka w gnat i za frajera robić? Już ty mi lekcji nie udzielaj, Lewin, boś ty swoje przytulił za Niemca. A ja przytulę za Ruska, i gitara.

– A myślisz, że na tym da się zarobić? Ludzie żreć nie mają co, to niby będą lichtarze i srebrne patery kupować? – Emil wciąż powątpiewał w złoty interes Franka.

– To zależy gdzie… Tu, w Warszawie, to pewnie będą kupować, co najpilniejsze, ale im dalej na zachód, tym lepiej schodzą świecidełka i aliganckie rzeczy. Moja narzeczona, Bronka, to mówi, że na rynku w Poznaniu ludzie się zabijają o takie fanty.

– E… To coś się nie przypucował, że narzeczoną sobie znalazłeś? – zapytał Emil ze zdziwieniem, bo odkąd znał „Diamentową Rączkę”, ten nad wyraz cenił sobie wolność i swobodę, żeniących się kawalerów nazywając frajerami.

– Nie miał chłop kłopotu, to se babę wziął na plery – mruknął.

– To po coś się wiązał, jeśli ci nie w smak? – Lewin nie przestawał wypytywać Franka, bo w istocie był mocno zdziwiony.

– Dajże spokój, Emil. Nie ma o czym gadać. Pojechałem na prowincję i przypałętała się tam taka jedna, córka gospodyni. Niebrzydka, niepiękna, ot zwykła kobita. Ale to dekolcik pokazała, to rzyć wypięła, no, wiesz, jak to kobitki umieją zmaniewrować chłopa. A żem trochę się nudził, a i krew nie woda, to ją wziąłem parę razy od zachrystii w stodole. I panie, minęło trochę czasu, a ona mi przychodzi zapłakana, że chyba w ciąży jest. Poty mi siódme wystąpiły i pytam, co dalej. No to ona, że żenić się muszę, bo mi jej

ojciec kosę sprzeda albo co innego… To nie szło się wymigać i musiałem przyklęknąć, pierzcioniek ze złota dać i poszliśmy do proboszcza na zapowiedzi dać. – Franek wzruszył ramionami.

– Mówiłeś, że narzeczona, a tu, proszę. Szybciej się ożeniłeś ode mnie. – Emil podszedł do kolegi i próbował go wyściskać, żeby złożyć życzenia, ale „Diamentowa Rączka” odepchnął go i zrobił zniesmaczoną minę.

– Ty mnie tu z powinszowaniami to się tak nie śpiesz – warknął. – Jak ci gadam, że narzeczona, to chyba nie kituję.

– Aha… To kiedy ślub? – zapytał niepewnie Lewin.

– Wypluń to słowo! – powiedział złowróżbnie Franek. – Oby nigdy. Jakeśmy od księdza wrócili, to żem takiej cykorii dostał, jak nigdy. Bo moja Bronka to kosa, nie baba i już żem zmiarkował, że musztrę taką dostanę, że nawet w anclu takiej nie miałem. Od razu mnie do krawca zaciągnęła i nakazała gajer sobie sprawić za ciężką mamonę. Nawet bałem się sprzeciwić, bo moja Bronka to coś takiego ma w oczach, że lepiej jej nie podskakiwać. No to nie kozaczyłem, alem aż się modlić zaczął, co by mnie dobry Pan Bóg od tej zarazy odsunął. I chyba zlitował się nad grzesznikiem, bo tydzień później Bronka mi nadała, że dziecka nie będzie. Emil, chłopie, ja tam do młodzieży nic nie mam, ale jakby mi głaz z serca zleciał. I co z tego, jak ona wciąż i wciąż, że musimy pod ołtarz iść. Ale nawinąłem jej, że mam cykora. No, wiesz, że ona jałowa albo co, a ja to bym dzieci chciał mieć. Łeb spuściła, ale się zgodziła, tyle że się ze mną do Warszawy przywlokła. Mieszka u jakiejś starej ciotki, też na Pradze, ale codziennie jak w zegarku muszę się u niej meldować, bo inaczej wpada mi tu z awanturą na czternaście fajerek. No to ją do interesu wziąłem, czasem pogłaskam, panie, albo za nóżkę potrzymam, ale chędożyć to się boję jak skurczybyk, bo jak znowu zaskoczy, to już amen w pacierzu – opowiadał przejęty Franek.

– Jeszcze nam baba potrzebna. Przecież w razie draki, to zaraz nas wyda. – Emil nie był zadowolony z włączenia postronnej osoby do ich szemranego interesu.

– Nie przypucuje, to gadam ci pod chajrem – westchnął Franek.

W skrytości ducha miał nadzieję, że elegancki i dystyngowany Lewin wpadnie w oko Bronce i ta da mu święty spokój ze ślubem. A że Emil był pies na baby, to istniała szansa, że „Diamentowa Rączka” pozbędzie się kontrowersyjnej narzeczonej. Martwił się jedynie o wygląd Bronki, bo

w istocie trudno jej się było mierzyć z takimi pięknotkami jak Adrianna Daleszyńska czy ta folksdojczka, Renate Zoll.

– A od tej swojej Niemry miałeś jakąś wiadomość?

Emil Lewin wzruszył ramionami.

– A niby gdzie miała tę wiadomość wysłać? Pewnie ją do Rzeszy wywieźli, jak wszystkich Niemców ze szpitali ewakuowali. Może się znajdzie, a może nie. Ja tam do PCK wolałem nie zgłaszać, bo to wiadomo, czy by się mną kto nie zainteresował, że Niemki szukam. Jeszcze by mnie wzięli za konfidenta albo folksdojcza – mruknął Lewin.

– A ty przecież niewinny jak lilija biała – mruknął Franek i puścił oko do Emila.

Wkrótce opuścili mieszkanie Franka i udali się do kamienicy, gdzie czekała na nich Bronka, narzeczona „Diamentowej Rączki". Rzeczywiście warowała jak pies, ściskając rączkę zdezelowanego wózka, który miał służyć do przewozu zrabowanych dóbr. Lewin przyjrzał się Bronce i niemal od razu zrozumiał lęk Franka. Bronisława Walerek nie była może wysoka, ale wyglądała jak bokser wagi ciężkiej. Emil pomyślał, że pewnie dlatego Franek brał ją od zachrystii, bo w przeciwnym razie miałby problem, by wprowadzić się w odpowiedni nastrój. Dłonie Bronki przypominały bochenki chleba, nos miała duży, spłaszczony, jak to Emil widywał na zdjęciach z czarnoskórymi kobietami, i jasnobłękitne małe oczy, które jednak rzucały spojrzenia mogące schłodzić każdego, kto zechciałby się jej sprzeciwić. Spod kwiecistej chustki, którą przewiązała na głowie, wystawały jasne, nieco postrzępione włosy.

– Chciała na ślub się na blond zrobić i nie wiem, czym kłaki posmarowała, bo jej się jeden wiecheć na łbie zrobił. Ale przecie jej nowe wyrosną, no nie? – powiedział cicho Franek, gdy zbliżali się do Bronki, a mina jego kompana wyrażała wszystko, oprócz zachwytu.

„Diamentowa Rączka" ucałował siarczyście rumiane policzki narzeczonej i przedstawił ją Emilowi.

– Ale galant z pana, fiu-fiu – powiedziała narzeczona Franka, a ten niemal od razu podjął temat.

– A jaki szpagat, to mucha nie siada – zachwalał kompana, niczym towar na Kercelaku.

Bronka prześwidrowała wzrokiem Emila, po czym zarządziła, że ruszają na Stare Miasto, bo tam najwięcej antyków można w gruzach znaleźć.

Szarpnęła wózek i ruszyła przed siebie, nie zwracając uwagi, że żaden z towarzyszących jej mężczyzn nie kwapi się, żeby ją w tym wyręczyć.

– Ty, Franek… – szepnął Emil, gdy przedzierali się przez zagruzowane ulice po drugiej stronie Wisły. – Ty się nie obraź, ale ta twoja Bronka to niezbyt jest urodziwa.

– No, trochę raszpla jest, ale co mam zrobić, kiedy się przykleiła jak mucha do gówna. – Franek machnął ręką i ruszył ze spuszczoną głową w ślad za narzeczoną.

Dotarli do Starego Miasta i weszli w gruzowisko. Nakazali Bronce, żeby stanęła kawałek dalej i zagwizdała, jeśli pojawi się ktoś podejrzany, na przykład żołnierz albo ktoś, kto będzie wyglądał na urzędnika. Emil był nieco wystraszony, gdy weszli między pogruchotane mury jednej z kamienic. Cały czas rozglądał się dookoła, by sprawdzić, czy przypadkiem nic się nie zawali i go nie przygniecie.

– Ty, Emil, nie gap się w sufity jak lemoniada, tylko pod nogi – zrugał go Franek.

Lewin pokiwał głową i zaczął przyglądać się porozrzucanym wokół szpargałom. W tej kamienicy jednak ich połów nie był zbyt imponujący. Kilka srebrnych sztućców, srebrna cukiernica i rama do lustra, bo lustro, co oczywiste, było potłuczone. Po kilku godzinach ich wózek był niemal pełny.

– No, ostatnia chawira i drzemy zelówy – zarządził Franek i otrzepał zakurzone dłonie.

Tak jak poprzednio, przystąpili do przeglądania porozrzucanych rzeczy. Ucieszyli się, gdy zobaczyli wybebeszony kredens z pokaźną szkatułką leżącą obok. Mieli nadzieję, że tym razem trafią na złoto i inne wartościowe rzeczy.

– O cholera – jęknął Emil i stanął jak wryty.

– A tam następny sztywniak. – Franek pobladł gwałtownie i dodał: – Ja tam lepiej nie będę tykał tego, bo mnie będą zmory po nocy dusić.

Emil nic nie odpowiedział. Popatrzył jeszcze raz na rozkładające się ciała, które dopóki trwała zima, z pewnością przypominały mumie, i pomyślał o małym Szymku. A co, jeśli ten chłopaczek tak leżał, jak ci tutaj? Bez imienia, bez nazwiska, czekając, aż ktoś go odnajdzie i wrzuci do zbiorowej mogiły. Zastanawiał się także nad tym, że jego też może spotkać coś takiego, co byłoby ironią losu. Przecież w tych zrujnowanych kamienicach mu-

siało być pełno niewybuchów i min. Jeden nierozważny krok i mogli obaj z Frankiem wylecieć w powietrze. Część budynków była już rozminowana, o czym informował namalowany farbą napis, ale tam nie włazili wcale, wychodząc z założenia, że jeśli w środku byli żołnierze, to zapewne już splądrowali i wynieśli wszystko, co zdołali unieść.

Bez słowa wyszli z ruin i stali przez chwilę na ulicy, wdychając głęboko powietrze.

– A gdzie klamoty? – zapytała ostrym tonem Bronka, co przy jej niskim głosie było naprawdę nieprzyjemne dla ucha.

– Nic nie było – uciął temat Franek. – Wracamy.

– Idź nazad. Na pewno coś musi być – warknęła Bronka.

– Nie pójdę – jęknął tonem małego dziecka, którego zmuszano do wejścia w czeluść ciemnej komórki. – Tam trupy nadgniłe leżą.

– I wielkie mi co – prychnęła Bronka. – A bo to mało trupów na ulicach leżało i jakosik nie robiłeś w portki, Franek. No, jazda do roboty, bo stoję tu jak kapeluszowa spod Bristola i zaraz uświerknę.

– Ja też nie idę. – Lewin postanowił poprzeć kolegę.

– Ech, chłopy. Tylko w mordzie chojraki, a jak co do czego, to się kalesony robią – warknęła i sama ruszyła w stronę kamienicy, z ruin której niedawno wyszli jej towarzysze.

– Co ona taka mordziata? – zapytał Lewin.

– A wiesz, jak to z babami. Jak jej brąchy nie przetrzepiesz, to potem chodzi, jakby jej kto koły w dupie łamał – mruknął Franek.

– A ty jej nie możesz kilku słów powiedzieć bez salonowego alibi? – zapytał nieco rozdrażniony Emil.

– Przecie widzisz, jaka to fest baba. A może ty, Emil, byś posmalił do niej cholewki, to może zmięknie? – niepewnie zaczął „Diamentowa Rączka”.

Lewin popatrzył na niego jak na idiotę. Nie dość, że miałby umizgiwać się do narzeczonej kumpla, to jeszcze do takiej paskudy.

Po dwudziestu minutach Bronka powróciła, dzierżąc w dłoni metalową kasetkę, na którą pierwotnie obaj ostrzyli sobie pazury.

– Tę to sama skitram – powiedziała i nakazała powrót do domu.

Przez całą drogę złorzeczyła obu mężczyznom, nazywając pogardliwie to kalesonami, to starymi gaciami. Złagodniała nieco dopiero, gdy dotarli na Pragę, bowiem zależało jej, by spędzić wieczór z ukochanym.

– E… Nie mogę, Broniu – wyjąkał niepewnie Franek. – Muszę kumplowi pomóc, bo ma frasunek.

Emil popatrzył ze zdziwieniem, ale chwilę później zrozumiał przekaz i pokiwał głową, wznosząc przy tym wzrok ku górze, jakby w istocie miał wielki problem.

– A co tobie? – burknęła Bronka, spoglądając swoim zimnym wzrokiem na Lewina.

Każdej innej osobie odpowiedziałby ostro, żeby nie wściubiała nosa w nie swoje sprawy, ale w istocie Bronka Walerek miała w oczach coś takiego, że od samego jej spojrzenia Lewinowi uginały się nogi.

– Franek ma mi pomóc w odnalezieniu pasierba. Gdzieś się w powstaniu zaplątał i nie wiadomo, czy zdołał uciec, czy gdzie leży martwy pod gruzami – wydukał Emil i było w tym pół prawdy, bowiem w istocie chciał to uczynić, ale wcale nie myślał, by iść na poszukiwania z Frankiem.

– O, no to to. – Franek machał palcem wskazującym. – Przecież my małego Szymka musimy poszukać.

– A takeś się obcego trupa bał… – Bronka podparła się pod boki.

– A czy ja muszę patrzeć na niego, jakby był nieżywy? Ale kumpel to kumpel, pomóc trzeba. Zresztą Szymek to był nasz wspólas od lewego żarcia i coś mu się od nas należy. – Zrobił poważną minę.

– To lećta i żebyście mi się jutro tak nie zbierali, jak sójki za morze – burknęła Bronka, wzięła pod pachę skrzyneczkę, którą wydostała z zasypanego budynku, po czym idąc zamaszystym krokiem, zniknęła w bramie kamienicy.

Mężczyźni zaś popchnęli wózek w kierunku swojego lokum. Zastanawiali się też, gdzie wywozić fanty, bo lada moment nie mieliby nawet gdzie spać. W końcu uznali, że trzeba porozmawiać z Bronką i przerzucić część rzeczy do stodoły jej rodziców, a gdy uzbiera się odpowiednia ilość, ruszą do mniej zniszczonych miast, by sprzedać na bazarze zagrabione dobra. Rozważali także znalezienie jakiegoś pośrednika, który odbierałby towar hurtem i tym samym zdjął z nich ciężar upłynnienia ich. O Bronce nie wspomnieli już tego dnia ani słowem, zapewne rozmyślając, jak się jej pozbyć z życia ich obu.

16. Moskwa, 1945

„Łubianka nie jest taka najgorsza” – pomyślała Alicja, gdy zobaczyła swoją nową celę. Jednoosobową, z dość czystą pryczą, i nawet było coś, co od biedy można nazwać poduszką. Nie miała świadomości, że dostała jedno z lepszych miejsc, jakie zwykle przydzielali wyższym rangą oficerom. Natomiast była niemal pewna, że zarówno transport, jak i znośne warunki bytowe mają być formą przekupstwa. Problem stanowiło to, że nie mogła im dać niczego w zamian.

W pokoju przesłuchań czekał na nią wysoki mężczyzna dobiegający pięćdziesiątki i znacznie różnił się wizualnie od tego świniaka – Bykowa. Pomyślała, że nie wygląda na sadystę. Nie zmieniało to jednak faktu, że wciąż była przerażona. Tym bardziej że znajdowała się bardzo daleko od Polski i zapewne nikt z jej bliskich nawet się nie dowie, gdzie przebywa.

W istocie, oficer zaczął rozmowę w bardzo kulturalny sposób. Nie krzyczał na nią, nie wyzywał ani nie sięgał po pałki i baty, by zmusić ją do mówienia. Nawet nie była skuta kajdankami. Co ciekawsze, chciała wyznać mu prawdę i pragnęła, żeby jej uwierzył.

Pierwsze pytania dotyczyły Łyszkina.

– Tak naprawdę Igora Łyszkina widziałam raz w życiu. Jeszcze przed wojną, w restauracji Gastronomia. Fetowaliśmy wówczas premierę nowego spektaklu i przyjaciółka mi go pokazała. Uczyniła to dlatego, że podkochiwał się w niej i próbował przekonać do bolszewizmu. Nie zostaliśmy sobie przedstawieni – powiedziała szczerze.

– I przyjaciółka dała się przekonać? – nieco złośliwie zapytał oficer.

– Chyba nie, bo ona kompletnie nie zna się na polityce – równie złośliwie odparła Alicja.

Kiedy tak snuła opowieści o romantycznej miłości Igora i Hanki i wreszcie dotarła do momentu, w którym mężczyzna uciekł z gestapo, oficer westchnął:

– Dobrze, zatem zagrajmy w otwarte karty. Zależy nam na dwóch rzeczach: archiwach ukrytych przez Armię Krajową i kontaktach w brytyjskim wywiadzie.

– Nie mam pojęcia, gdzie są archiwa, a moje kontakty z brytyjskim wywiadem to zamierzchła przeszłość – stwierdziła stanowczo.

– Załóżmy, że ci wierzę. Jeśli jednak wróciłabyś do swoich, mogłabyś zdobyć dla nas te informacje. A gdybyś wyjechała do Wielkiej Brytanii, wywiad brytyjski z otwartymi ramionami przyjąłby taką agentkę – równie stanowczo powiedział oficer.

– A jeśli się nie zgodzę? Postawicie mnie pod ścianą i rozstrzelacie?

Nie było to wcale buńczuczne, po prostu chciała wiedzieć, jaki ma wybór. Chociaż zostanie podwójnym agentem i współpraca z Moskwą nie mieściły jej się w głowie. A gdyby jednak miała zginąć? Nigdy więcej nie przytulić syna, nie popatrzeć w cudowne oczy Sergiusza?

– Chyba uważasz nas za barbarzyńców. Staniesz przed sądem i to sąd zdecyduje, co z tobą zrobić – powiedział oficer.

– Sąd? Do diabła, przecież nic nie zrobiłam – jęknęła Alicja.

– Nie ma diabła, są tylko źli ludzie. Więc jeśli niczego złego nie zrobiłaś, powinnaś spać spokojnie. Wówczas sąd cię uniewinni i powrócisz do kraju jako wolny człowiek. Jeśli jednak zgodzisz się nam pomóc, zapewnimy ci dobre warunki i gwarancję, że już nigdy nie wylądujesz w karcerze. Więc?

Alicja była zdezorientowana, ale pomyślała, że sąd i tak pewnie oczyści ją z zarzutów. Podejrzenie współpracy z niemieckim okupantem było tak absurdalne, że żaden sąd nie mógł dać temu wiary.

Tak, Alicja wierzyła w niezawisłość sądów. Nie miała pojęcia, że te w Związku Radzieckim wyglądają zupełnie inaczej, dlatego bez obaw oczekiwała na rozprawę. Wyobrażała sobie, że już niedługo usłyszy z ust sędziego wyrok uniewinniający i wróci do domu. Nawet nie myślała, w jaki sposób, bo w tej części świata wciąż panował chaos, ale gotowa była dotrzeć do Polski choćby furmanką. Nie miała żadnych złych przeczuć, żadnych obaw, dla niej ten wyrok już zapadł. Akta, które wydobyto z archiwum gestapo, były jednoznaczne, jak również zasługi dotyczące jej działalności wywiadowczej. Rosjanie też powinni jej podziękować, bo gdyby nie ona, data napaści Hitlera na Związek Radziecki pozostałaby nieznana, zwłaszcza że Rzesza przekładała ową datę kilka razy.

W końcu nadszedł dzień, gdy stanęła przez sędzią. Była to kobieta o gładko zaczesanych włosach i jasnych oczach. Alicji wydawała się aniołem, który zstąpił z nieba, by za chwilę zwrócić jej wolność. Obok Rosińskiej stał ktoś, kogo mianowano jej adwokatem, ale ani razu z nią nie rozmawiał, a na rozprawie ziewał jak krokodyl. Pomyślała, że zapewne zachowuje się w ten sposób, bo jej niewinność była po prostu bezsporna. A to, że nie zgo-

dziła się na współpracę, wytłumaczyła bardzo jasno. Nie chciała już walczyć ani angażować się w cokolwiek związanego ze szpiegowaniem, ukrywaniem się i niebezpieczeństwem. Chciała mieć normalną rodzinę, syna przy boku i żyć jak zwykły człowiek. Dla niej wojna już się skończyła, bez względu na wynik. Nie było sensu do tego wracać, zostawało jedynie zaakceptowanie nowej rzeczywistości albo wyjazd gdzieś, gdzie nie będzie miało to znaczenia. Zrobiła wszystko, co mogła, by przysłużyć się wygnaniu Hitlera z Polski i nie chciała narażać się już nigdy więcej.

Prokurator rozpoczął swoją mowę. Alicja miała wrażenie, że musiał się bardzo natrudzić, by wymyślić podobne bzdury. Począwszy od pomocy gestapo w schwytaniu Igora Łyszkina, obywatela Związku Radzieckiego, aż po współpracę z Martinem Grossem i przekazywanie mu danych dotyczących aliantów. Zastanawiała się tylko, jak ten ziewający krokodyl, nazywany adwokatem, odeprze te zarzuty. Zgodnie z przewidywaniami prawie w ogóle się nie odzywał i Alicja sama musiała się tłumaczyć. Sędzina pokiwała głową i zarządziła przerwę, aby sąd mógł się naradzić i podjąć decyzję.

Przerwa była zaledwie kilkunastominutowa i to dało Alicji nadzieję, że sąd nie miał żadnych wątpliwości i za chwilę usłyszy to, na co czekała przez ostatnie tygodnie. Słowa sędziny docierały do niej jak przez ścianę. Nie mogła i nie chciała uwierzyć w to, co właśnie się stało. Jej anioł okazał się tępym szatanem, dla którego słowo „sprawiedliwość” po prostu nie istniało. Zaczęła pytać, dlaczego jest sądzona w Moskwie, kto na to pozwolił, dlaczego sąd dał wiarę prokuratorowi, jeśli w dokumentach gestapo znaleźli zupełnie coś innego… Na sali zrobiła się wrzawa. Stojący obok niej strażnik ścisnął jej rękę, jakby zaciskał imadło i nakazał milczeć. Ale jak mogła milczeć w obliczu wypowiadanych kłamstw? Zrobiła to jednak, bo łzy zaczęły spływać po jej policzkach, a strach odebrał jej zdolność mowy.

– Dwadzieścia lat łagrów… – dotarło do Alicji, ale ona już nie słuchała.

Dla niej ten wyrok był jak kara śmierci. Po tylu latach jej życie nie będzie już tym samym, co kiedyś. Nie zobaczy, jak dorasta jej synek, a Sergiusz na pewno znajdzie sobie nową kobietę i założy swoją rodzinę. Nie zobaczy babci Alutki ani dziadka, a kto wie, może nawet swojej matki. Ten durny adwokat gratulował jej, że nie dostała czapy za współpracę z okupantem, i oczekiwał, że będzie mu wdzięczna. Ten cholerny idiota nie rozumiał, że ona już nie żyła.

***

Drzwi celi otworzyły się z rozmachem. Nakazano jej wyjść. Nie pamiętała, ile dni minęło i co działo się w czasie, kiedy była zamknięta. Na zewnątrz pachniało wiosną, a błękitne niebo zapowiadało, że właśnie rozpoczyna się nowa pora roku. Dająca nadzieję, radość i kojarząca się z nowym życiem. Mimo że było dość ciepło, wręczono jej worek, w którym znalazła grube stare palto, zniszczoną dzierganą chustę oraz brudną menażkę. Nakazano jej wsiąść do „czornyjego worona", jak mówiono o więziennych ciężarówkach i samochód ruszył. W środku znajdowało około dwadzieścia innych kobiet. Niektóre siedziały na drewnianych ławkach, inne stały, trzymając się wystających z sufitu pasków, z trudem łapiąc równowagę. Od czasu do czasu traciły ją i lądowały na kolanach innych więźniarek. Alicja przycupnęła na brzegu ławki, ściskała mocno płócienny worek i przyglądała się twarzom współtowarzyszek. Zastanawiała się, czy były równie „winne", co ona.

Zanim dojechali do bocznicy dworca kazańskiego, zorientowała się, że owe kobiety to zbieranina bardzo dziwaczna. Począwszy od wytatuowanych babochłopów rzucających przekleństwa, aż po drobną kobiecinę, która z przerażeniem rozglądała się dookoła i szeptała, jakby do siebie, że nic nie zrobiła i nie jest wrogiem ludu.

Na bocznicy nakazano im wsiąść do wagonu, gdzie leżało trochę przegniłej słomy, drewniane półki z wąskimi siennikami i wiadro w kącie wagonu. Kiedy zasunięto i zaryglowano drzwi, wewnątrz zrobiło się niemal całkowicie ciemno, bo niewielkie zakratowane okienko nie było w stanie dostarczyć do środka odpowiedniej ilości światła.

– Jestem niewinna, nie jestem wrogiem ludu… – szeptała chuda kobiecina, która w wagonie wcisnęła się w kąt i skulona patrzyła w podłogę.

– Zamknij mordę, stara suko! – warknęła krótko ostrzyżona młoda dziewczyna z tatuażem na grubym przedramieniu.

Po chwili podeszła do kobieciny i kopnęła ją ciężkim butem.

– Spokój ma być! – rozkazał strażnik leżący na jedynej pryczy w wagonie.

– No właśnie zaprowadzam spokój, towarzyszu – burknęła kobieta z tatuażem.

– Ot, prawidłowo. Bo ja muszę się trochę przespać. – Strażnik ziewnął i nakrył się kocem.

Chuda kobieta, poczęstowana kopniakiem, przestała mówić i jedynie chlipała, nie ruszając się z kąta wagonu.

– Nie płaczże – powiedziała cicho Alicja. – Bo ta krowa znowu się zezłości.

Kobieta popatrzyła na nią załzawionymi oczami.

– Tatiana Mikołajewna Pastuszkin – wyszeptała. – Nauczyciel akademicki. Dostałam artykuł pięćdziesiąt osiem, paragraf dziesiąty.

– Alicja Rosińska. Polka. Też pięćdziesiątka ósemka, tylko paragraf trzeci – westchnęła Alicja.

– Ale ja nic nie zrobiłam… – skarżyła się.

– Ja też nie – wycedziła Alicja. – Ale najwidoczniej oni na każdego są w stanie znaleźć paragraf.

Stukot pociągu sprawił, że Alicja robiła się coraz bardziej otępiała. Położyła się na starym brudnym sienniku, z którego wychodziła słoma, i skulona, jak niegdyś w „psiej budzie”, zasnęła.

17. Koźliki, 1945

– Co tam się dzieje? Co to za wrzaski? – zapytał proboszcz, wychylając się przez otwarte okno.

Szymek również podszedł do okna i powiedział roześmiany:

– Jak to co, księże proboszczu? Koniec wojny.

– No tak, koniec wojny – mruknął. – Ale ja jeszcze z tobą nie skończyłem.

Szymek usiadł z powrotem na krześle i westchnął. Miał nadzieję, że z uwagi na tak ważne wydarzenie upiecze się mu.

– No, to słucham. Mów mi tutaj, jak na spowiedzi świętej. – Ksiądz zasiadł po drugiej stronie stołu kancelarii parafialnej, złożył dłonie jak do modlitwy i wpatrywał się badawczo w Szymka.

– Bo ja to, proszę księdza, tutaj długo nie pobędę. Niech no tylko pana Lewina znajdę. Podawał mi adres, gdzieś pod Warszawą, alem w tej całej awanturze to zagubił. To napisałem do PCK, siostra Bonawentura powiedziała, że tam trzeba pisać, jak kto zaginął. Ale czekałem i czekałem, i nic. To zmiarkowałem, żeby samemu do Warszawy pojechać i znaleźć pana Lewina. Bośmy się tak namówili, że jakby jaka draka była, to mamy się koło naszej kamienicy szukać. Bo ja, księże proboszczu, to w powstaniu meldunki przekazywałem, a wcześniej to na własnych plecach żydowskie dzieciaki z getta wynosiłem… – powiedział prawie zgodnie z prawdą Szymek.

– Ale wiesz, jak by się siostry martwiły, gdyby ci się udało uciec? – zapytał z westchnieniem ksiądz.

– To czemu mnie puścić nie chciały, tylko mówiły, że jak kto po mnie przyjedzie i kwita podpisze, to mnie dopiero puszczą? – Wzruszył ramionami.

– Umówimy się tak: ja nic siostrom nie powiem, że chciałeś zwiać i się w mojej furmance pod derką schowałeś, a ty mi się tu zaprzysięgniesz, że nigdy więcej tego nie zrobisz – mruknął proboszcz.

– Ja się księdzu proboszczowi zaprzysięgać nie będę, bo i tak ucieknę. Przecież pan Lewin to jak ojciec dla mnie. Mnie tu, księże proboszczu, to już żołądek do kręgosłupa przyschnął. Nie ma pory, żeby mi kiszki marsza nie grały. A pan Lewin to zawsze potrafił zorganizować kupę żarcia. To co, mam tu siedzieć i z głodu zdychać? – Znowu wzruszył ramionami.

– Ciężkie czasy mamy, ale co ty myślisz, że w Warszawie to lepiej? Przecież wszystko w gruzach… No to powiem siostrom, żeby cię w kozie zamknęły. Jak posiedzisz sam w pokoju, to od razu ci się podróżowania odechce, a i dyscyplinką ci po siedzeniu przejadą – rozzłościł się ksiądz.

– Ale przecie ja się nie przyznam, że chciałem do Warszawy uciec, tylko żeby większe miasto zobaczyć. To na pewno kara nie będzie taka surowa – droczył się Szymek.

– Ty, Wielopolski, to pyskaty taki, że cię tylko do radia dać. Wynoś mi się, a jak jeszcze raz mi się schowasz w furmance, to na milicję pójdę i cię zabiorą do takiego sierocińca, co to kraty w oknach mają i płot z drutu kolczastego! – warknął ksiądz.

Szymek wstał z krzesła, ukłonił się nisko, po czym wymamrotał: „z Panem Bogiem” i wybiegł przed plebanię. Z krzaków wyłoniły się dwie niemal łyse głowy, należące do Antka i Tadka.

– I jak? – zapytali koledzy.

– E tam, pogadał i tyle. Macie?

Pokiwali głowami i wyciągnęli z krzaków kurtkę Tadka wypełnioną kartoflami. Zawiązali rękawy na supeł i pobiegli w stronę lasu. Na jego skraju znajdowała się niewielka łąka. Ułożyli tam kilka polnych kamieni, pozbierali suche gałązki i z pietyzmem podpalili. Zapałki były towarem trudnym do zdobycia, więc należało je niepostrzeżenie ukraść z kuchni, dlatego oszczędzali każdy patyczek. Gdy już byli pewni, że ognisko nie zgaśnie, wyjęli z tobołka ukradzione z plebanii kartofle i włożyli do ogniska.

– Ja to bym jakieś mięsiwo zeżarł – powiedział Antek, napychając buzię ziemniakiem.

– Stara Waleszczakowa to ze dwadzieścia kur ma. Jakbyśmy zawinęli jedną, to nawet by nie zmiarkowała – wpadł na pomysł Tadek.

– I co potem? – Prychnął Antek. – Jak jej potem łeb urżniesz? I bebechy trzeba wyjąć. Moja babcia mówiła zawsze, że trzeba uważać na taki żółty worek, co kura ma w brzuchu, bo jak się go przetnie, to żółć się wyleje i cała kura na zmarnowanie pójdzie.

– A co myślałeś, Tadek, że jak dorwiemy kuraka, to od razu upieczony będzie? A jak zasadzimy się na świnię, to myślisz, że szynki w chlewie znajdziemy? – Szymek zarechotał i po chwili spoważniał. – Chłopaki, ja to się muszę na Warszawę dostać.

– A jak nie znajdziesz tego swojego Lenina? – zatroskał się Tadek.

– Powstanie sam przeżyłem, to i po wojnie dam sobie radę. – Machnął ręką.

– Ciekawe, czy ten „Szmata”, coś go ranił, jeszcze żyje… Bo moich rodziców to zastrzelił taki esesmam, Bruder, ale i tak wszyscy na niego wołali „Franca”, bo się cały czas między nogami drapał – powiedział Antek. – I tak sobie myślę, że jak już dorosły będę i do roboty jakiej pójdę, to odnajdę „Francę” i dziadygę gołymi rękami zaduszę.

– Ja też kiedyś „Szmatę” znajdę i dziabnę skubańca, ale najsampierw muszę pana Lewina, Zosię i Ziutka znaleźć – odgrażał się Szymek.

– No, a jak sobie poradzisz w Warszawie, jak tam same gruzy i trupy? – Tadek wciąż był ciekawy, co może zrobić taki młody chłopak, gdy jest całkowicie pozbawiony opieki.

– No za Niemca to lewiznę robiłem i handlowałem trefną kiełbasą, a teraz tobym musiał doliniarzem zostać. – Wzruszył ramionami i posmutniał.

Nie tak miało wyglądać jego życie. Chciał się wykształcić, dobrze ubierać i mieszkać jak cylindry. Tymczasem jego oszczędności, które dał na przechowanie panu Lewinowi, były dość mizerne. Jego samego nie wiadomo gdzie trzeba było szukać, i tyle pozostało z marzeń. A zanim odbudują Warszawę i urządzą się z panem Lewinem na nowo, to pewnie on już będzie za stary, żeby wyżej iść. Jak to kiedyś powiedziała mu Noemi: żeby uważał, coby z tej drabiny, po której się pnie do dobrobytu, nie zleciał. Nie miał poczucia, że z niej spadł, ale przez tych cholernych szwabów był o kilka szczebelków niżej. Nie wyobrażał sobie również, że miałby zamieszkać w innym mieście niż Warszawa. To było jego miasto, a w nim jego dom, nawet jeśli całkiem zrujnowany.

– Ty, Szymek, mam pomysł! – wykrzyknął Antek, tak głośno, że aż spłoszył siedzącego na gałęzi wróbla.

Gorący kartofel wypadł Tadkowi z dłoni.

– Czego tak gębę rozdziawiasz?! – warknął Tadek, wyjmując nadgryziony ziemniak z trawy.

– Co jakiś czas przyjeżdża do nas furgonetka z Łowicza. Ponoć z darami od Amerykanów. Olej w puszkach przywożą, konserwy i jakieś szmaty. Przecie ty nawet portki masz z Ameryki, bracie – powiedział Antek.

– To jakieś małe te Amerykany, bo mi kostki w tych galotach wystają. – Tadek popatrzył na swoje spodnie i roześmiał się.

– Cicho, Tadzik, on dobrze kombinuje – zainteresował się Szymek.

W istocie, kilka razy przyjeżdżała do nich ciężarówka z darami. Robiła objazd po sierocińcach i przytułkach. Gdyby tak schował się na pace, mógłby dotrzeć do Łowicza, a to już było większe miasto niż ta dziura, w której teraz mieszkali. A może jak tak jeździli po rozmaitych miejscach, kto wie, czy do Warszawy też nie wyruszali.

– Smutno będzie bez ciebie, Szymek. Ty taki zgrywny jesteś i jakoś tak nam raźniej z tobą, jak na szaber idziemy – westchnął Tadek.

– Chłopaki, jak się tylko urządzę, to was ściągnę do Warszawy i razem będziemy interesa robić – powiedział pocieszająco, chociaż bez zbytniego przekonania. W końcu nawet nie wiedział, co z nim będzie.

– I jak jakiego szwabskiego niedobitka spotkamy, to go zatłuczemy i do gnojowicy wrzucimy – dodał Antek z naciskiem.

– W Warszawie gnojowicy to ty nie znajdziesz, co ty ze wsi? Jakbyś nigdy w stolicy nie mieszkał – mruknął Szymek.

Zadeptał tlące się ognisko i ruszył w stronę sierocińca. Za nim podreptali jego koledzy, dla których Szymek stanowił niemalże autorytet. Już sam fakt, że walczył tak dziarsko w powstaniu, stawiał go na piedestale. Chociaż opowieści Szymka były mocno podkoloryzowane… Jednak to, że miał kumpli, którzy go lubili i jeszcze darzyli szacunkiem, sprawiało, że chłopak czuł cię coraz bardziej pewny siebie i nawet chodzenie do szkoły przestało go przerażać.

***

Od czasu tego ogniska nabrał nowych nadziei i z utęsknieniem czekał na przyjazd ciężarówki z amerykańskimi darami. Wypatrywanie owego samochodu nie wydawało się niczym niezwykłym wśród dzieciaków, bo wiadomo było, że w ten dzień po obiedzie pojawią się landrynki albo owsiane ciastka. Gdyby nie te pyszności serwowane od wielkiego dzwonu, Szymek w ogóle zapomniałby, jak smakują słodycze. Odkąd opuścił Warszawę, prawie przez cały czas czuł głód. Podczas powstania też jadał niewiele, ale wtedy pomagała mu adrenalina i strach, najlepsze sposoby na zabicie uporczywego głodu. Jednak już w Lamsdorfie, a potem w sierocińcu, ssanie w żołądku stało się wręcz dokuczliwe. Być może wpłynął na to również fakt, że Szymek zaczynał dojrzewać i rósł jak na drożdżach. Potrzebował coraz więcej jedzenia, gdy tymczasem spiżarnie sierocińca świeciły pustka-

mi, a siostry dwoiły się i troiły, żeby zapewnić swoim podopiecznym minimum pożywienia. Nagabywały miejscową ludność, nękały proboszcza i pisały do różnych instytucji z prośbą o przysłanie jedzenia. Najpierw były to legalne urzędy ustanowione przez niemieckiego okupanta, ale gdy ten wziął nogi za pas z Polski, nie bardzo wiedziały, do kogo się zwrócić. Po ogłoszeniu powstania rządu w Lublinie i manifestu PKWN zaczęły tworzyć się jakieś jednostki terytorialne, a nowa władza wydawała dekrety i zarządzenia. Nie zmieniało to jednak faktu, że w kraju panował totalny rozgardiasz i ludzie byli zdani jedynie na siebie.

Szymek nie należał jednak do dzieci, które spokojnie wiły się z głodu i odliczały minuty do następnego posiłku. Wraz ze swoimi kolegami wpadł na pomysł, żeby co nieco uszczknąć z zasobów mieszkańców i miejscowej plebanii. I to najlepiej tak, aby właściciele dóbr się nie zorientowali. Zabierali jaja z kurników, by potem wypijać je na surowo, wprost ze skorupki. Kradzieże kartofli z ziemianek stanowiły już niemal rytuał i piekli je nawet wówczas, gdy ich łąka pokryta była śniegiem i szadzią. Raz Szymkowi udało się przemycić z wędzarni kawałek kiełbasy i ostatkiem sił powstrzymał się, żeby nie spałaszować go w całości. Jednak dał radę się opanować i gdy spotkał się ze stojącymi na świecy kolegami, każdy otrzymał swoją część. Sam proces sprawiedliwego podziału tego nędznego kawałka wędliny był dłuższy niż konsumpcja, bowiem chłopcy połknęli je w mgnieniu oka.

Był mglisty, ale dość ciepły majowy poranek, kiedy do uszu Szymka dobiegł dźwięk silnika. Zerwał się na równe nogi i chwycił tobołek spod metalowego łóżka, który pieczołowicie przygotowywał sobie od kilku dni. Miał tam ćwiartkę chleba, ukradzioną z kuchni sierocińca, pasek słoniny, podwędzony gosposi proboszcza, i kilka przywiędłych jabłek, przechowywanych w jednej z ziemianek. Tobołek włożył pod koszulę i wybiegł przed budynek. Jego koledzy stali już obok ciężarówki i ciekawie zaglądali do wnętrza, przepędzani przez zakonnice, które wyciągały należną im część darów.

– A pójdziecie wy, łapserdaki, bo się do szkoły spóźnicie! – rugały ich siostry, ale oni tylko udawali, że uciekają, chcąc wprowadzić jak najwięcej zamieszania.

– A może pomóc siostrze ten worek z kaszą zanieść do spiżarni? – zaoferował się Tadek.

– Już my sobie damy radę. Jak ostatnio nam pomagaliście, to cały bochenek chleba zniknął!

– Przecie siostra ze mną pójdzie, ja tylko dźwigać będę – odpowiedział szarmancko.

– No to chodź – burknęła i oboje ruszyli w stronę budynku.

Druga z zakonnic właśnie wychodziła z sieni i wtedy podbiegł do niej Antek.

– A siostra Bonawentura to coś od siostry potrzebowała – zakomunikował.

Zakonnica zmarszczyła czoło, ale niemal natychmiast odwróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem do domu. Chłopcy wiedzieli, że w sierocińcu rządzi siostra Bonawentura i nawet podśmiewali się niekiedy, że jest wyższa stopniem od pozostałych. Moment, w którym zrobiło się pusto, a kierowca korzystał z krótkiego odpoczynku, nie zamierzając nawet pomóc przy rozładunku, wykorzystał Szymek i wskoczył na pakę. Schował się za metalową beczką z olejem i workami z kaszą. Siedział jak mysz pod miotłą i modlił się, żeby nikt nie zauważył jego zniknięcia. Większość dzieciaków i tak szła do szkoły, więc istniała na to duża szansa.

– A gdzie Szymek? – zapytała siostra, gdy wrócili z Tadkiem ze spiżarni.

– Do szkoły poszedł, proszę siostry. Chciał jeszcze powtórzyć wiersz z polskiego – odpowiedział hardo Tadek.

– No widzisz, jaki grzeczny, a tyś się wiersza nauczył? – zapytała podejrzliwie siostra.

– A jakże, proszę siostry! Na blachę. Mnie to wiersze same do głowy wchodzą, nie to co Szymkowi – pochwalił się.

Siostra machnęła ręką i krzyknęła do kierowcy, informując go, że odebrała swój przydział. Ten wstał z trawy, otrzepał ubranie i zamknął wieko skrzyni samochodu. Po chwili Szymek usłyszał dźwięk odpalanego silnika. Poczuł ulgę. Wiedział, że teraz już na pewno uda mu się uciec z sierocińca. I chociaż żal mu było kolegów, bo nigdy wcześniej ich nie miał, wiedział, że to miejsce nie dla niego. Być może nie wyglądało tak źle, jak to sobie w dzieciństwie wyobrażał, ale on nie uznawał żadnych rygorów. Lubił chadzać własnymi ścieżkami, a miał wrażenie, że w sierocińcu, podobnie jak w oflagu, w Lamsdorfie, jest ograniczany. Wolał ryzykować niż oddać to, co wydało mu się najważniejsze – wolność.

18. Lozanna, 1945

– Koniec wojny – powiedziała z westchnieniem Weronika. – Podali przez radio. Zresztą nawet tutaj słychać krzyki i wiwaty.

– Niektórzy mają powód do radości… – mruknął Julian.

Weronika włożyła do łóżeczka małą Amelkę i pokuśtykała do stojącego przy oknie Juliana. Przytuliła się do niego i szepnęła:

– Kochanie, najważniejsze, że żyjemy i jesteśmy razem. Nareszcie będzie normalnie. Mamy też pieniądze na start, które zostawił nam twój ojciec. Moi rodzice przeżyli, twoja matka ma dobrą opiekę w Polsce, czegóż chcieć więcej? Pomyśl, jak wiele stracili inni. Ile ludzi zginęło… Julianie, powinniśmy świętować. Nieważne, że ciebie wciąż kłuje w boku, a ja być może będę kulawa do końca życia. Ale gdy otwieram oczy i widzę nas razem, to czuję się szczęśliwa.

Chełmicki pogłaskał ją po głowie, a potem odwrócił się, wyszedł z pokoju i po chwili opuścił ich małe mieszkanie, rzucając na odchodne:

– Przejdę się… Duszę się tutaj.

Weronika spojrzała jeszcze raz na wychodzącego Juliana, a potem otworzyła drzwi na balkon i popatrzyła najpierw na błękitne niebo, gdzie snuły się leniwie małe, białe obłoczki, by potem przenieść wzrok na urokliwą uliczkę. O tej porze, gdy dzień dopiero się budził, nie było tam zbyt wiele osób, ale wiedziała, że wkrótce ulica zapełni się ludźmi. Uśmiechniętymi, spokojnymi, którzy po prostu będą się cieszyć z dnia. Wypiją aromatyczną kawę w jednej z zacisznych kafejek, a potem zapewne udadzą się nad Jezioro Genewskie, by delektować się połyskującą w słońcu wodą na tle majaczących się gór. Ona sama codziennie wkładała Amelię do wózka i szła na długi spacer, pomimo że noga wciąż dawała jej się we znaki. Lekarz z Lozanny orzekł jednak, iż może chodzić, a nawet jest to wskazane, by jak najszybciej odzyskała pełną sprawność.

Starała się nawet nie wracać myślami do płonącej Warszawy, krwawych ran powstańców ani do radzieckiego żołdaka, którego pozbawiła oka nożyczkami do cięcia bandaży. Nie chciała pamiętać o tej ponurej przeszłości, to było poza nią. I cóż z tego, że pokój w Polsce zaprowadzili Rosjanie, co z tego, że wolność w kraju była jedynie pozorna? Ona chciała od tego uciec. Byli w Szwajcarii, kraju, który przynajmniej oficjalnie ogłosił po wybuchu wojny swoją neutralność, i nie zamierzała go opuszczać. Pragnęła

odpocząć od tego całego zgiełku i politycznych kalkulacji, które Julian Chełmicki robił niemal bez przerwy. Ten człowiek nie wiedział, kiedy zejść ze sceny. Nie rozumiał, że ich rola się zakończyła i nie mogą zrobić nic więcej, oprócz cementowania swojej rodziny, którą nie zdążyli się jeszcze nacieszyć. A ona miała plany na przyszłość. Postanowiła, że gdy tylko Amelia nieco podrośnie, rozpocznie starania o powrót do zawodu. Miała świadomość, że w obcym kraju nie będzie to takie proste, ale nie bała się podjąć wyzwania. Juliana zaś widziała w jakimś prywatnym przedsięwzięciu. Posiadali niewielki kapitalik, może sklep albo mała kawiarnia, kto wie? A może Julian otworzyłby szkółkę jeździecką? Przecież tak bardzo kochał konie… Tak, była owładnięta marzeniami o spokoju i dobrobycie, a także o tym, żeby ich córka wychowywała się w kraju, gdzie bieda i konflikty polityczne jej nie dotkną. Marzyła o dobrej szkole dla Pawełka, aby zapamiętał swoje dzieciństwo nie tylko w kontekście łapanek, strzałów i oddalenia się od miejsc i osób, które kochał. Był taki dumny, że chodził do prawdziwej szkoły, poznawał język i nowych kolegów. Ostatnio poprosił ją o pieska. Zastanawiała się nad tym, czy jest wystarczająco odpowiedzialny, żeby zaopiekować się zwierzątkiem.

Uśmiechnęła się. Takie dylematy pragnęła mieć zawsze. Jedyne, co ją martwiło, to jej mąż. Jakkolwiek po przybyciu do Lozanny zachowywał się podobnie jak ona i z radością urządzał ich nowe mieszkanie, tak od pewnego czasu kompletnie zamknął się w sobie. A im bliżej było końca wojny, tym bardziej robił się cichy i daleki. Zastanawiała się, czy nie wynika to z jakiegoś wewnętrznego przymusu, by wciąż walczyć, ukrywać się, planować akcje sabotażu, a fakt, że to już koniec, po prostu go dobijał, tak bardzo, iż nie mógł sobie znaleźć miejsca. Słyszała kiedyś o czymś takim. Podobno po pierwszej wojnie także było wielu żołnierzy, którzy po jej zakończeniu mieli problem, by powrócić do normalnego życia. A może dręczyło go to, że teraz Stalin będzie wprowadzał swoje porządki i nie będą różniły się od tych, które narzucał Hitler? Ona także wolałaby, żeby Polska wygrała bez niczyjej pomocy, ale należało spojrzeć prawdzie w oczy. Od początku byli bez szans. A teraz wojna się skończyła, kraj miał nowy rząd i wszystko, co najgorsze, skończyło się. Martwiła się o Juliana, bo wciąż nieprzytomnie go kochała i pragnęła jego szczęścia. Łudziła się, że z czasem jej mąż pogodzi się z faktami i zacznie żyć normalnie.

***

Weronika nie miała pojęcia, że Julian pogodził się z pewnymi faktami. Miał świadomość, że Polska znowu nie będzie wolna, ale wierzył, że skończyły się łapanki, egzekucje i masowe mordy w obozach. Tak było do czasu, bowiem Weronika nie miała pojęcia o prawdziwym powodzie jego frustracji.

Rześkie powietrze poranka sprawiło, że Julian udał się w kierunku jeziora, by tam przysiąść sobie na jednej z ławeczek i zastanowić się, co dalej. Nie miał żadnych złych przeczuć, gdy kilka tygodni wcześniej szedł na spotkanie ze swoim adwokatem. Nie posiadał ich także, gdy ów elegancki staruszek oznajmił mu, że ma dla niego list od niejakiego Sergiusza Dargiewicza z Polski. Nawet ucieszył się, bo na swój sposób lubił i szanował „Karego". Musiał także oddać mu sprawiedliwość – jeśli chodzi o jego spekulacje dotyczące działań Stalina, trafił w dziesiątkę.

Otworzył wówczas kopertę, bo spodziewał się wiadomości o tym, że odnaleźli się z Alicją i są szczęśliwi. Nawet nie czuł zazdrości, nic już nie mógł zrobić. Miał rodzinę i honor nakazywał mu, by opiekować się nią bez względu na to, co kryło się w jego sercu. Poza tym był przywiązany do Pawełka, Amelkę kochał niemożliwie, a Weronika była niemal idealną partnerką. Ciepłą, mądrą i wyrozumiałą. Miał więc dwa wyjścia – cierpieć z zazdrości i tęsknoty za Alicją albo zaakceptować fakt, że nigdy już z nią nie będzie. Wybrał to drugie rozwiązanie, bo wierzył, iż wraz z upływem czasu jej obraz będzie bledszy, a w końcu pozostanie jedynie mglistym wspomnieniem, on zaś poczuje się pewnego dnia w pełni szczęśliwy.

Alicja była mu bliska. Nie tylko jako kobieta, ale także towarzysz broni. Przyjaciel, który gotów jest narażać się, ryzykować, a nawet stracić życie, by chronić najbliższych. I to było równie cenne, jak miłość, która wciąż tliła się w jego sercu. Tymczasem Sergiusz Dargiewicz napisał mu, że Alicja została zatrzymana przez NKWD i skazana na wieloletni pobyt w łagrach Związku Radzieckiego. Została osądzona w Moskwie i otrzymała ten straszny wyrok za rzekome wspieranie Trzeciej Rzeszy. Julian czytał to kilka razy, potem kilkanaście i wciąż się zastanawiał, czy owa informacja nie jest jakimś żałosnym żartem. Alicja, która niemal w każdej minucie wojennej zawieruchy narażała życie, by walczyć z okupantem, teraz trafiła do łagrów za rzekome wspieranie go. Gorszej bzdury nie można chyba było wy-

myślić. Wiedział jednak, że jeśli „Kary” zdobył się na to, żeby go o tym poinformować, nie mógł to być żart. Oznaczało to jeszcze jedno – Sergiusz Dargiewicz, człowiek niezłomny i silny, dla którego nie istniały żadne przeszkody, by osiągnąć cel, czuł się bezradny. A to było sygnałem, że sytuacja jest po prostu dramatyczna.

Julian czuł lęk. Tak potężny, jak tylko może odczuwać ktoś, kto martwi się o bliską osobę. Zapewne aparat Stalina postanowił dokończył swoje dzieło z akcji „Burza” i pozbyć się niewygodnych wojowników, żeby mógł bez przeszkód wprowadzać swój reżim. Jeśli więc Chełmicki pojawi się w Polsce i ujawni, spotka go to samo, co jego kompanów, w tym Alicję.

Usiadł na murku jednego z budynków, skąd rozpościerał się kojący widok na jezioro, i bił się z myślami. Zastanawiał się, kto mógłby mu pomóc. Brytyjczycy? Dla nich polski naród tak jakby już przestał istnieć, a jego żołnierze nigdy nie walczyli po stronie aliantów. A oni ginęli w bitwie o Anglię, latali nad Dunkierką i innymi europejskimi miastami. Anglicy zapomnieli o wywiadowcach, o dzielnej Alicji, która wykradła chociażby plany Wilczego Szańca i poznała datę napaści na Związek Radziecki. Nie chcieli pamiętać o tym, co on sam podał im na tacy, ukrywając się na wyspie Uznam, niczym szczur. Waleczni żołnierze przestali istnieć, a tych, którzy mogliby o sobie przypomnieć, Stalin wtrącał do więzień albo wysyłał w głąb Związku Radzieckiego, by świat o nich zapomniał. Zostali oszukani. I przez aliantów, i przez Rosjan. A później pogrzebani na śmietniku historii.

Potem przyszedł mu do głowy ktoś jeszcze… Igor Łyszkin, zasłużony dla Związku Radzieckiego agent. Gdyby wstawił się za Alicją, na pewno pomógłby jej odzyskać wolność. Igor zrozumiałby, że walczyli o swoją ojczyznę, tak jak on walczył o swoją. Przecież był w połowie Polakiem i miał swój rozum. Chełmicki nie wierzył, że tak po prostu Igor uzna, że to, co się dzieje, jest w porządku i jak najbardziej na miejscu. Przecież to on ostrzegł go przed tym, co knują Rosjanie i że wcale nie mają zamiaru im pomóc. Okazało się to ponurą prawdą. Stali po drugiej stronie Wisły i patrzyli, jak się wykrwawiają, a teraz najwidoczniej dobijali tych, którzy ocaleli.

Nie wiedział jednak, jak go odnaleźć. Musiałby wrócić do Polski, tam na pewno dowiedziałby się czegoś. W końcu wojna się skończyła i mógłby oficjalnie zapytać o przyjaciela, Rosjanina. Ale co będzie, jeśli jest gdzieś na czarnej liście? Czy taka w ogóle powstała? A może zatrzymanie Alicji było dziełem przypadku, bo jak zwykle działała instynktownie, bez głębszej

refleksji, gdy serce nakazywało jej bronić tych, których kochała? Pojechała szukać ukochanego, Sergiusza. Tak jak niegdyś jego. I kolejny raz miłość mogła okazać się zgubnym i niewdzięcznym uczuciem. A co będzie, jeśli pojedzie jej szukać i skończy jak ona? Tyle pytań i żadnych odpowiedzi. Wiedział jednak, że jeśli nie zrobi tego teraz, za kilka miesięcy będzie jeszcze gorzej. Wojna dopiero się zakończyła, w Polsce zapewne panował bałagan, a w całej Europie odbywało się to, co można było nazwać wędrówką ludów. Żołnierze, podobnie jak i on, opuszczali stalagi i oflagi, cywile powracali z obozów, a Rosjanie udawali, że wywalczyli dla Polski niepodległość.

Kolejne pytania i wątpliwości kołatały mu w głowie. Przecież tutaj była jego rodzina, a Weronika jeszcze nie do końca odzyskała sprawność w nodze. Nie mógł ryzykować już tak bardzo, jak niegdyś, bo musiał myśleć o nich. Kiedy trwała wojna i należało walczyć, ryzykowanie dla dobra ojczyzny było czymś oczywistym, i dla niego, i dla Weroniki. Ale czy zrozumie, że położy na szali swoją rodzinę i niesienie pomocy innej kobiecie? Minęły dwa długie tygodnie, odkąd dostał wiadomość od Sergiusza. I od tego czasu przeżywał istne duchowe katusze. Był kompletnie rozbity i chyba pierwszy raz od dawna nie wiedział, jak postąpić i co zrobić. Nie wyjawił swojej wiedzy Weronice, bo nie chciał, żeby miała kolejny raz poczucie, że Alicja stoi między nimi. Była taka szczęśliwa w Lozannie, tak bardzo cieszył ją każdy dzień i wszystkie drobiazgi, których na co dzień się nie docenia. Nareszcie nie musiała się martwić uczuciami, jakimi obdarzał Alicję, bo ona była daleko. Jeśli jednak on podejmie decyzję, by wrócić, będzie musiał powiedzieć jej o wszystkim. Wiedział, że zburzy jej kruchy spokój, ale nie mógł tak po prostu zapomnieć o wszystkim, co dla niego zrobiła Alicja. Nie tylko z miłości, ale z braterstwa.

Po dwóch godzinach wrócił do swojego mieszkanka i zobaczył Weronikę przy niewielkiej kuchence. W domu roznosił się zapach jedzenia. Normalnego. Smacznego, pożywnego i w ilości, jaka była w stanie zaspokoić głód.

– Musimy porozmawiać, Weroniko – powiedział cicho i usiadł przy kuchennym stole, przykrytym kraciastym obrusem, na którym stał mały wazonik z bukiecikiem świeżych konwalii.

Odeszła od kuchenki i usiadła naprzeciwko, przyglądając się badawczo Julianowi.

– Dostałem wiadomość od „Karego”… – zaczął.

Powiedział wszystko, czego się dowiedział, jak również o swoich dylematach i wątpliwościach. Nie krył niczego, bo Weronika zasługiwała na prawdę. Ominął jedynie fakt, o którym oboje wiedzieli, ale o czym nigdy nie rozmawiali – że Julian Chełmicki wciąż kochał Alicję Rosińską.

Weronika przez chwilę wpatrywała się bezwiednie w wazonik stojący na stole. Potem podniosła wzrok i powiedziała z westchnieniem:

– Znowu zaczęłam się bać…

19. Okolice Berlina, 1945

– Jak tutaj pięknie. I blisko do Berlina… – westchnęła Leni, patrząc na fasadę pałacyku należącego do rodziców Martina von Lossowa.

– Ciesz się, że Rosjanie tu nie wpadli, bo zrujnowaliby nasz dom, podobnie jak cały Berlin – mruknął Martin i przekręcił klucz w dwuskrzydłowych drzwiach willi.

Odkąd zmarli jego rodzice, dworek wynajmował jakiś niemiecki dygnitarz, oddelegowany z Monachium do Berlina. Jednak gdy grunt zaczął mu się palić pod nogami, zwolnił służbę i czmychnął do Argentyny, wysyłając Martinowi lakoniczny list wraz z bogato rzeźbionym kluczem. Stary Lossow uznał, że ów człowiek zachował się wyjątkowo kulturalnie, bowiem mógł w popłochu porzucić dom i bez słowa wyjechać do Ameryki. Co prawda napierające wojsko mogło zignorować ten fakt i spalić mu ojcowiznę, wynosząc przedtem wszystko, co tylko udałoby się dźwignąć. Na szczęście willa ocalała, oni mieli gdzie się podziać, a cała posesja wyglądała tak, jakby przez ostatnie lata kompletnie nic się nie wydarzyło. Panował spokój, w ogrodzie świergotały ptaki i jedynie rabaty kwiatowe nie były należycie wypielęgnowane. Von Lossowowie zakasali rękawy i próbowali zrobić w domu porządek. Najciężej pracowała Lilly, przyzwyczajona do harówki w gospodarstwie i sprzątania całego obejścia. Rodzina Lossowów patrzyła wręcz ze zdumieniem, gdy ta drobna dziewczyna o twarzy dziecka szorowała podłogę, targała wiadra z mydlinami i trzepała na balustradzie tarasu dywany.

Wieczorem wszyscy zasiedli do stołu. Gretchen von Lossow, matka Waltera, położyła nowy obrus, elegancką zastawę, po czym postawiła na stole porcelanową miskę wypełnioną kaszą. Wszyscy, oprócz Lilly, wpatrywali się w ową miskę i zerkali na Gretchen. Wiedzieli, że nic więcej tego dnia nie pojawi się na stole i nie było pewne, czy następnego będzie lepiej, bo niewielkie zapasy jedzenia przywiezione z Lennicy kurczyły się w zastraszającym tempie. Coraz częściej domownicy czuli ucisk w żołądku i coraz mniej potrafili się cieszyć, że ich dom nie padł ofiarą nalotów czy radzieckiej grabieży.

Ciszę przerwał Martin von Lossow.

– Mówili w radiu, że Hitler nie żyje… – powiedział minorowym tonem.

– I niech się smaży w piekle, bydlak – wycedziła przez zaciśnięte zęby Gretchen.

– Co ty mówisz, mamo? – jęknęła płaczliwie Leni, wstała od stołu i wybiegła z jadalni.

– A to źle czy dobrze, że nie żyje? – zapytała Lilly, odwracając się w stronę Waltera. Chciała poznać jego zdanie w tym temacie, ponieważ sama nie potrafiła określić swojego stanowiska.

Walter nie miał siły kolejny raz tłumaczyć pewnych rzeczy Lilly Berg, poza tym sam się zastanawiał nad tym, co się stało. Śmierć Hitlera oznaczała rychły koniec wojny i poddanie się Berlina, co i tak było nieuniknione. Lossow uważał, że lepiej byłoby, gdyby wygrał tę wojnę, w tej sytuacji jednak było mu wszystko jedno. Nałożył sobie łyżkę kaszy i zaczął spożywać eleganckimi sztućcami, które w żaden sposób nie mogły zrekompensować braku jedzenia.

Pod wieczór Martin z Walterem wyszli przed dom. Wsłuchiwali się w artyleryjskie grzmoty docierające do ich uszu z Berlina, jakby czekali, kiedy umilkną, a stolica się podda.

– Co teraz będzie? – westchnął ojciec Waltera. – Hitler był chociaż przewidywalny, Rosjanie zaś nie. Z drugiej strony nacierają Amerykanie i żałuję, że to nie oni będę grali w tej ostatniej bitwie pierwsze skrzypce.

– Tato, Rosjanie są przewidywalni, tylko cholernie niebezpieczni. Są żądni zemsty za to, co im zgotowaliśmy. Nie będą mieli żadnych oporów, żeby wziąć krwawy odwet za obozy, dulagi i miliony radzieckich ofiar leżących od Stalingradu po Kursk – westchnął Martin.

– Synu, jedzenie nam się kończy, a zanim coś wyrośnie na naszym poletku, minie kilka miesięcy. Nie mam pojęcia, jak to wszystko teraz będzie urządzone… i wreszcie nie mam pojęcia, co z tobą. Nie możesz do końca życia być Jankiem Solskim. Dla niemieckich dowódców jesteś dezerterem, dla Rosjan członkiem SS, a więc ich zagorzałym wrogiem. Co zamierzasz zrobić, gdy te strzały umilkną? – łagodnie dociekał Martin.

– Pojadę do Berlina i rozejrzę się… – bąknął Walter.

– Po zgliszczach czy po radzieckich czołgach? – nieco złośliwie zapytał Martin.

– Tato, ja po prostu nie mam pojęcia, co mam robić – bezradnie przyznał Walter.

– Synu, jutro wyruszysz do Amerykanów, poddasz się i powiesz, że jesteś niemieckim dezerterem. Oni nie zrobią ci wielkiej krzywdy, nie byłeś zbrodniarzem. Jeśli trafisz na Rosjan, będzie po tobie. Jeśli zaś zechcesz ubrać się w skórę Solskiego na zawsze, wylądujesz z powrotem w Polsce, która za chwilę stanie się republiką sowiecką. Musimy też pomyśleć, jak wyżywić rodzinę i czym się zajmiemy, jeśli Rosjanie postanowią zrobić to samo, co w swoim kraju, czyli wywłaszczą każdego, kto jeszcze cokolwiek posiada. – Głos Martina zrobił się stanowczy.

– Dobrze, tato. Tak zrobię. Pójdę na amerykańską stronę. A jeśli wyjdę z tego cało, ożenię się z Lilly i spróbuję powrócić do dziennikarstwa.

– Synu, pracowałeś w biurze propagandy, to nie jest prawdziwe dziennikarstwo. – Martin uśmiechnął się półgębkiem.

– Tato, ale jedyne, co potrafię, to pisać i robić zdjęcia. I niekoniecznie pisać powieści, chociaż kto wie, nigdy nie próbowałem…

***

Następnego dnia o świcie Walter wyruszył do miejsca, gdzie stacjonowali Amerykanie. Nie miał czym dojechać, dlatego poszedł piechotą, starając się omijać radzieckie posterunki. Znał te okolice bardzo dobrze. Przebywał tu kiedyś często, co było ściśle połączone z jego wypadami do przedwojennego Berlina, który tuż przed wojną emanował potęgą, a jednocześnie oferował odpowiednią dawkę rozrywek. Przez całą drogę układał sobie w głowie przemówienie, jakie wygłosi, bo zdawało mu się, że kogokolwiek to zainteresuje. Gdy ujrzał pierwszy amerykański mundur i zapytał eleganckim angielskim o miejsce, gdzie mógłby się zgłosić jako niemiecki oficer, młody żołnierz jedynie wskazał mu drogę, nie skupiając się zbytnio na jego osobie.

Barak, do którego go skierowano, nie był otoczony żadnym płotem ani obstawiony wozami pancernymi. Jedyne, co go wyróżniało od innych budowli, to tłumy mężczyzn kłębiących się przy wejściu. Brudni, wycieńczeni, w podartych mundurach, palili papierosy podarowane im przez amerykańskich żołnierzy i czekali na swoją kolej, by się poddać. Kawałek dalej stały metalowe skrzynie, do których wrzucano broń, ale Walter już od dawna takiej nie posiadał.

– Ejże, a gdzie broń? Jak nie zdasz broni, to nie masz po co iść do kolejki – mruknęła pucołowata dziewczyna w zsuwającym się na oczy hełmie.

– Nie mam broni, zgubiłem – mruknął.

– Ja muszę rozbroić każdego niemieckiego żołnierza. A ty kim jesteś, nie masz munduru? – zafrasowała się.

– Jestem żołnierzem, choć nie mam broni i nie mam munduru. – Walter zaczął się niecierpliwić.

– Dobrze, idź – mruknęła.

Walter ustawił się w kolejce i przysłuchiwał się rozmowom żołnierzy.

– Stary, jak zobaczyłem, co Ruskie wyprawiają, to tak gnałem na tę stronę, że aż buta zgubiłem i nawet się po niego nie zawróciłem. Tłukli nas jak wszy… A rozkazy wciąż przychodziły takie same: walczyć do ostatniego żołnierza. Wypuścili nawet chłopaczków z Hitlerjugend, nie mieli więcej niż czternaście lat. Mogą walczyć do ostatniego żołnierza, ale niech, do licha, to nie będę ja – perorował mężczyzna w porwanym mundurze i w istocie jedną ze stóp miał bosą, brudną i oklejoną błotem.

Walter miał ochotę zapytać, jak wygląda teraz miasto, ale nie chciał wdawać się w zbędne rozmowy.

– Nazwisko i dokumenty – powiedział znudzonym głosem żołnierz w baraku i pociągnął z metalowego kubka łyk kawy, sądząc po zapachu, zbożowej.

– Lossow. Dokumentów nie posiadam – powiedział spokojnie Walter i trochę się wystraszył, bo nie miał pojęcia, jak zareaguje amerykański żołnierz.

Jednak on wciąż zdawał się znudzony, jakby fakt nieposiadania dokumentów nie był niczym niezwykłym.

– To po kolei… – burknął.

Walter podał swoje dane, stopień wojskowy i regiment, a potem opowiedział swoją piękną angielszczyzną o przygodach w Związku Radzieckim, a wreszcie o swojej ucieczce stamtąd.

– Hm… – Żołnierz podrapał się po głowie. – Powinieneś iść do przejściowego dla oficerów, jak wszyscy, a może do dipisów, ale poczekaj chwilę, decyzję podejmie podporucznik Collins, bo ja nie jestem pewny…

Podporucznik Collins pochylił się nad kartoteką wypisaną przez swojego podwładnego, po czym pyknął trzymaną w dłoni fajkę.

– Tutaj nie ma nic szczególnego, powinieneś pójść do obozu, jak inni, ale mamy problem i myślę, że mógłbyś się nam przydać. Świetnie znasz angielski, tak jak i my, ale masz nad nami pewną przewagę – my nie rozumiemy niemieckiego. Byłeś korespondentem wojennym, będziesz nam sporządzał notatki i prowadził dokumentację fotograficzną – zaproponował.

– Pracowałem w biurze propagandy, to nieco inne zajęcie niż korespondent wojenny. Oni powinni pisać prawdę, a ja pisałem to, co trzeba – nieśmiało wyjaśnił Lossow.

– No i bardzo dobrze. O to nam chodzi, żebyś pisał, co trzeba. – Collins uśmiechnął się półgębkiem.

Walter pokiwał głową i zapytał jedynie:

– Muszę powiadomić rodzinę, mogę napisać do nich list?

– Poruczniku Lossow, kiedy pan był ostatnio w Berlinie? – Collins zmarszczył brwi.

– Nie pamiętam, w czterdziestym drugim albo trzecim – bąknął Lossow.

– Poruczniku, proszę napisać list, ale nie obiecuję, kiedy on dotrze i czy w ogóle dotrze. Jak pojedziesz z nami do Berlina, zrozumiesz, o czym mówię – westchnął Collins.

– Moja rodzina mieszka ponad dwadzieścia kilometrów za Berlinem… – jęknął.

– A to może dotrze. Szeregowy Ruther pokieruje cię do właściwego baraku i da ci wszystko, co ci będzie potrzebne do pisania. Listu także. Aparat dostaniesz w drodze. I pamiętaj jedno – mówię na wypadek, gdybyś coś pomylił – kiedyś pisałeś, jak wielka jest Rzesza i jej przywódca, dzisiaj masz pokazać swoim rodakom, że był małym, śliskim skurwysynem. Zrozumiałeś, Lossow? – stanowczo powiedział Collins.

– Tak jest – odpowiedział Walter i wyszedł z pokoju.

Z jednej strony poczuł ulgę, że ma to już za sobą, z drugiej nawet nie pożegnał się z bliskimi. Wyrzucał sobie głupotę i nie miał pojęcia, dlaczego sądził, że Amerykanie jedynie wpiszą go do kartoteki, a potem puszczą wolno. Martwił się także o swoją rodzinę. Jego Amerykanie nakarmią, ale co z nimi? Podobno w Berlinie nie było niczego, a ludność cywilna głodowała, zdana na łaskę wroga. Plądrowano sklepy, wszczynano bójki o miskę zupy i wszędzie tam, gdzie pojawiało się jedzenie, działy się dantejskie sceny. Potem pomyślał, że pewne oddalenie od tego piekła i mała społeczność,

w której żyli, ułatwi im przetrwanie, choć zapewne do rozgotowanej kaszy, podawanej raz dziennie w porcelanowej misie, będą musieli przywyknąć.

Kiedy lokował się w baraku dla jeńców, pomyślał o czymś jeszcze. O Lilly. Fakt, że będzie od niej odizolowany, niestety, sprawił mu ulgę. Tak bardzo nie lubił udawać, że coś go bawi. Na dłuższą metę było to nie do zniesienia. Kiedyś uciekł od Renate Zoll, teraz poniekąd od Lilly Berg.

20. Londyn, 1945

Nadia Niechowska trzymała się kurczowo matki, przerażona wiwatującym na ulicach tłumem. Nie była przyzwyczajona do takiej liczby ludzi i nawet w normalnych warunkach Londyn jawił jej się jako miejsce niezbyt bezpieczne. Nie rozumiała także, co oznacza koniec wojny. Dla jej matki także. Hanka, mimo że już od wielu miesięcy cieszyła się względnym spokojem, pomyślała teraz o tych, którzy nie mieli tyle szczęścia, co ona. Miała nadzieję, że jej brat i najlepsza przyjaciółka również świętują ten wyjątkowy dzień. Dla niej owa data miała podwójne znaczenie, ponieważ porozumiała się z Tomaszem i jego okropną matką i miała nadzieję rychło pozbyć się krępujących więzów małżeńskich. Reszta zaś jej życia wyglądała całkiem znośnie. Występy w Golden Gate okazały się bardzo udane, a im bliżej było zdobycia Berlina, tym więcej osób odwiedzało lokal, w którym śpiewała. Poszerzyła repertuar, zbierała oklaski i pochwały i wcale nie ubolewała, że nie piszą nic na ten temat w gazetach. I nie tylko dlatego, że dziennikarze skupiali się na kolejnych zwycięstwach sił sprzymierzonych przeciwko Trzeciej Rzeszy, ale również z uwagi na lokalne gwiazdy showbiznesu. Zapewne w taki dzień jak ten, sala lokalu wypełni się po brzegi i Hanka zastanawiała się, co zaśpiewać, by uczcić tę wyjątkową datę.

Tymczasem w niemal całym Londynie powiewały flagi Wielkiej Brytanii, ludzie tańczyli na ulicach i wiwatowali, gdy przejeżdżały odkryte wojskowe samochody z żołnierzami. Rzucali w ich kierunku kwiaty, śpiewali, obściskiwali się i całowali wzajemnie, chociaż byli sobie kompletnie obcy. Następnie tłum przelał się pod pałac Buckingham, gdzie na balkonie pojawił się król Jerzy VI wraz z małżonką i córkami. Największy entuzjazm wzbudziła księżniczka Elżbieta, ponieważ ubrana była w wojskowy mundur i tym samym utożsamiała się z powracającymi z wojny żołnierzami. Gazety pisały, że uparta księżniczka wstąpiła nawet do kobiecej służby wojskowej i została podporucznikiem. Inni członkowie dworu, w tym król, krytykowali podobne zachowanie, niegodne członka rodziny królewskiej, ale zwykli ludzie pokochali Elżbietę całym sercem, upatrując w niej przyszłą królową Anglii.

Poczuła czyjąś dłoń na swoim ramieniu. Odwróciła głowę i zobaczyła stojącego obok Piotra. Czekali na niego przed jednym ze sklepów, ale Hanka nie była pewna, czy szwagier przedrze się przez szalejący tłum w umówio-

ne miejsce. Uśmiechnęła się do niego. Nie tylko dlatego, że był koniec wojny, ale zawsze, gdy go widziała, promieniała. Był dla niej taki dobry. Przez chwilę martwiła się, czy przypadkiem Piotr nie zakochał się w niej, ale rozwiał jej wątpliwości, przychodząc pewnego dnia do lokalu z młodziutką Henriettą Cavendish. Jak chwaliła się Stefania Niechowska, Henrietta należała do jakiejś znanej arystokratycznej rodziny i była spokrewniona w linii prostej z księciem Portland. Teściowa tak bardzo była dumna z tej znajomości, że bezustannie studiowała wzajemne powiązania, oceniając szanse na to, czy któryś z jej przyszłych wnuków miałby możliwość otrzymania tytułu księcia. O tym, że przy okazji mógłby dziedziczyć cenne posiadłości ziemskie, taktownie nie wspominała, uważając, iż rozmowy o pieniądzach są w złym guście.

Henrietta Cavendish miała bladą, niemal porcelanową twarz, duże usta i niebieskie oczy, które podkreślała dość mocnym makijażem. Ubierała się w eleganckie sukienki, modne kapelusiki i miała maniery prawdziwej arystokratki, które zapewne wyssała z mlekiem matki. Hanka nie myślała o jej związku z Piotrem, ale o tym, czy kiedykolwiek jej córka nabierze kiedyś choćby namiastkę cech podobnych do tych, które prezentowała panna Cavendish.

Po wielkiej fecie na placu Piccadilly, wieńczącej koniec wojny, Hanka zabrała dzieci do cukierni, gdzie było równie tłoczno, co na ulicach Londynu, a potem powróciła do domu, by przygotować się do występu.

Tego wieczoru Golden Gate była wypełniona do ostatniego krzesła. Przy stoliku tuż na przodzie zasiadł Piotr w smokingu i śnieżnobiałej koszuli, a obok niego blada Henrietta w sukience nawiązującej kolorami do brytyjskiej flagi. Trzeba przyznać, że Piotr wyglądał zabójczo i Hanka przez chwilę pozazdrościła lady Cavendish. Zapewne po ich ślubie będą jeździli razem na wyścigi do Ascot, które to miano wznowić wraz z zakończeniem wojny.

Oprócz szlagierów, tak chętnie słuchanych przez Brytyjczyków, Hanka postanowiła wykonać jeszcze jeden utwór. Tak jakby chciała uczcić swoją miłość do Igora Łyszkina… Zaśpiewała „Uliczkę w Barcelonie”, po której zebrała długie i gorące oklaski. Nie było to Palladium ani paryska Olimpia, ale zwykła, chociaż elegancka knajpa, a jednak Lewinówna poczuła się jak niegdyś, gdy wydawało jej się, że miała niemal cały świat u swych stóp. Żałowała, że w tłumie nie może dostrzec wzroku Igora, pełnego miłości

i oddania. Nie do podziwianej diwy, ale do niej samej, dziewczyny z Chełmic.

Powiodła wzrokiem po sali i natknęła się na oczy Piotra. Patrzył na nią z zachwytem i głośno klaskał, jakby przyszedł tutaj tylko dla niej, a jego partnerka stanowiła jedynie zbędny dodatek. Hanka pomyślała, że życie byłoby idealne, gdyby kochała kogoś takiego jak Piotr, a on zamiast myśleć o ślubie z Henriettą, marzyłby jedynie o niej. Zastanawiała się, czy przy jego boku byłaby w stanie wymazać z pamięci Igora Łyszkina wraz z jego bolszewickimi upodobaniami. Z jednej strony ciągnęło ją do tych wszystkich eleganckich salonów, gdzie jada się potrawy, wkładając małe kęsy do ust, a potem bezgłośnie przeżuwa bez względu na to, czy są to zwykłe ziemniaki czy mięso z bażanta. Chciała być w świecie, gdzie dama jest damą i w żadnej życiowej sytuacji nie przestaje nią być, niezależnie od tego, czy wiatr potarga jej fryzurę, spadną jej majtki na środku ulicy czy patrzy bezradnie, jak mąż adoruje swoje kochanki. Fałszywy świat, a jakże pociągający. Ludzie odgrywający swoje role bez zarzutu, jak gdyby wciąż występowali w filmie pod tytułem „Życie”. Jednak w tym świecie Hanka czuła się po prostu dobrze i bezpiecznie, bo miał w sobie coś pięknego – iluzję doskonałości, którą Hanka tak bardzo lubiła. Tak jakby pod tą powłoką blichtru, przepychu i nienagannych manier chciała ukryć swoje ponure dzieciństwo, gdzie jadło się palcami, w najlepszym razie drewnianą łyżką, a każdy dzień zaczynał się od oporządzenia inwentarza, a nie wypicia kawy z malutkiej porcelanowej filiżanki. Podobnie jak jej brat Emil i ona chciała w końcu wyjść z tej walącej się chałupy i nigdy doń nie wracać, a co musiała uczynić przez tę cholerną wojnę. Igor kochał ją, prostą, wiejską dziewczynę, bez względu na to, skąd pochodziła. Tylko co z tego, kiedy ona owej dziewczyny, którą kiedyś była, nienawidziła z całego serca.

Po ostatnim utworze, gdy opuszczała podest, podszedł do niej Piotr i pocałował w policzek.

– Przeszłaś dzisiaj samą siebie. – Uśmiechnął się. – Czy twój szef nie będzie miał nic przeciwko temu, byś się teraz do nas przysiadła? Henrietta bardzo chciałaby cię bliżej poznać.

– Nie sądzę, skończyłam na dzisiaj – powiedziała, spuszczając wzrok.

Z jednej strony byłaby bardzo uradowana, gdyby ten wieczór mogła zakończyć w towarzystwie eleganckiego i szarmanckiego Piotra, z drugiej – nie chciała przeszkadzać zakochanym gołąbkom. Nie wiedziała także,

w jaki sposób potraktuje ją panna Cavendish. Dotychczas zamieniły ze sobą kilka zdawkowych zdań i Hanka zastanawiała się, czy nie zostanie potraktowana jak małpka w cyrku, którą każdy chce dotknąć z ciekawości, by sprawdzić, czy nie jest jedynie futrzaną maskotką. Nie mogła jednak odmówić i po odebraniu gratulacji od podekscytowanego Philipa przysiadła się do stolika Henrietty i Piotra.

– Ma pani przepiękny głos, taki przejmujący, pełen ekspresji – zachwycała się Henrietta. – Tak się cieszę, że mogę z panią porozmawiać dłużej niż kilka chwil. Jestem ogromnie wdzięczna Piotrowi, iż w końcu panią zaprosił do naszego stolika.

– Bardzo pani łaskawa. – Hanka spuściła wzrok, nieco zawstydzona komplementami lady Cavendish.

– Piotrze, koniecznie musimy zaprosić panią Lewin do Suffolk, na otwarcie sezonu letniego. Teraz, gdy ta piekielna wojna się skończyła, znowu będzie jak dawniej. Słyszałam, że ma pani dzieci. Oczywiście, proszę przyjechać wraz z nimi. Ja wyruszam do Suffolk zaraz po wyścigach w Ascot, ale Piotr, jak zwykle, ma masę obowiązków, więc mógłby was zabrać później. – Henrietta gadała jak nakręcona.

Hanka od razu pomyślała o Nadii, która zapewne będzie czuła się jak odludek wśród wychuchanych arystokratycznych dzieci. Milczała więc, chociaż propozycja spędzenia kilku dni w tak doborowym towarzystwie była nad wyraz kusząca.

– Nie martw się, lady Stefania i sir Tomasz nie zostali zaproszeni – szepnął Hance do ucha Piotr, widząc jej wahanie.

– Znasz moją córkę… – westchnęła cicho.

– Daj spokój, Haniu. To jeszcze dziecko. A gdzie ma nabrać ogłady, jeśli nie będzie przebywała wśród dzieci, które zachowują się inaczej – odpowiedział.

– A co wy tak sobie szepczecie, nic nie słyszę? – zapytała Henrietta, po czym roześmiała się i zwróciła do Hanki: – Proszę nie myśleć, że jesteśmy nadęci jak dziewiętnastowieczni arystokraci, dla których etykieta stanowiła sens życia. Moja rodzina jest bardzo postępowa i uwielbia artystów. Przed wojną często gościliśmy w Suffolk pisarzy albo malarzy, dla których nadmorskie pejzaże stanowiły ciekawe tło ich twórczości.

– Bardzo dziękuję, lady Cavendish. Sprawdzę mój kalendarz występów i przekażę informację przez Piotra – ostrożnie odpowiedziała Hanka.

– Jestem Henrietta, a nie żadna lady. – Zachichotała, po czym dotknęła dłoni Piotra i pogłaskała ją. – Przekonaj swoją bratową, żeby koniecznie nas odwiedziła.

– Niestety, już prawie nie jest moją bratową, zatem mój wpływ może być ograniczony, kochanie – odpowiedział Piotr ciepło.

Hanka zerkała na siedzącą parę i z jednej strony cieszyła się, że narzeczona Piotra okazała się tak sympatyczną i przystępną dziewczyną, z drugiej – coś ją uwierało w sercu na myśl, że kiedyś to ona zostanie jego żoną. Nie rozumiała tego, co się z nią działo, przecież wciąż kochała Igora i wiele by dała, żeby siedział tuż obok niej, jednak zdawała sobie sprawę, że tylko ktoś taki jak Piotr Niechowski byłby w stanie otworzyć jej bramę do wielkiego świata.

21. Warszawa, 1945

– Mieszkanie wam się podoba? – zapytała Dregerowa siedzącego w jej gabinecie Igora.

– Tak, podoba mi się – bąknął na odczepnego, chociaż w istocie mieszkanko, które zajmował, mogło wydawać się królewską komnatą w porównaniu ze zrujnowanymi albo przeludnionymi lokalami.

– Wyleczyliście się ze swojej przypadłości, towarzyszu? Chyba powinnam powiedzieć „Łyszkin", a nie bawić się w konspirację.

Igor przełknął ślinę. Czyżby ta kobieta nie zrezygnowała z umizgów? Nie odpowiedział, uznając, że nie musi się tłumaczyć z tak intymnych spraw, a poza tym nie podlegał bezpośrednio pod jej zwierzchnictwo, zatem mógł zignorować pierwszą część pytania.

– W rzeczy samej, towarzyszko. Możecie zwracać się do mnie tak jak uważacie – powiedział Łyszkin, siląc się na coś na kształt uśmiechu.

– Dobrze. – Westchnęła z rezygnacją i dodała: – Wiecie, na czym mi zależy. Na tych, którzy chcą zaszkodzić władzy ludowej i naszemu rządowi w Lublinie. Jako że jesteście poniekąd Polakiem, chciałabym, abyście nawiązali stosowne znajomości. Listę bandytów uzyskacie z departamentu, który zajmuje się aktami z więzień przy Pawiej i z siedziby gestapo przy Szucha. I nie zapominajcie, Łyszkin, my wciąż pamiętamy, kim byli wasi rodzice.

Ostatnie słowa zabrzmiały jak groźba. Igor w środku aż się gotował. Ile razy mogli szantażować go ojcem i matką, jeśli wielokrotnie udowadniał, że jest lojalnym i oddanym pracownikiem? Im dłużej siedział we własnej skórze, porzucając na zawsze mundur Ottona Kriegego, tym bardziej przerażony był systemem, który go stworzył. Na którejś popijawie usłyszał od jakiegoś pijanego oficera, że jedzie właśnie do Berlina, by zbierać haki na generała Żukowa. Igor nie miał pojęcia, do czego zmierzał Stalin, jeśli knuł intrygi nawet przeciw najbardziej oddanemu żołnierzowi Związku Radzieckiego i swojemu lojalnemu zastępcy.

Problemem była również data podpisania aktu kapitulacji przez Niemcy. Wzbudzała niewspółmierne do sytuacji emocje i była powodem szerokiej dyskusji. Stalin nie mógł przeżyć, że dowódcy niemieccy złożyli swoje podpisy w kwaterze generała Eisenhowera w Reims, i nakazał, by kolejny akt został podpisany w siedzibie generała Żukowa, w jego berlińskiej kwa-

terze mieszczącej się w dzielnicy Karlshorst. A gdy tak się stało, wówczas w Moskwie nastał już dziewiąty maja. Pomylenie daty i mówienie o końcu wojny w dniu ósmym maja było wręcz świętokradztwem. W Polsce ogłoszono ten dzień, dziewiąty maja, jako Dzień Zwycięstwa i Wolności, a w Moskwie odbyły się główne uroczystości. W Warszawie w tym dniu ludzie wylegli na ulice, była radość, śmiech i liczne wiece. Nie na wszystkich obliczach jednak malowało się zadowolenie. Byli i tacy, którzy twierdzili, że wojna jeszcze się nie skończyła.

– Dzień Zwycięstwa nad faszyzmem odbył się bez zakłóceń? – zapytała Dregerowa.

– Nie odnotowałem żadnych incydentów, milicja obywatelska także. Nasi ludzie również nie wspominali, aby ktokolwiek zakłócał wiece albo przemówienia – relacjonował Łyszkin, po czym ziewnął przeciągle.

Nie wiadomo, co bardziej rozzłościło Dregerową – ziewnięcie czy meldunek, że nigdzie nie doszło do zakłóceń porządku.

– Wy, Łyszkin, przestańcie mi tu ziewać, bo mnie połkniecie. Musicie pamiętać, że nie wszyscy nas tutaj kochają. Jestem pewna, że coś szykują, a ten pozorny spokój to cisza przed burzą – mruknęła i przypaliła sobie papierosa, nie częstując nawet Igora.

– Ludzie są zmęczeni. Wojną, biedą i śmiercią. Nie mają siły teraz knuć, zwłaszcza że wielu żołnierzy z namaszczenia rządu londyńskiego zginęło pod gruzami Warszawy i nie ma komu podsycać emocji – odpowiedział ze spokojem Igor, ponieważ nie rozumiał ciągłego węszenia w miejscach, gdzie na razie nie było to konieczne.

– Ci niektórzy, namaszczeni żołnierze, dziewiątego maja byli sądzeni w Moskwie, więc nie wszyscy zginęli – warknęła Dregerowa.

– Ale ci inni polscy żołnierze maszerowali ramię w ramię z Armią Czerwoną na moskiewskiej paradzie – odciął się Łyszkin, ale po chwili dodał ugodowo, by ta kobieta w końcu zostawiła go w spokoju: – Towarzyszko, jestem czujny i zbieram informacje, a dzisiaj odbieram z archiwum kolejną listę nazwisk.

– To idźcie już… – pożegnała się chłodno i dodała: – Czekam na raport w przyszłym tygodniu.

Igor Łyszkin zamierzał zrobić raport. Jednak postanowił, że jedno nazwisko się w nim nie pojawi – Juliana Chełmickiego. Jego teczka leżała w Moskwie, ale Dregerowa nie musiała być w to wtajemniczona. W końcu Cheł-

micki wraz ze swoją wiedzą o zakładach na wyspie Uznam mógł okazać się bardzo użyteczny w agencji dowodzonej przez Sudopłatowa, pod którego skrzydła Łyszkin miał nadzieję niebawem wrócić.

Z ulgą opuścił ciemny, ponury gabinet krwiożerczej Dregerowej i poszedł do archiwum, gdzie w tumanach kurzu pracowała polska funkcjonariuszka resortu bezpieczeństwa. Mimo że miała potargane włosy i pobrudzoną twarz, po Dregerowej wydała mu się śliczna i delikatna.

– Ile dzisiaj teczek znaleźliście? – zapytał łagodnie.

– Melduję, że tylko osiemnaście – odpowiedziało zasmucone dziewczę.

– A długo tutaj siedzicie?

– Melduję, że od szóstej rano. – Ponownie zrobiła zbolałą minę.

– Jedliście coś?

Tym razem jedynie pokręciła przecząco głową. Igor także nic nie jadł tego dnia. Posiadał, co prawda, bony na stołówkę, ale nie miał ochoty przeciskać się w tłumie ludzi z miską zupy i jeść przy upapranym stole.

– A umiecie gotować? – Uśmiechnął się do dziewczyny, żeby nieco rozluźnić atmosferę.

Potaknęła i także się uśmiechnęła.

***

Agnieszka Lipska była zachwycona mieszkankiem Łyszkina, gdzie mała kuchenka była tylko do jej dyspozycji, a przed drzwiami łazienki nie tworzyła się kolejka za każdym razem, gdy chciała z niej skorzystać. Z wielką wdzięcznością przyjęła propozycję wzięcia kąpieli, ponieważ po całodziennym obcowaniu z zakurzonymi archiwami, po prostu lepiła się od brudu. W mieszkaniu, gdzie rezydowała wraz z kilkoma koleżankami, mieszkało jeszcze dwanaście osób. Jeden młody człowiek sypiał w wannie, bo nawet na podłodze próżno było szukać skrawka miejsca, by rozłożyć piernaty.

Opowieści Agnieszki o życiu w takim zbiorowisku ludzi były zabawne, trąciły wręcz groteską, pod warunkiem jednak, że nie dotyczyły Igora. W pewnym momencie uświadomił sobie, że jego dwadzieścia metrów z kuchnią i łazienką może w istocie jawić się jako luksusowe gniazdko.

Agnieszka przygotowała zupę z przydziałowych produktów, a nawet pozmywała naczynia zalegające w zlewozmywaku i zrobiła Łyszkinowi pranie, które zamoczył trzy dni wcześniej i oczywiście o tym zapomniał. Miał

ochotę poflirtować z tą uroczą dziewczyną, ale gdy usiadła na jego tapczanie, a on wyszedł do kuchni, by zrobić herbatę, ta po prostu zasnęła. Zapewne nie dosypiała w swoim pokoju, gdzie dziewczyny kładły się na zmianę, bo w przeciwnym razie nie dało się otworzyć drzwi. Przykrył ją kocem i usiadł obok. Nie miał też nic ciekawego do roboty, a wizyta u Dregerowej nieco go zdenerwowała. Ułożył się więc obok dziewczyny i zdążył jedynie pomyśleć, że chyba po raz pierwszy leży w łóżku przy atrakcyjnej kobiecie i nie będzie się z nią zabawiał. Niestety, trudne warunki życia obdzierały z romantyzmu i ludzie skupiali się na tak prozaicznych czynnościach, jak jedzenie i spanie.

Agnieszka musiała być naprawdę zmęczona, bo kiedy Igor przebudził się nad ranem, ta wciąż lekko pochrapywała i nawet nie otworzyła oka, gdy ten udał się do łazienki. Postanowił, że zanim ją obudzi i pójdą do archiwum, przygotuje jej kanapkę z twarogiem i kubek ciepłego mleka. Pomyślał o Hance. Czy ją zadowoliłoby spanie na wąskim tapczanie i kawałek czerstwego chleba z twarogiem? Pewnie jeszcze rok temu byłaby wniebowzięta, ale kto wie, czy teraz, w Londynie, nie pławiła się w luksusach dzięki dobrze sytuowanemu mężowi, temu paniczykowi Niechowskiemu. Czy mając do wyboru nędzę i niechciane małżeństwo, nie zdecydowała się pozostać przy tym człowieku, chociażby z uwagi na Nadię? A co z jego synem? Miał nadzieję, że niebawem ustali ich miejsce pobytu i dowie się, co teraz porabia jego ukochana.

– O, Boże… – jęknęła Agnieszka tuż po przebudzeniu. – Która godzina?

– Towarzyszka Lipska wzywa Boga na pomoc, no, no… – roześmiał się Igor.

Przykryła dłonią usta i jeszcze bardziej się zmieszała.

– Przepraszam, towarzyszu…

– Nie przepraszaj, tylko wstawaj, bo mleko ci ostygnie. Czeka cię ciężki dzień dzisiaj, ale na pocieszenie powiem, że w końcu wyjdziesz z tego zakurzonego schowka – powiedział ciepło Łyszkin. Obawiał się, iż dziewczyna będzie pół dnia przeżywać noc u swojego przełożonego, nie wspominając o niefortunnym zwrocie.

Zerwała się z tapczanu jak oparzona i pobiegła do łazienki, a gdy z niej wyszła, oboje zjedli śniadanie, nie mówiąc ani słowa. Potem poszli do archiwum i Łyszkin podał Agnieszce zapisaną kartkę.

– Udasz się do PCK, do działu poszukiwań. Sprawdzisz, czy którąś z tych osób ktoś szuka albo czy te osoby kogoś poszukują. Jeśli tak, zapiszesz wszystkie dane, które podadzą. Adresy kontaktowe, miejsce spotkań i takie tam – powiedział stanowczo.

– Wczoraj pod wieczór znalazłam jeszcze kilka dokumentów dotyczących tego Emila Lewina, o którego pytaliście, towarzyszu – dumnie powiedziała Agnieszka i wyciągnęła dłoń z plikiem dokumentów.

– Świetnie się spisałaś, a teraz leć. I… mam jedną uwagę – westchnął Igor.

Dziewczyna popatrzyła na niego niczym spłoszona sarna.

– A co nie tak zrobiłam, towarzyszu? – zapytała drżącym głosem.

– Czy mogłabyś nie mówić do mnie co trzy minuty „towarzyszu”? Mam na imię Igor. – Uśmiechnął się.

– Tak jest, towarzyszu – odpowiedziała.

Machnął ręką i kazał jej iść do wydziału poszukiwań. Sam otworzył akta dotyczące Emila Lewina. Były to stenogramy przesłuchań na okoliczność śmierci niemieckiego oficera, Martina Grossa. Nie miał pojęcia, dlaczego te dokumenty nie trafiły do Moskwy. Być może było to zwykłe niedopatrzenie, bo skupiano się na głównych bohaterach z wyspy Uznam? Im bardziej się zagłębiał w owe zeznania, tym większą pogardę czuł do człowieka, przez którego Hanka wylądowała na gestapo. Jakkolwiek w jej przypadku można mówić o splocie niefortunnych okoliczności, tak wydanie miejsca pobytu Juliana Chełmickiego, przyrodniego brata, było pełną premedytacją. Szuja, która dla możliwości zbicia fortuny na nielegalnej żywności, wydała na śmierć swojego brata. Łyszkin był przekonany, że ten człowiek nie uznawał żadnej świętości i zrobienie z niego sługusa nowego rządu mogło być łatwiejsze niż pstryknięcie palcami. Julia Dregerowa powinna być w siódmym niebie, zwłaszcza jeśli ten śliski typ dorzuci do wachlarza swoich usług pieprzenie tej wiecznie napalonej zdziry. Musiał tylko upewnić się, czy Julian Chełmicki jest bezpieczny i znajduje się wystarczająco daleko od lepkich łap swojego braciszka.

Z Agnieszką umówił się w swoim mieszkaniu, bo wiedział, że skończy swoje zadania szybciej niż ona, a ponure ściany archiwum odstręczały go. W istocie dziewczyna zapukała do drzwi mieszkania, gdy zbliżał się wieczór. Zapewne jej legitymacja resortowa sprawiła, że nikt nie ośmielił się

opuścić miejsca pracy, zanim nie wyda jej wszystkich niezbędnych dokumentów. Po minie Lipskiej widział, że zadanie wykonała jak należy.

Łyszkin nalał jej zupy, która została z poprzedniego dnia, i powiedział:

– Jak skończysz, zreferujesz mi wszystko.

Pokiwała głową, ale zaraz zaczęła mówić z pełnymi ustami:

– Tego Emila Lewina szukają dwie osoby. Jakiś dzieciak z sierocińca pod Łowiczem i jego siostra, Hanna Lewin-Niechowska. Ta siostra mieszka w Londynie, zapisałam adres, Beee… Bedford st… Dalej: niejaki Julian Chełmicki, przeżył powstanie i był w oflagu koło Monachium. Nie wiadomo, co z nim, bo nikogo nie zgłaszał jako osoby poszukiwanej, przynajmniej w Polsce. Za to jego szuka ta cała siostra Lewina. I jeszcze jakiejś kobiety, Alicji Rosińskiej. Niezła klika… – mruknęła Agnieszka.

– To wszystko? – zapytał zdenerwowany nie wiadomo dlaczego Igor.

Może dlatego, że poznał adres Hanki i zamierzał zaraz napisać do niej list, a nie miał pojęcia, co mógłby jej powiedzieć i o co zapytać. Jak jej przekaże, że mimo zakończenia wojny listy do Wielkiej Brytanii i przychodzące stamtąd są skrupulatnie czytane, by nie tylko wyczuć nastroje Polaków po wkroczeniu Armii Czerwonej, ale także w celu zdobycia informacji o ewentualnym formowaniu się kolejnej organizacji, tym razem jednak antysowieckiej? Łyszkin uważał, że władze przesadzają z tą ostrożnością, ale nie chciano, aby Rosjanie byli sabotowani tak, jak Niemcy. Zwłaszcza że już nie było żadną tajemnicą, co się stało z tymi, którzy uczestniczyli w akcji „Burza” albo w powstaniu i popierali nielegalny obecnie rząd w Londynie.

– Ten Lewin też szukał swojej siostry i tego chłopaczka, Szymka. Podał adres gdzieś koło Nadarzyna.

– Dobrze, zostaw notatki i idź już odpocząć – mruknął Igor.

– Może przygotuję towarzy… tobie zupę na jutro? – bąknęła Agnieszka, której nie chciało się wracać do przeludnionego mieszkania.

– Wynoś się, do cholery! – warknął.

Agnieszka popatrzyła na niego przerażona, bo dotychczas Łyszkin jawił jej się jako siła spokoju. Nie miała pojęcia, czym mu się naraziła, ale bez słowa opuściła jego kwaterę.

Kiedy Igor pozostał sam, wyciągnął papier, wziął do ręki pióro i jedyne, co zrobił, to postawił kleksa. Zgniótł kartkę, wrzucił do kosza i wyjął kolejną. Jednak i tym razem pozostała pusta. Kołatały mu w głowie słowa Sudopłatowa: „Nie masz innego życia, prócz służby krajowi”. Mimo to pragnął

wiedzieć, jak wiedzie się Hance i Grzesiowi, chciał zapytać, czy jest szczęśliwa bez niego… Obawiał się jednak nie pytań, ale odpowiedzi, które mógłby otrzymać. Co wówczas zrobiłby, gdyby napisałaby mu, że układa sobie życie na nowo? Bez niego. Wolał tego nie wiedzieć. Nadzieja, iż Hanka wciąż go kocha i za nim tęskni, była jak balsam kojący jego poranioną duszę. Tak, Igor Łyszkin, nade wszystko pragnął mieć nadzieję.

22. Warszawa, 1945

Szymek Wielopolski był przerażony, gdy patrzył na ruiny kamienicy przy Wolskiej. Jego dom nie istniał, a on nie miał gdzie się podziać. Rozejrzał się, szukając wzrokiem kogoś, kto podobnie jak on niegdyś mieszkał w tym miejscu. Nie dojrzał jednak nikogo znajomego. Po kilkunastu minutach doszedł do wniosku, że nie ma po co czekać na jakiegoś mieszkańca kamienicy, bo tej już po prostu nie było. W głębi podwórza, teraz zasypanego gruzem, połamanymi meblami i nadpalonymi belkami stropowymi, dostrzegł kilkumetrowy fragment muru. Przeszedł przez rumowisko, kalecząc sobie dłonie i stanął przy zburzonej ścianie. Szukał wiadomości od pana Lewina, bo tak się umówili tuż przed wybuchem powstania. W istocie znalazł kilka papierków przytwierdzonych do pogruchotanego muru. Przeczytał każdą z kartek, ale nie znalazł nic, co mogło być wiadomością dla niego. Sam także nie posiadał ani kartki, ani ołówka, by móc zostawić jakąś informację. Tylko co miałby w niej zawrzeć, oprócz tego, że żyje?

W Łowiczu przekimał się w jednej z ciężarówek, ale tutaj, w zrujnowanej Warszawie, nie miał pojęcia, gdzie mógłby znaleźć nocleg. Już miał odejść, by poszukać kogoś, kto litościwie da mu coś do pisania, by przekazać chociaż to, że nic mu nie jest, gdy dostrzegł jeszcze jedną karteczkę, wciśniętą między ocalały mur i stos cegieł. Najpewniej odczepiła się pod wpływem wiatru, a potem zaklinowała w gruzach. Sięgnął po nią i rozpromienił się. Była to wiadomość od pana Emila. Dowiedział się, że Lewin żyje i, co ważniejsze, przebywa w Warszawie, w kamienicy na Pradze. Mimo zmęczenia i perspektywy przejścia kilku kilometrów piechotą Szymek wybiegł na ulicę, jakby ktoś doczepił mu skrzydła. Odsapnął nieco na zdezelowanej łodzi, gdy płynął na drugi brzeg Wisły, ale gdy tylko z niej wysiadł, znowu zaczął biec pod wyznaczony adres.

Zapukał do drzwi mieszkania tak głośno i natarczywie, że chuda, stara kobieta zrugała go, gdy tylko przekręciła zamek i nacisnęła klamkę.

– A czego się pieklisz? – zapytała ostro. – Pali się gdzie, czy co?

– Czy tutaj mieszka pan Emil Lewin? – wysapał Szymek.

– A coś ty za jeden? – burknęła kobieta.

– Syn. Jestem synem pana Lewina – wydukał.

Kobiecina zmierzyła go od stóp do głów i powiedziała:

– E, coś ty mnie kantujesz, kawalerze. Pan Lewin mówił, że jego syn to ledwie z pieluch wyrósł.

– To Karolek, a ja jestem Szymek i mam trzynaście lat. W powstaniu walczyłem – odpowiedział dumnie.

– Pana Lewina nie ma. Pewnie wróci na wieczór, a ja cię nie wpuszczę, bo ja nie wiem coś ty za jeden i czy ty mi prawdę mówisz – warknęła i zatrzasnęła Szymkowi drzwi przed nosem.

Ten jednak nie przejął się zanadto. Do wieczora nie było daleko, więc mógł poczekać na klatce schodowej. Usiadł na schodach i oparł głowę o ścianę. Zaczął rozmyślać, a że jak zwykle był głodny, jego rozważania dotyczyły jedzenia. Przed oczami przesuwały mu się tłuste kurczaki, ziemniaki polane masłem i świeży chleb z kiełbasą tak pachnącą, że aż kręciło w nosie. Nawet nie spostrzegł, kiedy zasnął w tej niezbyt komfortowej pozycji.

Obudził się, gdy poczuł delikatne szarpnięcie. Otworzył oczy i ujrzał przed sobą zapłakaną twarz Emila Lewina.

– Szymcio, mój mały Szymcio. Ty żyjesz… – szlochał Emil i przytulał chłopaka, jakby chciał sprawdzić, czy w istocie dzieciak przeżył i jest przy nim.

Gospodyni mieszkania trochę psioczyła na obecność kolejnego lokatora, ale odpowiednia gratyfikacja sprawiła, że machnęła ręką i nawet niespecjalnie zainteresowała się, jak w tej klitce mają zamiar się urządzić. Na szczęście handlujący pierzynami i poduszkami Franek dostarczył im, co potrzeba, więc nawet legowisko na podłodze wydawało się znośne. Przed pierwszą nocą nieco się spierali, kto ma spać na łóżku, ale w końcu Szymek uległ Lewinowi i zajął to zaszczytne miejsce. Pierwszy raz od wielu miesięcy chłopiec zasnął zupełnie spokojny o swój los. Był przecież przy nim pan Emil, a to oznaczało, że kompletnie nic mu nie grozi i może snuć plany na przyszłość.

***

Bronka nie była zbytnio zadowolona z przyjęcia do ich szajki kolejnego wspólnika.

– A ten co za jeden? – mruknęła, gdy spotkali się pierwszy raz.

– Przecież ci mówiłem, że szukamy Emilowego pasierba. No i znalazł się. Co ty, Bronka, nieobecna czy nieprzytomna? – warknął Franek.

– A, to on! Galanty chłopak, tylko czy się nadaje do interesu?

– Dzieciak w powstaniu walczył i małych Żydków z getta wynosił, więc nie pęknie na robocie. – Głos Franka stawał się coraz bardziej nieprzyjemny.

Z prostego powodu. Miał serdecznie dość Bronki i jej trudnego charakteru. Samozwańczo uczyniła się hersztem i rozstawiała ich po kątach. Nawet taki cwaniak jak Emil ulegał jej i rzadko kiedy się przeciwstawiał decyzjom Bronki. Jednak taka sytuacja na dłuższą metę była męcząca dla nich obu. Szymek Wielopolski nie miał jednak podobnych dylematów i nie rozumiał, dlaczego jakaś obca kobieta usiłuje nim rozporządzać.

– Pani, świń z panią nie pasłem, że mnie pani jak parobka traktuje – odpysknął.

Bronka spojrzała na niego swoim ostrym wzrokiem, ale i to nie zrobiło na chłopcu wrażenia. Podobne spojrzenia posyłali mu strażnicy w Lamsdorfie i siostry w sierocińcu, więc nieco przywykł do tego.

– Jak będziesz taki mordziaty, synku, to cię do interesu nie weźmiemy, i tyle – wysyczała.

– Wielkie mi co, ten wasz interes. Jak będę chciał, to sam pójdę na szaber i taka marmuzela od wydawania rozkazów nie jest mi konieczna – warknął.

Szykowała się pyskówka, ale ani Emil, ani Franek nie wtrącali się. Kibicowali małemu i zaczęło powoli do nich docierać, że z zupełnie niewiadomych powodów zbyt często pozwalali Bronce na pomiatanie nimi.

– Ty, Emil, lepiej ukróć tego swojego antka, bo nerwy mi puszczą – burknęła, ale ten popatrzył w niebo i udawał, że nie słyszy.

– Przestańcie! – wtrącił się Franek. – Trzeba na mapie zobaczyć, jakie nam jeszcze kwartały zostały.

– A ja tam myślę, że w Warszawie to żaden interes na szaber chodzić. Wszędzie gruzy i pełno amatorów. Najlepiej to teraz na Śląsk i na Prusy jeździć – powiedział Szymek. – Opowiadali mi chłopaki w Lamsdorfie, że Niemcy ze Śląska uciekają do Rzeszy, wszystko zostawiają i w jednym palcie się zwijają, bo się Ruskich boją. Teraz tam prawie pusto w domach, ale fanty zostały.

Emil i Franek także o tym myśleli, ale sądzili, że jest jeszcze za wcześnie, poza tym łudzili się, że jakoś pozbędą się Bronki ze swojego towarzystwa.

Ta jednak uporczywie tkwiła przy nich, każdego dnia przypominając Frankowi o ożenku. Bronka miała już zamiar wypowiedzieć swoje zdanie i zapewne wydać jakieś dyspozycje, ale Lewin zakończył dyskusję na ten temat:

– Jutro jadę z Szymkiem do Nadarzyna. Karolka odwiedzić. A po niedzieli się zobaczy – mruknął.

Wcale nie śpieszył się do wyjazdu na obce tereny. Nie po to wracał do Warszawy, żeby zaraz z niej wyjeżdżać, ale możliwość szybkiego i łatwego zarobku była nie do pogardzenia. Zwłaszcza że Szymek się odnalazł i nie musiał już chodzić na ekshumacje i wydeptywać ścieżek w Czerwonym Krzyżu.

***

Kiedy wysiedli z pociągu w Nadarzynie i szli w kierunku domu Kociołków, Szymek zapytał:

– Panie Emilu, a jak trochę się urządzimy, to pomoże pan mi znaleźć Zosię i Ziutka?

Lewin poklepał chłopaka po ramieniu i odparł:

– Jak się urządzimy, to ich poszukamy. Bo na razie to widzisz, że Warszawa to jeden wielki burdel, a w PCK kilometrowe kolejki tych, co to zaginionych szukają. Twoja Zosia się odnajdzie, tylko trzeba poczekać. Gorzej z psem, ale może ona coś będzie wiedziała na jego temat.

Właściwie Lewina nic kompletnie nie obchodziła obca dziewucha, a tym bardziej zwierzak, ale obecnie nie potrafił odmówić Szymkowi niczego.

Dzień w Nadarzynie spędzili głównie w sadzie, zajadając się potrawami przygotowanymi przez Kociołkową, które spożywali przy stole ustawionym w drewnianej altanie, a Emil nawet wychylił z Józefem Kociołkiem kilka kieliszków samogonu. Pod wieczór zasypiali w normalnych, szerokich łóżkach i stwierdzili obaj, że życie na prowincji może nie być wcale takie najgorsze.

Jednak spokojna i sielska noc zamieniła się nad ranem w koszmar. O godzinie szóstej rano usłyszeli łomot do drzwi, a chwilę potem stanęli przed obliczem nowej władzy.

– Emil Lewin? – zapytał młody człowiek ubrany w ciemną marynarkę.

– A bo co? – burknął Emil.

– A bo pojedziecie z nami – odpowiedział mu mężczyzna i nakazał udać się do stojącego przed domem samochodu.

Wtedy dopiero Emil się przestraszył. Nie obawiał się, że odpowie za szaber, ale dotarło do niego, że być może nowa władza odkryła jego powiązania z gestapo, a wtedy dostanie krawat, jak nic.

– Szymek, Szymek… Wracaj do Warszawy, do Franka, i powiedz mu co i jak. A jak ja już nigdy nie wrócę, to trzymaj się go. On ci krzywdy nie da zrobić – mówił cicho Lewin, a na czoło wystąpiły mu krople potu.

– Ale jak to? Panie Emilu, jak to pan nie wróci? – Szymek zaczął płakać.

Obecni mężczyźni nie zwracali uwagi na szlochającego chłopca, tylko popchnęli Emila do samochodu, po czym odjechali, wzbijając na polnej drodze tumany kurzu. Szymek rzucił się w pogoń, krzycząc wniebogłosy:

– Panie Lewin, Panie Emilu…

Pędził tak, szlochając i rozmazując po policzkach łzy, dopóki samochód nie zniknął mu z oczu. Widział jedynie przez tylną szybę pojazdu odwróconą głowę Lewina, który z przerażeniem patrzył na biegnącego za samochodem chłopca.

23. Kołyma, 1945

Podróż zdawała się nie mieć końca. Godziny zamieniały się w dni, a te w tygodnie. Alicja myślała, że oszaleje w tej śmierdzącej puszce, którą otwierano jedynie na postojach. Dzień był podobny do dnia i nawet informacja o podpisaniu aktu kapitulacji przez Niemcy w tym miejscu zabrzmiała jak ponury żart. Kiedy pociąg zatrzymywał się, a przebywający w wagonie strażnik otwierał ciężką zasuwę, Alicja myślała tylko o jednym – żeby wyskoczyć i uciec. Gdy jednak rozglądała się dookoła, jedyne, co widziała, to bezkresne pola i stepy, a potem lasy tak gęste i złowrogie, że ucieczka wydawała się czystym szaleństwem. Chyba że ktoś chciał umrzeć ze świadomością, iż jest wolnym człowiekiem. A Alicja chciała żyć. Bo dopóki oddychała, poruszała kończynami i mogła myśleć, wiedziała, że nadzieja jeszcze nie umarła. Wbiła sobie to tak mocno do głowy, iż spostrzegła, że każdego dnia budziła się silniejsza i bardziej przygotowana, by stawić czoło przeciwnościom losu bez względu na to, jakie one były. Nadzieja była strawą, która ją syciła, życiodajną wodą gaszącą pragnienie, była całym jej życiem. To ona jak gdyby szarpała ją o poranku za ramię i krzyczała do ucha, że musi walczyć, bo nadejdzie dzień, gdy wszystko będzie takie, jak być powinno. Nie miała pojęcia, skąd nagle wzięło się to uczucie, chyba tylko z ogromnej niemocy i zawodu, gdy człowiekowi nie pozostaje nic innego, oprócz nadziei. A wtedy ta otrzymuje władzę absolutną.

– Ty, przesuń się! – warknęła wygolona dziewczyna o imieniu Swietłana, z licznymi tatuażami na rękach i o twarzy warszawskiego zakapiora.

– Bo co? – syknęła Alicja.

W wagonie zrobiło się cicho, jedynie jednostajny stukot kół docierał do wnętrza. Wszystkie więźniarki zamilkły i zaprzestały wykonywania jakichkolwiek czynności, tylko patrzyły czujnie na Alicję. Minęły dwa tygodnie podróży i nikt nie ośmielił się odezwać słowem do Swiety. Oprócz odstraszającego wyglądu, ramion drwala i dłoni wielkości talerzy Swieta miała także chody u strażnika, którego zaspokajała niemal każdej nocy na oczach innych współpasażerek. Co prawda widać było niewiele, ale dźwięki, jakie wydawali podczas nocnych igraszek, słyszała każda. Po pewnym czasie żadna już nie reagowała, ale było jasne, że w razie awantury nie będą mogły liczyć na wsparcie strażnika.

– Bo ja tak mówię – burknęła Swieta.

– Mam w dupie, co tam sobie mamroczesz. Słyszysz, mam w dupie, żopie czy jak tam wolisz. – Alicja była coraz bardziej wściekła i gotowa na konfrontację z tym babochłopem.

Swieta złapała ją za włosy i przeciągnęła po podłodze wagonu, po czym powróciła na miejsce Alicji, usiadła i jak gdyby nigdy nic zaczęła oglądać swoje brudne paznokcie. Rosińska przygładziła włosy, podniosła się, podeszła do Swiety i bez słowa zaczęła kopać i bić. Kobieta była zdziwiona taką zuchwałością. Była samozwańczą przywódczynią i jak do tej pory żadna tego nie zakwestionowała. Zwłaszcza że dostąpiła zaszczytu pieprzenia się ze strażnikiem. Ale Alicja przestała nad sobą panować i tłukła, gdzie popadnie. Gdy Swieta nieco okrzepła, podniosła się i uderzyła Alicję w twarz. Ta zachwiała się pod wpływem silnego ciosu, ale nawet to mocne uderzenie nie było w stanie jej zatrzymać. Rzuciła się na Swietę, ponownie ją przewróciła, a potem usiadła na niej, chwyciła za szyję i zaczęła dusić, aż jej rywalka straciła siły, zrobiła się czerwona na twarzy i zaczęła głośno charczeć. I dopiero wtedy zareagował strażnik, odpychając Alicję i tym samym rozdzielając ją ze Swietą.

– Nie dostaniesz jeść – warknął do Alicji.

– A ona? – zapytała ze złością Rosińska.

– Ona dostanie. – Uśmiechnął się lubieżnie i powrócił na swoją pryczę, jakby nic kompletnie nie zaszło.

Swieta leżała w narożniku wagonu, opatrywana i pocieszana przez inne podobne jej więźniarki, i zerkała mściwie w stronę Alicji. Ta jednak nie wystraszyła się ani trochę, ogarnięta jakimś amokiem, który kazał jej walczyć o siebie za wszelką cenę i za tę nadzieję, której trzymała się kurczowo. Zdawała sobie jednak sprawę, że to jeszcze nie koniec wzajemnych porachunków i Swieta, gdy dojdzie do siebie, będzie chciała się na niej odegrać.

Alicja pomyślała przez chwilę o konsekwencjach napadu na Swietę, po czym podeszła do strażnika i nachyliła się nad jego pryczą.

– Dzisiaj ja ci zrobię dobrze – szepnęła. – Zgadasz się?

Strażnik popatrzył na Alicję, a potem na Swietę, jakby porównując je obie, po czym pokiwał głową.

– Ale jeden warunek: ja i inne *biełoruczki* mamy mieć spokój – powiedziała cicho.

Mężczyzna przez chwilę kalkulował, czy podobny interes mu się opłaca, ale Alicja chwyciła jego rękę i włożyła sobie pod bluzkę. Momentalnie za-

cisnął dłoń na piersi Alicji i zaczął ją miętosić.

– Widzisz, Swieta w ogóle nie ma cycków. A ja mam duże i jędrne – zachwalała.

Być może strażnik nawet nie rozumiał, co mówi Alicja, ale jego przyśpieszony oddech zdradził go bardziej niż jakiekolwiek słowa.

– *Choroszo*. – Pokiwał głową.

– *Ja znaju* – mruknęła Alicja.

Tego dnia zupy nie dostała Swieta, co było jasnym i czytelnym sygnałem, że nie ma już nic do powiedzenia. Pozostałe kobiety były zadowolone z takiego obrotu sprawy, chociaż wiedziały, jaką cenę zapłaci za to Alicja. Ale ona nie myślała o swoich uczuciach ani o swoim ciele. Wyłączyła zmysły, traktując dogadzanie strażnikowi jak coś, co jej nie dotyczy. Odpływała myślami do najpiękniejszych chwil swojego życia, a potem do marzeń. Uznała, że cena, jaką płaci teraz i jaką zapewne będzie płaciła później, warta była tego, by pewnego dnia owe marzenia się ziściły. A była gotowa na wiele więcej. Póki jeszcze miała zdrową i jędrną skórę, którą mogła przehandlować w zamian za swoją przyszłość. Jej ciało w tym momencie nie liczyło się, nie miało znaczenia, było narzędziem i drogą do celu. Może wówczas małym krokiem na tym szlaku, ale postanowiła, że nie cofnie się przed niczym, by dopiąć swego.

Kolejny etap podróży stawał się coraz znośniejszy, ponieważ odkąd każdej nocy dogadzała strażnikowi, ona stała się panią sytuacji. Skończyły się bijatyki i podkradanie chleba. Nie było pyskówek i znęcania się nad *biełoruczkami*, a Alicja otrzymywała większą porcję jedzenia. Nie dzieliła się nią jednak z innymi, uznając, że ta nagroda po prostu jej się należy.

Gdy podróż dobiegła końca i Alicja stanęła za bramą *zony*, pierwszą jej myślą była ucieczka jak najdalej od tego miejsca. Już teraz wyglądało tu okropnie, więc nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to będzie, gdy nastaną sławetne mrozy, którymi ich straszono po drodze. Najgorszy był widok ludzi. Ubrani w brudne waciaki, smutno zwisające na wychudzonych ciałach, z pustym spojrzeniem i chodem nieprzypominającym człowieczego. Niemal każdy był przygarbiony, jakby dźwigał jakiś niesamowity ciężar na plecach.

Barak, w którym miała zamieszkać, na szczęście bez towarzystwa Swiety, również prezentował się koszmarnie. Drewniane prycze z brudnymi koca-

mi, jakiś podgłówek imitujący poduszkę i metalowa miska z łyżką, które płukała po każdym posiłku w wiadrze z pomyjami.

Kobiety, które już jakiś czas przebywały w obozie, niewiele mówiły, ale odpowiadały na zadawane przez Alicję pytania i z tego, co zdołała zrozumieć, czekały ją lata wyniszczającej pracy i racje żywnościowe mogące zaspokoić głód małego dziecka, a nie harujących ludzi.

***

Otworzyły się drzwi i mężczyzna z przerzuconym przez ramię karabinem powiedział:

– Rosinska. Do komendanta.

Alicja zerwała się z pryczy i podążyła za człowiekiem, którego każde oko było innej wielkości, jak również rzucało spojrzenie w różnych kierunkach.

Dom komendanta sprawiał bardzo przyjemne wrażenie w porównaniu z barakami i całym otoczeniem. Okolica nasuwała myśli o kamienistej pustyni, jakby to był prawdziwy koniec globu. Już jadąc tak długo, Alicji wydawało się, że okrąża kulę ziemską, gdy jednak wysiadła, okazało się, że nie jest wcale w tym samym miejscu, z którego wyruszyła, tylko gdzieś na rubieżach świata.

Przed gabinetem Kaganowskiego czekała niemal pół godziny, ale wcale nie była tym faktem zdenerwowana. To pomieszczenie kojarzyło jej się z prawdziwym miejscem do życia, gdzie jest czysto, pachnie jedzeniem i stoją normalne meble. Przymknęła oczy i zatopiła się w marzeniach o swoim domu. Nie musiałby być duży ani specjalnie wytworny, ale kojarzący się z domowym ogniskiem i miłością rodzinną. Chciała, żeby było w nim tak jak w Chełmicach, gdzie mimo różnic czuć było wzajemną miłość i zrozumienie. Nawet przez jedną sekundę nie pomyślała, że miałaby zostać w tym koszmarnym miejscu na zawsze albo na czas, jaki wyznaczył jej sąd. Była gotowa przespać się tutaj ze wszystkimi i stać ją było w tym momencie na każdą podłość, byle jak najszybciej się stąd wydostać.

Stiepan Kaganowski, w porównaniu z innymi mężczyznami, których miała okazję spotkać w „Raju”, wyglądał jak posąg młodego herosa. Zapewne dlatego, że był czysty, dobrze odżywiony i ubrany w starannie odprasowany mundur. Jednak jego twarz również była niczym wyciosana z kamienia. Bez żadnego wyrazu.

– Za co tutaj trafiliście? – zapytał beznamiętnie.

– Za niewinność, towarzyszu komendancie – zaświergotała.

Popatrzył na nią, ale jego posągowy wyraz twarzy nie zmienił się.

– Jak każdy… – mruknął. – O paragrafy pytam.

– Polityczna. Rzekoma współpraca z wrogiem, ale ja ich jak wszy tłukłam, towarzyszu komendancie.

Kolejne zimne spojrzenie. Nie wiadomo, czy zrozumiał wszystko, ale na pewno tyle, ile potrzeba.

– Co potrafisz robić?

– Tańczyć… – Przeciągnęła sylaby.

Podniósł jedną brew do góry i nawet lekko się uśmiechnął. Nigdy wcześniej nie usłyszał podobnej odpowiedzi. Najczęściej chwalono się umiejętnościami kulinarnymi i krawieckimi, mając nadzieję, że Kaganowski da przydział do pracy na terenie obozu.

– Pokazać? – zapytała słodko.

Kaganowski rozparł się na krześle i powiedział, nieco złośliwie:

– Może *kawecze* cię weźmie do siebie…

– A kto to taki? – Głos Alicji wciąż ociekał słodyczą.

– *Kulturalno-wospitatielnoja* – bąknął.

Alicja zrozumiała tylko pierwszą część nazwy, ale domyśliła się, że chodzi o rozrywki dla więźniów. Zdziwiła się, że w tym miejscu mają coś takiego, ale komendant uświadomił jej, że owszem, nawet wystawiają przedstawienia, ale organizują to sami więźniowie, gdy już skończą pracę. Pokiwała głową i poprosiła o możliwość spotkania z takim *kawecze*. Pomyślała, że może przyda jej się jakaś rozrywka.

Opuściła dom komendanta, nieco rozczarowana. Co prawda nie przydzielił jej pracy ani w kopalni, ani w lesie, ale wyznaczył ją do łaźni, którą musiała sprzątać, dezynfekować ubrania więźniów i przeprowadzać odwszawianie. „Przynajmniej będę czysta” – pomyślała, zwłaszcza gdy przeczytała regulamin mówiący o wizytach w łaźni raz na trzy tygodnie. Kobiety w baraku uznały, że wygrała los na loterii, otrzymując takie zajęcie, a te, które były z nią w wagonie, zawyrokowały, że Alicja znalazła kolejnego protektora, który w zamian za dość lekką pracę w obozie otrzymuje od niej porcję nocnych uciech. Nie sprostowała tego i kompletnie nie interesowało ją zdanie innych. Ona chciała ustawić się jak najlepiej w tej dramatycznej sytuacji, by mieć jasny umysł i zdrowe ciało. A wtedy na pewno wpadnie na ja-

kiś pomysł i wymyśli sposób, by wyjść stąd szybciej, niż wynikało z wyroku.

Czas, gdy załamana krzyczała w sądzie, złorzecząc Bogu i ludziom, minął. W tej okropnej podróży coś w niej pękło i sama nie mogła pojąć, dlaczego w niej – zniszczonej duchowo kobiecie – obudził się egoistyczny potwór. A to dawało jej nadzieję, że wyjdzie z tego piekła cało.

24. Warszawa, 1945

Julian Chełmicki rozejrzał się po pomieszczeniu pralni i zagadnął zamykającego okratowane drzwi Sergiusza:

– A co z twoim mieszkaniem?

Zadał to pytanie, bo odkąd się spotkali, panowała między nimi niezręczna cisza. O kłopotach Alicji woleli porozmawiać w czterech ścianach, a na inne tematy chyba nie bardzo potrafili.

– Dokwaterowali mi dziesięć osób. Ścisk jak na dworcu głównym. Wolę mieszkać w piwnicy, byle nikt obcy mi się po kątach nie pałętał – westchnął „Kary".

– Nie otwierasz interesu z powrotem?

– Teraz mam inne zmartwienie. Słuchaj, nie jest tutaj zbyt komfortowo i będziesz musiał spać w prasowalni, ale tam stoi normalny tapczan…

Sergiusz również czuł się niezręcznie. Gdy rozstawali się w oflagu, sądził, że już nigdy więcej nie zobaczy Chełmickiego. Był mu jednak wdzięczny za to, iż przyjechał, by spróbować pomóc Alicji. Nie interesowały go intencje Juliana, w tej chwili nie miało to kompletnie żadnego znaczenia, podobnie zresztą jak duma „Karego", która została wystawiona na ciężką próbę. Nie zwykł prosić kogoś o pomoc, a tym bardziej swojego rywala, jednak naprawdę czuł się bezradny. Chełmicki zaś miał szansę, by odnaleźć swojego przyjaciela komunistę.

– Daj spokój, „Kary". O czym ty mówisz? W powstaniu… Zresztą sam wiesz, w jakich warunkach sypialiśmy, jeśli w ogóle sypialiśmy. – Julian machnął ręką.

– W porządku… A teraz powiedz, jaki masz plan, by odnaleźć tego Łyżkowa? – zapytał Sergiusz.

– Łyszkina… Pójdę na milicję albo do Urzędu Bezpieczeństwa i powiem, że mam do przekazania pewne informacje dla Igora Łyszkina z Moskwy. Tak, wiem, to głupi plan, ale nie mam innego… Nawet nie wiem, czy Igor jest w Moskwie, czy gdzieś indziej. Mam też nadzieję, że w ogóle zdążył się ewakuować z Warszawy i żyje.

– Tak, to głupi plan, bo jeśli zwinęli Alicję, to ciebie też posadzą. I jeszcze ucieszą się, że nie muszą cię szukać, tylko sam przyszedłeś. A wiesz, już oni znajdą paragraf. Ja pójdę, mam takie ruskie imię… I nie należałem, aż do czasu powstania, do żadnej organizacji, przynajmniej formalnie. Tylko

z tymi informacjami to nie najlepszy pomysł. Może ktoś z rodziny się odnalazł? – Sergiusz myślał intensywnie.

– Z jego rodziny znałem jedynie ojca i matkę, ale wyemigrowali do Ameryki, zanim Hitler napadł na Sowietów – mruknął.

– Więc może oni? – zapalił się do pomysłu „Kary".

– Niekoniecznie. Jego matka była polską szlachcianką, a ojciec oficerem carskim. Raczej nie kochają ich w Związku Radzieckim, a Łyszkin musiał udawać, że się ich wyrzekł. Skomplikowana sytuacja. Pozostała jeszcze Hanka Lewinówna. Jego… jak by to powiedzieć… miłość. Wyjechała do Londynu tuż przed powstaniem – powiedział Julian.

– No przecież znam Hankę. Sam ją odwoziłem na dworzec. To ten twój koleżka i ona? Ta wielka miłość brzmi dużo lepiej niż carski oficer – mruknął Sergiusz.

Chełmicki zakrył twarz rękoma.

– Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co poczuje Igor, jeśli zamiast Hanki zobaczy mnie…

– Nie czas chyba na podobne dylematy. Tu idzie o ludzkie życie! – warknął Sergiusz.

– Tak, masz rację. Ale resort bezpieczeństwa? Myślisz, żeby od nich zacząć? – Chełmicki wiedział, jak bardzo niedoskonały jest to pomysł, zwłaszcza że Łyszkin był agentem. Same komplikacje. Może jednak cudem odnalezieni rodzice byliby lepszym rozwiązaniem?

– Posłuchaj, widzę, że wciąż nie jesteś przekonany. Wobec tego zaryzykuję z informacją poufną, tajną czy jak to zwał. Mam nadzieję, że dadzą wiarę i przekażą mu, co trzeba. Jeśli zaś mnie od razu zwiną, bo ja tej swołoczy za grosz nie wierzę, to… wracaj do Szwajcarii – z westchnieniem powiedział „Kary".

– Musisz przekazać taką informację, którą zrozumie jedynie Igor. Zostawisz list, a tam napiszemy coś takiego, że tylko Łyszkin będzie wiedział, kto go szuka i gdzie ma się ze mną spotkać. Nie sądzę, iżby cię zgarnęli za zostawienie koperty, istnieje jedynie ryzyko, że ta wiadomość nigdy do niego nie dotrze – mruknął Julian.

– A co jeśli się nie uda? – zapytał zatrwożony Sergiusz.

– Pozostanie nam walczyć oficjalnymi kanałami – stwierdził Chełmicki. – Miejsce odbywania kary nie powinno stanowić szczególnej tajemnicy,

przynajmniej tak mi się wydaje. Jeśli skazano ją w Moskwie na łagry, ona musi być w którymś z nich.

– Tyle to i ja wiem. Boże… Mój wyjazd do Hiszpanii wydaje się teraz niewinną przejażdżką do Grójca w niedzielne popołudnie. – Sergiusz zakrył twarz rękoma. – Nawet jeśli dowiem się, gdzie jest, i tam cudem dotrę, nie wyciągnę jej stamtąd. To po prostu niemożliwe…

– Ale możemy sprawić, że jej życie będzie znośniejsze. Za pieniądze można poprawić byt nawet w piekle. – Julian zacisnął zęby.

„Kary" pokiwał głową, ale czuł się pokonany i bezradny. Tak jak wówczas, gdy z ukrycia patrzył na egzekucję swoich rodziców. Nie było jednak czasu, by się rozklejać, przystąpili więc do realizacji jedynego planu, który w tej beznadziejnej sytuacji przyszedł im do głowy. Julian Chełmicki przygotował krótką notatkę.

– Kto to jest ciocia Ochotnicka z Grzybowskiej? – zapytał Sergiusz, zaglądając przez ramię Julianowi.

Chełmicki uśmiechnął się smutno.

– To taki nasz umówiony sygnał. Wiadomo wtedy było, że umawiamy się na dziwki i idziemy do jednego z najlepszych burdeli w Warszawie. Bywał z nami także nasz przyjaciel, Walter von Lossow. I pomyśleć, że nagle stanęliśmy po różnych stronach barykady…

– Przyjaźń, która zwyciężyła wojnę. Ileż w tym patosu – nieco złośliwie zauważył Sergiusz, bo sam nigdy nie miał przyjaciela i nie wierzył, że wojna nie zmienia nawet najsilniejszych relacji.

– To nie patos. Wojny też nie powstrzymaliśmy. Po prostu ona dla nas nie istniała – burknął Chełmicki, nieco zły, że „Kary" nie wierzył w solidarność ich trójki.

Wbrew pozorom to właśnie wojna pokazała siłę ich męskiej przyjaźni. Łatwo być kumplem, a nawet zapewniać o dozgonnym sojuszu, gdy chodzi się razem na hulanki, a pomoc polega jedynie na leczeniu złamanego serca kompana. Gorzej, gdy trzeba coś poświęcić albo zaryzykować. Dopiero w tak trudnych chwilach widać, ile warta jest taka przyjaźń. A oni dowiedli, że bardzo wiele.

***

Gmach Urzędu Bezpieczeństwa Wewnętrznego budził grozę już samym wyglądem. Jakby miał być świadectwem wielkości, powagi i budzić lęk w każdym, kto wkraczał w jego mury. Sergiusz pomyślał, że mieszkający w nim przed wojną studenci musieli czuć się w takim ponurym domu bardzo nieswojo.

W holu, tuż przy wejściu, stało biurko, a za nim siedział młody żołnierz, którego mina mogłaby odstraszyć jeszcze bardziej niż fasada budynku.

Sergiusz zatrzymał się i powiedział stanowczym głosem:

– Podporucznik Sergiusz Dargiewicz, jednostka NKWD Rembertów, z informacją dla kapitana Igora Łyszkina.

Młody człowiek natychmiast stanął na baczność, ale podejrzliwie patrzył na cywilne ubranie przybysza.

– A w jakim departamencie pracuje? I przepustkę poproszę.

– Czy nie wiecie, że pewnych informacji się nie podaje? Dyrektywa numer trzydzieści dwa z piątego stycznia czterdziestego piątego.

Sergiusz naprędce wymyślił przepis, który nigdy nie istniał, i zanim funkcjonariusz zdołał cokolwiek powiedzieć, a nawet pomyśleć o owym przepisie, o którym nigdy nie słyszał, ten położył mu na biurku zalakowaną kopertę z nazwiskiem Łyszkina, po czym mruknął „spocznij” i wyszedł z budynku. Teraz musieli jedynie czekać. Chełmicki wyznaczył spotkanie w miejscu dawnego burdelu, na następny tydzień, nie wiedział bowiem, ile zajmie przekazanie informacji Łyszkinowi.

***

Kamienica, w której mieścił się niegdyś luksusowy burdel dla paniczów z wyższych sfer, była jedynie kupą gruzu i pozostały z niej tylko dwie pogruchotane ściany. Julian i Sergiusz siedzieli za załomem jednej z nich i nerwowo paląc papierosy, wypatrywali Igora Łyszkina. Sergiusz nie miał pojęcia, jak wygląda przyjaciel Chełmickiego i co kilka minut zagadywał, czy jakiś przechodzień nie jest właśnie tym, na którego czekają.

– Dajże już spokój. Igor jest wysokim mężczyzną o szerokich ramionach i jasnych włosach, a ty mi pokazujesz jakichś starców z brodą albo niskich, łysych jegomościów – zirytował się Chełmicki.

– Wojna zmienia ludzi…

– Ale chyba nie aż tak, żeby im odbierać dwadzieścia centymetrów wzrostu. – Julian uśmiechnął się półgębkiem. – Dzięki Bogu… Idzie.

– W mundurze tych bandziorów. Pewnie jest taki sam jak oni, jeśli się dochrapał takiego stopnia. Ja mu ręki nie podam – mruknął Sergiusz.

– Nie zapominaj, że on nam może pomóc. – Julian rozzłościł się, że „Kary" tak szybko ocenił Igora, nie znając go.

– Najchętniej udusiłbym gnoja i zostawił w tych gruzach, ale masz rację… muszę być miły. – Sergiusz aż gotował się w środku, że jest zdany na łaskę kogoś takiego.

– Julian, stary *drugu!* Jakże się cieszę, że wyszedłeś cało z tego piekła. – Łyszkin wylewnie przywitał się z Chełmickim.

Po chwili ujrzał Sergiusza i przeniósł pytający wzrok na Juliana.

– To mój przyjaciel, Sergiusz. Musimy pogadać, Igor – z westchnieniem powiedział Chełmicki.

– Łyszkin. – Igor wyciągnął dłoń w kierunku „Karego".

Ten jakby przez moment zawahał się, ale w końcu przywitał się z Łyszkinem.

– Zaprosiłbym cię do siebie, ale lepiej będzie, jeśli nikt nie będzie nas widział razem – stwierdził Łyszkin, po czym dodał: – Znam jedno miejsce, gdzie możemy pogadać spokojnie.

„Pewnie – pomyślał złośliwie Sergiusz. – Jeszcze mogłoby to zaszkodzić twojej reputacji, ruska świnio".

Tymczasem Igor Łyszkin nie miał pojęcia o złowrogich myślach kierowanych w jego stronę przez „Karego". Uznał, że jeśli ów człowiek przyszedł z Julianem, jest godny zaufania.

W ruinach Warszawy, między pogruchotanymi budynkami, w suterenie jednego z nich, powstała mała jadłodajnia. Jedzenie nie było specjalnie wykwintne, a przy stolikach stały różne krzesła, ale w istocie to miejsce można było uznać za dyskretne.

– Alicja Rosińska… No tak, to ta tancerka. Kompletnie jej nie skojarzyłem – mruknął Igor.

– Tak. Pamiętasz, gdy spotkaliśmy się u „Loli" i pytałeś o Adriannę, mówiłem ci, że wiele się zmieniło… Alicja została moją narzeczoną – powiedział Chełmicki.

– Wydawało mi się, że zamieniłeś ją na tę lekareczkę? Widzę, że nie jestem na bieżąco. Z akt wyczytałem jedynie, że była zwykłą dziwką, z którą

czasami się zabawiałeś, na zmianę z tym całym Grossem. – Łyszkin roześmiał się, ale gwałtownie spoważniał: – Nie znam szczegółów zatrzymania tej kobiety. Wiem, że moi koledzy dobrali się do akt z Szucha. Twoja teczka i tej Rosińskiej trafiły do mnie, bo byliście na wyspie Uznam, gdzie testowano nową broń. Chcieliśmy wiedzieć, czy prowadzono także prace nad bombą atomową. Twoją teczkę schowałem, nazwisko usunąłem z listy, ale tę całą Alicję już wtedy zatrzymano w Warszawie. Kurwa mać, miałem nawet z nią rozmawiać o ewentualnej współpracy, jednak znaleźli również dużo o mnie, Hance i tym twoim braciszku z piekła rodem, który cię wydał w łapy gestapo. Za dużo tam o mnie było… i popadłem w niełaskę, a za karę wysłali mnie do Warszawy. Nawet nie wiem, czy kiedyś jeszcze powrócę do swoich normalnych zajęć.

Sergiusz, aż gotował się w środku, gdy Łyszkin mówił w taki sposób o Alicji. Wiedział jednak, że zarówno jej romans z Grossem, jak i z Julianem był prawdą, i patrząc z boku, trudno było myśleć dobrze o takiej kobiecie.

– Rozmawiać to znaczy lać pałą czy przypalać papierosem? – zadrwił „Kary”.

– Zamknij się, do cholery! – syknął Chełmicki, którego po prostu zmroziła informacja o Emilu.

Kiedyś użalał się nad nim i wraz z Alicją uratowali życie temu łotrowi, a tymczasem okazało się, że to Lewinowi zawdzięczał swój niezbyt przyjemny pobyt na Pawiaku i drakońskie przesłuchania na Szucha.

Igor spojrzał zimno na „Karego”, ale nie odpowiedział na jego prowokacyjne pytanie. Postanowił ignorować tego człowieka. Przybył na spotkanie, bo chciał zobaczyć się z przyjacielem i ostrzec go. Poprosił jednak Juliana o rozmowę w cztery oczy. Nie chciał się więcej narażać z powodu jakiegoś obcego gbura.

– Posłuchaj, Julianie… Nie mam takich koneksji ani takiej mocy sprawczej, żeby ją wyciągnąć z łagru. Ale dowiem się, gdzie przebywa i dołożę starań, żeby było jej tam względnie dobrze. Mógłbym ją wyciągnąć tylko w jednym przypadku, gdyby zgodziła się na współpracę z nami, jeśli jednak wybrała długoletnią zsyłkę, nie sądzę, żeby teraz nagle się zgodziła. Jeśli zaś to sfinguję i tak nie dostanę jej pod swoją opiekę, a wtedy… będzie jeszcze bardziej pilnowana niż w łagrze, a każda próba sprzeciwu może się dla niej źle skończyć. A kiedy przestanie być przydatna… możesz się jedy-

nie domyślać… Ale ty, Julianie, masz jeszcze szansę, więc błagam, uciekaj stąd. Im dalej, tym lepiej… – poprosił Łyszkin, gdy Sergiusz opuścił lokal.

„Kary” od razu zaczął żałować swojego ciętego języka, bo wiele by dał, żeby teraz posłuchać, co mówi Igor. Miał jednak nadzieję, że Chełmicki niczego nie będzie przed nim ukrywał. Zwłaszcza jeśli chodzi o Alicję. Nerwowo kręcił się w okolicach knajpki i wydawało mu się, że minęły całe wieki, zanim wyszedł z niej Julian. Ruszyli w stronę ich kwatery, ale dopóki nie znaleźli się w środku, nie rozmawiali ani o Alicji, ani o Igorze. Dopiero gdy zamknęli za sobą drzwi, Julian zaczął mówić. A to, co powiedział, sprawiło, że Sergiusz miał ochotę walić głową w ścianę. Sytuacja wyglądała na beznadziejną.

– Posłuchaj, Chełmicki, i mówię to zupełnie serio. Bierz dupę w troki i wracaj do Weroniki i córki. Jeśli cię zwiną, nic mi tutaj po tobie. Ja będę kontaktował się z tym twoim czerwonym koleżką i przesyłał przez niego pieniądze i wszystko, czego będzie potrzebowała Alicja. I będę na nią czekał… – powiedział cicho.

– Dwadzieścia lat? – zapytał zatrwożony Julian.

– Mam nadzieję, że nie aż tak długo. Będę pisał, odwoływał się, może ten cały Łyżkow powie mi, gdzie najlepiej uderzyć i kogo przekupić. I muszę zaopiekować się Mateuszkiem, muszę mu powiedzieć, że nie zobaczy swojej mamy bardzo długo, muszę nauczyć go z tym żyć… Muszę… Kurwa, tyle rzeczy muszę i tak niewiele mogę…

„Kary” miał ochotę się rozpłakać. Nie wiedział, jak i co powie małemu chłopcu, w jaki sposób przekona rodzinę Alicji, że miejsce Mateuszka powinno być przy nim, i nie miał pojęcia, co będzie dalej. Bez Alicji. Życie byłoby prostsze, gdyby jej nie kochał. Wydobyłby swoje pieniądze i złoto, a potem wyjechał do siostry, do Londynu, i żył z daleka od nowych okupantów, czekając, aż kiedyś ten potwór, Stalin, zdechnie i może coś się zmieni w układzie sił na świecie.

– Nie wiem, co robić – jęknął Chełmicki. – Rozwiązano Armię Krajową, moi kompani nie żyją, a dowódcy są w niewoli. A na mnie i innych cudem uratowanych polują tak samo, jak niedawno gestapo.

– Już ci mówiłem, co masz robić. Uciekaj stąd. Zabieraj matkę z ośrodka i niech wszelki ślad w tym kraju po tobie zaginie, bo majątku raczej już nie odzyskasz, jak znam to bolszewickie bydło. Masz szansę żyć normalnie i przedłużyć dzieje swojego rodu, bo ten twój braciszek to wam jedynie

hańbę przynosi. A jeśli kiedyś Alicja powróci, być może będziesz nam bardzo potrzebny. Weronika i Amelka czekają na ciebie, tutaj i tak zrobiłeś więcej niż ja, bo może dzięki temu twojemu ruskiemu koleżce będę wiedział, że Alicja żyje. – Sergiusz przemawiał do Chełmickiego spokojnym, ale stanowczym głosem.

– Może odrodzi się nasza armia… może znowu będziemy walczyć, jak kiedyś. I w końcu zwyciężymy, a Polska będzie wolna? – Julian pytał bardziej siebie niż Sergiusza.

– Rozejrzyj się… i zejdź na ziemię. Popatrz na to miasto i powiedz tym wszystkim ludziom, którzy stracili rodziny i domy, że było warto. Z kim chcesz budować tę armię? Przecież większość nie żyje. Z tą garstką narwańców pochowanych po lasach? Jak chcesz przekonać zwykłych ludzi, żeby po tylu latach strachu i terroru znowu zaczęli się bać? Przegraliśmy tę wojnę. Jesteśmy pokonani i pogódź się z tym, do jasnej cholery. Nic nie zrobisz. Możesz jedynie wybrać pomiędzy życiem i śmiercią, która nikomu nie przyniesie niczego dobrego. Twoja ofiara jest po prostu nikomu niepotrzebna. A tam, w Szwajcarii, masz możliwość jeszcze porządnie zjeść, dobrze się wyspać i popatrzyć, jak dorasta twoja córka. Alicja nie dostała tej szansy, ale jeśli zginiesz, nadstawiając karku, nadal jej mieć nie będzie. – Sergiusz naprawdę nie chciał, żeby Chełmicki się poświęcał dla nieistniejących ideałów i dla Alicji, która najpewniej nigdy już do niego nie powróci, nawet jeśli przeżyje.

– Muszę stąd wyjść, duszę się… – wysapał Julian.

Ruszył na spacer ulicami Pragi. W tym miejscu nie było tak dramatycznie, jak po drugiej stronie Wisły, jednak Chełmicki miał wrażenie, że to nie jest już jego miasto. Ani jego miejsce na ziemi. Sergiusz miał rację. Alicja była daleko i nic go tutaj nie trzymało. Postanowił, że następnego dnia spróbuje dostać się do ośrodka, odbierze matkę i wyjadą, dopóki był czas. W tłumie przemieszczających się ludzi z zachodu na wschód i odwrotnie, gdzie granice wciąż były płynne i kiepsko strzeżone, mieli szansę się wymknąć spod oka Sowietów. Obawiał się, że za kilka miesięcy może być już za późno. Poza tym miał poczucie, że bardzo się zestarzał. Dopiero przekroczył trzydziestkę, ale jego ciało było dużo starsze, niż wynikało z metryki. Dokuczała mu noga, pogruchotana podczas przesłuchania na gestapo, a wnętrzności wciąż dawały mu się we znaki po każdym kiepskim posiłku. Wychudł, opadł z sił, był zwykłym wojennym kaleką. Miał wybór, a to i tak więcej,

niż mieli inni. Doszedł do wniosku, że jeśli coś się zmieni, zawsze będzie mógł wrócić. Jeżeli zaś pozostanie teraz w Polsce, być może już nigdy nie zobaczy swoich bliskich.

Następnego dnia pożegnał się z Sergiuszem i tym razem zupełnie szczerze życzył mu powodzenia. Nie mógł powiedzieć, że lubił go tak samo, jak Igora czy Waltera, ale na pewno darzył go większą sympatią niż na początku znajomości. Doszedł także do wniosku, że „Kary" bardziej zasłużył na miłość Alicji niż on. Żywił nadzieję, że kiedyś ją odnajdzie i zrobi to, na co jego nigdy nie było stać. Życzył Sergiuszowi tego z całego serca, bo dla niego Alicja będzie już jedynie wspomnieniem i wyrzutem sumienia, że zniszczył ich piękną miłość.

25. Monachium, 1945

– Kiedy będę mogła zobaczyć się w lusterku, profesorze? – zapytała Renate Zoll, gdy doktor oglądał rany po kolejnej operacji.

– Wyjmę ostatnie szwy i będzie pani mogła się przejrzeć. Na razie blizny będą widoczne i mocno zaczerwienione, ale proszę się tym nie przejmować. Za kilka tygodni pani twarz będzie wyglądała w miarę normalnie – zapewnił doktor i przywołał pielęgniarkę z nożyczkami do cięcia szwów.

Lekarz robił to delikatnie i z pietyzmem, aby przypadkiem nie zadać bólu swojej pacjentce. Ta była mocno zniecierpliwiona, bowiem czekała na pierwszą prezentację swojego nowego oblicza. Miała nadzieję, że obrzydliwe szramy, które zafundował jej ten paskudny pies, zniknęły bez śladu.

W pierwszej chwili Renate wydawało się, że z lustra patrzy na nią zupełnie obca kobieta. Posiniaczona, z widocznymi czerwonymi pręgami, ale piękna. Jednak to nie była jej twarz, tylko kogoś zupełnie innego. Nie miało to jednak znaczenia, postanowiła, że musi poważnie zastanowić się nad swoją przyszłością, gdy już sińce i obrzęki znikną. Na Śląsk i do Warszawy nie miała po co wracać. To właśnie ze Śląska ciągnęły całe masy ludzkie, by schronić się w Rzeszy. Po jej kapitulacji nie uciekali z własnej woli, ale zostali wypędzeni przez nowych gospodarzy, Polaków i Rosjan. Więc gdzie miałaby się podziać? Od razu przyszedł jej do głowy Berlin. Nie miała pojęcia, jak teraz wyglądało to miasto i jakie decyzje dotyczące przyszłości Niemiec zostaną podjęte, ale wierzyła, że kiedyś Berlin wstanie z kolan, a ona wtedy będzie dokładne tam, gdzie być powinna. Z nową, piękną twarzą. Był także pewien plus tej metamorfozy – nie będzie musiała obawiać się, że ktoś ją rozpozna. Była przekonana, że powtarzane plotki mają w sobie ziarno prawdy i ktoś pewnego dnia zechce rozliczyć nazistów z ich poczynań. A ona była strażniczką w więzieniu, i to nie z tych, które osadzeni mogliby wspominać z rozrzewnieniem. Za to, co robiła, być może skazano by ją nawet na śmierć. By żyć spokojnie, musiała także zmienić tożsamość, a teraz była ku temu najlepsza okazja.

***

Po kilku tygodniach była gotowa do drogi i do nowego życia.

– I cóż teraz zamierza pani robić? Z nową, piękną twarzą? Nie jest to najlepszy czas na robienie kariery… – z westchnieniem zapytał doktor.

– Nie mam pojęcia… – Renate wzruszyła ramionami. – Pojadę do Berlina…

– Panno Zoll, Berlina już nie ma. Tak jak całej wielkiej Rzeszy. Ale tego miasta bardziej niż innych. Podobno Rosjanie zrównali je z ziemią – powiedział profesor Gottman i ściszył głos: – Powiadają, że ci barbarzyńcy nie odpuszczają żadnej kobiecie. Gwałcą nawet staruszki i małe dziewczynki. I nikt nie jest w stanie okiełznać tego żywiołu, nawet Amerykanie, którzy też już weszli do miasta.

Renate zamyśliła się. Przypomniała sobie, jak o mały włos nie spotkałoby jej to samo w warszawskim szpitalu. Brudni, śmierdzący „własowcy” byli obrzydliwi… Profesor miał rację, narażanie się na podobny atak w Berlinie było co najmniej nierozsądne. Najwyraźniej dla nich koniec wojny wcale nie oznaczał końca brutalnych praktyk.

– Więc już nie mam pomysłu. – Wzruszyła ramionami. – Na Śląsku, gdzie mieszkałam przed wojną, też już są Rosjanie i nie zanosi się na to, żeby szybko się stamtąd wynieśli.

– Miałem kiedyś pacjenta. Jest ważną personą, a może powinienem powiedzieć „był”, w zakładach Kruppa, w Essen. To jakiś powinowaty starego Gustava. Gdy stało się jasne, że przegramy tę wojnę, zaszył się w swojej rezydencji, kilkadziesiąt kilometrów za miastem. Część swojego majątku przetransferował do Szwajcarii, więc wciąż jest bogaty, jednak nieco zdziwaczał, bo zwolnił wszystkich swoich pracowników, w tym osobistego sekretarza, w obawie przed ich współpracą z Rosjanami. Myślę, że przesadza, zwłaszcza że odpowiadał za kontrakty zagraniczne i nawet go nie przesłuchano jako świadka w procesie norymberskim. Był u mnie niedawno i mówił, że szuka kogoś zaufanego. Osoby, dla której Trzecia Rzesza będzie istnieć nawet wówczas, gdy upadnie. Rozumie pani… Nie potrafi się pogodzić z pewnymi faktami. Mogę napisać pani list polecający i niech pani do niego jedzie.

Renate Zoll nie miała pojęcia, dlaczego profesor postanowił jej pomóc i uznał za osobę wartą tak wielkiego zaufania. Może z uwagi na jej wcześniejsze zajęcie, które wymagało dużej bezwzględności i odporności? Tak czy inaczej, wkrótce doktor otrzymał depeszę, że Ludwig Liber zaprasza jego protegowaną do siebie.

Nie wiedzieć czemu, ale jadąc w okolice Essen i rozmyślając o swoim nowym zajęciu, Renate wyobrażała sobie Ludwiga Libera jako zasuszonego starca z manią prześladowczą i ślinotokiem. Wzdrygała się na myśl, że będzie musiała być jego pielęgniarką, a nie sekretarką. A że podróż w tym okresie nie należała do prostych, zajęła Renate niemal trzy dni, podczas których zdążyła wymyślić wszystkie najbardziej uwłaczające zajęcia, jakie będą jej udziałem. Tym bardziej że zanim zgodził się na jej przyjazd, wypytywał doktora o wszystkie jej umiejętności i cechy charakteru. Oczywiście profesor niewiele o niej wiedział, dlatego przekazywał wszystko, co jego rozmówca chciał usłyszeć.

Dom prezentował się okazale i nowocześnie, co nieco zdziwiło Renate, która spodziewała się raczej ujrzeć pałac w barokowym stylu, a nie rezydencję o modernistycznej fasadzie, przypominającą dziwaczne projekty Ludwiga Miesa. Przeszklenia wzdłuż całych kondygnacji, geometryczna bryła i biel elewacji bardziej kojarzyły się z nowoczesnymi zakładami produkcyjnymi aniżeli z domem mieszkalnym.

Renate zajęło trochę czasu, zanim odnalazła drzwi, które mogła uznać za wejście. Była śmiertelnie zmęczona podróżą, ponieważ drogę ze stacji kolejowej, patrolowanej przez amerykańskie i brytyjskie wojsko, przebyła piechotą. Nacisnęła dzwonek i usłyszała piszczący dźwięk roznoszący się po domostwie, jak gdyby zwiastował nadchodzące kłopoty, a nie przybycie gości. Drzwi otworzyła ogromna kobieta o twarzy buldoga i stopie nasuwającej Renate myśli o legendarnym yeti, którego historię przeczytała kiedyś w gazecie i oglądała ryciny mogące przedstawiać tegoż właśnie stwora. Najbardziej zapamiętała właśnie jego stopy, których ślady odnaleźli naukowcy w jakichś górskich ostępach.

– Marie Rauch. – Renate niemal dygnęła, onieśmielona zarówno posturą, jak i wyrazem twarzy kobiety.

– Pan Ludwig jest w swoim gabinecie – sucho odpowiedziała kobieta, zaryglowała drzwi na kilka pokaźnych zasuw i wskazała Renate drogę do owego gabinetu.

Wnętrze również nawiązywało do modernizmu, było tutaj niemal jak w klinice, którą niedawno opuściła, a drzwi nie posiadały klamek, a jedynie uchwyty, które przesuwały skrzydła po metalowych szynach.

Ludwig Liber wcale nie był zasuszonym starcem, ale mężczyzną około czterdziestki, którego mogłaby nawet uznać za atrakcyjnego, gdyby nie bie-

gnąca wzdłuż policzka szrama. Zapewne rana musiała być paskudna, jeśli nawet lekarze z monachijskiej kliniki nie potrafili sobie z nią poradzić.

– Witam, panno Rauch – powiedział Liber. – Słyszałem o pani wypadku, ale widzę, że wszystko zakończyło się pomyślnie.

Po chwili wskazał palcem na swój policzek.

– Ja miałem mniej szczęścia. Chociaż gdyby pani zobaczyła mnie wcześniej… Byłem wtedy w Kolonii, gdy Brytyjczycy rozpoczęli swoje naloty. Cudem ocalałem, ale straciłem pół twarzy. Teraz też nie wygląda to zbyt dobrze, ale chociaż przypominam wyglądem człowieka.

– Niemal każdy stał się ofiarą tej wojny – dyplomatycznie powiedziała Renate i uścisnęła dłoń Ludwiga. Po chwili zapytała rzeczowo: – Jaki byłby zakres moich obowiązków?

Mogła sobie pozwolić na taki ton, bo jej nowy pracodawca nie sprawiał wrażenia człowieka, którym należało się opiekować w dosłownym sensie.

– Ach, od razu pani przechodzi do rzeczy. – Próbował się uśmiechnąć. – Proszę najpierw coś zjeść, a potem Greta pokaże pani pokój. Czasy mamy ciężkie, więc proszę nie spodziewać się rarytasów, ale jeśli ma się pieniądze, nawet w takiej sytuacji można zorganizować podstawowe produkty. Przejdźmy do jadalni.

Renate rzeczywiście była bardzo głodna i nawet nie myślała o żadnych wykwintnych potrawach, ale o czymkolwiek, czym mogłaby zapełnić żołądek. Stół, przy którym siedzieli, miał drewniany, gruby blat, wsparty na metalowych nogach, i był równie dziwaczny, co cała reszta futurystycznych mebli. Ogromna Greta postawiła przed nią talerz zupy z kartofli i położyła obok grube pajdy chleba. Ludwig zaś otrzymał miskę jakiejś papki, która wyglądała obrzydliwie. Renate spostrzegła, że Liber może jedynie nieznacznie otworzyć usta, stąd zapewne taka konsystencja jedzenia.

Kiedy jej żołądek wypełnił się gorącą zupą, poczuła senność i była wdzięczna Ludwigowi, że tego dnia nie zamęczał jej dyskusjami o pracy. Wykąpała się i położyła na miękkim tapczanie w swoim pokoju. Cała ściana pomieszczenia była przeszkolona, a przed oczami rozciągał się sielski widok doliny i niewielkiego zagajnika. Mimo że wciąż było bardzo widno, nawet nie zaciągnęła zasłon, tylko usnęła z przedziwnymi myślami, dotyczącymi tego nietypowego miejsca, tajemniczego gospodarza i równie tajemniczej gosposi.

Następnego ranka Ludwig pokazał jej gabinet i zlecił uporządkowanie papierów znajdujących się w licznych kartonach i segregatorach. Nakazał również bezpowrotnie zniszczyć wszystko, co dotyczyło jego związków z zatrudnianiem przymusowych robotników w jednym z zakładów Kruppa. Oprócz tego, gdyby napotkała na jakiekolwiek listy od wysoko postawionych urzędników i generałów Trzeciej Rzeszy, także miała wrzucić je do kominka. Ludwig posiadał z nimi liczne kontakty, podobnie jak cały zarząd Kruppa, który wylądował w areszcie. Liber nie chciał, aby po owych znajomościach pozostały jakiekolwiek ślady. Renate pomyślała, że każda lojalność ma swoje granice, i rozumiała to. Ona także nie miała zamiaru chwalić się swoim poprzednim zajęciem, uznając, że najważniejszy jest spokój i wygodne życie. Zastanawiała się także, czy jeśli sytuacja się wyklaruje, a Ludwig będzie bezpieczny, mogłaby stać się dla niego kimś więcej niż tylko sekretarką. Po kilku godzinach wiedziała bowiem, że jej chlebodawca mimo zawirowań wojennych jest wciąż bardzo bogatym człowiekiem.

26. Suffolk, 1945

Hanka, zobaczywszy posiadłość Cavendishów w Suf- folk, poczuła się jeszcze bardziej onieśmielona niż wówczas, gdy znalazła się w domu Niechowskich pod Londynem. Wypielęgnowane, soczyście zielone trawniki, poprzecinane kamienistymi alejkami, wiodły wprost pod szerokie schody trzykondygnacyjnej, ogromnej rezydencji.

– Stara, dobra angielska arystokracja. – Piotr uśmiechnął się pod nosem i dodał: – Nawet nie próbuj zgadywać, kto jest lordem, kto ma przydomek „hon", a który to kuzyn księcia. Na szczęście i tutaj dotarła odrobina nowoczesności, a praca przestała być zajęciem haniebnym dla arystokraty. Coraz więcej lordowskich potomków i baronów zasiada w zarządach banków czy zakłada fabryki i nie budzi to takiego niesmaku jak jeszcze dwadzieścia lat temu. Oczywiście, pozostała stara gwardia, dla której nawet kupowanie mebli jest wręcz niesmaczne, bowiem takie rzeczy się dziedziczy, a nie nabywa.

– Już jestem przerażona – westchnęła Hanka.

– Daj spokój, młodzi Cavendishowie są zupełnie inni. Chociaż zdarzają się niechlubne wyjątki. A teraz, gdy wojna się skończyła, to będzie zupełnie nowa kasta ludzi. Już myślą o mniejszych, samodzielnych domach na przedmieściach albo skromnych mieszkaniach w Londynie czy Cardiff. Chcą się bawić, chodzić do lokali rozrywkowych i coraz częściej kpią z dworskiej etykiety – pocieszył ją Piotr.

Chyba jednak nie było aż tak nowocześnie, jak mówił Piotr, bo przed wejściem czekała na nich Henrietta Cavendish z siostrą przypominającą wyglądem bociana, kamerdyner, lokaj, pokojówka i guwernantka, która od razu zajęła się dziećmi Hanki i zniknęła z nimi w krętych korytarzach posiadłości.

– Hanna Lewin – dokonał prezentacji Piotr.

Stary kamerdyner o siwych włosach i słusznym brzuchu zmarszczył nos i szepnął do stojącej obok pokojówki:

– Pamiętam czasy, gdy śpiewacy mogli wchodzić jedynie kuchennymi drzwiami.

Hanka oblała się rumieńcem i chciała powrócić do samochodu po swoje bagaże, ale lokaj i pokojówka uprzedzili ją i jej walizki już były wnoszone do wnętrza. Henrietta musnęła policzek Hanki, zaś jej siostra pokiwała gło-

wą i wyciągnęła w jej kierunku szczupłą dłoń. W porównaniu z Henriettą była naprawdę paskudna. Długi, szpiczasty nos rzucał się w oczy niemal od razu, a małe szparki zamiast oczu i wąskie usta jeszcze bardziej go eksponowały. Spod drogiej, luźnej sukienki wystawały chude łydki i wąskie stopy obute w eleganckie pantofle.

Weszli do holu, gdzie wszystko ociekało wręcz bogactwem i świadczyło o wielowiekowej historii rodu Cavendish.

– Haniu, odśwież się i przebierz, za godzinę będzie obiad. Daisy wskaże ci pokój, który będzie do twojej dyspozycji na czas pobytu – powiedziała Henrietta.

„A na cholerę mi pokojówka?" – pomyślała złośliwie Hanka, ale podążyła za drobną Daisy po szerokich, bogato rzeźbionych schodach. Gdy weszły do ogromnej sypialni, Daisy niemal od razu przystąpiła do wypakowywania bagaży, Hance zaś wskazała łazienkę i miejsce, gdzie znajdowały się ręczniki i włochate szlafroki.

Lewinówna najchętniej położyłaby się w wannie i przesiedziała w niej pół dnia, rozkoszując się ciepłą wodą i widokiem ręcznie malowanych kafli, ale wiedziała, że ma jedynie godzinę, by przygotować się do obiadu. Pierwszy raz od wielu miesięcy poczuła, że wojna naprawdę już jej nie dotyczy, zwłaszcza iż to miejsce sprawiało wrażenie nietkniętego wojenną pożogą. Nawet w Londynie widoczne były ślady nalotów, przed sklepami ustawiały się kolejki po przydziałowe jedzenie, a po ulicach chodzili albo jeździli na wózkach okaleczeni weterani. Tutaj czas zatrzymał się w miejscu, a ona jakby na chwilę powróciła do dawnych, przedwojennych czasów, gdy brylowała na szlacheckich salonach. I chociaż Niechowscy nie mieli tak licznej służby, jak Cavendishowie, to kochali blichtr i te wszystkie formalności świadczące o ich przynależności do arystokratycznego świata. Ona była dla nich nikim, fanaberią syna, i jedynie jej wielka kariera pieśniarki mogła stanowić jakąś zaletę. Teraz jednak śpiewała, jak to się mawiało złośliwie, do kotleta, nie należała także do rodziny Niechowskich i wiedziała, że nawet tutejsza służba potraktuje ją obcesowo, tak jak to zrobił stary kamerdyner.

– Dużo przyjeżdża tutaj osób takich jak ja, Daisy? – zapytała po wyjściu z łazienki, stojącej niemal na baczność pokojówki.

– To znaczy? – niezbyt miło burknęła dziewczyna.

– Artystów? – doprecyzowała Hanka.

– Rozumiem, że chodzi pani o artystów, których obrazy wystawiane są w najlepszych galeriach świata, śpiewaków dających występy w Palladium i pisarzy znanych nawet w Ameryce? – złośliwie zapytała pokojówka i dodała: – Tak, tak znakomitych artystów państwo często goszczą. Ale przed wojną zapraszano często różne osoby, by uświetniły jakieś przyjęcia albo bal dla służby.

– Słuchaj, Daisy… – zirytowała się Hanka. – Przed wojną występowałam na wielu europejskich scenach, nie jestem byle kim.

– Oczywiście, lady Lewin – mruknęła Daisy, która doskonale wiedziała, kiedy przestać dyskutować.

– Życzyłabym więc sobie, abyś okazywała mi należyty szacunek – stanowczo zaznaczyła Hanka, w której nagle odezwał się duch dawnej diwy.

– Oczywiście, lady Lewin. Jestem zobowiązana okazywać szacunek każdemu gościowi lordostwa Cavendish, nawet jeśli śpiewa w podrzędnym lokalu albo na wiejskim jarmarku – słodko odpowiedziała Daisy. – Czy będę jeszcze pani potrzebna?

Hanka najchętniej odesłałaby tę bezczelną dziewuchę do diabła, ale jej słowa zdenerwowały ją i postanowiła pognębić nieco dziewczynę.

– Podaj mi zieloną suknię z białym kołnierzem, tylko wyprasuj ją uprzednio. Nie mogę się pokazać na obiedzie w wymiętej garderobie – warknęła.

– Oczywiście, lady Lewin – wycedziła pokojówka, po czym wyciągnęła z szafy zieloną sukienkę i upewniwszy się, że chodzi właśnie o nią, opuściła pokój.

Hanka odetchnęła z ulgą i z kuferka na kosmetyki wyciągnęła szczotkę, puder i szminkę. Jeszcze niedawno nie posiadała nawet porządnego grzebienia do włosów, teraz jednak kupiła sobie niemal wszystko, co potrzebne było zadbanej kobiecie, chociaż zapewne nie mogła się równać z siostrami Cavendish, których kuferki na kosmetyki były większe niż jej walizka na garderobę.

Patrząc na swoje odbicie w lustrze, Hanka Lewin uśmiechała się do siebie. Z dnia na dzień wyglądała coraz bardziej ponętnie, a wychudzona maszkara stawała się jedynie wspomnieniem. Przymknęła powieki i wyobrażała sobie, że za chwilę w drzwiach stanie Igor Łyszkin, ubrany w elegancki frak, taki jaki miał na sobie, gdy poznała go u Chełmickich i gdy porwał ją do tańca w Gastronomii. Pachniałby wodą kolońską i miał wypielę-

gnowane dłonie, którymi zdejmowałby z niej sukienkę, gdy wieczorem powróciliby do pokoju.

Zaskrzypiały drzwi i Hanka otworzyła oczy, jednak zamiast przystojnego i męskiego Igora ujrzała w nich naburmuszoną pokojówkę.

– Suknia, lady Lewin.

– Dziękuję. Połóż ją na łóżku i możesz już iść. Nie będziesz mi potrzebna. Przyjdź po gongu na obiad, wskażesz mi drogę do jadalni – powiedziała sucho.

– Oczywiście, lady Lewin. – Daisy skinęła głową i mruknęła pod nosem: – Myślałby ktoś, że słyszała kiedy gong w lordowskim domu. – Po chwili dodała triumfalnie: – Do sali jadalnej zaprowadzi panią kamerdyner lub lokaj, pokojowe tego nie robią.

Hanka nie zareagowała. Pomyślała jedynie, że gdyby miała zostać w Suffolk dłużej, pozbyłaby się tej dziewuchy. Z niechęcią przyznała jednak w duchu, że musiałaby się wiele nauczyć, by chociaż o krok zbliżyć się do angielskiej arystokracji. Ich etykieta była skomplikowana i trudna, zapewne dlatego, że to była jedyna rzecz, jaką musieli opanować. A że wpajano ją od dzieciństwa, musiało to być dla nich daleko łatwiejsze niż dla niej. Pomyślała o swoich dzieciach i trochę się zatrwożyła, zwłaszcza jeśli chodziło o Nadię. Dla niej etykieta była równie obca, co umiejętność czytania, której próbowano ją uczyć w szkole. Wiedziała także, że gdy wyjedzie stąd, cały dom zatrzęsie się od plotek, które z lubością będą roznosiły guwernantki i pokojowe.

Obiad był sztywną uroczystością i Hanka Lewin żałowała, że nie może najeść się do syta tymi wszystkimi smakołykami, które dla londyńczyków pozostawały jedynie w sferze marzeń. Nawet posiłki serwowane w Golden Gate na razie były mało wyszukane, chociaż lokal należał do tych bardziej wykwintnych. Każdy gość jednak rozumiał powojenną sytuację i nie słyszała, aby ktoś narzekał, że menu zajmuje tylko jedną stronę, jak niegdyś w podrzędnych jadłodajniach.

Tymczasem w domu Cavendishów serwowano pastę z łososia z cytrynowym majonezem, kurczęta w żurawinie i kalafiory podlane beszamelem. Cóż z tego, skoro damy nakładały sobie niewielkie porcyjki, które przeżuwały dyskretnie i długo, by potem z westchnieniem sięgnąć po kolejny kęs. Rozumiała, że niegdyś ich żołądki były skrępowane przez ciasne gorsety, ale obecna moda, chociaż hołdowała podkreślonej kibici, dawała zdecydo-

wanie więcej możliwości, by posilić się do syta. Rozmowy przy stole były zdawkowe, nawiązywały do wojny, a gdy owo słowo padało, kobiety unosiły oczy do góry i wzdychały, dając subtelnie do zrozumienia, że wojna jest rzeczą straszną i wielkie szczęście, że dobiegła końca. Od czasu do czasu któraś z obecnych przy stole osób zerkała dyskretnie w stronę Hanki, z powodu czego Lewinówna była jeszcze bardziej onieśmielona niż przed wejściem do posiadłości.

– Piotr powiedział, że po kolacji zaśpiewa pani coś dla nas – odezwała się cicho nestorka rodu, lady Anne Cavendish.

– Z przyjemnością – odpowiedziała Hanka i uśmiechnęła się wdzięcznie do starszej kobiety, że jako jedyna zwróciła się do niej przy stole, zamiast ignorować ją, jak pozostali.

Pudding i herbatę podano już w ogrodzie, gdzie wśród wypielęgnowanej zieleni ustawiono ogromne parasole, a pod nimi niewielkie stoliki z giętego metalu, przykryte śnieżnobiałymi obrusami. Atmosfera panowała dość swobodna, zamieniano się miejscami przy owych stolikach albo przechadzano się alejkami, wzdłuż których rósł niski, idealnie przycięty bukszpanowy żywopłot. W oddali guwernantki zajmowały się kilkorgiem dzieci, w tym Nadią i Grzesiem.

Przez chwilę Hanka siedziała samotnie przy stoliku, gdy Piotr i Henrietta postanowili się przejść po ogrodzie. Po kilku minutach jednak na krześle obok zasiadła siostra Henrietty, kobieta przypominająca bociana, lady Madelaine Cavendish.

– Ten mały Greg to chyba nie jest synem hrabiego Niechowskiego? – zapytała Madelaine i Hance zdawało się, że gdy jej rozmówczyni wypowiadała te słowa, jej długi nos poruszał się wraz z ustami.

Lewinówna odwróciła wzrok, nieco zawstydzona pytaniem.

– Jesteśmy rozwiedzeni z Tomaszem – odparła spokojnie.

– Ale z tego, co wiem, otrzymała pani rozwód zupełnie niedawno, zatem mały Greg jest po prostu bękartem – ostro oznajmiła Madelaine.

– To nie jest pani sprawa – warknęła Hanka, bo jak na wielką damę Madelaine była wyjątkowo nietaktowna.

– Lady Lewin, ja po prostu nie lubię nieproszonych gości. Moja siostra jest jeszcze młoda i naiwna. Wydaje jej się, że jeśli zaprosi jakiegoś miernego i wystarczająco dziwacznego malarza albo poetę, będzie uchodziła za osobę postępową i ekscentryczną. Owszem, idziemy z duchem czasu. Uży-

wamy telefonu i korzystamy z elektryczności, a nawet kupujemy nowoczesne samochody, ale my jesteśmy wciąż tacy sami i na jard rozpoznajemy łowczynie majątków. – Madelaine mówiła cicho i uśmiechała się przy tym, aby postronne osoby odniosły wrażenie, że kobiety prowadzą miłą i lekką konwersację.

– Zaprosiła mnie lady Henrietta, więc chyba nie uważa pani, że moglibyście się czegoś obawiać – burknęła Hanka.

– Oczywiście, lady Lewin, pod tym względem czujemy się bezpiecznie, bo jedyny męski potomek, nasz brat, jest już człowiekiem żonatym, ale myślę, że poluje pani na tego nieszczęsnego Piotra Niechowskiego. Nie jest to najlepsza partia dla mojej siostry i papa zdaje sobie z tego sprawę, jednak wojna tak bardzo wytrzebiła populację męską, że gotów jest zaaprobować jego związek z Henriettą. Tymczasem Piotr nie deklaruje się, za to przywozi do nas swoją byłą bratową, której zarówno stan, jak i reputacja pozostawiają bardzo wiele do życzenia. – Madelaine wciąż usiłowała się uśmiechać.

– Żałuję, że dałam się zaprosić Henrietcie, więcej tutaj nie przyjadę – powiedziała cicho Hanka.

– Mam taką nadzieję. Proszę także trzymać się z dala od swojego szwagra, jeśli go pani chociaż odrobinę lubi – dodała Madelaine Cavendish i wstała od stolika, mówiąc donośnym głosem: – Ależ, tatko, nie ucz naszej papugi takich niestosownych słów. Już do ciebie idę.

Po chwili podążyła na swoich długich, bocianich nogach w kierunku stolika, przy którym siedzieli jej rodzice, a obok, na ceglastym murku, stała klatka z bajecznie kolorową papugą w środku.

Hanka została na miejscu, ale siedziała na krześle, jakby przybito ją gwoździami do niego i była wściekła na Piotra, że przywiózł ją do tych snobów. Zdała sobie sprawę, że nigdy nie potraktują jej z szacunkiem, ponieważ ich sposób myślenia o innych zatrzymał się w poprzednim stuleciu.

– Cóż moja przyjaciółka taka markotna? – zapytał ze śmiechem Piotr, gdy powrócił ze spaceru i przysiadł się do jej stolika, by napić się herbaty. – Czyżby powróciły złe wspomnienia?

– Nie, Piotrze, to nie wspomnienia potraktowały mnie jak gorszy gatunek człowieka, ale lady Madelaine. Nie wpraszałam się na te salony i do tego domu, ale zostałam zaproszona, a teraz daje mi się na każdym kroku do zro-

zumienia, że jestem nikim. Chciałabym, żebyś jutro po śniadaniu odwiózł mnie do Londynu. – W oczach Hanki pojawiły się łzy.

– Haniu, nie przejmuj się gadaniem tej starej panny. Dobiega trzydziestki i nigdy nie miała adoratora, dlatego udaje, że podtrzymuje tradycje rodowe. Po bitwie o Anglię Cavendishowie zaprosili tutaj weteranów na rekonwalescencję, a ona chciała ich selekcjonować w zależności od ich nazwiska i urodzenia – roześmiał się Piotr.

– Nalegam, Piotrze. – Hanka zacisnęła zęby.

– Ojoj, jesteś tutaj kilka godzin, a już mówisz tak jak oni: „Nalegam, Piotrze" – zaczął ją przedrzeźniać Niechowski.

– Dobrze, w takim razie wrócę koleją. – Hanka wstała od stolika i poszła w kierunku tej części ogrodu, w której guwernantki bawiły się z dziećmi.

W przeciwieństwie do pozostałych pracowników guwernantki zachowywały się bardzo taktownie i nie marszczyły z obrzydzeniem nosów ani na widok Hanki, ani jej dzieci.

– Lady Lewin… – zwróciła się niepewnym głosem jedna z kobiet. – Przepraszam, że ośmielam się, ale Nadia ma problemy z posługiwaniem się sztućcami. Gdy próbuję ją tego nauczyć, reaguje płaczem. Czy mam próbować dalej?

Hanka przez moment wpatrywała się w strojnie ubrane dzieci. Małe damy i równie małych dżentelmenów. Musiała przyznać, że podobał jej się ten widok. Imponował jej blichtr i etykieta oraz to wszystko, co w przypadku angielskich arystokratów było tak naturalne, iż nawet przedwojenne polskie dworki nie mogły się poszczycić takim stylem życia. Odwróciła głowę i powiodła wzrokiem, tym razem po wypielęgnowanym ogrodzie, soczystym trawniku i śnieżnobiałych parasolach, pod którymi gwarzyli sobie mieszkańcy potężnego domu w Suffolk, jak i zaproszeni goście. Zacisnęła zęby. Tak, chciała być taka jak oni i należeć do ich świata.

Igor także miał arystokratyczne korzenie, jednak wyrzekł się ich, by w gumofilcach budować socjalistyczną gospodarkę. I cóż z tego, że zniewalał ją przenikliwym, pełnym miłości spojrzeniem, przytulał szerokimi ramionami, dając poczucie bezpieczeństwa, i uwielbiała jego towarzystwo, jeśli nie było go przy niej, a nawet gdyby, kpiłby z jej marzeń i pragnień. Łyszkin nigdy nie polubiłby takiego próżniaczego życia, drwiłby z przywiązania do tradycji i koligacji rodzinnych. A ona, gdy siedziała na schodkach zapyziałej chałupy, marzyła nie tylko o wielkiej scenie, ale także

o przepastnych domach, kryształowych kieliszkach i srebrnych półmiskach. Może była próżna, ale to było jej życie, a nie cuchnąca obora i drewniany wychodek.

– Tak, proszę robić wszystko, co jest konieczne. Nadia musi nauczyć się w końcu zachowywać jak dama. Wojna się skończyła – powiedziała wyniośle.

Podeszła do Nadii, by jedynie pogłaskać ją po główce, tak jak robiono przed wojną w bogatych domach. Podobnie uczyniła z Grzesiem. Nadmierna ckliwość w stosunku do dzieci, jak również ciągłe przebywanie w ich towarzystwie w takich domach jak ten po prostu nie uchodziło.

„Ja wam jeszcze pokażę” – pomyślała mściwie o Cavendishach, a najbardziej o Madelaine i napuszonej służbie. Zwłaszcza ci ostatni ją zirytowali, ponieważ nie byli nikim więcej, jak służącymi, ją zaś traktowali z pogardą.

Powróciła do stolika i aż do kolacji konwersowała z Henriettą i Piotrem. Dziewczyna była bardzo ciekawa, jak wyglądała okupacja w Polsce i zadawała mnóstwo pytań, aż w końcu Piotr Niechowski zwrócił jej uwagę, że zachowuje się nieco natarczywie, bowiem nie każdy lubi opowiadać o tak dramatycznych przeżyciach.

Wieczorem, po kolacji, Hanka Lewin wspięła się na szczyty swojego wokalnego talentu. Oczywiście, nagrodzono ją oklaskami i nie szczędzono słów zachwytu. Przypomniał jej się wówczas pewien wieczór, gdy wiele lat temu śpiewała w domu Chełmickich i była równie mocno stremowana. Jednak wtedy wśród gości był młody mężczyzna, który wpatrywał się w nią z zachwytem, chociaż wyglądała dość nędznie na tle wyfraczonych mężczyzn i kobiet ubranych w eleganckie suknie. Ale dla tego mężczyzny nie miało to kompletnie żadnego znaczenia, bo pokochał ją całym sercem taką, jaka była naprawdę.

27. Warszawa, 1945

Jak zawsze, gdy Igor Łyszkin siedział w gabinecie Dregerowej, ogarniała go dziwna nerwowość. Obawiał się, że między jednym a drugim zdaniem na tematy jego raportów pojawi się propozycja spędzenia wspólnej nocy. Oczywiście, mógł odmówić, w końcu nie była jego bezpośrednią przełożoną, ale z niewiadomych dla niego powodów jej status był tak wysoki, że mogła zaszkodzić niemal każdemu. Była mistrzynią knucia intryg i tego Igor obawiał się najbardziej. Potrafił rzucić rękawicę w czystej i otwartej konfrontacji, ale zakulisowe gierki były mu obce. Uważał bowiem, że wszystkim współpracownikom towarzyszy ten sam cel i najważniejsze jest, aby go osiągnąć. Teraz priorytetem była kontrola nad dawnymi służbami podziemnymi walczącymi przeciwko Niemcom. Nie było wcale wykluczone, że mogą oni podobne metody stosować również w walce z nowym, socjalistycznym rządem lub jego moskiewskimi zwierzchnikami. Trzeba jednak przyznać, że Moskwa wykazywała się nieco większą finezją aniżeli kiedyś Berlin. Postanowiła, że zrobi porządek z partyzantami nie rękami Rosjan, którzy mogliby być potraktowani jak wrogowie, a dłońmi ich rodaków. Główną siłą Polaków była jedność we wspólnej walce z okupantem i właśnie owa solidarność mogła stanowić największe zagrożenie. Podział społeczeństwa, wbicie kija w mrowisko, dawało zdecydowanie lepsze rezultaty. Owszem, w tamtym czasie również trafiały się tak zwane czarne owce, ale ich odsetek był stosunkowo niewielki. Było jasne, że obecnie także staną po stronie silniejszego.

Jedną z takich osób był Emil Lewin. Paradoksalnie Łyszkin wystawił go Dregerowej, bo tylko w ten sposób mógł zapewnić mu ochronę. Gdyby ktokolwiek poznał jego przeszłość, w jednej chwili brat Hanki mógł stać się trupem. To fakt, był kanalią, jakich mało, ale też jedyną rodziną Lewinówny. I mimo ogromnej niechęci, jaką żywił do tego człowieka, nie potrafił o tym zapomnieć.

– Jak poszło z tym Lewinem? – zapytał Dregerową.

Wstała zza ogromnego biurka i podeszła do okna.

– Tak jak ze wszystkimi konfidentami – powiedziała jakby od niechcenia.

– A przyda się wam do czegoś? – zapytał Igor.

– Ludzie nam przychylni zawsze się przydają – mruknęła.

Łyszkin uśmiechnął się pod nosem. Czyżby twarda Julia była aż tak naiwna i sądziła, że Lewin jest im przychylny? Jego lojalność zawsze kończyła się tam, gdzie zaczynał się osobisty interes.

– Nie napomknął, że już się kiedyś spotkaliśmy? – zapytał złośliwie Igor.

– Nie… Ale przyznał się do przyrodniego brata, kapitana Armii Krajowej – Juliana Chełmickiego. Oczywiście nie wie, czy ten brat przeżył powstanie, ale wie, gdzie znajduje się rodowa posiadłość i fabryka ich ojca. Istnieje prawdopodobieństwo, że jeśli Chełmicki coś ukrył, na przykład archiwa Armii Krajowej, to właśnie tam. Poza tym otrzymał od PCK informacje, że jego siostra żyje i mieszka w Londynie. Gdyby okazała się równie lojalna, co jej brat, mogłaby przekazać nam mnóstwo cennych informacji. W końcu wielu z nich uciekło do Wielkiej Brytanii i wciąż popiera tamtejszy rząd. Za kilka dni ma też dostarczyć mi kilka nazwisk podejrzanych osób. – Dregerowa była wyraźnie podekscytowana spotkaniem z tym durniem, Emilem Lewinem.

Igor zacisnął zęby. Kolejny raz Lewin wycierał swoją niewyparzoną gębę przyrodnim bratem. Jak bardzo musiał go nienawidzić, by ciągle narażać go na śmierć albo utratę wolności. Wiadome było, że NKWD i jego towarzysze potraktują Juliana jak innych bandytów, którzy tylko czekali, żeby podnieść głowy i zaatakować kolejnego, w ich mniemaniu, wroga. Jakby nie mogli pogodzić się z faktem, że wolność zawdzięczają Związkowi Radzieckiemu i muszą się trzymać zasad, którymi ten kraj się kieruje. Nastąpił koniec wojny, Polska musiała odrodzić się na zgliszczach, ale powrotu do starego systemu już nie było.

Nie rozumiał także, jak normalny, wyzyskiwany przed wojną człowiek mógłby opowiedzieć się za bogaczami i krwiopijcami. Julianowi chyba już też nie zależało na majątku ojca – dworku, fabryce alkoholu i całych połaciach pól. Jedyne, co łączyło go z rodzinnym domem, to sentyment. Jego ojciec nie żył, a matka zwariowała i siedziała gdzieś w zamkniętym ośrodku dla obłąkanych. Ale przyrodni brat wciąż jątrzył. Na szczęście mógł to robić do woli, bo Chełmicki zamierzał rozpocząć nowe życie w Szwajcarii, a rozmowa z Igorem tylko utwierdziła go w przekonaniu, że nie powinien wracać do kraju. Mógłby być cenną zdobyczą dla NKWD, szczególnie że być może posiadał pewną wiedzę na temat prac nad rakietami V1 i V2, które testowano na wyspie Uznam. Jednak Julian Chełmicki był jego przyja-

cielem, pomógł mu i poniekąd uratował życie, więc Igor nigdy nie wykorzystałby go, bez względu na to, jak szczytny cel temu przyświecał.

Lewin nie mógł o tym wiedzieć, kierowała nim czysta zawiść i żal, że nie mógł nosić tak znakomitego nazwiska. A może jedyne, co miał do powiedzenia, to informacje o swoim bracie i siostrze? Tego Łyszkin nie mógł mu darować najbardziej. Hanka zapewne dochodziła do siebie po przykrych doświadczeniach i nigdy nie miała zapędów, by mieszać się w politykę czy walkę. Tymczasem wojna się skończyła, a Julia Dregerowa pragnęła wykorzystać Lewinównę do swoich celów. Jednocześnie aż skręcało go z ciekawości, co też słychać u ukochanej, jak sobie radzi w Wielkiej Brytanii. Na pewno wymieniała korespondencję z bratem i już nie musiała ukrywać ani swojego miejsca pobytu, ani zajęcia.

– A ten Lewin to już na dobre do Warszawy się przeniósł? – zapytał Igor.

– Tak, na wsi jest jeszcze jego dzieciak, bo warunki w stolicy są… każdy wie… Mieszka na Pradze i wynajmuje pokój od jakiejś cwanej burżujki. – Dregerowa machnęła ręką, jakby zniesmaczona faktem, że w Polsce może jeszcze istnieć coś, co stanowi własność prywatną.

– Będę miał na niego oko, towarzyszko. Podajcie mi adres. Mam też inną sprawę do was… – zaczął niepewnie Igor.

Dregerowa popatrzyła na Igora i zamrugała powiekami. Łyszkina zmroziło i od razu przypomniał sobie dłoń Julii na swoim udzie.

– Służbową – wyjąkał.

– Zatem mówcie… – Wypuściła powietrze jak parowóz i odwróciła wzrok.

Być może łudziła się, że wyświadczenie prywatnej przysługi Łyszkinowi sprawi, iż nieco zbliżą się do siebie i będzie szansa na flirt, a może nawet na coś więcej.

– Zostałem oddelegowany do Warszawy na kilka miesięcy, by was wesprzeć, po tym czasie jednak wracam do Moskwy, a potem… któż to wie. Jednak, jak wiecie, interesują nas osoby mogące mieć informacje na temat prac badawczych, jakie miały miejsce w Peenemünde. Trafiłem na taką osobę. Niestety, została aresztowana i osądzona w Moskwie. Dostała wyrok i siedzi w jakimś łagrze. Czy moglibyście się dowiedzieć w którym? Ja zapewne będę musiał czekać na tę informację kilka miesięcy, a dla was zrobią to piorunem – delikatnie zaczął Igor.

– Oczywiście. Zaraz wyślę telegram do Moskwy. Podajcie nazwisko tej osoby – mruknęła Dregerowa.

– Alicja Rosińska – powiedział Łyszkin.

– Jeśli żyje, w ciągu tygodnia powinnam mieć jakieś informacje. Wy tymczasem przyciśnijcie tego Lewina. Może będzie trzeba pojechać do Anglii i tam spróbować zwerbować jego siostrę, o ile ma kontakt z polskimi oficerami. Zresztą nie będę wam tłumaczyć spraw, na których świetnie się znacie. Lewina tam nie poślę, bo go mogą przekabacić, ale wy, Łyszkin, moglibyście zrobić tam wywiad… Można by przycisnąć siostrunię, dla brata może zechce się poświęcić – powiedziała ugodowo Dregerowa. Jeśli przysługa była jedynie służbowa, być może skusi Igora perspektywą wyjazdu za granicę?

Dregerowa nie miała pojęcia, że gdyby nie komisja weryfikacyjna, już dawno byłby w Wielkiej Brytanii lub Ameryce, a przyjazd do Warszawy był karą za niewłaściwe znajomości i niefrasobliwość w pierwszych dniach wojny. Mimo to serce Igora zaczęło walić jak oszalałe. Miał szansę, żeby zobaczyć Hankę, a zanim Sudopłatow dowiedziałby się o tym pomyśle i chciał zablokować wyjazd, Łyszkin zdążyłby opuścić Polskę, a być może nawet już powróciłby stamtąd.

***

Sama myśl, że musi kolejny raz stanąć twarzą w twarz z Emilem Lewinem wywoływała u Igora odruch wymiotny, jednak Hanka i jego syn byli ważniejsi od prywatnych animozji. Udał się pod adres podany przez Dregerową, wszedł do całkiem dobrze zachowanej kamienicy i chwilę potem dzwonił już do drzwi wejściowych. Otworzył mu mężczyzna w średnim wieku, w podkoszulce i z brzytwą w dłoni, którą zapewne zamierzał się ogolić, ponieważ jego twarz pokrywała warstwa mydlin.

– Ja do pana Emila Lewina – stanowczo powiedział Igor. Jego akcent zdradzał rosyjskie korzenie, więc mężczyzna bez słowa wskazał mu drzwi.

Było późne popołudnie i Emil odpoczywał w swoim mikroskopijnym pokoiku, leżąc na łóżku, a jego wierny niczym pies przyjaciel – Szymon Wielopolski – siedział na zamkniętej, sfatygowanej walizce i trzymał na kolanach miskę, w której gmerał łyżką, by wybrać ze znajdującej się tam zupy co treściwsze kawałki. Zobaczywszy Igora Łyszkina, Szymek przestał jeść

i popatrzył ze zdziwieniem na gościa. Nie był wystraszony, a jedynie zaciekawiony, ponieważ widział przybysza pierwszy raz w życiu. Jednak Emil Lewin w mgnieniu oka rozpoznał intruza i momentalnie zbladł na jego widok. Chłopak zerkał to na jednego, to na drugiego i zaczął się martwić, że powtórzy się sytuacja z Nadarzyna, kiedy to o świcie zabrano pana Lewina i powrócił do niego dopiero pod wieczór. Przez ten czas Szymek truchlał ze strachu o swojego opiekuna i nie chciał, aby sytuacja znowu się powtórzyła.

– Idź do kuchni, Szymek – wybełkotał Lewin. – Albo… nie, zostań.

Emil nie wiedział, co byłoby lepsze. Z jednej strony dzieciak mógł usłyszeć bardzo niepochlebne rzeczy o swoim patronie, z drugiej był gwarantem, że on przeżyje to spotkanie.

– Lepiej niech wyjdzie – mruknął Igor i dodał, złośliwie wpatrując się w przerażone oczy Lewina: – Gdybym chciał cię stłuc albo zastrzelić, nie robiłbym tego w mieszkaniu. Wiesz, jaki jest teraz deficyt lokali… a zanim ktoś posprzątałby resztki twojego marnego ciała, minęłoby trochę czasu.

– Nie wyjdę – pisnął Szymek, niemal gotowy własnym ciałem zasłonić Emila.

– Nie zrobię mu krzywdy, przyszedłem porozmawiać – łagodnie zwrócił się do niego Łyszkin.

– Siedź, Szymek! – Lewin był coraz bardziej przerażony.

– W porządku, niech zostanie. Ale nie wiem, czy będzie zadowolony, jeśli usłyszy, co robiłeś w czasie okupacji niemieckiej – warknął Igor.

Lewin momentalnie zmienił zdanie i poprosił Szymka o opuszczenie pokoju. W istocie, Łyszkin mógł powiedzieć rzeczy, które sprawiłyby, że jego podopieczny zacznie patrzyć na niego innymi oczami. A Szymek Wielopolski chyba jako jedyny człowiek na świecie uważał Emila za prawego i szlachetnego człowieka. W obliczu faktu, że wszyscy inni uznawali go za kanalię, łącznie z jego kompanem Frankiem, dla Lewina sympatia, a wręcz uwielbienie Szymka miało ogromne znaczenie.

Chłopak opuścił ciasne pomieszczenie, jednak wciąż podejrzliwie zerkał na Łyszkina. Poszedł do kuchni i tam postanowił dokończyć posiłek, ale nie tylko w tym celu się tam udał. Obok kuchni bowiem znajdował się niewielki składzik, pełniący przed wojną funkcję spiżarni. Teraz jednak nie było nawet z czego robić zapasów, dlatego lokatorzy przechowywali w nim ocalałe z powstania rzeczy, ma się rozumieć za odpowiednią odpłatnością. W owym składziku znajdowały się również drugie drzwi, obecnie nieuży-

wane i zastawione rozmaitymi dobrami, które łączyły się z pokojem, w którym mieszkali z Emilem Lewinem. Oni także z nich nie korzystali, zastawiając je niską komodą przywleczoną z jakiegoś zrujnowanego domu, ale ogromna dziurka od klucza pozwalała podsłuchać rozmowę toczącą się w ich pokoju. A Szymek Wielopolski bardzo się martwił wizytą zaciągającego po rosyjsku człowieka. Nawet on zdążył się zorientować, iż przybyli z odsieczą Rosjanie nie są tak mili, jak pisano w gazetach albo mówiono o nich na wiecach. W pozycji niemal akrobatycznej przytknął ucho do szpary po kluczu i prawie nie oddychając, wsłuchiwał się w rozmowę.

– No, Lewin, słyszałem, że zostałeś naszym sojusznikiem i współpracownikiem – powiedział z westchnieniem Łyszkin, siadając na walizce, na której wcześniej chłopak usiłował zjeść posiłek.

– A miałem wyjście? – burknął Lewin.

– Mogłeś odmówić, stanąć przed sądem i dowieść, że jesteś niewinny jak dziewica orleańska – nieco złośliwie odpowiedział Igor.

– Te wasze sądy… Są prawie tak sprawiedliwe i niezawisłe, jak te szwabskie.

– Och, Lewin, mówisz tak, jakbyś w istocie miał czyste sumienie, a obaj wiemy, że to nieprawda. Niemcy, uciekając w popłochu, pozostawili sporo dokumentów, a w nich można znaleźć wiele interesujących rzeczy. Ty miałeś pecha, bo twoje akta, jako szwabskiego konfidenta, zachowały się w całkiem dobrym stanie. Pomijam, że wydałeś moich kompanów i mnie samego, ale twoja podła natura nakazała zdradzić nawet brata… I wielu innych rodaków. Ale nie przyszedłem tutaj, by prawić ci morały albo wytykać twoją nikczemność, teraz masz szansę zrehabilitować się i pracować dla nas – spokojnie powiedział Łyszkin, bo w istocie nie przybył do Lewina, by oznajmić mu, że jest sprzedajną szmatą.

– Nie miałem wyboru, musiałem ratować Hankę. Sądziłem, że jeśli dopadną ciebie, ją zostawią w spokoju. A reszta… No, powiedz, miałem nadstawiać karku za obcych ludzi? Co z tego, że Polacy? Jaki byłby pożytek z mojego bohaterstwa, jeśli dostałbym kulkę? Nie masz, człowieku, pojęcia, co tutaj się działo. Normalni ludzie… – zaczął tłumaczyć się Emil.

– Zamknij się już! Mdli mnie od tych twoich gadek. – Igor machnął lekceważąco ręką i przeszedł do sedna: – Słyszałem, że odnalazłeś Hankę.

Lewin pokiwał głową.

– Właściwie to ona odnalazła mnie, ale faktycznie, wiem, co się z nią dzieje – wymamrotał Lewin, wciąż przerażony obecnością nieobliczalnego Łyszkina.

– W takim razie opowiadaj… – westchnął Igor.

– Mieszka w Londynie, adres mam gdzieś na kopercie, te nazwy… Rozwiodła się z Tomaszem, śpiewa w jakimś eleganckim lokalu i ma protektora w postaci brata Tomasza, Piotra. Jest szczęśliwa… Nareszcie – powiedział Lewin, w tym przypadku wyjątkowo zgodnie z prawdą.

– Ten brat… Jest jej kochankiem? – zapytał cicho.

– A skądże, po prostu jej pomaga. Nie sądzę, żeby Hanka miała chęć kolejny raz angażować się w związek z którymś Niechowskim. – Lewin wzruszył ramionami i aby jeszcze bardziej uwiarygodnić się w oczach Łyszkina, dodał: – Pokażę ci jej listy, sam zobacz, co pisze.

– Dobry pomysł, pożyczę je od ciebie i poczytam, bo jakoś niezbyt ci ufam – burknął Igor.

Emil Lewin pierwszy raz, odkąd Łyszkin przekroczył próg jego pokoju, podniósł się z tapczanu. Otworzył szufladę komody, wyciągnął kilka starannie obwiązanych sznurkiem listów i podał Igorowi.

– Chciałbym je odzyskać, Hanka to moja jedyna rodzina – powiedział cicho.

– Masz jeszcze brata, Juliana – pogardliwie prychnął Łyszkin.

– Nawet nie wiem, czy żyje…

– A jeśli tak? – złośliwie zapytał Igor.

– To niech go piekło pochłonie i jego podłego ojczulka, a potem niech się w nim razem smażą – syknął Emil.

– Kurwa, Lewin, powiedz mi, za co go tak bardzo nienawidzisz?

– Za to, że nigdy mnie nie szanował i nigdy nie był mi bratem. Miał wszystko, pieniądze, wykształcenie i ojca, który był gotów dać mu gwiazdkę z nieba, a ja… żarłem kartofle z łojem, chodziłem w podartych portkach i do wszystkiego musiałem dojść sam. To chyba dobry powód?

– No, to teraz nadchodzą czasy, by wyrównać dziejowe krzywdy – mruknął Igor, schował listy za pazuchę marynarki i z ulgą opuścił mieszkanie na Pradze.

Wracając do swojej kwatery, czuł, jakby tkwiące w jego kieszeni listy wypalały mu dziurę w piersi. Słowa kreślone dłonią jego ukochanej… Najchętniej zacząłby czytać je od razu, już na klatce schodowej, ale chciał,

żeby to było jak święto. Nawet jeśli adresowane były do brata, a nie do niego. Mógł być także pewny, że to, co zawierały, było szczere, bo przed rodzonym bratem nie miałaby powodu, żeby cokolwiek ukrywać. Zamierzał także w końcu sam do niej napisać.

Gdy dotarł do mieszkania, już zmierzchało. Na szczęście elektrownia zaczęła działać, więc nie musiał siedzieć przy świecach. Zapalił lampkę, a potem przyniósł z kuchni szklankę i butelkę wódki. Nalał sobie do pełna, wypił duszkiem i kiedy poczuł w skroniach szum, wyciągnął z koperty pierwszy list. „Kochany braciszku…" – tak zaczynał się każdy z nich. Najwyraźniej Hanka wciąż nie miała pojęcia, kim naprawdę był Emil, bo jej słowa były pełne miłości i radości z faktu, że się odnaleźli.

Lewin nie kłamał. Hanka pisała o bracie Niechowskiego w samych superlatywach, jednak niemal w każdej linijce listu podkreślała, że są jedynie przyjaciółmi. Zresztą ów Piotr miał narzeczoną, jakąś angielską arystokratkę, i niebawem zamierzał się z nią ożenić.

Igor czytał i widział w swojej wyobraźni uśmiechniętą, szczęśliwą Hankę, stojącą na scenie, słyszał oklaski, jakie rozlegały się po jej występach i niemal namacalnie czuł jej fascynację ogromnymi posiadłościami, wypielęgnowanymi ogrodami i tym wszystkim, czego on nie mógł jej dać. Oprócz miłości, jaką ją darzył, nie byłby w stanie zapewnić jej ani występów w luksusowych lokalach, ani pałaców i całego tego blichtru, którym gardził, odkąd skończył szesnaście lat. A Hanka zdawała się w tym świecie niezmiernie szczęśliwa. Tak bardzo, że ani razu w swoich listach nie wspomniała o nim…

28. Okolice Wrocławia, 1945

Opadające z drzew liście oblepiały drogi, a porywisty wiatr i zacinający deszcz zwiastowały nadchodzącą zimę. W tym rejonie i tak było cieplej niż na północy kraju, ale w ciągu dnia temperatura nie przekraczała kilku stopni, nocą zaś spadała niemal do zera. W szoferce furgonetki Franka „Diamentowej Rączki" było ciepło, ale siedzący w towarowej części samochodu Szymek Wielopolski coraz częściej okrywał się szczelnie kocem, naciągał rękawiczki i czapkę i upierał się, że właśnie w tym miejscu jest mu najwygodniej. Nie chciał siedzieć w szoferce, bo to wiązało się z przebywaniem obok pana Lewina albo tej potwornej kobiety, Bronki. Co prawda, odkąd jej napyskował, traktowała go dobrze, czego nie można było powiedzieć o jej zachowaniu ani w stosunku do pana Lewina, ani do Franka. Wolał więc marznąć, ukryty między ukradzionymi dobrami a własnymi gorzkimi myślami, które towarzyszyły mu od kilku tygodni.

Kiedy ich pokój na Pradze odwiedził pewien mężczyzna, Szymek Wielopolski z obawy o swojego patrona i najbliższego mu człowieka postanowił podsłuchać rozmowę tych dwóch mężczyzn. Co prawda wojna już się skończyła, ale w Szymku wciąż budziła się czujność, gdy widział kogoś obcego. Nie mógł wyzbyć się lęku, który towarzyszył mu przez ostatnie sześć lat, i zdawał sobie sprawę, że musi upłynąć wiele czasu, zanim przywyknie, iż ludzie, których spotyka na swojej drodze, nie są wrogami albo szpiclami. Teraz mu się zdawało, że jedynie przeciwnik się zmienił, wdziewając radziecki mundur. Nie było jednak łapanek, masowych egzekucji i ludzie nie chowali się w bramach czy ruinach budynków, słysząc nadjeżdżający samochód. Może oprócz nich, ale oni czynili to z innych względów. Parali się bowiem zajęciem tyleż powszechnym, co niezgodnym z prawem, ponieważ szabrownictwo, choć uprawiane niemal na masową skalę, nie było niczym innym jak zwykłym złodziejstwem. Szymek miał tego świadomość i nie czuł się z tym zbyt komfortowo, jednakże usprawiedliwiał się w duchu, że nie korzystając z takich możliwości, po prostu byłby frajerem.

Wszędzie mówiono o równości, wspólnych dobrach i końcu klasy panów. Dla Szymka otwierało to nowe perspektywy, bo od jesieni zaczął chodzić do szkoły i nie musiał się wstydzić swojego pochodzenia, wciąż jednak pragnął mieć więcej niż inni i zajść dalej. A pieniądze w każdym ustroju były wystarczająco deprawujące, by piękne idee zostały zapomniane. Oczywi-

ście, pojawiło się jeszcze coś, co dawało nowe możliwości. A była to władza. On jednak urodził się zbyt późno, by móc czerpać z tej władzy korzyści. Dlatego uznał, że musi mieć pieniądze, by się wybić, a nowe zajęcie pana Lewina czyniło teraz ich proceder bezkarnym. Każdy, na kogo się natknęli, po kilkuminutowej rozmowie i okazaniu odpowiednich dokumentów sądził, że to, co robią, odbywa się w majestacie prawa. A że Warszawa została przenicowana właściwie na każdym metrze kwadratowym, spora część szabrowników przeniosła się na Ziemie Odzyskane, by tam buszować po opuszczonych przez Niemców domostwach.

Jednakże te wszystkie rozważania moralne Szymka Wielopolskiego były niczym w porównaniu z jego dylematami dotyczącymi człowieka, którego wielbił ponad wszystko. Usłyszawszy przez dziurkę od klucza, że pan Lewin tak dobrze sobie radził podczas okupacji, bo był niemieckim szpiclem, sprawiło, że Szymkowi zawalił się świat. On, który chełpił się pomaganiem żydowskim dzieciom z getta i odsiedział swoje w Lamsdorfie, jako mały powstaniec, nagle musiał zmierzyć się z faktem, że pan Lewin był zwykłym kapusiem.

Tego dnia, gdy wydostał się ze składziku, pozostawił niedokończoną zupę na stole w kuchni i łkając, wybiegł z domu. Może gdyby Emil Lewin zaprzeczał, krzyczał, że ów człowiek kłamie i posądza go niesłusznie, byłaby jakaś nadzieja. Ale Lewin tłumaczył się jedynie z tego, dlaczego postanowił współpracować z gestapo i wydawać w ich ręce rodaków. Podobno nawet własnego brata zadenuncjował, co już nie mieściło się w małej głowie Szymka.

Pobiegł wtedy na stare działki, które po wojnie pozostały jedynie nieużytkami, i siedział tam do wieczora, oparty o jakąś zbutwiałą szopę. Na przemian płakał z żalu i złościł się na pana Lewina, to znowu starał się znaleźć jakieś usprawiedliwienie i pogodzić się z faktami. Ale to ostatnie stanowiło największą trudność. Nie potrafił wykrzesać w sobie ani odrobiny zrozumienia. Wolał wmawiać sobie, że to, co usłyszał, było po prostu nieprawdą. Jednak im dłużej to robił, tym bardziej czuł się jak głupiec, który usiłuje zaklinać rzeczywistość i udawać, że pewne słowa z ust Lewina nie padły.

W końcu, po kilku godzinach bicia się z własnymi myślami, doszedł do wniosku, że w jego życiu pan Lewin zawsze będzie obecny, podobnie jak w jego sercu, ale autorytetem już nie pozostanie. Postanowił, że zrobi wszystko, by jak najszybciej się usamodzielnić i opuścić czułe, ale fałszywe

skrzydła Emila Lewina. Już nawet nie naciskał na niego, by ten bardziej postarał się, żeby odnaleźć Zosię i Ziutka. Zdecydował, że kiedy nieco podrośnie i zdobędzie trochę grosza, sam się tym zajmie. Na początku pan Emil starał się mu pomóc, nawet dzięki wizytom w PCK dowiedział się, że panna Hanka żyje i szuka swojego brata, ale potem jakby zapomniał, że Szymek stracił dwójkę najlepszych przyjaciół. A im więcej czasu mijało, tym większą złość czuł, szyderczo uśmiechając się w myślach, że gdy on, Zosia i Ziutek narażali życie w powstaniu, jego autorytet i guru zwiał na wieś, jak ostatni tchórz. To, co dotychczas tak bardzo mu imponowało, wzbudzało podziw i wręcz bałwochwalcze uwielbienie, teraz drażniło, złościło i budziło niechęć. Przedsiębiorczość Lewina, którą tak sobie cenił, teraz jawiła mu się jako niemoralne układanie się z władzą dla osiągnięcia własnych korzyści, a czułość i opieka stanowiły jedynie zapłatę za oddanie i lojalność Szymka. Chłopiec czuł się tak, jakby w jednej chwili wszystko, w co wierzył, runęło, a on kolejny raz w swoim życiu pozostał kompletnie sam.

***

– Ty, Lewin, to jednak masz kiepełę nie od paradejki – powiedział Franek i wychylił kolejny kieliszek wódki.

– Znowu się zachlasz – mruknęła Bronka, po czym sięgnęła po stojącą na stole butelkę.

Emil chwycił ją za nadgarstek i odciągnął jej dłoń od alkoholu.

– Ty, Bronka, nie bądź taka hop do przodu. Natyraliśmy się dzisiaj, należy nam się.

Franek zbladł, bo dotychczas żaden z nich nie postawił się Bronce, ale tym razem nawet jej przeszywający wzrok nie powstrzymał Lewina. Kobieta jedynie przez chwilę straciła animusz, bardziej zdziwiona zachowaniem Emila niż przestraszona, by po chwili pokazać pazury.

– A ty, Lewin, co? Do nowej władzy się przytuliłeś, to ci się w dupie poprzewracało? Ciekawam, co by powiedzieli, jakbym im nadała, do czego służą ci te świstki, co to pokazujesz wszystkim po drodze – warknęła.

– Przestań, Broniu – wybełkotał Franek. – Gnieździmy się w jakichś klitkach, a tu, proszę ciebie, nocujemy jak paniska. Posłania jak królewskie łoża, kieliszki, panie, kryształowe, Ameryka…

Franek za wszelką cenę usiłował załagodzić sytuację, wiedział bowiem, że potem wszystko odbije się na nim. Poza tym Bronka była niczym praski zakapior, dumna i zawzięta, nawet jeśli kompletnie nie miała racji. Dla własnej ambicji naprawdę była skłonna donieść na Lewina albo zerwać z nim kontakty. A Emil był im teraz bardzo potrzebny. Milicja coraz częściej rozprawiała się z szabrownikami, chociaż jej funkcjonariusze sami kradli na potęgę. Ale to była władza i nikt im nie mógł podskoczyć. Tymczasem Lewin wstąpił w szeregi Urzędu Bezpieczeństwa, dumnie nosił przyznaną mu legitymację i robił, co chciał, bez lęku i obaw.

Emil jednak był zbyt wściekły, by zastanawiać się nad konsekwencjami, zwłaszcza że w istocie władza uderzyła mu do głowy. Podobało mu się, iż każdy drży na widok jego legitymacji i stara się mu przypodobać. Tak bardzo był z tego zadowolony, że zdawał się zapominać, iż jest jedynie psem uwiązanym na krótkiej smyczy.

– Zamknij w końcu tę swoją paskudną mordę, Bronka! – ryknął. – Przestań ustawiać nas po kątach tylko dlatego, że cię Franek nie chce chędożyć. Wiesz, co ci powiem, marmuzelo? Wcale nie jestem zdziwiony. Chyba jedynie ślepiec by chciał albo pijany w trupa. Daj więc pochlać Franiowi, to może w końcu ci dogodzi i przestaniesz trzaskać gębą.

„Diamentowa Rączka” aż skulił się w sobie, słysząc słowa Lewina. On w duchu myślał podobnie, ale nigdy nie odważył się, by użyć podobnych słów. Sam się niekiedy zastanawiał, dlaczego tak bardzo boi się Bronki i nie ma dość odwagi, by zerwać zaręczyny i pozbyć się kłopotliwej narzeczonej. Bał się jednak, chociaż przez cały czas miał wrażenie, że siedzi w anclu, jak niegdyś.

Bronka, słysząc słowa Lewina, popatrzyła złowieszczo na Franka, po czym wstała zza stołu i wyszła z ogromnej jadalni w willi, w której postanowili przenocować, zanim ogołocą ją ze wszystkiego, co miało jakąś wartość. Kobieta, oprócz brzydkiej fizjonomii i piekielnego charakteru, miała jednak swoje zalety. Potrafiła zorganizować im zbyt na szabrowane towary i dzieliła się z nimi uczciwie. Ale w zamian chciała rządzić i decydować. Nie można powiedzieć, miała smykałkę do interesów i nosa do ewentualnych zagrożeń. Doskonale potrafiła wyczuć niebezpieczeństwo i gdy rezygnowała z jakiegoś biznesu, najczęściej okazywało się, że słusznie. Pewnych rzeczy jednak nie wybaczała i Franek wiedział o tym lepiej niż jego kompan, Emil Lewin.

– No i po ci to było? – zapytał żałośnie Franek. – Wiele zawdzięczamy Bronce…

– To prawda, niejeden chłop mógłby jej pozazdrościć odwagi, ale, Franek… ona trzyma nas za jaja i kręci nimi jak w imadle. Podoba ci się to? Bo mnie, prawdę powiedziawszy, już nie – mruknął Lewin.

– Trzeba ją jakoś udobruchać… Polej jeszcze, może się zawezmę i ją dzisiaj pomiętoszę – westchnął „Diamentowa Rączka” i wychylił kolejny kieliszek, po czym powąchał pajdę chleba, by po chwili oderwać z niej kawałek i wsunąć do ust.

Po godzinie, gdy Lewinowi minął napad szału, sam doszedł do wniosku, że przesadził. Bronka była użyteczna i dzięki niej odłożyli kawał grosza, ale stanowiła również zagrożenie z powodu swojej nieobliczalności. Gdyby w istocie doniosła takiej Dregerowej, że Emil kręci lody za plecami władzy, kto wie, czy nie wysłaliby go na Syberię. Miał wystarczająco wielu wrogów dookoła. Urząd Bezpieczeństwa wymachiwał mu przed nosem aktami gestapo, domagając się szpiegowania wrogów ludu i nowej władzy, a bandyci z polskiego podziemia też pewnie nie zapomnieli, że był donosicielem i kolaborantem. Do tego siedział mu na głowie ruski szpieg – fatygant jego siostry – a być może niebawem objawi mu się znienawidzony brat, który zechce wziąć odwet za to, co zrobiło z nim gestapo.

– Ja to załatwię – powiedział stanowczo Lewin.

– Chcesz ją ten tego? – zapytał przerażony Franek, przeciągając dłonią po szyi, co miało imitować podrzynanie gardła.

Nie powiedział jednak tego na głos z uwagi na obecność Szymka, który siedział na sofie i z pietyzmem oglądał album przedstawiający przedwojenny Breslau.

– Raczej chciałem cię wyręczyć w czymś innym, ale jeśli jesteś zazdrosny… – zaśmiał się Lewin.

„Diamentowa Rączka” przeżegnał się i powiedział:

– To niech cię Bóg prowadzi, chłopie, i masz moje błogosławieństwo.

– A na co mi twoje błogosławieństwo? Nie zamierzam się z nią żenić – burknął Emil.

– Tylko jej bachora nie zmajstruj, bo będzie bieda… – Franek zarechotał i odetchnął z ulgą, że nie będzie musiał umizgiwać się do Bronki.

Lewinowi także nie podobała się taka perspektywa. Jednak czuł jakieś perwersyjne podniecenie, że ujarzmi w końcu tę pyskatą kobietę i sprawi, iż

zrobi się potulna jak owieczka. Był tak bardzo przekonany o swoich łóżkowych talentach, że myślał jedynie o tym, jak w końcu odzyska swoją pozycję w grupie i on będzie tym najważniejszym.

Poszedł drewnianymi schodami na piętro, gdzie zamierzali nocować Bronka z Frankiem, i cicho zapukał do drzwi. Nie doczekał się słowa „proszę", więc wszedł, nie czekając na zgodę. Bronka leżała pod pierzyną, odwrócona w stronę ściany, i burknęła:

– Zawiodłeś mnie dzisiaj, Franek. Ale jak mi porządnie dogodzisz, to może ci wybaczę. – Po chwili zgasiła stojącą przy łóżku lampę.

Lewin nie powiedział ani słowa, tylko rozebrał się i położył obok Bronki. Podwinął jej koszulę nocną i zaczął intensywnie pieścić między nogami. Kobieta zaczęła stękać i niemal natychmiast zrobiła się wilgotna.

– Dobrze ci? – zapytał Emil.

Bronka momentalnie ucichła i zacisnęła potężne uda, między którymi znajdowała się dłoń Lewina.

– To ty? – wyszeptała.

– To tak na zgodę – powiedział ze śmiechem. – Dogodzę ci lepiej niż Franio, on jest za bardzo pijany.

– Obraziłeś mnie – jęknęła, wciąż zaciskając uda.

– Wiem, ale to cię rozgrzewa, co, Bronka? Chciałabyś mieć w końcu kogoś, kto jest twardszy od ciebie, a to wcale nie jest takie proste. Rozchyl nogi i wpuść mnie, a nie pożałujesz – uwodzicielsko szeptał Lewin.

Być może kilka minut wcześniej Bronka oparłaby się podobnym zalotom, ale była zbyt podniecona, by odepchnąć Lewina. Rozłożyła szeroko swoje mlecznobiałe uda i powiedziała:

– To pokaż, co potrafisz.

Franek zdążył zasnąć na kanapie w salonie, zmorzony wypitym alkoholem, więc Szymek przykrył go jedynie pledem i ruszył w stronę pokoju, w którym miał spać. Cieszył się na samą myśl, że nareszcie położy się na szerokim łóżku, w kompletnej ciszy, i zaśnie błogo pod ciepłą pierzyną. Jednak gdy wchodził po schodach, usłyszał jęki, a wręcz skowyt dobiegający z pokoju, w którym spała panna Bronka. Pomyślał sobie, że kobieta bardzo cierpi po ostrych i niezbyt miłych słowach pana Lewina, dlatego postanowił, że zajdzie do niej i powie jej coś pokrzepiającego. Dla niego była nawet miła, chociaż bał się jej tak samo, jak pan Franek, jej narzeczony, i Emil Lewin, który dopiero tego wieczoru postanowił się jej sprzeciwić.

Otworzył cicho drzwi, a strumień światła z holu oświetlił pokój panny Bronki. Wcale nie płakała ani nie szlochała, ale siedziała kompletnie naga na panu Lewinie i poruszała ogromnymi białymi pośladkami w rytm obelżywych słów, którymi raczył ją Emil. Byli tak pochłonięci swoją chucią, że nawet nie zauważyli światła wpadającego z korytarza ani też oniemiałej postaci Szymka. Po kilku chwilach chłopak przymknął drzwi i przerażony pobiegł do swojego pokoju. Był zszokowany zarówno faktem, że pan Lewin poszedł, jak to mówił pan Franek, chędożyć jego narzeczoną, ale również dlatego, iż pierwszy raz zobaczył kopulującą parę. Dotychczas wydawało mu się, że jest to piękny akt, nawet jeśli dotyczył kobiet zwanych prostytutkami albo dziwkami. Nie wyobrażał sobie, iż może być tak odrażający, a jakiejkolwiek kobiecie może zaimponować nazywanie jej napaloną suką albo niewyżytą zdzirą.

Wskoczył pod kołdrę i słyszał bicie swojego serca. Wciąż docierały do niego jęki, krzyki i wyzwiska, i nie wiedział już, czy naprawdę dobiegają do niego zza ściany, czy są jedynie wytworem wyobraźni. Nakrył głowę poduszką i pomyślał z żalem, że odkrył kolejną i ponurą twarz pana Emila Lewina.

29. Kołyma, 1945

Alicja Rosińska przetrwała porę letnią, żyjąc złudzeniami, że nie jest tak parszywie, jak jej się dotychczas wydawało. Praca w łaźni nie była wyczerpująca jak na *zaboju* i nawet cieszyła się, że wykonuje swoje zadania kompletnie sama. Dzięki temu unikała gniewu strażników i trzymała się z dala od donosicieli, zwanych tutaj stukaczami. A im zimniej się robiło, tym bardziej doceniała miejsce pracy, do której ją przydzielono. Jednak od kilku dni trawiła ją gorączka, czuła ból w piersiach i nawet chodzenie sprawiało jej trudność. Była co prawda w ambulatorium, ale sanitariusz nawet nie raczył zawołać lekarza, tylko odesłał ją do baraku, twierdząc, że symuluje. Zapewne gdyby mogła poić się gorącą herbatą z miodem albo gorącym mlekiem z czosnkiem i masłem, jakie w takich chwilach serwowała jej babka Alutka, zapewne po chorobie nie byłoby śladu, jednak w obecnych warunkach zwykłe przeziębienie mogło okazać się zabójcze.

– Wzięłam worek proszku na odwszawianie, bo zaraz nas wszystkich oblezą – powiedziała pielęgniarka i wpisała do zeszytu ilość pobranego preparatu.

Alicja pokiwała głową i na chwilę wsparła się na kiju, do którego przytwierdzona była poprzeczna listwa, owinięta szmatami. Czyściła tym wymyślonym przez siebie urządzeniem łaźnie, bowiem dowództwo obozu wymagało od niej wytarcia i zdezynfekowania podłogi po każdym dniu. Uważali, że dzięki temu osadzeni nie będą narażeni na przynoszenie z łaźni chorób, które i tak dziesiątkowały więźniów.

– Co wam jest? – zapytała pielęgniarka.

– Mówisz po polsku? – zdziwiła się Alicja.

– Trochę. Jak po niemiecku, ukraińsku i rumuńsku. Tutaj są ludzie z wielu krajów – odpowiedziała kobieta i poprawiła na głowie pielęgniarski czepek.

– Od tygodnia mam gorączkę, ale ten wielki sanitariusz, Sasza chyba, wygonił mnie ze szpitala – powiedziała Alicja i zakasłała.

– Przyjdź jeszcze raz i poproś Olgę. Dam ci coś, bo możesz skończyć z zapaleniem płuc, jeśli już go nie masz.

Olga Iwanowna była rzeczowa i nie zdradzała jakichkolwiek oznak współczucia. Jednak jej obowiązkiem było minimalizowanie szkód, jakie wyrządzała harówka ponad siły i tragiczne warunki bytowe. Być może tej kobiecie wystarczyło podać witaminy i odesłać na kilka dni na pryczę.

Alicja pokiwała głową i nawet usiłowała się uśmiechnąć z wdzięcznością.

– A kiedy skończysz? – zapytała nagle Iwanowna.

– Jestem słaba i kiepsko się czuję, więc pewnie już noc będzie – mruknęła Alicja.

– Nie chodź po *zonie* wieczorami i nocą. – Olga zmarszczyła czoło. – Oni tylko czyhają na takie jak ty.

– Wiem, nocne łowy. Dziewczyny z baraku mi mówiły, ale co mogę zrobić, jeśli ostatni więźniowie kończą kąpiel w łaźni po dziewiątej wieczór. A to dobra praca, nie chcę jej stracić. – Alicja wzruszyła ramionami.

– Rozumiem, po prostu uważaj na siebie i przyjdź koniecznie do ambulatorium – wymamrotała Olga, po czym zapięła szczelnie płaszcz, okutała grubą chustą głowę, naciągnęła rękawice i chwyciła proszek do odwszawiania.

Po chwili Alicja poczuła zimno wdzierające się do łaźni i pielęgniarka zniknęła za drzwiami baraku.

Kiedy ostatkiem sił skończyła osuszanie podłogi i pozamykała szafki z detergentami, mydłem i środkami odkażającymi, włożyła palto, chustę i wyszła na zewnątrz. Zimne powietrze od razu ją orzeźwiło. Czuła wręcz, że wdziera się do jej płuc i przynosi odrobinę ulgi. Wiedziała, że to jedynie złudzenie i w żaden sposób jej nie pomaga, ale chciała chociaż przez chwilę poczuć się normalnie. Szła powoli, ale miała świadomość, że teraz jej droga powrotna będzie znacznie dłuższa niż zwykle. Musiała minąć baraki mieszkalne, kuchnię i magazyny, i właściwie przejść cały obóz, by dotrzeć do ambulatorium.

Przechodziła właśnie koło stajni, gdy dobiegł do jej uszu głośny śmiech wozaków. Spuściła głowę i ruszyła dalej, najszybciej jak tylko się dało. W pewnym momencie poczuła szarpnięcie i stanęła twarzą w twarz ze swoją rywalką z pociągu, Swietłaną.

– Gdzie tak ci śpieszno, *krasawica*? – zagadnęła kobieta i mocno ścisnęła ramię Alicji.

– Do ambulatorium – odpowiedziała cicho. Nie chciała żadnych awantur ani konfrontacji, była zbyt wycieńczona gorączką i podłym kaszlem.

– W pociągu lubiłaś sobie poużywać, więc pomyślałam, że zapewnię ci więcej podobnych uciech – złośliwie powiedziała Swieta.

Alicja nie wszystko jeszcze rozumiała po rosyjsku, ale na tyle dobrze, by wiedzieć, że właśnie znalazła się w niebezpieczeństwie. Gdyby była zdro-

wa, zapewne pobiłaby się ze Swietłaną, tak jak uczyniła to w pociągu, ale teraz miała siłę kociaka, który dopiero co wyszedł z łona matki.

– Jestem chora – jęknęła Alicja.

– A moi nowi przyjaciele napaleni. – Swieta zarechotała i popchnęła Alicję w stronę jednego z baraków.

Alicja przewróciła się i zdarła kolana na zmarzniętej, ubitej ścieżce. Swieta jednak nie przejęła się tym faktem, tylko złapała ją za włosy i przeciągnęła w stronę baraku. Gdy tylko znalazły się w środku, Alicja poczuła, że znowu bierze ją gorączka i zaczyna się pocić. Nie wspominając o tym, iż kompletnie opadła z sił i niemal słaniała się na nogach. Nie miała siły walczyć ani opierać się. Nawet nie zdobyła się, by żebrać o litość Swietę i kilku osiłków, którzy znajdowali się w środku. Jak przez mgłę widziała, że zdejmują spodnie, a potem poczuła jedynie, że rzucają ją, niczym szmacianą lalkę, na pryczę. Zanim jeden po drugim wdrapywali się na nią, by ulżyć swoim zwierzęcym zachciankom, ona odpływała gdzieś daleko i miała wrażenie, że zaraz zapali się pod wpływem trawiącej ją gorączki. A te bydlęta cieszyły się jak dzieci, że jest taka gorąca i aż płonie pod wpływem ruchów ich lędźwi. Gdzieś z oddali słyszała głośny śmiech Swietłany i jej chrapliwy głos, dopingujący gwałcicieli:

– Ona lubi się parzyć, widziałam w pociągu. Pieprzyła się całymi nocami, ona tego pragnie – ryczała Swietłana.

– Chyba zemdlała – zreflektował się w końcu któryś z mężczyzn.

– To daj jej po mordzie, od razu się ocknie – zarechotała Swietłana.

Na Alicji jednak te ciosy już nie robiły wrażenia. Po każdym uderzeniu jakby powracała do rzeczywistości, a potem ponownie zapadała w gorące jak piec myśli i odliczała minuty, kiedy umrze i nie będzie czuła już nic.

Nie miała pojęcia, ile trwała ta orgia, bo w pewnym momencie straciła przytomność i w istocie przestała odbierać jakiekolwiek bodźce z otoczenia. Ocknęła się, gdy ktoś usiłował ją podnieść z lodowatej ziemi. Otworzyła oczy i ujrzała rozgwieżdżone niebo, a potem znudzone oblicze komendanta Kaganowskiego.

– Żyjesz? – zapytał bez specjalnego przejęcia.

– Nie wiem – wybełkotała.

– Wstań i idź do ambulatorium. Tam cię opatrzą – powiedział ostro.

Alicja podniosła się z ziemi, cała rozdygotana z zimna, ale po chwili ponownie się przewróciła. Stiepan Kaganowski jakby przez chwilę zastana-

wiał się, co zrobić, ale w końcu zdecydował się i kolejny raz podniósł Alicję do góry. Chwycił ją pod pachę i zaprowadził do obozowego szpitala.

Kolejne, co zapamiętała, gdy otworzyła oczy, to słowa Olgi Iwanowny:

– Miałaś wiele szczęścia, że komendant tamtędy przechodził. Co prawda największe mrozy jeszcze przed nami, ale i tak zamarzłabyś na kość. Wyżebrałam od Kaganowskiego zgodę, by podać ci antybiotyk, niedługo wydobrzejesz. Poza tym jeśli cię czymś zarazili, to penicylina i tę dolegliwość powstrzyma.

– Czuję, jakby nadal to robili – szepnęła Alicja i rozpłakała się.

– To minie. Staraj się o tym nie myśleć. Chociaż wiem, jakie to trudne – powiedziała cicho Olga.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? – wybełkotała. – Oni robili to wciąż i wciąż, jeden po drugim, i nawet nie wiem, ile razy…

– Wiem więcej, niż ci się wydaje – westchnęła Olga i poklepała Alicję po dłoni.

Ta jednak odwróciła się w stronę ściany i wpatrywała się tępo w sęk belki, z których zbudowano obozowy szpital. Nigdy nie była święta i często szafowała swym ciałem, by osiągnąć cel, ale to, co ją spotkało, było obrzydliwe. Jak każda forma przymusu, tak i to budziło jej wstręt. Naprawdę wciąż czuła, że coś tkwi między jej nogami, czuła wręcz smród, jaki wydobywał się z ciał gwałcicieli, i słyszała obleśne uwagi Swietłany. Ta kobieta musiała być zdeprawowana do szpiku kości, jeśli podobały się jej podobne obrazki. Alicja nawet teraz, po tym, co się stało, wolałaby ją zatłuc na śmierć, niż zgotować podobny los. Drapieżne zwierzęta byłyby bardziej litościwe dla swoich ofiar.

W tym miejscu jednak nie było mowy o sentymentach, współczuciu czy pięknie. Przywykła do tego. Kobiety, którym udało się poderwać brygadzistę, by poprawić swoje warunki bytowe, zapraszały ich do baraku i uprawiały seks na oczach współmieszkanek. Po pewnym czasie już żadna nie reagowała, nie wykrzywiała twarzy w grymasie ani nie komentowała tego, że kilka metrów dalej ich współlokatorka rozkłada nogi przed jakimś obleśnym typem. Ona także uodporniła się na podobne widoki i dziękowała Bogu, że Kaganowski wysłał ją do pracy w łaźni, gdzie nie musiała oddawać swojego ciała za miskę podłej zupy. Cóż z tego, gdy teraz spotkało ją coś znacznie gorszego…

Poczuła, że gdzieś w jej wnętrzu budzi się wściekłość. Na sytuację, na ludzi, na Boga i przeklęty los, który nie pozwalał jej normalnie żyć. Kiedyś ksiądz na ambonie kościoła w Chełmicach powiedział, że każde złe doświadczenie ma nauczyć człowieka pokory i uczynić go lepszym. Alicji w tym momencie zdawało się, że bardziej pustych słów nigdy wcześniej nie słyszała. Nie czuła wcale, jakby po tak haniebnym czynie miała stać się lepszym człowiekiem. Przeciwnie, gdyby miała tylko siły i możliwości, zamordowałaby ich wszystkich. Obleśnych drani i tę obrzydliwą Swietłanę. Z uśmiechem na ustach zadawałaby im cierpienie i patrzyła z satysfakcją w ich oczy, gdy cierpią i są bezradni. Nie było w niej ani grama pokory, ale jakieś chore i nieludzkie pragnienie zemsty. Obudził się w niej potwór jeszcze większy niż podczas podróży na Kołymę, więc jeśli dobry Bóg chciał zrobić z niej istotę lepszą i bardziej miłosierną, chybił.

Postanowiła, że teraz bardziej niż kiedykolwiek będzie starała się stąd wyrwać. Gotowa była znieść każde upokorzenie, przespać się z samym diabłem i zniszczyć najbardziej niewinną osobę, by jeszcze kiedyś zobaczyć ukochanego synka i najbardziej oddanego mężczyznę, Sergiusza. Była pewna, że gdyby tutaj był i dowiedział się, co ją spotkało, Swieta byłaby jedynie kupą kości obleczonych wytatuowanym ciałem. Julianowi nigdy nie przyznałaby się do tego, co ją spotkało, z obawy, że mimo woli poczuje do niej wstręt i obrzydzenie, ale jeśli chodzi o „Karego” nie miała wątpliwości. I za to kochała go najbardziej.

30. Warszawa, 1946

Sergiusz Dargiewicz wpatrywał się w niewielki karton i kolejny raz wyciągnął z niego jedną rzecz, by zastąpić ją inną.

– Naprawdę nie mogę wysłać do niej większej paczki? – zapytał rozpaczliwie siedzącego obok na krześle Łyszkina.

Ten pokręcił przecząco głową.

– Jeśli chcesz, żeby do niej dotarła… – powiedział cicho.

– Tam jest chyba bardzo zimno… Może zamiast puszek z jedzeniem wyślę jej jakiś gruby płaszcz? Ale przecież to zajmie mnóstwo miejsca… – „Kary" podrapał się po głowie.

Sergiusz Dargiewicz był potężnym mężczyzną, ale robiąc paczkę dla ukochanej Alicji, wyglądał jak mały chłopiec, który niezdarnie usiłuje zapakować prezent pod choinkę dla kogoś bardzo ważnego.

– Posłuchaj, Sergiusz… – z westchnieniem powiedział Igor, nieco już zniecierpliwiony zachowaniem „Karego". – Powiedziałem ci, co jej się tam najbardziej przyda. Pieniądze. Jeśli będzie je miała, kupi sobie i ciepłe odzienie, i lepsze jedzenie. Strażnicy są przekupni, jak każdy.

– Ale to takie bezduszne… Chciałbym, żeby wiedziała, że bardzo ją kocham i wciąż o niej myślę. – „Kary" sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał się rozpłakać.

– Przecież napisałeś do niej list! – warknął Igor.

Sergiusz usiadł na tapczanie i potarł dłońmi zmęczoną twarz.

– Ale chciałbym, żeby zobaczyła, że się starałem. Nie rozumiesz? – jęknął bezradnie.

Był kompletnie rozbity. Z jednej strony ucieszył się ogromnie, gdy spotkał się z Łyszkinem i ten przekazał mu wieści o Alicji. A jeszcze bardziej wówczas, gdy pozwolił mu wysłać za jego pośrednictwem paczkę. Wówczas Sergiuszowi przestał przeszkadzać radziecki mundur enkawudzisty.

Łyszkin wzniósł oczy do góry, głośno wypuścił powietrze i zerknął na zegarek.

– Masz jeszcze pół godziny, za dwie zaczynam służbę, a dzisiaj nie miałem nic w ustach – mruknął.

– W kuchni znajdziesz chleb i słoninę. Przywiozłem ze wsi – bezwiednie odpowiedział Sergiusz. – A tak w ogóle bardzo ci dziękuję, że nam pomagasz… W końcu jestem ci kompletnie obcy. Julian Chełmicki ma swoje ży-

cie i to chyba nie najgorsze. Tak mi się wydaje, chociaż ostatnio to strach coś za granicę wysyłać, więc nawet nie piszemy do siebie…

– I nic nie wysyłaj, jeśli nie chcesz się narażać. Jednak muszę cię rozczarować. Nie staram się dla ciebie, tylko dla Hanki Lewin. Alicja jest jej najlepszą przyjaciółką i pomogła jej wtedy, gdy nikt inny nie mógł ani nie chciał. Hania tak wiele jej zawdzięcza… Nawet o tym nie wiedziałem, dopóki mi o tym nie opowiedziałeś – zaczął Igor, ale po chwili zamilkł, bo samo wspomnienie Hanki wywoływało w nim ból.

Liczył, że niebawem się z nią zobaczy, ale nawet nie mógł jej tego napisać. Nie był pewien, czy jego listy nie są czytane i sprawdzane. Miał dobry pretekst przed władzami, by prowadzić korespondencję z Lewinówną, ale oni byli czujni i wciąż szukali zdrajców w swoich szeregach. Jego wyjazd do Londynu był niemal przesądzony, ale wolał, aby jak najmniej osób o nim wiedziało. W przeciwnym razie informacja mogłaby dotrzeć do Sudopłatowa, a ten zapewne udaremniłby Łyszkinowi opuszczenie Polski i nakazał odczekać kolejny rok. Taki był. Surowy i nieprzejednany. Dlatego lepiej byłoby dla Igora, aby dowiedział się o wszystkim po fakcie.

– Tak, Alicja bardzo pomogła Hance i zniszczyła sobie życie – powiedział cicho Sergiusz.

– Masz o to do niej żal? – zapytał zdziwiony Igor, bo dotychczas „Kary” zachowywał się jak średniowieczny trubadur wzdychający do swojej wybranki.

– Nie mam. Chciałem, żeby wybrała i zrobiła to, co dyktowało jej serce. Nawet jeśli nie mogłaby pomóc Hance i tak pozostałaby w Warszawie. Chociaż tak bardzo ją prosiłem…

– A ja prosiłem Hanię, żeby została. Żadna z nich nie posłuchała. Jedynym pocieszeniem dla mnie jest to, że teraz moja Hania odzyskała spokój i odnalazła szczęście, bo znowu śpiewa – westchnął Łyszkin.

– To zasadnicza różnica i lepsze, niż żyć ze świadomością, że twoja ukochana gnije w łagrze – mruknął „Kary”.

– Tak, to pocieszające… Mniej mnie raduje fakt, że przestała mnie kochać – odpowiedział Igor. – Ale wolę, żeby była szczęśliwa, nie darząc mnie uczuciem, niż jak to powiedziałeś, gniła w łagrze, mdlejąc z miłości.

– Dlaczego tak uważasz? Hanka wiele przeszła, była na skraju załamania nerwowego i ma dwoje dzieci, które bezgranicznie kocha, nie dziw się

więc, że nie chce wracać do zrujnowanego kraju i niepewnej przyszłości – powiedział pocieszająco Sergiusz.

– To prawda, nie miałaby tutaj luksusów, bo Hitler dokonał spustoszenia, ale sytuacja jest pewniejsza niż przed wojną. Rosjanie nie dopuszczą już do czegoś podobnego, to niemożliwe – bronił swoich racji Igor.

– Słuchaj, Łyszkin! – zdenerwował się „Kary". – Cieszę się, że mi pomogłeś i… jak by to powiedzieć… nawet porządny z ciebie chłop, ale nie mów mi, jak to dobrze jest żyć pod waszymi opiekuńczymi skrzydłami. Cała masa bohaterów wojennych siedzi w waszych więzieniach albo zostali zesłani do łagrów, jak moja Alicja. Uszła z życiem przed szwabskim najeźdźcą, ale wy ją chcecie wykończyć, posądzając o kolaborację z Niemcami. Równie niedorzeczne, jak to, że Adolf chciał zrobić z Polski kraj mlekiem i miodem płynący.

– A czyż ta twoja Alicja nie sypiała przypadkiem z jakimś niemieckim oficerem…? No, niech no pomyślę – złośliwie odciął się Łyszkin.

– Miała swoje powody – warknął Sergiusz.

– Najwyraźniej moskiewski sąd również. – Igor nie był mu dłużny.

– Wasze sądy… Wasze piękne idee i puste słowa. Kiedy w końcu się ockniesz, człowieku? – „Kary" nieco spuścił z tonu.

Wiedział, że nic nie przekona Łyszkina i dalsza rozmowa nie ma najmniejszego sensu. Obaj musieli jakoś żyć w symbiozie, jeśli chcieli się wzajemnie wspierać i pomagać sobie. W obliczu tak trudnych spraw, jak uwięzienie Alicji na dalekiej Syberii, nic nie miało znaczenia. Ani narodowość, ani polityczne poglądy. I tak jak niemal rok temu Sergiusz desperacko zwrócił się o pomoc do Juliana Chełmickiego, tak dzisiaj był gotów podawać rękę enkawudziście, byle tylko ten zrobił cokolwiek, co mogło ulżyć nieco Alicji.

– Instrukcje, co ma napisać w odwołaniu do sądu, jej wysłałeś? – zapytał Igor rzeczowo, także kończąc rozmowę, która nie miała szans zakończyć się konsensusem.

– Tak… A ty swoją rekomendację wysłałeś? – przypomniał „Kary".

– Tak, wczoraj poleciała do Moskwy, ale dopóki jestem tutaj na karnym zesłaniu, pewnie nic nie wskóram. A niestety panna Rosińska ma w tym swój udział. Nieświadomy zapewne, ale dla władz nie ma to żadnego znaczenia. Na tę chwilę próbuję przekonać jedną taką aktywistkę, by pomogła mi w wyjeździe do Wielkiej Brytanii, ale naprawdę nie wiem, czy coś

zdziałam i na tym polu. Sam widzisz, że moje ręce nie są takie długie, jak mogłoby się wydawać, chociaż podczas wielkiej wojny ojczyźnianej dałem z siebie więcej, niż było to konieczne – powiedział z rezygnacją Igor. – A tym wyjazdem jeszcze bardziej podpadnę, jeśli mój przełożony z Moskwy się o nim dowie.

– Jeśli więc uważasz, że Hanka już cię nie kocha i wiedzie tam spokojne życie, po co chcesz się narażać? – zdziwił się Sergiusz.

– Muszę to wiedzieć, muszę być pewny… a nigdy nie będę, dopóki nie popatrzę jej w oczy albo nie usłyszę od niej, że między nami wszystko skończone. Ale nie tylko dlatego chcę tam pojechać. Mały Grześ jest moim synem i widziałem go zaledwie kilka minut. A to przecież moje dziecko. Nie byłem przy nim, gdy przyszedł na świat ani wtedy, gdy stawiał pierwsze kroki. Podobno już mówi, a ja nigdy nie słyszałem jego głosu, a jedynie płacz. Bez względu na to, co postanowi Hanka, Grześ zawsze pozostanie moim synem i nic już tego zmieni – smutno zakończył Igor, po czym pożegnał się i opuścił suterenę, w której mieszkał „Kary”, zabierając ze sobą paczkę dla Alicji.

Sergiusz miał poczucie, jakby włożył do tego zgrzebnego kartonu kawałek swojej duszy, by poleciała do Alicji. Pragnął, by wyjmując z paczki rzeczy, poczuła chociaż przez krótką chwilę jego miłość i obecność. Potem wyciągnął z szafy starą walizkę i zaczął się pakować. Kolejny raz wybierał się do kieleckiej leśniczówki, by spędzić trochę czasu z Mateuszkiem i rodziną Alicji. Bardzo chciał go zabrać do Warszawy i poczuć się jego prawdziwym ojcem, ale Rosińscy za nic w świecie nie chcieli się na to zgodzić. Rozumiał ich i prawdę powiedziawszy, nawet nie miał prawa w tej kwestii dyskutować, bo nie zdążył ożenić się z Alicją. Dlatego dzielił swój czas pomiędzy pralnię na Pradze a podkielecką leśniczówkę. Wciąż czuł się bezradny jak dziecko, gdy Mateusz zadawał mu pytania dotyczące powrotu Alicji, a jeszcze bardziej, gdy zagadywał go, dlaczego Sergiusz po nią nie pojedzie. Wiele razy o tym myślał, zastanawiał się i nawet był gotowy narazić życie, by ją stamtąd wyciągnąć, ale Igor sprowadził go na ziemię. Boleśnie i bez skrupułów. Swoją drogą „Kary” nigdy nie pomyślałby, że jedyny przyjaciel, jaki mu pozostanie, to radziecki enkawudzista, który niejeden raz się z nim upił, przesyłał listy bezpiecznym kanałem do jego siostry w Londynie i rozważał z nim szanse powodzenia akcji przedostania się na Kołymę i uwolnienia Alicji.

31. Berlin, 1946

Po najsmutniejszych świętach, jakie przyszło obchodzić Walterowi, i równie ponurym Nowym Roku Lossow powrócił do Berlina i swoich zajęć, które wyznaczyli mu Amerykanie. Nie był już jeńcem ani więźniem, ale wciąż dla nich pracował i był im wdzięczny, że obeszli się z nim tak łagodnie. Właściwie Walter nie potrafił zrozumieć, dlaczego owe święta, pierwsze od kilku lat, które spędził w gronie całej najbliższej rodziny, wydawały mu się tak przygnębiające. Bardzo skromnie zastawionego stołu i braku podarunków pod choinką Lossow nie uważał za szczególnie przykre. Pod tym względem obchodził już w swoim życiu gorsze święta, pod Leningradem. Siedzieli wówczas otuleni kocami przy rachitycznym drzewku, na którym smętnie zwisały ręcznie i dość nieudolnie zrobione ozdoby. Ktoś pociął puszkę po gulaszu, ktoś inny powiesił zasuszone jabłko, a jeszcze ktoś znalazł szturmówkę w piwnicy i zrobił z niej łańcuch choinkowy. Panowała wówczas mroźna zima, jedzenia było jak na lekarstwo, a oni tęsknili za swoimi domami i rodzinami, opowiadając sobie o smakowitych potrawach, prezentach, niekiedy nietrafionych, a katolicy o nocnych wyjściach na pasterkę, gdzie ukradkiem popijało się sznapsa, przemycanego pod połami kożuchów i zimowych płaszczy.

A jednak to właśnie te święta, tuż po wojnie, okazały się dla Lossowa niemal katorgą. Ojciec przez cały czas siedział posępny i zastanawiał się, do kogo mógłby napisać, by otrzymać jakieś wsparcie, matka patrzyła jak zaczarowana w stos ugotowanych ziemniaków i pajdy chleba, Leni co rusz wybuchała szlochem, a Lilly ani na chwilę nie puszczała jego dłoni. A kiedy już ta dramatyczna kolacja dobiegła końca, Lilly Berg zaczęła naciskać na ustalenie daty ślubu. Na nic zdały się tłumaczenia, że wciąż jest niejako w niewoli i nie wiadomo, jaka zapadnie decyzja co do jego przyszłości. Lilly była uparta jak osioł. To prawda, okłamał ją, on już znał swoje losy, ale przecież ona o tym nie wiedziała. Za to on wiedział jedno – że nie chce jej poślubić. Był gotów zapewnić jej byt i pomóc na wszystkie sposoby, jakie były w zasięgu jego możliwości, byle tylko Lilly zechciała od niego odejść. Sam bowiem, jako człowiek honoru, nie mógł tego uczynić. Tymczasem kilkumiesięczna rozłąka, gdy spotykali się jedynie na krótkich widzeniach w obozie przejściowym, jeszcze bardziej podniosła temperaturę uczuć Lilly, ale on, przebywając tam, stwierdził z przerażeniem, że w amerykańskiej

niewoli czuje się bardziej wolny aniżeli siedząc z Lilly Berg przy jednym stole.

Mimo że zajęcie, jakie mu zlecono, niewiele miało wspólnego z pięknem, które niegdyś Lossow tak bardzo lubił, wciągnęło go to. Zdjęcia, które robił, były równie przygnębiające, co te z Leningradu, ale tym razem ich opis był prawdziwy, a nie stanowił jedynie propagandowej notki.

Kiedy pierwszy raz wyruszył z ekipą amerykańskich żołnierzy i jednym z dziennikarzy, Allanem Stone'em, nie spodziewał się tego, co zastanie w stolicy swojego kraju. Doznał szoku, gdy zamiast monumentalnych budowli ujrzał gruzy, a wszędzie, gdzie to tylko było możliwe, powiewały radzieckie flagi i gdzieniegdzie amerykańskie i brytyjskie. Radzieccy żołdacy, najczęściej pijani, chodzili po mieście w rozchełstanych mundurach, tańczyli na zrujnowanych domach i śpiewali rosyjskie pieśni, przygrywając do rytmu na ustnych harmonijkach. Czasami odbywały się wspólne imprezy amerykańskich i radzieckich chłopców, a Walter miał robić zdjęcia, gdy przyjacielsko się obściskują albo wspólnie tańczą kazaczoka. Wielcy triumfatorzy i cisi rywale, jednak na pierwszych stronach gazet – sojusznicy i przyjaciele. Wielotygodniowa feta wieńcząca zakończenie wojny i zwycięstwo nad znienawidzonym Hitlerem.

Walter von Lossow mógłby na to patrzyć nawet z pewną ulgą i zrozumieniem, gdyby nie to, że pomiędzy tymi rozśpiewanymi i radosnymi żołnierzami znajdowali się zwykli Niemcy, którym przyszło zapłacić rachunek za potyczki między mocarstwami. Wygłodniałe dzieci wyciągające rękę po cokolwiek do jedzenia, niemal kilometrowe kolejki do punktów wydających zupę i zgwałcone kobiety z otępiałym wzrokiem snujące się po ulicach. Starcy powoli stąpający po zagruzowanych ulicach, zdziwieni i zszokowani nie tylko ogromem zniszczeń, ale także zachowaniem triumfatorów, oraz łkający młodzi chłopcy z Hitlerjugend, których pojmano niemal natychmiast, gdy tylko z zaangażowaniem rzucili się, by walczyć o Berlin. Szli w porwanych mundurach, ze spuszczonymi głowami, i płakali. Najbardziej za swoim ojcem narodu i przywódcą, który strzelił sobie w głowę w jednym z berlińskich bunkrów. Niegdyś dumni, z myślami pełnymi marzeń, wyciągnięci z szarej codzienności, by poczuć się bohaterami niemal narodowymi, a w tym momencie pokonani i załamani. Zapewne nie będą jeńcami zbyt długo i powrócą do swoich domów i rodzin, jeśli jeszcze je mieli. Czy jed-

nak te przeżycia nie zostawią w nich skazy na całe życie? A może kiedyś, wspominając wielką Rzeszę, zechcą kontynuować szaleństwo Hitlera?

Wszędzie głód, nędza i gruzy. Kwintesencja upadku i tego wszystkiego, co złego może nieść ze sobą wojna. Radość jednych i łzy drugich. Triumf zwycięzców i tragedia pokonanych. Zgliszcza i śmierć. Kto mógł przewidzieć, że ambitny plan Hitlera pewnego dnia się zawali? Pewnie w dniu, gdy zapadła decyzja o napaści na Związek Radziecki, wielu tak pomyślało. Ale tutaj, do Berlina, dostojnego i pięknego, docierały jedynie dobre i poprawne wieści. Walter sam pieczołowicie je preparował, by ludzie wciąż wierzyli, mieli nadzieję i nie zbuntowali się przeciwko rozpleniającej się po Europie wojnie.

Teraz już nie musiał kłamać i pisać, że wszystko, co wymyślił, zaplanował i zrealizował Hitler, ma głębszy sens i jest czymś pozytywnym. I w tej nowej roli poczuł się naprawdę dobrze, chociaż nadal zamiast piękna widział jedynie brzydotę. „A czyż brzydota może być piękna?” – myślał niekiedy, gdy wyciągał z kuwety kolejne zdjęcie i przypinał klipsem do grubego sznura. Kobieta w zaawansowanej ciąży ze spływającą po udach krwią. Niespełna sześcioletni chłopczyk pozbawiony nogi i wsparty na kulach, z wyciągniętą dłonią i żebrzącym spojrzeniem. A obok, nieco starszy, może dziewięcioletni, z miną cwaniaka i zaciągający się bez skrępowania papierosem. Kobieta pchająca wózek, a w nim dwójka dzieci z płóciennymi szmatkami nasączonymi mlekiem w ustach, które zastępowały normalne smoczki. Kamienica bez jednej ściany nośnej, a wewnątrz toczące się życie zwykłych ludzi, jakby byli aktorami na scenie i mogli być obserwowani przez przechodniów. Nikogo jednak już nie dziwiły podobne widoki, ludzie chcieli tylko jeść, przespać się gdzieś, chociażby w gruzach, i przeczekać, aż triumfatorzy wprowadzą porządek i nakarmią społeczeństwo.

Zdjęcia Waltera robiły furorę, podobnie jak notki opisujące sytuację w Berlinie, cóż jednak z tego, skoro wszędzie widniały podpisy Allana Stone’a. Walter był tylko jego wasalem, by ten mógł od czasu do czasu udzielić wywiadu w jakimś opiniotwórczym dzienniku brytyjskim, francuskim albo amerykańskim. Ale Lossow nie skarżył się, nie była mu potrzebna do szczęścia taka wątpliwa sława, nie mówiąc o tym, że dla wielu był zdrajcą i dezerterem albo poległym w boju żołnierzem niemieckim. Jednak to, że stał się dla Stone’a niemal osobą niezastąpioną, sprawiło, iż rychło odzyskał wolność, otrzymał niewielki i w całkiem niezłym stanie lokal w Berlinie,

profesjonalny sprzęt fotograficzny i wyciągniętą z jakiegoś niemieckiego urzędu maszynę Olimpia. W końcu poczuł, że żyje i znalazł swoje powołanie. A było nim komentowanie i uwiecznianie na kliszy otaczającej go rzeczywistości. Bez upiększeń, bez póz, naga, ponura prawda wyłaniająca się spod gruzów Berlina.

A kiedy opadł kurz i wszystko zostało powiedziane, Allan Stone otrzymał kolejną misję. Był nią szeroko komentowany proces niemieckich zbrodniarzy w Norymberdze. W innych krajach także powstały podobne trybunały, ale ten był najbardziej spektakularny. W salach sądowych zasiedli dziennikarze największych tytułów, niemal w każdym kącie rozstawiono kamery nagrywające przebieg procesu, a na ławie oskarżonych znaleźli się najważniejsi przywódcy Trzeciej Rzeszy. Gdy wchodzili na salę rozpraw, wychudzeni i bladzi, w więziennych uniformach, pozbawieni eleganckich mundurów i dystynkcji, wyglądali jak każdy inny przestępca. Cała ich władczość i wewnętrzna siła, budząca zarówno strach, jak i podziw, po prostu gdzieś się ulotniła, a postawa przegranego niekiedy budziła w ludziach nawet litość.

Walter czuł się w swoim żywiole. Twarze. Dziesiątki, setki min, spojrzeń. Ust wygiętych w podkówkę, zaciśniętych w złości albo uśmiechających się złośliwie. Postacie zgarbione, jakby spadł im na ramiona ogromny ciężar, i wyprostowane, dumne, gotowe na każdy wyrok. A potem te same twarze, gdy wygłaszano wyroki. Najczęściej śmierci. I to, jak się zmieniały, gdy stawało się jasne, że ich życie wkrótce dobiegnie końca. Setki świadków, wstrząsające historie, w które wierzył, bo sam był obserwatorem podobnych zdarzeń, metry notatek, które porządkował, gdy opuszczał salę rozpraw, i wywoływane nocą zdjęcia. Był wyczerpany i miał świadomość, że Stone go wykorzystuje, ale pierwszy raz od kilku lat odnalazł w życiu cel. Owe doświadczenie traktował jak praktykę, by kiedyś, gdy sytuacja się ustabilizuje, zostać rzetelnym dziennikarzem. Takim, który nie koloryzuje, nie stoi za żadną polityczną siłą i nawet jeśli będzie samotnym wilkiem, nigdy więcej nie napisze niczego wbrew sobie.

Kiedy pojawiły się pierwsze niemieckie gazety, jego zdjęcia i informacje były wszędzie i wywoływały masę komentarzy. Wstrząsał Niemcami, by nigdy więcej nie odważyli się pójść za jakimś obłąkanym i żądnym władzy przywódcą. Rzadko bywał w domu, jedynie wysyłał rodzinie pieniądze. Nie były to duże kwoty, dla niego nie zostawało już prawie nic, ale cieszył się,

że mógł im pomóc. Miał także nadzieję, że zeszłoroczne święta były ostatnimi tak biednymi i smutnymi. Jedyna sprawa, jaka go uwierała, to Lilly. Wiedział, że niedługo będzie musiał przyznać się do tego, czym naprawdę się zajmuje, a obóz przejściowy pozostał jedynie wspomnieniem. I kiedy w końcu wyzna prawdę, będzie musiał ożenić się z Lilly.

***

Urodziny Martina von Lossowa zawsze były wyjątkowym dniem w ich domu. I Walter bardzo chciał w nich uczestniczyć. Wiedział także, że padną pytania o ślub i poczuł, iż po prostu nie ma wyjścia i musi zdobyć się na ten krok. Poprosił o trzy dni wolnego, na co Allan niezbyt chętnie przystał, kupił od jakiejś wygłodzonej kobieciny złoty pierścionek, niemal za bezcen, i przybył do rodzinnego domu, by uczcić urodziny ojca. Atmosfera była nieco lepsza niż podczas świąt, a i na stole pojawiło się więcej potraw aniżeli tylko chleb, kasza czy ziemniaki. Stary Lossow zdobył nawet butelkę wina i było ono symbolem nadejścia lepszych czasów.

– Ojcze, mamo, chciałbym coś ogłosić. Otóż dzisiaj możemy świętować podwójnie, bo oświadczyłem się Lilly, a ona oświadczyny przyjęła – powiedział dostojnie Walter podczas uroczystej kolacji i delikatnie podniósł do góry dłoń narzeczonej, by każdy z domowników mógł dostrzec na jej palcu zaręczynowy pierścionek.

– Nareszcie… – roześmiała się Leni i pogratulowała bratu oraz jego narzeczonej.

Po chwili matka Waltera uczyniła to samo. Martin skinął jedynie głową i popatrzył na syna z dezaprobatą. Walter wyczuł, że ten dzień nie zakończy się dla niego tak pięknie, jak zaczął i czeka go poważna rozmowa z ojcem.

W istocie, gdy wszyscy położyli się już spać, Walter usłyszał ciche pukanie do drzwi swojej sypialni. Przez chwilę pomyślał, że to Lilly nie może doczekać się ich nocy poślubnej, ale z ciemności korytarza wyłoniła się postać ojca, otulona miękkim, długim szlafrokiem, który był kwintesencją szyku i elegancji.

– Tato… Ty nawet w szlafroku wyglądasz jak dżentelmen – uśmiechnął się Walter.

– Nie zamydlaj mi oczu, synu, szlafrokiem. Wiesz, po co przyszedłem – mruknął Martin.

– Zapewne chcesz kolejny raz zapytać mnie, czy wiem, co robię. Otóż, ojcze, nie wiem. Ale wiem, co powinienem zrobić. Przyrzekłem zaopiekować się Lilly i ożenić się z nią, a w dniu, w którym wypowiedziałem te słowa, klamka zapadła. To tak, jakbym już wówczas stanął z nią na ślubnym kobiercu – stanowczo powiedział Walter, gotowy ponieść wszelkie konsekwencje złożonej Lilly i jej rodzicom obietnicy.

– Walterze, ale ty jej nie kochasz – jęknął Martin von Lossow.

Walter spuścił głowę. Lubił Lilly, był nawet czas, że mógł powiedzieć, iż jest w niej zakochany, ale nastał moment, gdy doszedł do wniosku, iż on i Lilly są z zupełnie innej bajki. Ale co, u licha, miał zrobić? Powiedzieć tej słodkiej, niewinnej istocie, że jej czas u jego boku się skończył? Iż nagle opadły mu klapki i popatrzył na nią innymi oczami? Wyrwał ją z gniazda i teraz nagle miałby jej powiedzieć: „Żegnaj, dalej lecisz sama”? Być może i tak byłaby zmuszona, by opuścić rodzinną wieś, ale w tamtej chwili uczyniła to tylko dla niego i nie zrozumiałaby, gdyby jej oznajmił, że jedynie przyśpieszył ów dramatyczny moment.

– Tato, czasami od miłości ważniejszy jest honor. Już raz go splamiłem, uciekając jak szczur z frontu wschodniego, i bez względu na to, co myślałem i sądziłem, złamałem przysięgę i okazałem się tchórzem. Nie chcę kolejny raz patrzyć w lustro i czuć do siebie obrzydzenie, że złamałem dane słowo. Może gdy będziemy małżeństwem, zamieszkamy razem gdzieś w Berlinie, proza życia na powrót obudzi we mnie uczucie tkliwości i głębokich uczuć – prawie ze łzami w oczach odpowiedział Walter.

– W Berlinie? A cóż ty będziesz tam robił? Tutaj wiosną obsiejemy pola i powoli staniemy na nogi. Masz tam zamiar rowy kopać? Równie dobrze możesz to robić tutaj. U siebie – zdziwił się ojciec.

– Tato, nie wiesz wszystkiego… Już od jakiegoś czasu jestem niemal wolnym człowiekiem. Oczywiście, postawiono mi warunki i rzetelnie je wypełniam. Mieszkam w małej klitce i jestem nie tylko fotoreporterem, ale także piszę. I nie propagandowe teksty, ale prawdę. Zapewne nieraz czytałeś i oglądałeś relacje niejakiego Allana Stone’a. To wszystko jest moim dziełem. Na razie musi mi to wystarczyć i traktuję to jak praktykę przed prawdziwym dziennikarstwem, firmowanym własnym nazwiskiem. Mam nawet kilka pomysłów na świetne artykuły, ale muszę poczekać, aż opadnie kurz i w końcu będzie wiadomo, co się z nami stanie – mówił rozentuzjazmowany Walter. Zupełnie inaczej, niż gdy wspominał o swoim własnym ślubie.

– A Lilly? Co będzie robić? Zdołasz ją utrzymać? A jeśli pojawi się dziecko? – Martin von Lossow zasypywał syna pytaniami.

Walter wzruszył ramionami.

– Nie wiem, tato. Tak samo nie wiedziałbym tego, pozostając tutaj. Tak naprawdę nikt nie wie, co będzie. Nasza fortuna, interesy, wszystko w ciągu kilku lat zamieniło się w proch, więc jak mogę cokolwiek planować? Muszę jednak mieć jakieś marzenia, bo inaczej zwariuję. I teraz moim marzeniem jest zawód reportera. Jednak przyszłość tego kraju to jeden wielki znak zapytania. Może zrobią z nas radziecką kolonię, a może amerykańską? Już teraz sojusznicy chwycili się za łby. Słyszałeś lutowe przemówienie Stalina? Przecież ział niechęcią do państw zachodnich i stylu życia, jaki propagują. Jednak wiesz dobrze, że nie o styl tu idzie ani stawką nie są idee, ale władza. I ja tej władzy chcę patrzyć na ręce, by już nigdy nie oglądać Berlina zrównanego z ziemią.

Stary Lossow wstał z łóżka Waltera, poklepał go ramieniu i powiedział”:

– Wiesz, synu, ty chyba stałeś się już dorosły.

32. Londyn, 1946

– Dzień dobry, Haniu – słodko powiedział Piotr, stając z bukietem róż w drzwiach mieszkania. – Czytałaś? Piszą o tobie w dzisiejszych gazetach. „Czy Hanna Lewin zdetronizuje Dorothy Squires?”. Cóż za fenomenalny tytuł!

Lewinówna wzięła do ręki kwiaty i cmoknęła Piotra w policzek. Zaprowadziła do saloniku i powiedziała ze śmiechem:

– Dziękuję, Piotrze. Co do prasy zaś, to wyczuwam, że nieco pomogłeś im przy nagłówkach.

Przewrócił oczami.

– Czy to źle? Nie zrobiłbym tego dla miernoty, bo wystawiłbym się na pośmiewisko, ale wierzę w twój talent i charyzmę.

– Jeszcze raz dziękuję. Zwłaszcza za tę wiarę, której wciąż mi brakuje, chociaż przed wojną… Nieważne, nie mówmy o tym. – Hanka posmutniała.

– Jakieś złe wieści? Co to za mina? – zapytał z troską w głosie Piotr.

– Nic się nie dzieje, to tylko wspomnienia… – powiedziała z westchnieniem Hanka i postanowiła zmienić temat. – A jak twoje plany matrymonialne? Słyszałam, że Cavendishowie zaczynają się niecierpliwić.

Tak, Hanka koniecznie chciała zmienić temat. Mimo że jej kariera rozwijała się w niemal szalonym tempie, a swój dość wysoki poziom życia z każdym miesiącem bardziej zawdzięczała sobie niż hojności szwagra, ostatnio nie była w najlepszym nastroju. Nawet jeśli nie wyobrażała sobie już powrotu do kraju, zwłaszcza że stał się odizolowany od świata i poniekąd władał nim Stalin, otrzymywane od Igora Łyszkina listy pozwalały jej chociaż na chwilę żyć myślą, że kocha i jest kochana. Tymczasem już od wielu tygodni nie otrzymała od niego żadnej wiadomości. Co dziwne, od Emila wciąż przychodziły listy, zatem korespondencja mogła w miarę swobodnie przepływać pomiędzy krajami. Nawet jeśli przebąkiwano o możliwości wybuchu trzeciej wojny światowej, Hanka nie wierzyła, że ktoś wpadnie na tak szalony pomysł w najbliższym czasie, jeśli po poprzedniej jeszcze nie opadły emocje i kurz.

Może Igor wyczuł w listach, że jej pozostanie w Wielkiej Brytanii na zawsze jest przesądzone i postanowił ułożyć sobie życie? Nie zdziwiłaby się, a jednak sama myśl, że miejsce w jego sercu mogła zająć inna kobieta, doprowadzał ją do rozpaczy. Co jednak mogła zrobić, oddalona od niego o ty-

siące kilometrów? Czekać na cud? A może zmusić go, by dołączył do niej? Pewnie zrobiłaby to, ale zdawała sobie sprawę, kim jest i kim są jego zwierzchnicy. Tym bardziej teraz, gdy Stalin i Churchill okazywali sobie jawną wrogość, wyjazd Łyszkina mógłby być odebrany jak zdrada. Kiedyś powiedziała Alicji, że jeden cud to już dużo, dwa pod rząd się nie zdarzą. Zatem jeśli namówiłaby Igora na życie w Londynie, nigdy nie aspirowałby, żeby zbliżyć się do tutejszej arystokracji, bo on gardził takimi ludźmi. A Hanka właśnie tego pragnęła. Nobilitacji.

Bardziej jednak niż rozterki miłosne dręczył ją paniczny lęk o Alicję. Igor Łyszkin pisał o tym w listach dość lakonicznie, a ona jedynie błagała, by pomógł jej przyjaciółce. Zdołała jednak wywnioskować, że Alicja wpadła w jakieś kłopoty i istnieje prawdopodobieństwo, iż przez długi czas się z nich nie wygrzebie. Dobrze, że żyła, ale Hanka chciała, żeby to nie był taki żywot, jaki jej przyjaciółka wiodła do tej pory. Lewinówna łudziła się nawet, że gdy Alicji uda się wyjść cało z powstania, zrobi to, co powinna uczynić przed jego wybuchem. Po prostu wyjedzie z kraju. Jednak ona została, a teraz miała jakieś poważne problemy, których istoty Hanka nawet nie próbowała się domyślać. Wiedziała jednak, że gdyby Alicja mogła, napisałaby do niej. Żaden list jednak nie nadchodził, a jedyne, skąpe wieści, jakie miała, pochodziły od Igora.

– Wiesz, ten cały ślub to jakieś szaleństwo. Z każdej strony słyszę tylko o tym. A im bardziej na mnie naciskają, tym mam większą ochotę porzucić Henriettę. – Piotr wyrwał ją z rozmyślań o Alicji i Igorze.

– To cudowna dziewczyna, Piotrze. Dlaczego miałbyś ją porzucać? – zdziwiła się Hanka.

– Wydaje mi, że to wszystko, co się wokół nas dzieje, ten cały zaaranżowany spektakl, niewiele ma wspólnego z prawdziwą miłością – powiedział smutno Piotr.

– Nie kochasz Henrietty? – zapytała Hanka, zdumiona jeszcze bardziej niż kilka minut wcześniej.

– Nigdy jej nie kochałem, chociaż Bóg mi świadkiem, uważam ją za bardzo atrakcyjną i wartościową kobietę. Myślę, że i ona nie chciała się zbytnio angażować, a zaczęła poważnie myśleć o naszym związku, gdy jej rodzina uznała ten pomysł za dobry. Nie za doskonały, bo zapewne woleliby, żeby przy jej boku znalazł się jakiś angielski arystokrata, ale widocznie doszli do wniosku, że lepszy rydz niż nic. Henrietta ma bardzo postępowe po-

glądy, fascynuje ją feminizm i czyta Karola Marksa, więc liczą, że małżeństwo nieco ją przystopuje przed angażowaniem się w podobne sprawy. Kompletnie nie zgadzam się z jej opiniami i pewnie dużo czasu zajęłoby mi wybicie ich z głowy Henrietty. Haniu, mogę się z nią przyjaźnić, ale, do licha, nie chcę jej. Bo jej nie kocham. I poczuję się jak ostatni drań, jeśli się z nią ożenię – spokojnie wyznał Piotr.

– A ona? Kocha cię? – Hanka nie dawała za wygraną.

Piotr Niechowski wzruszył ramionami.

– Myślę, że jest zakochana, ale czy kocha naprawdę? Czym tak naprawdę jest miłość? – westchnął.

Hanka uśmiechnęła się i kolejny raz powróciła myślami do Igora.

– Miłość jest wtedy, gdy wciąż myślisz o swojej wybrance, martwisz się o nią, pragniesz jej szczęścia i uśmiechu, kiedy każda chwila z nią spędzona jest dla ciebie cenna i ważna… – powiedziała z rozmarzeniem.

– Hm… – zamyślił się Piotr. – Więc jeśli miłość jest tym, o czym przed chwilą powiedziałaś, to kocham ciebie.

Hanka popatrzyła na Piotra, szczerze zaskoczona, a potem odwróciła wzrok. Kompletnie się tego nie spodziewała. Piotr zachowywał się dotychczas jak przyjaciel. Życzliwy, cudowny i pełen radości. Nigdy nie pomyślała, że budzi się w nim tak poważne uczucie do niej, chociaż jeszcze rok temu wyczuwała, że chciałby być dla niej kimś więcej, jednak odkąd zaczął spotykać się z Henriettą, sprawa wydawała się jasna. Tymczasem usłyszała coś takiego…

Uwielbiała spędzać z Piotrem czas, życzyła mu jak najlepiej i zawsze uśmiechała się na jego widok. Właściwie więc i ona mogłaby nazwać to miłością. Mogłaby, gdyby nie tkwiący w jej sercu, niczym drzazga, Igor Łyszkin. Gdyby nie on i wspomnienia, jakie miała, byłaby szczęśliwa, ale wiedziała, że już z żadnym mężczyzną nie połączy jej takie uczucie, jak z Igorem. Każdy, kto zechce zająć jego miejsce, będzie jedynie kalką, nieudolną podróbką. Nawet ktoś tak frapujący, jak Piotr.

Hanka miała jednak świadomość, że jej mrzonki o życiu z Igorem nie mają szans się ziścić. Wszystko było przeciwko nim i ich miłości. Jedyne, co jej pozostało, to mały Grześ, który był podobny do swojego ojca, jak dwie krople wody. Ich wspólny syn był jak pieczęć odciśnięta na całe życie, bez względu na to, co było, jest i będzie. Musiała jednak pomyśleć o przy-

szłości, w której nie było Igora. Zatem mógłby być to Piotr. Zaczęła więc delikatnie:

– Twoja matka, brat… pozostała część rodziny… Oni tego nie przeżyją – powiedziała cicho.

– Posłuchaj, już od dawna jestem niezależny. Swoją schedę po ojcu zainwestowałem, pomagam także matce zarządzać majątkiem. W tym czasie mój braciszek pił, grał w karty i chodził na dziwki. Gdy ja latałem w spitfire'ach, mój brat udawał, że jest ciężko chory. To leń, bawidamek i utracjusz. Teraz nie ma wyjścia i musi słuchać matki, jeśli nie chce skończyć w przytułku, ja… ja już nic nie muszę. A najmniej zadowalać matkę i jej aspiracje. Czasy się zmieniają, nawet w tak hermetycznym środowisku brytyjskiej arystokracji widzę pewien wyłom, więc tym się kompletnie nie przejmuj – gorzko stwierdził Piotr.

– Właśnie widziałam ten wyłom – skomentowała złośliwie.

– Kochana, przed wojną nawet nie weszłabyś do tego domu głównym wejściem, więc uwierz, to jest postęp. – Roześmiał się.

– Wiem, że teraz mnie wyśmiejesz, ale zależało mi bardzo, żeby mnie zaakceptowali. A teraz wiem, iż nie zrobią tego nigdy – westchnęła Hanka.

– Jeśli wyjdziesz za mnie, będą musieli.

– Zrujnuję ci życie, Piotrze… Nigdy nie powrócisz do tego świata. Przeze mnie – wyszeptała.

– Haniu, nie interesuje mnie to. Mam pieniądze, swoje interesy i chcę mieć ciebie u boku. Nie musisz się przejmować takimi sprawami. Ważne jest jedynie to, czy ty mnie kochasz. – Piotr podszedł do fotela, na którym siedziała, złapał ją za ramiona, nachylił się i zaczął całować. Policzki, czoło i usta…

Lewinówna siedziała jak słup soli, ale pieszczoty Piotra nie były dla niej czymś przykrym. Przeciwnie, sprawiały przyjemność i podobnie się czuła wówczas, gdy Hermann Ritz zaciągnął ją do łóżka. Tak dawno nie miała mężczyzny, jakby kompletnie zapomniała o swoich potrzebach, a w tym momencie coś w niej krzyczało, by Piotr nie przestawał.

– Za cztery godziny mam występ, zapomniałeś? – wyszeptała, odrywając się od jego ust. – I to nie byle gdzie… Muszę się przygotować.

Piotr jakby powrócił do rzeczywistości.

– Tak, Haniu, oczywiście i przepraszam z góry, że na nim nie będę. Muszę pojechać do Liverpoolu… – powiedział cicho.

– Wiem, i nie przepraszaj. I tak zawsze, kiedy możesz, towarzyszysz mi… Piotrze… Nie będziemy się widzieli kilka dni. Przemyśl to, co się dzisiaj wydarzyło. Jestem rozwódką, matką dwójki dzieci… Pragnę twojego szczęścia…

– Haniu, mówisz, jakbyśmy dopiero dzisiaj się poznali. – Uśmiechnął się i delikatnie pogładził ją po policzku, a potem szepnął: – Szykuj się, dzisiaj na twoim występie ma być dyrektor z Palladium, a za kilka miesięcy planują wznowić sygnał telewizyjny, więc dobrze by było, byś i tam zawitała. Daj z siebie wszystko.

Po chwili opuścił mieszkanie Hanki Lewin. Ta jednak nie poszła do swojej sypialni, by przygotować się do spektaklu, tylko weszła do pokoju dzieci. Grześ bawił się w kojcu jakąś hałaśliwą zabawką, a Nadia pod czujnym okiem niani próbowała stawiać, dość nieudolnie, literki i cyfry. Od czasu do czasu rugała brata, że jej przeszkadza, bo bardzo przeżywała początki swojej edukacji. Hanka wyciągnęła Grzesia z kojca, wzięła na ręce i usiadła z nim na stojącym obok krześle. Powiodła wzrokiem po niewielkim pokoju, pogłaskała syna po płowej główce i zerkała w stronę nieco zgarbionej nad zeszytem Nadii. Tak bardzo pragnęła dla swoich dzieci dobrego życia, losu, który nie jest naznaczony nędzą i wojną. Chciała móc patrzyć spokojnie w przyszłość, mieć odłożone jakieś fundusze, na wypadek gdyby z jej karierą coś poszło nie tak. Nie zarabiała mało, ale też nie oszczędzała. Mieszkanko w Chelsea, do którego kilka miesięcy wcześniej się przeniosła, drogie stroje i mnóstwo zabawek pochłaniały jej budżet w zastraszającym tempie. W ten sposób starała się wynagrodzić sobie i dzieciom lata biedy i upokorzenia.

Cóż jednak się stanie, jeśli jej gwiazda zamiast na dobre rozbłysnąć zgaśnie? Tyle młodych, pięknych i utalentowanych dziewcząt pchało się na scenę, marząc o wielkiej karierze, nic nie było pewne w jej fachu. Gdyby jednak wyszła za Piotra, te rozterki po prostu zniknęłyby. Miał wystarczająco dużo pieniędzy, by mogła ze spokojem patrzyć w przyszłość, bez konieczności jałmużny od swojego byłego męża. Nadia i Grześ na dobrych studiach, eleganckie ubrania i syte jedzenie, a oprócz tego zwiedzanie pięknych zakątków świata. I to wszystko było na wyciągnięcie ręki, byleby powiedziała „tak”. Zastanawiała się, czy ma prawo pozbawiać swoje dzieci tych wszystkich możliwości, bo kocha innego człowieka, który i tak nigdy nie będzie do niej należał w sposób, w jaki by chciała. Miała kilka dni, by

przemyśleć to wszystko. A potem, jeśli podejmie decyzję, udawać, że Piotr Niechowski jest jedynym i najważniejszym mężczyzną w jej życiu, przeszłość zaś przestała już znaczyć dla niej cokolwiek.

***

Recitale w jednym z londyńskich teatrów, słynnym Adelphi Theatre, przyciągały tłumy. Najbogatsi i najlepiej urodzeni Brytyjczycy bywali tutaj często, bo była to okazja nie tylko do obejrzenia ciekawego spektaklu czy posłuchania wielkich gwiazd, ale także do pokazania się w najlepszych strojach i rodowych klejnotach. Kiedy wojna się skończyła, nareszcie życie powróciło do normy i bez skrępowania można było prezentować swój status. Hanka Lewinówna nie była pieśniarką takiego formatu, by poświęcono jej cały spektakl, ale mogła w ciągu kilkunastu minut pokazać swój kunszt, licząc, że kolejny raz zostanie zauważona i doceniona. Utwory w jej wykonaniu puszczano już nawet w radiu, w branży muzycznej zyskała odpowiednią pozycję i była na najlepszej drodze, by wypłynąć na szerokie wody. A taki występ, jak ten dzisiejszy, mógł ją albo do tego przybliżyć, albo zniweczyć jej plany.

Ona jednak miała głowę zaprzątniętą zupełnie innymi myślami i może dlatego, dopiero gdy ujrzała ostre reflektory skierowane w jej stronę, poczuła lekką tremę. Usłyszała pierwsze dźwięki orkiestry i wydobyła z siebie głos. I wtedy wszystko zniknęło. Lęk przed oceną, dylematy związane ze swoim życiem… cały świat przestał mieć znaczenie. Była tu i teraz i oddawała się zajęciu, które pochłaniało ją bez reszty. Uwielbiała śpiewać i kochała scenę. A im większą miała przed sobą widownię, tym bardziej czuła się szczęśliwa i spełniona. To było ziszczenie jej marzeń. A zawdzięczała to jednemu człowiekowi – Piotrowi Niechowskiemu.

Po swoim występie już nie musiała się martwić. Otrzymała burzę oklasków tak długą, że kilkukrotnie wychodziła na scenę, by się ukłonić. Była ogromnie szczęśliwa, gdy szła do garderoby i nawet obsługa teatru gratulowała jej występu. Usiadła przed lustrem, uśmiechnęła się do siebie i zaczęła odpinać z włosów ozdobną tasiemkę posypaną brokatem. Odklejała właśnie rzęsy, gdy do pomieszczenia weszła młoda dziewczyna z kilkoma pudłami kwiatów. Otwierały każdy po kolei i wstawiały bukiety do wazonów, a Hanka zachłannie rzuciła się na dołączone do przesyłek bileciki.

– No, przeczyta pani na głos – poprosiła uradowana dziewczyna. – To takie romantyczne.

– Dobrze, mam nadzieję, że to nie będzie nic pikantnego. – Hanka roześmiała się i sięgnęła po pierwszy bilecik. – „Ma pani głos anioła. Bruno Kidman”.

– To właściciel teatru żydowskiego. Wpływowy człowiek i rzadko przesyła kwiaty – powiedziała podekscytowana dziewczyna.

– „Najdroższa Haniu, mam nadzieję, że twój występ okaże się przebojem tego sezonu. Kocham cię, Piotr”.

– Jaki Piotr? – bezczelnie dopytywała dziewczyna.

– Mój przyjaciel… – odpowiedziała lakonicznie Hanka, nie chcąc zdradzić niczego więcej. W końcu oficjalnie Piotr wciąż był narzeczonym Henrietty Cavendish. Gdyby przedwcześnie pochwaliła się ich zażyłością, mogłoby to mieć opłakane dla niej skutki.

Sięgnęła po kolejny bilecik, by odwrócić uwagę od czułego liściku Piotra.

– „Będę na ciebie czekał po spektaklu na Waterloo Bridge. Igor” – Ten bilecik przeczytała głośno jedynie do połowy.

– Kto? Jakiś baronet? A może przemysłowiec? – dopytywała dziewczyna, nie mając pojęcia o wadze zdania nakreślonego przez Łyszkina.

– Przyjaciel z Polski – wybełkotała. – Dziękuję ci, a teraz zostaw mnie samą, muszę się przebrać.

– Może pomogę? Taka moja rola – zaświergotała dziewczyna.

– Masz jeszcze kilka artystek do obsłużenia, ja dam sobie radę – powiedziała od niechcenia Hanka, aby ukryć emocje związane z otrzymaną wiadomością.

– No jak pani chce. Miłego wieczoru. – Dziewczyna wzruszyła ramionami i opuściła garderobę.

Ta na powrót usiadła na krześle przed lustrem i zakryła twarz rękoma. Serce waliło jej jak oszalałe. Sama nie wiedziała, czy z radości i podekscytowania, że za kilkanaście minut zobaczy Igora, czy ze strachu, iż jej uczucia wybuchną niczym gejzer i zgodzi się na wszystkie jego warunki, byle tylko z nią był. Bała się także tego, co powie o Alicji i czy kłopoty jej przyjaciółki są naprawdę tak poważne, jak sugerował w listach.

Jak automat opuściła gmach teatru, odmówiła udzielenia krótkiego wywiadu dla jednej z gazet, tłumacząc się nieskładnie chorobą dziecka, i ruszyła w stronę mostu. Na zewnątrz panowała typowa angielska aura. Mgła

spowiła ulice, a powietrze było wilgotne, chociaż dość chłodne. Mijała po drodze wystrojonych ludzi, którzy tego wieczoru postanowili spędzić czas w drogich restauracjach, kinach albo teatrach, słyszała ich śmiech i rozmowy, ale wszystko odbierała, jakby działo się gdzieś bardzo daleko od niej.

Stanęła na moście i przez chwilę patrzyła, jak w świetle latarni z gęstej mgły wyłaniają się ludzie. Pary albo samotni mężczyźni w długich płaszczach i melonikach. Zapewne w świetle dziennym ta elegancja i całe miasto pokazałyby swoje ponure, powojenne oblicze, ale w mdłym świetle latarni wszystko wyglądało inaczej. Było złudzeniem. Zaczęła kroczyć powoli, wciąż rozglądając się na boki, by nie przeoczyć tego, dla którego tutaj przyszła. A gdy widziała podobną sylwetkę, zatrzymywała się, bo zdenerwowanie nie pozwalało jej zrobić kroku.

Nagle poczuła, że ktoś za nią stoi. Wysoka postać rzucająca długi cień na rozświetlony most.

– Jestem tutaj… – Usłyszała głos Igora.

Odwróciła się i czas się cofnął. Łyszkin, niepokojąco przystojny, nieco dziki, z szelmowskim uśmiechem, przyglądał się jej z zachwytem. Tak jak wtedy, gdy śpiewała w Bocianowie tylko dla niego, jak wówczas, gdy kochali się pierwszy i ostatni raz, na zdezelowanym szpitalnym łóżku, i kiedy żegnali się na warszawskim dworcu.

Gorące łzy nie chciały przestać płynąć po jej policzkach, usta drżały i nie była w stanie wymówić ani słowa. Patrzyła na Igora i myślała tylko o tym, jak bardzo za nim tęskniła i że wciąż go kocha. Gdyby mogła zatrzymać chwilę, zrobiłaby to bez wahania. Nie rozważając tego, co było i co będzie. Pragnęła uchwycić ten niewiarygodny moment i trwać w nim, dopóki życie się nie skończy.

– Jak ja za tobą tęskniłem, Haniu – wyszeptał Igor łamiącym się głosem.

– Przytul mnie – powiedziała cicho. – Ja też za tobą tęskniłam.

Wziął ją w ramiona i stali tak przez chwilę, milcząc. Nie musieli nic mówić, oboje wiedzieli, co czują i że żadne słowa nie są w stanie tego oddać. Oboje nie chcieli zmierzyć się z tym, co najtrudniejsze – z ich przyszłością.

– Złapmy taksówkę. Pojedziemy do domu – powiedziała tak po prostu Hanka, przez chwilę wyobrażając sobie, że w istocie jest to ich wspólny dom.

Kiedy dotarli do mieszkania Hanki, było już bardzo późno. Lewinówna zostawiła Igora w salonie, a potem poszła do pokoju dzieci, by zwolnić

opiekunkę do domu. Nie chciała, by ta zobaczyła Łyszkina, zwłaszcza że kilka godzin wcześniej widziała w jej domu Piotra. Pożegnała się z nią pośpiesznie i powróciła do salonu.

– Chodź, zobaczysz dzieci – powiedziała cicho.

Zarówno Nadia, jak i Grześ smacznie spali, uśmiechając się beztrosko do swoich marzeń sennych. Igor najpierw nachylił się nad Nadią, ucałował ją w czoło, a potem podszedł do łóżeczka Grzesia.

– Rośnie jak na drożdżach. Będzie z niego kiedyś wielki facet – powiedział, uśmiechając się z dumą.

– Jak jego tata – wyszeptała Hanka.

– Mój syn… Mam ochotę się rozpłakać – jęknął Igor.

– Nie teraz, Igor. Zostaw to sobie na później. – Hanka wyciągnęła do niego dłoń. – Teraz, gdy śpią, chcę mieć cię tylko dla siebie.

Kochali się nieśpiesznie i nieco nieporadnie. Jakby dopiero poznawali swoje ciała, zapach i oddechy. Dotykali się delikatnie, by sprawdzić, czy w istocie są razem i przynajmniej przez jakiś czas mogą się sobą nacieszyć. Szeptali ciche wyznania, jak gdyby powierzali sobie sekrety i nie chcieli, by ktokolwiek dowiedział się o ich szczęściu. Jakby obawiali się, że wówczas ktoś zechce to zniszczyć, kolejny raz im przeszkodzić, tak jakby los był zazdrosny o tę miłość i koniecznie chciał ją unicestwić. Kochali się aż do świtu i jedynie jasny strumień światła, wdzierający się przez szparę w zasłonach, przypomniał im, że oto nadszedł nowy dzień, a wraz z nim trudne pytania i jeszcze trudniejsze decyzje.

Hanka od razu poczuła wyrzuty sumienia, że nie zapytała od razu o Alicję, ale po prostu zapomniała o bożym świecie w chwili, gdy ujrzała ukochanego na moście Waterloo.

– Czy ta kobieta dzisiaj też przychodzi? – zapytał cicho Igor, przerywając milczenie, jakie zapanowało między nimi, odkąd nastał świt.

– Dzisiaj mam wolne, ona też – wyszeptała. – Igor, powiedz mi, co się dzieje z Alicją…

Łyszkin usiadł na łóżku i sięgnął po swoje spodnie. Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego. Zaciągnął się intensywnie i powiedział z westchnieniem:

– Alicja została skazana na dwadzieścia lat łagrów. Jest teraz w obozie na Kołymie. To daleka Syberia…

Hanka również się podniosła i zakryła twarz rękoma.

– Boże, Alicja… Igor, czy można coś zrobić? Nie wiem, zapłacić komuś, odbić ją stamtąd… Dwadzieścia lat… przecież to całe życie.

– Posłuchaj, to nie takie proste, jak ci się wydaje. Kołyma… to jest koniec świata. Ale wciąż myślę, jak jej pomóc. Najważniejsze, że wiemy, gdzie jest. Ten jej Sergiusz wysyła jej paczki i pieniądze. Najpierw spróbujemy oficjalnie postarać się o skrócenie wyroku, a potem… Może, kiedy odwołają mnie z Warszawy, spróbuję przekonać swojego dowódcę, że Alicja może zostać naszym cennym współpracownikiem… Na razie musimy poczekać na sąd, a potem będziemy myśleć dalej – tłumaczył.

– Igor, Alicja zrobiła dla mnie więcej niż ktokolwiek inny w życiu. Może to smutne, ale jest mi nawet bliższa od Emila. Jeśli mogę cokolwiek zrobić… Tak, wiem, gówno mogę! Ale błagam, Igor, zrób coś. Pomóż jej. Na Boga, zrób coś! – Hanka mówiła szybko, ledwie łapiąc oddech.

– Powiedziałem już: zrobię, co tylko się da, żeby ją ratować. Ale nie mogę ci przyrzec, że się uda. Alicja została skazana za kolaborację z wrogiem, dokopano się do akt potwierdzających, że była kochanką Martina Grossa, i wykorzystano to, by ją skazać. – Łyszkin próbował uspokoić Hankę, ale też nie chciał, by robiła sobie zbyt wielkie nadzieje.

– Cholerni bolszewicy, ruskie kanalie! – powiedziała mściwie Hanka.

– Jestem jednym z nich… – szepnął Igor.

Popatrzyła na niego i przytuliła się do jego piersi. Zerknęła na stojący na komodzie budzik. Wiedziała, że mieli niewiele czasu dla siebie, zanim wstaną dzieci. A musieli opowiedzieć sobie tyle rzeczy, omówić wiele spraw, a wreszcie postanowić, co dalej.

– Igor… – zaczęła niepewnie Hanka. Miała świadomość, że pewne słowa muszą paść i powinni podjąć decyzje, które zaważą na całym ich życiu.

– Tak, moja Haneczko? – Uśmiechnął się do niej czule, jeszcze bardziej ją onieśmielając, by rozpoczęła rozmowę na palący temat.

– Igor… A my? Co będzie z nami? – zapytała cicho.

Chciała wiedzieć, jaki ma plan, bo ona chwilowo nie miała żadnego. Wydawało jej się, że w tym momencie całe ich życie i przyszłość spoczywają w jego rękach. Była przekonana, bardziej niż kiedykolwiek, że zrobi wszystko, czego od niej zażąda. Wielka scena, bogactwo i splendor nagle przestały istnieć, bo Igor był przy niej i nie wyobrażała sobie, że mógłby zastąpić go ktokolwiek inny. Nawet ktoś taki, jak Piotr Niechowski. Mimo że jeszcze nie tak dawno, bo zaledwie dzień wcześniej, gdy Piotr wbijał

w nią namiętnie usta, których smak czuła jeszcze długo po tym, jak wyszedł z jej mieszkania, wydawało jej się, że życie bez Igora i miłości do niego jest możliwe. Jednak swoim przybyciem i obecnością udowodnił, że jest jej częścią. Tak ważną, że gotowa była zrezygnować z wielu rzeczy, by z nim być.

Łyszkin sięgnął po kolejnego papierosa. Przytulił mocno Hankę i powiedział:

– Już podjąłem decyzję. I chciałbym, żebyś ją uszanowała. Zanim Grześ się obudzi, zniknę z waszego życia. Tym razem na zawsze. Nie będzie listów, wyznań i pożegnań. Będę jedynie przekazywał ci przez ambasadę informacje, co dzieje się z Alicją. Nic więcej. Poszukasz sobie jakiegoś eleganckiego angielskiego dżentelmena i wyjdziesz za niego. Chciałbym jedynie, by był dobry dla ciebie i dzieci, i jeśli to możliwe, zastąpił im ojca.

Hanka, słysząc te straszne słowa, chciała wyrwać się z jego objęć, ale wciąż mocno ją przyciskał do siebie. Tak mocno, że nawet nie mogła się poruszyć.

– Nie odchodzę, bo przestałem cię kochać. Kocham cię. Tak bardzo, że nie chcę, byś kiedykolwiek musiała wybierać pomiędzy normalnym, spokojnym życiem a mną. Posłuchaj… wydawało mi się, jeszcze zupełnie niedawno, że to się uda. Ja, ty, dzieci. Jeszcze nie dalej niż wczoraj sądziłem, że spakuję wasze walizki i przywiozę was do Polski, do mojej niewielkiej kawalerki w Warszawie, i tam spróbujemy zacząć od początku, a potem będę się zastanawiał co dalej. Ale widziałem cię na scenie, patrzyłem, jak błyszczą ci oczy, gdy śpiewasz i kiedy ludzie oklaskują twój występ. Zerkałem na twoje drogie suknie, eleganckie pantofle i na to, jak lśnisz w świetle jupiterów. I wtedy podjąłem decyzję. Zostaniesz tutaj, będziesz robiła karierę i będziesz szczęśliwa. Ja nigdy ci tego nie dam. Pewnego dnia pożałujesz, że wróciłaś i zatęsknisz za czymś więcej niż silnymi ramionami pewnego radzieckiego agenta, którego los jest równie niepewny, co w czasie wojny. – Mówił stanowczo, chociaż chwilami załamywał mu się głos. Nie mógł się jednak wycofać. Postanowił, że Hanka zniknie na zawsze z jego życia, podobnie jak ich syn, nawet jeśli oboje wciąż pozostaną w jego sercu.

– Igor, błagam, nie zostawiaj mnie. To wszystko jest nieważne. Byle byśmy nie głodowali i nie marzli, a reszta… jakoś się poukłada. W Warszawie też będą teatry, lokale rozrywkowe, już teraz czytałam, że powoli wszystko

wraca do normy. Poradzimy sobie – błagalnie powiedziała Hanka, chociaż dobrze wiedziała, że pewnego dnia jej chęć wybicia się i stania się gwiazdą światowego formatu dojdzie do głosu. Tak samo, jak marzenie o luksusowym życiu w przepychu.

Igor Łyszkin wypuścił z ramion Hankę, popatrzył na nią smutnym wzrokiem i pocałował w usta. Jego Hania… Tak dobrze ją znał. I wiedział, że pewnego dnia żałowałaby podjętych decyzji. Wstał z łóżka i zaczął się ubierać. Nawet nie chciał patrzyć, jak łka w poduszkę, bo bał się, że i on się rozklei. Postanowił, że jako mężczyzna powinien być silny i stanowczy.

– Jeszcze jedno… Jeśli twój brat, Emil, zaproponuje, abyś zbliżyła się do polskich weteranów i rządu londyńskiego, stanowczo odmów. Nie pytaj dlaczego, po prostu zrób to – wymamrotał.

– Igor, a może za jakiś czas… Nie wiem, za pięć lat, dziesięć, gdy już odejdziesz ze służby… Ja poczekam na ciebie – powiedziała Hanka, przerywając szloch.

– Z mojej służby tak łatwo się nie odchodzi, chyba że na cmentarz. – Uśmiechnął się smutno i dodał – Nie, nie pozostawię ci cienia nadziei. Bo chcę, żebyś był szczęśliwa.

– Nie będę szczęśliwa bez ciebie – jęknęła.

– Będziesz, skarbie. Obiecuję ci to. Wystarczy, że zapomnisz. Grzesiowi, gdy podrośnie, możesz powiedzieć prawdę. Ale nie będę miał żalu, jeśli tego nie zrobisz. I, do cholery, uważaj na siebie, bo masz szczęście, albo raczej pecha, do hochsztaplerów.

Kilka minut później Hanka usłyszała dźwięk zamykanych drzwi. Nie była w stanie się ruszyć, czuła jedynie ogromną pustkę wokół siebie. W tym momencie nie liczyło się już nic prócz tego, że już nigdy więcej nie zobaczy Igora.

33. Moskwa, 1946

– Zatem wracacie pod moje skrzydła. – Sudopłatow wyciągnął dłoń w kierunku Igora Łyszkina i mocno ją uścisnął.

– Dziękuję, generale. Wiem, że to wasza zasługa. Mam także nadzieję, że spisałem się dobrze – uśmiechnął się Łyszkin.

– W rzeczy samej. Chociaż twój wyjazd do Londynu… – zaczął Sudopłatow, ale Igor trochę niegrzecznie mu przerwał.

– To Dregerowa mnie tam wysłała. Po przemówieniu Stalina koniecznie chciała zwerbować kogoś z otoczenia rządu londyńskiego.

– I co? Udało się? – zapytał generał.

– Nie za bardzo. Gdyby nas lubili, to nie zostaliby na obczyźnie. Proste – mruknął Igor. – Generale, pisałem wam o tej Rosińskiej. Dostała dwadzieścia lat łagrów, ale myślę, że gdybym z nią porozmawiał, zgodziłaby się na współpracę. A ten Julian Chełmicki zamieszkał w Szwajcarii i raczej nam nie pomoże.

Sudopłatow machnął ręką.

– Odpuśćcie sobie, Łyszkin. I tę Rosińską, i Chełmickiego. To małe rybki, ale może zajmie się nimi ktoś inny. Mam dla was dużo ważniejsze zadanie, że tak powiem, długofalowe. Najpierw jednak chciałbym wam powiedzieć coś pokrzepiającego. Wasi rodzice żyją i mieszkają w Stanach Zjednoczonych, a dokładnie w Kalifornii, w okolicy Los Angeles. Twój ojciec handluje samochodami i całkiem nieźle mu idzie.

Łyszkin, który dotychczas stał przed biurkiem Sudopłatowa, poczuł, że nogi się pod nim uginają, więc przysiadł na stojącym obok krześle.

– Pobledliście coś, kapitanie Łyszkin. Może wody? Albo wódki? – zatroskanym głosem zapytał generał.

Igor pokręcił przecząco głową i uśmiechnął się. Zatem jego rodzice żyli i cieszyli się zarówno dobrym zdrowiem, jak i niezłym życiem. Nie wiedział jednak, dlaczego służby usiłowały odnaleźć jego bliskich. Wolałby sam dotrzeć do tych informacji i nikomu ich nie zdradzać.

– Pewnie zastanawiacie się, po co nam były te informacje. Myślicie, że was sprawdzamy – mruknął Sudopłatow. – Otóż nie, kapitanie. To będzie miało związek z waszym następnym zadaniem.

– Generale, nie chcę mieszać w nic swoich rodziców, mieli przeze mnie dość kłopotów – stanowczo odparł Igor.

Generał roześmiał się.

– *Ot durak*. Oczywiście, że nie będziemy ich w nic mieszać, to byłaby z naszej strony ogromna nieostrożność. Ale ich pobyt w Stanach Zjednoczonych jest nam bardzo na rękę. Otóż, kapitanie, czeka was długa podróż. Do Kalifornii. Popłyniecie do swoich rodziców i pozostaniecie w uśpieniu około roku. Będziecie łowić ryby, sprzedawać z ojcem cadillaki, a potem ożenicie się z jakąś miłą, cichą Amerykanką. Potem przeniesiecie się do Santa Fe w Nowym Meksyku. Niedaleko znajduje się ośrodek badań nad energią atomową, konkretnie w Los Alamos, w Górach Skalistych. A tam umieścimy swojego człowieka, który będzie przekazywał wam istotne dla nas dane. Dopóki to będzie dla was i dla naszej sprawy bezpieczne, pozostaniecie tam. Zatem pobyt waszych rodziców w Ameryce po prostu spadł nam z nieba. Nikt nie będzie się dziwił, że postanowiliście połączyć się z najbliższą rodziną i wyjechaliście do nich – snuł opowieść dumny Sudopłatow.

– I co im powiem? – jęknął Igor, bo plan wydał mu się nieco szalony.

– No, a co się mówi w takich przypadkach? Cokolwiek. Socjalizm przestał ci się podobać, odszedłeś ze służby, i koniec. Ucieszą się. – Sudopłatow wyszczerzył zęby. – A my, jak już będziecie na miejscu, pomożemy wam jak najszybciej uzyskać amerykański paszport.

Igor zamyślił się. Taka misja to była wielka gratka, ale w przypadku wpadki – pewna kara śmierci. Ale czyż nie groziła mu niemal każdego dnia, gdy wcielał się w niemieckiego oficera? Wyjeżdżając, będzie mógł zrobić coś naprawdę spektakularnego. I zobaczy rodziców, którzy na pewno ucieszą się, że uciekł ze Związku Radzieckiego. Chwilę potem przyszła mu do głowy inna, szalona myśl. Jeśli miałby się ożenić, to dlaczego nie z Hanką? Stany Zjednoczone dawałyby możliwość dostatniego życia i pole do popisu dla jej wokalnych talentów. Jeśli jednak wpadłby, ona byłaby skończona… Poza tym minęło wiele miesięcy, odkąd pożegnał się z nią na zawsze i być może w tej chwili była już żoną innego mężczyzny. Mógłby to sprawdzić, ale bał się. Tak bardzo, że wolał nie wiedzieć, co się z nią dzieje.

Porozmawiali jeszcze z Sudopłatowem, a następnego ranka Igor znalazł się w dobrze mu znanym ośrodku pod Moskwą. Czekało go kolejne szkolenie, tym razem dotyczące jego zadania w Stanach Zjednoczonych. A oprócz tego wnikliwie przeglądał akta osób, które mógłby obserwować, a potem zwerbować, by pracowali dla Związku Radzieckiego.

Podobnie jak to było poprzednio, Łyszkin dokładał wszelkich starań, by być najlepszym. Każdą chwilę wykorzystywał, by nauczyć się jak najwięcej, a gdy nadchodziła pora snu, nie miał nawet siły, by zadręczać się myślami o Hance. Podjął decyzję i musiał przy niej wytrwać bez względu na to, jak wiele go to kosztowało. Naprawdę uważał, że bez niego będzie jej lepiej. Jego synowi także. Cóż mógłby im zaoferować? Życie w ciągłym napięciu, a może wieczny lęk, że pewnego dnia zniknie bez słowa? Lepiej było, tak jak jest. Pomagała mu także myśl, że niedługo zobaczy ojca i matkę. I chociaż nie będzie mógł zdradzić prawdziwego powodu swojego przyjazdu, podaruje im przynajmniej kilka miesięcy, by mogli się nim nacieszyć. A potem zdobędzie dla władz tę cholerną bombę i być może dzięki temu zwrócą mu wolność.

Pozostała jeszcze kwestia tej całej Alicji Rosińskiej. Wciąż czekał na decyzję sądu, podobnie jak jego nowy kolega, Sergiusz Dargiewicz. Pomyślał sobie, że ów człowiek pewnie mocno by się zdziwił, gdyby się dowiedział, dokąd Igor się wybiera, podobnie jak Walter czy Julian. Jednak żaden z nich nigdy się o tym nie dowie. A jeśli nawet, cel tej podróży pozostanie tajemnicą. Rozpoczynał nowe życie i, niestety, musiał przekreślić to, które wiódł dotychczas. Był jednak coś winny Hance. Dał jej słowo, że coś wymyśli w związku z jej przyjaciółką. Postanowił, że zagra z Sudopłatowem w otwarte karty, a potem niech się dzieje, co chce. Przynajmniej będzie wiedział, że zrobił wszystko, co w jego mocy.

Po dwóch tygodniach, gdy przybył do Moskwy na krótki urlop, wstąpił do biura generała. Ten wcale nie zdziwił się, widząc w progu swojego ulubieńca.

– Witajcie. – Wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Jak postępy w szkoleniu?

– No nie mówcie, generale, że nie macie bieżących sprawozdań. – Igor puścił oko do przełożonego.

– Pytam raczej o wasze wrażenia – mruknął generał.

– Robię, co do mnie należy i mam jedynie nadzieję, że szkoleniowcy pomyśleli o wszystkim. – Roześmiał się, ale chwilę potem spoważniał i zwrócił się do Sudopłatowa: – Generale, mam do was osobistą prośbę…

Generał zmarszczył czoło i z lekkim niepokojem wskazał krzesło.

– To siadajcie i opowiadajcie.

Powiedział właściwie całą prawdę, łącznie z tym, że jego związek z Hanką Lewin jest już definitywnie zakończony. Nie pominął jednak faktu, że

Alicja Rosińska wiele zrobiła dla jego przyjaciół i dlatego czuje się zobowiązany, aby jej pomóc. Generał podrapał się po głowie, po czym przeniósł wzrok za okno, gdzie rósł okazały jesion.

– Tak… W rzeczy samej, najpierw musimy poczekać na decyzję sądu. A potem napiszę stosowny dokument i wyślę do Magadanu. Wiecie jednak, że zarówno sądy, jak i biurokraci obozowi nie są zbyt szybcy. Może to potrwać nawet rok albo dwa. Oczywiście, mógłbym zrobić zamieszanie i w ciągu tygodnia sprowadzić ją do Moskwy, ale z tego, co zrozumiałem, ona woli powrócić do domu, zająć się dzieckiem i myśli jedynie o tym, aby świat o niej zapomniał – przeciągał sylaby generał.

– Rok czy nawet dwa brzmi zdecydowanie lepiej niż dwadzieścia czy dziewiętnaście – podsumował Igor. – Dziękuję, generale, i gwarantuję, że ta kobieta nie wda się już nigdy w żadną polityczną awanturę.

– Mam taką nadzieję, Łyszkin – mruknął Sudopłatow.

Porozmawiali jeszcze na tematy zawodowe i generał zapytał:

– To ile wolnego dostałeś?

– Całe pięć dni, generale – z uśmiechem odparł Igor.

– Jedziecie do naszego ośrodka na wypoczynek? – dociekał Sudopłatow.

– Nie… Będę robił coś innego. – Łyszkin uśmiechnął się i opuścił gabinet generała.

Powrócił do swojej moskiewskiej kwatery, spakował walizkę i kilka godzin później siedział w pociągu zmierzającym w kierunku Warszawy. Miał świadomość, że te kilka dni urlopu spędzi głównie w podróży, ale chciał porozmawiać z Sergiuszem i przekazać mu pokrzepiające wieści. Musieli także ustalić jakiś kontakt ze sobą na wypadek, gdyby jego dowódca zapomniał o przysłudze. Osobiście nie mógł tego dopilnować, bowiem jego podróż do Stanów Zjednoczonych zaplanowana była już na następny miesiąc.

Przybył do stolicy wczesnym wieczorem i skierował swoje kroki wprost do kwatery Sergiusza z nadzieją, że ten nie przebywa akurat z wizytą u przyszłych teściów. Musiał jednak zaryzykować, ponieważ inna forma przekazania informacji nie wchodziła w grę.

Drzwi otworzył mu mały chłopiec o dużych, ciemnych oczach i kędzierzawych włosach.

– Czy pan Dargiewicz jest w domu? – zapytał niepewnie Igor.

Chłopiec potaknął jedynie głową i krzyknął w głąb korytarza:

– Tato, tato… Jakiś pan do ciebie.

Igor spostrzegł, że drzwi w głębi korytarza otwierają się i spośród kłębów pary wyłoniła się ogromna postać Sergiusza.

– Igor? Dawno cię nie widziałem… Wchodź, wchodź. Ja uruchomiłem pralnię i mam dużo brudnej i mokrej roboty – uśmiechnął się „Kary”.

– Nie mówiłeś, że to twój syn… – szepnął Igor.

– Chodź, pogadamy – powiedział Sergiusz i odwrócił się w stronę chłopca – Przywitaj się z naszym gościem, Mateuszku.

Chłopczyk podał rękę i uśmiechnął się do Igora. Po chwili Sergiusz powiedział do chłopca.

– A teraz idź na podwórko i pobaw się trochę. Ja przygotuję naszemu gościowi kolację, a potem miejsce do spania. Dzisiaj będziesz musiał spać z tatą, bo ja i pan Igor nie zmieścimy się na jednym łóżku – ze śmiechem powiedział Sergiusz.

– A czy ten pan przyniósł list od mamy? – zapytał chłopiec.

– Nie przyniosłem, ale być może mama niedługo do ciebie wróci – powiedział cicho Igor, przełykając głośno ślinę.

Dziękował losowi, że jego synek nigdy nie zada podobnego pytania Hance, bo był dla niego obcym człowiekiem. A może trochę żałował, że nie usłyszy, jak mówi do niego „tato”…

Kiedy Sergiusz kroił grube pajdy chleba i podgrzewał zupę, która została z obiadu, Igor opowiedział mu o tym, co zdziałał w kwestii Alicji. Jak również o tym, że niebawem wyjeżdża bardzo daleko i nie będzie wiedział, czy cała akcja zakończyła się powodzeniem. Zapisał Sergiuszowi adres rodziców w Kalifornii i nakazał, by właśnie tam przesłał mu wiadomość.

– Fiu, fiu, panie kolego, widzę, że w końcu przejrzałeś na oczy. Ogromnie się cieszę – powiedział Sergiusz.

– Coś w tym rodzaju – mruknął Łyszkin, nie mogąc powiedzieć nic więcej. Po chwili dodał: – Ale wyślij wiadomość tylko raz, najlepiej na jakiejś świątecznej kartce. I napisz jedynie „tak” lub „nie”. Życzenia oczywiście złóż także moim rodzicom. Jeśli otrzymam kartkę, będę wiedział, czy wszystko poszło jak należy.

– Nawet nie wiem, jak mógłbym ci podziękować, Igor. – Sergiusz miał łzy w oczach.

– Może najpierw przestań się mazgaić, bo jeśli twój syn cię takiego zobaczy, to stracisz cały autorytet. – Puścił do niego oko. – Swoją drogą, jest kompletnie do ciebie niepodobny.

– Mateuszek nie jest moim synem w sensie biologii, ale w sercu będzie nim zawsze – stwierdził Sergiusz.

Igor westchnął.

– Mam nadzieję, że kiedyś jakiś mężczyzna powie tak o moim Grzesiu.

– Byłeś w Londynie, i co? Nie zawalczyłeś o Hankę i dziecko? – zdziwił się Sergiusz.

– Nie mogłem. Uwierz, nie mogłem. To już zamknięty temat – mruknął Igor.

– Ale to twój syn… – jęknął „Kary”.

– Dlatego chcę, żeby miał w życiu dobrze. I proszę, zakończmy tę rozmowę. Zrobiłem to, co uznałem za najlepsze, i nie ma od tego odwrotu. – Głos Igora zrobił się stanowczy.

Nie mógł wyjawić prawdy, chociaż gdyby to uczynił, być może Sergiusz nie potraktowałby go jak wyrodnego ojca. Poszedł nieco się umyć, a potem zasnął jak zabity na tapczaniku Mateuszka. Następnego ranka, zanim Sergiusz i chłopiec wstali, po Igorze nie było już śladu.

34. Warszawa, 1946

– I jak ci się tutaj podoba, Szymcio? – zapytał dumny z siebie Emil i nie czekając na to, co odpowie chłopiec, zaczął perorować: – Tam, w tej wnęce, to się łóżeczko dla Karolka postawi, a w tym wykuszu ściankę z szafy zrobimy. Łóżko dla ciebie i biurko powinny się zmieścić.

Szymek Wielopolski byłby zachwycony nowym lokum z samodzielną kuchnią, łazienką i kątem dla niego, ale wciąż drzemała w nim narastająca każdego dnia niechęć do Lewina. Najpierw służył Niemcom, teraz Sowietom, a przy okazji dogadzał narzeczonej Franka. Gdyby jeszcze to była kobieta tak urodziwa, jak panna Adrianna, byłby skłonny to zrozumieć, ale panna Bronka urodą nie grzeszyła i miała wredny charakter. Gdy tylko zachodziła do ich skromnego pokoju, a Franka nie było w domu, wypędzała Szymka na dwór, nie bacząc na pogodę, ponieważ twierdziła, że musi obgadać z Lewinem jakieś interesy. Chłopak jednak nie był głupi i wiedział, jaki był prawdziwy powód tych wizyt i dlaczego on nie mógł być w tym czasie obecny.

– A panna Bronka to teraz pana narzeczona? – zapytał zatrwożony Szymek.

– Broń Boże, Szymcio… I mam nadzieję, że nie będzie się za często pchała na Nowy Świat – mruknął Lewin.

W istocie Emil łudził się, że Bronka odczepi się od niego. Cały interes zostawił bowiem jej i Frankowi. Mieli jedynie odpalać Lewinowi działkę w zamian za stosowne kwity urzędowe, dzięki którym mogli pozostać zupełnie bezkarni. Czerwona pieczątka warszawskiego urzędu, nakazująca konfiskatę mienia, sprawiała, że nikt nie ośmielał się nawet przeszkadzać sprytnemu narzeczeństwu w rabowaniu porzuconego przez Niemców mienia. Emil zaś piastował urząd w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi, gdzie z lubością wprowadzał w życie reformę rolną, co było i przykrywką, i nagrodą za współpracę z resortem bezpieczeństwa. Te wszystkie przywileje otrzymał dzięki Julii Dregerowej, bo ta zdaje się, jak większość kobiet, które Emil spotykał na swojej drodze, miała do niego słabość. Być może liczyła, że Lewin zostanie jednym z jej kochanków, a duma jej nie pozwalała, by uczynić nim człowieka, który nic nie znaczył w aparacie władzy. Prawdę mówiąc, Emil nie miałby nic przeciwko temu, bo Dregerowa, mimo że niezupełnie była w jego typie, to ubierała się elegancko, używała perfum i do-

póki się nie odzywała swoim bolszewickim językiem, mogłaby uchodzić za damę. Z jego kochankami było jednak tak, że jak któraś posmakowała uciech z nim, przywiązywała się niczym wierny pies do swojego pana. Może oprócz Renate, która była równie wyrachowana i zimna, co on.

Powrócił myślami do Adrianny. Oddanej i kochającej, a przy tym pięknej i dystyngowanej. Każdą kobietę, którą spotykał, mimowolnie porównywał do panny Daleszyńskiej, bo trudno było znaleźć tak idealny konglomerat cech. Dama na salonach, gospodyni w kuchni i dziwka w łóżku. Wspomnienia powracające do Emila nie tyle wywoływały w nim wyrzuty sumienia, ile tęsknotę za tym, co może się już nigdy nie powtórzyć. Żałował nawet niekiedy, że Karolek ma tak mało z Adrianny, bo miałby chociaż przy boku kogoś, kto by ją przypominał. Ocalało jedynie jej zdjęcie. Miał je Szymek i gdy tylko otrzymał własny kąt do spania i nauki, włożył sfatygowaną fotografię kobiety do ramki i ustawił na biurku.

– Panie Emilu, teraz, gdy wojna się skończyła, trzeba by pannie Daleszyńskiej normalny pochówek zrobić i jakiś grób w Warszawie zorganizować. A może by w Grójcu, skąd pochodziła? – smutno powiedział Szymek.

– Tak, masz rację – z westchnieniem odpowiedział Emil.

– Panna Daleszyńska była dla mnie dobra, chociaż nie od początku, ale milsza od panny Zoll – mruknął chłopiec. – I była bardzo piękna. Jak komu pokazywałem jej zdjęcie, albo w Lamsdorfie, albo w sierocińcu na Koźlikach, to każdy mi takiej aliganckiej mamy zazdrościł.

Emil pokiwał głową, pogłaskał Szymka po włosach i odwrócił wzrok. Nie chciał kontynuować tej rozmowy. Było mu wystarczająco źle z powodu tego, co uczynił i gdyby tylko posiadał moc cofania czasu, uczyniłby to bez wahania. Miał także inny problem… Jak miał wytłumaczyć Szymkowi, że przenoszenie grobu nie jest najlepszym pomysłem? Ale kto mógłby się tym zainteresować? Jedynie jej mąż, ale nawet nie było wiadomo, czy przeżył. Emil Lewin łudził się, że nie. Poza tym w czasie niemieckiej okupacji zginęło mnóstwo ludzi, więc jedna ofiara nie uczyniłaby sensacji. Obawiał się jednak pytań, korowodu formalności, zwłaszcza że jeśli Grotowski przeżył, mógłby zacząć znowu węszyć.

***

Następnego dnia, wystrojony w najlepszy garnitur i z włosami zaczesanymi do tyłu, Emil udał się na spotkanie z kobietą, która wiele w Warszawie mogła zdziałać i była daleko bardziej urodziwa od topornej i nieco chamowatej Bronki.

Wyszedł przed kamienicę i powoli ruszył w stronę centrum w nadziei, że uda mu się wcisnąć do jakiejś dwudziestki dwójki, którą dostanie się na Solec, a stamtąd już miał blisko na Pragę, gdzie rezydowała Dregerowa. Uruchomione po wojnie tramwaje zazwyczaj były tak naszpikowane ludźmi, że Emil niejednokrotnie niemal wisiał na schodkach, trzymając się kurczowo poręczy. Jeśli ktoś stawał za nim, była nadzieja, że nie wypadnie pod naporem tłumu, kiedy zaś załapał się ostatni, najczęściej udawało mu się przejechać najwyżej dwa przystanki. Tym razem postanowił nie ryzykować, bo obawiał się, że jego elegancki garnitur zostanie zbyt mocno sponiewierany w tym ścisku, a jeśli, nie daj Boże, wypadnie i przewróci się na zakurzoną jezdnię, to zamiast eleganta Dregerowa ujrzy wymiętoszonego oberwańca.

Do pierwszego tramwaju nawet nie próbował się wcisnąć, kolejny podjechał, gdy był już na Książęcej, ale w wagonach dostrzegł mniejszy tłum warszawiaków. Wsiadł więc i dotarł na Solec, by ruszyć dalej w kierunku Wisły. Miał nadzieję, że niebawem Poniatowszczak zostanie odbudowany i skończą się kolejki do przeprawy promowej.

W Warszawie praca wręcz wrzała. Każdy, kto miał siły, odgruzowywał miasto, woził cegły i sprzątał ulice. Emil też niekiedy się udzielał w podobnych akcjach, by dać przykład i stać się wzorem dla innych. Franek naigrawał się z niego, że Lewin do takiej roboty zdatny, jak jego Bronka do baletu, ale nie robił tego zbyt często, bo Emil był mu potrzebny, a mógłby się obrazić za podobne przytyki. A teraz Lewin był bardziej przydatny niż kiedykolwiek. Nie tylko z uwagi na swoje stanowisko i komitywę z nową władzą, ale dlatego, że zdjął mu z karku nocne igraszki z Bronką.

Dregerowa, siedząca za rzeźbionym biurkiem, emanowała elegancją i roztaczała wokół siebie aurę władzy. Dla Emila Lewina była jednak środkiem do osiągnięcia celu, tak jak niegdyś Helena Ducret. Zdążył posmakować, czym w nowym ustroju jest władza. Otwierała drzwi, dawała mieszkania i liczne przywileje, dlatego należało się do niej zbliżyć najbardziej, jak to tylko możliwe. Poza tym Emil czuł, że jego przygoda z gestapo nie zostanie tak szybko zapomniana przez tych, którzy niegdyś skazali go na karę śmier-

ci, a działalność w strukturach nowej władzy i współpraca z resortem bezpieczeństwa dawały mu poczucie bezkarności. Postanowił więc oczarować Dregerową i stać się dla niej nie tylko zausznikiem, ale również kochankiem, bez którego nie będzie mogła się obyć.

Julia Dregerowa zmierzyła od stóp do głów wchodzącego Lewina. Wyglądał stanowczo za elegancko jak na przedstawiciela ludu pracującego i w dodatku dźwigającego się po okrutnej wojnie, ale nie powiedziała ani słowa, bo sama uwielbiała ubierać się szykownie.

– I cóż mi ciekawego opowiecie, Lewin? – zapytała, przeciągając sylaby.

– Moja siostra wciąż próbuje nawiązać kontakty z weteranami, którzy postanowili pozostać w Anglii… ale to hermetyczne środowisko – skłamał, głośno wzdychając.

– Nie mówicie mi nic nowego, Lewin – wycedziła. – Potwierdzacie jedynie słowa naszego człowieka.

Lewin wzruszył ramionami, co nieco rozzłościło Dregerową.

– Czy rozumiecie, Lewin, że teraz, gdy nie ma nadziei na zrobienie z waszej siostry informatora, powinniście zaprzestać kontaktów z nią? Listy z zagranicy… – prychnęła. – Czy wiecie, jak to wygląda?

– Rozumiem.

Emil pokiwał głową i postanowił, że jeśli tak życzyła sobie nowa władza, utnie wszelkie kontakty z Hanką. Zresztą ona była tak powściągliwa w swoich listach, iż w istocie było mało prawdopodobne, aby mogła mu do czegoś się przydać. A narażanie się dla informacji, jak to dobrze jej się wiedzie, nie było warte tego, by sprzeciwiać się Julii Dregerowej.

– I co dalej? – mruknęła, podpalając papierosa.

– Jest już gotowy dekret. Przejmujemy majątek Chełmickich. Dworek, stajnie, pola, no i oczywiście gorzelnię. Wyjeżdżam za trzy dni, osobiście dopilnować konfiskaty – powiedział dumnie Lewin.

Nie wspomniał o tym, że przy tej właśnie okazji dowiedział się, iż jego ojciec, Antoni Chełmicki, nie żyje. Wbrew pozorom nie ucieszyła go ta informacja. A jeszcze mniej fakt, że do końca swojego życia nie uznawał go za syna, bo cały swój majątek przepisał na Juliana. Żałował, że ten stary drań nie dożył tej chwili i nie będzie mógł zobaczyć, że to właśnie Emil będzie tym, który pozbawi go dorobku całego życia. A przy okazji spadku jego wychuchanego synalka. Tak bardzo pragnął popatrzyć staremu w oczy, gdy będzie wypędzał go z eleganckiego dworku do lichej służbówki.

Chciał, żeby Antoni Chełmicki widział, jak triumfuje i zdychał kiedyś ze świadomością, że z nim przegrał.

– Spodziewacie się jakichś kłopotów? Przecież tam nikt z rodziny Chełmickich chyba nie został? – zapytała Dregerowa.

– Proszę pamiętać, kim był Julian Chełmicki. Bywał w dworku podczas wojny i niewykluczone, że ukrył tam coś, co mogłoby nam się przydać – powiedział z naciskiem Lewin.

– Dobre spostrzeżenie, Lewin – powiedziała półgębkiem i ponownie zaczęła się przyglądać Emilowi.

Był przystojny, czysty i emanował pewnością siebie. Wiedziała jednak, że boi się jej na tyle, by nie próbować się jej sprzeciwiać. Pomyślała, że wcale nie miałaby nic przeciwko temu, by nieco się z nim zabawić. Nie chciała jednak, by jej propozycja zabrzmiała zbyt jednoznacznie.

– Kiedy wrócicie, zdacie mi dokładną relację. Ale nie w biurze, tutaj tylko czyhają na takie kąski, by sukces przypisać sobie. Przyjedziecie do mojego mieszkania i tam porozmawiamy – powiedziała Dregerowa i zaczęła przeglądać leżące na jej biurku papiery, tym samym dając Lewinowi do zrozumienia, że audiencja właśnie dobiegła końca.

Emil uśmiechnął się pod nosem. Był przekonany, że droga do łóżka Dregerowej teraz już będzie prosta. Nie spodziewał się także, że w chełmickim dworku znajdzie jakieś rewelacje. Julian nie był idiotą, ale czuł ogromne podniecenie na samą myśl, że wielowiekowa tradycja rodu, który go odepchnął od siebie, na jego oczach zamieni się w ruinę. Z lubością marzył o upadku wszystkiego, czego niegdyś pragnął, a nigdy nie mógł mieć. Zatem i jego przyrodni brat pozostanie z niczym.

Po wyjściu z budynku Urzędu Bezpieczeństwa postanowił, że odwiedzi Franka.

– Ale galant z ciebie – przywitał go kompan. – Widać, że władza ludowa ci służy.

– Nie pleć – mruknął Lewin. – Mam inny problem. Z twoją Bronką. Nachodzi mnie w domu, przyłazi do biura i domaga się, abym się z tobą rozmówił. Nie muszę ci chyba mówić, że nie mam zamiaru się z nią wiązać, więc musimy coś wymyślić, bo mnie ta baba do grobu wpędzi…

– Ty, Emil, nie musisz się certolić. Bierz ją, a ja słowa złego nie powiem – zarechotał Franek.

– Coś ty, Franek, z głupim się na rozumy zamienił? Ja jej nie chcę – warknął Emil.

„Diamentowa Rączka” podrapał się po głowie i orzekł:

– Mam plan…

– Nawijaj… – burknął Emil.

– Pójdziemy teraz do Bronki. Ja się jej, panie, zapytam, czy to prawda, żeś ją chędożył. Jak się przypucuje, to dam ci po mordzie i odejdę, urażony jak panisko – zaczął Franek.

– Taaak… – prychnął Lewin. – To faktycznie idealny plan. Nie dość, że po mordzie dostanę, to jeszcze ty się pozbędziesz kłopotu, a do mnie już się na amen przyssie.

Franek machnął ręką.

– Niby taki cwany dzięcioł, a nic gramotny. Jak sobie pójdę, to jej powiesz, że przyjaźń ze mną jest jednak dla ciebie ważniejsza i nakażesz, żeby się odkleiła od ciebie. Wiesz, męski honor i tak dalej. Myślałeś, że nie będę miał nijakich pretensyji, aleś się przeliczył… No, zresztą, co ja ci będę nawijał, jak sam masz lepiej gadane niż papuga przed sądem.

– A jak się nie odklei? – zapytał Lewin.

– Tak czy siak, nie mamy nic do stracenia, popróbować można, no nie?

– Tylko mi nosa nie złam i nie upaprz garnituru – burknął Emil, nie do końca przekonany do odegrania proponowanej przez Franka scenki rodzajowej.

Wyszli na ulicę i podążyli w kierunku kamienicy, w której mieszkała Bronka. Ta, ujrzawszy ich obu w drzwiach swojego pokoju, jakby zbladła i nieco przestraszona usiadła na krześle, bowiem miny obu jej kochanków były dość minorowe. Pierwszy odezwał się Franek, głosem tak dramatycznym, że Emil, gdyby był właścicielem teatru, od razu byłby go zatrudnił.

– Bronka, najdroższa moja… Emil mi tu opowiada jakieś okropne sprawy. Żeś się z nim puszczała, jak kapeluszowa spod Bristolu – jęknął rozpaczliwie.

Spanikowana Bronka przeniosła wzrok na Emila, ale ten jedynie pokiwał głową z głośnym westchnieniem, jakby dając do zrozumienia, że przyznał się do romansu z nią, a jego kompan przyjął to bardzo źle.

– Przecie ty mnie nawet całować nie chciałeś, Franiu – powiedziała z wyrzutem.

– Czasem tak chłop ma, że mu nie tego… a ty od razu… – Kolejny raz Franek wydobył z siebie łamiący się głos. – Gadaj mi tu, jak było.

– No… prawdę ci Emilek powiedział – wydukała.

– Emilek? – prychnął Franek, po czym odwrócił się w stronę Lewina i wymierzył mu cios w twarz.

Ten zachwiał się nieco, bo wbrew umowie uderzenie wcale nie było takie lekkie, i jęknął rozpaczliwie:

– Franek, no co ty?

– Z nami koniec! – krzyknął rozdzierająco „Diamentowa Rączka”, po czym zwrócił się do Lewina: – Z tobą też skończyłem, farbowany lisie…

Po tych słowach opuścił pokój Bronki, głośno trzaskając drzwiami.

– Co myśmy narobili, Bronka? – zapytał z udawanym przejęciem Emil. – Przecież Franek to mój najlepszy przyjaciel. A teraz koniec… Wybacz, Bronka, ale ja muszę jakoś udobruchać Franka, więc nie przychodź już do mnie…

Lewin nie wiedział, czy całe przedstawienie wypadło wiarygodnie, ale po chwilowym szoku Bronka nagle poczerwieniała i wysyczała ze złością:

– Obaj pożałujecie… Obaj! A tera się wynoś, Lewin.

Emil nie był jednak człowiekiem, którego łatwo było wystraszyć. A tym bardziej nie lubił, gdy czyniła tak kobieta. Już jedna próbowała i bardzo źle skończyła. Najwyraźniej jednak Bronka nie zdążyła jeszcze poznać siły gniewu Lewina, który niemal natychmiast potrafił zrobić z niego potwora. Podszedł do Bronki i z całej siły uderzył ją w twarz.

– Ty pyskata zdziro! Jeszcze raz spróbujesz mnie straszyć, to cię będzie rodzina na ekshumacjach musiała szukać. Czy to jasne? – warknął.

Bronka Walerek oniemiała. Była zszokowana zarówno uderzeniem, jak i groźbą Emila Lewina. Nie należała jednak do kobiet, które łatwo się poddają. Zanim Lewin opuścił jej kwaterę, nie odezwała się już ani słowem, ale gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, zaczęła obmyślać, w jaki sposób sprowadzić obu mężczyzn na samo dno.

35. Kołyma, 1946

Alicja bardzo uważnie sprawdziła, czy wszystkie szafki w spiżarni są zamknięte na klucz, następnie zerknęła na kuchnię i zaczęła powoli zakładać palto. Gdy już się z tym uporała, owinęła głowę i twarz grubą chustą, a potem opuściła barak. Zamknęła go, dała znać strażnikowi, że wychodzi, i przytwierdziła ogromny pęk kluczy do troku fartucha. Kiedy tylko wciągnęła nosem powietrze, poczuła, jakby przez dziurki wdarły się do jej wnętrza ostre igiełki. Zaczęła oddychać ustami, ukrytymi za wełnianą chustką, i powolnym krokiem ruszyła w stronę domu komendanta. Nie miała pojęcia, co Stiepan Kaganowski może od niej chcieć, ale skoro ją wezwał, wiedziała, że musi się u niego stawić.

Mimo że pora nie była zbyt późna, *zona* zdawała się kompletnie opustoszała. Nikt, kto nie musiał, nie opuszczał baraków, tylko szukał dogodnego miejsca, by trochę się ogrzać po wielogodzinnym przebywaniu w kopalni czy lesie. Czas pracy nieco skrócono z uwagi na silne mrozy, ale nawet kilka godzin wystarczyło, by człowiekowi się wydawało, że jest soplem lodu. Niekiedy w pobliżu wyrębu lasu czy miejsca, skąd wydobywano urobek, więźniowie rozpalali ognisko, by się rozgrzać. Tłoczyli się jeden przy drugim, by znaleźć się jak najbliżej ognia, a czasem nawet wkładali doń dłonie, bo kompletnie stracili czucie w skostniałych palcach. Olga Iwanowna miała w ambulatorium kilku takich delikwentów, którym opatrywała poparzenia powstałe w wyniku podobnych praktyk. Zdarzało się także, że któryś usiadł zbyt blisko i zmęczony trudami pracy, zasypiał, czując przyjemne ciepło ogrzewające połowę jego ciała. Niestety, ta druga wciąż wystawiona była na działanie kilkudziesięciostopniowego mrozu i po godzinie czy dwóch taki człowiek zasypiał na zawsze. Przy takich temperaturach dosłownie chwila nieuwagi wystarczała, by stracić życie. Gdy więc wyczerpany fizycznie więzień upadał na zmarzniętą ziemię, najczęściej już się nie podnosił.

Alicja, pracująca od kilku miesięcy w kuchni, każdego dnia dostawała informację o liczbie więźniów, dla których należy przygotować posiłki, i codziennie owa lista była coraz krótsza. Wszyscy wiedzieli, że gdy tylko mrozy zelżeją, ten stan ulegnie zmianie, bowiem do obozu przyjadą kolejni więźniowie, by katorżniczo pracować w kopalniach złota albo przy wyrębie lasu. Teraz jednak byli w swojej *zonie* odcięci od świata i rzadko kiedy do-

cierał do obozu ktoś obcy. Gdyby cokolwiek wydarzyło się z magazynami żywności, zginęliby wszyscy, łącznie z komendantem i strażnikami, bo nikt nie przybyłby do nich z odsieczą.

Każdy krok naprzód wymagał od Alicji nie lada wysiłku, ponieważ jej brzuch był ogromny. Wiedziała, iż niebawem urodzi, i zastanawiała się, co dalej pocznie. Gdy było jasne, że gwałt na niej miał swoje konsekwencje, Olga Iwanowna zaproponowała jej rozwiązanie, które sprawiłoby, iż problem zniknie. I to dosłownie. Alicja jednak nie przystała na tę propozycję. Dla niej nie miało znaczenia, czyje dziecko nosi, wiedziała tylko, że było częścią niej samej. Ona, która byłaby w stanie zamordować z zimną krwią każdego, kto stanąłby jej na drodze, postanowiła, że nie pozbędzie się dziecka gwałciciela. Kimkolwiek był. Już kiedyś straciła potomstwo i wiedziała, ile kosztował ją powrót do równowagi. Często wracała myślami do tej ponurej chwili i zastanawiała się nad tym, jakie byłoby jej dziecko. Czy byłby to chłopczyk, a może dziewczynka, czy więcej cech przekazałby mu ojciec, a może ona? Nie było tak źle, jak na początku, gdy się o tym dowiedziała, ale tkwiło w niej niczym rana, która choć zabliźniona, niekiedy przypominała o swoim istnieniu.

Najpierw ujrzała światła w oknach ambulatorium i postanowiła, że zajdzie do Olgi i chwilę odpocznie, zanim wyruszy do domu Kaganowskiego. Mimo że dzieliło ją od tego miejsca zaledwie kilkaset metrów, przy tej aurze i stanie, w jakim się znajdowała, przebycie tej drogi wydawało się heroicznym wyczynem.

Olga Iwanowna była jedyną osobą, z którą Alicja zawarła bliższą znajomość, chociaż o przyjaźni nie mogło być mowy. W obozie takie pojęcie po prostu nie funkcjonowało i zostało zbrukane, jak wszystkie inne piękne relacje, które istnieją w normalnym świecie. Jednak gdy Alicja trafiła do ambulatorium po zwyrodniałych uciechach *błatników*, kobiety nawiązały ze sobą nić porozumienia, okazało się bowiem, że niegdyś Olga przeżyła podobną historię. Alicja pomyślała wówczas, że jeśli Oldze udało się z tym jakoś żyć, także i jej wspomnienia w końcu zbledną. Szczęściem w nieszczęściu była trawiąca ją wówczas gorączka, niewiele pamiętała z tej ohydnej orgii i to było chyba lepsze niż patrzenie na twarze tych zwyrodnialców, a potem obawa, że będzie musiała ich mijać na drogach *zony* czy w miejscach, gdzie pracowała.

Olga Iwanowna popatrzyła na wchodzącą Alicję i od razu do niej podbiegła, pytając po drodze:

– To już?

Alicja machnęła ręką.

– Nie, moja droga, jeszcze nie. Wezwał mnie do siebie Kaganowski, a że ledwo chodzę, postanowiłam zatrzymać się na chwilę u ciebie.

– To chodź do pokoju badań – powiedziała cicho Olga i zaprowadziła Alicję do miejsca, gdzie mogły posiedzieć chwilę same.

– Nie będziesz miała kłopotów przeze mnie? – zatrwożyła się Alicja. – Przecież nic mi nie jest.

– Ale jesteś w ciąży, lada moment urodzisz, więc masz prawo tu przychodzić. Ernst zresztą jest w porządku, gorzej z Saszą. To *stukacz* naszego nadzorcy. – Olga uśmiechnęła się słabo i dodała: – A po co cię wzywa komendant?

– Nie wiem. Co prawda czekam na wyrok sądu, ale przecież tutaj nie było poczty od miesięcy. Zapasów pilnuję jak oka w głowie, patrzę na ręce każdemu, kto wchodzi do kuchni, nie mam więc pojęcia, o co może chodzić.

– Wiesz, ale powiem ci, Kaganowski to się dobrze zachował, że cię zabrał z łaźni i dał na kuchnię. To wielkie wyróżnienie dla więźnia pracować w tym miejscu, bo wiadomo, że wtedy lepiej się można najeść. A te wyziewy chemikaliów w łaźni mogłyby źle wpłynąć na dziecko. Na pewno spodobało mu się, jak tańczysz na występach. Tak patrzył na ciebie, no, wiesz… – mówiła zaaferowana Olga.

– Dajże spokój, Olgo. Teraz to chyba taniec wieloryba mogłabym wykonać – prychnęła Alicja i dodała, uśmiechając się półgębkiem: – Na pewno miałabym duże szanse, żeby zostać jego kochanką.

– A gdybyś nie była w ciąży i on by tego chciał? – zaciekawiła się Olga.

– Jeśli stawką byłoby przeżycie w tym piekle jak normalny człowiek, nawet trzech sekund bym się nie zastanawiała. Ale teraz to już bez znaczenia. Idę do niego. Chcę jak najszybciej wrócić do baraku, bo jutro znowu będę nieprzytomna.

Alicja z trudem podniosła się z krzesła i ruszyła dalej, na spotkanie z komendantem.

– Spóźniliście się! – warknął Kaganowski, gdy weszła do jego gabinetu. – Uważacie, że ja nie potrzebuję zająć się swoimi prywatnymi sprawami?

– Przepraszam, ale dzisiaj sama sprzątałam i dłużej mi zeszło. Zresztą lada moment urodzę i ciężko mi się poruszać tak szybko, jak kiedyś – wymamrotała.

Kaganowski budził w niej respekt, zwłaszcza gdy mówił ostrym tonem. Poza tym był tutaj niekwestionowanym władcą i popadnięcie w niełaskę mogło zakończyć się wysłaniem do pracy na *zaboju* albo *garaniszczyzną*, czyli publiczną egzekucją.

– A ta druga? – zapytał, już nieco łagodniej.

– Nie żyje, zmarła dzisiaj przed południem. Strażnik miał zameldować, bo przecież do pracy w kuchni pan komendant sam wyznacza… – powiedziała niepewnie.

Kaganowski pokiwał głową, kazał Alicji usiąść, a potem wyciągnął z szuflady list. To był jej list, który napisała do Sergiusza, gdy jeszcze dojeżdżały do obozu samochody i odbierały korespondencję. Pamiętała dzień, gdy po raz pierwszy dotarła do niej paczka i list od Sergiusza. Pomyślała wtedy jedynie o tym, że żyje. A jeśli tak było, to oznaczało, że nie może się poddać. To była jej nadzieja i światełko w tunelu. Jeśli „Kary" przeżył, wiedziała, że zrobi wszystko, by ją stąd wyciągnąć, nawet jeśli zajmie mu to bardzo wiele czasu. Wierzyła, że nie podda się i nie ustanie w wysiłkach. A ona będzie mogła żyć coraz silniejszą nadzieją, i tylko to się liczyło.

Patrzyła na sponiewieraną kopertę i miała łzy w oczach. Tyle tygodni łudziła się, że ten list dotrze do Sergiusza i ten dowie się, jak bardzo go kocha i za nim tęskni. Tymczasem ten list wciąż tkwił w szufladzie komendanta. Miała ochotę napluć mu w twarz. Opanowała się jednak, dotknęła koperty palcami i popatrzyła z wyrzutem na Kaganowskiego. Przełykała ślinę i starała się powstrzymać łzy, ale nie odważyła się na żadne słowa, oprócz jednego…

– Dlaczego? – zapytała, łkając.

– Naprawdę myślicie, że specjalne przywileje upoważniają was, by oczerniać nasz „Raj"? Po co wam były te wywody o gwałcie, o „nocnych łowach" i głodowych racjach żywnościowych. Tak jakby w moim obozie panował bałagan, nad którym ja nie panuję. Zresztą tak prywatnie wam powiem… Jeśli kochacie tego mężczyznę, dlaczego chcecie, żeby dowiedział się o waszej przygodzie? Nie byłby szczęśliwy, gdyby przeczytał, jak to się zabawialiście z kilkoma mężczyznami naraz, a teraz jesteście w ciąży nie wiadomo z którym – ostro powiedział komendant.

Alicja zrozumiała, że popełniła błąd, pisząc Sergiuszowi o tym, co ją spotkało. Zapewne nikt nie miał prawa wiedzieć, że łagry to coś znacznie gorszego niż tylko obóz pracy.

– Zabawiałam się? – jęknęła. – Zostałam zmuszona do tego.

– A może wasz narzeczony zacząłby się zastanawiać, czy nie prowokowaliście? A może miałby wam za złe, że tańczyliście na wieczornicach, wzbudzając pożądanie wśród więźniów?

Stiepan Kaganowski próbował ominąć temat gwałtu, skupiając się na relacjach pomiędzy kobietą a mężczyzną. Niewiele go to obchodziło, ale nie miał zamiaru dopuścić, aby ktokolwiek wiedział, co się dzieje w jego obozie. „Nocne łowy” były faktem i nie zamierzał z tym walczyć, ale wolał, aby nie wyszło to poza obręb *zony*.

– Komendancie Kaganowski, jeśli ludzie się naprawdę kochają, powinni sobie ufać i mówić ze sobą o wszystkim. – Alicja spuściła głowę.

– Jak uważacie, ale póki tutaj jesteście, to ja dyktuję, o czym możecie mówić. Możliwość odebrania paczki i napisania listu jest wielkim przywilejem. Ten wasz narzeczony musi być mocno zasłużonym człowiekiem. Ale nie pozwolę, byście szkalowali mnie w swoich listach.

– Nie zamierzałam tego robić i nie szkalowałam – powiedziała cicho.

– Cokolwiek piszecie złego o naszym obozie, to tak jakbyście źle mówili o mnie. A ja przeniosłem was do kuchni, bo tam cieplej i jedzenia więcej. A wiecie dlaczego? Zauroczył mnie wasz taniec. Macie to we krwi. Mamy tutaj surowe zasady i trudne warunki, a klimat nie jest naszym sprzymierzeńcem. Nie wiem, jak długo tu pozostaniecie, bo może sąd skróci wam wyrok, nie wiem również, ile w tym miejscu będę komendantem, dlatego pomyślałem, że chciałbym jeszcze zobaczyć kiedyś, jak tańczycie. Kobiece ruchy, rytm muzyki – to sprawiało, że przez chwilę poczułem się jak niegdyś, gdy mogłem chodzić do normalnego teatru albo na balet czy zwykłą potańcówkę. Czy zrozumieliście, co powiedziałem? – zapytał chłodno.

Pokiwała głową i pokajała się za swoje nierozważne słowa w liście, obiecując, że gdy teraz otrzyma podobną szansę, treść jej korespondencji będzie już poprawna. Swoją drogą nie myślała, że Kaganowski wezwie do siebie kogoś, kto zna polski i każe sobie przetłumaczyć jej słowa. Gdyby o tym wiedziała, zapewne byłaby bardziej powściągliwa w słowach. Zaś po opuszczeniu obozu korespondencja do Sergiusza miała dotrzeć tak przedziwnymi kanałami, że zapewne nikt nie ośmieliłby się jej nawet otworzyć.

Teraz jednak dotarło do niej, że owe przywileje, o których wspomniał Kaganowski, są mocno ograniczone.

Alicja jeszcze przez chwilę siedziała, milcząc, gdy Stiepan wstał zza biurka i podszedł do metalowej szafki. Wyciągnął z niej niewielki karton, a potem położył przed Alicją.

– Wasza świąteczna paczka od narzeczonego…

– Święta były dawno temu… – mruknęła.

– Musiałem was jakoś ukarać za ten paszkwil – bąknął.

Miała ochotę go zabić. Wzięła do ręki karton i przytuliła do siebie, jak gdyby brała w ramiona coś żywego. Poczuła przez palce, zupełnie irracjonalnie, jakby dotykała Sergiusza i czuła jego obecność. Głaskała twardy karton, dotykała opuszkami krawędzie, gładziła nierówności paczki i uśmiechała się do siebie, jakby w istocie jej ukochany był blisko niej.

– Kochacie chyba tego swojego narzeczonego – zagadnął Kaganowski głosem, który brzmiał zupełnie inaczej niż przed chwilą. Mniej szorstko i była w nim jakaś nutka tęsknoty za uczuciem, którego chyba mu brakowało.

Alicja ponownie potaknęła i wciąż wpatrywała się w karton.

– Możecie go otworzyć tutaj… – zaproponował nagle.

Sam nie wiedział, dlaczego to uczynił. Kompletnie nie interesowało go, co przysłał Alicji narzeczony, bo zapewne były to rzeczy praktyczne i mało romantyczne. Ciekawiła go jednak twarz Alicji. Chciał przez chwilę popatrzyć na zakochaną kobietę. Jej zachwycone, nieco błędne spojrzenie, ledwie uchwytny uśmiech w kącikach ust, a może nawet rumieniec zawstydzenia, gdy się na nią patrzy w sytuacji intymnej. Alicja najchętniej dobrałaby się do paczki gdzieś w ukryciu, ale tego dnia jedynym miejscem, gdzie mogła to uczynić, był barak pełny współmieszkanek. Zapewne zachłannie rzuciłyby się, by chociaż popatrzyć, cóż takiego Alicja otrzymała. Wolała więc zrobić to przy Kaganowskim, zwłaszcza że miała pewność, iż Sergiusz ukrył pieniądze tak sprytnie, by nikt nie domyślił się ich istnienia. Nawet ktoś tak czujny, jak komendant.

Stiepan podał jej mały, szpiczasty nożyk. Alicja delikatnie rozcięła karton, jakby co najmniej miała znaleźć w nim klejnoty albo równie cenne przedmioty, i zaczęła wyjmować z niego rzeczy, odkładając powoli na biurko Stiepana. Na samym wierzchu leżała czapka z króliczego futra, a pod spodem wyschnięte pomarańcze. Może przetrwałyby w dobrym stanie, gdy-

by Kaganowski oddał jej paczkę wcześniej, ale postanowiła, że zachowa je, bo wciąż roztaczały miły zapach. Alicja zastanowiła się przez chwilę, skąd „Kary” wytrzasnął pomarańcze, które ostatni raz widziała przed wojną, ale potem uśmiechnęła się czule do własnych myśli, bo wiedziała, że na pewno włożył wiele wysiłku, by je zdobyć w zrujnowanej wojną Polsce. Obok wyschniętych owoców leżały dwie paczki herbaty, amerykańskie czekolady i paczka orzechów. Miała ochotę otworzyć te smakołyki i połknąć natychmiast, ale nie chciała tego robić przy Kaganowskim.

Na samym dnie, pod grubymi rajstopami, leżał list zaadresowany ręką Sergiusza. Nie wyjęła go jednak, uznając, że tę przyjemność zostawi sobie na później. Spakowała prezenty z powrotem do pudełka i wstała z krzesła, wylewnie dziękując komendantowi. Nie były to szczere, płynące z serca słowa wdzięczności, wręcz przeciwnie – miała do niego ogromny żal, że tak długo trzymał u siebie paczkę od Sergiusza, ale postanowiła być praktyczna, aby podobna sytuacja już się nie powtórzyła.

– Zazdroszczę mu – niemal wyszeptał Stiepan.

– Że ma narzeczoną dziesięć tysięcy kilometrów od siebie? – zdziwiła się Alicja.

– Nie… Kiedy się kocha, żadna odległość nie ma znaczenia. Zazdroszczę mu, że go tak kochacie – powiedział Kaganowski.

Chyba po raz pierwszy, odkąd Alicja trafiła do obozu, popatrzyła na niego jak na normalnego człowieka. Takiego, który ma uczucia, wrażliwość i potrzeby. Pomyślała, że i on, chociaż w porównaniu z innymi żył niczym król, nie chciał tutaj być. Sam jak palec, bez rodziny i przyjaciół, otoczony złowrogimi wzgórzami i ludźmi, którzy na jego oczach zamieniali się w przedziwne stwory, nieprzypominające człowieka. Ją także dopadły podobne demony, bo jej myśli wcale nie oznaczały współczucia czy nawet zrozumienia. Stiepan Kaganowski obchodził ją jedynie w stopniu, który mógłby oznaczać dla niej jakieś wymierne korzyści. Poza tym nie potrafiła wykrzesać w sobie żadnych uczuć czy emocji. Mógł być co najwyżej użyteczny – to wszystko.

Schowała niewielką paczkę pod obszerny płaszcz, obwiązała się chustą i opuściła budynek komendanta. Niepostrzeżenie wsunęła też do kieszeni mały nożyk, który dał jej Kaganowski do rozcięcia kartonu. Miała nadzieję, że tego nie zauważy, a gdyby tak się stało, udawałaby, że wpadł do kartonu i tam się zawieruszył. Zamierzała oddać go następnego dnia, ale tej nocy

był jej potrzebny, by mogła rozpruć delikatnie szwy czapki. Wiedziała bowiem, że pod podszewką znajduje się coś najcenniejszego. Pieniądze.

Wyszła z komendantury i ruszyła powoli w stronę swojego baraku. Było już bardzo późno, ale miała nadzieję, że mróz unieruchomi więźniów w barakach na tyle skutecznie, by nie czyhali na samotne kobiety błąkające się po *zonie*. W istocie, wciąż było pusto, tylko gdzieniegdzie dostrzegała płomienie koksowników, przy których ogrzewali się strażnicy obozu.

Znajdowała się już blisko swojego baraku, gdy nagle wyrosła przed nią ogromna postać Swietłany.

– Byłam u ciebie – warknęła Swieta.

– A niby po co? – zapytała Alicja.

– Wiesz po co. Pracujesz teraz na kuchni, a ja i moi koledzy jesteśmy bardzo głodni – mruknęła.

Nie pierwszy raz Swieta próbowała wymusić na niej kradzież żywności, ale Alicja pozostawała głucha na te słowa, chociaż miała wielką ochotę udusić tego potwora. W takich chwilach stopowało ją dziecko, które nosiła w łonie, i nie zamierzała go narażać, więc delikatnie, ale stanowczo odmawiała, tłumacząc, zgodnie z prawdą zresztą, że gdyby ją na czymś takim przyłapano, zostałaby rozstrzelana.

– Mówiłam ci. Nic z tego. Pogadaj ze strażnikiem, może poleci na twoje wdzięki i ukradnie ci kawałek chleba – bąknęła Alicja i próbowała ominąć Swietę bez wszczynania awantur.

Ta jednak zagrodziła jej drogę.

– A ty chcesz donosić tego swojego bachora czy od razu urodzić trupa? – zapytała zdesperowana Swieta.

Alicja poczuła, że tym razem Swietłana postanowiła być bardziej radykalna niż poprzednio, zwłaszcza że nareszcie dopadła Alicję późnym wieczorem i kompletnie samą. Alicja włożyła rękę do kieszeni płaszcza i poczuła chłód rękojeści nożyka. Zacisnęła na nim dłoń i postanowiła, że użyje go, jeśli tylko ten potwór w ludzkiej skórze wyciągnie do niej rękę. Kobieta zbliżyła się do Alicji i chwyciła ją za szyję ogromnymi dłońmi.

– Posłuchaj, głupia suko. Wiem, że nosisz przy dupie klucze od spiżarni. Więc teraz pójdziemy grzecznie do kuchni, a ty powiesz strażnikowi, że zapomniałaś czegoś. Wejdziesz do środka i przyniesiesz Swietłanie trochę żarcia, bo jeśli nie, moi koledzy wypatroszą ci bachora z brzucha, a ja osobiście poskaczę po nim, jak na trampolinie w cyrku – warknęła Swietłana.

Do Alicji, jak bumerang, powróciły wspomnienia z dnia, gdy ciężki but niemieckiego żołnierza spoczął na jej brzemiennym brzuchu i zabił dziecko. Mimo że dłoń Swiety zaciskała się na jej grdyce jak obręcz, Alicja miała jeszcze siłę, by wyciągnąć nożyk i z impetem wbić go w gardło Swietłany. Ta zaskowyczała z bólu, puściła Alicję i chwyciła się za swoją szyję, rycząc donośnie. Alicja nade wszystko pragnęła, by kobieta zamilkła, więc poprawiła swoje dzieło, podrzynając jej gardło, tak jak uczono ją niegdyś w SOE, w Wielkiej Brytanii.

Ciało Swietłany upadło na ścieżkę i w istocie przestała krzyczeć, a jedynie cicho rzęziła, by w końcu zamilknąć na zawsze.

36. Warszawa, 1946

Szymek Wielopolski ukłonił się nisko i miętosząc w dłoniach beret, usiadł naprzeciwko starszej kobiety, która patrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Co mogę dla ciebie zrobić, młody człowieku? – zapytała z zaciekawieniem.

– Szukam kogoś, pani kierowniczko – bąknął Szymek.

Kobieta wypuściła powietrze. A zatem ten młody człowiek nie powiedział nic nowego ani czegoś, czego nie słuchałaby codziennie.

– Jak setki tysięcy ludzi – mruknęła.

– Ale to osoba jest dla mnie bardzo ważna. I pies. Ona nazywa się Zosia Maniewicz i była wychowanką sierocińca na Woli, a pies miał na imię Ziutek – powiedział poważnie Szymek.

Kobieta mimowolnie uśmiechnęła się, bo desperackie poszukiwanie zwierzęcia było jednak pewną nowością.

– Nie poszukujemy zwierząt. To niedorzeczne. A jeśli złożyłeś formularz, w swoim czasie coś powinno się wyjaśnić. Tylko… sierociniec na Woli, wiesz, tam zabito wszystkie dzieci, naprawdę nie robiłabym sobie zbytnich nadziei – ostrożnie powiedziała kobieta.

– Ona się uratowała, razem ze mną i z Ziutkiem, tylko mnie potem wzięli z żołnierzami, a ją z cywilami. A Ziutek… – Szymkowi zaczął drżeć głos, ale po chwili zreflektował się i powiedział stanowczo: – Jakby pani mi pomogła, to ja bym za darmo mógł tutaj coś robić. Mógłbym kwity wydawać albo co nosić. Byleby mi pani pomogła.

– Sprytnie się do tego zabierasz, młody człowieku – powiedziała ze śmiechem kobieta. – Są sprawy, które nie zależą ode mnie, więc nie mogę ci obiecać, że szybko zdobędę dla ciebie te informacje, ale postaram się, jeśli w zamian nam pomożesz. Znam kilka organizacji, które prowadzą stołówki dla najuboższych. Jak skończysz swoje zajęcia, to możesz tam przychodzić. A do szkoły zacząłeś już uczęszczać?

– Tak, od września. Na Miedzianą. Do piątej klasy mnie dali, chociaż po prawdzie to powinienem być w siódmej – dumnie odpowiedział Szymek. – Będę przychodził, pani kierowniczko, tylko poda mi pani, gdzie mam pójść i do kogo się zgłosić.

Kobieta zapisała na małej karteczce adres i nazwisko kobiety, u której Szymek miał się zameldować. Nie uśmiechało mu się tyranie za darmo i nie

czuł w sobie powołania do niesienia bezinteresownej pomocy, ale zależało mu na Zosi i dla niej gotów był się poświęcić. Co do Ziutka mógł jedynie wierzyć, że przeżył i teraz cieszy innych ludzi swoją obecnością, bo w istocie Szymon nie miał pomysłu, w jaki sposób mógłby go odnaleźć.

Jadłodajnia, gdzie skierowano Szymka, znajdowała się w jednym z budynków na Mokotowie. Przed wojną mieściła się w tym miejscu niewielka stołówka pracownicza, teraz zaś lokal stanowił azyl dla tych, których nie stać było na wydanie dwudziestu złotych na obiad. W pomieszczeniu kuchennym uwijały się trzy kobiety, ogorzałe od pary buchającej z kotłów, a już przed wejściem roztaczał się zapach gotowanych ziemniaków, bulionu i włoszczyzny. Szymek stanął w progu kuchni i krzyknął:

– Pani Walewskiej szukam.

Jedna z kobiet przestała mieszać w kotle, wytarła dłonie w fartuch i ruszyła w kierunku Szymka. Nie wiedzieć czemu, ale chłopak spodziewał się starszej, nieco tłustej kobiety o krótkich nogach i wystającym brzuchu. Kucharki zwykle były kobietami przy kości, nawet te, które widywał w czasie wojny. Tymczasem idąca ku niemu osoba ani nie była stara, ani gruba. Przeciwnie, miała wiotką figurę i poruszała się jak panna Aldona. Lekko, z gracją i ponętnie kręcąc biodrami.

– To ja – wysapała i otarła pot z czoła.

– Przysyła mnie pani Teresa Rawska z PCK. Żebym pani pomagał – wydukał Szymek, nieco onieśmielony wyglądem kobiety. Zwłaszcza gdy uśmiechnęła się tak pięknie, że aż ugięły się pod nim nogi.

Nie myślał, broń Boże, o jakichś świństewkach, podobały mu się dziewczynki w jego wieku, a nie dojrzałe kobiety, ale pani Walewska mimo fartucha i zroszonego potem czoła wyglądała jak prawdziwa dama. Niemal tak, jak niegdyś panna Adrianna Daleszyńska, której zdjęcie stało na jego biurku.

– To dobrze. Jak ci na imię, bo ja nazywam się Magdalena? Magdalena Walewska. Zatem przygotuj talerze, łyżki i powycieraj stoły, bo strasznie się kurzy na sali. Od czternastej wydajemy posiłki – powiedziała ze śmiechem pani Magdalena, po czym wskazała miejsce, gdzie Szymek znalazł sztućce i talerze, oraz małe pomieszczenie, w którym stały kubły, szczotki i leżały ścierki.

– Mam na imię Szymek – odpowiedział chłopiec.

Kobieta pokiwała głową i powróciła do swoich zajęć.

– Najpierw stoły, a potem umyj ręce, włóż fartuch i czapkę! – krzyknęła gdzieś z czeluści kuchni, do której niemal pofrunęła.

Magdalena Walewska miała w sobie tak wiele życia i optymizmu, że Szymek niemal z radością chwycił za szmatę i pobiegł do sali jadalnej, by przygotować ją do posiłku. Potem z równie wielką radością poustawiał w stosy talerze, metalową miskę wypełnioną grubymi kromkami chleba i ułożył w wiklinowym koszu łyżki. Następnie włożył nieco za duży biały fartuch i naciągnął kucharską czapkę na głowę, dziękując pannie Magdalenie, że nie nakazała mu wkładania damskiego czepka, jakiego używały kucharki. Po kilku minutach zaczęli przychodzić pierwsi amatorzy darmowej zupy i wkrótce utworzyła się długa kolejka.

Szymek nalewał wielką chochlą zupę z kotła i niezbyt poradnie mu to wychodziło, bo ludzie zaczęli wychodzić z kolejki i ustawiać się w drugiej, która wiodła do Magdaleny Walewskiej.

– Wprawisz się. – Puściła do niego oko i napełniła kolejny talerz.

– Skąd wiadomo, że to ci najbiedniejsi, a nie jakieś cwaniaki z miodem w uszach? – zapytał Szymek.

– Nie wiadomo. – Uśmiechnęła się. – Ale trzeba ufać ludziom.

Szymek także uśmiechnął się, ale miał odmienne zdanie w tej kwestii. On nie ufał ludziom, a ostatnia sytuacja utwierdziła go jedynie w przekonaniu, że nawet najbliższy sercu człowiek może okazać się kłamcą.

Po godzinie Szymek stwierdził, że zajęcie, które mu wyznaczono, jest po prostu nudne, bo co mogło być ciekawego w machaniu chochlą i podawaniu kolejnej pajdy chleba. Dlatego zaczął przyglądać się przychodzącym osobom i usiłował zgadywać, kto jest ubogim i wymagającym dożywiania człowiekiem, a kto zwykłym oszustem, łasym na posiłek za darmochę. Jednakże w powojennej rzeczywistości trudno było odróżnić jednych od drugich. Większość przychodzących miała na sobie dziwaczne łachy albo tak stare, że ledwie trzymały się kupy. Niektórzy podpierali się kulami, inni mieli okaleczone twarze, a niemal wszyscy wchodzili do jadłodajni z wypisaną na twarzy gehenną, jaką przeszli. Minął już ponad rok, odkąd Warszawa stała się wolnym miastem, ale zapewne o tym, co się wydarzyło przedtem, trudno było im zapomnieć. Szymek nie znał nikogo ze swojego otoczenia, kto nie poniósłby jakiejś straty i właśnie owa strata była widoczna na twarzach przychodzących ludzi. Nawet Magdalena Walewska, gdy nie

uśmiechała się promiennie, miała w oczach ledwie uchwytny smutek. Tak jakby chciała go odpędzić od siebie, a on, niechciany, powracał.

***

Chociaż nalewanie zupy i sprzątanie jadłodajni było zajęciem mało ciekawym, Szymek Wielopolski, kiedy tylko nie miał na drugą zmianę szkoły, zjawiał się w tym miejscu i pomagał Magdalenie Walewskiej przy wydawaniu posiłków. Nie robił tego, bo ją polubił, ale miał cel i łudził się, że dzięki jego pracy kierowniczka z PCK bardziej się postara i odnajdzie jego przyjaciółkę szybciej. Nie dopuszczał do siebie myśli, że Zosia mogła zginąć. Uznał, iż jeśli udało im się wyjść cało z tego piekła, jakim było powstanie, los nie zakpiłby z Zosi i nie uśmiercił jej. Poza tym stwierdził, że nie zasłużył sobie na to, by podczas tej wojny stracić dwie przyjaciółki.

Za to zyskał nowych kolegów: Antka i Tadka, z którymi regularnie wymieniał listy. Miał nadzieję, że pewnego dnia spotkają się wszyscy trzej ponownie i będą się wygłupiać i śmiać, jak wówczas, gdy kradli mieszkańcom Koźlik jedzenie, by potem sprawiedliwie je dzielić i zjadać w zacisznych miejscach.

Któregoś dnia, gdy znużony ziewał nad kotłem zupy i obserwował stojących w kolejkach ludzi, jego wzrok zatrzymał się na pewnym mężczyźnie. Szymek był pewien, że skądś znał tę twarz, ale za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy ją widział. Mężczyzna był wysoki, miał gęste włosy i gdyby nie był tak wychudzony, można byłoby go uznać za galanta. Człowiek ten, nieco kuśtykając, podszedł do Magdaleny Walewskiej, przywitał się z nią i zapytał:

– Coś wiadomo, panno Magdaleno?

Walewska pokręciła przecząco głową i z westchnieniem podała mężczyźnie talerz z zupą. Gdy ten odszedł w głąb sali i usadowił się przy jednym ze stolików, Szymek zagadnął kucharkę:

– Mam wrażenie, że skądś znam tego człowieka. To nie jakiś konfident?

Walewska uśmiechnęła się.

– Nie mam pojęcia, skąd możesz go znać, ale zapewniam cię, że nie jest żadnym konfidentem. To przyjaciel mojego ojca, przed wojną doradzał mu w kwestiach finansowych. Pracował w banku i gdy oberwał, ojciec przyjął go pod swój dach. Nazywa się Kamil Grotowski i wrócił do Warszawy,

by odszukać swoją żonę, zaginioną podczas okupacji. Ma pracę i nawet ocalał kawałek jego mieszkania, ale zawsze częstuję go zupą.

I wtedy Szymek przypomniał sobie, że widział go kiedyś rozmawiającego z panem Lewinem. Kiedy Szymek zapytał pana Emila, kim jest ów człowiek, ten odpowiedział jedynie, że pracuje w banku. Zapamiętał ten fakt, bo gdy był mały, zazdrościł takim ludziom, sądząc, że są bardzo bogaci, a pieniądze, które powierzają im inni, stanowią potem ich własność.

– I co, przypomniałeś sobie? – zapytała ze śmiechem Magdalena Walewska.

– Tak. Kiedyś go widziałem z moim opiekunem, tym, który przygarnął mnie, gdy w trzydziestym dziewiątym zginęli moi rodzice. Ale widziałem go tylko raz, więc pewnie dlatego nie mogłem go sobie przypomnieć.

– Ostatnio przechodził zapalenie płuc i strasznie zmizerniał, ale teraz wrócił do zdrowia i znowu zaczął szukać swojej żony. Musiał ją bardzo kochać… – ze smutkiem stwierdziła Walewska.

– Dzisiaj to chyba każdy kogoś szuka – westchnął Szymek, wciąż myśląc o Zosi i Ziutku.

– Ja już nie szukam. Ja już znalazłam – cicho powiedziała Walewska.

– Szczęściara z pani – uśmiechnął się Szymek.

Magdalena Walewska tym razem nie odwzajemniła uśmiechu, tylko szepnęła:

– Tak… Odnalazłam swojego narzeczonego. Na jednej z ekshumacji. Póki nie byłam pewna, żyłam nadzieją, i to był najpiękniejszy okres od chwili wybuchu wojny. Codziennie się łudziłam, że odnajdę go żywego, karmiłam się tą nadzieją, a potem… wszystko się skończyło.

– Niektórzy wolą wiedzieć, niż czekać. – Szymek usiłował powiedzieć coś pokrzepiającego.

– Zależy na co czekają. Ten Grotowski już tak trzy lata szuka swojej żony i wciąż ma nadzieję, chociaż moim zdaniem szanse są zerowe – westchnęła.

– Myślałem, że zaginęła podczas powstania – mruknął Szymek i pomyślał, że w istocie ów człowiek musi mieć w sobie głęboką wiarę, jeśli łudzi się, iż odnajdzie małżonkę po takim czasie.

– Nie. – Walewska pokręciła głową. – Adrianna zaginęła długo przed powstaniem.

– Adrianna to najpiękniejsze imię na świecie! – prawie wykrzyknął Szymek. – Moja mama tak miała na imię i była taka akuratna, że jak szliśmy

ulicą, to wszyscy mężczyźni się za nią oglądali, nawet jak z kobitami byli.

– Zginęła podczas nalotów? – zapytała Magdalena, domyślając się, że jeśli matka Szymka zginęła w trzydziestym dziewiątym, taka musiała być przyczyna jej śmierci i piękna Adrianna podzieliła los pierwszej małżonki Grotowskiego i jego syna.

– Nie… Adrianna to była taka inna mama – powiedział cicho Szymek i nic więcej nie dodał. Obawiał się, że Magdalena Walewska nie zrozumie relacji, jaka połączyła go z panną Daleszyńską.

– Rozumiem – ciepło odrzekła Magdalena i nie kontynuowała, uznając, że jeśli chłopiec nie chce na ten temat mówić, nie należało naciskać.

Niektórym podobne wynurzenia pomagały, jak chociażby Kamilowi Grotowskiemu, ale ona, podobnie jak jej młody pomocnik, wolała milczeć. Bo cóż mogłoby jej dać mówienie o ukochanym Władku, jeśli jego już nie było wśród żywych i nic nie było w stanie przywrócić mu życia? Musiała egzystować dalej i mieć inną nadzieję niż ta, którą się do niedawna karmiła. A była nią myśl, że pewnego dnia znowu się zakocha i pogodzi z faktem, że nigdy więcej nie ujrzy swojego narzeczonego.

Pożegnali się późnym popołudniem, gdy już wszystkie naczynia zostały umyte, a podłoga zamieciona. Oboje milczeli, pogrążeni w zadumie i zrozumieniu, że o pewnych rzeczach nie trzeba rozmawiać, bo i tak niczego to nie zmieni. Szymek powrócił do domu bardzo zmęczony i spostrzegł, że w mieszkaniu pojawiło się dziecięce łóżeczko i mała półka na zabawki. Domyślił się, iż niebawem pan Lewin przywiezie spod Nadarzyna małego Karolka, i ucieszył się. Teraz pozostał mu jedynie ten maluch.

37. Okolice Lozanny, 1946

– To był genialny pomysł, Weroniko – powiedział Julian Chełmicki i cmoknął Weronikę w policzek.

Naprawdę był jej ogromnie wdzięczny, że namówiła go na otwarcie szkółki jeździeckiej. Konie nie były może tak piękne, jak w Chełmicach, a stajnie dość skromne, ale Julian powoli sobie przypomniał, jak te zwierzęta są mu bliskie. Ich obecność i zajmowanie się nimi w stajniach dawały mu radość, tak jak dosiadanie ich i jazda po urokliwej okolicy. Nie mógł co prawda zbyt długo siedzieć w siodle, bo wciąż odzywała się pogruchotana przez gestapo noga, ale czuł się, jakby był w swojej rodzinnej posiadłości i przemierzał konno rodowe włości. Miał nadzieję, że kiedyś odzyska dobra Chełmickich i przywróci blask rodzinnemu domowi. Wiedział, że żaden kraj nie zastąpi mu ojczyzny, nawet jeśli będzie tak piękny, jak Szwajcaria.

– Cieszę się, kochanie. Naprawdę. I nawet zaczynasz się uśmiechać – powiedziała z czułością Weronika.

Miała świadomość, że ów uśmiech spowodowany jest także wieściami o tym, że Alicja Rosińska wciąż żyje, ale wolała w ogóle nie poruszać tego tematu. Liczyła, że po jakimś czasie jej mąż zapomni o tej kobiecie, a w jego sercu będzie miejsce jedynie dla niej i dzieci. Wiedziała również, jak wiele znaczyły dla niego kiedyś konie i pragnęła, żeby i tym razem ich obecność podziałała na Juliana kojąco.

Miejsce na szkółkę znalazła w lokalnej gazecie. Ktoś chciał wydzierżawić trochę ziemi pod Lozanną, wraz ze stajniami i niewielkim domkiem. Pojechała tam z Amelką autobusem i gdy zobaczyła u podnóża gór to siedlisko, postanowiła, że namówi Juliana na wycieczkę i przedstawi mu swój plan dotyczący szkółki jeździeckiej. Tak też uczyniła, a Chełmicki niemal natychmiast zakochał się w tym zacisznym miejscu. Po kilku tygodniach pojawiły się pierwsze konie, Weronika urządzała domostwo i wkrótce na dobre wyprowadzili się z miasta. Sarnowska niezbyt lubiła wieś. Uwielbiała zgiełk wielkiego miasta, dlatego z radością przeprowadziła się niegdyś z Bełchatowa do Warszawy. Lozanna także jej się podobała, jednak jej miłość do Juliana była ponad wszystko. Dlatego bez żalu opuściła miasto, by osiąść w miejscu, gdzie co prawda było pięknie, ale jak dla niej zbyt spokojnie i cicho. Na szczęście przenieśli się zaledwie dwadzieścia kilometrów od Lozanny, więc podróż do miasta nie stanowiła szczególnego kłopotu.

Pawełek mieszkał w internacie, a dla Amelki było to miejsce idealne. Julian nie mógł się doczekać, kiedy posadzi swoją córkę na konia i nauczy ją jeździć, bo Pawełka już zdążył zarazić miłością do jeździectwa. Gdy ten tylko pojawiał się w domu, chwilę potem znikał w stajni.

Weronika nie pamiętała nawet, kiedy ostatni raz była taka szczęśliwa i nie żałowała już, że tak zaciekle walczyła o miłość Juliana. Teraz nic nie stało na drodze, by mogli żyć zgodnie do końca swoich dni. Jednak Weronika nie wiedziała jednego – że Julian Chełmicki zaledwie próbuje być szczęśliwy, bo wciąż jego myśli zaprzątają inne kwestie niż miłość Weroniki. Sytuacja w Polsce nie dawała mu spokoju, a przede wszystkim nie mógł zapomnieć o Alicji. Martwił się o nią i tęsknił niemal każdego dnia za jej obecnością. Nie tylko jako kobiety, ale także przyjaciela, na którego mógł liczyć w każdej sytuacji. A teraz, gdy ona znalazła się w niebezpieczeństwie, tak niewiele mógł zrobić. Bo cóż znaczyły listy i paczki Dargiewicza, skoro tak okrutny los miał być jej pisany na długie lata. Wierzył, że Igor zrobi wszystko, co w jego mocy, by pomóc Alicji. Nie tylko z uwagi na niego, ale uczyni to również dla Hanki Lewin, którą kochał, odkąd skończył dwadzieścia lat.

Chełmicki za każdym razem, gdy pił o poranku doskonałą kawę i patrzył przez okno jadalni na górskie pejzaże, czuł się winny. Nie z powodu uwięzienia Alicji, ale dlatego, że nie dzielił podobnego losu. Oboje przeszli przez piekło wojny, dramat powstania, jednak to jemu się udało wyjść z tego i wieść spokojne życie na prowincji, gdy tymczasem ona zdychała w jakimś koszmarnym sowieckim łagrze. Niewiele wiedział o radzieckich obozach pracy, ale mógł się domyślać, że przypominały nieco te, które stworzyli w Polsce naziści. A jeśli tak właśnie było, Alicja mogła nie doczekać końca wyroku, a nawet pomocy, której mógłby udzielić jej Łyszkin.

Chełmicki miał wszelkie powody, by czuć się szczęśliwym. Wszystkich najbliższych miał blisko siebie. Nawet matka, chociaż przestała go nawet kojarzyć, znajdowała się kilkadziesiąt kilometrów od niego, w luksusowym ośrodku psychiatrycznym. Szkółka przynosiła niewielki dochód, ale nie musiał już uszczuplać kapitału pozostawionego przez ojca. Jednak wciąż coś uwierało Juliana, spędzało sen z powiek i tylko w nielicznych chwilach mógł o sobie powiedzieć, że jest szczęśliwym człowiekiem. I nie działo się tak jedynie z powodu Alicji. Nadal w głębi duszy nie mógł pogodzić się z faktem, że przegrali, a jego ukochany kraj rządzony jest ciężką ręką Stalina. Z tego, co zdołał się dowiedzieć, bardzo wielu weteranów pozostało na

zachodzie Europy i nie zamierzało wracać do kraju, mimo apelu generała Andersa. Nikt już nie wierzył Sowietom i nie łudził się, że są zapraszani, by dostać odznaczenia i spokojnie żyć.

Dodatkową przykrością było to, że ci wszyscy dzielni żołnierze walczący po stronie aliantów nie zostali zaproszeni do Londynu na wielką fetę wieńczącą zakończenie wojny. Miała odbyć się 8 czerwca 1946 roku i zrobiło się wokół niej mnóstwo szumu. Niektórzy dziennikarze krytykowali wybór daty, inni głośno mówili, że oprócz Dywizjonu 303 Polacy walczyli także na innych frontach. A ci, jako jedyni, otrzymali zaproszenie na fetę. Podniosły się także głosy odmienne, popierające takie zachowanie, jako że, owszem, zostały wystosowane odpowiednie noty do Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej w Polsce, ale ten odmówił wzięcia udziału przez polskie wojska w tym przedsięwzięciu. Według tych dziennikarzy to było jedyne legalne wojsko polskie. Tymczasem znany ze swojego bohaterstwa w bitwie o Anglię dywizjon także odmówił uczestnictwa, łącząc się w geście solidarności z innymi polskimi żołnierzami, rozproszonymi po wojnie na zachodzie Europy.

Julian wierzył jeszcze do niedawna, że będzie jak w trzydziestym dziewiątym. Zewrą szeregi, dostaną wsparcie i pieniądze z Londynu, a potem pojadą do kraju, by wypędzić z niego wroga. Nie myślał, żeby samemu walczyć, bo nie był już tak sprawny, jak niegdyś, a odniesione rany także dawały o sobie znać, ale liczył, że będzie szkolił młodych adeptów, którzy pojadą do Polski, by walczyć o swoją ojczyznę, jak kiedyś on. Tymczasem świat odwracał oczy i nie chciał widzieć, co się dzieje. Skupiano się na procesach norymberskich, chełpiono się zatrzymanymi oprawcami nazistowskimi, pokazywano odbudowę Europy i puszczano w kinach filmy o obozach koncentracyjnych, a problem Europy Wschodniej, zagarniętej przez ZSRR, po prostu nie istniał. Wszyscy chodzili na paluszkach wokół wielkiego Józefa Stalina, byle go nie rozzłościć i nie drażnić. W kuluarach szeptano, że w Wielkiej Brytanii opracowuje się strategię na wypadek wybuchu kolejnej wojny, ale zawieszono ten pomysł, jako irracjonalny i skazany na porażkę.

Julian Chełmicki od czasu do czasu bywał w Londynie, by spotkać się z przedstawicielami polskiego rządu na uchodźstwie, z weteranami, którzy pozostali na obczyźnie po wojnie, a nawet udało mu się porozmawiać ze swoją starą znajomą, Hanką Lewin…

Bilety na recital, który odbywał w londyńskim West Endzie, nabył dosłownie w ostatniej chwili. Nie miał pojęcia, gdzie mieszka Hanka i nawet niespecjalnie wysilał się, by ją odszukać. Niewiele miał z nią wspólnego, oprócz tego, że była przyjaciółką Alicji, narzeczoną Igora i, niestety, siostrą Emila Lewina. On sam miał z nią niewielki kontakt i z uwagi na Emila nie szukał go, wiedział bowiem, że podczas rozmowy może nie wytrzymać i opowiedzieć jej o uczynkach braciszka, nie bacząc na ich pokrewieństwo. Alicja zawsze stopowała go, uważając, że Hanka powinna żyć w nieświadomości i uważać brata za porządnego człowieka. On był innego zdania. Gdyby miał rodzeństwo, to bez względu na wszystko chciałby wiedzieć, co złego w życiu zrobili, chociażby dlatego, by zawrócić ich ze złej drogi.

Jednak przechodząc któregoś wieczoru wraz z kilkoma kompanami po jednej z ulic West Endu, ujrzał ogromny plakat, a na nim elegancką i piękną Hankę Lewin. Być może nie rozpoznałby w tej blond seksbombie swojej koleżanki z Chełmic, gdyby nie świecący neon z jej nazwiskiem, umieszczony nad plakatem. Poczuł wtedy coś w rodzaju dumy, że Polka robi karierę w Londynie, chociaż bijące po oczach swoim blaskiem nazwisko budziło w nim jak najgorsze skojarzenia.

– Znam ją – powiedział do idącego obok kolegi weterana. – Wychowaliśmy się w jednej miejscowości.

– No, stary, zazdroszczę ci. Hanka Lewin robi tutaj prawdziwą furorę. Krytycy muzyczni wychwalają ją pod niebiosa, chociaż odmówiła nam występu w polskim Domu Weterana. Rozumiesz, taka z niej gwiazda… – odpowiedział mu kolega.

– Nie sądziłem, że kiedyś będzie zadzierała nosa, zwłaszcza że przeszła przez Pawiak i miała w Polsce naprawdę ciężkie życie. Nie wspominając o tym, że swój wyjazd do Londynu zawdzięcza swojej przyjaciółce, która teraz gnije w radzieckim łagrze – gorzko podsumował Julian.

Poczuł ogromną niechęć do Hanki Lewin. Może niedaleko padało jabłko od jabłoni i Lewinówna była taka sama, jak jej wyrodny braciszek? Zapomniała już, komu zawdzięcza życie, podobnie zresztą jak Emil? Od razu zaczął współczuć Igorowi Łyszkinowi, bo życzył swojemu przyjacielowi jak najlepiej, a Hanka jawiła mu się teraz jako egoistyczna kobieta pozbawiona serca. Jego złość na Lewinównę rosła z minuty na minutę, chociaż wywołał ją pozornie nieistotny szczegół. Odmowa występu dla polskich żołnierzy,

którzy walczyli między innymi o to, żeby teraz mogła wyginać na scenie swoje wiotkie ciało odziane w błyszczące drogie suknie.

I nagle odłączył się od grupy kolegów, podbiegł do kasy teatru i nabył bilet na występ Hanki, który miał odbyć się następnego dnia. Postanowił, że wygarnie jej wszystko i być może wywoła w niej jakąś refleksję. O ile uda mu się do niej dopchać, a wielka gwiazda nie odmówi mu chwili rozmowy. Nie przyznał się jednak kolegom, iż wybiera się na występ znajomej i nie zaprosił na niego nikogo ze swoim kompanów z Anglii. Miał gdzieś piękny głos Hanki i jej sukcesy, chciał jedynie sprowadzić ją na ziemię. Jakby szukał kozła ofiarnego, którego mógłby obwinić za los Alicji, i właśnie nadarzyła się ku temu okazja.

Następnego dnia usiadł na widowni i czekał na występ Lewinówny, z każdą chwilą coraz bardziej podsycając swoją niechęć do niej. Według niego Hanka należała do tych kobiet, które swoją kruchością i delikatnością wzbudzały instynkty opiekuńcze u innych, dzięki czemu niczym koty zawsze spadały na cztery łapy. Nie chciał pamiętać o tym, co przeszła podczas wojny, ani o tym, że pomoc okazana Lewinównie była wyborem i decyzją jej przyjaciółki, a sytuacja, w jakiej znalazła się teraz Alicja, nie ma nic wspólnego z Hanką Lewin. Nie mógł także zdobyć się na obiektywizm jeśli chodzi o Emila. Jego siostra zapewne nie miała pojęcia, kim naprawdę jest jej brat i informacja, że okazał się kanalią, mogłaby ją załamać. On sam pozostał w Szwajcarii, by znaleźć się jak najdalej od łap Stalina, ale Hankę winił za to, że nie wróciła do reżimowej Polski i nie wiodła skromnego życia u boku Łyszkina. Każdy roztaczał nad Hanką parasol ochronny z uwagi na jej wrażliwość, ale Chełmicki postanowił, że on nie musi i nawet nie chce jej oszczędzać.

Występ Hanki Lewin jak zwykle zakończyły owacje na stojąco i Julian musiał przyznać, że zachwyty Brytyjczyków są uzasadnione. Hanka wciąż miała piękny, nieco zachrypnięty głos, pełen nostalgii, i gdy śpiewała, odbiorca czuł emocje całą swoją duszą. Chełmicki nie zamierzał jednak wysyłać jej kwiatów, ale podał przez portiera bilecik, w którym poprosił o spotkanie po występie. Gdyby odmówiła, miałby dodatkowy powód, by jątrzyć w sobie niechęć do niej, ale stało się inaczej. Lewinówna wybiegła ze swojej garderoby niemal natychmiast, jeszcze w stroju scenicznym, i zaciągnęła go do siebie, po czym pierwsze pytanie, jakie zadała, dotyczyło Alicji.

– Julian, coś wiesz o Alicji? – Hanka miała wręcz przerażenie w oczach.

Nie przywitała się z nim, nie dopytywała, jak mu się wiedzie, ale zadała pytanie, które dotyczyło przyjaciółki, dzięki której się tutaj znalazła. Chełmicki nieco stracił rezon i ochotę, by jej ostro wygarnąć pewne sprawy, które go uwierały.

– Igor postarał się, by raz na jakiś czas Sergiusz mógł wysyłać jej paczki i listy. Złożyła także wniosek do sądu o możliwość skrócenia wyroku. Swoją drogą, Łyszkin dokłada starań, by ją wypuścili… Szczegółów nie znam, „Kary" pisze dość lakonicznie, ale to zrozumiałe, patrząc na to, co dzieje się w Polsce.

– Posłuchaj, jeśli potrzebne są pieniądze, jeśli można kogoś przekupić, wszystko opłacę – jęknęła Hanka. – Kocham Alicję ponad wszystko i czuję się tak cholernie bezradna. Ona zawsze wiedziała, co robić, gdy byłam w opałach, a ja… A ja nie wiem, co zrobić. Może ty mi podpowiesz, wskażesz drogę… Zrobię wszystko.

– To nie kwestia pieniędzy. Zarówno Sergiusz, jak i ja mamy odpowiednie środki, ale Igor uznał, że próba przekupstwa może okazać się dla Alicji tragiczna, jeśli trafimy na niewłaściwą osobę. To znaczy forsę każdy chętnie weźmie, ale potem postara się, by świadkowie tego czynu zniknęli na zawsze – ze smutkiem powiedział Julian i dodał nieco złośliwie: – Widzę, że nie tylko jesteś sławna, ale także zarabiasz pieniądze.

– Nie zarabiam takiej fortuny, jak by się mogło wydawać, ale mój mąż ma wystarczająco dużo pieniędzy… – mruknęła Hanka.

Chełmickiemu krew napłynęła do twarzy. I ten wyłom, który zrobiła Lewinówna chęcią niesienia pomocy Alicji, nagle zniknął. „Jak to, wyszła za mąż, do cholery? – myślał, rozgniewany. – A co z Igorem i ich synem?". Nie wytrzymał.

– To cudownie, że masz bogatego męża, który zapewne pomaga ci w karierze – wysyczał i dodał bezlitośnie: – A wiesz, że twój brat, i poniekąd mój, był konfidentem gestapo? Czy masz świadomość, że to przez niego Igor siedział w więzieniu i ty zresztą również? A może doszły do ciebie słuchy, że dostał wyrok w imieniu Polskiego Państwa Podziemnego i przeżył tylko dlatego, że został ostrzeżony przez Alicję? O sobie nie wspomnę… bo wydał także mnie. Wyrwali mi tam wszystkie paznokcie i tak pogruchotali nogę, że do tej pory jestem kulawy. – Julian, mówiąc to, patrzył na twarz Lewinówny, która z każdym wypowiadanym słowem robiła się bledsza.

– Co ty mówisz, Julianie? – wydukała. – Emil?

– Tak, nasz braciszek, Emil Lewin – warknął Chełmicki.

– Nie rozumiem, dlaczego mówisz te bzdury? Nie wierzę… – Hanka zacisnęła usta.

– Pewnie, lepiej wierzyć, że był praworządnym obywatelem i polskim patriotą. Tak samo, jak lepiej wyjść za bogatego Angola, niż klepać biedę u boku ubogiego Łyszkina. Zresztą jesteś pewnie taka sama jak braciszek. Polscy żołnierze tułają się po świecie, a wielka gwiazda ani myśli ich wesprzeć. Nawet zaśpiewanie kilku piosenek dla nich to wielki problem dla takiej diwy – dokończył mściwie.

Hanka przez chwilę milczała. Nie wierzyła Chełmickiemu. Nie dlatego, że uważała go za kłamcę, ale musiał po prostu mieć jakieś fałszywe informacje na temat Emila. A może rozzłościł się, iż nie wyszła za jego przyjaciela i dlatego chciał ją zranić.

– To Igor odszedł ode mnie – powiedziała cicho. – Przyjechał tutaj pewnego dnia i powiedział, że między nami wszystko skończone. Nie chciał, żebym wróciła do kraju i ostrzegł mnie, bym nie zbliżała się do polskich weteranów, bo ktoś w Polsce będzie chciał mnie wykorzystać do…

Nie dokończyła. Patrzyła jedynie z żalem na Chełmickiego. Nie wiedział, jak było i co się wydarzyło, ale osądził ją i wydał wyrok. W jego oczach jawiła się jako suka bez serca, która porzuciła Igora dla majątku i w dodatku udaje, że los Polski nic ją nie obchodzi. A nawet gdyby to ona podjęła decyzję o rozstaniu z Igorem, Julian nie miał pojęcia, dlaczego by to zrobiła. I za to postanowił wymierzyć jej karę, mówiąc te wszystkie okropności o Emilu.

– Myślę, Julianie, że powinieneś już iść…

Chełmicki poczuł, jakby ktoś wymierzył mu policzek. Kolejny raz zmierzył człowieka swoją miarką, która nijak nie pasowała do rzeczywistości. Tak łatwo ocenił Hankę, a sam, odtrącony przez Alicję, ożenił się z inną kobietą. On, wielki patriota, także pozostał za granicą, nie wrócił do zniewolonej Polski, a jednak miał żal do Hanki, że tego nie uczyniła. Wyrzucił jej taki drobiazg jak odmowa występu w Domu Weterana, gdy tymczasem Hanka odmówiła, bo nie chciała zostać kapusiem.

– Przepraszam – wybełkotał. – Naprawdę cię przepraszam, nie miałem pojęcia…

– Wybaczę ci to, Julianie, jeśli mi powiesz, że te wszystkie informacje o Emilu… że to nieprawda – powiedziała cicho.

– Chciałbym to powiedzieć, Hanka. Sam sobie pragnąłbym to powiedzieć. W końcu to także i mój brat. W każdym razie wiele na to wskazuje… – Julian nie mógł już się wycofać z tego, co opowiedział Lewinównie.

– Słyszałam te plotki… ale to nie było dla mnie ważne. Wychowaliśmy się pod jednym dachem i jest jedyną rodziną, jaka mi pozostała… Jesteś pewien, Julianie, że Emil był zdrajcą i naraził mnie i Igora na to wszystko? Dlaczego Alicja mi nie powiedziała?

– Alicja kocha cię jak siostrę. Nie chciała cię ranić. I wolała ochronić tego bydlaka, niż sprawić ci przykrość. Ja też chciałem go chronić, bo jednak płynie w nas krew Chełmickich. Oboje zapłaciliśmy za to wysoką cenę. Ty i Igor również. Przykro mi, że dowiedziałaś się o tym, ale myślę, że już dawno powinnaś to wiedzieć.

– Okłamywali mnie wszyscy. Alicja, Emil i Igor. Wszyscy wiedzieliście, a jednak uznaliście, że biedna i głupia Hanka powinna żyć w nieświadomości i myśleć, że jej brat jest cudownym i porządnym człowiekiem. Jakim prawem ukrywaliście to przede mną?

Hanka była zdruzgotana. Nie tylko zasłyszanymi informacjami, ale także faktem, że była okłamywana przez najbliższe jej sercu osoby. Zrozumiała nagle, dlaczego w domu Emila zastała „Białą Sukę”. Po prostu Emil bratał się ze szwabami i folksdojczami. Ufała mu i narażała wszystkich dookoła, bo ktoś uznał, co powinna wiedzieć o swoim bracie, a czego nie.

– Ja uważałem, że powinnaś wiedzieć, ale nie byłem z tobą w żaden sposób związany, dlatego nie wtrącałem się. Zresztą to nie jest takie proste, jak ci się wydaje. Emil nigdy nie był dla mnie jak brat, całe życie żywił do mnie urazę, że mój ojciec się go wyrzekł, a jednak nie potrafiłem pozwolić na to, by wykonano na nim wyrok. Mimo wszystko – zakończył Chełmicki.

– Ale miałeś wybór. A ja nie. Wy wybraliście za mnie. Wszyscy za mnie podejmują decyzje. Nawet Igor. Uznał, że nie będę z nim szczęśliwa i zostawił mnie. Alicja doszła do wniosku, że powinnam kochać brata, chociaż okazał się szubrawcem. Jakim prawem ktoś decyduje za mnie…? A ty przychodzisz do mnie, wystawiasz cenzurki i obwiniasz za coś, na co nie miałam wpływu. Tak jest najprościej… Układać życie nieporadnej Hance, a potem kpić z jej głupoty i bezduszności. Idź już i zostaw mnie w spokoju. I dziękuję, że chociaż ty powiedziałeś mi prawdę, aczkolwiek z pobudek dość obrzydliwych. Żyłam iluzją, którą stworzyli mi Igor i Alicja. Teraz myślę, że Emil pracuje dla nowego reżimu. To on wypytywał mnie o pol-

skich żołnierzy, namawiał, bym się do nich zbliżyła, a Igor kategorycznie mi tego zabronił. Już teraz wiem dlaczego. Ale on mi tego nie powiedział. Cholerny drań! – Hanka wyrzucała z siebie żal i frustrację.

– Igor bardzo cię kocha – cicho powiedział Julian i wstał z krzesła.

– Igor bardzo mnie okłamał – odpowiedziała Hanka i gdy Julian szykował się do wyjścia z garderoby, nawet nie podniosła się z pufy, by się z nim pożegnać.

Kiedy została sama, poczuła ogromną pustkę i samotność. Jeszcze większą niż w dniu, gdy Łyszkin postanowił opuścić ją na zawsze. Nie chciała być oszukiwana i żyć w iluzji normalności, a okazało się, że ów fikcyjny świat stworzyli jej ludzie, których kochała.

38. Berlin, 1946

Niemal całe Niemcy żyły procesem jednego z największych dygnitarzy niemieckich, Hermanna Goeringa. Oczywiście, zagraniczne media, również te kontrolowane przez Amerykanów czy Rosjan, pisały o nim jako o współtwórcy systemu, który doprowadził do hekatomby w Europie. Jednak, jak to zwykle bywało, ulica miała swoje zdanie. Przeważały opinie, że Goering zostanie uniewinniony i wyjdzie na wolność zaraz po procesie. W końcu nie udowodniono mu, aby z tymi wszystkimi barbarzyńskimi praktykami, jakie miały miejsce w obozach koncentracyjnych, miał cokolwiek wspólnego. Komentowano jego wygląd, postawę, a nawet to, że ubyło mu kilkadziesiąt kilogramów.

Walter von Lossow prawie nie opuszczał Norymbergi, jedynie raz na dwa tygodnie wpadając na kilka dni do Berlina i do swojej świeżo poślubionej małżonki. Lilly Berg była nieco znudzona oczekiwaniem na męża, dlatego dość często przyjeżdżała do niej Leni albo ona spędzała czas w domu swoich teściów. Rozumiała, że Walter ma taką pracę i jeśli chce coś osiągnąć w swoim zawodzie, musi poświęcić się temu, jednak martwiło ją coś innego. Otóż mimo że od ślubu minęło już kilka miesięcy, ich małżeństwo wciąż nie zostało skonsumowane. Podejmowali liczne próby, ale kończyły się one fiaskiem. Lilly nie miała śmiałości, by porozmawiać otwarcie o problemie małżonka, poza tym on świetnie umiał wybrnąć z sytuacji, tłumacząc zawiedzionej połowicy, że jest zbyt mocno przytłoczony pracą. Pewnego dnia jednak, gdy kolejny raz ich pożycie zakończyło się klapą, postanowiła porozmawiać o tym z mężem.

Siedzieli przy śniadaniu w ich małym mieszkaniu i niewiele mówili. Walter uznał, że mało jest spraw, o których może porozmawiać z małżonką, a najmniej na tematy zawodowe, które ostatnio zdominowały jego życie.

– Walterze… – zaczęła niepewnie Lilly. – Czy ja cię nie pociągam? Nie jestem dość atrakcyjna dla ciebie?

– Ależ, Lilly, co ty pleciesz? Jestem po prostu zawalony robotą, a wiesz, że muszę się starać bardziej niż inni, jeśli chcę coś w tym zawodzie osiągnąć. – Walter kolejny raz próbował ją zbyć.

– Rozumiem, ale przecież jest wiele małżeństw, gdzie mąż jest zapracowany, a mają dzieci i chyba w tych sprawach wszystko im się układa normalnie – zirytowała się Lilly.

– Daj mi trochę czasu, obiecuję ci, że jeśli tylko proces Goeringa dobiegnie końca, będzie tak jak w innych małżeństwach.

Walter próbował uspokajać swoją żonę, ale sam był przerażony porażkami na tym polu. Dotychczas nigdy mu się to nie przytrafiło, nawet gdy był bardzo pijany. Jednak w przypadku Lilly było inaczej. Kiedy tylko zaczynał ją pieścić, jego libido spadało do zera i nie był w stanie nic zrobić, aby doszło do finału, którego oboje oczekiwali.

– Walterze, a może pójdziesz do lekarza? Podobno są specjaliści, którzy zajmują się podobnymi sprawami… – zaproponowała Lilly, ale to jeszcze bardziej rozsierdziło Waltera.

– Mam pójść do obcego mężczyzny i powiedzieć, że mam problemy w łóżku? Lilly, mógłbym od biedy nawet zgodzić się na to, ale uwierz, nie jesteś moją pierwszą partnerką. Powiem więcej, miałem ich wiele. Oznacza to, że jestem w pełni zdrów. Zresztą gdy mieszkaliśmy w Kleine Seedorf, miałaś okazję się przekonać, że mój mały przyjaciel potrafi być twardy jak skała – rozzłościł się Walter.

– To znaczy, że to moja wina – załkała Lilly.

Walterowi zrobiło się przykro, bo w istocie nie była to wina Lilly. Być może nie był tak w niej zakochany, jak jeszcze w Kleine Seedorf, ale nie jawiła mu się jako odpychająca kobieta. Wręcz przeciwnie, Lilly von Lossow wciąż była piękna, subtelna i delikatna, czyli dokładnie taka jak lubił. Tymczasem w sprawach łóżkowych poniósł porażkę i sam przed sobą bał się przyznać, że chyba ma problem.

Pogłaskał żonę po dłoni. Potem podniósł ją do ust i ucałował.

– Lilly, popatrz na siebie. Jesteś prześliczna i apetyczna. Nawet tak nie mów, że to twoja wina. Po prostu daj mi trochę czasu. – Walter postanowił udobruchać małżonkę.

– Kochasz mnie? – zapytała rozpaczliwie.

– Oczywiście – skłamał i gdy zobaczył uśmiech na jej twarzy, wstał od stołu.

Zaczął pakować swoje rzeczy: aparat, notatki, trochę świeżych ubrań. Odkąd zamieszkał w Berlinie i w tej małej klitce, czuł się trochę jak koczownik i panujący wokół bałagan w ogóle mu nie przeszkadzał. Wręcz przeciwnie, porozrzucane byle gdzie rzeczy i stosy bezładnie poukładanych papierów dawały mu poczucie, że żyje w jakimś wirze zdarzeń, gdzieś się śpieszy i jest komuś potrzebny. Było zupełnie inaczej niż na mazurskiej wsi,

gdzie wszystko toczyło się wolniej i w ustalonym z góry rytmie. Tymczasem Lilly próbowała zrobić z tego małego mieszkanka rodzinne gniazdko. I kiedy tylko w oknach pojawiły się fikuśne firanki, a na każdej półce, uprzednio starannie wytartej z kurzu, poustawiała nieco jarmarczne bibeloty, to miejsce straciło dla Waltera cały swój urok. Przypominało mu za każdym razem, gdy przekraczał jego próg, że oto ma żonę, dom i należy pomyśleć o tym, iż niebawem pojawią się także dzieci. Co gorsza, te myśli wcale nie wywoływały w nim euforii, ale tęsknotę za utraconą wolnością.

– Walterze? – zapytała delikatnie Lilly, gdy mąż stał już w drzwiach. – Słyszałam, że niekiedy żołnierze walczący na froncie nabierają dziwnych upodobań…

Lossow nie miał pojęcia, o czym może mówić skromna i subtelna Lilly, nie wspominając o tym, że nie miał żadnych dziwnych upodobań.

– Nie bardzo rozumiem, o czym mówisz? – zapytał i roześmiał się. – Masz na myśli smaganie batem albo niecenzuralne słowa w łóżku? Coś w tym guście? Nie wiedziałem, że mój aniołek myśli o perwersyjnych zabawach.

Pokręciła przecząco głową.

– Nie… Ale słyszałam, że gdy mężczyzna przebywa w towarzystwie samych mężczyzn, może nabrać ochoty na nich i potem przestaje czuć podnietę w towarzystwie kobiet.

Walter oniemiał. Czyżby Lilly podejrzewała go o skłonności do innych mężczyzn? Któż mógłby nawbijać jej do głowy podobnych głupot, bo był pewien, że sama tego nie wymyśliła? Od razu pomyślał o Leni, która uważała, że mężczyźni bardzo często ukrywają swoje upodobania, nie tylko z uwagi na obowiązujące prawo, ale także dlatego, iż nie chcą narażać się na ostracyzm społeczny.

Odwrócił głowę w stronę Lilly i wycedził:

– Tak, przebywałem wśród mężczyzn, ale wokół było mnóstwo młodych, jędrnych Rosjanek, które braliśmy siłą, kiedy przyszła nam tylko ochota. Ja również. Zatem chybiłaś.

Po chwili wyszedł z mieszkania, głośno trzaskając drzwiami. Chciał, żeby Lilly wiedziała, iż jest wściekły za podobne insynuacje, i jednocześnie dał do zrozumienia, że nie ma ochoty snuć rozważań na temat swojej rzekomej impotencji.

W drodze do Norymbergi nie mógł jednak przestać o tym myśleć. Sam się martwił o swój stan i zachodził w głowę, cóż takiego mogło się wydarzyć, że pozbawiło go ochoty na igraszki z Lilly.

Dotarł do hotelu późnym wieczorem i od razu poczuł się dobrze, a nieprzyjemna wymiana zdań z żoną poszła w niepamięć. W holu hotelu kręciło się mnóstwo dziennikarzy ze wszystkich stron świata. Niektórzy stali w grupach i wymieniali uwagi, inni siedzieli w barze i raczyli się piwem. Rozmawiali o kolejnych procesach, a przeważnie licytowali się co do przyszłych wyroków wydawanych przez trybunał na niemieckich dygnitarzach. Dostrzegł Allana Stone'a, wokół którego zebrała się grupka dziennikarzy i wpatrywała się w niego jak w dzieło sztuki. Stone pomachał do Waltera z daleka, a potem powrócił do swoich wielbicieli, jakby chciał jak najszybciej zapomnieć, komu zawdzięcza swoją popularność w Niemczech. Walter też nie narzucał się ze swoją obecnością. Był niezależny, pracował już pod swoim nazwiskiem dla pewnego berlińskiego dziennika i nie przejmował się ani trochę, że w swoim fachu uznawany był za żółtodzioba.

Odnalazł grupę niemieckich kolegów i podszedł do nich. Jakkolwiek poszczególne skupiska składały się z osób różnych narodowości, tak niemieckich dziennikarzy traktowano trochę jak persona non grata. Istniała obawa, że któryś z nich jeszcze kilka lat temu wychwalał pod niebiosa nazistowski reżim, co nawet było bliskie prawdy. Przecież ci ludzie nie urodzili się w czterdziestym piątym, ale funkcjonowali w Trzeciej Rzeszy i pracowali dla poprawnych politycznie gazet, bowiem żadna inna po prostu nie była tolerowana przez władzę. Jakby zapomniano, że Adolf Hitler i jego partia wygrali wybory w sposób demokratyczny i jak najbardziej legalny. Teraz jednak nikt z tej grupy nie ośmieliłby się napisać nic dobrego na temat poprzedniego systemu, ponieważ to wyeliminowałoby takiego śmiałka z zawodu na długie lata.

– Podobno Goering jest pewny uniewinnienia – powiedział Ulrich, dziennikarz z Monachium, i mocno zaciągnął się papierosem.

– Nie ma na to szans. Dostanie czapę – zawyrokował Walter.

– Kary śmierci bym nie obstawiał, ale długoletnie więzienie ma jak w szwajcarskim banku – odpowiedział Ulrich i dodał: – À propos Szwajcarii, podobno Brytyjczycy przekopują szwajcarskie banki w poszukiwaniu złota Rzeszy. Może dadzą mi akredytację.

– Ja chcę skończyć procesy, a potem mam na tapecie inny drażliwy temat – powiedział Walter.

– Pewnie nie powiesz jaki? – Kolega roześmiał się.

– Na razie nie. Ale nie dlatego, że chcę robić z tego tajemnicę, tylko nie wiem, co z tego wyjdzie – mruknął Walter. – Coraz ciaśniej w tym hotelu.

Ulrich rozejrzał się dookoła i pokiwał głową.

– Tłoczą się tutaj, bo myślą, że usłyszą jakąś sensację. Udają koleżków, ale pewnie mają w torbach ukryte magnetofony.

– A co to takiego? – zarechotał Walter.

– Nasi naukowcy wymyślili takie sprytne urządzenie. Wielkie i ciężkie jak piorun, ale nagrywa dźwięk. Na sali rozpraw ustawiono kilka takich. Podobno Amerykanie są zachwyceni tym urządzeniem i buchnęli całą dokumentację, żeby u siebie takie produkować – powiedział Ulrich. – Z nami, oczywiście, nikt nie gada, bo teraz nagle Niemcy to wyklęty naród. Przejdę się chyba na dziewczynki, bo nic tu po mnie. Wolę się zalać w nieco milszym towarzystwie.

– Zabierz mnie ze sobą – westchnął Lossow. – Już zapomniałem, jak to jest pójść na dziewczynki.

– A tyś się przypadkiem nie ożenił niedawno? – zakpił Ulrich.

– Taaak… Tylko żona daleko, a potrzeby przyjechały razem ze mną – odpowiedział ze śmiechem Walter.

Postanowił, że sprawdzi, co właściwie się z nim dzieje. Najlepiej z prostytutką, o której zapomni, zanim nastanie nowy dzień. Nawet jeśli mu nie wyjdzie.

Opuścili zadymione foyer hotelu i piechotą poszli w kierunku rzeki. Miasto robiło koszmarne wrażenie. Podobnie jak Berlin, pełne zrujnowanych i spalonych budynków. Na dworze mimo późnej pory wciąż można było dostrzec kontury zniszczonych przez naloty bombowe budynków. Gdzieniegdzie snuli się ludzie, ledwie widoczni w nadchodzącym zmierzchu. Lossow pomyślał o tragicznych warunkach sanitarnych w mieście i zaczął się zastanawiać, czy korzystanie z usług prostytutek w takim miejscu jest dobrym pomysłem. Był jednak zdeterminowany, by sprawdzić, czy wciąż jest prawdziwym mężczyzną.

Tuż przy rzece weszli do jednej z kamienic, pozbawionej dachu i jednego piętra. Na niższych kondygnacjach otwory okienne zabito deskami, co świadczyło, że gdzieś w tych ruinach mieszkają ludzie. Zapukali do drzwi

na parterze i po chwili stanęła w nich około sześćdziesięcioletnia kobieta z łojową lampą w dłoni. Sprawiała tak koszmarne wrażenie, że Walter miał ochotę wziąć nogi za pas i uciec z tego miejsca.

– *Frau* Almeida. – Ulrich uśmiechnął się szeroko. – Jak zwykle pięknie pani wygląda.

Lossow o mały włos nie parsknął śmiechem, słysząc imię kobiety, które najpewniej było zmyślone i kompletnie nie pasowało do osoby o tak nikczemnym wyglądzie. I ten komplement Ulricha skierowany do Almeidy niemal pozbawił go władzy w nogach.

– Wejdźcie, panowie. Moje dziewczynki są dzisiaj wyjątkowo spragnione uciech – powiedziała *Frau* Almeida, co zapewne było jej sztandarowym tekstem kierowanym pod adresem przybyłych gości.

Przeszli długim, mrocznym korytarzem, który skojarzył się Walterowi z grobowcem, i weszli do pomieszczenia, gdzie na fotelach, kanapach i wysokich barowych stołkach siedziały roznegliżowane młode kobiety. Właściwie dziewczyny o niewykształconych biodrach i ledwie odstających piersiach. Na stolikach stały łojowe lampy, podobne do tej, którą dzierżyła w dłoni Almeida, i rzucały mdłe światło na stoliki i brokatowe kanapy, które okres swojej świetności miały dawno za sobą.

– Macie jakieś nowe? – zapytał Ulrich.

– Tak, świeże, dzisiaj doszły. Poznaj Inez i Esperaldę. – Almeida wskazała dłonią dwie dziewczyny siedzące pod oknem, które w istocie sprawiały wrażenie nowicjuszek w tym fachu.

– Biorę tylko nowe, bo od tych, które już dłużej tutaj są, mógłbym się czymś zarazić. A że bieda w kraju, aż piszczy, Almeida nie narzeka na chętne do tej roboty – szepnął Ulrich.

Walter odetchnął z ulgą. Nawet jeśli dziewczyny nie były idealnie czyste, istniała szansa, że nie są nosicielkami żadnej choroby wenerycznej. Wybrał Inez, bladą, drobną blondynkę, która przypominała mu Lilly. Przeszli do pomieszczenia, które sprytna właścicielka burdelu przedzieliła płytą paździerzową i dzięki temu zyskała dodatkowe miejsce dla swoich klientów. Faktem, że dźwięki igraszek były dobrze słyszalne, jakoś nikt się specjalnie nie przejmował. Wszędzie panował półmrok i nawet gdyby panowie natknęli się na siebie i tak ich twarze pozostałyby niewidoczne.

Inez – bo tak kazała na siebie mówić młodociana prostytutka – nie miała pojęcia, jak zabrać się do rzeczy. Położyła się na tapczanie, zdjęła z siebie

kusą sukienkę i rozłożyła nogi, czekając na akt kopulacji, dzięki któremu będzie mogła sobie kupić następnego dnia bochenek chleba od miejscowych spekulantów. Walter zauważył, że dziewczyna trzęsie się jak osika, bo zapewne po raz pierwszy oddawała swoje wdzięki obcemu mężczyźnie. Przez chwilę poczuł nawet wyrzuty sumienia z tego powodu, ale pomyślał, że jeśli on nie będzie pierwszym jej klientem, zapewne niebawem pojawi się inny. Kto wie, może bardziej brutalny i wyuzdany.

Tak jak się spodziewał, nie miał żadnych problemów i wszystko odbyło się tak jak zawsze. Ucieszył się, że jednak wszystko z nim w porządku, nie mógł jedynie pojąć, dlaczego to właśnie z Lilly mu nie wychodziło. I to za każdym razem.

Po godzinie opuścili przybytek rozpusty i rozluźnieni wracali do hotelu. Ulrichowi dopisywał humor, bo ulżył sobie, Walter zaś odetchnął z ulgą, że jego męskość ma się zupełnie dobrze. Jedynie ponura ciemność wywoływała w nim dziwne uczucie lęku. Jakby przechadzał się po wielkim cmentarzysku. Podobnie czuł się w Berlinie, ale tam o każdej porze dnia i nocy kręciło się mnóstwo ludzi. Głównie żołnierzy, jednak słychać było, że miasto, chociaż pełne obcych, wciąż żyje.

W hotelu napili się herbaty, a potem rozeszli się do swoich pokoi. Walter dzielił swój z jakimś kompletnie obcym chłopakiem, który dopiero stawiał pierwsze kroki w tym fachu i był absolutnie zachwycony komunistami. Uwielbiał Rosjan, gardził Brytyjczykami i marzyło mu się, by Niemcy stały się socjalistycznym krajem. Bełkotał niemal do drugiej w nocy o dzielnych komsomolcach, nacjonalizacji i innych pierdołach, ze wstydem przyznając, że do niedawna był członkiem Hitlerjugend. Najwyraźniej należał do tych młodych ludzi, którzy musieli mieć poczucie przynależności do jakiejś społeczności i właściwie było im wszystko jedno, czy wielbią Adolfa Hitlera, czy Józefa Stalina. Walter słuchał tych wywodów, chociaż niezbyt uważnie, i doszedł do wniosku, że niebawem jeden system totalitarny zostanie zamieniony na drugi, jeśli świat jest pełen podobnych zapaleńców. Dziękował w duchu Amerykanom, że nie odpuszczają, bo nie wyobrażał sobie kolejnych lat zniewolenia pod złowrogimi skrzydłami jakiegoś niezrównoważonego tyrana.

39. Londyn, 1946

– Nie pójdę do tej starej megiery – stanowczo powiedziała Hanka, naciągając na stopy cienkie nylonowe pończochy.

– Mówisz o mojej matce – powiedział cicho Piotr, przypinając złote spinki do mankietów.

– Tak, wiem, że mówię o twojej matce – zaczęła go przedrzeźniać. – Patrzy na mnie jak rzeźnik na prosiaka. Najchętniej widziałaby mnie w trumnie.

Piotr popatrzył z zawodem na Hankę. Niekiedy potrafiła zachowywać się naprawdę grubiańsko, ale on nie był byle chłoptasiem, by mogła przy nim mówić w podobny sposób. Podszedł do pufy, na której siedziała, i chwycił jej nadgarstek. Ścisnął mocno i przyciągnął do siebie. Hanka spojrzała na niego wystraszona, bo rzadko kiedy widywała go wściekłego, nie mówiąc już o jakiejkolwiek przemocy fizycznej.

– Posłuchaj, żono moja, co ci teraz powiem. Pójdziesz na tę cholerną kolację i będziesz zachowywać się, jak prawdziwa dama. Jeśli moja matka zacznie prawić ci złośliwości, będziesz udawała, że nie słyszysz. Jeżeli będzie uśmiechała się do ciebie, nawet w sposób wymuszony, zrobisz to samo. Nigdy nie pozwolę, żebyś skompromitowała mnie przy obcych.

Piotr puścił dłoń Hanki i jak gdyby nigdy nic powrócił do wkładania spinek w mankiety.

– Bolało – jęknęła z wyrzutem Hanka i zaczęła rozcierać zaczerwienioną dłoń.

– Doprawdy? Bardzo cię przepraszam, nie miałem najmniejszego zamiaru sprawić ci bólu – powiedział kąśliwie Piotr i dodał: – Gotowa?

Pokiwała głową i wstała z pufy. Dzisiaj był jej wielki dzień. Szkoda tylko, że Piotr musiał go zepsuć. Tak bardzo było jej przykro, że wolałaby, aby w ogóle jej nie towarzyszył. Nie ośmieliła się jednak powiedzieć tego na głos. Zarzuciła na ramiona delikatny niczym mgiełka szal i sięgnęła po brokatową torebkę. Oboje wyszli z garderoby i poszli do pokoju dzieci. Grześ już szykował się do snu, ale mała Nadia wciąż brykała.

– Nadiu, już pora spać – powiedziała łagodnie Hanka.

– Znowu wychodzisz? – zapytała ze smutną miną dziewczynka.

– Kochanie, przecież wiesz, że twoja mamusia pracuje wieczorami, ale za to w dzień jest prawie cały czas z wami – odpowiedziała jej Hanka.

– Tak, wiem. – Nadia spuściła głowę. Po chwili podeszła do Hanki i objęła jej nogi drobnymi rączkami.

– Nadiu…! – niemal krzyknęła opiekunka, ale było już za późno.

Dziewczynka, która kilka minut wcześniej odeszła od biurka, gdzie malowała na dużej kartce obrazek, cała była umorusana farbkami. Przytulając się do Hanki, część z nich pozostawiła na materiale jasnej jedwabnej sukni. Lewinówna kupiła ją specjalnie na tę okazję, bo wiedziała, że tego dnia wszystkie oczy będą zwrócone w jej stronę. Zarówno podczas występu, jak i po nim.

– Nadia, do cholery, coś ty zrobiła? – Hanka odepchnęła córkę i popatrzyła z przerażeniem na czerwone i niebieskie smugi odciśnięte na jej nowej kreacji.

Dziewczynka przestraszyła się i zaczęła płakać. Chwilę potem obudził się Grześ i on także dołączył do siostry. Piotr najpierw popatrzył na żonę z wyrzutem, a potem podszedł do Nadii i wziął ją na ręce.

– Nie płacz, nic się nie stało. Ta sukienka jest teraz ładniejsza niż przedtem. A zresztą Caroline wypierze ją jutro i po twoich farbkach nie będzie już śladu – powiedział, uśmiechając się czule.

– Przebiorę się – mruknęła Hanka i wyszła.

Kiedy Piotr Niechowski uspokoił sytuację w pokoju dzieci, dołączył do żony, która ze złością zakładała na siebie suknię w kolorze czerwonego wina, równie piękną, co poprzednia.

– Byłam w tej sukni na premierze *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. Te france z plotkarskich gazet od razu to zauważą. Ta zielona z lisim kołnierzem nie pasuje na tę porę roku, a kremowa mnie pogrubia – utyskiwała Hanka.

– Haniu… Co się z tobą dzieje? Masz wszystko i ciągle narzekasz. A kiedy trafiłaś do Londynu, byłaś szczęśliwa, gdy zaproponowano ci gażę trzech funtów za występ…

Piotr naprawdę nie wiedział, co się stało ze skromną, ale delikatną i subtelną Hanią. Pokochał ją, bo potrafiła cieszyć się każdym drobiazgiem, doceniała każdą minutę pokoju i była zupełnie inna niż te sztuczne arystokratyczne damy, które z byle powodu okazywały dezaprobatę, a przekrzywiony kapelusz odbierał im uśmiech na wiele godzin. Tymczasem minęło kilka miesięcy od ich ślubu, a Hanka zamiast promienieć, gorzkniała w oczach.

***

Palladium jak zwykle oblegane było nie tylko przez tłumy widzów, ale zewsząd nacierali fotoreporterzy, by pstryknąć kilka fotografii gwiazdom wieczoru. Hanka i Piotr wysiedli z limuzyny przed tylnym wejściem, ale i tutaj czekali wścibscy dziennikarze. Lewinówna była w swoim żywiole i jej minorowa mina sprzed kilkudziesięciu minut pozostała wspomnieniem. Teraz uśmiechała się, czule głaskała Piotra po ramieniu i machała dłonią na powitanie, niczym królowa angielska.

Weszli do środka i Piotr udał się na widownię, a Hanka do swojej garderoby. Tam czekała już na nią młoda dziewczyna, gotowa, by pomóc Hance przy wkładaniu scenicznego stroju i wykonać mocny makijaż. Gdy nakładała na twarz artystki kolejną warstwę pudru, a potem doklejała sztuczne, niemal łabędzie rzęsy, Lewinówna pomyślała o tym, że w przeciwieństwie do innych gwiazd uwielbia mieć taki mocny makijaż. To była jej maska, która ukrywała przed światem jej złamane serce i wszystko to, co można było wyczytać z jej twarzy, gdy pozbywała się owej zasłony. Nawet nie miała komu wykrzyczeć tego, co działo się w jej sercu. Przecież nie mogła powiedzieć Piotrowi, że nosi w duszy głębokie rany, bo straciła jedynego mężczyznę, którego kochała, i rodzonego brata. Jakkolwiek przychodziły chwile zrozumienia dla tego, co zrobił Igor, tak postępowanie Emila wydało jej się niewybaczalne. Nawet gdy wojna już się skończyła, chciał ją wykorzystać, by podlizać się nowej władzy, a kiedy odmówiła, przestał pisać. Jakby kompletnie przestała go obchodzić. Wracała pamięcią do pewnych sytuacji z przeszłości i z goryczą stwierdziła, że już wcześniej Emil zachowywał się nie tak, jak powinien to czynić brat. Gdy klepały z Alicją biedę w Warszawie, on wiódł swoje życie pod czułymi, chociaż nieco przywiędłymi skrzydłami Heleny Ducret. Kiedy jednak jej gwiazda rozbłysła, nagle pojawił się w jej życiu, by potem hołubić swojego szwagra, Tomasza Niechowskiego.

W przeciwieństwie do teściowej jej stosunki z byłym mężem należały do poprawnych. Tak jakby Tomasz cieszył się, że jego brat zdejmie mu z pleców balast w postaci posagu dla Nadii. A jednocześnie widywał swoją córkę często, wiedział, że nie dzieje jej się krzywda, i mógł nadal wieść życie wiecznego kawalera. Dzisiaj także zapowiedział się na spektakl Hanki. Miał przybyć ze swoją nową dziewczyną, która zapewne już niebawem ustąpi miejsca następnej.

Lewinówna kolejny raz popatrzyła w lustro i pomyślała z goryczą, że jedyne, co jej pozostało, to bycie gwiazdą i damą. „Marzenia niekiedy się spełniają, chociaż czasami nie jest tak, jak to widzimy w naszych głowach” – pomyślała. Kiedy siedziała w wychłodzonej chatynce pod Studziankami i nie miała co do garnka włożyć, wydawało jej się, że gdy los się odmieni, niczego już nie będzie jej brakowało do szczęścia. Gdy jednak znalazła się w tym miejscu, w którym tak pragnęła być, okazało się, że owszem, brakuje jej czegoś… Miłości Igora Łyszkina.

– Niech cię piekło pochłonie, Igor – mruknęła pod nosem.

– Słucham? – zapytała dziewczyna, poprawiając Hance fryzurę.

– A nic, moja droga, kompletnie nic. – Uśmiechnęła się sztucznie i wstała z krzesła.

Chwilę potem usłyszała pierwszy dzwonek i wyszła z garderoby. Wolnym krokiem weszła na scenę i gdy rozbłysły światła, wszystkie złe myśli odpłynęły. To było jedyne miejsce, gdzie mogła pozwolić przykrym uczuciom i buzującym emocjom przysnąć. Była tak skoncentrowana na śpiewie, że nic i nikt więcej się nie liczył.

Recital Hanki Lewin w Palladium trwał prawie dwie godziny, z krótkimi przerwami na zmianę sukien, i zakończył się długą owacją na stojąco. Lewinówna była w swoim żywiole. Uśmiechała się promiennie i zupełnie szczerze. Ona po prostu kochała scenę, a ta odwdzięczała się jej aplauzem publiczności.

W kuluarach po występie czekał na nią Piotr oraz Tomasz w towarzystwie niskiej brunetki. Hanka nawet nie zapamiętała jej imienia. Nie dlatego, że chciała ją zignorować, ale z uwagi na fakt, że zapewne na kolejnym jej ważnym występie Tomasz pojawi się z następną kobietą.

– Moi drodzy, taki występ trzeba koniecznie uczcić! – wykrzyknął z entuzjazmem Tomasz. – Zamówiłem stolik w nowym klubie na West Endzie, zjemy, potańczymy, no i oczywiście napijemy się szampana.

– Co ty na to? – Piotr zwrócił się do Hanki.

– Cudowny pomysł, Tomaszu. Poczekajcie tylko, aż zrzucę z siebie te brokatowe stroje i możemy jechać. – Uśmiechnęła się.

Lokal w istocie pachniał nowością i był jednym z wielu, które wyrastały niczym grzyby po deszczu na ulicach Londynu, gdy tylko ogłoszono zakończenie wojny. Piotr doskonale przewidział koniunkturę na tego typu przybytki wraz z nadejściem pokoju w Europie. Ten dansing należał do tych

bardziej ekskluzywnych i jak twierdził Tomasz, musiał użyć swoich koneksji, by dostać stolik w sobotni wieczór. Towarzyszka Tomasza Niechowskiego niewiele mówiła, jedynie wpatrywała się w Hankę z podziwem.

– Masz cudowną bratową – powiedziała z westchnieniem do Tomasza.

– I byłą żonę. – Tomasz puścił oko w kierunku Hanki.

Chciał dodać coś jeszcze, ale zimny wzrok Piotra ostudził jego zapędy. Starszy Niechowski nie życzył sobie, żeby cały świat wiedział i każda poderwana przez Tomasza dziewczyna także, że obaj bracia sypiali z tą samą kobietą. Dopóki Hanka była w Londynie nikim, młodszy Niechowski udawał, że małżeństwo z Lewinówną nigdy nie istniało, gdy zaś zrobiła się sławna, opowiadał o tym każdemu, kto chciał słuchać.

– Mówiłeś, że małżeństwo to dla ciebie zniewolenie – powiedziała ze śmiechem partnerka Tomasza.

– Czy mogę porwać do tańca twoją uroczą towarzyszkę? – Piotr postanowił uciąć dyskusję, zwłaszcza że jego brat wypił stanowczo za dużo szampana i niezbyt dobrze kontrolował swoje wypowiedzi.

Na Hance nie robiło to żadnego wrażenia, w końcu była kiedyś jego żoną i znała go wystarczająco dobrze, ale Bóg raczy wiedzieć, kto tym razem towarzyszył Tomaszowi. Oboje nie chcieli, by kolejny raz nazwisko Niechowskich pojawiło się w gazetach. Tym bardziej że wojna dobiegła końca i prasa coraz mniej poświęcała miejsca temu wydarzeniu, ludzie zaś mieli dość ciężkich tematów i z lubością zaczytywali się w plotkarskich rubrykach.

Kiedy para odeszła od stolika i udała się w kierunku parkietu, Hanka zwróciła się do Tomasza ze śmiechem. Po występie w Palladium była w wyśmienitym humorze i nawet myśl o Emilu i przykrym incydencie z Nadią nie była w stanie go zepsuć.

– No właśnie, Tomaszu. Zawsze byłeś niebieskim ptakiem i wzdragałeś się na samo słowo „małżeństwo”. Dlaczego więc dla mnie zrobiłeś wyjątek?

Właściwie niewiele ją to obchodziło, ale chciała nawiązać jakąś rozmowę, gdy zostali sami przy stoliku.

– Mam powiedzieć prawdę czy skłamać? – nieco bełkotliwie zapytał Tomasz.

– Prawdę, prawdę… – Roześmiała się, po czym, poważniejąc, dodała: – Kłamstw już wystarczająco dużo się nasłuchałam.

– Bo mnie twój brat szantażował – mruknął.

– Słucham? – Hanka aż zachłysnęła się szampanem.

– Nie, nic. Zapomnij, że to powiedziałem – burknął Tomasz.

– O nie, Tomaszu, teraz ci nie odpuszczę. Proszę, powiedz mi – jęknęła.

– Daj spokój, stare dzieje. – Machnął ręką.

Zbliżyła do niego twarz i popatrzyła rozpaczliwie w jego oczy.

– Posłuchaj, Tomasz, ostatnio dowiedziałam się o moim bracie strasznych rzeczy. Nawet nie chce mi się wierzyć, że byłby zdolny do takich niegodziwości. Jednak człowiek, który mi o tym powiedział, nie miał żadnych powodów, by kłamać. Ale wiesz, to mój brat, więc gdzieś na dnie duszy…

– Haniu, jeśli ktoś mówi, że Emil Lewin dopuścił się jakichś niegodziwości, to zapewniam cię, że popełnił każdą z nich – odparł Tomasz.

– Powiedz mi więc, niech nabiorę pewności – jęknęła Hanka. Co prawda wierzyła Julianowi i była przekonana, że mówił prawdę, ale chciała wiedzieć wszystko. Tak jakby pragnęła się dobić i raz na zawsze zamknąć w swoim sercu temat swojego brata.

Tomasz westchnął i przez chwilę milczał, jak gdyby zastanawiał się, czy może wyjawić Hance prawdę. Pomyślał jednak, że minęło wiele czasu, a on był bardzo daleko od swojego byłego szwagra.

– Kiedyś byłem naiwny i myślałem, że jest moim prawdziwym przyjacielem, ale im więcej czasu mijało, tym bardziej otwierały mi się oczy. Dawno temu wplątałem się w paskudną sprawę. Zginęła wówczas młoda dziewczyna. Ot, wiejska panna, która myślała, że zrobi w stolicy karierę. Byliśmy bogaci, więc udało się jakoś zatuszować sprawę. W każdym razie moje akta zniknęły i nikt nigdy nie miał się dowiedzieć, że miałem z tym cokolwiek wspólnego. I pewnego dnia ktoś zaczął mnie szantażować, wymachując mi przed oczami policyjnymi aktami. Już wtedy spotykałem się z tobą, ale nie myślałem o ślubie, bo prawdę mówiąc, ja kompletnie się nie nadaję do małżeństwa. Byłem przerażony. Myślałem nawet o samobójstwie, ale wtedy z pomocą przyszedł mi Emil Lewin. Obiecał, iż uciszy szantażystę, ale pod warunkiem, że zostanę twoim mężem. Wiesz, na początku myślałem nawet o tym z pewną czułością. Ot, kochający brat dbający o przyszłość swojej utalentowanej siostry. Ale potem, gdy wyciągał ode mnie pieniądze i drogie prezenty, a wreszcie zażyczył sobie siedmiopokojowego mieszkania, pomyślałem, że drań siedzi w tym po uszy. Bo ilekroć chciałem odmówić, dawał mi do zrozumienia, iż szantażysta kolejny raz może się do mnie odezwać.

Miałem dosyć i dlatego uciekłem do Londynu. Piotr był już tutaj zadomowiony, a matka zapaliła się do pomysłu, bo uwielbia te wszystkie dworskie pierdoły. Chciałem zniknąć na kilka miesięcy, odpocząć od tego bydlaka, ale nadeszły wieści o wojnie… Resztę historii znasz – gorzko zakończył Tomasz.

– Piotr o tym wiedział? – zapytała cicho.

Tomasz pokręcił przecząco głową.

– Mój brat nigdy nie uległby szantażyście, a mnie wydałby zapewne w ręce policji – prychnął.

Hanka była kredowobiała, gdy roztańczona para powróciła do stolika.

– Co ci jest, Haniu? – zapytał zatrwożony Piotr.

– Lecę z nóg, to był diabelnie ciężki występ – wybełkotała. – Wybaczcie, moi drodzy, ale naprawdę jestem skonana i chciałabym wrócić do domu.

Nawet nie pamiętała, czy pożegnała się z Tomaszem i jego towarzyszką. Jak automat przeszła przez salę klubu i wyszła na zewnątrz. Zaczęła głęboko wdychać powietrze, jakby za chwilę miała się udusić zasłyszanymi informacjami.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytał Piotr.

– Tak, Piotrze, już teraz tak. – Uśmiechnęła się smutno do niego. – Aha, powiedz, proszę, pułkownikowi, że wystąpię dla polskich weteranów. To będzie dla mnie prawdziwy zaszczyt.

Wsiadła do samochodu i popatrzyła na miliony świateł spowijających West End, roześmianych ludzi i podjeżdżające przed lokale i restauracje taksówki. Dla niej coś się skończyło, ale przedstawienie trwało dalej.

40. Los Angeles, 1946

Igor Łyszkin nie różnił się zbytnio od innych podróżnych znajdujących się na pokładzie parowca RMS Scythia, zmierzającego w kierunku wschodniego wybrzeża Ameryki Północnej. Przeważnie pasażerami byli amerykańscy i kanadyjscy żołnierze, powracający po wojnie do swoich domów. Jednak zdarzali się również inni. Żydzi ocaleni z Holocaustu, chcący rozpocząć nowe życie w Ameryce, i kilkudziesięciu żołnierzy z Europy Wschodniej, którzy płynęli do swoich krewnych. Mimo że między Związkiem Radzieckim a Stanami Zjednoczonymi panowała atmosfera pewnego napięcia, wzajemne stosunki pomiędzy krajami wciąż można było uznać za poprawne. W końcu jeszcze do niedawna walczyli z tym samym wrogiem, którego w końcu udało się pokonać.

– Dokąd? – zapytał jeden z amerykańskich żołnierzy, w nieco przybrudzonym płaszczu, i wyciągnął w kierunku Igora paczkę papierosów.

Ten poczęstował się i odparł lakonicznie:

– Do Nowego Jorku.

– A dalej? – nie dawał za wygraną żołnierz. – Mam na imię Louis.

Łyszkin musiał zachowywać się jak inni. A większość z nich nie przestawała gadać o swoich domach, miastach, miasteczkach, rodzinach i oczywiście o żonach i dziewczynach. Zwłaszcza te ostatnie jawiły się jako absolutne piękności i można było odnieść wrażenie, że kobiet o przeciętnym wyglądzie w Ameryce po prostu nie ma.

– Do Kalifornii. Odnalazłem rodziców, którzy uciekli przed wojną do Ameryki – bąknął niepewnie Igor, bo nie był przyzwyczajony do snucia opowieści o sobie, nawet jeśli cały życiorys stanowił jedynie wykreowaną przez specjalistów historię. Tym razem jednak w owej opowieści było dużo prawdy.

– Wrócisz do Rosji? – zagadnął kompan.

Łyszkin uśmiechnął się. Wielu Amerykanów nie wiedziało, że Rosji już dawno nie ma.

– Chyba nie, lubię być zamożny. – Igor puścił oko do Louisa.

– No, słyszałem właśnie, że komuniści zabierają bogaczom i rozdają między siebie. W Ameryce tak nie jest – powiedział z westchnieniem chłopak.

Igor przewrócił oczami. Już chciał zrobić swojemu towarzyszowi wykład na temat opiekuńczego państwa, równego startu młodych ludzi i gospodarki

socjalistycznej, ale doszedł do wniosku, że nie tak powinien zachowywać się człowiek, któremu nie odpowiadały rządy Stalina.

– A ty skąd jesteś? – zmienił temat Igor.

– Z Bostonu. Mieszkamy na przedmieściach, w dużym domu. Mam pięcioro rodzeństwa. Zapewne dlatego, że mój ojciec jest pastorem i każde dziecko uważa za dar Boży. A oprócz tego czeka na mnie najpiękniejsza dziewczyna z mojej dzielnicy, Betty – odpowiedział Louis i wyciągnął zza pazuchy płaszcza nieco zniszczoną fotografię młodej dziewczyny.

Łyszkin wcale nie uznał jej za szczególną piękność. Jednak Louis, tak jak wielu amerykańskich żołnierzy powracających z wojny, uważał, że jego narzeczona nie ma sobie równych. Być może to tęsknota i wielomiesięczna rozłąka sprawiały, iż w ich umysłach kobiety z dnia na dzień robiły się piękniejsze. Pomyślał o Hance. Dla niego Lewinówna była ideałem kobiety jeśli chodzi o wygląd i zapewne byłby gotów się nawet pojedynkować, gdyby ktoś uznał, że jest inaczej.

Hanka jednak była już przeszłością. Pięknym wspomnieniem i jak dotychczas największą miłością Igora. Łyszkin niekiedy zastanawiał się, czy wciąż ją kocha, czy może udało mu się unicestwić w sobie to uczucie. Bywały chwile, gdy na kołaczące w jego głowie pytanie, reagował wzruszeniem ramion, ale czasami nadchodziły też takie, zwłaszcza gdy kładł się do łóżka, a sen nie nadchodził od razu, gdy ściskał w dłoni poduszkę i czuł niemal fizyczny ból na myśl o Lewinównie. Wyrzucał sobie niekiedy, że zanim rzucił Hankę, najpierw poszedł z nią do łóżka, ale nie był aż tak silny, jak mu się wydawało wcześniej. Nie widzieli się tak długo, zżerani tęsknotą i niepewnością, a wtedy, mając siebie na wyciągnięcie ręki, mieliby nie kochać się, nie dotykać i nie całować? Usprawiedliwiał się więc, że to niedorzeczne. Wystarczająco ciężko mu było, gdy wypowiadał słowa, które sprawiały ból nie tylko jego ukochanej Hance, ale i jemu. Starał się nie słyszeć w swojej głowie głosów, które szeptały mu niekiedy, że popełnił błąd i mógł pozwolić wybrać Hance, ale on wiedział, co wybrałaby w tamtej chwili. Jego. A potem… Tego już nigdy się nie dowie.

– Słuchaj… – odezwał się Louis – zostawię ci swój adres w Bostonie. Gdybyś potrzebował pomocy, to napisz do mnie.

Łyszkin podziękował, ale nie sądził, że jeszcze kiedyś spotka tego mężczyznę na swojej drodze. Jego wiodła bowiem do Los Angeles. Wszystko zostawiał za sobą. Na rok. A później czekały go ważne zadania i musiał się

do nich dobrze przygotować. Zastanawiał się także, czy jeszcze kiedyś spotka swojego syna i czy dane mu będzie zobaczyć, kim stał się w przyszłości. Był taki podobny do niego, nawet gdy spał. Jego ukochany synek…

Podróż zmęczyła Igora. Każdy dzień był podobny do następnego, te same mijane twarze, podobne opowieści i bezkresny ocean, przerażający swoją pustką. Łyszkin jednak nie czuł samotności. Przywykł już do tego, że owa samotność jest częścią jego życia i nauczył się z nią obcować. Tylko kiedyś miał marzenia, plany i tęsknoty. I miał Hankę. Przechadzając się po pokładzie statku, czując przenikliwe zimno i patrząc w otchłań wzburzonych fal, pomyślał, że teraz nie ma już nic. Ani rodziny, ani pragnień. Minuty płynęły jedna po drugiej, bez refleksji i myśli o przyszłości. Czuł się jak ten robot, o którym kiedyś czytał w gazecie. Na razie ten stwór funkcjonował w świecie fantazji i pobożnych życzeń naukowców, ale jego opis świetnie pasował do ówczesnego stanu ducha Łyszkina. Bezrozumna istota, wykonująca polecenia. Bez refleksji, bez oceniania, czy są dobre, czy złe. Jeszcze na początku wielkiej wojny potrafił popatrzyć krytycznie lub entuzjastycznie na niektóre kwestie, ale w tym momencie był wyprany w środku. Być może jego przełożeni także o tym wiedzieli, a przecież nikt lepiej się nie spisze niż ktoś, kto nie zastanawia się na sensem powierzonych mu zadań.

Tak jak teraz. Po tym, co stało się w Hiroszimie i Nagasaki, było jasne, że bomba atomowa to najgorszy wynalazek naukowy. Niszcząca, z konsekwencjami na wiele lat. A jednak każdy pragnął ją mieć u siebie. Nie po to, żeby czuć się bezpiecznie, ale by mieć władzę nad światem. I to dosłownie. Jednak Igor nie oceniał. Ani tego, co zrobili Amerykanie w Japonii, ani wręcz panicznych działań swojego rządu. Moralność nie istniała, gdy cel mógł zostać osiągnięty. Już teraz docierały do jego uszu informacje, że niektóre kraje były bardzo pobłażliwe dla pokonanych nazistów w zamian za obietnicę współpracy. Podobnie było z niemieckimi naukowcami, nad którymi rozłożono parasol ochronny, zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. Wystarczyło tylko wybrać, który jest większy i daje lepszą osłonę.

***

Ubrany w starą kufajkę, beret i znoszone trzewiki, zgłosił się do biura emigracyjnego i przedstawił swoje dokumenty.

– Komunista? – padło pytanie.

– Od komunistów właśnie uciekłem. – Igor wyszczerzył zęby w nienaturalnym uśmiechu.

– Bo my tutaj nie chcemy komunistów. – Urzędnik odwzajemnił uśmiech. Miał podkrążone oczy, wymiętą koszulę, na jego twarzy widać było zmęczenie. Zadawał wszystkim rutynowe pytania, na żołnierzy nawet nie spoglądał i tylko zerkał na zegarek, by sprawdzić, za ile minut przybędzie jego zmiennik. Ziewnął, po czym, zatykając dłonią usta, wymamrotał: – Dokąd pan jedzie?

– Do Los Angeles. Moi rodzice mieszkają tam od pięciu lat – powiedział Igor.

– Potrzebuje pan noclegu, bonów żywnościowych? – dopytywał niemrawo urzędnik.

– Nie… Dam sobie radę. – Igor pokręcił przecząco głową.

Chciał jak najszybciej opuścić urząd imigracyjny i znaleźć się na zewnątrz. Po kilku minutach tak też się stało i Łyszkin dopiero wtedy poczuł, że znalazł się w Ameryce. Wszystko tutaj było duże, podobnie jak w Moskwie. I jakieś ponure. Może dlatego, że niebo spowiły ciemne, ciężkie chmury, a on szedł od nabrzeża ulicą pełną kanciastych budynków i brudnych magazynów. Prawdę powiedziawszy, nie miał pojęcia, dokąd zmierza, widział przed sobą jedynie wysokie, nowoczesne budynki i w tamtym kierunku postanowił podążyć. Po kilkunastu minutach zaczepił jakąś parę. Oboje młodzi i roześmiani. Chłopak ubrany był w mundur, a dziewczyna w rozkloszowany płaszczyk i fikuśny kapelusik, który przytrzymywała dłonią, by porywisty wiatr nie zrzucił go na brudny trotuar. Najpewniej młody żołnierz dopiero co powrócił z wojny, więc oboje byli szczęśliwi i z wielką chęcią objaśnili Igorowi, gdzie jest stacja metra, dworzec kolejowy, a nawet rosyjska dzielnica. Tam jednak Łyszkin się nie wybierał.

Droga do Los Angeles była długa, męcząca i zajęła Igorowi trzy dni. Nie narzekał jednak, zdarzało mu się jechać w bydlęcych wagonach, a nawet na platformach wiozących armaty. Zatem jazda w niemal luksusowych przedziałach wydawała się wręcz igraszką. Jednak chciał, by w końcu ta podróż dobiegła końca, ponieważ czuł się nieswojo w brudnych i mocno przepoconych ubraniach. Ludzie z niesmakiem odsuwali się od niego i nawet nie pomogło mu to, że ogolił się brzytwą w jednej z toalet. Po prostu śmierdział. Może nie aż tak bardzo, jak wówczas, gdy dotarł z Moskwy do domu rodziców w Warszawie, ale na tle innych pasażerów po prostu wyglądał niechluj-

nie. W Europie podobne widoki i zapachy były wręcz normą i nie budziły niczyjego zdziwienia, tutaj jednak Igor trafił do innego świata. Amerykanie co prawda także uczestniczyli w wojnie, ale daleko stąd. Europa zaś cała była frontem. Życie tych ludzi niewiele się zmieniło, Europejczyków owszem. I to bardzo.

Igor w końcu nie wytrzymał i powiedział siedzącym w przedziale współpasażerom, że właśnie dotarł z Europy przepełnionym statkiem, a teraz już od niemal trzech dni podróżował pociągami. Ludzie pokiwali ze współczuciem głowami, taktownie milcząc, oprócz jednego starszego mężczyzny, który zarzucił Igora pytaniami, na które ten cierpliwie i wyczerpująco odpowiadał. Pozostali pasażerowie z niedowierzaniem słuchali Łyszkina, jakby ten opowiadał im historię z pogranicza filmu fantastycznego. Nie mogli uwierzyć w istniejące fabryki śmierci, zrównane z ziemią miasta, gdzie nie ma prądu, wody i jedzenia. Jednakże choć wciąż niezbyt pięknie pachniał, ich niesmak na twarzach zastąpiło współczucie.

***

W Kalifornii musiał pozbyć się palta, bo pogoda była niemal letnia. Po chmurach nie było śladu, a niebo wręcz raziło w oczy intensywnym błękitem. Dostrzegł palmy, które widywał jedynie na fotografiach, i inne rośliny, których nazw nawet nie próbował odgadnąć. Poczuł się jeszcze niezręczniej niż w pociągu, widząc mężczyzn w jasnych garniturach i wypolerowanych butach oraz kobiety, które prezentowały się niemal tak, jak Hanka na scenie teatru. Pomyślał, że będzie potrzebował trochę czasu, by wyglądać jak oni. Zwłaszcza że miał zaledwie kilka miesięcy, by znaleźć sobie oddaną żonę. Wolał, aby była piękna niż szpetna, a zatem i on powinien prezentować się nienagannie. Miał nadzieję, że Łyszkinowie wciąż są na tyle zamożni, by mu w tym pomóc.

Kiedy taksówka zatrzymała się przy Aberdeen Ave, Igor już nie miał wątpliwości, że właśnie tak jest. Przestał się nawet dziwić zdumionemu taksówkarzowi, który trzy razy upewniał się, że Łyszkin wymienił właściwą nazwę ulicy. Willa Łyszkinów nie była może tak okazała, jak ta w Warszawie, ale równie elegancka. Otoczona murowanym ogrodzeniem z fikuśnie kutą bramą i furtką. Na podjeździe stał wypolerowany cadillac, godny handlarza luksusowych aut, a po trawniku biegał niewielki, biały pudel. Igor

niepewnie nacisnął domofon i chwilę później w drzwiach ukazała się postać Marii Łyszkin, ubranej w kwiecistą sukienkę i z włosami zaczesanymi w elegancki kok. Trzeba przyznać, że kalifornijski klimat służył matce, bo wyglądała młodziej niż pięć lat temu, kiedy żegnał się z nią w Warszawie.

Maria zmrużyła oczy, jakby miała problem ze wzrokiem i zapytała donośnym głosem, ani na krok nie ruszając się z ganku:

– Pan do kogo?

– Do ciebie, mamo – roześmiał się Igor.

Matka zatkała dłonią usta, przestała mrużyć oczy, ale wciąż stała niczym posąg.

– Otworzysz mi, czy mam poszukać hotelu? – zapytał, wciąż nie przestając się uśmiechać.

Kobieta ocknęła się, wróciła do domu i Igor po chwili usłyszał brzęczyk przy furtce. Prawie biegł po kamiennej ścieżce, by móc jak najszybciej przytulić matkę, która zaczęła szlochać i śmiać się na zmianę. Jedyne, co potrafiła powiedzieć, to jego imię, które powtarzała wciąż i wciąż, niczym zacinająca się płyta.

– Boże, synku! – jęknęła w końcu. – Ja tyle na ciebie czekałam, na jakąś wiadomość. Pisałam do ciotki i do Czerwonego Krzyża… Fiodor nie wierzył, że udało ci się przeżyć, ale ja wciąż miałam nadzieję…

– Dobrze, że chociaż ty mnie nie pochowałaś – mruknął z udawaną złością Igor.

– Nie mów tak, Igorku… Zjesz, umyjesz się i prześpisz, bo pewno jesteś wykończony, a ja zadzwonię do ojca. Przecież siedzi w tym swoim salonie od rana do wieczora – powiedziała Maria.

– A ten cadillac to czyj? – zainteresował się Igor.

– A mój. – Zachichotała. – Nauczyłam się jeździć. Fiodor mnie namówił, twierdząc, że żona sprzedawcy samochodów powinna umieć prowadzić. Powiem ci, że nawet polubiłam to, chociaż na początku zbyt często zamykałam oczy za kierownicą. Na szczęście najpierw Fiodor dał mi jakiegoś starego gruchota, ale gdy nabrałam wprawy, podarował mi na urodziny cadillaca – zaświergotała radośnie. Po chwili jednak spoważniała i zapytała cicho. – Uciekłeś stamtąd? W końcu zrozumiałeś?

Igor tak bardzo nie chciał okłamywać matki, wiedział jednak, że musi.

– Tak, mamo. Ale proszę, nie rozmawiajmy już o tym nigdy więcej – niemal wyszeptał.

– Dobrze, synku, ale wiedz, że z ojcem nie pójdzie ci tak łatwo – westchnęła Maria Łyszkin.

Fiodor zjawił się pół godziny później i podobnie jak jego małżonka nie potrafił ukryć wzruszenia na widok syna. W istocie sądził, że Igor nie żyje, chociaż w sercu nie pożegnał się jeszcze ze swoim jedynym dzieckiem na dobre.

Kiedy minęła pierwsza euforia związana z powitaniem, rodzice Igora zaczęli zadawać mu mnóstwo pytań. Niekiedy musiał uciekać się do kłamstwa, żeby odpowiedzi były dla nich satysfakcjonujące.

– Mój Boże, Antoni nie żyje – westchnął Fiodor na wieść, że jeden z jego przyjaciół pożegnał się z tym światem.

– Był starszy od ciebie – odparł Igor.

– Tak, w rzeczy samej, ale tak bardzo dbał o siebie, uprawiał sport i chodził często do lekarza, by sprawdzić swój stan zdrowia… Za wcześnie, za wcześnie… Nawet dla niego. A co teraz z Chełmicami, dworkiem, gorzelnią? Jeśli Julian jest w Szwajcarii wraz z matką, to kto się zajmie ojcowizną? – zatrwożył się Fiodor.

– Lada moment chełmickie włości już nie będą należały do Juliana… Wyszedł dekret nacjonalizacyjny i w pierwszej kolejności dotknie to ziemskich obszarników. Gorzelnia także przejdzie na skarb państwa, a dworek zamienią na szkołę albo jakiś urząd – powiedział Igor.

– Ta swołocz nie ma umiaru. Żeby cudzą własność zabierać ot tak. – Fiodor pstryknął palcami.

W normalnych okolicznościach zapewne Igor zacząłby zażarcie dyskutować z ojcem o wyzyskiwanych i uciskanych chłopach, ale wciąż musiał udawać nawróconego kapitalistę. Zastanawiał się, jak na dłuższą metę zniesie te komentarze, nie mogąc wtrącić swoich trzech groszy. Czy jednak broniłby tak bardzo sytemu socjalistycznego, jak jeszcze kilka lat temu? Czy wciąż wierzył Stalinowi i jego nieomylności, jak niegdyś? Nawet nie próbował odpowiadać sobie na te pytania. Zbyt głęboko siedział w tym wszystkim, by pewnego dnia dojść do wniosku, że to nie jest tak doskonałe, jak wierzył. Podobne dylematy nie były mu potrzebne i nie chciał ich mieć, tak samo nie chciał się zastanawiać, czy decyzja o rozstaniu z Hanką była słuszna. Podjął ją i musiał nauczyć się z tym żyć. Na szczęście rodzice jedynie zdawkowo zapytali o Lewinównę, jakby ta była jedynie krótkotrwałym kaprysem syna, a on słowem nie wspomniał o tym, że zostali dziadka-

mi. Nie wstydził się syna ani rozstania z Hanką, ale bał się nawet o tym rozmawiać. Jakby wymawiając ich imiona, nagle odżyli w jego sercu tylko po to, by cierpiał. A on pragnął pozostać zimny. Tak było po prostu wygodniej. Nie przeżywać euforii, nie czuć ciepła w sercu na myśl o Hance i synu, ale też nie zaznawać uczucia bólu, tęsknoty i zazdrości.

Nie rozmawiał także z rodzicami o swojej przyszłości, oni mu ją już zaplanowali pierwszego wieczoru i zastanawiał się, jak wybrnie z tego za rok, gdy będzie musiał im oznajmić, że wynosi się na dobre z Los Angeles i nie przejmie po ojcu intratnego biznesu. Postanowił jednak, że będzie się tym martwił za kilka miesięcy, a teraz pozwoli sobie na mało proletariackie zachowanie i będzie rozkoszował się luksusem. Potem zaś rozejrzy się za jakąś panną, by przysposobić ją sobie na oddaną i potulną żonę. Nie miał zamiaru się zakochiwać, ona była mu potrzebna do wykonania zadania i taki otrzymał rozkaz. Ale nie tylko dlatego nie zamierzał tego czynić. Dla niego miłość była złym snem, którego już nigdy więcej nie chciał śnić.

41. Chełmice, 1946

Emil Lewin przechadzał się po dworku Antoniego Chełmickiego, jak król po swoim pałacu. Dumny, wyprostowany, patrzył z wyższością na przerażoną Ludmiłę i schorowanego starca, Majkowskiego. Żałował, że jego ojciec nie dożył tej chwili ani nie ma na miejscu Juliana. Wówczas jego satysfakcja byłaby pełna. Mógłby wtedy oznajmić im, że nie są już panami i bogaczami, ale stoją w hierarchii nawet niżej od niego. Wskazałby im niewielkie mieszkanko, które dotychczas zajmowała służba, i nakazał się im wynieść, zabierając jedynie niezbędne rzeczy. Przecież te rzeźbione kredensy, łoża z baldachimem i skórzane sofy nawet nie zmieściłyby się na tych kilkunastu metrach służbówki. Jakąż miałby uciechę, gdyby widział w oczach Antoniego żal za utraconymi dobrami i ból z powodu przegranej. „Tak, ojcze, przegrałeś ze mną – myślał w duchu Emil. – A nowy system sprawił, że teraz ja jestem kimś". W końcu stary Chełmicki nie musiałby wiedzieć, jak Emil dochrapał się stołka i że był zwykłym sługusem. Tak jak kiedyś Niemców, tak teraz sowieckich panów.

– A co z meblami? Z biblioteką pana? – zatrwożyła się Ludmiła.

– Zabiorę to do Warszawy – wyniośle odpowiedział Emil.

Kobieta załkała i pokręciła z niedowierzaniem głową. Wciąż nie docierało do niej, że cały majątek nagle zostanie rozgrabiony, a pan Julianek, gdy wróci, nie będzie miał już nic.

Do salonu wszedł jeden z ludzi Emila i zapytał:

– Znaleźliśmy pod jednym z obrazów sejf, towarzyszu Lewin. Rozpruwać?

Potaknął głową i mężczyzna wyszedł z pokoju, by dokonać dzieła zniszczenia. Ludmiła zaś, usłyszawszy nazwisko, zaczęła bacznie przyglądać się Emilowi. W końcu powiedziała zdziwiona:

– Tyś jest Emil, syn Ignasia Lewina…

– Teraz to ja jestem władza ludowa – warknął.

– Władza… – prychnęła Ludmiła. – Wszyscy pamiętają, jak w dziurawych galotach latałeś i kradłeś, co popadnie. Władza… ludowa. Jak tacy nicponie i złodzieje mają tę władzę sprawować, to Boże uchowaj. Każdy wie, jak się musiał Ignaś za ciebie wstydzić i po wsi ze spuszczonym łbem kuśtykał, że takiego psubrata wychował.

– Nie jestem synem Ignasia, tylko Antoniego Chełmickiego. – Lewin za wszelką cenę chciał pokazać, że mimo piastowanego stanowiska z urodzenia nie jest wiejskim bandziorem i głupkiem.

Ludmiła machnęła ręką.

– Anka to sobie tylko tak bajdurzyła, żeby pana na pieniądze naciągnąć. Ot co. Wielka filozofia. Toż po tobie od razu widać, żeś ty chłopski syn, a nie żaden pan… – Nie dawała za wygraną Ludmiła, szydząc z Emila coraz głośniej.

Jej podniesiony i sarkastyczny ton ściągnął towarzyszących Lewinowi ludzi. Dwóch było nawet z Urzędu Bezpieczeństwa, bo mieli za zadanie rozejrzeć się za archiwami Armii Krajowej.

– Zamilcz, kobieto! – wysyczał Emil, widząc, że nie są już w pomieszczeniu sami.

– I co mi zrobisz, Lewin? Zastrzelisz mnie? W imieniu władzy ludowej? A strzelaj, to i tak niczego nie zmieni. Kto się bydlakiem urodził, ten kanarkiem nie zdechnie. – Gospodyni była coraz bardziej harda. Przywiązana do rodziny Chełmickich od trzech pokoleń, gotowa była nawet zginąć, byle bronić nie tyle majątku, co godności swoich chlebodawców. Na koniec dodała mściwie: – Tobie do pana Juliana to jak uczniakowi do profesora uniwersytetu. Nigdy nie będziesz taki jak on, nawet żebyś samemu diabłu duszę zaprzedał.

Lewin czuł narastający w nim gniew. Nawet nie na Ludmiłę, ponieważ on w głębi duszy sam myślał podobnie, ale na ojca, że nie dał mu szansy, jaką dostał Julian. W istocie, miał ochotę wyciągnąć pistolet, który z racji swoich obowiązków zawsze nosił przy sobie, i strzelić tej starej prukwie prosto w skroń. Mógłby potem powiedzieć, że w obronie kułackich dóbr rzuciła się na niego, ale wiedział, iż teraz nie są już sami, a kilka osób przygląda się tej scenie. Niemal gotując się w środku, opuścił pokój i poszedł do innych pomieszczeń, by dokonać grabieży. Robił to z coraz większą pasją, niszcząc meble, sekretarzyki i tnąc nożem piernaty, z których wydobywały się gęsie pióra, otulając białym puchem resztki dziedzictwa Chełmickich. Zdumionym pracownikom tłumaczył, że szuka tajnych dokumentów, ale on miał świadomość, iż robi to wszystko z zupełnie innych pobudek. Dokonywał dzieła zniszczenia, jakby tym aktem dokonywał zemsty na znienawidzonym ojcu i bracie. Nie potrafił im wybaczyć, że nawet po śmierci i pozbawieni majątku, wciąż cieszą się poważaniem, a ludzie, którzy byli ich

sługami, tak zaciekle ich bronią. Jego zaś, chociaż już dawno nie był tym samym Emilem Lewinem, traktują jak śmiecia.

Na początku miarkował, że weźmie sobie kilka rzeczy po ojcu i ustawi w swoim mieszkaniu, by napawać się faktem, iż teraz jest jednym z Chełmickich. Potem jednak doszedł do wniosku, iż oszukiwałby sam siebie, a owe przedmioty jedynie przypominałyby mu o tym, co kilka chwil temu wypowiedziała gospodyni z dworku. Wystarczyło, iż miał u siebie niewielkie zawiniątko, a w nim rodowe klejnoty Chełmickich. Historia wielkiego rodu zamknięta w połyskujących i drogocennych kamieniach. Wspomnienie, że i on do niego należał z racji swojego urodzenia. Ukradł je swojemu ojcu, gdy widzieli się ostatni raz w tym domu, a Emil przekonał się, że Antoni nigdy nie potraktuje go jak jednego z synów. Lewin ich nie sprzedał, chociaż z reguły nie przywiązywał się do błyskotek. Tych pamiątek jednak nie potrafił, bo przypominały mu, że wciąż musi walczyć o coś, co Julian miał podane na tacy.

– Niczego nie znaleźliśmy – zaraportował jeden z mężczyzn. – Jedynie papiery w gabinecie, ale nie były ukryte, leżały normalnie w szafie. Kazałem je zapakować i zawieźć do Warszawy.

Emil potaknął głową, chociaż wiedział, że niczego ciekawego w nich nie znajdą, oprócz aktów własności i ksiąg rachunkowych. Musiał jednak pochwalić się czymkolwiek przed Dregerową, aby zyskać na czasie, zanim uczyni ją swoją kochanką.

– Służba niech dalej mieszka tam, gdzie dotychczas, w prawym skrzydle, resztą zaś niech zajmie się Rada Narodowa. Może zrobią tutaj szkołę albo mieszkania dla pracowników gorzelni… I niech podeślą jakiego sprytnego milicjanta z posterunku w Chełmicach, żeby niczego nie rozkradziono – powiedział cicho i dodał: – Zbierajcie się, ja się jeszcze rozejrzę i wracam do Warszawy.

– Nie zajedziecie do Rady Narodowej? – zapytał pracownik.

Lewin pokręcił przecząco głową.

– Nie mam czasu, czekają na mnie w Warszawie. Wy tam pojedźcie i powiedzcie, że wszystkie czynności sprawdzające zostały wykonane, a niech oni zajmą się resztą.

Pierwotnie planował, że pokaże się w miasteczku i już widział oczami wyobraźni, jak lokalne władze kłaniają mu się w pas i traktują z szacunkiem przedstawiciela władzy centralnej. Zapewne rozpoznano by go, a on

w końcu poczułby się w Chełmicach jak ktoś ważny, a nie biedny wiejski złodziejaszek. Później jednak zrezygnował z pomysłu. Obawiał się, że reakcja znajomych byłaby podobna do tej, jaką zaserwowała mu Ludmiła. A on w swoim życiu miał dość upokorzeń. To miejsce nigdy nie było jego domem i najwidoczniej tak już miało pozostać.

Po godzinie dworek opustoszał i zrobiło się nieznośnie cicho. Pracownicy zapakowali dokumenty z biura Antoniego Chełmickiego, a Majkowski i Ludmiła powrócili do służbówek. Lewin rozejrzał się po zdemolowanym dworku. W powietrzu wciąż fruwało gęsie pierze, powoli opadając na meble i podłogi. Zaczął padać deszcz. Emil wpatrywał się w spływające po szybach okiennych krople i przyglądał się szarej jesiennej aurze na zewnątrz. Ogołoconym z liści drzewom i krzewom, pozieleniałym ścieżkom wiodącym do stajni i garaży i nie wiedzieć dlaczego poczuł się pokonany, a nie wygrany. Tak jakby wszystko, co robił, by stać się wielkim panem, jak jego ojciec, spełzło na niczym. Usiadł w głębokim fotelu swojego ojca. Emil zastał w nim Antoniego, gdy po raz pierwszy do niego przyszedł, by upomnieć się o swoje, a ten rzucił mu, niczym psu, zwitek banknotów. Coś ścisnęło Lewina za gardło. Ogromny żal, smutek i jakaś potworna tęsknota. Nawet nie za tym majątkiem, który już nie należał do Chełmickich, ale za ojcowską miłością i dumą, której nigdy od Antoniego nie otrzymał. A przecież był takim samym synem jak Julian.

Jakby dotarło do Emila Lewina, że dobra materialne można mieć albo nie posiadać ich wcale, ale to nie zastąpi więzów, jakie są między ludźmi. Nie zmienią uczuć, nie dadzą miłości i czułości, i nie sprawią, że człowiek stanie się dobry i szlachetny. Poczuł, że te demony, które go opętały, nakazując iść po trupach do sukcesu, jedynie zwodziły go bogactwem, by na końcu uświadomić mu, że w tym wszystkim chodzi o coś więcej. Emil był twardym mężczyzną i bezwzględnym, dlatego rzadko kiedy płakał. Jednak tego dnia cały żal do świata i ojca nagle zacząć go dławić. Każda łza spływająca po jego policzku była tęsknotą. Za miłością ojcowską, za kochającą Adrianną, a nawet za siostrą, której uczuciami handlował, jak Franek fantami. Tak bardzo siebie nienawidził i z całego serca pragnął być kimś innym. Człowiekiem, który nie musi kupować miłości i przyjaźni ani wymuszać na ludziach, by go szanowali. Bo bez tych wszystkich uczuć cokolwiek w życiu osiągnie, wciąż pozostanie nikim.

42. Kołyma, 1946

– Nie pieść tak tej dzieciny, bo i tak ci ją zabiorą. I będzie tragedia – mruknęła Tamara Andriejewna.

Siedziała przy stole i próbowała załatać stary, rozpadający się kocyk. Jej syn leżał na pryczy i od kilkudziesięciu minut nie tyle płakał, co wył, ale Tamara kompletnie nie reagowała, budząc zdziwienie i niesmak Alicji.

– A ty byś mogła z małym coś zrobić, bo drze się jak opętany i zaraz obudzi mi Natalkę – burknęła Alicja.

– Myślisz, że nie widzę, jak małą w tyłek szczypiesz, gdy za długo śpi. – Tamara wzruszyła ramionami. – Ja to bym chciała, żeby Szura przez cały czas spał.

– Kiedy ja się martwię, jak ona tak długo się nie budzi. Że coś jej jest… – Alicja uśmiechnęła się smutno.

– I lepiej by było, żeby się nigdy nie obudziła. Jaki los ją czeka? Za parę miesięcy ci ją zabiorą i już nigdy więcej jej nie zobaczysz. Więc lepiej dla ciebie, żebyś się do niej zbytnio nie przywiązywała – powiedziała zmęczonym głosem Tamara i przegryzła zębami nitkę. Po chwili dodała: – Nici dają jak na lekarstwo i niby jak mam odzież i kocyki połatać?

Alicja już nie słuchała. Była pewna, że nawet tutaj coś wymyśli, byleby być z dzieckiem. Rada Tamary może i była słuszna, tylko co z tego, jeśli Alicja Rosińska zdołała już pokochać Natalię całym sercem i ani przez chwilę nie zastanawiała się, z kim i w jaki sposób dziewczynka została poczęta. Natalia była ślicznym dzieckiem. Miała ciemne włosy i karnację zupełnie inną niż Alicja, ale nie miało to kompletnie żadnego znaczenia. Była jej dzieckiem. Darzyła ją uczuciem równie silnym, co Mateuszka, ale w głębi duszy zawsze pragnęła mieć córeczkę. Nigdy nie sądziła, że jej marzenie spełni się w tak okrutny sposób.

– Zerkniesz po południu na małą? – zapytała miło Alicja.

– Zawsze doglądam dzieciaki, jak mam dyżur – mruknęła Tamara.

– Tak, wiem… Ale jest tyle dzieci do pilnowania przez jedną osobę…

Alicja najchętniej nie rozstawałaby się z małą, jednak musiała pracować, miała przerwy jedynie na karmienie, a w niektóre popołudnia udzielała się w obozowym teatrze jako tancerka. Wiedziała, że ten czas, gdy wymachiwała nogami, mogłaby poświęcić córce, ale Kaganowski uwielbiał patrzyć na jej taniec, a ona dzięki temu wciąż mogła pracować w kuchni, pisać listy

i odbierać paczki od Sergiusza. Łudziła się także, chociaż było to mało prawdopodobne, że gdy Natalka osiągnie stosowny wiek, komendant zrobi wyjątek i pozwoli małej pozostać przy niej. Nie miała pojęcia, jak by to miało wyglądać i w jaki sposób tego dokona, ale nie wyobrażała sobie, że pewnego dnia Olga Iwanowna przyjdzie po małą, zapakuje do furgonetki i wywiezie do sierocińca oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów od „Raju". Co gorsze, matki nie mogły później widywać swoich dzieci i moment rozstania był ostatnim, w którym kobiety skazane na długoletni pobyt w obozie mogły przytulić swoje pociechy.

Kulturalno-wospitatielnoja była zażywną kobietą, która na tle wychudzonych więźniarek wyglądała wręcz prześnie. Oprócz tego wielbiła Stalina, nowy ustrój i próbowała robić pranie mózgu osadzonym. Zapewne miała takie dyrektywy i polecenia z góry, ale swoimi górnolotnymi stwierdzeniami, jak i robieniem z ich lichego teatrzyku partyjnego wiecu budziła jedynie śmiech. Była do tego stopnia uparta, że nawet choreografia taneczna Alicji miała mieć wydźwięk patriotyczny. W kącie baraku był ustawiony stary gramofon, który piszcząc i trzeszcząc, odtwarzał wciąż te same płyty z radzieckimi pieśniami rewolucyjnymi. Alicja na początku próbowała dyskutować, ale Walentina Grigorijewna wzruszała jedynie ramionami, tłumacząc, że nawet gdyby dała przyzwolenie na nieco lżejszy repertuar i tak nie posiada płyt z odpowiednią muzyką.

– A widziałam u komendanta i *Jezioro łabędzie*, i nawet Franka Sinatrę. – Nie dawała za wygraną Alicja. – Może pożyczyłby…

– Oszaleliście?! Pożyczać od komendanta płyty? No też coś. I to w dodatku imperialistyczne. – Walentina zrobiła duże oczy.

– Komendant może słuchać imperialistycznej muzyki, a my nie? – zapytała Alicja.

– Zapewne coś się wam pomyliło. A może komendant po prostu skonfiskował komuś tę płytę – wymyśliła dumna z siebie Walentina.

– Widzieliście kiedy więźnia z płytą gramofonową? Chyba prędzej z kawałkiem czerstwego chleba, Walentino Grigorijewna – z przekąsem powiedziała Alicja.

– Jeśli komendant pożyczy jakąś inną płytę, wyrażę zgodę na występ do takiej muzyki. Jeżeli odmówi, pozostanie wszystko tak, jak zaplanowałam. Ja jednak nie ośmielę się niepokoić komendanta podobnymi błahostkami. Towarzysz Kaganowski ma mnóstwo spraw na głowie.

– Niewątpliwie… – mruknęła Alicja. – Wobec tego ja pójdę zapytać.

– Rozzłościcie komendanta! Więźniowie mogą do niego przychodzić jedynie w wyjątkowych przypadkach i to też tylko wówczas, gdy zostaną wezwani. A najpierw muszą meldować… – zaczęła kawecze.

– Znam procedurę… – przerwała jej Alicja i poszła zgłosić chęć widzenia z komendantem Kaganowskim.

Nie powiedziała, o co chodzi i to dawało jej nadzieję, że komendant pozwoli jej stawić się w swoim biurze. Jednak zgodnie z przewidywaniami Walentiny Kaganowski aż poczerwieniał ze złości, słysząc prośbę więźniarki.

– Wy chyba zapominacie, gdzie jesteście! Programy kulturalne mają być częścią resocjalizacji, a nie rozrywką. To, że cieszycie się szczególnymi względami na prośbę prominentnego oficera, nie oznacza, iż macie tutaj robić rewolucję! – krzyczał rozzłoszczony Kaganowski.

Najchętniej odesłałby tę kobietę do normalnej pracy, wtedy odechciałoby się jej i tańczyć, i wysuwać podobne propozycje. Jednak tajemniczy list generała Sudopłatowa nakazywał mu trzymać się na baczności. Nie do końca było jasne, kim jest ta kobieta i jaką rolę miała pełnić w obozie, więc starał się zachowywać tak, jakby była więźniem jak inni. A przecież i oni pracowali na terenie obozu, wykonując czynności daleko lżejsze niż praca w kopalni czy w lesie. Jego obawy miała rozstrzygnąć decyzja sądu. Jeśli nie skrócą jej wyroku, będzie to oznaczało, że służby zweryfikowały ją negatywnie jako przyszłą współpracownicę, a wtedy będzie mógł ją wysłać nawet do samego diabła. Stiepan Kaganowski miał jednak do Alicji pewną słabość, dlatego na wiele spraw przymykał oko, jak chociażby na fakt, że z zimną krwią zamordowała jedną ze współwięźniarek. Swietłana Jurijewna była kompletną degeneratką i Stiepan liczył po cichu, że ciężka praca albo ją zmieni, albo wykończy, jednak ona miała siłę dwóch osiłków i końskie zdrowie. Nie oznaczało to jednak, że ktoś może tak po prostu na terenie przez niego zarządzanym wbić jej w tętnicę ostre narzędzie. W dodatku najpewniej pochodzące z jego biura. Alicja Rosińska miała na pieńku ze Swietłaną, odkąd ta urządziła jej wraz ze swoimi koleżkami orgię, jednak morderstwo przed własnym barakiem nożykiem wykradzionym komendantowi zakrawało na bezczelność. A jednak Stiepan nie zrobił kompletnie nic, ogłaszając podczas apelu, że były to porachunki pomiędzy *urkaczkami* i kryminalni przez następny miesiąc pozbawieni byli przydziałowego tytoniu. Nie

dotyczyło to brygadzistów wyłonionych wśród więźniów, ale dla pozostałych była to kara dość dotkliwa. Nawet dla tych, którzy nie palili, mogli jednak wymieniać tytoń na kawałek chleba albo miskę zupy.

A teraz ta bezczelna kobieta przyszła do niego, by prosić o coś takiego.

– Towarzyszu komendancie, sami mówiliście, że jak tańczę, to się towarzyszowi komendantowi przypominają dobre chwile, gdy mieszkał w mieście. Przy lepszej muzyce mogłabym zrobić to jeszcze piękniej. Zwłaszcza że Walentina Grigorijewna na występy wypożycza mi czerwoną sukienkę. Chcecie zobaczyć? – wciąż szczebiotała.

Kaganowski przewrócił oczami i już miał wyrzucić Alicję ze swojego biura, ale po chwili pomyślał, że wcale nie obraziłby się, gdyby zatańczyła tylko dla niego. Wypożyczenie płyt było pomysłem absurdalnym i nigdy nie zgodziłby się na niego, ale w zaciszu jego domu na wzgórzu mogłaby tańczyć przy muzyce, jaką sama by wybrała, a on na chwilę zapomniałby o przygnębiającej rzeczywistości, wypełnionej jedynie pracą, normami i raportami wysyłanymi do Magadanu, jak również o tym, że tuż za nim, na wzgórzach, znajdował się bezimienny cmentarz setek, jeśli nie tysięcy więźniów, którzy nie przeżyli katorżniczej pracy i surowych warunków pogodowych.

Zerknął na zegarek i przywołał swojego pomagiera. Powiedział, że na dzisiaj skończył urzędowanie i nie ma już żadnych zadań dla niego. Człowiek ten, o twarzy złego czarownika, pokiwał jedynie głową i opuścił dom komendanta. Stiepan zaryglował drzwi i nakazał Alicji przejść do części mieszkalnej drewnianego budynku. Przeraziła się nieco, bo za godzinę miała porę karmienia Natalii, ale posłusznie przeszła do pokoju i zdjęła z siebie palto, chustę i powykrzywiane trzewiki. Pozostała jedynie w owej czerwonej sukience, wypożyczanej jej na czas występów w teatrze. Powinna była ją oddać po spektaklu i wiedziała, że Walentina ukarze ją za to zuchwalstwo, ale łudziła się, że nieco ładniejszy ubiór skusi komendanta i pożyczy im jakąś normalną płytę. Nie wiedziała, co włączył Kaganowski, ale z gramofonu popłynęła melodyjna muzyka, podobna do tej, przy której Alicja występowała przed wojną na deskach wodewilowego teatru. Stiepan siedział na krześle i przyglądał się płynnym ruchom Alicji, jakże innym od tych w wykonaniu powłóczących nogami więźniarek, przygarbionych albo dźwigających grube, drewniane kłody. Zapomniał na chwilę o tej ponurej obozowej egzystencji, a nawet o swojej żonie, która teraz oddawała swoje

wdzięki partyjnemu dygnitarzowi. Pierwszy raz od wielu miesięcy przypomniał sobie, że jest mężczyzną, i poczuł podniecenie, o którego istnieniu niemal zapomniał. Poczuł ucisk w spodniach, ślina zebrała się w jego ustach i pomyślał, że zaraz eksploduje, jeśli Alicja wykona jeszcze jeden ruch biodrami.

Alicja nie była głupia i miała w swoim życiu wielu kochanków, dlatego potrafiła odróżnić zachwyt od pożądania. Oczy Kaganowskiego błyszczały, miał na wpół otwarte usta i kręcił się niespokojnie na krześle. Wiedziała, że gdy tylko zbliży się do niego, bez trudu złamie jego opór. Nie miała na to ochoty, w jej sercu, głowie i duszy istniał tylko Sergiusz i to jedynie z nim pragnęła się kochać, zapominając nawet o brutalnym gwałcie, który z kobiet czynił niekiedy oziębłe istoty, ale intensywnie kalkulowała, co mógłby w zamian zaoferować jej komendant. Więcej jedzenia, lżejszą i krótszą pracę? To nie było warte tego, by zdradzić Sergiusza. Było inaczej niż wtedy, w wagonie, gdy jechała do obozu. Teraz wiedziała, że „Kary” żył, wciąż ją kochał i czekał na nią. Cały czas się wahała, bo zdawała sobie sprawę, iż pewnych uczynków już nie cofnie i nie zmaże z siebie piętna grzechu i wyrzutów sumienia.

Chwilę potem pomyślała o swojej małej córeczce. Wiedziała, że niebawem będzie musiała ją oddać do sierocińca i być może nigdy więcej jej nie zobaczy, a Kaganowski mógł temu zapobiec. Nie mogła jednak zachowywać się jak dziwka i dobijać targu, zanim się z nim prześpi. Najpierw Stiepan musiał jej posmakować, przywiązać się do niej i łaknąć uprawiania miłości z nią, a potem dowiedzieć się, czego tak naprawdę od niego chciała. Kaganowski nie był zwykłym strażnikiem i brygadzistą, który za możliwość używania sobie proponował konkretne ustępstwa. Stiepan miał w obozie wszystko, może nawet codziennie inną kobietę, ale potrzebował czegoś więcej. Uczucia, duchowego pokrewieństwa i uwielbienia, a Alicja wiedziała, że jedynie dając mu to złudzenie, może otrzymać w zamian dużo więcej niż inne. Jakaś nieznana jej siła trzymała ją wciąż w miejscu, inna zaś pchała ją w ramiona Kaganowskiego, by zdobyć coś znacznie cenniejszego niż durna płyta, miska zupy czy pajda chleba. Ryzykowała dużo i nie tylko skazę na swojej wierności, ale kompletne uzależnienie od tego człowieka. A jednak stawką była jej córka i dla niej była gotowa na wszystko.

Podeszła na drżących nogach do Kaganowskiego, podwinęła sukienkę i usiadła na jego kolanach. Nie odepchnął jej, a ona poczuła, że jest już go-

tów, by kochać się z nią. Zaczęła delikatnie muskać go ustami. Z przymkniętymi oczami wyobrażała sobie, że całuje Sergiusza, tak jak niegdyś wyobrażała sobie Juliana, gdy oddawała się Martinowi Grossowi. Chwilę potem zaczęła powtarzać w duchu, iż to tylko ciało, wykonujące rozkazy, a jej serce jest w tym momencie zupełnie gdzieś indziej.

Kaganowski siedział niczym pomnik na postumencie i nie wykonywał żadnych ruchów, jedynie poddawał się pieszczocie, która z każdą sekundą coraz bardziej mu się podobała. Miał świadomość, jak bardzo jest to niewłaściwe, ale wiedział, że zbyt długo nie wytrzyma. W pewnej chwili rozchylił usta i zaczął oddawać pocałunki, a jego dłonie jęły błądzić po wypukłości piersi Alicji, jej udach i biodrach. Nie była tak wychudzona, jak inne kobiety w obozie, zapewne dzięki pracy w kuchni, skąd niewątpliwie podkradała jedzenie, i chyba pierwszy raz pomyślał, że bardzo dobrze robiła, by teraz mógł cieszyć się jej ciałem.

Nie poszli tej nocy do łóżka. Zrobili to na twardym krześle w saloniku Kaganowskiego. Przyciskał jej biodra jak opętany, w kompletnym amoku i zaślepieniu, w przebłysku przytomności z refleksją, czy przypadkiem nie zapłodni tej kobiety, ale po chwili przypomniał sobie, że Alicja niedawno urodziła i wtedy już kompletnie odpłynął, czując, jakby znalazł się w innym świecie. Wielomiesięczna wstrzemięźliwość i karanie samego siebie za to, że żona go opuściła, nagle znalazły ujście między nogami podrzędnej tancereczki i *biełoruczki*.

Alicja pozostawiła go takim i uciekła w pośpiechu do swojego baraku i Natalii. Położyła się na pryczy i wyciągnęła spod sukienki pierś, by nakarmić maleństwo. Nie słyszała utyskiwań więźniarki, że spóźniła się, a dziecko się darło głodne i nie dawało spać innym niemowlakom. Przytulała jedynie Natalię i łkając głośno, szeptała do swojej córeczki:

– Płaczę, kochanie, żebyś ty nie musiała tego robić, gdyby chcieli mi ciebie zabrać.

43. Okolice Warszawy, 1946

Szymek Wielopolski był zachwycony willą rodziców panny Magdaleny Walewskiej. I chociaż utyskiwali, że władza ludowa pozbawiła ich ziemi i połowy domu, i tak chłopcu wydawało się, iż nigdy nie był w równie eleganckich wnętrzach. Kiedy pan Walewski narzekał, że nowi lokatorzy pozostawili przed wejściem dziurawą miednicę, a rower wprowadzają do holu, niszcząc parkiet, Szymek rozglądał się ciekawie po salonie. Najbardziej podobały mu się drapowane aksamitne zasłony, nadające wnętrzu szyku i przytulności. Potem powiódł wzrokiem po solidnych dębowych meblach i poczuł się nieco onieśmielony tym przepychem. Magdalena Walewska co prawda całą drogę go uspokajała, że to tylko niedzielny obiad, a jej rodzice są zupełnie zwyczajnymi ludźmi, ale on i tak przejmował się swoimi niezbyt wyszukanymi manierami. W istocie, rodzice panny Magdaleny przywitali go życzliwie, nawet bardzo, ale on wciąż obawiał się, że nie jest wystarczająco dobrze wychowany, by usiąść z nimi przy jednym stole.

Po jakimś czasie dołączyli inni goście zaproszeni do domu Walewskich. Śpiewaczka operowa, pisarz dramatów i znany już Szymkowi z twarzy bankier. Magdalena Walewska przedstawiała chłopca każdemu i opowiadała, jak bardzo jej pomaga przy obiadach, o jego bohaterstwie podczas powstania i nieszczęściach, jakie go spotkały podczas wojny. Chciała, aby chłopiec nie czuł się zagubiony i niegodny podobnego towarzystwa.

Wkrótce zasiedli do obiadu. Podano rosół, a potem ziemniaki, pieczone kurczęta i buraczki duszone na ciepło. Podobno był to bardzo skromny posiłek, ale Szymek nie pamiętał, kiedy ostatnio zjadł porządny obiad, w dodatku na porcelanowych talerzach. Przy stole rozprawiano o polityce, nowych wyborach i złodziejskiej nacjonalizacji. Nikt z obecnych jakoś nie kwapił się, by pochwalić obecne rządy i uznać je za sprawiedliwe. Szymek nie znał się na tym, więc niezbyt uważnie słuchał, skupiając się bardziej na tym, żeby nie siorbać i nie pochłaniać jedzenia zbyt szybko, tylko wkładać do ust drobne kęsy, tak jak robili to inni. Czuł się tym bardziej niezręcznie, bo siedzący obok niego Kamil Grotowski prawie w ogóle nic nie jadł, tylko dłubał widelcem w talerzu i od czasu do czasu podnosił go do ust. Nawet panna Magdalena zwracała mu uwagę, że teraz, podczas rekonwalescencji, powinien dobrze się odżywiać, by jak najszybciej powrócić do formy.

– Panno Magdaleno, kiedy mi się wcale nie chce żyć, tylko nie wystarcza mi odwagi, żeby ze sobą skończyć… Kiedyś miałem nadzieję, że odnajdę Adriannę, ale teraz… nie ma już żadnej nadziei. Gdyby żyła, powróciłaby do Warszawy, w końcu miała tutaj nie tylko mnie, ale także Karolka – słabym głosem powiedział Grotowski.

Szymek, który dotychczas przysłuchiwał się rozmowie bez specjalnego zainteresowania, teraz nadstawił uszu, bo panna Daleszyńska, której zdjęcie stało na jego biurku, także miała na imię Adrianna i była matką chłopczyka o imieniu Karolek. Podobny zbieg okoliczności wydawał mu się aż niemożliwy, ale równie nieprawdopodobnie brzmiała informacja, że panna Adrianna wyszła za kogoś innego niż pan Emil Lewin.

– A jak nazywała się pana żona? – zapytał niepewnie Szymek.

– Adrianna. Adrianna Grotowska, a zanim mnie poślubiła, Daleszyńska – odpowiedział mu Grotowski.

Widelec wypadł chłopcu z ręki i uderzył w porcelanowy talerz. Jego twarz pobladła, a on, nie wiedzieć dlaczego, zerwał się z krzesła i wybiegł z jadalni. Nie bardzo wiedział, dokąd mógłby się udać, by pobyć trochę sam i przetrawić zasłyszane informacje, dlatego opuścił dom Walewskich i usiadł na schodach przed wejściem. Kilka chwil później wybiegła na zewnątrz panna Magdalena. Miała zarzucony na ramiona płaszcz, a w dłoni trzymała palto Szymka. Okryła mu ramiona i usiadła obok.

– Szymku, co się stało? – zapytała ciepło.

– On mówi o mojej drugiej mamie. O pannie Adriannie Daleszyńskiej… – niemal wyłkał. – Ale ona nie miała męża. Nigdy, nigdy! Była narzeczoną pana Emila i… Ona by nas nie zostawiła… dla kogoś obcego.

Magdalena nie bardzo wiedziała, co powiedzieć rozgoryczonemu chłopcu. Jednak nie przyszło jej do głowy, że Szymek może cokolwiek wiedzieć na temat zniknięcia żony Kamila Grotowskiego.

– Szymku… Czasami tak jest, że ludzie nie potrafią się porozumieć i podejmują decyzję o rozstaniu. Czasami tak jest lepiej, mimo iż wtedy cierpią dzieci. Adrianna na pewno cię kochała i Karolka także, jednak niekiedy nie ma prostych rozwiązań. Teraz jednak, gdy najpewniej nie żyje, jakie to ma znaczenie? Wybacz jej po prostu, bo ona nie ma szans, by wytłumaczyć się ze swojej decyzji. – Magdalena mówiła spokojnie i głaskała Szymka po włosach, jakby tym gestem chciała go pocieszyć.

– Tak, nie żyje. I tego też nie umiem jej wybaczyć – załkał.

– Skarbie, przecież to nie była jej wina… Sam mówiłeś, że ten cały „Szmata” zastrzelił z zimną krwią twoją przyjaciółkę. Pomyśl, jakiż ona miała wybór? – zdziwiła się Walewska.

– Noemi nie miała… ale panno Magdaleno, Adrianna nie zginęła z rąk szwabów, tylko sama sobie palnęła w głowę – niemal wyszeptał Szymek i poczuł, jakby ogromny ciężar tajemnicy spadł mu z serca.

– Co ty wygadujesz? Szymek? – Magdalena była zszokowana, bo pomyślała, że będzie musiała przekazać Grotowskiemu tę hiobową wieść. Zapewne przywykł do myśli, że jego ukochana żona podzieliła los setek tysięcy innych ofiar wojny, ale jak zareaguje na wiadomość, iż sama sobie odebrała życie?

– Tak. Przystawiła sobie pistolet do głowy i wystrzeliła. Nie pomyślała, że będziemy za nią tęsknić. Po prostu zostawiła nas – łkał Szymek.

– Jesteś pewien? – zapytała Walewska. – Zrobiła to na twoich oczach?

Szymek pokręcił przecząco głową.

– Nic więcej nie powiem… Pod chajrem pannie Magdalenie mówię, że słowa nie pisnę, bom się zaprzysiągł.

Magdalena wstała ze schodków i zmarszczyła czoło.

– Niestety, ale będziesz musiał. Musisz wszystko opowiedzieć panu Grotowskiemu. On ciągle szuka swojej żony. Powinien się dowiedzieć, co się z nią stało.

– Jak powiem, to mnie do pryjuta poślą – wystraszył się chłopak.

– Kto cię wyśle? Ten twój mentor i opiekun? Jeśli to zrobi, ja cię wezmę pod opiekę i do żadnego pryjuta nie pójdziesz – ostro odpowiedziała Walewska, domyślając się, że ową przysięgę mógł na chłopcu wymusić tylko jeden człowiek.

Szymek Wielopolski popatrzył na zachmurzoną twarz panny Magdaleny i wiedział, że naprawdę jest rozgniewana, a jednocześnie wierzył, że w istocie ochroni go, gdyby Emil Lewin chciał się na nim zemścić za nielojalność. Kiedyś, jeszcze całkiem niedawno, dałby sobie drzazgę pod paznokieć wbić za pana Lewina, ale odkąd dowiedział się, że donosił gestapowcom na Polaków, stracił do niego szacunek. Doszedł także do wniosku, iż Kamil Grotowski, jeśli w istocie był mężem panny Adrianny, powinien wiedzieć, co się wydarzyło.

Zamknęli się w jednym z pokoi państwa Walewskich i Szymek opowiedział wszystko bankierowi i pannie Magdalenie. Nawet to, że pomagał

w pochówku.

– Trafiłbyś tam? – zapytał Grotowski, gdy już pierwszy szok minął.

Szymek potaknął. I zapytał nieśmiało:

– Czy pan jej normalny grób załatwi?

– Oczywiście – smutno stwierdził Grotowski, a po chwili dodał: – Nie musisz mieć żalu do Adrianny. Nie jest możliwe, żeby targnęła się na swoje życie. Byliśmy szczęśliwi i jedyne, czego jej do pełni radości brakowało, to Karolek, ale Emil Lewin nie chciał się zgodzić, aby z nami zamieszkał.

Szymkowi zrobiło się trochę przykro, że panna Adrianna o nim nie pomyślała, a jej mąż nawet nie wiedział o jego istnieniu. Jednak po chwili Kamil Grotowski jakby się zreflektował, bo powiedział:

– O ciebie także się martwiła, ale wiedziała, że i tak wybrałbyś Emila Lewina.

To prawda, wtedy, w tamtym czasie, niewątpliwie właśnie takiego dokonałby wyboru, gdyby musiał, ale teraz miał co do tego wątpliwości. Uderzyły go także słowa o tym, że panna Adrianna nie mogłaby strzelić sobie w głowę. Zatem jeśli nie zrobiła tego sama, pozostawał jedynie pan Lewin. Może dlatego kazał mu przysięgać i nie zrobił pannie Daleszyńskiej normalnego pogrzebu? Nie musiał wcale obawiać się gestapo czy kripo, bo współpracował z nimi, a śmierć kolejnego Polaka niewiele ich obchodziła. Mimo że w pokoju płonął kominek, Szymkowi Wielopolskiemu nagle zrobiło się zimno.

– Co zamierzasz? – zwróciła się do Grotowskiego panna Magdalena. – Ten Lewin to teraz podobno jakaś szycha.

– Nie wiem, co z nim zrobię, chociaż, Bóg mi świadkiem, że gdybym był pewien, iż to on skrzywdził mi żonę, nie dożyłby następnego dnia. Bez względu na konsekwencje. Jednak nie wiem, co się wówczas wydarzyło, a on zapewne mi tego nie powie. Wiem natomiast jedno: muszę moją ukochaną zabrać z tego lasu i pochować godnie. Jak przystało na moją żonę – powiedział smutno.

Nie miał też żalu do chłopca, wręcz przeciwnie, poczuł wdzięczność, że jego męczarnia się skończyła. Wolał mieć tę pewność, niż łudzić się przez resztę życia, iż jego żona się odnajdzie. Zresztą ten dzieciak też ją kochał, bo w pewnym momencie zastąpiła mu matkę. Jego piękna Adrianna była naprawdę człowiekiem o wielkim sercu. Grotowski był niemal pewien, że już nigdy nie spotka równie wspaniałej kobiety.

44. Warszawa, 1946

Sergiusz, jadąc kolejny raz w okolice Kielc, rozmyślał o tym, jak rozwiązać sytuację z Mateuszkiem. Chłopczyk lada moment powinien rozpocząć naukę, rok szkolny już trwał i ciągła zmiana pobytu Mateuszka nie wchodziła w grę. „Kary” nie wyobrażał sobie także, że mógłby zamieszkać pod jednym dachem z rodziną Alicji. Lubił ich i szanował, ale zbyt długo prowadził samodzielne życie, by teraz nagle zamieszkać z obcymi ludźmi, i to w dodatku bez Alicji. Mateuszek jednak potrzebował go. A im robił się starszy, tym bardziej traktował go jak ojca. Nawet zaczął w ten sposób go nazywać, co tylko przypieczętowało ich wzajemną relację. Mieszkanie w suterenie, w sąsiedztwie pralni chemicznej, być może nie było szczytem luksusu, ale i tak mieli lepsze lokum niż większość mieszkańców Warszawy. Sergiusz zastanawiał się także nad tym, czy nie opuścić stolicy i nie osiąść na nowym ziemiach, na przykład we Wrocławiu, ale wiedział, że to Warszawa była ukochanym miastem Alicji. On zresztą też lubił to miejsce, chociaż na tę chwilę przypominało raczej gruzowisko aniżeli miasto. Tak czy inaczej, musiał przeprowadzić z rodziną Alicji poważną rozmowę. Tymczasem siedząc w pociągu, to Mateuszek podjął temat, który dotychczas Sergiusz starał się przemilczeć.

– Tato? – zagadnął chłopczyk. – A mama to na pewno żyje?

„Kary” przytulił dziecko.

– Żyje. Co prawda dawno już nie miałem od niej żadnego listu i trochę się martwię, ale żyje na pewno – odpowiedział Sergiusz, jedynie częściowo zgodnie z prawdą.

Wcale nie był pewien, że Alicja wciąż żyje, bo nie otrzymał od niej żadnej wiadomości już od kilku miesięcy. Zaczął się nawet zastanawiać, czy przypadkiem nie dotarła do niej informacja z sądu. Być może była niepomyślna i Alicja załamała się? Albo doszła do wniosku, że uwolni Sergiusza od siebie, by ten nie musiał czuć się zobowiązany i czekać na nią dwadzieścia lat? Ale przecież był Mateusz, jej syn, którego kochała ponad wszystko, więc jakby mogła zrezygnować z możliwości napisania do niego kilku słów? Tylko pytania i odpowiedzi, których sam sobie udzielał. Niekiedy był w nim entuzjazm i jakaś bezkresna nadzieja, że w końcu ją odnajdzie, a czasami roztaczał w swojej wyobraźni katastroficzne wizje.

– A dlaczego mama nie wraca i nie wraca? Mówiłeś, że niedługo będzie z nami. I ten pan, co nas kiedyś odwiedził i u nas spał na moim łóżku, też tak mówił. A ja już umiem liczyć i tak sobie liczę… I długo już mamy nie ma. A ja chcę, żeby wróciła, bo jak ja pójdę do szkoły bez mamy? U nas na podwórku już wszystkie dzieci chodzą do szkoły, a ja jeszcze nie, tylko uczysz mnie w domu. A dlaczego ja nie chodzę do szkoły? Mówią, że w szkole jest fajnie i jest dużo dzieci. – Mateuszek zasypywał pytaniami Sergiusza, odrywając go od myśli o Alicji.

– Synku, niebawem pójdziesz do szkoły, tylko jeszcze nie wiadomo, czy w Warszawie, czy w Kielcach. Dlatego jedziemy do twojej babci, żeby o tym porozmawiać – odparł Sergiusz.

– W leśniczówce jest fajnie i babcia robi dobre placki kartoflane, ale ja tam nie mam w ogóle kolegów. I babcia mówiła, że do Kielc będę jeździł, a to daleko. Albo wyjedziemy do Wełnic i tam będę chodził do szkoły – perorował Mateuszek.

– Do Chełmic, a nie do Wełnic. W takim razie musisz to powiedzieć babci. Że wolisz chodzić do szkoły w Warszawie. – „Kary” miał świadomość, że nieco podjudza chłopca, ale w końcu to on był w tej chwili najważniejszy i jeśli wolał dzielić los z Sergiuszem, rodzina Alicji powinna uszanować jego wybór.

– No to powiem, jak mnie kto zapyta – stanowczo odpowiedział Mateuszek.

– Jak cię nikt nie zapyta, to też powiedz. Pozwalam ci – uśmiechnął się Sergiusz.

Kiedy dotarli na miejsce, wszyscy zaczęli obściskiwać Mateuszka, wypytywać o jego życie w zrujnowanej Warszawie i taktownie nie wspominali o Alicji, czekając, aż dzieciak pójdzie spać. Chłopiec odpowiadał cierpliwie, chociaż zdradzał zbyt wiele szczegółów, budząc tym trwogę najbliższych. Był jednak zbyt mały, by zmyślać czy unikać odpowiedzi, tak samo, jak nie zdawał sobie sprawy, że zbytnią szczerością może zniweczyć plany ich wspólnego życia w Warszawie.

– No, ale tutaj w końcu odetchniesz. Najesz się porządnie, nałykasz świeżego powietrza i zapiszemy cię w końcu do szkoły – powiedział dziadek Bronek.

– Kiedy ja nie muszę wcale odpoczywać, bo się nie zmęczyłem. I chcę chodzić do szkoły w Warszawie. I mieszkać już zawsze z tatą. Ale będę was

odwiedzał – wypalił chłopczyk.

W pokoju nastała taka cisza, że gdyby do wnętrza wleciała mucha, każdy mógłby ją usłyszeć.

– No, jakże to tak? – zapytał dziadek Bronek. – Toż myśmy ci taki tutaj pokój urządzili, że mucha nie siada. I biurko wstawiliśmy, i półkę na książki.

Babka Alutka zgromiła go wzrokiem i dziadek Bronek niemal natychmiast przestał mówić.

– Zobaczymy, jak będzie, a teraz pałaszuj placki, bo specjalnie dla ciebie usmażyłam – wtrąciła babka i pogłaskała chłopca po głowie.

Mimo zapewnień Mateuszka zmęczenie długą i niewygodną podróżą dało mu się we znaki i niemal natychmiast po kolacji poszedł spać. Sergiusz wiedział, że teraz czeka go nie lada przeprawa z rodziną Alicji. Tak jak się spodziewał, Michalina, matka Alicji, i dziadek Bronek niemal od razu rzucili się z dziesiątkami pytań, ale na szczęście znowu wkroczyła do akcji babka.

– Małym zajmiemy się później. Niech lepiej opowie, co u naszej Alicji.

Sergiusz kłamał jak z nut. Zawsze to robił, gdy tutaj przyjeżdżał, by uspokoić najbliższych Alicji. Żałował, że jego nikt nie pociesza, bo jedyny człowiek, który to robił, czyli enkawudzista Łyszkin, zwinął żagle do Ameryki, najwyraźniej wybierając wolność zamiast tyranii wujka Stalina. Gdyby Alicja nie siedziała w łagrze, zapewne uczyniłby to samo co Igor. „Kary” z trudem nawiązywał przyjaźnie, zwłaszcza gdy stracił rodziców, osiadł w Warszawie i zajął się niebezpiecznymi interesami. Teraz też nikomu nie ufał, a jego koledzy już dawno rozpierzchli się po świecie albo gnili w więzieniach.

Kiedy skończył swoją bajeczkę o tym, że Alicji wiedzie się całkiem dobrze, a warunki ma znośne, powrócił temat Mateuszka.

– My ci dziecka nie oddamy – twardo stwierdziła Michalina. – To mój wnuk.

– I jego syn – cicho powiedziała Alutka i zakasłała.

– A jakiż on jest jego ojciec? – zadrwiła Michalina, co bardzo nie spodobało się babce, która zapewne zrugałaby ją ostro za te słowa, gdyby miała więcej siły.

– A jaka ty jesteś dla niego babcia? – zapytała kąśliwie Alutka i dodała: – Do Chełmic nie chcesz wracać, tylko tutaj zostać, a co tu takiego jest do-

brego dla dziecka, oprócz świeżego powietrza, bez którego, jak widać, może się obejść? Las naszpikowany partyzantami, co to z Ruskimi jeszcze chcą walczyć, a nie wszyscy oni tacy święci. Potrafią jak bandyci do chałupy wpaść i pod karabinem ograbiać z jedzenia. A Kielce? Nie słyszałaś, co z Żydkami zrobili, jak im się uwidziały rytualne mordy, co to ja o takich, jak żyję nie słyszałam? A Mateuszek to, niestety, ale rysy ma semickie jak ta lala. Wiadomo, co komu do łba strzeli? I słyszałaś przecież: dzieciak z ojcem chce być i w Warszawie mieszkać – wygłosiła przemówienie babka.

– Nawet uniwersytet reaktywują. I kina. I teatry – jąkał się Sergiusz.

– Toż on jeszcze do pierwszej klasy nie poszedł, a ty chcesz go już na uniwersytet wysyłać. I do kina na propagandowe filmy prowadzać – obruszył się dziadek Bronek.

– Ty mi lepiej, Bronek, tu za skórę nie wchodź! – warknęła babka Alutka. – Trzeba wolę dzieciaka uszanować. A i Alicja tak by chciała.

Po chwili ściszyła głos i szepnęła do ucha swojemu mężowi:

– Ty głupi taki, Bronek, że cię tylko do Rady Narodowej dać. A jak chłop sam, to nie wiesz, jak to jest? Od razu się jaka koło niego zakręci i o naszej Ali zapomni. I kto ją z tego obozu wyciągnie? Myśl trochę, stary, to nie boli.

Sergiuszowi niezbyt spodobał się argument babki Alutki i nawet chciał zaprotestować, ale ta puściła do niego oko, więc udawał, że nie słyszy jej słów. Jeśli taka miała być cena za to, żeby Mateuszek z nim zamieszkał, był gotów ją zapłacić.

– A o co chodzi z tymi Kielcami? – zapytał Sergiusz, żeby zmienić temat.

– Cała awantura. – Dziadek Bronek machnął ręką. – Taki mały kajtek zaginął i jego ojciec na milicję z gębą poleciał, że go Żydy porwały i pewno mordować będą na ofiarę czy na coś tam. Po mieście się rozniosło i ludziska na władzę ludową czekać nie chcieli, tylko poszli samosąd na Żydach zrobić. Potem to nawet i bezpieka, człowieku, przyjechała, ale stali tylko i patrzyli, jak nasi tamtych w pień wybijają. Ze czterdzieści ludzi zginęło. A ten mały, jak się znalazł, to też gadał, że go w piwnicy Żydy zamknęły i że podobnież jakieś inne dzieci też tam były. Prawdy, jak było, to się pewnie nigdy nie dowiemy, ale ludzie teraz to na każdego Żyda, co się jeszcze uchował, krzywo patrzą – ekscytował się Bronisław Rosiński.

– No właśnie – przytaknęła babka Alutka. – I jak tu dzieciaka teraz do szkoły puścić?

– Nie wiem, co wy kombinujecie. I tak niedługo do Chełmic wracamy. Doszłam do wniosku, że jednak wyjedziemy stąd. – Michalina zburzyła jednym zdaniem cały plan.

– Alicja chciałaby, żeby Sergiusz zajął się dzieckiem – zawyrokowała babka Alutka.

– Nie wiem, czy wolałaby, żeby tułał się po zrujnowanym mieście. – Michalina aż poczerwieniała ze złości. Oddanie wnuka Sergiuszowi wydawało się jej niedorzeczne.

Jedynie wuj ani jednym słowem nie wtrącał się do rodzinnego sporu. Uważał, że to nie jest absolutnie jego sprawa, chociaż bardzo polubił dzieciaka.

– Dlaczego krzyczycie? – zapytał zaspanym głosem Mateuszek, nagle stając w drzwiach pokoju i ściskając pod pachą pluszową zabawkę, którą kiedyś podarowała mu mama.

Jak na komendę wszyscy zamilkli i nie bardzo wiedzieli, co odpowiedzieć na tak zadane pytanie. To niezręczne milczenie przerwał sam chłopczyk, który ze łzami w oczach podbiegł do Sergiusza, usiadł na jego kolanach i zapytał:

– Tato, dlaczego chcesz mnie zostawić u babci? Przecież mama niedługo wróci i na pewno przyjedzie do Warszawy. Musimy tam na nią razem poczekać. I kolegów tam mam, i nawet zrobiliśmy z Władkiem huśtawkę z dwóch kamieni i z deski.

– Po prostu zastanawiamy się, gdzie ci będzie lepiej, skarbie. – „Kary” pogłaskał Mateuszka po głowie i przytulił.

– Zatem postanowione – z westchnieniem odparł dziadek Bronek, a babka jedynie uśmiechnęła się półgębkiem.

Michalina zaś nie kryła złości. Wiedziała jednak, że w obecności chłopca nie może okazywać niezadowolenia, dlatego podniosła się z krzesła i opuściła pokój.

– Przejdzie jej… – zawyrokowała babka Alutka. – Zwłaszcza gdy powrócimy na stare śmieci. Może jacyś znajomi ocaleli, więc będzie miała zajęcie. Jeszcze niestara jest, to może i jakiego chłopa sobie znajdzie, bo tutaj, na tym pustkowiu, to jedynie listonosza widuje i tych obszarpańców z lasu…

Sergiusz odetchnął z ulgą. Wiedział, iż nie będzie prosto przekonać rodzinę Alicji, że miejsce Mateuszka jest przy nim. Rozumiał ich, był w końcu

obcym człowiekiem, a Mateuszek nie był jego prawdziwym synem. Jednak nie wyobrażał sobie, że powróci do pustej sutereny bez niego. Wbrew pozorom ten dzieciak był mu bardziej potrzebny niż on jemu.

45. Berlin, 1946

Lossow czuł się coraz pewniej w roli drapieżnego dziennikarza i coraz mniej pewnie w roli małżonka. Mimo że kilkukrotnie sprawdzał swoją męskość, korzystając z usług prostytutek, tak z Lilly wciąż mu nie wychodziło. Co prawda kilka razy próby zakończyły się połowicznym sukcesem, ale on wiedział, że to, co się dzieje w jego małżeństwie, nie jest normalne. Przestał jednak walczyć, a Lilly zdawała się poddać. Po prostu chyba przywykła jedynie do pieszczot i uznała, że widocznie w ich związku seks nie będzie odgrywał szczególnej roli.

Co gorsze, nic w tym układzie nie grało. Walter był gościem w domu, a ona więdła, siedząc samotnie w ich małym i nieco obskurnym mieszkaniu, któremu nie pomagały ani pejzaże na ścianach, ani ręcznie dziergane serwetki. Kiedy upominała się o swoje miejsce w życiu Waltera, ten wciąż ją zbywał kolejnymi arcyważnymi zadaniami, jakie miał do wykonania. Kilka tygodni wcześniej został etatowym pracownikiem „Der Tagesspiegel” i kompletnie oszalał. Jego chorobliwa wręcz ambicja, by być najlepszym, sprawiła, że przestawał zauważać cokolwiek innego. Nie tylko zaniedbywał ją, ale także całą swoją rodzinę. Wciąż tłumaczył, że to jego wielka szansa na pokazanie swoich zdolności, i biegł dalej z błyskiem w oku, a jeśli Lilly dopisywało szczęście, niekiedy nawet zdążył cmoknąć ją w policzek na pożegnanie.

– Walterze… – powiedziała któregoś dnia Lilly, gdy po raz kolejny ujrzała męża pakującego rzeczy do torby podróżnej. – Musimy porozmawiać.

– Nie teraz, kochanie – odpowiedział od niechcenia. – Muszę jechać do Essen. Piszę duży artykuł…

Przerwała mu:

– To potrwa tylko chwilę. – Lilly wciąż emanowała spokojem.

Ponieważ nie krzyczała, nie histeryzowała i nie zanosiło się na litanię wyrzutów i pretensji, Walter usiadł przy stole i powiedział:

– No dobrze, Lilly. Ale szybciutko, bo za godzinę mam pociąg.

– Nie zajmę ci wiele czasu, Walterze. Chcę rozwodu – powiedziała spokojnie.

– Słucham? – zapytał z niedowierzaniem.

– Chcę rozwodu – odpowiedziała z naciskiem.

– Dlaczego? – zadał kolejne pytanie, chociaż nawet jemu wydało się ono głupie.

Lilly miała dziesiątki powodów, by chcieć odejść. Nie sądził jednak, że odważy się na ten krok. Wielkie miasta ją przerażały, niewiele potrafiła, nie miał pojęcia, jak mogłaby sobie poradzić bez niego.

– Bo to farsa, a nie małżeństwo – burknęła.

– Farsa… A któż cię nauczył tego słowa? – ironizował Walter, bo wbrew pozorom ubodło go to, że żona tak po prostu chce od niego odejść.

– Wiele się przez ten czas nauczyłam. Nie tylko po naszym ślubie, ale także wtedy, gdy czekałam na ciebie, kiedy byłeś w niewoli. I chcę odejść. Pozwól mi… – niemal wyszeptała.

– Jak sobie poradzisz, Lilly? – równie cicho zapytał Walter.

– Znalazłam pracę. Na wsi. Wyniosę się z miasta i będę mogła znowu poczuć się szczęśliwa. Na prowincji. A tutaj nie czuję się ani odrobinę szczęśliwa. Nie tylko dlatego, że wiecznie cię nie ma i nie bardzo nam wychodzi w łóżku, ale nienawidzę tego miejsca i tego miasta. – Głos Lilly był przerażająco monotonny. Jakby popadła w kompletną apatię. A jednak zdobyła się, by w końcu powiedzieć, co czuje.

– Nie kochasz mnie? – Walter sam do końca nie wiedział, po co zadał to pytanie, przecież on także męczył się w tym małżeństwie. Wolał jednak rozstać się z Lilly ze świadomością, że aż tak bardzo jej nie skrzywdził.

– Nie wiem, Walterze. Już sama nie wiem, co czuję do ciebie. Ale nie chcę już udawać, że jestem z tobą szczęśliwa. Może… może gdybym miała dziecko, byłoby mi łatwiej, ale w tej sytuacji lepiej będzie, gdy odejdę – powiedziała smutno.

– Posłuchaj, mam już stałą pracę, nieźle mi płacą, pomogę ci finansowo… – zaczął się jąkać Walter.

Doszedł do wniosku, że nie ma sensu ratować czegoś, co od samego początku było skazane na porażkę. Jego ojciec miał rację, ale on chciał zachować się honorowo. Cóż jednak z tego, skoro skrzywdził tę dziewczynę. Nie tym, że ją opuścił, ale właśnie dlatego, że się z nią ożenił.

– Nie chcę twoich pieniędzy, spotkamy się na sprawie rozwodowej, a potem nigdy więcej nie chcę cię widzieć – powiedziała stanowczo.

– Nie możemy rozstać się w przyjaźni? – zapytał cicho.

– O czym ty mówisz, mój mężu? Ani przez chwilę naszego małżeństwa nie byliśmy przyjaciółmi, zatem dlaczego mielibyśmy nimi być po jego za-

kończeniu? Zawsze uważałeś mnie za głupią gąskę ze wsi, idiotkę, która jest nieoczytana, niewykształcona i potrafi jedynie potakiwać. Tak, masz rację, jestem prostą Lilly ze wsi. Nie rozumiem politycznych zawiłości ani nie znam się na sztuce czy muzyce. Ale wiedziałeś o tym od początku, a jednak ożeniłeś się ze mną i przywlokłeś mnie do tego obcego miasta, gdzie czuję się jeszcze głupsza i bardziej ograniczona niż w Kleine Seedorf. Ja też mierzyłam zbyt wysoko. Dla mnie dobrym partnerem był Rudolf Lagendorf albo Hans Gąska, a nie wyniosły Walter von Lossow. – Lilly mówiła coraz szybciej, głośniej i z ogromnym żalem w głosie.

Chyba po raz pierwszy Walter pomyślał, że kompletnie nie doceniał Lilly. Miała pewną życiową mądrość i z pewnością na wiele tematów mogłaby z nim porozmawiać, jeśli tylko dałby jej taką szansę. Problem jednak polegał na tym, że ona jej od niego nie otrzymała.

Po chwili dodała z lekkim sarkazmem w głosie:

– Idź już. Spóźnisz się na pociąg.

– Tak, teraz muszę jechać, ale poczekaj na mnie. Wrócę za kilka dni i wtedy porozmawiamy… – Walter pomyślał, że nareszcie będą mogli być wobec siebie szczerzy. A może wówczas uda im się jeszcze uratować cokolwiek. Chociaż przyjaźń.

– Nie chcę, Walterze. Miałeś mnóstwo okazji, by ze mną szczerze porozmawiać. Naprawdę mnóstwo. A teraz jest już po prostu za późno – z westchnieniem zakończyła Lilly.

Walter zerknął na zegarek i wstał z krzesła. Chwycił swoją podróżną torbę i chwilę potem biegł już w stronę dworca. Jakiś okropny żal ściskał mu gardło. Naprawdę tak bardzo chciał pokochać Lilly. Całym sercem. I nie potrafił. Chyba w ogóle nie był do tego zdolny. Może w jego duszy wciąż tkwiła idealna Holly Evans, a może los chciał go ukarać za wszystkie złamane przez niego serca. Wziął głęboki oddech, przełknął kilkukrotnie ślinę, by powstrzymać napływające mu do oczu łzy i chwilę potem siedział już w przedziale pociągu i przeglądał swoje notatki.

Miał naprawdę dobry temat z wielkimi pieniędzmi w tle. Ogromny i bajecznie bogaty właściciel koncernu Kruppa i jego wielomilionowe wsparcie dla Hitlera i jego reżimu. Kontrakty zbrojeniowe, podejrzane interesy z amerykańskimi firmami, a wreszcie zatrudnianie całej rzeszy przymusowych robotników. W tej chwili właściciel, Gustav Krupp von Bohlen und Halbach, przebywał w areszcie domowym, mieszkał w niewielkim domku

na terenie swojej posiadłości i czekano na jego proces. Jednak z procesem dziesiątym wciąż był problem, bo Krupp przedstawiał orzeczenia lekarskie, jego adwokaci proponowali wydanie wyroku zaocznie, a wreszcie zamianę starego, niedomagającego Gustava synem Alfredem. W tle znaleźli się jeszcze inni przedstawiciele firmy, członkowie zarządu i menedżerowie. Wszystko skończyło się śmiesznymi wręcz wyrokami, bo w przypadku innych uczestników procesów sędziowie nie byli aż tak pobłażliwi. Walter jednak uważał, że wiele ważnych osobistości tej ogromnej firmy wciąż żyje gdzieś bezkarnie i czerpie profity ze zgromadzonych potężnych majątków. Był przekonany, że ta cała konfiskata mienia dotyczy zaledwie ułamka fortuny, jaką posiadali inni. Szare eminencje i najlepsi pomagierzy Kruppów, rodzina, dalsi krewni – przecież ci wszyscy ludzie musieli być umoczeni w tym po same uszy. Nie sposób przecież prowadzić tak wielką firmę garstką ludzi. Lossow sporządził listę takich osób, korzystając z usług licznych informatorów, i miał zamiar sprawdzić, jak im się wiedzie w czasie, gdy inni siedzą na ławie oskarżonych albo w więzieniach. Walter zamierzał posadzić na niej jeszcze kilku innych i udowodnić, że interesy Kruppa obejmowały nie tylko współpracę z rodzimymi firmami, ale sięgały nawet za ocean. Zapewne Allan Stone nie byłby zachwycony, że Lossow grzebie tak głęboko, zamiast siedzieć cicho z wdzięczności, że Amerykanie dali mu drugą szansę. On jednak postanowił sobie, że nie będzie omijał prawdy tylko dlatego, że okazano mu łaskawość. Dla niego epoka propagandy pod rządowe dyktando dobiegła już końca. Nade wszystko pragnął być uczciwy, zwłaszcza że w wypadku własnej żony nie potrafił. Zdał sobie sprawę z tej cienkiej linii, na której balansuje się, by nie być do końca świnią. A niekiedy nadmierna szczerość i prawda powodowały, że tę linię przekraczał. Tak jak teraz.

– Ileż razy mam panu powtarzać, że *Herr* Liber nie udzieli żadnego wywiadu ani nie wyda oświadczenia. – Usłyszał kolejny raz w słuchawce głos Marie Rauch, sekretarki Libera.

To właśnie on pozostał bezkarny, chociaż musiał wiedzieć o praktykach w zakładach Kruppa. A może pozostawał wciąż na wolności, bo odpowiadał za interesy za oceanem?

– Panno Rauch, ja i tak napiszę ten artykuł, czy pan Liber zechce ze mną porozmawiać, czy nie. Chcę jedynie dać mu szansę, by wypowiedział się i kto wie, być może zdoła nawet obalić moje teorie. – Walter był uparty.

– Jak sam pan twierdzi, są to jedynie teorie. A jeśli nie okażą się prawdziwe, *Herr* Liber przeciągnie pana po wszystkich sądach – zablefowała Renate Zoll.

– Proszę jednak przekazać te informacje *Herr* Liberowi. Będę czekał na wiadomość w pensjonacie Stille. Nazywam się Walter Lossow i jestem z berlińskiej gazety „Der Tagesspiegel”.

Przez chwilę w słuchawce telefonu zapanowała grobowa wręcz cisza.

– Jakie się pan nazywa? – w końcu padło pytanie.

– Lossow przez dwa „s”. Walter. I zatrzymałem się… – niemal wrzasnął do słuchawki, sądząc, że osoba po drugiej stronie po prostu kiepsko go słyszy.

– Oczywiście, przekażę – wybełkotała kobieta i odłożyła słuchawkę.

Lossow nie mógł wiedzieć, że osoba po drugiej stronie właśnie doznała szoku, słysząc znajome jej nazwisko, jak również tego, że niebawem w cichym pensjonacie Stille spotka się z ponętną sekretarką Libera, a nie z nim samym.

46. Londyn, 1946

W takich sytuacjach jak ta, w której teraz się znalazła Hanka Lewin, rola Piotra Niechowskiego była nieoceniona. Był mistrzem negocjacji, doskonale wiedział, gdy ktoś chciał ją wykorzystać i Hanka w tych kwestiach ufała mu bezgranicznie. Tym razem jednak, przy podpisywaniu tak ważnego kontraktu, był nieobecny. To prawda, ostatnio nie układało się między nimi najlepiej, ale w sprawach zawodowych nie istniały żadne dąsy i problemy. Tymczasem Piotr, zirytowany jej ostatnimi popisami, po prostu spakował walizkę, oznajmił, że wyjeżdża do Edynburga i wyszedł, trzaskając drzwiami. Zrobił to tak ostentacyjnie, że nawet ich gosposia i opiekunka do dzieci wymieniły między sobą znaczące spojrzenia. Lewinówna była przekonana, że w tym momencie kibicowały Piotrowi, i zapewne w zaciszu kuchni plotkowały, że w końcu przytarł jej nosa.

To prawda, ostatnio zachowywała się okropnie i z przykrością musiała stwierdzić, iż nie radzi sobie z nową sytuacją. Zarówno Igor, jak i Emil byli jej duchową opoką. Podobnie jak Alicja. Nawet jeśli nie było ich w pobliżu i dzieliły ich setki kilometrów, na dnie jej duszy istnieli niczym najjaśniejsze światło. Bez nich jej kariera, cały ten blichtr wielkiego świata, nie liczył się, nie cieszył, tak jak powinien, i okazywała to na każdym kroku. Nawet wobec ludzi, którzy ją kochali, czyli Piotra i dzieci. Wobec męża była oschła, nawet w łóżku zachowywała się, jakby odpracowywała pańszczyznę, a z dziećmi, które kiedyś były całym jej światem, spędzała coraz mniej czasu. A gdy już starała się pełnić rolę matki, bez przerwy strofowała Nadię, że nie zachowuje się jak mała dama z wyższych sfer, a na Grzesia starała się nawet nie patrzyć, bo zbyt przypominał jej Igora i zawiedzioną miłość.

Hanka musiała w końcu przyznać przed sobą, że ma złamane serce i kompletnie nie umie sobie z tym poradzić. Wyrzucała sobie także, że wyszła za Piotra, najlepszego z ludzi, jakich ostatnio poznała, krzywdząc go w ten sposób okrutnie. A on nie zasłużył sobie, by tkwić w beznamiętnym małżeństwie, gdzie wszystko było na pokaz. Poza domem, w towarzystwie czy wreszcie w błysku fleszy Hanka odgrywała rolę kochającej żony i czułej matki. Gdy jednak drzwi ich luksusowej willi zamykały się, zamieniała się w potwora. Piotr znosił to dzielnie, zrzucając jej zachowanie na traumatyczne przeżycia z okresu wojny, ale ileż można było zasłaniać się bolesnymi przejściami. Pewnego dnia po prostu zapytał, czy w ogóle go jeszcze kocha,

bo nie mógł rozpoznać w tej wiecznie niezadowolonej i napuszonej diwie swojej ukochanej, spontanicznej Hanki. Pokiwała jedynie głową i nawet miała powiedzieć, że tak, ale głos uwiązł jej w gardle i owo kiwnięcie było wszystkim, co mogła z siebie wykrzesać.

Siedziała teraz przed grubym jak beczka wina impresario, który palił cygaro i wydmuchiwał gryzący dom prosto w jej twarz. Odziany w biały garnitur i z ulizanymi, rzadkimi włosami, wyglądał tyleż komicznie, co odstręczająco.

– Ależ to ponad miesiąc… – wydukała.

– Tak, łaskawa pani. Stany Zjednoczone to potężny kraj, więc jeśli chce pani tam zaistnieć, musi wystąpić w niemal każdym większym mieście. Poza tym praca w studio i nagranie płyty. Po prostu prawdziwa trampolina do światowej kariery. Pani wybaczy, ale powojenna, pełna gruzów Europa nie może pani nic ciekawego zaoferować. Natomiast Ameryka… A pani jest po prostu doskonała i zasłużyła swoim śpiewem na to, by każdy człowiek w Ameryce wiedział, kim pani jest i nucił pod prysznicem pani utwory. Hanka Lewin to już jest marka, jak bez mała Judy Garland, tylko ludzie jeszcze o tym nie wiedzą. A gdy Hollywood panią doceni, to pani gwiazda nie tyle rozbłyśnie, ile oślepi każdego – paplał zachwycony impresario.

Kiedyś Piotr jej powiedział, że jeśli ktoś nadmiernie się nią zachwyca podczas podpisywania kontraktu, to na pewno chce ją oszukać. On nie uznawał w interesach kwiecistych przemów, tylko rzeczowe rozmowy. Ale ona kompletnie się na tym nie znała, a w przeczytanej umowie nie widziała nic, co mogłoby jej zaszkodzić czy narazić na straty. Zresztą, mój Boże, kto mógłby zrozumieć ten zawiły język. Jedynie Piotr, a jego nie było.

– Mam dwoje dzieci, panie Swanson. Nie mogę pozostawić ich na tyle czasu w Londynie, muszą popłynąć ze mną. I oczywiście wraz z nimi moja opiekunka, bo ktoś musi się nimi zająć, gdy ja będę występowała na scenie albo nagrywała płytę – powiedziała niepewnie Hanka, bo mimo wszystko nie wyobrażała sobie tak długiej rozłąki z Nadią i Grzesiem.

– Wszystko ma swoją cenę, łaskawa pani – mruknął Swanson.

– Oczywiście pokryję koszty czy też pan potrąci to z moich honorariów – powiedziała Hanka.

– Sama pani rozumie, taka gwiazda jak pani musi mieszkać w luksusowych hotelach, a w przypadku przyjazdu z rodziną to znacznie podnosi koszty. Możemy też na ten czas wynająć jakiś niewielki domek dla rodziny,

jednak proszę pamiętać, że w kolejnych miastach nie spędzi pani więcej czasu niż dwa, no, może trzy dni i będzie trzeba ruszać dalej. A Stany Zjednoczone to duży kraj… – mruknął impresario i pogładził swoje natłuszczone brylantyną włosy.

– Hm… – mruknęła Lewinówna. – I nie możemy poczekać z podpisaniem kontraktu na powrót mojego męża? Dzwoniłam dzisiaj do niego, za trzy dni powinien już wrócić. Coś mu się przeciągnęło w Edynburgu, ale…

Nie była to do końca prawda. Nie rozmawiała z Piotrem, odkąd opuścił dom, ciężko urażony. Wiedziała jednak, gdzie się zatrzymał i teraz była gotowa pierwsza do niego zadzwonić i żebrać o wybaczenie. Gdyby udało się, wówczas wróciłby i załatwił za nią ten cholerny kontrakt. Jeden z najważniejszych w jej życiu.

– Przykro mi, łaskawa pani, ale dzisiaj wieczorem wypływam do Nowego Jorku i nie pojawię się w Londynie co najmniej przez następne pół roku, a wówczas, sama pani rozumie, całe to misterne przedsięwzięcie stanie pod znakiem zapytania.

Hanka biła się z myślami. Każdy artysta marzył o podboju Ameryki, to w istocie było ukoronowanie kariery. A jeśli za pół roku ów impresario upatrzy sobie kogoś innego, kto właśnie zabłyśnie na firmamencie sławy i ona pójdzie w odstawkę? Co jednak będzie, jeśli ów Swanson to szczwany lis, który na jej tournée zarobi krocie, jej rzucając ochłapy? Pomyślała po chwili, że musi zaryzykować i złożyła na kontrakcie swój zamaszysty podpis.

Powróciła do domu i zamknęła się w sypialni, co czyniła coraz częściej. Oddawała się wtedy marzeniom, że w progu staje Łyszkin, bierze ją w ramiona, a jej serce wali jak oszalałe. Tęskniła za tymi emocjami i wspominała ostatnią noc z Igorem, gdy świat na kilka godzin po prostu zniknął. Nigdy wcześniej ani nigdy potem nie czuła się tak dobrze przy drugim człowieku. Igor bez wątpienia był jej największą miłością i nie sądziła, że byłaby w stanie pokochać kogoś równie mocno. Nawet swojego czułego i przystojnego męża.

Usłyszała ciche pukanie do drzwi sypialni i chwilę potem stanęła w nich gosposia, informując, że dzwoni pan Piotr Niechowski i chciałby z nią rozmawiać.

– Rychło w czas – burknęła i wstała z miękkiego szezlongu stojącego naprzeciwko drzwi balkonowych.

Zeszła na dół i podniosła słuchawkę.

– Kiedy wrócisz? – zapytała zimno, zamiast przywitać się czule z mężem.

Jeszcze kilka godzin wcześniej tęskniła i przyrzekała sobie, że będzie dla niego miła, a teraz znowu wyszła z Hanki nieuzasadniona niechęć do męża, bo ośmielił się przerwać jej rozmyślania o Łyszkinie.

– No właśnie dlatego dzwonię. W sobotę są urodziny matki, a ja dopiero będę wyruszał z Edynburga. Nie mogę inaczej tego poukładać, wszystko stanęło na głowie… Zadzwonię do matki, że mogę się spóźnić na uroczystość, ale chciałbym, żebyś z dziećmi zjawiła się punktualnie. Bernard przyjedzie po was o siedemnastej, ja dołączę do was później. Od razu przyjadę do Guildford. Tylko bardzo cię proszę, bez dąsów, będzie mnóstwo gości, a chyba nie chcielibyśmy żadnych plotek. W końcu dla wszystkich jesteśmy kochającą się, szczęśliwą rodzinką. – Ostatnie zdanie wymówił z sarkazmem.

– Jak sobie życzysz, chociaż wiesz, że bez ciebie będę się czuła u twojej matki niczym przybłęda – jęknęła.

– Gdybym mógł być wcześniej, pojechalibyśmy razem, ale naprawdę nie mogę. Obiecuję jednak, że będę starał się przybyć najszybciej, jak to tylko możliwe… – uspokajał ją Piotr, bo wiedział, jak źle czuje się Hanka w domu Stefanii, która nawet nie próbowała ukryć niechęci do niej i jedynie obecność Piotra stopowała ją przed zrobieniem synowej karczemnej awantury.

– Piotr… – zaczęła Lewinówna. Chciała mu powiedzieć coś miłego i czułego, jak prawdziwa żona, którą powinna być. Jednak kolejny raz coś ścisnęło ją za gardło, jakby to, co chciała wyznać, było kłamstwem. Powiedziała więc jedynie: – Dziękuję.

– Za co? – Piotr w końcu się rozluźnił i roześmiał do słuchawki.

– Za to, że jesteś i że będziesz – powiedziała w końcu.

– Oczywiście, kochanie. Jestem i będę. I mam nadzieję, że podziękujesz mi za to, gdy wrócę do domu – odpowiedział czule.

– Tak, Piotrze. Tylko już wróć – niemal szepnęła do słuchawki Hanka i chyba pierwszy raz od miesięcy pragnęła, żeby Piotr był przy niej.

Przyrzekła sobie, że teraz, gdy znowu będą razem, będzie zupełnie inaczej. Piotr nie miał nic wspólnego z jej miłosnymi rozterkami i tęsknotą za czymś, co już nie powróci. Zasłużył sobie, by mieć kochającą i oddaną żonę i Lewinówna postanowiła, że teraz właśnie tak się stanie. Piotr był nie tylko jej mężem, ale jedynym przyjacielem, jakiego miała. Zawsze trzymał jej

stronę, chociaż małżeństwo z nią narażało go w jego środowisku na ostracyzm, niewybredne komentarze i plotki. Nie było tak, jak w Warszawie, przed wojną, że jej sława przykryła wiejskie pochodzenie. Tutaj jej popularność nie miała znaczenia. Nie była jedną z nich i wiedziała, że nigdy nie będzie, a jednak Piotr poświęcił to całe towarzystwo dla niej i dzieci, z których żadne nie było jego.

***

W sobotnie popołudnie ubrana w elegancką, ale stonowaną sukienkę czekała wraz z dziećmi na przyjazd Bernarda, kierowcy Piotra. Wciąż poprawiała kokardki w warkoczykach Nadii i małą muchę przy koszuli Grzesia. Wiedziała, że za chwilę uda się do jaskini lwa, a raczej drapieżnej lwicy, i chciała wyglądać nienagannie. Obiecała też sobie, iż będzie zachowywać się właściwie i nie da się sprowokować Stefanii. Zrobi to dla Piotra.

Po godzinie wchodziła już do salonu domu w Guildford, śledzona wzrokiem przebywających tam gości. Stali w grupkach, popijali sherry i czekali na sygnał, że mogą przejść do jadalni i zasiąść do kolacji. Dzieci poszły do innego pokoju, gdzie zajęła się nimi specjalnie wynajęta przez Stefanię opiekunka. Kelner podał Hance kieliszek, ale nikt z gości nie kwapił się, by do niej podejść i nawiązać konwersację. Lewinówna bardziej niż kiedykolwiek czuła, że nie pasuje do tego towarzystwa. Nie była jedną z nich i dawano jej to odczuć, mimo wysublimowanych manier. Z opresji wybawiła ją Henrietta Cavendish, kobieta, której Hanka w bezczelny sposób odbiła narzeczonego.

– Piękna sukienka, bardzo twarzowa – powiedziała Henrietta, podchodząc do niej i uśmiechając się promiennie.

– Dziękuję ci, moja droga, ale dzisiaj wolałabym być niewidzialna – mruknęła Hanka.

– Nie przejmuj się nimi. Jak tylko zjawi się Piotr, od razu zaczną zachowywać się jak należy – pocieszyła ją panna Cavendish.

Wkrótce jednak ktoś poprosił Henriettę o chwilę rozmowy i Lewinówna znowu została sama, stojąc tuż przy fortepianie i starając się, w istocie, być niemal niewidoczna. Jednak była osoba, która jak najbardziej ją zauważała, i była to jej teściowa. Podeszła do niej i szepnęła złowieszczo:

– Czy teraz już masz świadomość, jak bardzo skrzywdziłaś moich synów? Jesteś jak modliszka, która niszczy wszystko, gdziekolwiek się pojawi. Nigdy ci tego nie wybaczę i wiedz, że nadejdzie kiedyś dzień, gdy mój syn przejrzy na oczy i zostawi cię. A wtedy ja cię zniszczę. Przysięgam ci. Tutaj, w moje urodziny. Pewnego dnia staniesz się nikim, a ja odbiorę ci córkę i nigdy więcej jej nie zobaczysz. – Stefania mówiła, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby. Nareszcie, pierwszy raz, odkąd Hanka pojawiła się w Londynie, teściowa miała okazję powiedzieć swojej byłej i obecnej synowej, co o niej myśli.

Wkrótce jubilatka odeszła do innych gości i zaprosiła wszystkich do jadalni, na kolację. Hanka miała nadzieję, że to już koniec dyskusji ze Stefanią, ponieważ jej teściowa z pewnością nie odważy się na publiczną krytykę. Za bardzo obawiała się reakcji Piotra i tego, że zerwie z nią kontakty, jeśli zbyt ostentacyjnie będzie dokuczała Hance. Wystarczyło, że ignorowała ją w sposób, którego nie dało się nie zauważyć. Kiedy zakończono podawanie przystawek i kelner nalewał gościom zupę, w jadalni pojawił się kamerdyner i szepnął coś Stefanii do ucha. Ta, chociaż niechętnie, przeprosiła gości, wstała od stołu i wyszła z pokoju. Po chwili wszyscy zgromadzeni usłyszeli histeryczny szloch Stefanii Niechowskiej. Taktownie nikt się nie odzywał i czekał na jej powrót. W istocie chwilę potem w drzwiach stanęła pobladła i zapłakana pani domu.

– Mój syn… Piotr miał wypadek. Zginął na miejscu.

Po chwili popatrzyła z pogardą na Hankę i wycedziła:

– Dlaczego nie ty? Dlaczego to ty nie zdechłaś, tylko musiał zginąć mój syn?

Lewinówna milczała. Nawet nie słuchała tego, co mówi Stefania. Kompletnie jej to nie interesowało. Poczuła jedynie, że ziemia osuwa jej się spod nóg, a ona została kompletnie sama. Nie była w stanie sobie wyobrazić, że Piotr, którego tak strasznie traktowała, chociaż kochał ją do szaleństwa, już nigdy nie powróci.

47. Los Angeles, 1947

Młoda kobieta, Amerykanka o imieniu Judith, siedziała na pomoście i wpatrywała się w spokojne wody zatoki San Pedro. Miała ciemne, proste włosy, nieco egzotyczną urodę po matce Meksykance i niedawno skończyła dwadzieścia cztery lata. Obok leżała jej torba i otwarta książka. Igorowi Łyszkinowi wydawała się bardzo młoda, ale ona uważała, że jest wręcz przeciwnie, bowiem koleżanki w jej wieku już dawno miały mężów i dzieci. Ta desperacka próba, by w końcu wyjść za mąż i nie odstawać od reszty, dawała Igorowi szansę, że nie będzie musiał zbyt długo czekać z oświadczynami, bo zapewne zostanie przyjęty. Dzisiaj umówili się na krótki rejs po zatoce, niewielkim jachtem należącym do starego Fiodora Łyszkina. Igor miał nadzieję, że taka wycieczka wyda się dziewczynie bardzo romantyczna.

– Dzień dobry, Judith. Długo czekasz? – zapytał Łyszkin.

– Właściwie nie czekam. Przyjechałam wcześniej, żeby trochę tutaj posiedzieć i popatrzyć na wodę – powiedziała, uśmiechając się szeroko i ukazując rząd perłowobiałych zębów.

Judith była naprawdę prześliczna i Igor szczerze dziwił się, że jeszcze żaden amant nie zaciągnął jej do ołtarza, by mieć taką piękność jedynie dla siebie.

Wszedł na łódź, pomógł wejść do niej Judith, a potem odcumował i włączył silnik, który swoim pomrukiem nieco zaburzył panującą w tym miejscu ciszę. Owszem, docierały zewsząd dźwięki portu, ale jakby z oddali, a odgłos silnika niemal świdrował w uszach. Igor wiedział, że za chwilę, gdy wypłyną na wody zatoki i napęd mechaniczny zastąpią żagle, zrobi się ciszej.

– I jak ci się tutaj podoba? – zapytał Łyszkin, gdy już znaleźli się z dala od portu.

– Pięknie – westchnęła Judith i zmrużyła oczy.

I to był właściwy moment, by rozpocząć taniec godowy. Gdyby Łyszkin był zakochany w dziewczynie, z pewnością wypadłoby to spontanicznie i szczerze, ale on, odkąd upatrzył sobie Judith, wciąż grał i udawał. Jego wybranka była piękna i pomyślał z ulgą, że noc poślubna nie będzie dla niego czymś przykrym, ale już podczas drugiego spotkania stwierdził, że dziewczyna jest dla niego po prostu zbyt cicha i spokojna. Nie lubił zbyt

ostrych i nachalnych kobiet, ale nie fascynowały go także ciche myszki, przepraszające całym swoim jestestwem, że w ogóle żyją. On po prostu nie miał z nią o czym rozmawiać. Jedyne pytania, jakie mu zadawała, to o status materialny i Łyszkin pomyślał, że tak właśnie muszą się czuć ludzie ubiegający się o kredyt w banku. Miał świadomość, że dla Judith było to bardzo ważne, bo wychowała się w bardzo ubogiej rodzinie we wschodnim Los Angeles i była gotowa się zakochać w każdym, kto zapewni jej godziwe życie. Ameryka była krajem kontrastów i dlatego był wciąż przekonany, że ustrój panujący w jego kraju jest zdecydowanie lepszym rozwiązaniem, ponieważ daje równe szanse każdemu, a miłość, jeśli się narodzi pomiędzy dwojgiem ludzi, nie ma nic wspólnego z przeglądaniem zasobności portfela. Miał wrażenie, że tutaj jest inaczej, a miłość się kupuje. Dla niego była to duchowa prostytucja, tyle że na całe życie. Był ciekaw, czy jego Hania postąpiła podobnie i również się sprzedała temu, kto najwięcej zaoferował za możliwość bycia jej mężem. A on już dawno temu, jeszcze przed wojną, obiecał sobie, że nie będzie brał udziału w licytacji. I nie zrobił tego. Dzisiaj z żalem musiał przyznać, iż właśnie dlatego przegrał. Może po prostu nie pasował do takiego świata, bo go nie rozumiał.

– Jesteś bardzo ładna, wiesz? – zagadnął Łyszkin. Wiedział, że to banał nad banałami, ale odnosił wrażenie, że Judith właśnie tego oczekiwała.

– A ty bardzo przystojny – odpowiedziała podobnym frazesem.

– Przy tobie czuję się jak stary dziad. – Roześmiał się.

– Lubię starszych mężczyzn. Potrafią lepiej opiekować się swoimi partnerkami.

„Niewątpliwie są lepiej ustawieni i łatwiej oszacować ich wartość” – pomyślał złośliwie Igor.

– I wyszłabyś za takiego starszego pana? – zapytał ze śmiechem, chociaż mówienie o sobie „starszy pan” nawet jego bawiło.

– Nie jesteś starszym panem, tylko dojrzałym mężczyzną. Czyżbyś mi się oświadczał? – odpowiedziała pytaniem.

„No to się zabawimy” – kolejny raz pomyślał Igor.

– Nie myślałem o tym… Wiesz, jesteś taka śliczna i młodziutka. Nie wiem, czy byłbym w stanie cię zadowolić – krygował się nieszczerze.

– Masz na myśli sprawy łóżkowe? – Zarumieniła się.

– No, wiesz, mój ojciec, który, jak wiesz, handluje samochodami, mawia, że nie można kupować auta, dopóki się człowiek nim nie przejedzie. – Igor

uśmiechnął się niezbyt szczerze.

– Jestem katoliczką… – jęknęła.

– I dlatego mamy ryzykować? – Łyszkin wyraźnie się z niej nabijał.

– Jeśli wiedziałabym, że myślisz o mnie poważnie, może zdecydowałabym się – mruknęła Judith.

– A zatem jesteś dziewicą – bardziej stwierdził, niż zapytał Igor, i ta myśl nieco poprawiła notowania Judith.

Z drugiej strony miała dwadzieścia cztery lata, wychowała się niemalże w slumsach, jakim więc sposobem uchowała się w cnocie przez tyle lat? Ameryka kojarzyła mu się z rozwiązłością, a okazała się bardziej purytańska niż socjalistyczny Związek Radziecki, gdzie seks nie był tematem tabu ani dziełem szatana, sprowadzającego potulne owieczki na złą drogę.

Dziewczyna zarumieniła się. Była zawstydzona podobną rozmową, co ogromnie bawiło Igora, dlatego postanowił wprawić ją w jeszcze większe zakłopotanie. I tak musiał się z nią ożenić, więc dlaczego nie miałby wprowadzić jakiegoś urozmaicenia w nich nudne jak flaki z olejem randki.

– To zrobimy tak… Wynajmę przyjemny hotelik z dużym łóżkiem i sprawdzę, czy w istocie jesteś tak niewinna, jak twierdzisz. I jeśli okaże się to prawdą, ożenię się z tobą – powiedział stanowczo.

– Dasz mi to na piśmie? – zapytała nieco złośliwie.

– Jeśli takie jest twoje życzenie. – Igora bawiła ta rozmowa, a jeszcze bardziej Judith, która broniła swojej cnoty, jak najcenniejszego klejnotu. Z drugiej strony uczenie jej różnych sprośnych sztuczek może okazać się niezłą zabawą, jeśli będzie musiał się z nią męczyć przez kilka kolejnych lat.

Tego dnia już nie powrócili do tematu, prowadząc zdawkowe rozmowy o pogodzie i najnowszych hollywoodzkich produkcjach filmowych, które wielu ludziom zastępowały normalne życie, bo żywili przekonanie, że tak wygląda prawdziwy świat, jeśli posiada się odpowiednią ilość pieniędzy. Jakby nie rozumieli, że podobnie jak w książkach pewne rzeczy są zmyślone i nie dzieją się naprawdę, a gwiazdy Hollywoodu nie przeżywają na co dzień takich emocji jak przez dwie godziny trwania seansu filmowego.

Późnym popołudniem bez żalu pożegnał piękną Judith i z ulgą powrócił do domu. Wiedział, że czas jego kalifornijskich wakacji wkrótce dobiegnie końca. Odebrał w wyznaczonym miejscu wiadomości i już czuł adrenalinę na myśl o wypełnieniu swojej niebezpiecznej misji. Jak na razie nikt specjalnie się nim nie interesował, był po prostu kolejnym uciekinierem z Eu-

ropy Wschodniej, który połączył się z najbliższą rodziną i próbował ułożyć sobie życie w Ameryce. Na szczęście zrobił to w czasie, gdy relacje pomiędzy Związkiem Radzieckim a Stanami Zjednoczonymi nie były tak napięte, jak teraz i nikt nie podejrzewał Łyszkina o celowy pobyt w Ameryce, mający na celu szpiegowanie na rzecz obcego mocarstwa. Zastanawiał się także, jaki fach będzie musiał udawać, gdy uda się do Los Alamos i czy jego młoda małżonka nie rozczaruje się, jeśli upchną go gdzieś w charakterze listonosza czy czyściciela basenów. Tym jednak postanowił martwić się później, gdy już włoży na palec Judith obrączkę, a wcześniej co nieco między jej uda.

Wszedł do salonu, gdzie rodzice spędzali głównie swój czas, gdy byli w domu. Szerokie drzwi balkonowe, zajmujące niemal całą ścianę, otwarte były na oścież i wychodziły wprost na taras, który wyglądał, jakby był naturalnym przedłużeniem pokoju. Igorowi trudno było przywyknąć do myśli, że mieszka w miejscu, gdzie prawdziwej zimy po prostu nie ma.

Ojciec siedział w fotelu i czytał gazetę, a matka jak zwykle krzątała się po pokoju, poprawiając serwetki, przestawiając bibeloty i nieco sarkając na meksykańską służącą.

– Jak udała się randka na jachcie? – zapytała z troską Maria. Jej syn przekroczył już trzydziesty piąty rok życia i bardzo chciała, by w końcu ożenił się, a ją obdarzył wnukami, póki jeszcze miała siłę, żeby się nimi zajmować.

– Jak zwykle cudownie, mamo. – Uśmiechnął się i dodał: – Judith jest absolutnie doskonała. Chyba się z nią ożenię.

– Nie martwisz się, synku, że ją interesują bardziej twoje pieniądze? – zatroskała się Maria Łyszkin.

– A kto by zainteresował się mną samym? – powiedział ze śmiechem Igor, ale potem spoważniał. – Żartuję, mamo. Judith jest uczciwą dziewczyną i strasznie we mnie zakochaną. Równie mocno, co ja w niej. Jestem pewien, że będziemy bardzo szczęśliwi.

– O, proszę – odezwał się nagle Fiodor. – Będziemy mieli zaraz w Ameryce drugą Polę Negri.

Igor i jego matka popatrzyli na Fiodora, nie bardzo wiedząc, co ma na myśli.

– Posłuchajcie. „Już za dwa tygodnie do Los Angeles zawita brytyjska gwiazda piosenki, pochodząca z Polski pieśniarka, Hanna Lewin. Bilety na

jej koncerty wyprzedały się błyskawicznie, a amerykańscy krytycy po występach w Nowym Jorku i Chicago nie szczędzą jej pochwał, porównując do jednej z największych gwiazd, Judy Garland” – przeczytał notkę Fiodor, nie mając pojęcia, jakie zrobi to wrażenie na jego synu.

Matka również nie była tego świadoma, bo powiedziała z żalem w głosie:

– Jaka szkoda, że bilety zostały już wyprzedane. Moglibyśmy we czworo wybrać się na jej koncert…

Kiedy rodzice Igora dyskutowali o karierze Hanki Lewin, sądząc, że dla ich syna ta kobieta jest jedynie przeszłością, on sam poczuł, jakby uderzył w niego rozpędzony pociąg. Hanka Lewin już niebawem będzie niemal na wyciągnięcie ręki i gdyby tylko zechciał, mógłby zdobyć te cholerne bilety i zobaczyć ją. Tylko co się wydarzy, jeśli to zrobi? Co poczuje, gdy ponownie ją ujrzy? Nie czuł się na tyle silny, by w spokoju patrzeć na jej występ i bez emocji podziwiać jej wokalny kunszt. Jednak bez względu na to, jak bardzo się oszukiwał i próbował walczyć ze sobą, obraz Hanki Lewinówny nie opuszczał go ani na chwilę. Jakby odcisnął się w jego sercu i mimo usilnych starań nie chciał zniknąć. I w takich chwilach jak ta, gdy wiedział, że niebawem może ją ujrzeć, a nawet porozmawiać z nią, czuł się kompletnie bezradny. To była jedyna wojna, jaką ze sobą toczył, która z góry skazana była na przegraną. I gdzieś tląca się w duszy nadzieja, że jednak nie wszystko, co było między nimi, zostało pogrzebane.

48. Warszawa, 1947

Odkąd Emil Lewin powrócił z Chełmic do Warszawy, czuł się głęboko nieszczęśliwy. Sądził, że zniszczenie rodzinnego majątku, zgładzenie ostatnich śladów rodu Chełmickich, przyniesie mu ulgę, ale zamiast tego wciąż kołatało mu w głowie, że nigdy nie był, nie jest i nie będzie członkiem tej rodziny. Być może gdyby nie te pogardliwe słowa służącej, jego odczucia byłyby inne, ale ona jedynie powiedziała głośno to, o czym on myślał po cichu. To jej ostatnie zdanie pobrzmiewało mu w głowie, niczym wciąż odtwarzana płyta: „Nie masz, chłystku, i nigdy mieć nie będziesz tego, co Antoni i Julian. Charakteru”. Swoją drogą ta cała Ludmiła musiała wykazać się nie lada odwagą, jeśli przedstawicielowi władzy ludowej tak nagadała, nie bacząc na mogące ją spotkać konsekwencje.

Kiedy zdruzgotany powrócił do Warszawy, doszły kolejne problemy. Julia Dregerowa okazała wielkie niezadowolenie faktem, iż z Chełmic powrócił z niczym i zrobiła to, zanim zdążył zapiąć guziki w rozporku, po tym jak dogadzał jej w łóżku. Kolejna napalona kurwa, której zależało tylko na jednym. Zdawał sobie sprawę, że jest świetnym kochankiem, ale on chciał w końcu poczuć się kochany, bez względu na to, ile przyjemności potrafi sprawić w łóżku swoim partnerkom. I kiedy tak rozmyślał, ile kochanek miał ostatnio, doszedł do wniosku, że zbyt wiele. Same dziwki i łajdaczki. I gdy sfrustrowany powrócił do domu, obsobaczony przez Dregerową niczym uczniak, napatoczył się ten nieszczęśnik, mąż Adrianny. Nie miał pojęcia, skąd Szymek go wytrzasnął, ale siedzieli obaj w mieszkaniu i czekali na niego. Musiał wznieść się na wyżyny popisów aktorskich, by opisać ze szczegółami śmierć Adrianny, pomijając, rzecz jasna, swój udział w tym akcie.

– Czuję się cholernie winny, panie Kamilu. – Lewin wciąż robił zbolałą minę. – Pokłóciliśmy się, chciała zabrać mi dziecko. Rozumie pan, że nie chciałem się zgodzić, i wtedy to się stało…

– Byłem u pana, szukałem jej, jak ostatni dureń… Martwiłem się o nią i cierpiałem, tak jak cierpi kochający mąż, tęskniąc za najdroższą żoną. A pan milczał… – z wyrzutem powiedział Grotowski.

Lewin wzruszył ramionami.

– Pan wie, jakie były czasy. A ja handlowałem nielegalnie żarciem, za to czekała mnie kulka albo Oświęcim. Wolałem nie nagłaśniać tego, żeby nie

zaczęto węszyć – tłumaczył się Emil, przysięgając niemal na klęczkach, że opłaci nowy pochówek Adrianny, i ze łzami w oczach błagając o wybaczenie.

– Teraz nie mam siły, żeby myśleć, co z panem zrobić. Ale może być pan pewny, że to jeszcze nie koniec – warknął Grotowski i kuśtykając, wyszedł z mieszkania Lewina.

Emil nie nakrzyczał na Szymka, nie powiedział ani słowa, tylko dusił w sobie uczucia, jakie nim targały. Płaszczył się przed jakimś obcym frajerem, zamiast donieść na niego i wsadzić do więzienia, aż by odechciało mu się robienia awantur i przyłażenia z pretensjami. Jednak w tym momencie poczuł się pokonany i słaby. Tak jakby nie miał już wpływu na własne życie, a jedynie kombinował, by przetrwać. Miał wrażenie, że był uwiązany na smyczy i musiał skamleć za każdym razem, gdy chciał, by rzucono mu jakiś ochłap. Każdy miał na niego jakiegoś haka, począwszy do Szymka, który był świadkiem i uczestnikiem nielegalnego pochówku Adrianny, a skończywszy na polskim podziemiu, którego niektórzy członkowie wciąż żyli i zapewne mogli kiedyś się dokopać do wydanego na niego wyroku. Dregerowa machała mu przed oczami aktami gestapo, a nawet Franek i Bronka wiedzieli o jego sprawkach na tyle dużo, by miał się czego bać. Poczuł się jak śmieć, który jest nikim i nic nie może. Tak bardzo się w tym wszystkim zapętlił i zagubił, że znalazł się w potrzasku. Kompletnie zniewolony tajemnicami, które powoli zaczynały wychodzić na światło dzienne i jakby uśmiechały się szyderczo, że już przestają być tajemnicami.

***

Następnego dnia usiadł w swoim eleganckim gabinecie, z którego jeszcze nie tak dawno był dumny, i zastanawiał się, co dalej ma zrobić ze swoim życiem. Gdzieś, w Londynie, jego siostra robiła karierę i zapewne pomogłaby mu się ustawić w nowym kraju, ale Bóg raczy wiedzieć, czy wciąż nie kręcił się koło niej ten cały Łyszkin. W końcu zmajstrował jej dzieciaka i zapewne znalazł sposób, by od czasu do czasu się z nim widywać. Liczne ograniczenia, jakie mieli zwykli ludzie, szczyty władzy nie obowiązywały, a ten Rosjanin chyba stał wysoko w hierarchii.

Z zamyślenia wyrwał go brzęczyk telefonu. Dzwoniła Dregerowa i oznajmiła, że koniecznie musi się u niej zjawić po południu. „Zebrało się klępie

na amory” – pomyślał ze złością, ale wiedział, że po raz kolejny nie ma wyboru i musi zgodzić się na coś, na co kompletnie nie miał ochoty.

Wszedł do mieszkania Julii Dreger, ale ta nie przywitała go, jak miała w zwyczaju, w peniuarze, tylko siedziała kompletnie ubrana w fotelu i miała posępną minę. Podała mu kopertę i powiedziała zimno:

– Przeczytaj…

Lewin wziął do ręki list i chociaż ten nie był podpisany, od razu rozpoznał kanciaste, niewyrobione pismo Bronki Walerkowej. Donosiła w nim do władz, że niejaki Emil Lewin wykorzystuje swoje stanowisko służbowe, by przywłaszczać mienie pozostawione przez wysiedlonych Niemców. Oczywiście, na poparcie swoich tez wymieniła także miejsca, gdzie Lewin dokonywał grabieży, a także co ukradł i jaką ma to szacunkową wartość. Kiedy skończył czytać, nie odezwał się słowem. Co miał powiedzieć, jeśli nie był w stanie obronić się w jakiś wiarygodny sposób. Bronka w swoim donosie zdradzała zbyt wiele szczegółów, by można było uznać jej pisaninę za zwykłą złośliwość.

– Idź, załatw to. Po prostu ucisz tę osobę, bez względu na to, kim dla ciebie jest. A potem wróć tu i opowiedz mi o tym. Ze szczegółami – powiedziała zimno.

– Podniecają cię takie rzeczy? – nieco złośliwie zapytał Lewin.

– Nie bądźcie bezczelni! – niemal ryknęła Dregerowa, zwracając się do niego służbowym zwrotem, by ustawić swojego kochanka do pionu. Jednak chwilę potem zaszczebiotała: – O tak, bardzo.

„Chora suka” – pomyślał Lewin i opuścił mieszkanie. Pomyślał, że po raz kolejny nie ma wyjścia i musi kogoś pozbawić życia. Wcale nie miał ochoty na mokrą robotę, tak samo, jak nie miał ochoty dogadzać tej wyuzdanej zdzirze, ale czuł pętlę na szyi, która zaciskała się za każdym razem, gdy postanawiał solennie zmienić się i żyć uczciwie. I wciąż, mimo usilnych starań, nie mógł pozbyć się tego sznura, który przypominał mu, że jest tylko więźniem. Najgorsze było to, że sam siebie wpakował do tego więzienia.

Na dworze zapadł zmierzch, gdy Lewin zobaczył idącą w stronę domu Bronkę. Choć na ulicy nie paliły się prawie żadne latarnie i mógł jedynie rozpoznać kontury idących ludzi, poznał ją po charakterystycznym chodzie. Wyciągnął z kieszeni cienką metalową żyłkę i owinął końcówki na palcach. Wślizgnął się do klatki schodowej kamienicy, w której mieszkała, i schował się za drzwiami. Te wkrótce zatrzeszczały i Bronka wtoczyła się do wnę-

trza, dźwigając w obu dłoniach wypełnione ziemniakami i kapustą siatki. Szybkim ruchem zadzierzgnął jej linkę na szyi i z całej siły zacisnął. Bronka upuściła torby, próbowała chwycić żyłkę i oddalić ją od swojej grdyki, ale miotała się jedynie, by chwilę potem zacząć charczeć i rzęzić. Po kilku chwilach zamilkła, jej ciało zwiotczało i z hukiem upadło na podłogę. Lewin wypuścił z rąk linkę, pozostawiając ją wbitą w szyję Bronki Walerek, i wyciągnął z kieszeni latarkę. Poświecił przez chwilę, by zaraz potem zgasić. Nie chciał patrzyć na wytrzeszczone oczy kobiety ani przez moment, ale musiał się upewnić, że od teraz Bronka już niczego nie napisze. Ani donosu, ani listu do krewnych. Stał jeszcze, głośno oddychając, ale usłyszał odgłos przekręcanego klucza w mieszkaniu na parterze. Przeskoczył leżące tuż przy drzwiach ciało i wybiegł na ulicę. A potem, mając jeszcze ślady krwi na dłoniach, udał się do Dregerowej, by zaspokoić jej ciekawość dotyczącą drastycznych szczegółów morderstwa.

Opowiadał jej bajki, wymyślone przez siebie barbarzyńskie tortury, którymi rzekomo poddawał donosicielkę, i czuł obrzydzenie, patrząc na coraz bardziej podnieconą Julię Dregerową. Nienawidził jej, tak samo, jak w tym momencie nienawidził samego siebie. Równie dobrze mógłby zabić i ją, gdy ujeżdżała go, prosząc o coraz więcej krwawych szczegółów, ale wiedział, że jej śmierć nie ujdzie mu na sucho i skończy na szubienicy.

Wrócił późnym wieczorem do domu i cały się trząsł w środku. Jakby miał w sobie potwora, który wciąż domaga się strawy w postaci złych uczynków. On nie musiał bać się piekła po śmierci, bo już w nim tkwił. W największym brudzie, jaki człowiek może z siebie wydobyć. Momentami wydawało mu się, że te ścieki wręcz wylewają się z niego i każdy, kto na niego spojrzy, będzie mógł zobaczyć, jak oblepiają jego twarz i całe ciało.

Zamykając drzwi mieszkania, spostrzegł, że oprócz Szymka w domu jest ktoś jeszcze. Młoda kobieta, która skojarzyła się Emilowi z wizerunkami aniołów uwiecznionych na malarskich płótnach. Brakowało jej jedynie skrzydeł i aureoli. Jakiż to był inny obraz niż zdychająca Bronka i jęcząca w rui suka – Dregerowa.

– Kim pani jest? – zapytał cicho i niezbyt pewnym głosem.

– Nazywam się Magdalena Walewska. – Kobieta wstała z krzesła, podeszła do Emila i wyciągnęła w jego kierunku drobną dłoń.

Ujął ją delikatnie, jakby nie był godzien dotykać swoimi zbrukanymi dłońmi jej ciała, i złożył delikatny pocałunek.

– Czym mogę pani służyć? – zapytał szarmancko.

– Jestem przyjaciółką pana Kamila Grotowskiego i dobrą znajomą Szymka. Z uwagi na ostatnie przeżycia chłopca chciałabym, żeby tymczasem zamieszkał u mnie – powiedziała dźwięcznym, delikatnym głosem. Jak prawdziwa dama.

Emil Lewin spojrzał z przerażeniem na chłopca, ale ten tylko spuścił głowę, ściskając w dłoni sfatygowaną walizkę.

– No coś ty, Szymcio? Za tydzień przywożę Karolka… Źle ci u mnie? Toż ja cię kocham, jak własnego syna.

Szymek Wielopolski podniósł głowę i Emil zauważył, że dzieciak płacze.

– Nie mogę, panie Lewin. Dziękuję panu za wszystko, ale ja już nie mogę dłużej z panem mieszkać. Panna Magdalena zaopiekuje się mną. – Szymek mówił przez łzy, pociągając przy tym głośno nosem.

– Szymcio, Szymcio… Ty nie możesz… – Lewin wpadł w kompletną panikę.

Magdalena Walewska niewiele wiedziała o Emilu Lewinie, jedynie to, że zataił samobójstwo Adrianny Daleszyńskiej przed jej mężem i okłamał chłopca w kwestii prawdziwego powodu odejścia narzeczonej. Podeszła więc do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Niech pan da mu trochę czasu… Niech pan ma nadzieję, że kiedyś panu wybaczy, bo bardzo pana kocha – powiedziała ze współczuciem w głosie.

Jeszcze raz Lewin spojrzał na twarz Magdaleny Walewskiej. Wiedział, że od tej pory w każdej napotkanej kobiecie będzie szukał jej wizerunku. Obrazu anioła.

Kiedy Szymek i piękna panna Magdalena opuścili mieszkanie Lewina, ten usiadł na podłodze przy ścianie i znowu zaczął płakać. Kolejny raz w ostatnim czasie. Głośno, ze skargą w głosie i z bólem, jaki czują ludzie, gdy cały świat jest przeciwko nim, a przejmująca samotność nie jest wcale ciszą, ale głośnym krzykiem rozpaczy.

49. Kołyma, 1947

Drakońskie mrozy odpuściły nieco, co spowodowało, że obóz „Raj” trochę się ożywił. Niektórzy nawet próbowali się uśmiechać, mówiąc, że jeśli przeżyli zimę, najpewniej dotrwają do następnej. Alicja trzymała na kolanach Natalię i opowiadała jej bajkę o pięknej księżniczce, która mieszkała w pałacu i miała sto pięknych sukienek. Dziewczynka jeszcze niewiele rozumiała z tego, co opowiadała jej matka, ale słuchała jej uważnie, od czasu do czasu wyginając usteczka w uśmiechu i pokazując pierwsze, pojedyncze ząbki. Dla Alicji dziewczynka była całym jej światem. Od Sergiusza nie miała już od dawna żadnych wiadomości, chociaż ta najokrutniejsza pora zimy dobiegała końca i samochód z korespondencją z Magadanu przyjeżdżał normalnie. Nie miała pojęcia, co się dzieje, bo również nie przyszła żadna odpowiedź z sądu, dotycząca skrócenia wyroku.

Drzwi baraku otworzyły się i do środka weszła Olga Iwanowna.

– Alicja… Popatrz. – Olga podała listę dzieci, które wkrótce musiała odwieźć do sierocińca znajdującego się poza obozem.

Alicja omiotła wzrokiem dokument i z przerażeniem stwierdziła, że na owej liście znajduje się nazwisko jej dziecka.

– To musi być jakaś pomyłka. Stiepan… to znaczy komendant obiecał… Zresztą Natalka nie skończyła jeszcze osiemnastu miesięcy – powiedziała Alicja.

– Posłuchaj, jutro jadę z transportem, lepiej to wyjaśnij, bo w przeciwnym razie będę musiała ją zabrać. Co do wieku Natalki, to nie jest ściśle przestrzegane. Jeśli z jakichś powodów matka przestaje karmić piersią, mamy obowiązek zabierać także te młodsze dzieci. A ty pobierasz przydziałową kaszę na dziecko, więc postanowiono, że należy Natalkę wywieźć do sierocińca.

Olga była coraz bardziej spanikowana. Wiedziała, że Alicja chodzi do Kaganowskiego i dzięki temu cieszy się pewnymi względami w obozie, a jednym z nich miało być pozostawienie Natalii w *zonie*, najdłużej jak to tylko będzie możliwe.

– Pójdę wieczorem do komendanta. Niech skreśli małą z listy, i po krzyku. Teraz mam dyżur przy maluchach i nie mogę ruszyć się z miejsca. – Alicja była bardzo spokojna, bo uznała, że umieszczenie jej córki na liście jest zwykłą pomyłką.

Wieczorem, gdy Natalia zasnęła, udała się do domu Stiepana. Już nie musiała meldować się u Aloszy, po prostu wchodziła tam wieczorami, niemal jak do siebie.

– Alicja – uśmiechnął się Stiepan Kaganowski.

Zawsze się uśmiechał, gdy ją widział i odkąd została jego kochanką. Ale nie lubił jej tylko dlatego, że z nim sypiała, ale mógł chociaż wieczorami mieć namiastkę normalnego domu, którego tak bardzo mu brakowało. Alicja była zabawna i potrafiła mówić mu rzeczy, jakich nigdy nie słyszał od swojej żony. Wiele by oddał, żeby Alicja zajęła jej miejsce. W jego sercu już zadomowiła się na dobre i przykre doświadczenia z przeszłości odeszły, ale pragnął, by i ona czuła podobnie. Być może kiedyś mogliby zamieszkać w innym miejscu niż Kołyma i wieść spokojne, szczęśliwe życie? Wiedział jednak, że nie jest to takie proste, bo gdzieś daleko, wiele tysięcy kilometrów stąd, czekał na nią narzeczony, który bezgranicznie ją kochał, a ona jego. Nigdy nie wspominała mu o tym, jakby nie chciała go ranić, ale wystarczyło, że czytał listy, które do siebie pisywali. Był tak zazdrosny o to ich piękne uczucie, że chował listy przychodzące do Alicji i nie pozwalał wysyłać tych, które ona pisała do narzeczonego. Tak jakby chciał zaczarować rzeczywistość i sprawić, by to cudowne uczucie między tymi dwojgiem po prostu zniknęło.

– Stiepan? – zapytała beztrosko. – Ci twoi pismacy to się nie popisali. Umieścili Natalię na liście do wywózki.

– To nie pomyłka. Dziecko wyjeżdża. Tam będzie jej lepiej, poza tym takie są przepisy – odpowiedział sucho.

Uśmiech w jednej chwili zniknął z twarzy Alicji.

– Nie możesz mi tego zrobić, Stiepan. Obiecałeś… błagam, nie rób tego. Wiem, że wszystko zależy od ciebie… – Alicja zaczęła panikować. Po chwili klęknęła przed nim i zaczęła płakać. – Nie rób mi tego. Zrobię, co zechcesz, tylko nie zabieraj mi córki. Ona tam zapomni o mnie, oni ją tam skrzywdzą, błagam, nie odsyłaj jej.

Kaganowski podszedł do Alicji, szarpnął za ramię i kazał jej wstać.

– Szkoda, że mnie tak nie kochasz, jak jej. A nawet nie wiesz, czyje to dziecko. Tylko tyle, że jakiegoś kryminalisty – warknął.

– To moje dziecko, tylko moje… – Alicja wciąż nie przestawała płakać.

– Jeśli więc zależy ci na jej przyszłości, pozwól jej odejść. Może potem trafi do jakiejś normalnej rodziny i będzie szczęśliwa… – Stiepan mówił

stanowczym głosem.

– Nie będzie, nie będzie! A jak ja ją potem znajdę? Przecież ja niedługo… – Alicja niemal krzyczała.

– Uspokój się. Natychmiast. I posłuchaj. Sąd odrzucił twoje podanie. Zostaniesz tutaj jeszcze wiele lat… więc podjąłem decyzję, która będzie najlepsza dla twojej córki, a której ty byś nigdy nie podjęła. – Stiepan potrząsał ramionami Alicji, aby doprowadzić ją do względnej równowagi.

Przestała szlochać, zrobiła się blada i usiadła na krześle, bo miała wrażenie, że za chwilę zemdleje.

– Możesz mi to pokazać? – zapytała cicho.

– Chcesz posypywać ranę solą? Zresztą i tak nie znasz cyrylicy – warknął.

– Co napisali w uzasadnieniu? – Padło kolejne pytanie.

– To, co zwykle piszą w takich przypadkach. – Wzruszył ramionami.

– Masz rację, to nie ma żadnego znaczenia, co napisali – powiedziała cicho Alicja, wstała z krzesła i ruszyła w stronę drzwi.

– Zostań dzisiaj ze mną – powiedział błagalnie Stiepan.

Pokręciła jedynie głową i wyszła na zewnątrz. Mimo że mróz zelżał, płynące łzy zamarzały na jej policzkach, niczym namalowane na obrazie. Szła przez teren obozu i ani trochę nie martwiła się, że ktoś może na nią czyhać. Odkąd rozniosły się plotki, że dogadza komendantowi, nikt nie ośmielił się jej zaczepiać. Była tutaj niczym obozowa królowa, dostępująca zaszczytu sypiania z najwyższą władzą. Ci ludzie nawet nie wiedzieli, jak bardzo się mylili, bo Stiepan Kaganowski nie pragnął jedynie uciech cielesnych, których mógł mieć pod dostatkiem każdego dnia, ale duchowej strawy, by w tym zbydlęconym świecie, którego był poniekąd współtwórcą, poczuć się jak normalny człowiek. A ona? Ona była pusta w środku, bo właśnie miała stracić istotę, która pomagała jej przetrwać w tym nieludzkim świecie, tak jak ona pomagała przetrwać Kaganowskiemu.

Podeszła po skrzypiącym śniegu do kolczastego drutu okalającego obóz i popatrzyła na złowieszczy ciemny świat, który rozciągał się poza nim. Śnieżna pustynia, bezkresna przestrzeń prowadząca donikąd. I ona… jak mały pyłek, który nic kompletnie nie znaczy w starciu z surową naturą. Jednak tutaj, gdzie stała, świat wcale nie wyglądał lepiej, mimo że mieszkało w nim kilkuset ludzi. Ludzi bez duszy.

Dotknęła rękawicą drutu, jakby chciała przejść poza tę granicę i umrzeć wolna, w kompletnej samotności, wśród żywiołu, który już wchłonął nie-

jednego desperata. A potem nagle ogarnęło ją dziwne uczucie, które nie wiadomo skąd się wzięło i gdzie miało swój początek.

– Przecież ja jeszcze żyję. A życie zawsze przyzwala na nadzieję…

KONIEC tomu V